

ANDRZEJ BOBKOWSKI

SZKICE PIÓRKIEM

(FRANCJA 1940 - 1944)



INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1957

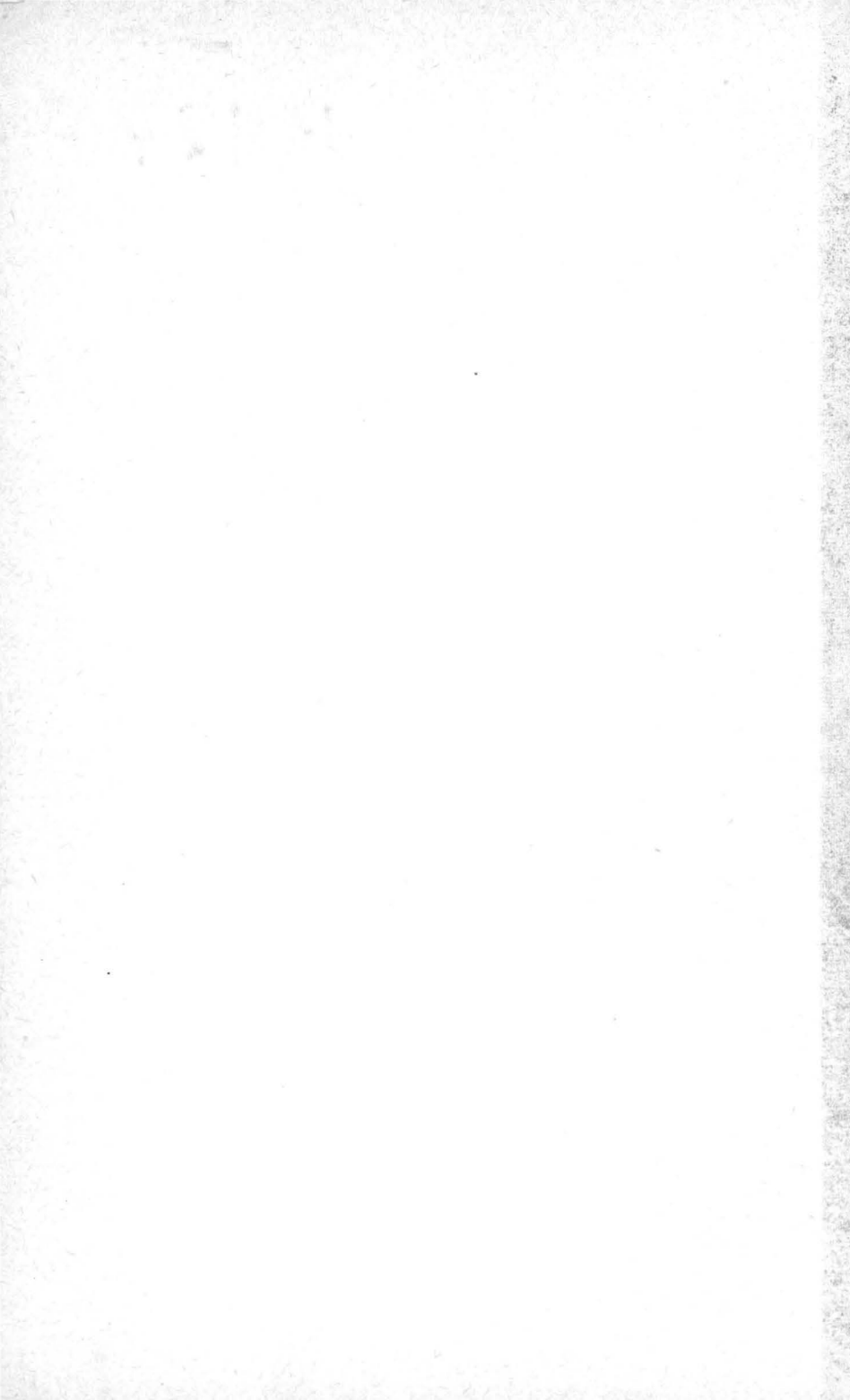
II 178, 932 (A)

II 213, 709



~~B150~~

B127



SZKICE PIÓRKIEM

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom XXII

C z ę ś ć d r u g a

Imprimé en France

Wydawca: Edition et Librairie «Libella»
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

ANDRZEJ BOBKOWSKI

99E.
u

SZKICE PIÓRKIEM

(FRANCJA 1940 - 1944)



INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1957

~~B 1558~~

~~B 1278~~

Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.
Copyright by «Kultura», 1957.

1942

1. 1. 1942.

Czy w tym roku skończy się wojna? Albo Rosjanie pobiją Niemców do wiosny i wtedy koniec, albo nie — i wobec tego jeszcze dwa lata.

2. 1. 42.

Pojutrze idziemy na proszony obiad do Chopinów. Ona czuje się już dobrze po urodzeniu piątego dziecka i dostaliśmy od nich list z zaproszeniem. Żeby nie iść z pustymi rękami, postanowiłem kupić jego chłopcom jakąś książkę, coś polskiego po francusku.

Po obiedzie wsiadłem na rower i pojechałem na boulevard Saint-Michel pogrzebać w księgarniach. Szukałem «W pustyni i w puszczy» ale nigdzie nie znalazłem. W ogóle żadnych tłumaczeń z polskiego nie można teraz znaleźć we francuskich księgarniach, bo Niemcy wydali do księgarzy okólnik aby według własnego uznania wycofali ze sprzedaży książki, mogące szkodzić propagandzie porozumienia, współpracy, przyjaźni itd. I wobec tego księgarze, w przypływie wiernopoddańczej żarliwości, usunęli wszystko, co ma jakiś związek z Polską. Byłem już zupełnie zrezygnowany i zupełnie odruchowo zatrzymałem się przy wielkiej księgarni niemieckiej, żeby oglądnąć nowości. Stałem przed wystawą książek francuskich. — Masz: na środku leżała książka całkiem ładnie wydana «Contes et legendes polonaises» z ilustracjami Koźmińskiego. Wobec

tego wszedłem do środka i kupiłem polskie legendy wraz z opowiadaniem o Wandzie, co nie chciała Niemca — w niemieckiej księgarni, bo u przyjaciół Francuzów próżno szukać ratunku. *Ils sont plus boches que Pétain*, jak mówi złośliwe określenie golistów.

Chodziłem jeszcze po innych księgarniach, wpytując ciągle o Sienkiewicza (właściwie gdyby nie Sienkiewicz, to naprawdę nie wiem, co po za tym można by z tej naszej literatury dać obcemu) i oglądając przy sposobności książki, ale nigdzie nic nie było. Dopiero w jakiejś małej księgarni zasuszony staruszek zaprowadził mnie tajemniczo do składu za sklepem i wyjął — «Krzyżaków» — «Les Chevaliers Teutoniques». Uśmiechnąłem się, on mrugnął i powiada szeptem: *Vous savez, ça, c'est très bon, c'est antiboche... oh là là, prenez ça*. Miałem ochotę go uściskać, uratował honor wszystkich żarliwych księgarzy, taki De Gaulle księgarski. Pogwarzyłem z nim z cicha, kupiłem «Krzyżaków» i po krótkim sprecyzowaniu sytuacji na froncie wschodnim (*c'est dur pour eux...*) wyszedłem. Staruszek mnie podbił.

Na murze jakiejś kamienicy «Socrate» — uliczny karykaturzysta — rozwiesił swoje rysunki. Niektóre ma bardzo dobre. Dawniej, jeszcze w 1939 roku «wystawiał» na boulevard des Batignolles i chodząc na obiady na Lamandé, zatrzymywaliśmy się często przy nim. I tak zawarliśmy znajomość z jego żoną, trudniącą się spieniężaniem jego twórczości. Przez wiele miesięcy nie widziałem ich i dopiero dziś zatrzymałem się z radością, że ten kawałek dawnego Paryża przeżył i jeszcze się trzyma. Madame Socrate mnie poznała i od razu zaczęliśmy długą pogawędkę. Zaczęła mi się żalić, że jej mąż taki nieśmiały, iż nic nie umie sprzedać; że nie chce wystawiać na normalnych wystawach, bo brak mu odwagi i sprytu do wkręcenia się w towarzystwo malarzy; i ich intrygi, które są okropne w stosunku do ludzi z talentem zmuszają ich do szukania chleba na ulicy. Socrate krążył w oddaleniu i pokazała mi go, mówiąc: «Widzi pan, taki nieśmiały, że nawet bliżej nie podejdzie». Malutki, ciemny człowieczek w kusym paltociku ze zgasłą fajeczką w zębach. Pożegnałem się z nią i na zakończenie rzuciła mi kuszącą propozycję: «Jak pan kiedy zechce swoją karykaturę, to on panu zrobi — niedrogo — 500 franków».

4. 1. 42.

Obiad u Robertów. Mały domek w Fontenay-sous-Bois, czterech synów i jedna córka. Zaprosił swojego przyjaciela z czterema córkami i jednym synem. Mały domek pękał, ale było przyjemnie. Obiad wspaniały, zupełnie przedwojenny.

7. 1. 42.

Jeden z «moich» robotników został przyłapany jeszcze w listopadzie z walizką, w której wiózł do Paryża cztery kilogramy szynki i dwa kilo słoniny. Protokół — jutro rozprawa sądowa w Senlis, dokąd musi jechać. Przyszedł, oczywiście po radę. Jadę z nim jutro na rozprawę, bo on ani słowa po francusku. Wyszukam mu tłumacza sądownego, adwokata z urzędu i może uda mi się chłopca wyciągnąć z tej sprawy, która w dzisiejszych czasach pachnie dwoma miesiącami więzienia. Tak zwany postęp, kultura, cywilizacja — jednym słowem Nowa Europa. Kiedy przeczucam czasem słownik, to na widok wielu, wielu słów odczuwam coś na kształt wspomnień z lat dziecińczych. A przy słowie «ludzkość» czyli *l'humanité* można dostać straszliwych kolek ze śmiechu, można się zaśmiać na śmierć.

8. 1. 42.

Wróciłem do domu i jestem cały pod wrażeniem tego dnia w Senlis. Mam uczucie, jakbym cały dzień pływał po wielkim spokojnym stawie leżąc w małej łódce, wiosłując od niechcienia i puszczając po gładkiej tafli wody «kaczki» myśli. Myśli sobie podskakiwały, ja sobie pływałem, a czas sobie przemijał.

Cały dzień, wszystkie jego wydarzenia pokryte były s p o k o j e m, regularną monotonią i tym «s o b i e» życia małego miasteczka francuskiego.

Wyszedłem z domu wcześniej rano. Na wpół śpiąc zszedłem do métra, zupełnie odruchowo przesiadłem się na République i drzemiąc zajechałem na Gare du Nord. Oskarżony czekał już na mnie. Kupiliśmy bilety i wsiedli

do pustego jeszcze pociągu. Wszędzie ciemno i wszystkie odgłosy dworcowe dochodziły do przedziału osobno, jak błyski światła. W takich ciemnościach głos jest światłem i najmniejszy dźwięk jest tak brutalny i indywidualny jak promień.

Po chwili ludzie zaczęli się schodzić, wybierać miejsca i siadać. Naprzeciwko nas usiadła jakaś para i zaczęła kończyć w wagonie rozpoczęte jeszcze w łóżku pieszczoty poranne. On wsadził jej rękę pod klapę palta i chwycił krzepko za pierś, co nie przeszkadzało mu troszkę drzemać i stuknąć nosem we własny krawat; ona zdjęła mu kapelusz, przyglądała włosy i pocierała policzkiem o jego ucho, całując w odstępach 30-sekundowych i coś szepcząc mu czule. On na to odmrukiwał jakieś «ehe - hm - ahu», chwycił ją mocniej za pierś, po czym popadał z powrotem w letarg drzemki.

Pociąg ruszył i oczywiście wszyscy wyciągnęli zegarki, żeby skontrolować czas. Nie zrobiłem tego, bo miałbym w najlepszym wypadku czas Gare du Nord. Ani jeden zegarek we Francji nie chodzi jednakowo, tylko tak jak mu się podoba. Ja mam swój czas, Gare de Reuilly, i nie odstępuję od niego, bo inaczej musiałbym cały dzień przedstawiać wskazówki. Dla Francuzów jest to jednak *une petite occupation*, przy której można zamienić kilka słów z nieznanym, a co najważniejsze — okłamać jakąś *autorité*. Tak więc nawet śpiący kochanek puścił na chwilę ciepłą pierś, przebudził się, spojrzął na zegarek, mlasnął językiem (*ça va pas...*) i żeby nie męczyć się po raz drugi, położył rękę na jej pulchnym udzie. Ona na to założyła nogę na nogę i przygniotła w ten sposób jego dłoń słodkim ciężarem drugiego uda. W tej czulej i intymnej pozie poczuli drzemać. Ja również. Po trzech kwadransach jazdy wysiedliśmy w Chantilly i przesiedliśmy się na boczną linię do Senlis. Zrobiło się już jasno. Pociąg ruszył wolnym krokiem. Po dwudziestu minutach wysiedliśmy na malutkim dworcu Senlis. Mały i cichy budynek stacji otoczony wielkimi drzewami, niebo w kolorze lśniąco-popielatym jak sztuczna perła i rysująca się ponad koronami nagich drzew wieża katedry wśród czarnych punkcików krążących wokół niej kawek.

Po zgrzytliwym i tłukliwym jak mycie garnków odjeździe pociągu, poszliśmy w stronę miasta pogrążeni w takiej

ciszy, że słyszało się niemal opadanie mgły powlekającej wszystko lepka błoną. Czasem tylko od strony wieży dolaływały piskliwe głosy kawek, ostre z początku i rozwleczone dalej echem, niknące, jak nagłe postawienie kropki i pociągnięcie od niej coraz to cieńszej kreski.

Wchodzimy do miasta ulicą, przy której jest kilka rozwalonych bombardowaniem domów. Na ulicy snują się ludzie, przystają aby porozmawiać i idą dalej. Wchodzimy do Merostwa, szukam konsjerża i pytam, gdzie znajduje się Trybunał.

Wyprowadza mnie za bramę, pokazuje uliczkę i powiada że Trybunał jest pod katedrą. Miasteczko jest niewielkie i stare, uliczki wąskie i pokręcone i — jak w większości wypadków we Francji, spotyka się niemal wyłącznie starych mężczyzn i stare kobiety. Wąską uliczką idziemy ku katedrze. Właściwie wszędzie jest spokój i cisza i cały ten nastrój ogólny przerywany jest poszczególnymi scenami, oddzielnymi jak sceny w sztuce teatralnej.

Scena pierwsza: Spotkanie dwóch staruszek i dialog:

— *Bonjour Madame Duval, ça va?*

— *Bonjour Madame Lepont, merci, ça va, et vous même?*

— *Oui, merci, ça va tout doucement. Ah! Quel vilain temps...*

— *Oui. Il fait froid aujourd'hui... le brouillard...*

— *Et votre monsieur le mari se porte mieux?*

— *Oui, le pied est toujours enflé un peu, mais comment voulez-vous... Avec un temps pareil...*

Między godziną dziewiątą i dziesiątą całe miasteczko prowadzi te same dialogi spotykając się na ulicy, z okna do okna, w sklepach. Idąc uliczką spotykamy wielki wóz na dwóch kołach, do którego dwaj starzy robotnicy wypróżniają wystawione przed każdy dom pudła ze śmieciami. Jeden stoi na wozie i udeptuje śmieci, drugi podaje mu pudła na wóz i odbierając już puste, ustawia je przed domem. Śpiący koń sam rusza i sam zatrzymuje się przed następnym. W tej chwili na wszystkich ulicach wszystkich miast i miasteczek Francji powtarza się to samo, z tą różnicą, że w większych miastach robią to olbrzymie samochody o kształtach chrapąszczy.

Scena druga: Spoza zakrętu wyszła czarno ubrana staruszka, zatrzymała się koło wozu i powiedziała:

— *Bonjour, Monsieur Paul, ça va?*

— *Merci Madame* — odrzekł śmieciarz — *et vous même?*

— *Oui, ça se tasse. Quel travail quand même avec ces boîtes...* Ale jak tak dalej pójdzie, to ludzie nie będą mieli co wyrzucać...

— *Mais oui* — i tu dłuższa i zawsze ta sama rozmowa o brakach w wyżywieniu i aprowizacji. Śmieciarz oparł się o koło wozu, ten na wozie przysiadł i gwarzą.

Dochodzimy do placu przed katedrą. Śliczna, stara gotycka katedra — zresztą znana i zwiedzana. Jak cały gotyk francuski, tak i ta katedra pomimo całej swojej powagi, leciwości i masy jest jakaś lekka, żywa, wtopiona w całość miasteczka — jedna z wielu, bez pretensji. Nie otacza jej żadna specjalna cześć, nikt nie wmawia, że to jest *weltberühmt*, nikt nie rozparcelowuje jej na kawałki, wnikając w jakieś pojedyncze kamienie; można z nią rozmawiać jak ze spotkanym przed chwilą śmieciarzem, po swojemu.

We Francji jest tyle katedr, tyle zabytków, tyle starych mebli i starych domów, wśród których płynie życie, że nawet zabytki są rzeczą najzwyczajniejszą. Wchodzą w program codzienności. Należąc do wszystkich, tym łatwiej uważać je można za «moje ulubione» i doszukiwać się w nich uroku, którego nikt nie każe znajdować; łatwiej wejść z nimi w intymny kontakt. I nikt nie zapala świętym oburzeniem jeżeli spodoba mi się na przykład twierdzić, że Notre-Dame to kicz średniowieczny i że chimery są niczym w porównaniu z zielonymi końmi Picassa.

Trybunał znajduje się w gotyckim domu obok katedry. Szeroko rozsiadły budynek o grubych murach, sklepieniach, schodach szerokich, wąskich i długich oknach. Robi to na mnie zawsze wrażenie olbrzymiego bloku kamiennego, w którym wykuto dom, drażąc sale i pokoje jakimś wielkim dłutem.

Zasięgnąwszy informacji u konserjera poszliśmy do pisarza sądowego. Siedział wśród wielkich fortyfikacyj ksiąg, aktów, teczek — wśród czterech ścian pogrubionych murem wielkich foliałów rozmieszczonych na półkach. Chcąc zaznajomić się na przykład ze sprawą sądową swoich przed-

ków z roku 1680 można by tu prawdopodobnie znaleźć dużo potrzebnych dokumentów. Tu żyją wieki, drzemią na półkach budzone czasem wydarzeniami, które ich jednak nie zniszczyły. Kto im co zniszczył? Trochę na północy, a poza tym prawie nikt i prawie nic. Najwięcej poniszczyli sobie sami w paroksyzmach wielkiej rewolucji po dziesięciu wiekach równowagi, po dziesięciu wiekach życia prawie nigdy nieprzerwanego, ciągłego jak nitka nawinięta na szpulkę. Niszczyli *pour changer les idées*, mogli sobie pozwolić na ten kaprys.

Czym jest nasze życie? Nawijaniem na kawałek tekturki krótkich kawałków nitki bez możliwości powiązania ich ze sobą. Gdzie mam szukać metryki urodzenia mojego dziadka? Gdzie odnaleźć ślad prababki? Do czego przyczepić cofającą się wstecz myśl? Do niczego — do opowiadań, prawie do legend tego kraju, który wynajął sobie w Europie pokój przechodni i przez dziesięć wieków usiłuje urządzić się w nim z wszelkimi wygodami i ze złudzeniem pokoju z osobnym wejściem, wyczerpując całą swą energię w kłótniach i walkach z przechodzącymi. Jak myśleć o urządzeniu tego pokoju ładnymi meblami, bibelotami, serwantkami, gdy błocą ciągle podłogę, rozbijają i obtłukują przedmioty? To nie jest życie — to ciągła tymczasowość życia motyla i dlatego w charakterze naszym jest może tyle cech przypominających tego owada. Jakim cudem mamy być mrówkami?...

Pokazałem pisarzowi pozew do sądu, wytłumaczyłem o co chodzi i poprosiłem o przydzielenie tłumacza sądowego, ponieważ oskarżony nie umie po francusku.

— *Mais parfaitement, Monsieur*; jest dzisiaj kilka spraw innych Polaków, dla których tłumacz został już wezwany, więc tylko na akcie tego pana dopiszę, że i on ma być sądzony z tłumaczem.

Wyszukał *dossier S.*, zapisał i odłożył. Ponieważ był bardzo grzeczny, więc z kolei zapytałem o możliwość otrzymania adwokata z urzędu, gdyż mój oskarżony jest bezrobotnym i pomimo braku pieniędzy chciałby skorzystać z prawa obrony. «Ależ oczywiście». Od razu wziął pozew, zaświadczenie bezrobocia i poszedł do prezesa sądu. (*Monsieur le Président*). Po chwili wrócił z nazwiskiem adwokata, wyznaczonego przez pana prezesa. Adwokat nazywa się Mr. B. i mieszka tam i tam. Idziemy.

Znowu uliczki i okna niskich domków. Przechodząc zaglądam: tonące w półmroku pokoje, zastawione starymi, dziedzicznymi meblami, dywany, portiere, zegary na kominkach — atmosfera zasiedziałości, spadku i dostatku. Czuje się stałość, ma się pewność, że ci ludzie urządzili się i żyją nizając równe, okrągłe i gładkie dni na nitkę życia... Spokój pomimo wszystko!

Otwieramy bramkę żelazną, przechodzimy przez ogródek i pukamy do adwokata. Otworzył nam on sam. Jeszcze młody, pulchny, okrągły i miły, jak puszek do pudru. Taki, o którym można od razu powiedzieć: urodzili go, wykarmili, wykształcili, dali pieniądze, ożenili i osiedlili. I jemu dobrze. Jest uprzejmy, prowadzi nas do gabinetu, siadamy, mówię mu o co chodzi. Opowiadam mu całą historię naszej fabryki, życie naszych byłych robotników po zawieszeniu broni — maluje sepią nasz los we Francji, z której Niemcy nie chcą nas wypuścić, a w której znalezienie pracy jest prawie niemożliwe (lekka przesada), gdy się nie jest Francuzem. Mój kolega na przykład (oskarżony) mieszka z trzema innymi w hotelu, z których jeden pracując u Niemców dobrze zarabia i pomaga innym, mają wspólną kasę i jeden gotuje etc., etc. Co pięć słów mówię mu: *mon cher Maître*, układam ładne zdania wtrącając jakieś wyszukane wyrazy; udaje mi się zainteresować go nami i naszym wypadkiem. W rezultacie oświadcza że wątpi, czy jego obrona przyczyni się w znaczniejszym stopniu do ominięcia przykrych następstw wykroczenia, bo od 15-go listopada 1941 roku zniesione zostały kary z zawieszeniem w wypadku przestępstw w dziedzinie żywnościowej. Do tego prokurator jest bardzo ostry i formalizujący — no ale postara się *faire tout ce qui est humainement possible*, szczególniej iż widzi, że ma do czynienia z ludźmi *qui ne sont pas, enfin, quelqu'un...* Poznał się na nas! Uśmiechnąłem się i rzuciłem kilka sentencjonalnych zdań o ludzkiej hipokryzji:

— Przecież jestem pewny że ci sami sędziowie, ten sam prokurator zasądzą tego człowieka i setki innych za niesienie w walizce szynki i słoniny sami będąc po dobrym obiedzie, składającym się w połowie z produktów, kupionych na czarnym rynku...

Adwokat zaśmiał się: — Na pewno nie prokurator; znam go; to człowiek zdolny umrzeć z głodu gdyby istniała

taka ustawa. On z pewnością nie tknie nic, co jest nielegalne.

— Aa, to taki Katon Starszy — *caeterum censeo Carthaginam delendam esse* — ale co było dobre dla Kartaginy, to nie koniecznie może odnosić się do czarnego handlu — powiadam ironicznie.

Zdaje mi się, że nigdzie nie można sprzedać drożej i z większym efektem własnej inteligencji i wyższego wykształcenia, aniżeli we Francji. W tym kraju jednego i wielkiego poziomu, dosięgającego świadectwa ukończenia szkoły powszechnej oraz takiego czy innego kursu zawodowego (8.000 matur w roku 1938 we Francji — 36.000 matur w tym samym roku w Polsce) wszystko co wyskakuje ponad tę przeciętność, liczy się jako wyjątkowe, zwraca uwagę, wywołuje coś jakby cień szacunku.

Na mój cytat łaciński, wypowiedziany zresztą akcentem nienagannie francuskim (*seterom senseo Cartażinam...*) adwokat spojrział na mnie inaczej. A ja ciągnąłem dalej: Nic się nie zmieniło; zawsze ta sama hipokryzja; oburzająca jak oburzająca jest dla mnie zawsze śmierć Lucjana de Rubempré...

Oczarowałem go. Pomimo że spieszył się na obiad, opowiedział mi, że studiował w Paryżu (a pan gdzie?), że jego ojciec jest notariuszem miejscowym i że idzie do rodziców na obiad, że to jest jego dom — rozgadaliśmy się. Przedstawił mi w skrócie plan obrony:

— Będę kładł nacisk na to, że kolega pański znalazł się we Francji nie dobrowolnie, że pracował tu w obronie tych samych interesów, jak my wszyscy, że wskutek wypadków został skazany na pobyt zdala od ojczyzny; nie zna języka, nie ma nikogo kto by mu pomógł, że musiał szukać sposobów nabycia żywności tą drogą, nie mając znajomych i długoletnich «swoich» dostawców w swojej dzielnicy etc., etc. W końcu jest jedną z wielu ofiar naszego rządu (we Francji zawsze jest winien wszystkiemu rząd — kozioł ofiarny, na którego można zwalić swobodnie wszystko), który angażował go do pracy wtedy, gdy go potrzebował, a teraz pozostawił prawie bez środków do życia i bez możliwości powrotu do rodziny.

Świetnie — podziękowałem mu uprzejmie i gorąco — do zobaczenia na rozprawie. Mój S. uspokoił się — załatwiłem mu wszystko jak najlepsza niańka. Poszliśmy po-

szukać restauracji. Jakaś kobieta dała nam adres où vous *déjeunerez pas cher et convenablement*.

Duża jasna sala — pusto, bo nie ma jeszcze 12-ej. Nastrój francuskiej oberży — zacisznie, zamożnie, smacznie — czuje się, że jedzenie jest tu rytuałem. Na środku wielki, żelazny piec trzaskający wesoło, pod ścianą pianino. Usiadłem i zacząłem coś brzdąkać. Z kuchni wyszła patronka i powiedziała tonem dobroduszej cioci: *Ne vous gênez pas, Monsieur, jouez, jouez...* O 12-ej zaczęli się schodzić goście. Widać, że są to ludzie jedzący tutaj codziennie, może od lat — zżyci z domem. Rentierzy i emerycy dobiegający swych dni z dala od kotła paryskiego na cichej prowincji. Kelnerka podsuwa każdemu kartę. Wszyscy czytają uważnie — *Mademoiselle* przywoływana jest tu i tam na krótką naradę. Po ustaleniu co kto będzie jadł, zapada chwila ciszy. Niemal przy każdym stoliku ktoś wyjmuje jakieś lekarstwa i zażywa przed jedzeniem. Starszy pan, czysto i elegancko ubrany, wyłuskuje pedantycznie jedną pastylkę z tubki, wrzuca do szklanki, nalewa trochę wody, miesza — po czym długo patrzy pod światło, czy dobrze się rozpuściła. W skupieniu, jak ksiądz wypijający wino przy ołtarzu, połyka zawartość. Starsza pani, ubrana zasobnie i trochę à la 1900 odlicza nabożnie krople lekarstwa ruszając przy tym milcząco wargami, jak przy odmawianiu różańca. Inny staruszek nalewa na łyżkę jakiś syrop. Ręka mu drży i szyjka butelki stukając o metal wydaje cichy dźwięk.

Patrzę i słucham, widzę i odczuwam coś, co można by porównać do tego momentu, w którym człowiek już prawie usypia. Cisza, spokój, rozprężenie — trzeba poruszyć nogą albo ręką, ażeby poczuć siebie. Przebudziłem się dopiero, gdy kelnerka postawiła przed nami wino, chleb i sałatę z buraków. Jemy obiad — niestety w niczym nie przypominający dawnych czasów. Trzy lata temu zjadłoby się tu za 20 franków tyle dobrych rzeczy — teraz sałatka, mały kawałek mięsa, pomarańcza, ćwiartka wina i kawałek chleba 18 franków. I na wszystko drogocenne kartki. Przy kawie z koniakiem (extra 4 fr.) przeglądam grubą książkę, zawierającą spis wszystkich miejscowości departamentu Oise z pewnymi informacjami o nich. Wyszukuję Senlis, a więc: dwie apteki, jeden dom dla starców (*maison de retraite*), przytułek dla ubogich gminy, trzech adwokatów,

trzech lekarzy, dwóch notariuszy itd., itd. W końcu spis towarzystw i stowarzyszeń miejscowych. Przetarłem okulary; w tej małej mieścinie było ich ze trzydzieści: Stowarzyszenie łuczników, kuszarzy (nie mieszać: co innego łuk a co innego kusza), myśliwych, wędkarzy, szachistów, przyjaciół belotki, byłych kombatantów, kilka towarzystw dobroczynnych pod zarządem jakichś pań z nazwiskami »Madame de» i «Madame de la» (*noblesse oblige*); trudno wszystko zapamiętać. Przyznam się, że mi to zaimponowało. Można wątpić w żywotność tych stowarzyszeń i ich celowość, ale uderza ich ilość, a przede wszystkim apolityczność. Nie — po prostu jedni lubią s o b i e strzelać z łuku, inni z kuszy, jeszcze inni grać w belotkę i wszyscy są wolni. Stowarzyszają się, bo mają czas, robią to dla przyjemności i znowu to, co mnie napawa zazdrością: S t a ć i c h n a t o. Dostatek... marzenie 98% Polaków, żyjących we własnym kraju życiem koczowniczym, w pogoni za większym kawałkiem chleba, bez poczucia stałości, z głową pełną pomysłów, ideałów, kombinatorstwa, Bóg wie czego, pretensji do innych, do całego świata, wykształconych, inteligentów bez przynależności, snobów, artystów z talentem i bez — wszyscy wiecznie z pustą kieszenią, skazani w dodatku na wieczne cierpienie za ojczyznę. Jeżeli człowiek nieraz sobie tak mówi, to nie przez pogardę dla Polski — po prostu przez wściekłość na nasz los, na tego pecha, przez zazdrość, gdy patrzy się na innych jakże często mniej godnych. Nic nie robią, nie poświęcają się, nie cierpią i los się do nich uśmiecha. Co robić!... Nic dziwnego, że w rezultacie pozostaje nam jako jedyna ucieczka i pocieszenie — narodowy mistycyzm. Serce, myśl, uczucia, oceany nigdy niedocenionego bohaterstwa — przeciwko woreczkowi ze złotem. Walka nierówna, w której ciągle ulegając, jesteśmy ciągle przekonani o naszej wyższości. Ale trzeba się pocieszać aby nie bluźnić.

Wychodzimy z oberży i wolno idziemy do sądu. Na podwórzu już ruch; ludzie przystają i rozmawiają, wchodząc grupkami do budynku. Szerokimi schodami idziemy do sali sądowej. W środku schodów wisi na ścianie wielki obraz: Maria Antonina na wózku w drodze na gilotynę. Obraz malowany techniką oficjalnych obrazów — powiększenie z fotografii. Pomimo to robi wrażenie — właś-

nie tutaj, w tym półmroku gotyckim tak bardzo przypominającym Conciergerie. Pchający się po schodach tłumek jest ten sam, co na obrazie; wydziela tę samą atmosferę tępoty, zazdrości, okrucieństwa przytłamszonego bezczelnym tchórzostwem — jednym słowem wszystkie właściwości masy. Czuje się, że są jakieś tajemne nici łączące ten obraz i przedstawioną na nim scenę z rzeczywistością obecną. We Francji do dziś dnia przeżyło coś nieuchwytnego z tej epoki. Zatrzymałem się. Dopiero ktoś klepnął mnie po ramieniu: *Dis donc, mon vieux, serres un peu à droite, on peut pas passer*. Pomyślałem sobie: — O, to, właśnie to, mówią ci per «ty». Spojrzał na mnie, zaśmiał się i kiwnąwszy głową w stronę obrazu, rzucił: *Pauvre fille*.

W sali sądowej jest zimno — publiczność jednakowa: okoliczni farmerzy, w ogóle LUD — francuski ludek, w którym znajduje się zawsze po kawałku jakiejś warstwy społecznej; które razem wzięte tworzą jedną warstwę. Trochę bourgeois, trochę podmiejska lub miejska hołota, trochę chłop, gdzieś tam coś «lepszego», co wtapia się w całość — wszystko pomieszane i przemieszane. Społeczny groch z kapustą.

Obok mnie siedzi jakichś dwóch starych obywateli, cuchnących winem i machorką. Przyszli do sądu rozerwać się i posłuchać. Dyskutują fachowo — z całą znajomością prawa, wrodzoną każdemu Francuzowi. Sąd jeszcze nie wszedł, więc wszyscy gadają, palą papierosy — oczywiście nie zdejmując kapeluszy. Nastrój familijno-karczemny. Przez tłum przepycha się jakiś człowiek, niosąc na plecach drugiego bez nóg. Tułów i ręce — w klapie marynarki zrudziałe wstążeczki orderów i rozetka Legii Honorowej. Znajomi witają go hałaśliwie i usadzają przede mną. Moi sąsiedzi klepią go po ramieniu.

— *Bonjour, mon vieux*, jak się tu dostałeś?

— W każdym razie nie na piechotę (*à pied*) — odpowiada z rzeźliwym śmiechem, zadowolony z dowcipu. Inni śmieją się również.

Nagle wszedł woźny i zawołał: *Le Tribunal!* Od razu uciszyło się, pogaszono papierosy i zdjęto kapelusze. Przewodniczący i dwóch sędziów w togach i biretach zasiadło za stołem, prokurator z jednej strony, pisarz z dru-

giej; adwokaci w ławkach razem z oskarżonymi. Sprawy zaczęły się sypać jedna za drugą, szybko, seryjnie.

Jakieś dwie dziewczyny o powierzchowności, którą jedynie Balzac byłby w stanie dobrze opisać. Ludzkie pomysły — rude, poplamione, okropne. Oskarżone o kradzież ubrań z willi zarekwirowanej przez Niemców. Bogata przeszłość kryminalna, wypominana figlarnie i złośliwie przez przewodniczącego. Coś w rodzaju: «No, no — znamy się *mes enfants*; w roku 1937 zbroiliśmy to, potem włóczęgostwo, potem znowu wyrok...» Dziewczyny uśmiechają się cynicznie.

— No i jak to było ostatnim razem? W tej willi tylko parter był zarekwirowany przez Niemców, a *mademoiselle* wzięła ubranie z szafy w ścianie (*placard*), w kuchni na pierwszym piętrze?

Dziewczyna milczy — wtrąca się jej adwokat:

— Tak, one spały z Niemcami na parterze, ale w nocy *elle est montée dans la cuisine pour, pour...*

Przewodniczący: — *Oui, elle est montée au premier étage pour se remonter après les émotions de rez-de-chaussée...* — kończy «*spirituellement*» (śmiechy).

Adwokat (śmiejąc się): — *C'est ça*, była trochę wyčerpana i chciała się napić wody, *vous comprenez...*

Przewodniczący: — *Et au lieu de prendre de l'eau fraîche, elle a pris un manteau, deux robes, des draps et quelques cuillers d'argent comme souvenir...* (śmiechy). Adwokat nie sili się nawet na obronę; wyrok: dwa lata więzienia. Sprawa drugiej; adwokat starszy, gruby i łysy wygłasza przemówienie obronne bardzo patetyczne i piękne. Jest w nim mowa o św. Magdalenie, o kapłankach Astarty. Przewodniczący słucha z zainteresowaniem; widać, że go to bawi i ciekawi. Adwokat brnie dalej w patos, w cytaty z Pisma św., nie krępuje się. Tutaj patos jest przyjęty, jak każda inna forma wypowiedzenia się. Bo we Francji nie jest ważne to, CO się mówi ale nieskończenie ważne jest to, JAK się mówi. Dlatego można tutaj tak wiele powiedzieć — byleby zachować formę. Podziw i uznanie dla formy są tak głębokie i wrodzone, że kapitulują przed nimi i treść i nawet sprzeczne z tą treścią uczucia. Jeżeli umiesz mówić, to wolno ci powiedzieć wszystko.

Przewodniczący, ubawiony dostatecznie, przerwał adwokatowi: «O ile znam historię, to św. Magdalena istotnie

była swawolną wykwintnisią (*une femme galante*), ale nie kradła — idzie pan za daleko, *mon cher maître*». — Kiwnął ręką, przeczytał wyrok: — Półtora roku więzienia.

Sprawy spiją się jedna za drugą, żywo, z temperamentem. Drobne kradzieże, przywłaszczenia, przestępstwa z dziedziny czarnego handlu, zaledwie tylko jedno pobicie. Uderza mnie to, bo u nas większość tych drobnych spraw, to bójkki kończące się w sądzie. Nie wiem, co lepsze. Przed Trybunałem staje jakiś dozorca magazynów kolejowych, ojciec czworga dzieci, nigdy nie karany, osiemnaście lat nienagannej służby na kolei. Został złapany gdzieś na wsi przez żandarmów, gdy niósł kilkanaście rzemieni skórzanych w walizce. Popełnił tę nieostrożność, iż przyznał się w protokóle, że rzemienie te wziął z oddanego mu pod nadzór magazynu. Adwokat wygłasza mocne przemówienie: Sąd wie, że obecnie nie można na wsi nic kupić, jeżeli nie da się czegoś w zamian. Ten człowiek ma czworo dzieci i wszyscy wiemy, że racje kartkowe są niewystarczające. Chcąc kupić trochę jedzenia, wziął z magazynu kilka rzemyków skórzanych, poszedł na wieś i przy pomocy tej «premi» usiłował wydobyć coś od farmerów. A zresztą — oto zaświadczenie jego władz przełożonych, które od razu zrobiły kontrolę magazynu i stwierdzają tu, tym oto papierem, że w magazynie niczego nie było brak i kolej nie zgłasza do niego żadnych pretensyj. Ten człowiek nie jest złodziejem! Osiemnaście lat nieposzlakowanej służby na kolei, nigdy nie karany, czworo dzieci!...

Wśród sędziów szepty. Wyrok: miesiąc więzienia. Na sali rozległ się gwar, niezadowolenie i oburzenie buchnęły nagle jak płomień. Tłum się poruszył. Jakto? Kolej stwierdza, że nie została okradziona, a dają mu miesiąc więzienia; do tego automatycznie traci pracę, bo wyrzucą go z posady jako karanego. Przewodniczący ucisza publiczność ale zewsząd słyhać okrzyki: *Ah, non, quand même, c'est honteux — huuuuu — merde — une bande de salauds...* Jest coś porywającego w tym głośnym, śmiałym i wolnym ujęciu się za krzywdą biednego człowieka i otwartym skrytykowaniem Trybunału. Miałoby się ochotę wskoczyć na ławę i krzyknąwszy «*Aux armes, citoyens*» podpalić sąd, powiesić sędziów. W tym momencie rozumiem trochę ten tłum, odprowadzający z nienawiścią *la charette* Marii Antoniny. Przewodniczący wali suszką w stół i krzyczy:

silence, ale tłum ciągle bulgoce. A ja mam w oczach pomnik Kamila Desmoulins w Palais Royal i aż mnie rozpięra od wewnętrznego krzyku, aż dusi w gardle.

Sala w końcu ucichła. Przed Trybunał wzywają beznogiego. Teraz już nikt go nie niesie. Przy pomocy rąk zeslizguje się z ławki i ruchem pająka z poobrywanyimi łapami potoczył się między nogi uskakujących w bok ludzi. Przewodniczący aż przechylił się przez stół aby go dojrzeć. Nie dosłyszałem o co to tam chodziło. W każdym razie człowiek-tułów śmiało i bezczelnie odparowywał ciosy, uzbrojony w wojnę, Legię Honorową i potworne inwalidztwo. Są to argumenty, wobec których każdy we Francji skłania głowę. Nic dziwnego — poświęcenie nie jest tu sportem narodowym. Skazują go z zawieszeniem. Toczy się ku wyjściu pogwizdując z cicha i tam czeka już na niego tragarz. Tragarz schyla się, ten łapie go za szyję i okręcając się małym ruchem, lokuje się na plecach.

Sprawa jakiejś Polki: wyskrobanie daty ważności w karcie tożsamości (*carte d'identité*) i wstawienie innej. Trzy miesiące więzienia. Tłumaczem jest jakaś młoda emigrantka, opoliturowana we Francji noga stołowa. Włosy utlenione, kapelusz z piórkiem, futro, niezły akcent francuski (pewnie urodzona już tutaj), za to po polsku rąbie wprost spod strzechy: «Jak się nazywacie, ile років macie, gdzieście rodzeni, a to przyznajecie coście szkrybali w papiurach? A nie trza, nie trza — letygimacja to święta rzecz... za drapanie kreminał...» Ładny tłumacz sądowy. Ale przewodniczący uśmiecha się do niej, mówi: *Madame, ayez la gentillesse...* i Kaśka jest ważna — zaprzysięgłom do sondu.

Już pod koniec przychodzi sprawa mojego klienta. Ledwo przeczytali mu oskarżenie i tłumaczka wykalikowała mu coś po polsku, ledwo nasz Maitre B. zabrał głos, gdy przewodniczący przerwał mu: *Maitre* — wie pan, że w tej chwili najniższą karą za podobne wykroczenie jest grzywna 1.200 franków» i ogłasza wyrok: «1.200 franków grzywny». Doskonale — jesteśmy zadowoleni, bo lepiej się nie dało. Teraz już moja głowa w tym, żeby różnymi podaniami, zaświadczeniami bezrobocia opóźnić termin wykonania albo i całkiem zanulować. Znam już tak administrację francuską, że wiem jak puścić daną rzecz tak,

aby pływala przez długie miesiące po morzu papierów i utonąła w końcu w odmętach zapomnienia. Może do tego czasu coś się zmieni... Wychodzimy z sądu — jest już po 5-ej. Ostatni pociąg odszedł do Chantilly o 5,10. Wobec tego postanawiamy iść na piechotę. Z Senlis do Chantilly jest 10 km. Wychodzimy na zosę. Dzień jest ciągle szary, bezgodzinowy. Równie dobrze może być 9-ta rano, co 1sza lub 6-ta po południu. W taki dzień zatracą się poczucie czasu. Mijamy pola, domy, czasem jakieś większe skupisko domów czyli tutejszą wieś (*commune*). Wszystko jest bezbarwne i płaskie. Budynki, las, pagórki są jak wycinanki z szarego papieru. Gdzieś daleko przed nami wychodzą z lasu stare kobiety, niosą na plecach chrust. Idą wolno, pochylone — jak żółwie na dwóch nogach. Ustępujemy czasem z drogi gdy jedzie samochód, najczęściej niemiecki.

Po półtorej godziny marszu wchodzimy do Chantilly. Mijamy zamek nad stawem w rozległym ogrodzie; całość urocza. Wśród drzew przeświecają białe ciała rzeźb, gdziegdzie czernią się paszcze sztucznych grot lub gną lekkie mostki stworzone do frywolnych westchnień dam Rokoka. Widok, którego właściwy i prawdziwy opis można by znaleźć u G. Sand: «... *des paysages frais et calmes, des prairies d'un vert tendre, des ruisseaux mélancoliques, des massifs d'aunes et de frênes, toute une nature suave et pastorale.*» (Valentine).

«*Toute une nature suave et pastorale*», określenie to obejmuje wszystko i oddaje najlepiej charakter tego, co u Francuzów nazywa się «natura», a co dla nas jest zawsze trochę salonem pod gołym niebem. Opisy przyrody po francusku brzmią mi zawsze jak opis dekoracji w sztuce teatralnej. Bo właściwie taką jest ich przyroda, a szczególnie Ile de France.

Wchodzimy do Chantilly mijając sławny tor wyścigowy. Chantilly żyło z niego kiedyś — teraz żyje z Niemców i z kapitału. Część wielkich hoteli zamknięta, część zarekwirowana na Kreiskomendy i inne instytucje okupacyjne. Po ulicach snuje się melancholia styczniowego wieczoru.

Wbiegamy na dworzec pędem, bo właśnie zajechał jakiś pociąg. Ale dobroduszny kontroler zapewnił nas,

że to tylko dla robotników wracających z budowy lotnisk. Mrugnął okiem: «Będą mieli Anglicy gdzie lądować».

Wobec tego poszliśmy do pobliskiego bistra coś przekąsić, bo po lekkim obiedzie i szybkim marszu byliśmy głodni. W bistrze ruch i gwar, godzina aperitiwu. Zamówiliśmy chleb z pasztetem i po szklance wina. Zostawiłem wino na kontuarze i opychając mój chleb, łąziłem z kąta w kąt oglądając jakieś litografie na ścianach. Nagle jakby mnie ktoś oblał zimną wodą. Na szklanej szafce, w drugim końcu kontuaru, przylepiona złota myśl po niemiecku. Podeszedłem i przeczytałem: *Sei was du willst, aber vor allem weiss was du sein willst* — Schlageter. A niechże ich znudzi. Wystrzał rewolwerowy w czasie koncertu można by spokojniej znieść niż taką złotą myśl bohatera hitleryzmu we francuskim, prowincjonalnym bistrze. Jakież to obce, ponure, sztywne, odpychające. Jest w tej tak zwanej «*Deutsche Kultur*» coś czego nie można przełknąć. Ta nachalność w sposobie podawania jej. Nie — nie chcę nic od nich — wolę być, czym mi się podoba i nie koniecznie *planmässig* wiedzieć, czym chcę być. Chcę żyć, chcę sobie pożyć... jak dzisiaj.

Plącimy i idziemy na dworzec. Zapada mrok, bierze lekki przymrozek. Wtacza się pociąg. Siadam w kącie i usypiam, budząc się na Gare du Nord. Idziemy jeszcze do bistra na grog z sacharyną. Patronka siedzi przy kasie z kotem na kolanach i popędza garsonów, jakieś dwie wycofane ze śródmiejskiego obiegu *filles* rozmawiają, kaszląc chrapliwie.

Nastawiam kołnierz i wychodzę. Pod nogami dudni métro.

9. 1. 42.

Dzisiaj rano zapanowało wielkie ożywienie. Posterunki niemieckie na rogatkach paryskich znikły. Ludzie komentują to w różny sposób i cieszą się, że Niemcy powoli opuszczają Paryż. Spodziewana jest przeprowadzka rządu Pétain'a razem z nim samym z Vichy do Paryża. Plotki. W każdym razie ludek paryski cieszy się i mówi, że: *ils foutent le camp, nous serons libres*. I wszyscy są w do-

brych humorach. Nie wiele im potrzeba. Ale mniejsi optymiści twierdzą, że są to małe oszczędności na wielkie wydatki wiosenne. Noworoczna mowa Pétaina nie została opublikowana w gazetach strefy okupowanej, co wzbudza ogólną ciekawość. «Co Marszałek powiedział? Chyba coś co nie było po myśli Niemców» — i oczywiście krąży szereg domysłów na ten temat. A w sumie wygląda to na dobrą inscenizację. Niby to zakaz opublikowania tej mowy po tej stronie podniesie «patriotyczny» autorytet starego piernika i będzie się to tutaj czytać niemal z tym samym rozrzewnieniem, co ulotki londyńskie.

Znowu przyjechał Tadzio. Jeździ między Warszawą i Paryżem jak «jaki minister spraw zbytecznych» jak to on sam powiedział. Tym razem Janeczka, jego żona, przysłała nam w prezencie kawał słoniny i kiełbasę. Właściwie od listopada jesteśmy ciągle zaopatrywani w zasadnicze i tak trudne do kupienia tutaj artykuły żywnościowe — przez Polskę. Paradoks. Gdy opowiedziałem o tym jednemu Francuzowi, wybałuszył oczy: «Jakim sposobem łatwiej o żywność w Polsce, niż u nas?» — zapytał. «Bo my nie kolaborujemy» — odpowiedziałem.

13. 1. 42.

Jedna znajoma Francuzka dała mi dzisiaj noworoczną mowę Pétaina «przemycną» ze strefy nieokupowanej. Pewnie Vichy zorganizowało ten «przemyt». Ta mowa jest arcydziełem węgorzowatości języka, w którym można powiedzieć tak wiele, nic na pozór nie mówiąc, lub nie powiedzieć nic, powiedziawszy pozornie rzeczy wielkie i głębokie. Jest w tej mowie trochę tego i trochę tego. Pétain mówił tylko o Francji — wprawdzie o Francji pobitej z rządem pół-wolnym, ale o Francji zawsze żywej, zawsze wielkiej i twórczej w dziedzinie ducha. «Francja nie może pozostać obojętna na toczące się wypadki. *Puissance européenne, la France connaît ses devoirs envers l'Europe. Puissance civilisatrice, elle a conservé dans le monde, malgré sa défaite, une position spirituelle privilégiée*». Kataryna.

«Wyjątkowa sytuacja Francji nie może ująć uwadze Niemiec — *elle lui (Niemcom) suggérera, nous l'espérons,*

une atténuation du statut qu'elle nous a imposé après sa victoire. Le rapprochement sincère des deux nations, souhaité par les Gouvernements et par les peuples en découlera. Notre dignité s'en trouvera restaurée; notre économie soulagée». Potem, aby zawsze móc w razie czego wycofać się i osłabić ten — bądźmy sprawiedliwi — jedyny ustęp kolaboracyjny, rzuca kilka mocniejszych słów: *«Mais la conduite d'une politique française, inspirée des seuls intérêts français, exige le resserrement de l'unité française. Or, l'unité des esprits est en péril*». Narzeka na nieporozumienia między dwoma strefami — wolną i okupowaną i lamentuje, że Francja poddała się pożałowania godnej złudzie fałszywego pokoju. Nazywa dezserterami wszystkich tych, którzy zarówno w prasie jak w radiu, zarówno w Londynie jak w Paryżu, przyczyniają się do mącenia jedności. Nowa Konstytucja będzie niebawem gotowa, lecz może być ona datowana jedynie z Paryża i może wejść w życie tylko nazajutrz po uwolnieniu terytorium. Zwraca się do wszystkich, prosząc o pracę, zaufanie i jedność. *«Dans l'exil partiel auquel je suis astreint, dans la demi-liberté qui m'est laissée, j'essaie de faire tout mon devoir*».

Wszyscy są trochę rozczuleni, opinia ogólna, że stary gra na zwłokę i maskuje się. Ale za wiele faktów zaprzecza temu. W rezultacie Vichy jest Sfinksem — bez tajemnic.

16. 1. 42.

K. dał mi dziś sto dolarów do sprzedania, których sam nie mógł sprzedać, bo są to dolary starej emisji tak zwane «wielkie». Postanowiłem spróbować, czy Mr. Joseph ich nie kupi i pod wieczór zapadłem w gąszcz uliczek rue des Frانس-Bourgeois. Wszedłem ostrożnie do bistra i szepnąłem patronce: «Monsieur Joseph...»

Chwilę przypatrywała mi się uważnie i kiedy mój fantazyjny strój paryskiego *loustic* natchnął ją ufnością, pochyliła się i raczej wargami niż głosem odpowiedziała krótko i dosadnie: *Il est pincé*.

Zrozumiałem od razu i szybko wyszedłem. Zamknęli go. *Il est pincé*, doskonale i obrazowe określenie «facho-

we» w tym *demi-argot* ciemnych sprawek. Coś w rodzaju pieszczołliwego: «On został uszczknięty; uszczknięli go» — jak żdźbło trawy dzióbem kaczki.

Wobec tego zajechałem do antykwarni pana Zygmusia. Było już ciemno i prawie po omacku trafiłem do drzwi sklepu. Wszedłem cicho. Pan Zygmus siedział przy stole oświetlonym jakąś fantazyjną lampą naftową, przerobioną domowym sposobem na elektryczną i z wysiłkiem wkładał bucik. Na stole stała wielka butla kwasu solnego. Mały, czarny kotek siedział na półce nad stołem i bawił się wahadłem przy empirowym zegarze, który stanął prawdopodobnie na ostatniej godzinie tej epoki i więcej nie ruszył. Pan Zygmus sapał, kotek trzącał łapką wahadło obijające się z cichym dźwiękiem o złote kolumnienki.

— Dobry wieczór panie Zygmusiu! Pan się chce truć kwasem?

— Aaa, dobry wieczór, cześć... panie nie ma nic lepszego na nagniotki jak kwas solny. Właśnie sobie — tego — tu właśnie kwasem — cholera z tym butem... — Język mu się płacze, wszystkie «l» wymawia w nieskończoność (najłatwiejsza do wymówienia litera w mocnym gazie), widzę, że jak zwykle zalany, a nawet bardziej, niż zwykle.

— Coś pan dzisiaj nie w formie — powiadam.

— Panie... jezdem pijany w d.ę. dali mi dzisiaj rady... pfff... panie... — i tu wznosi palec do góry — ja jak się upiłem 17-go września 1901 roku, tak od tego czasu... pan rozumie... cholea z tym butem... pffff...

Kotek, korzystając z wielkiej przestrzeni zgitych pleców pana Zygmusia, zeskoczył mu na kark i rozpoczął dzikie harce z frendzlami odrzuconego w tył szalika.

— A poszeeee, psiakrew — i bezradnie ogania się. Zdjąłem kota i usadziłem go sobie na kolanach w moim kapeluszu.

— Panie Zygmus... chciałbym sprzedać większą ilość dolarów... może pan coś tego... daję po 140, ale to «wielkie»...

— Poaż Pan... to cholea... pijany jezdem! Przyjechał taki magnat, panie, to magnat Polak świniarz z prowincji, to potem koniaczek, winko, likierek brzdęk i masz pan... a teraz piję Vichy!...

Przy słowie «Vichy» bardzo mocno mu się czknęło i brzmiało to jak «Vi!» a potem długie «szszszszyyyy» uchodzące wraz z gazem z głębin żołądka długo i sy-
cząco.

— Poaż pan te dolay. — Wyciągam dwie sztuki po pięć. Rozłożył na stole, pogładził je palcami kiwając się na krześle i oglądał uważnie. Zdawało się że jego oczy pływały w oczodołach nie umocowane żadnym nerwem. Lewe przewracało się, fikało koziołki i tańczyło; prawe uciekło gdzieś w zewnętrzny kąt i tkwiło nieruchome, przyczajone, jakby chciało wyskoczyć i rzucić się na pięciodolarówkę.

— Szeo sie pan śmieje? Dobre obrazki... można puścić. Ma pan czas to poczekaj pan... zrobi się. — Dałem mu całą paczkę.

— Panie Zygmus, może lepiej jutro; pan coś dzisiaj nie tego...

— A skąd pan wiesz że jutro beee lepiej.. dawaj pan! To cholea magnat Polak, świniarz z prowincji... tysiąc franków brzęk i pijany jezdem, ale pan wie... zaufanie może pan mieć... pffff...

Zdjął kapelusz, wywinął wewnętrzny pasek skórki, podniósł podszewkę i zaczął upychać kapelusz dolarami, wsuwając je pomiędzy podszewkę i filc. Przy tym wszystkim puszczał oczy w tak dziki taniec, że mimowoli odczuwałem w głowie ból i musiałem się powstrzymywać, aby samemu nie zezować.

— Panie Zygmus... co pan wyprawiasz z tymi oczami?

— Jakbyś pan był pijany przez czterdzieści lat bez przerwy, to by się panu wszystko oblużowało. Orewuar.

Nałożył kapelusz, zamasyście zarzucił biały szalik, wziął laseczkę z gałką i wyszedł chwiejnym krokiem. Z kuchni wyszła jego «opiekunka» francuska i zaczęła zabawiać mnie rozmową jako że już poznaliśmy się dawniej. Mówiliśmy najpierw o wojnie, potem o jedzeniu, a w końcu o panu Zygmusiu. «Ci Polacy spod zaboru rosyjskiego — *du côté de Varsovie* — to wszyscy tacy», powiada. «Co zarobi, to wyda, bawi się, używa... on już chyba dwa razy bankrutował; mógłby mieć wielki majątek, ale co mu tłumaczyć. Już tak trzydzieści lat się z nim męczę...»

Poczęstowała mnie białym winem i chlebem z serem. Wspomina zeszłą wojnę, Niemców; wojna zaskoczyła ją wtedy na pograniczu belgijsko-luksemburskim. Mówi z dziwną godnością, z tą kulturą kobiety prostej, która dużo przeszła i dużo widziała. Rozmawiam z nią z przyjemnością o wszystkich tajnikach handlu atykwarskiego. Opowiada mi że teraz w sklepie nie mają nic, bo nie chcą sprzedawać; wszystkie cenne i wartościowe rzeczy przechowują w domu — «kiedy znowu przyjadą do Paryża Anglicy i Amerykanie» — powiada z tęsknotą w głosie.

Po półtorej godzinie zjawił się z powrotem pan Zygmunt. «Sprzedałem po 135 (spodziewałem się, zarobił 500 franków). Byłem zaskoczony, bo nikt tych «wielkich» dolarów nie chciał kupić, a ten uwinął się błyskawicznie. Odliczył mi 13.500 franków. K. będzie jeszcze bardziej zdziwiony, dawali mu maksimum 85. Pożegnałem się i wpadłem z powrotem w ciemną studnię pokręconych uliczek. Zrewanżowałem się K. doskonale.

17. 1. 42.

Tadzio zdecydował się wyjechać wcześniej i resztę urlopu spędzić w Warszawie. Wydał wszystkie pieniądze, nakupił mnóstwo rzeczy — i po tygodniu pobytu Paryż mu się znudził. «Jędrus, żebyś wiedział, ten Paryż to czysta kostnica w porównaniu z Warszawą». Od razu z rana pojechałem do niego pomóc mu w pakowaniu. Potem zadzwoniłem do biura zapytując, czy muszę przyjść, bo mi się już nie chciało. Ale K. powiedział mi, że wczoraj wieczorem aresztowali w Prefekturze naszego najmłodszego «baranka» — 23-letniego Anatola i że trzeba pojechać aby go stamtąd wyciągnąć. Prefektura to moja specjalność. Anatol został aresztowany, bo miał wydrapaną w swojej «*carte d'identité*» datę urodzenia.

Wsiadłem na rower i pojechałem do Prefektury. Poszedłem od razu do urzędnika, który załatwia przedłużanie kart. Uprzejmy grubas — znam go od dawna, bo już od dwóch lat załatwia mi «moich» Polaków. Pytam go o Anatolka. Głupia historia. Przy przedłużaniu karty grubas zauważył, że Anatol ma wydrapany rok urodzenia — zamiast 1918 wstawił sobie 1919 — odmłodził się o rok.

Grubas nie mogąc zrozumieć po co Anatol to zrobił (*il n'est pas une femme et puis les femmes quand elles font ça elles ne se contentent pas avec une année...*) wysłał go do domu po paszport chcąc sprawdzić datę urodzenia w paszporcie, bo Anatol zapierał się i twierdził, że nic nie wydrapywał. Anatol wrócił do Prefektury z paszportem i tu grubas konstatuje, że i w paszporcie rok 1918 jest wydrapany i zamieniony na 1919. Tu już zupełnie zgłupiał, ale i tak chciał załagodzić i nie robić z tego użytku. Ale dureń Anatol nie tylko bezczelnie się wypierał, ale zaczął się po prostu awanturować. Wówczas grubas wysłał go pod eskortą na piąte piętro do wydziału «wydalen» (*Eloignements*). Jest to taki wydział, w którym odbierają papiery, dają świstek z fotografią ważny na miesiąc, można się po drodze przesiedzieć jeżeli są jakieś nieregularności — jednym słowem gdy ktoś tam wpadnie, to przepaństwo: skazany jest na ciągłe kontrole, przychodzenie, stemplowanie i przedłużanie ważności świstka i inne szykany administracyjno-policyjne.

Znam jednego z szefów tego wydziału, Mr. V., i po dłuższym czekaniu udało mi się go dołapać. Zapytany o Anatola, od razu go sobie przypomniał. *Ah, ce jeune garçon, il est de chez vous?* Od wczoraj siedzi w areszcie. V. nie może zrozumieć po co on wyskrobywał w karcie datę urodzenia (i znowu: *il n'est pas une femme...* znowu to samo. Ten francuski *esprit* jest jednak bardzo przereklamowany. W sumie zestandaryzowanie) i pyta mnie, co myślę o tym. Ja też nic nie rozumiem, ale proszę żeby go wypuścili, że jakoś się to wyjaśni. V. obiecał mi wypuścić go dziś wieczorem i nawet bąknął o nie robieniu z tego sprawy. Poprawią mu papiery i zatuszują. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, ale od razu jadę do kolegów Anatola uspokoić ich i dowiedzieć się czegoś, bo gubię się w domysłach i nic nie jestem w stanie zrozumieć z tego wydrapywania.

Zastaję Staszka i ten mi opowiada jak to było. Radził Anatolowi aby zwrócił się do mnie, ale tamten głuptak odpowiedział mu, że «nie jest dzieckiem» i że sam sobie da radę. «No ale po jakiego diabła zmieniał datę urodzenia i skrobał w dokumentach?» Nagle przyszło mi do głowy zapytać, czy Anatol nie miał przypadkiem drugiej kartki żywnościowej kogoś, kto wyjechał do

Polski. Miał. Jest to kartka kogoś, kto miał bardzo podobne nazwisko, urodził się tego samego dnia i miesiąca co Anatol i tylko o rok później. Przy wymianie kartek na merostwie żądają dowodu osobistego i Anatol wydrapał i w *carte d'identité* i na kartce żywnościowej aby się wszystko zgadzało. Zrobiło mi się zimno. Za drapanie w *carte d'identité* grożą mu trzy miesiące kryminału; jeżeli wyjdzie na jaw sprawa kartek żywnościowych, wówczas rok obozu koncentracyjnego i skończę chłopca.

Na dzisiaj dosyć. Powiedziałem Staszкови żeby Anatol przyszedł do mnie jutro. Wróciłem do domu zmęczony i przemoczony. Trzy godziny latania na rowerze wzdłuż i w poprzek Paryża, po ulicach pokrytych rozmokłym śniegiem. Muszę w jakiś sposób wyciągnąć chłopaka.

18. 1. 42.

Rano Anatol przyszedł do mnie do hotelu. V. dotrzymał obietnicy i wypuścili go wczoraj wieczorem, dając mu powołanie do Prefektury na jutro rano. Żle! Jak zaczął wałkować, to jeszcze się dowalują. Przede wszystkim zwymyślałem smarkacza, że nie przyszedł do mnie od razu. Dziwne, jak czasem zupełnie nagle odczuwa się, że człowiek posunął się w latach, że jest już innym, że coś tam w głębi uległo znowu jakimś ruchom tektonicznym i nawarstwienia przybrały inną postać. Mając przed sobą tego 23-letniego chłopaka, poczułem ze zdziwieniem moje 29 lat na karku. A jeszcze wczoraj ja miałem 23 lata i tak często wydaje mi się, że nic się nie zmieniłem, że jeszcze ciągle tkwię sobie w tym wieku «dwudziestu paru». Teraz spoglądałem na Anatola jak na «głupie dziecko». Chwilami nawet wydawało mi się, że to ja jako 23-letni szczeniak siedzę tam w fotelu, lżejszy o pięć lat tak zwanego doświadczenia, znajomości ludzi, umiejętności refleksji i intuicji — o całą górę Życia. Mięło, przeleciało, już pierwsza połowa na ukończeniu. Teraz było mi żal, że go zwymyślałem. Jeżeli starszy wrzeszczy na młodego, to chyba tylko dlatego, żeby po prostu wrzeszczeć i wywrzeszczeć się. Zwymyślałem go także z bezsilności, bo sam diabeł nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego on zmienił 918 na 919. Dlaczego? Po

co? O kartkach żywiościowych nie można nawet wspomnieć. Chłopak nareszcie pojął, co mu grozi i jest przeżony.

Przeżywałem prawdopodobnie to samo, co przeżywał Vautrin gdy mu zamknęli Lucjana de Rubempré. Jak go z tego mądrze wyciągnąć? Zaciąłem się jak stary Vautrin. Chodziłem po pokoju i myślałem. Chodziłem tak z godzinę i w końcu wymyśliłem historię zupełnie prawdopodobną i niewinną. Nauczyłem Anatola całego opowiadania na pamięć:

«W roku 1940 w czerwcu pracowałem w fabryce amunicji w Bretanii. Cała fabryka miała być ewakuowana do Anglii. Pojechaliśmy do Brestu. W Breście okazało się, że jest już za późno, ostatnie okręty angielskie odpłynęły. Niemcy byli już blisko, Brest był bombardowany (dotąd prawda — dalszy ciąg lipa). W ogólnej panice, wśród pogłosek, że pracownicy fabryk amunicji będą traktowani jak żołnierze i brani do niewoli, ogarnął mnie strach. Obawiając się, że listy ze spisem nazwisk pracowników fabryki w Quimperlé zostały w fabryce i wpadną w ręce Niemców, postanowiłem zmienić mój stan cywilny na paszporcie — nazwisko, imię i datę urodzenia. Chcąc spróbować czy ten desperacki pomysł może się udać, zacząłem wydrapywać rok urodzenia najpierw zaczynając od dolnego brzuszka ósemki przy 1918. Ale widząc, że wydrapywanie jest bardzo widoczne, dałem spokój. Ponieważ w miejscu dolnego brzuszka ósemki, tam gdzie skrobałem, papier był chropowaty i atrament na pewno byłby «zalał», wobec tego — zamiast wpisać na nowo ósemkę — przeciągnąłem od górnego brzuszka cienką kreskę obok chropowatego miejsca robiąc z ósemki dziwiątkę. Niemcy wchodzą do Brestu, wszystkie pogłoski okazują się najzupełniej fałszywe, zaczyna się normalne życie. I wówczas bojąc się, że rok urodzenia w *carte d'identité* nie jest zgodny z paszportem, co mogło przyczynić się do wielu kłopotów w zetknięciu z administracją francuską i z policją francuską, lekkomyślnie i bez zastanowienia przeprowadziłem taką samą poprawkę w *carte d'identité* ażeby i tu i tam rok urodzenia był jednakowy».

Proste i jasne, kartezyjańskie i w sam raz dla tych pałogłowców z piątego piętra Prefektury. Anatol jest zachwycony. Muszę przyznać, że ja też. Żaden adwokat nie

nakłamałby — przepraszam: *n'aurait pas corrigé la vérité* — w lepszy sposób. Teraz wszystko zależy od tego, czy im to wyjaśnienie wystarczy, czy też puszczą tę sprawę w tryby administracji i wtedy będzie gorzej. Umawiam się z nim na jutro na Prefekturę i teraz już nie opuszczę go ani na krok.

19. 1. 42.

Cały dzień zmarnowany. Miałem ochotę zastrzelić V. i wystrzelać wszystkich policjantów. Po przyjeździe do Prefektury idę wprost do V. i wyjaśniam mu wszystko. Cała ta historia trafia mu do przekonania, kiwa głową z politowaniem nad głupotą tego *jeune garçon* ale, ale... Ale ażeby to załatwić tak jak należy, Anatol zostanie posłany w towarzystwie jednego z inspektorów policji (*inspecteur* to po prostu tajniak) do «Polenreferatu» — niemieckiego oddziału Gestapo, mającego pod kontrolą wszystkich Polaków. Bo należy upewnić się czy Anatol zmieniając swój rok urodzenia nie chce się ukrywać przed Niemcami. Jeżeli «Polenreferat» odpowie, że Anatol nie jest przez nich poszukiwany, to wszystko będzie w porządku.

Wszystko gotowało się w mnie. Gdyby mogli, to wleźliby tym Niemcom do tyłka. Cóż za lojalność! Jaka współpraca! Ale nie dałem nic po sobie poznać i z uśmiechem powiadam: «A, to tam na avenue Foch 72, kapitan Engelhaupt». V. spojrział na mnie z szacunkiem. Obiecał zaraz przydzielić nam agenta, który pojechałby z Anatolem na avenue Foch. Czekamy pół godziny — nic. Godzinę — nic. To są chwile, w których dojrzewa we mnie nienawiść do tej całej kochanej Europy i chęć wyjazdu do jakiegoś dzikiego kraju, w którym nie będę musiał czekać i wystawać po urzędach. Wreszcie V. wyszedł z wszystkimi papierami Anatola, wręcza mi je i powiada: «Nie mam w tej chwili żadnego inspektora, niech pan z nim jedzie. Jak pan załatwi, to wróćcie».

Zbaraniałem. Przede wszystkim strach. Pchać się samemu, bez powodu, tylko «do towarzystwa» prosto w łapy Gestapo, narażać się na pytania i w końcu może nigdy

już stamtąd nie wyjść?... Bo z nimi nic nie wiadomo. Ogarnęło mnie przerażenie. Miałem ochotę zostawić Anatola, puścić to wszystko kantem i niech mi dadzą święty spokój. Nie miałem po co tłumaczyć V., że ja nie chcę tam iść, bo taki bałwan mógłby tylko pomyśleć, że ja mam coś z Niemcami i jeszcze nabrać jakichś podejrzeń. Anatola nie mogłem zostawić. Na samą myśl o wzięciu na avenue Foch zaczął się trząść ze strachu, bełkotać, że jeżeli ja go opuszczę, to on sam nie wie, co robi. V. stał z papierami w ręku, ja mocowałem się ze strachem. W końcu wziąłem papiery i powiedziałem, że pojedę. Nigdy w życiu tak się nie bałem, jak teraz. Nie pokazywałem nic po sobie i Anatol odzyskał trochę odwagę. Jedziemy na avenue Foch. Szereg wielkich domów, pałacików i mieszkań ludzi bogatych, którzy uciekli i nie wrócili jest tu zarekwirowany przez Niemców. Na avenue Foch 72 jest przy wejściu «die Wache». Siedzi jakiś SS którego pytam o Engelhaupta, nowego kierownika «Polenreferatu». Nie ma go — ma być około 12-ej. SS nie mówi słowa po francusku; rozmawiam z nim po niemiecku. Czekamy. Minęła 12-ta, zmarliśmy chodząc tam i z powrotem po alei. Wreszcie SS powiedział mi żeby przyjść o 3-ej.

Strach trochę zelżał, pojechaliśmy na Saint-Paul na obiad, a po obiedzie na Prefekturę. Miałem nadzieję, że V. może odstąpi od swojego projektu. Ale ten kazał mi jechać i koniecznie dostać się do Engelhaupta. O Boże... Ten sam SS siedzi przy wejściu i mówi mi, że Engelhaupta nie ma, ale jest jego zastępca, porucznik Redel. Wyjaśniam o co chodzi; SS telefonuje do Redla. Redel odpowiada, że jego to nic nie obchodzi i że powinniśmy — pójść na Prefekturę policji. Tłumaczę po raz drugi SS-wi, że to właśnie Prefektura nas przysyła — chodzi o to i o to — opowiadam mu całą historię. Dzwoni jeszcze raz do Redla — ten po raz drugi nie chce nas widzieć wysyłając tym razem do wszystkich diabłów. Jestem zachwycony. Pełni otuchy wracamy do Prefektury. Mówię V., że Redel nie chce z nami gadać — niech pan do niego telefonuje. Ale V., po prawie półgodzinnym szukaniu numeru telefonu, którego w końcu nie znalazł, kazał nam przyjść nazajutrz. «Poślę z wami inspektora, to będzie musiał przyjąć». Miałem ochotę wziąć go w ra-

miona i gniesć, tak powoli, wsłuchując się w trzask każdego łamanego żebra z osobna. Mały, szczupły, poręczny do duszenia. Jestem wykończony.

O 9-ej rano spotykam się z Anatolem w Prefekturze. Po chwili czekania V. daje nam agenta i tym razem we trójkę jedziemy na avenue Foch. Agent jest typowym *fonctionnaire de police* francuskim. Umysłowe niedorozwinięcie posunięte do granic ideału. Przyjeżdżamy. W bramie jest już inny SS. Tłumaczę mu o co chodzi, agent pokazuje swoje papiery i przymilno-głupawie uśmiecha się do Niemca. Ma zupełnie minę Murzyna z Afryki Centralnej bełkocącego po francusku z całym dodatkiem bełkotliwych ruchów. Jestem straszliwie zdenerwowany (robię w portki po prostu), ale na widok tego agenta mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Jeżeli on tak zmaśla się przed podoficerem, to co on będzie wyprawiał wobec oficera?

SS telefonuje, Redel odsyła nas na admianę na Quai d'Orsay, centralę Gestapo. Wolę avenue Foch. *Mon agent* zupełnie zdurniał, ale na szczęście jest uparty. SS znowu telefonuje i Redel ma widocznie dosyć, bo ustępuje. SS daje agentowi i Anatolowi przepustkę do wypełnienia, chcę i ja zabrać się do tego, ale SS machnął ręką: *Sie brauchen nicht!*... Czuję się — zaszczycony. Jedziemy windą na piąte piętro, wchodzimy do jakiegoś mieszkania zamienionego obecnie na biura, pukamy do pokoju «Polenreferatu». Wita nas młody porucznik — raczej sympatyczny z wyglądu, ale, oczywiście bardzo *stramm und wichtig*. Nie mówi po francusku. Wobec tego przystępuję do rzeczy i opowiadam mu o co chodzi. Redel uśmiecha się. Po mojej relacji podszedł do szufladki z kartoteką, wyszukał nazwisko Anatola, przeczytał.

— Niech pan powie (ruchem głowy wskazuje agenta) temu człowiekowi, że Anatol T. jest nam znany — nie poszukujemy go. W każdym razie to dobrze, że Prefektura nas zapytuje *und ich danke der Prefektur dafür*...

Powtórzyłem agentowi pierwszą część nie mówiąc nic o uznaniu dla Prefektury. Zaczęliby od razu przysyłać tutaj każdego Polaka. Agent ukłonił się — *oui, oui, parce que... vous comprenez* — i zaczyna przymilnie paplać, że chodzi o wyjaśnienie, że oni nie wiedzą...

Redel słucha z uśmiechem, kiwa ręką: *Schon gut* — zwraca się do mnie i pokazując na zielonego Anatola:

— *Warum arbeitet er nicht?*

— *Der arme Junge ist Lungenkrank* — polę z miejsca. Anatol jest w ogóle chudy i drobny, teraz wystraszony i zupełnie zielony. Redel spojrział i pokiwał głową.

— *Und was sind Sie? Wieso kommen Sie mit ihm?*

— *Ich arbeite in Paris. Er ist mein Kanerad. Das ist jung, das ist dumm* — patrzę na Anatola — *man muss ihm helfen. Er spricht nicht deutsch...*

— *Na ja... also* — żegna się. Mnie i Anatolowi podaje rękę, agenta w ogóle nie widzi choć ten wybija mu pokłony i zaczyna swoje na nowo: *Merci monsieur, parce que... vous comprenez...*

— *Alors... sortons, sortons* — i wyciągam go za rękaw z pokoju. Wychodzi tyłem, kłaniając się cały czas i paplając jeszcze od progu: *On sait jamais... vous savez...* Miałbym ochotę zepchnąć go do klatki od windy. Cóż za bydlę! Własnemu prezydentowi nie kłaniałby się w ten sposób, bo *la dignité du citoyen...* itd., ale niemieckiemu porucznikowi wybija wschodnie pokłony. Wielu Francuzów, a szczególnie policjanci zachowują się wobec Niemców jak dzikus wobec białego Sahiba.

Za drzwiami odetchnąłem. Było mi przykro o to podanie ręki gestapowcowi, ale obyło się bez pytań, bez wielu pytań, których się bałem... Na avenue Foch, grubo pokrytej śniegiem, świeżym i białym, było mi tak lekko i wesoło, że musiałem siłą powstrzymywać się żeby nie wytarzać się w tym śniegu. Wracamy do Prefektury, ale ponieważ za pół godziny dwunasta, nikomu nie chce się już rozpoczynać pracy koło Anatola. *Venez à deux heures!* Idziemy na Saint-Paul na obiad i o 2-iej wracamy. Siadamy przy biurku jakiegoś innego idioty i ten zaczyna spisywać normalny protokół. Całkiem źle. Dyktuję mu do protokołu całe moje misternie ułożone opowiadanie. Koło 5-iej kończymy i zabieramy się do wyjścia. Ale urzędnik mnie puszcza, zatrzymując Anatola. Zostanie zatrzymany w areszcie aż do rozprawy sądowej. Rzucam się, szukam V. (wyszedł), nic nie pomaga, taki jest przepis. Wpadł.

Siadam na rower i jadę do jego kolegów zawiadomić ich, żeby mu zanieśli papierosów i trochę ciepłych rzeczy. Wracam do domu o 8-iej wieczorem zachlapany do pasa, przemoczony i zmęczony. Do tego rower goni resztkami sił.

21. 1. 42.

Bolszewicy odebrali Możajsk. Przy 45 stopniach mrozu. Wielkie wrażenie. Mam grypę i mam wszystko gdzieś.

23. 1. 42.

Mam lekką grypę i siedzę w domu. «Vieux papiers, vieilles maisons» — dwa grube tomy opowiadań o różnych ludziach z okresu Rewolucji i Cesarstwa. Odżywa w nich Paryż ówczesny, odżywają stojące do dziś dnia domy, w których tyle się stało. Napisane przez jakiegoś szperacza amatora, przez jednego z tych wielu szczęśliwych Francuzów, którzy umiając zapomnieć że żyjemy w dwudziestym wieku, mając rentę, mieszkanie, spokojny i zapewniony byt, mogą sobie pozwolić na jakąś pasję i poświęcić się jej z całym spokojem, smakiem i dokładnością. Z rozkoszą smakosza, z powolną pedanterią kornika wgrzyzają się i przegryzają przez archiwa merostw, prefektur policji, biur notarialnych, urzędów parafialnych — przez te nieznanne i niezbadane dotąd dziewicze puszcze papierów i aktów nagromadzonych w ciągu wieków przez niczym niezwalczoną biurokrację tego kraju, który robiąc coś w tej chwili, pisząc jakiś dokument, kocha się już na zapas w jego przeszłości, żyje przyszłością własnej przeszłości jeżeli można by to tak określić.

Biurokracja francuska pisze życiorys każdego obywatela i każdej nieruchomości — spisuje kolejne etapy życia na dziesiątkach formularzy, protokółów i odkłada to do archiwów. I gdy ma się czas, gdy życie nie wisi nad karkiem jak nóż gilotyny — można tu szukać i wskrzeszać osoby i fakty o znaczeniu nawet drugorzędnym, nikomu nieznanym, a nieraz ciekawsze i więcej mówiące o epoce, niż wszystko inne. Dwa tomy zakąsek i ptifurków historycznych. Desmoulins mieszkał tu a nie tam, gdzie wmurowana jest tablica. Mieszkanie miał tak i tak urządzone, o czym mówi protokół sporządzony przy opieczętowaniu. I widzi się to mieszkanie, poznaje się małe kłopoty codziennego życia podczas gdy za oknami Paryż wije się w konwulsjach rewolucji. A ten dziwny fotel na kółkach,

poruszany dwoma korbami na końcach oparć i cały z drzewa? To *chaise roulante* Couthona. Do dziś dnia jest w Muzeum Carnavalet. Jest tu cała historia tego fotela, na którym sparaliżowany Couthon pędził w dół stromymi uliczkami spod Panteonu do Hôtel de Ville, gdzie został skazany — koniec Terroru. Zimny Saint-Just, współnik Couthon'a i Robespierre'a w swoistym triumwiracie, siostra Robespierre'a, pierwsze plany małżeńskie nędznego porucznika Bonaparte, złapanie generała Pichegru i inne wydarzenia nieraz wprost nieprawdopodobne jak na przykład ucieczka pewnego kapitana marynarki angielskiej z Temple. Porobię z tego notatki i kiedy zacznie się okres naszych włóczęg z Basią, będziemy chodzili w ciche i słoneczne popołudnia grzebać wśród domów, uliczek i starych kątów. Nie wiem czy gdzie indziej i czy kiedykolwiek przeżyję podobny okres, jak teraz i tutaj. Tak dobrze, spokojnie, równo, bez wewnętrznego skręcania się i rozkręcania, z tą wspaniałą sytością i tym czymś nieokreślonym, co wypełnia każdy najpowszedniejszy dzień. To mnie nieraz buntuje. Czuję jak pod wpływem tych starych gratów, tej przeszłości sączącej się tu z każdego kamyka, coś we mnie usypia, coś odpycha z całej siły terażniejszość, całą epokę. Usypiam na gratach i na cytatach. Właściwie cała Francja robi to od dawna.

Anatol siedzi w kryminale i dziś dostałem od niego gryps, że rozprawa odbędzie się we wtorek 27-go. Trzeba mu będzie znaleźć adwokata.

24. 1. 42.

Leżę i czytam. Usypiam, potem znowu budzę się i dalej czytam i chwilami mi się wydaje, że czytane historie odbywają się teraz. Historyjka o «profesorze języków» Rotondi Rotondo jest wspaniała. Jakiś typ spod ciemnej gwiazdy — Włoch z pochodzenia włóczący się po świecie. Rewolucja chwyta go w Paryżu. 13-go listopada 1790 hołota idzie pustoszyć l'Hôtel de Castries na rue de Varenne. Rotondo znajduje się tam także i aby nadać sobie więcej godności, włazi na kopiec kamieni i «dogląda» pracowników rewolucji. Tłumek wesoło i ze śmiechem «oczyszcza» cały budynek, wyrzucając meble przez okna

i pałac obraży. Umówiono się z góry, że rewolucyjni obywatele nie będą kradli. Rotondo ze swojego kopca dodaje animuszu, pokrzykując od czasu do czasu po francusku z akcentem wzbudzającym ogólny śmiech. Jest to francuszczyzna pomieszana z angielskim i włoskim, «bouillabesse» słowna.

W tym momencie przejeżdża przez rue de Varenne Lafayette ze swoją świtą, z trudem przepychając konie przez ubawiony niszczycielską pracą tłumek. Widząc Rotonda na kopcu kamieni pokrzykującego z werwą i z godnością trybuna ludu, podjeżdża do niego zapytując, co się tutaj dzieje. Rotondo odpowiada mu coś w swoim fantastycznym narzeczu. Lafayette — zaciekawiony — pyta go: *Ah, ça... et de quel pays êtes-vous donc? Anglais ou Italien?* «Profesor» Rotondo, bardzo przejęty, odbąknął: *Moitié l'un, moitié l'autre*. Będąc jednak w walce z wymową, *moitié* wymówił biedak jak «*motié*» co spowodowało szaloną owację ze strony tłumu. Hołota zaczęła wrzeszczeć, bić brawo: «To odpowiedź, słyszeliście? Niech żyje Rotondo!». Odpowiedź Rotonda przelatuje z ust do ust, ściskają go, wygwizdują orszak Lafayette'a. Dlaczego? Lafayette nazywał się «z domu» *Motié* i w unienieniu rewolucyjnej demokracji nazywano go tym nazwiskiem podobnie jak Capet oznaczało króla.

Nie wiadomo kto — prawdopodobnie Desmoulin — podchwycił odpowiedź Rotonda i zaczął nią obracać w dziennikach i broszurkach. «*Motié l'un, Motié l'autre*» *bon mot* złośliwe, pełne ironii i ukrytego sensu zdemaskowało Lafayette'a, tego «człowieka o podwójnym obliczu, markiza demokratę, dworzanina rewolucjonistę». Powszechny wybuch śmiechu, radość, «odegranie» się za osiemnaście miesięcy zachwyty i popularności. Teraz Rotondo stał się sławny. Tak, tylko że on nie wiedział, on jeden jedyny *nie wiedział, nie rozumiał* dlaczego. Odpowiedział Lafayette'owi bez cienia złośliwości, nawet z obawą aby nie wpakować się w jakieś tarapaty, nie rozumiejąc zupełnie podwójnego sensu swojej odpowiedzi. Czuje, że powiedział coś «sławnego», rozkoszował się owacjami, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że jest jedynym i jedynym, komu nikt nie wytłumaczy sensu jego własnych słów i jedynym, komu nie wolno zapytać się, co to oznacza, bo wówczas obali całą swoją sławę, rosnącą

z dnia na dzień. W przeciągu trzech dni nic nie rozumiejący Rotondo staje się gwiazdą Paryża i rywalem Lafayette'a. Scena pod Hôtel de Castries odgrywana jest w teatrzykach, sto tysięcy *citoyens* podziwia tego patriotę włoskiego, co opuścił swój kraj by bić się we Francji o świętą sprawę wolności ludów, sto tysięcy innych *citoyens*, biorąc stronę Lafayette'a razem z całą gwardią narodową, wścieka się na tego «etranżera», przybłądę i renegata. A on sam *nic nie rozumie*...

U nas w pokoju zimno, ale ja zanurzony w paltach, kocach i pledach błędzę po Paryżu razem z Rotondo. Przemykam oczy, spotykam się z całym tłumem innych postaci, które żyją do dziś dnia w Paryżu pomimo, że nigdy nie istniały, że były wytworem fantazji Balzaca, Flauberta i innych. Drzemię, budzę się.

26. 1. 42.

Jutro rozprawa Anatola. Zabrałem się dziś do rzeczy, to znaczy od samego rana ruszyłem do ataku na Palais de Justice. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Wszedłem do środka i od razu zgubiłem się w tym labiryncie korytarzy rozchodzących się od sławnej *Salle des pas perdus*. Rozprawy zaczynają się o 12-ej — już teraz krążyli tu adwokaci w czarnych togach — niektórzy z białym futerkiem wokoło szerokich rękawów. Przystawali witając się z kolegami, chodzili z klientami poszeptując, gestykulując, naradzając się. Wpadłem po uszy w Balzaca. Ci adwokaci, ten rozpraszaający się w ogromie sali szmer rozmów, cała galeria typów chodzących tam i z powrotem z twarzą skupioną, na której zawsze odgaduje się tę samą myśl: «Wymknąć się, wywinąć, wybrnąć, wykręcić» — atmosfera przesycona gęstniejącą z przebiegłością, sprytem, dialektyką, *esprit*, inteligencją i grą — tą wielką grą, jaka toczy się od wieków i którą tworzy sam człowiek: prawem i obchodzeniem go w sposób legalny. Atmosfera przeładowana tysiącami spraw i odcieni nieuczciwości, spraw splełanych i niezbadanych, skomplikowanych tak jak skomplikowaną jest dusza ludzka. Stoję chwilę i nagle przychodzi mi na myśl gdy patrzę na tę salę i jednocześnie uprzytomniam sobie, co dzieje się poza nią, tam

na świecie, że Prawo, istota prawa, to może właśnie ta
możliwość ludzkiego, legalnego i prawnego obchodzenia
prawa przy pomocy bronięcia się przed jego ślepią siłą,
przed martwym paragrafem. Moja nienawiść do Niemców,
dziś, na tle wznoszącej się na horyzoncie jak krwawa łuna
Rosji, jest jeszcze większa, jeszcze intensywniejsza, bo
dopiero na tle łuny rosyjskiej rysuje się straszliwy ogrom
zdrady jaką popełniły Niemcy w stosunku do całej naszej
kultury, do kultury, w którą one same włożyły tak wiele
i którą dziś tak potwornie deprecją, że azjatycka Rosja,
obca, zawsze wroga i obca dla każdego, kto nasiąkł zachodem,
wydaje się — kulturalna. Rosji nienawidziłem od
dziecka, żywiołowo, razem z ojcem, który do tego stopnia
jej nie znosił, że już w Warszawie pachniało mu — Rosją.
Niemcy znienawidziłem, jak nienawidzi się niewierną ko-
chankę, kogoś bliskiego, kto zdradził, kto zawiódł zau-
fanie.

Odszukuję biuro Związku Adwokatów mieszczące się
na końcu sali z wejściem przez mroczny korytarz. Siwy,
uśmiechnięty staruszek, zagubiony w jednym z tysięcy
mrocznych, sklepionych pokojów udziela mi wyczerpują-
cych informacji.

— Musi się pan dowiedzieć kiedy, o której godzinie
i przed jakim trybunałem będzie sądzony pański przy-
jaciel. Wtedy przyjdzie pan do mnie o godzinie 11,45
i przydzieli panu adwokata.

— A gdzie mogę się o to poinformować?

— *Aux renseignements généraux.*

Idę do wskazanego biura, a raczej błędę. Jakimś
ciemnym wyjściem wpadam wprost na tyły Conciergerie,
przez jakąś okratowaną bramkę dostrzegam sławną «łakę»
— tam dalej okna korytarza, przy którym mieści się *toilette*.
Znam te miejsca lepiej od przewodników. Zawracam
i wpadam wprost na bramę aresztu, przed którym stoi
żandarm. Wskazuje mi jak trzeba iść. Przez wielkie pod-
wórze koło Sainte Chapelle wchodzi do drugiego budynku
sądu. Trzeba tu czegoś szukać aby przekonać się o ogro-
mie tego labiryntu sprawiedliwości. Trafiam w końcu na
właściwe drzwi — oczywiście czekam — wreszcie podaję
kartkę z nazwiskiem Anatola. Szukają, szukają — nic nie
znaleźli. «Niech pan idzie do pisarza *petit parquet*».
Znowu błędę i po długim chodzeniu dostaję się do właś-

ciwego miejsca przełaząc przez jakieś rozwalone drzwi, pokój pełny rusztowań i schody w trakcie odnawiania. Naturalnie czekam, bo pisarz gdzieś wyszedł. Po powrocie z «gdzieś» szuka długo w olbrzymiej księdze o rozmiarach wprost z bajki — przynajmniej metr na metr i 20 centymetrów grubości. Księga złych i dobrych uczynków z Sądu Ostatecznego. Jeździ palcem zakończonym typowo brudnym paznokciem, mruży, cmoka, powtarza nazwisko Anatola za każdym razem inaczej — wreszcie polec zatrzymuje się i pada krótka odpowiedź:

— Rozprawa odbyła się w piątek.

— A jaki wyrok? — pytam.

— Tego nie mogę panu powiedzieć, czy pan jest kimś z rodziny?

— Nie.

— *Alors je ne peux pas.*

— Ale ja wiem, że rozprawa ma się odbyć jutro...

— Nic więcej nie mogę powiedzieć. Może panu powiedzą coś tam i tam.

Idę pod wskazany adres. Po niemal trzech godzinach wędrówek zaczynam się już niezle orientować. Zacząłem o 11-ej, teraz dochodzi już 2-ga. Przychodzę i znowu czekam, tym razem w ogonku. Czekam przeszło pół godziny. Wreszcie dobrnąłem i jakiś dziadzio, zasuszony w księgach jak kwiatek z majówki zwanej młodością, wymamluje mi bezzębnymi ustami odpowiedź:

— Nie jest pan z rodziny — nie mogę panu nic powiedzieć.

— Jestem więcej niż z rodziny, jestem przyjacielem. Oskarżony nie ma w całej Francji nikogo z rodziny, jest sam.

— Sam! *Il est seul* — i mruga na mnie zaczerwienionymi powiekami zasuszony bratek.

— Gdzie mógłbym się coś dowiedzieć? Niech mi pan pomoże!

— Może tam i tam, ale to nie jest pewne — odpowiada.

Znowu przechodzę podwórze; z gwarnych sal wpadam w zupełnie ciche zakamarki i z powrotem w przesiany gęsto adwokatami tłumek. Czasem mignie i zastuka głośno drewnem podeszew jakaś smukła adwokatka o po-

wierzchowności lesbijskiej i pozostawi po sobie zapach mocnych perfum. Młodzi adwokaci, poubierani z angielska i wytwornie, przechodzą godni i zamysleni, przysiadają przy stolikach, przewracają w teczkach i «skupiają się». Czyta chwilę, po czym wpatruje się długo zagubionym wzrokiem w dwudziestą trzecią szybkę witraża okiennego. I pewnie marzy o jakichś wielkich sprawach, o karierze, mając teczkę pełną drobiazgu.

«Palais de Justice» jest całym, osobnym światem. Gdzie indziej jest inny świat, wiele innych światów, całych światów. W długich korytarzach «métro» szmerze i huczy świat metra. W ciasnych uliczkach koło Carnavalet szeleści tajemniczo świat panów Zygmusiów — kapelusze wypchane dolarami, laski z odkręcaną gałką w której są złote ruble, brylanty i «takie głupstwa». Hale, Place Clichy z łanami utlenionych główek *de ces demoiselles* — to tam, tu to...

Trafiam do wskazanego biura. Mieści się na poddaszu. Mroczno, nisko i ciasno. Od stojącego na środku żelaznego piecyka biegnie zawieszona na drutach pod sufitem długa rura żelazna i wijąc się między półkami, ginie w ścianie. Przy ścianach półki, cały pokój podzielony półkami jak parawanami, wszędzie pełno papierów, teczek i aktów związanych sznurkami, tasiemkami lub gumą ze starych dętek samochodowych. Wśród tego stoły, a przy nich kilku chłopców w szarych kitlach obsługujących półki. W ciasnej klatce z mosiężnej siatki siedzi w rogu pokoju kasjer wypłacający odszkodowania świadkom. Co pewien czas wystawia mumiowatą główkę w bereciku przez małe okienko. Tak wygląda jedno z biur w «Palais de Justice». Tak samo wyglądało sto lat temu. Staram się tu czegoś dowiedzieć, ale nikt nic nie wie. Pomimo to stoję i rozglądam się. W pewnej chwili spoza jakieś półki wyszedł staruszek, stanął koło piecyka i zaczął sobie smakowicie rozgrzewać ręce. Wydawało mi się, że piecze je na rożnie aby potem schrupać z apetytem. Lubię takich staruszków i mam do nich zaufanie. Podszedłem do niego z miłym uśmiechem i zacząłem zwyczajną rozmowę: «Wie pan — mam taki kłopot — już cztery godziny...» Dobieram słowa, jestem m ł o d y, z a k ł o p o t a n y i n i e ś m i a ł y. Wzruszyło go to. Tym trzem rzeczom żadna starość się nie oprze.

— Właściwie nie wolno tego robić, ale niech pan poczeka...

Dałem mu nazwisko «małego» na kartce i staruszek podreptał. Po dobrym kwadransie wrócił, weszliśmy do kąta, wyciągnął kartkę: «Rozprawa odbyła się w piątek, ale z powodu braku tłumacza odroczone na jutro, godzina 12-ta, sala 17-ta, ale szszszsz...» Kładzie palec na ustach. «To tylko dla pana — niech pan nigdzie nie mówi, od kogo się pan dowiedział...» Żegnam go wzruszony, dziękując gorąco i zarazem *n i e ś m i a ł o*. Obydwaj jesteśmy z siebie zadowoleni.

Nareszcie, po przeszło czterech godzinach. Jutro dalszy ciąg. Czuję się jak po długiej podróży — przyjemnie zmęczony i pełen nowych wrażeń.

27. 1. 42.

Spotkałem się dziś rano z kolegami «małego». Przyszli wszyscy czterej — jeden nawet do pracy nie poszedł, żeby tylko móc być na rozprawie. Zostawiłem ich w bistro naprzeciwko Palais, a sam tylko z jednym (z S. — moim klientem z Senlis. Taki już się trochę zna...) poszedłem do biura Związku Adwokatów. Było jeszcze za wcześnie, musieliśmy chwilę poczekać. Na kilka minut przed dwunastą wszedł jakiś młody adwokat ubrany wykwintnie. Spod niskiego kołnierza granatowego i mocno szcزتkowanego palta wylewał się z pluskiem wodospad białego, jedwabnego szala. Mały węzełek krawata schowany w wysokim kołnierzyku *english fashion*, na głowie czarny «homburg» à la Eden. W ręce teczka, białe włóczkowe rękawiczki. Krokiem swingowo slow-foxowym podszedł do biurka staruszka i niedbale zapytał:

— Jest tam co dla mnie?

Staruszek wskazał na nas i na jakąś zapłakaną kobietę w kącie sali. Młody mecenas obejrzał nas, powiedział «bon» i zniknął na chwilę. Wrócił już w czarnej todze z białym futerkiem. Do zakochania. Wysoki brunet, ostre rysy męskie — jak z powieści Florence Barclay. Prawie Robert Taylor. Zamaszyście zapalił papierosa i zwracając się do nas, powiedział: *Je vous écoute...*

W kilku słowach wyłuszczyłem mu sprawę «małego». Porobił krótkie, zamaszyste notatki. Potem sprawa kobiety — dosyć kłopotliwa. Pracowała i równocześnie brała bezrobocie. Złapali ją. Ale jak wyżyć z-trojgiem dzieci biorąc 900 franków miesięcznie, mąż w niewoli. Zaczyna płakać — za nią kolejno, jak piszczałki w organach, odzywają się uwieszone przy sukni dzieci. Żal mi jej, miałbym ochotę podłożyć bombę pod ten cały Palais de l'Injustice, ale zaczynam się niecierpliwić, bo już jest pięć po 12-ej. «Maitre» uspokoił kobietę, zaciągnął się po raz ostatni wypalonym aż do przednich zębów papierosem, rzucił pięciomilimetrowy niedopałek i nie podnosząc go z powrotem z ziemi, wyszedł z nami na korytarz. Tu, po kilku krokach, nachylił się do mnie i powiedział kilka słów — delikatnych i jakże ludzkich — o zwrocie kosztów, *frais de transport* etc. Bez słowa wyciągnąłem sto franków i podałem mu je dyskretnie tłumacząc się, że niestety więcej nie mogę. Ach — jak on je przyjął. Pomimo całej angielskiej flegmy nie mógł ukryć radości. Stał się od razu bardziej wylewny, zajął się całkowicie nami. Biedna kobieta, pochlipując i stękając, wlokła się daleko za nami, zeszła na drugi plan.

Weszliśmy na salę rozpraw. «Mały» siedział już w osobnej ławce razem z innymi oskarżonymi, których przywieźli z «Santé» na rozprawę. Powitał nas radosnym uśmiechem. Ja do niego mrugnąłem i podniosłem wielki palec.

Po chwili wszedł Trybunał i sprawy poszły jedna za drugą. Po kilku oskarżeniach, na tle których «mały» wychodził na niewinnego anioła (włamania i kradzieże), przewodniczący odczytał nazwisko «małego». — «Narodowości polskiej? Czy jest tłumacz? Nie ma? — Przełożone na piątek». Zacisnąłem pięści. Już raz przełożyli z powodu braku tłumacza, teraz po raz drugi — i zrobią to na pewno jeszcze kilka razy, a ten będzie siedział w «Santé». Ale zanim zdołałem sobie uświadomić całą rzecz do końca, nasz adwokat uniósł się z ławki i zwrócił się do przewodniczącego: «Trybunał zezwoli, że tłumaczem będzie obecny na sali pracodawca (patron) oskarżonego. To Polak, ale mówi świetnie po francusku» i — nie czekając na zgodę sądu wywołuje mnie z tłumku. Koledzy «małego» wypychają mnie jak torpedę, pokrzykując półgłosem: «Pa-

nie B. — zasuway pan, klasa, w dechę, nożem ich...» Chce mi się śmiać, ale podchodzę z ważną miną «pracodawcy». Pytają mnie o nazwisko i imię. «Niech pan podniesie prawą rękę». Przewodniczący mruczy pod nosem formułkę przysięgi i głośno powiada: «Niech pan powtórzy: *Je le jure*. Z podniesioną ręką à la faszystowskie pozdrowienie, powtarzam *je le jure* i w ciągu kilku sekund jestem zaprzysiężonym tłumaczem. Teraz byłem oczarowany prostotą wybrnięcia z sytuacji. Nie ma tłumacza sądowego, biorą mnie z sali, zaprzysięgają i rozprawa nie jest odroczone. Jeżeli w tej francuskiej administracji jest mnóstwo formalności i chińszczyzny, to jednak olśniewają czasem jakimś niespodziewanym i lekkim, po prostu ludzkim przeslizgnięciem się ponad paragrafami. Może to po prostu instynktowna samoobrona przed paragrafem? Gdyby wszystkie ustawy i przepisy we Francji były dosłownie wykonywane i wcielane w życie, ten kraj już od dawna zamieniłby się w jeden wielki obóz koncentracyjny.

Przewodniczący odczytuje protokół — całą tę baśń wymyśloną przeze mnie i uśmiecha się dobrodusznie. Za moim pośrednictwem zwraca się do «małego»: «Czy skrobał pan w swojej karcie?» — «Mały» kiwa głową i przyznaje się. Na to przewodniczący zwraca się z kolei do mnie jako do «patrona»:

— Czy był pan dotąd zadowolony z pracy tego chłopca?

Wygarniam cały hymn na cześć «tego chłopca» dławiąc się od przymiotników: *Un travailleur excellent, toujours parfait, minutieux et soigneux* etc. Jestem ubawiony moją rolą. Wyrok: Osiem dni aresztu z zaliczeniem tego, co już przesiedział. Adwokat od razu podszedł do mnie i dorzucił wytwornie: «Wypuszczą go dzisiaj wieczorem». Wychodzimy wszyscy z sali. Dziękuję adwokatowi — jest bardzo godny i zadowolony z siebie: «Gdyby panowie (ten ma już nas za jakąś szajkę) znowu coś mieli, to proszę się zawsze do mnie zwrócić». Nie ma biedak wizytówki i pisze nam swój adres i numer telefonu na kawałku papieru. Oczywiście mieszka w Quartier Latin i nawet wiem, jaki to hotel. Wychodzimy z sądu i idziemy wszyscy na uroczysty obiad do Janowej na Saint-Paul.

30. 1. 42.

Od trzech dni jest u nas w pokoju tak zimno, że trudno wytrzymać. Basia jest wykończona. Do tego ograniczyli nam gaz i nie można nawet grzać wody do flaszek. Wracam do domu, jemy i kładziemy się do łóżka. Przestałem jeździć na rowerze, bo opony są już nie do użycia. Jeżeli uda mi się dostać nowe, wtedy odnowię cały rower. Po dziesięciu tysiącach kilometrów przyda się na drugie dziesięć tysięcy.

Rosjanie podobno idą powoli naprzód i są w jednym miejscu o 225 km. od granicy polskiej. Są tacy, co się z tego cieszą. Poza tym dali rządowi polskiemu 300 milionów rubli pożyczki, za którą kiedyś... Nie, to defetyzm z mojej strony i nie wolno tak myśleć. Co nie przeszkadza, że myślę... W ogóle wszyscy są bardzo podniesieni na duchu (na umyśle, to ponad nasze siły) i znowu niemal wszystkim wydaje się, że wojna skończy się w tym roku. Nie sądzę.

31. 1. 42

Hitler miał wczoraj mowę. Kupiłem dzisiaj «Pariser Zeitung» ażeby mieć *in extenso*. Właściwie powiedział to, co zwykle i tylko już nic nie przepowiadał. Wprost przeciwnie — streścił wszystko w *Ich weiss nicht. Ich kann an diesem 30. Januar nur eines versichern: Wie dieses Jahr ausgehen wird, weiss ich nicht. Ob damit der Krieg sein Ende nimmt, weiss ich nicht.* Bardzo to ciekawe — to «nie wiem», ma jednak tę magiczną siłę, że wszyscy, co to czytają, mówią: «Aha — no to wiem...» Koniec też w tonacji «mol»: *Herrgott, gib uns die Kraft, dass wir uns die Freiheit erhalten, unserem deutschen Volk, unseren Kindern und Kindeskindern, und nicht nur unserem deutschen Volk, sondern auch den anderen Völkern Europas. Denn es ist ein Krieg für ganz Europa und damit wirklich für die ganze Menschheit.* Już tam byłoby lepiej żeby o innych ludziach mniej myślał i o ludzkość się nie troszczył. Ludzkość nigdy nie jest tak nieszczęśliwa, jak wtedy, gdy ktoś zaczyna się o nią troszczyć. Jeszcze nigdy nic dobrego z tego nie wyszło. Mogliby się raz przestać

rodzić ci tak zwani Wielcy Ludzie i urządzać wojny «za całą i o całą Ludzkość».

Dużo ciekawsze jest sprawozdanie Banku Francji za rok 1941. Pożyczki, udzielone rządowi przez Bank Francji (po prostu pieniądze wydrukowane i oddane rządowi) wynosiły w roku 1940 — 80 miliardów franków i wzrosły w roku 1941 do 150 miliardów, czyli w przeciągu dwóch lat Bank Francji dał rządowi zastrzyk w wysokości 230 miliardów — papieru. Obieg banknotów daje obraz jeszcze ciekawszy: 1939 — 151,4 miliardów; 1940 — 218,4 miliardów; 1941 — 266 miliardów. Drukują papier, podczas gdy cały kraj jest gospodarczo martwy. Właściwie Francja weszła już w okres pełnej inflacji i to grubej inflacji. Ceny poszły w górę, ale najdziwniejszym zjawiskiem jest to, że ceny nie poszły w górę proporcjonalnie do zwiększenia się ilości pieniądza i utrzymują się na ogół w większości wypadków na granicy rozsądku. Pomimo inflacji w całym tego słowa znaczeniu, nie odczuwa się jej na zewnątrz. Żadnego porównania z Polską, gdzie poziom cen jest zupełnie niebotyczny. Dlaczego? Dlaczego i pod tym względem spadek wartości pieniądza i jego siły nabywczej ma przebieg, jak dotąd, stosunkowo łagodny? Zagadka tkwi po prostu w psychice francuskiej. Od czasu Rewolucji nie było we Francji inflacji. Była dewaluacja, ale inflacja jest dotąd zjawiskiem nieznanym. Frank jest j e s z c z e c i a g l e czymś i pomimo, że coraz mniej można za niego dostać, przeciętny Francuz n i e b o i się jeszcze odkładać go i uważać sumę pięciu tysięcy franków za *une petite réserve* lub nawet *une petite fortune*. Frank leci na łeb, dewaluuje się z dnia na dzień, ale jeszcze ciągle dewaluacja ta nie wgrzyła się w duszę. Ludzie wierzą w ten pieniądz i nie mogą się pogodzić z tym, że jeszcze trochę, a z frankiem może zacząć się dziać to, co stało się z marką niemiecką po tamtej wojnie. Mało tego — wierzą we franka do tego stopnia, że nie liczą się z tym, iż po tej wojnie wszystkie waluty europejskie, a z nimi frank, machną straszego kozła, będąc związane z marką. I wobec tego Francja tradycyjnie oszczędza, tak, jak to robiła dawniej — i wypycha stare pończochy i materace — papierem. Na zdrowie! Moment obecny jest tym momentem przejściowym i zarazem najmilszym w inflacji. Inflacja f i z y c z n a już jest, p s y c h i c z n e j

jeszcze nie ma. W obiegu, po kieszeniach, w woreczkach na piersi jest dużo 1.000 frankówek, a równocześnie wszyscy przywiązują do każdej z nich dużą wartość, cenią i uważają jeszcze ciągle, że *un billet c'est quand même quelque chose* (*un billet* w potocznej mowie oznacza płachtę 1.000-frankową). Francuz oszczędza — i to nie w czym innym, a właśnie w banknotach. Lubi on odkładać w banknotach (też pewnego rodzaju cecha narodowa), a wskutek tego jeszcze dziś i jeszcze przez pewien czas będzie wycofywał z obiegu pieniądź, osłabiając tym skutki drukowania papieru czyli inflacji monetarnej. Z inflacją jest podobnie jak z pewną brzydką chorobą. Można ją podzielić na trzy stadia: (Wagemann: *Wo kommt das viele Geld her*).

Pierwsze stadium inflacji polega na tworzeniu (czyli na drukowaniu) pieniądza, który służy do pokrycia deficytu budżetowego państwa. Ten rodzaj inflacji odbija się tylko na pewnej części dochodu społecznego i, podobnie jak to bywa z pierwszymi skutkami pewnej choroby, nie jest on niebezpieczny sam w sobie tak długo, jak długo nie pojawią się inne symptomy inflacji.

Choroba pieniądza staje się niebezpieczniejszą, gdy przyłącza się do niej wtórna forma inflacji, podobna do zarazka przenikającego w krew: inflacja kredytu. Polega ona na tworzeniu pieniądza przy pomocy mechanizmu kredytowego, który rozpętuje spekulację na papierach wartościowych, złocie, walutach i towarach.

Trzecią formą, i to najgroźniejszą, po prostu trzecim stadium inflacji jest zjawisko polegające na wzrastającej ciągle szybkości obiegu pieniężnego, na «inflacji przez kasę», to znaczy na inflacji, która pojawia się, gdy ludność zamienia *n a t y c h m i a s t* swój pieniądź, swoją kasę, na zakupy. Jednym słowem natychmiastowa zamiana pieniądza na towar — na byle co, byleby tylko nie trzymać pieniądza. Te trzy stadia będą miały przebieg znacznie łagodniejszy w gospodarce normalnej to znaczy gdy na rynku jest dostateczna ilość towaru. Natomiast dziś przy ogólnym braku i rzadkości produktów wszelkiego rodzaju, każde z tych stadiów ma przebieg znacznie intensywniejszy. Ceny rosną podwójnie — z jednej strony wskutek nadmiaru pieniądza, z drugiej strony wskutek rzadkości wszystkiego. We Francji jeszcze ciągle z jednej strony

oszczędza się, czyli przerzedza pieniądź, z drugiej zaś nie ma jeszcze na rynku towarowym pustki. Stąd ta łagodność i opóźnienie w reakcji. A w jakim stadium inflacji znajduje się Francja? Zaraz.

Poprzez pierwsze stadium Francja przeszła bardzo szybko i to jeszcze w roku 1939-1940. Pomimo całego jej bogactwa, sumy które należało zgromadzić celem prowadzenia wojny, przekraczały już nie tylko możliwości podatkowe, ale nawet zdolność absorbcyjną rynku kapitałowego. Toteż Banque de France nie miał innego wyjścia, jak drukować pieniądź i «pożyczać» go państwu. Wypłacał rządowi akonta. Od 1939 do 31 sierpnia 1940 wydatki rządu francuskiego wzrosły do 260 miliardów franków — z czego 180 miliardów na wydatki wojskowe (a nie pokazali w tej wojnie nawet za milion). A przecież roczny dochód społeczny Francji wynosił w tym czasie zaledwie około 120 miliardów, czyli że gdyby każdemu Francuzowi odebrano wszystkie jego dochody roczne, otrzymano by około 120 miliardów. Podatki dały 67 miliardów. Dochodów rocznych nie można było odebrać (zresztą i to nie wystarczyłoby) — wobec czego prasa drukarska poszła w ruch — nie mówiąc o innych sposobach pomnażania pieniądza (bony skarbowe itd.). Krótko mówiąc, w ciągu niecałego roku tej sławetnej wojny francuskiej, gospodarka pieniężna Francji wyglądała tak, jak w Niemczech w roku 1916-1917, w których posługiwano się tymi samymi metodami finansowania wojny. Jest to jeszcze jeden przyczynek do ogólnego obrazu Francji. Do tego ogólnego bałaganu, niedołęstwa i nieuctwa panujących wszędzie. Już w ciągu tego jednego roku *drôle de guerre* francuskiej, ceny podskoczyły o 25 procent, a frank zdewaluował się w stosunku do funta o 20 do 25 procent. Potem przyszło zawieszenie broni — i polityka pieniężna nie uległa zmianie. Rząd płacił na wszystkie strony i jeszcze ciągle płaci. Z początku były to wszelkiego rodzaju odszkodowania. Potem bezrobocie. Po zawieszeniu broni każdy brał bezrobocie. Następnie przyszły premie za dzieci i dodatki rodzinne, po czym premie za «powrót na rolę», odszkodowania za zniszczenie bombardowaniami — w końcu miliony zasiłków w ramach «Secours National». Francja weszła w drugie stadium inflacji — inflacji kredytu rządowego. Pétain płaci wszystko plus 300 milionów franków dziennie odszkodowań wojennych, które

Niemcy wpompowują oczywiście w rynek francuski. Bo nie należy mieć złudzeń co do gospodarki pieniężnej niemieckiej i nie należy jej idealizować. Oni krzyczą, że ich metody finansowania są zupełnie inne w tej wojnie, niż w zeszłej. Zgoda — ale w końcu nic nowego nie wynaleźli i cała różnica polega na tym, że zamiast drukować swoje marki, oni tym razem drukują franki, złote, korony, guldeny i te tak zwane marki okupacyjne. Cały ciężar inflacji i cierpień za nią idących, zwalają na ludy podbite. Francja ze swoimi bogactwami jest kolumną tego systemu. W tym roku obieg banknotów dojdzie na pewno do trzystu miliardów. I mam wrażenie, że struna jeszcze nie pęknie. Dlaczego? Po pierwsze Francuz jeszcze ciągle ma poszanowanie dla banknotu 1.000-frankowego i nie boi się oszczędzać we frankach, wycofując tym samym nadmiar pieniądza z obiegu, a po drugie stopień tego oszczędzania jest jeszcze ciągle wysoki. Francuz oszczędza w b a n k n o t a c h. A w jakich proporcjach? W roku 1934 na 80 miliardów franków w banknotach, znajdujących się w obiegu, 24 miliardy były stale tezauryzowane. Tkwiły w pończochach i materacach, zgodnie z zasadami ojca Grandet. (Lewinsohn — «Histoire de la Crise» str. 209). Można zatem przyjąć że 1/4 banknotów w obiegu jest wycofywana z obiegu przez tezauryzację. W tym roku więc około 75 do 80 miliardów franków będzie tkwiło w sieniach. Kto wie, czy nawet nie więcej, biorąc pod uwagę do jakiego poziomu doszły zarobki rolnictwa wskutek «czarnego handlu». A francuski chłop jest właśnie elementem, który najwięcej oszczędza. Ludzie w miastach, obok zarobków z pracy, ciągną zyski z wszelkiego rodzaju legalnego i nielegalnego handlu. Można zarobić na wszystkim. W rezultacie każdy coś ma. Jeżeli dodać do tego, że Francja była pierwszym krajem na świecie, jeśli chodzi o równomierne rozłożenie majątku narodowego, to łatwo zrozumieć że przeżywa ten okres stosunkowo dobrze. I jest ruch — pieniądz płynie. Ale to tymczasem. Bo w pewnej chwili dojdzie się na pewno do trzeciego stadium, o ile oczywiście Ameryka nie podeprze natychmiast franka dolarem. Jeżeli to się nie stanie, zacznie się katastrofa, jakiej Francja nie widziała od czasu asygnat rewolucyjnych. 80 miliardów tezauryzowanych banknotów rzuci się nagle na rynek w poszukiwaniu najpierw złota i walut, byle

czego, byle uciec od pieniądza. Ruina wszystkich małych fortun, co we Francji oznacza ruinę powszechną, ruina rentierów i drobnych posiadaczy. Francja przegra tę wojnę naprawdę dopiero po wojnie — i to pod każdym względem.

1. 2. 42.

Śnieg i mróz. U nas w pokoju naprawdę trudno wytrzymać. Zimno i brak dostatecznej ilości tłuszczu powoduje posudkowe wysychanie i pęknięcie skóry. Szczególniej na rękach.

3. 2. 42.

Amerykańskie samoloty zrzucały ulotki. Świetnie zredagowane. Francuzi przełknęli je z zachwytem. Na pierwszej stronie jest rysunek pomnika Wolności, a pod tym podpis: «Daliście nam niepodległość, zwrócimy wam wolność». Trudno wymyślić coś lepszego jeżeli tylko zna się Francuzów. Dzisiaj każdy był wojowniczy. Cały Paryż roił się od Papkinów. — *Ah, alors, les Américains, vous verrez.* Niestety. Nam się zawsze zdawało, że Francuzi to ci sami, co w bitwie pod Eylau dali się wyróżnić i nie ustąpili, że to synowie Cambronne'a. I tę legendę trzeba sobie wybić z głowy. Oni się skończyli. Dziś chcą jeść i o niczym nie potrafią myśleć, jak o befsztyku, a niech inni biją się za nich. Byleby tylko dali im święty spokój. Zresztą na świecie jest tylko Francja.

4. 2. 42.

Odwilż.

5. 2. 42.

Mróz. Można bzika dostać — to jedno, co można dostać, bo poza tym nic. Żadnej jarzyny — nawet brukwi. Ani jednego kartofla lub marchwi. Nic. Gdyby nie to, że

sprowadziliśmy w grudniu worek kartofli i trochę zapasów, to nie miałyby się co jeść. Ludzie stali się drażliwi i przysłowiowy humor francuski i familijność znikły. Jeżdżę teraz métrem i autobusem i nie ma dnia, żeby gdzieś nie było awantur. W métrze ludzie kłócą się między sobą, w autobusie wszyscy wrzeszczą na konduktora — niebawale rzeczy.

Wpycham się dziś rano do métra, obok mnie siada jakiś *citoyen* — potem wstaje i spogląda w głąb wagonu. Wobec tego stojąca obok staruszka z koszykiem w ręce siada na to miejsce. Ale *citoyen* odtrąca ją i powiada: *C'est pour ma femme*. Na to inny *citoyen*, przyciśnięty do drzwi rzuca się na tamtego z oburzeniem: *Depuis quand les places sont-elles réservées dans le métro?* Ma rację. Wstaję i ustępuję miejsce staruszce. Tamci dwaj już się kłócą. Zbliżywszy się do drzwi i do mającego słuszną obywatela, mówię mu szeptem: *Laissez-le, c'est un goujat*. Mój obywatel, uradowany, że mu podpowiedziałem określenie, którego mu brakowało, drze się od razu do tamtego: *Goujat... regardez-moi ce goujat!* Tamten zrywa się, krzyczy, wymyślając sobie... I tak na każdym kroku.

6. 2. 42.

Państwo P. byli u kogoś i tam spotkali siostrę ambasadora rządu Pétaina w Waszyngtonie, która wróciła ze Stanów Zjednoczonych. Opowiadała, że życie członków ambasady francuskiej w Waszyngtonie stało się zupełnie nieznośne. Całe otoczenie bojkotuje ich towarzystwo, nikt się im nie kłania, oficjalne rozmowy z ambasadorem odbywają się na stojąco, wszystkie domy są dla nich zamknięte — krótko mówiąc na każdym kroku dają im do zrozumienia, co o nich myślą. Poczyszająca wiadomość.

7. 2. 42.

Na koncercie Borcharda w Salle Pleyel. Grał Chopina, Liszta i Debussy'ego. Dużo ludzi. Obok nas usiadła jakaś elegancka melomanka i zaczęła rozmawiać z jakąś drugą, siedzącą przed nią. Zawsze zastanawiam się, ile

jest «lipy» i ile jest prawdy w rozmowach o sztuce. Chyba więcej «lipy». Nasza sąsiadka w ciągu pięciu minut zrobiła spacer po wszystkich salach koncertowych Paryża i omówiła grę wszystkich ostatnio grających pianistów. Po dziwiłam zawsze ten niesamowity zapas komunałów, które można wypowiedzieć tonem znawcy. Francuski nadaje się do tego specjalnie. Przymiotniki *merveilleux*, *sublime*, *formidable* (chamstwo), *inouï*, *épatant*, *saisissant*, *émouvant* (akademia), są stworzone na to, żeby je wypowiadać głosem i tonem Fedry lub Ifigenii i uchodzić za *très intellectuel* nie wiedząc najczęściej, o co naprawdę chodzi. Język francuski jest jak strój dzienny i wieczorowy. W tym wieczorowym jest olbrzymie bogactwo, na które początkujący daje się złapać. A w gruncie rzeczy najczęściej jest to forma bez treści. Nasza sąsiadka, podkreślając te dźwięczne słowa ruchem parasolki, wymachiwaniem rękawiczkami i przekładaniem nerwowych nówek była, mówiąc językiem wieczorowym *très vexante*, a językiem dziennym *très emmerdante*. Światła przygasły, wszedł Borchard. No i wykonywał polonezy Chopina. Naprawdę można powiedzieć, że *il les exécutait*, ale w tym sensie, w jakim wykonywuje się wyrok śmierci. Już w połowie pierwszego miałem dość. Spojrzałem wymownie na Basię, ona na mnie i porozumieliśmy się bez słów. Wolałem obserwować sąsiadkę, która podążała za muzyką.

Oparła czoło na rękę, drugą uchwyciła poręcz krzesła i zamarła w bezruchu. Jedyne małe pantofelek unosił się i opadał, wybijając takt z dokładnością metronomu. W momentach akordów obydwie rączki zatrzymywały się na wysokości oparcia krzesła, zawisały w powietrzu i wraz z akordami opadały w postaci białych piątek na krągłe udo. Pantofelek pracował niezmordowanie cały czas. Tymczasem Borchard pracował «stylem dowolnym», to znaczy trenował «crawla» nad fortepianem i wreszcie zakończył dzieło w pozycji startowej. Z ostatnim uderzeniem ściągnął rękę w tył. Czekałem kiedy wskoczy do fortepianu. Na sali rozległy się brawa i przeraźliwe gwizdy. Na początku drugiej części koncertu powitano wejście Borcharda gwizdami i krzykami. Nie mógł zacząć. W pewnym momencie, korzystając z chwilowej ciszy, krzyknął z estrady: *Les goujats à la porte*. Brawa zwolenników pomieszane tym razem dosłownie z rykiem. Borchard uważa-

ny jest za kolaboracjonistę i koncert zamienił się w manifestację polityczną i turniej pomiędzy publicznością. Cały fragment Debussy'ego grał przy akompaniamencie budzika, puszczanego w czyjejs kieszeni na sali. Potem znowu wrzaski, hukania i gwizdy pomieszane z brawami. Wy-szliśmy przed końcem.

8. 2. 42.

Niedziela Siedzimy w domu w potwornym zimnie. Przeczytałem «Chłopów» Reymonta. Bez wrażenia. Czytam «Kubusia fatalistę» Diderota i rozkoszuję się tym pomimo zimna. Właściwie rozgrzewa nawet ten Kubuś. Zastanawia mnie nowoczesność tej pozornej bzdury. I chyba jedna z najdziwniejszych książek, jakie znam.

9. 2. 42.

Dwanaście stopni mrozu. Ludzie pocieszają się opowiadając sobie dowcip podobno wprost z Berlina. Optymista powiada: «Jest rzeczą pewną, że przegramy tę wojnę». A na to pesymista: «Tak, ale kiedy?... *um Gotteswillen*». Poza tym nadal nic do jedzenia. Francuscy farmerzy trzymają wszystkie jarzyny w gruncie. Teraz, gdy ziemia zamarzła zupełnie, nie można ich wyrwać. Pory, marchew, buraki tkwią w gruncie na polach wystawiając zmarznięte nacie i nie można kopać. Wszystkie dostawy do Paryża ustały. Zamiast tego przyznają apteczne racje fasoli i grochu, wystarczające na jeden obiad. Żyjemy kartkami.

11. 2. 42.

Jeżdżąc teraz métrem, dużo czytam. Zaciekawiony określeniem Goncourtów, zresztą dosadnym, że «Candide» Voltaire'a to po prostu «Lafontaine prozą, Rabelais wymiskowany» — przeczytałem to. Zgadzam się z Goncourtami. Trudno lepiej określić «Candide» z punktu widzenia literackiego. Ale tylko literackiego. Poza tym smutna książka — wszystko to można by napisać dzisiaj i by-

łoby to równie żywe, aktualne i beznadziejne. Może nawet bardziej beznadziejne dzisiaj, niż w swoim czasie. Bo czytając taką satyrę w osiemnastym wieku, można się było łudzić, że jednak ludzkość wydobędzie się z tego barbarzyństwa, że zbliża się wiek oświecenia, że coś się dzieje — było jaśniej na horyzoncie. Człowiek wierzył w swoją siłę, prze-filozofowywał wszystko z Bogiem włącznie — czuł, że idzie naprzód — tworzył, upajał się własną siłą, patrzył z radosnym uśmiechem na jasny wschód dziewiętnastego wieku. «Wolność», «Braterstwo», «Równość», «Prawo», «Konstytucja», «Parlament», «Demokracja» — były pojęciami żywymi, praktycznymi. Człowiek w i e r z y ł i mógł wierzyć. A dziś? Dziś «Candide» jest po prostu dziecinną satyrą, bo to co podlega satyrze, na czym Voltaire z taką zgryźliwością ostrzy swój dowcip i pióro, to wszystko jest naprawdę bardzo niewinne. To wszystko, co Candide wycierpiał, co wykaczało wówczas poza normalne warunki życia i istnienia, to jest dzisiaj udziałem każdego człowieka, to po prostu normalne życie człowieka współczesnego. Biedny Candide zostaje siłą wcielony do oddziału gwardii pruskiej i asystuje przy paleniu jednej — niech będzie nawet dziesięciu — wsi. Widzi jak żołnierze rzną kobiety i dzieci. Kilkanaście — niech będzie nawet kilkadziesiąt — trupów wala się po ziemi. Potem jest w Hiszpanii i ogląda wyczyny Inkwizycji. Jedzie do Ameryki Południowej, gdzie wpada — o zgrozo — w ręce Jezuیتów itd. Sielanka — a on się tak oburza, rzucając jadowite pioruny ironii, traktując świat jak jakieś okropne szaleństwo. Mam wrażenie, że gdyby żył dzisiaj, to zabrałoby mu w ogóle dowcipu. Bo jakże niewinnym był despotyzm i ucisk ówczesnych monarchów i «tyranów» w porównaniu z dzisiejszym niewolnictwem. Ile hałasu o jedną głupią Bastylę, od których roi się dzisiaj cały świat. Taki Oświećcim bije o sto długości Bastylę. I to wszystko dzieje się w imię kultury i odrodzenia świata. Czy my w ogóle wiemy, co to znaczy WOLNOŚĆ i PRAWO? Już moje pokolenie ma bardzo słabe pojęcie o tym. Jeszcze pokolenie mojego ojca może coś sobie przypomnieć, ale ja?... *Niente*. Gdyby nie to, że poznałem Francję, jeszcze tę przedwojenną, umarłbym w przekonaniu, że to wszystko czym żyłem, to była wolność. Można na Francję mówić, co się chce — ja sam zmieszam ją z błotem jeszcze nie

raz — ale to było jedyne państwo w Europie przedwojennej, które jeżeli nie dawało wolności naprawdę, to w każdym razie zapewniało jej złudzenie w bardzo szerokim zakresie. A my wszyscy, już przyzwyczajeni myśleć kategoriami niewolników, kategoriami — hm — barbarzyńców, bierzemy im to za złe, widząc jeden jedyne rezultat tego — i c h k l ę s k ę. I z naszego barbarzyńskiego, młodego i prężnego punktu widzenia mamy rację. Klęska Francji — to zbytek wolności. Może wolności źle pojętej i przypominającej naszą «Złotą Wolność» z okresu przed rozbiorami. France 1939 pod względem moralnym i ideologicznym to Polska Sasów. «Jedź, pij i popuszczaj pasa». Ale cóż? Skosztowałem jej i wiem — i nie mogę zapomnieć. Dziś czuję to, czego nie mogłem zrozumieć po przyjeździe tutaj. W kilka tygodni po wyjściu z pociągu na «Gare du Nord» byłem tu bardziej wolny jako obcy, niż (o zgrozo) jako Polak w niepodległej Polsce. Nie przerażała mnie niepewna przyszłość, nie gubiłem się w czarnych myślach o tym, co będzie, bo byłem wolny. Mogłem zmienić mieszkanie, mogłem przenieść się do innego miasta, mogłem robić byle co — i nawet sam pan komisarz policji nie był ciekawy. Voltaire pisał — siedział za to trochę w więzieniu. Dziś zgniłby bez sądu w jednej z kilkuset Bastylii. Każda jego myśl i słowo, to bluźnierstwo. Humanitarność, prawo, swoboda, kultura (u) są przecież synonimem przegnicia, destruktu, braku woli, prężności i «radosnej siły». Nie myśl, lecz pomysł. Nie uczucia, lecz instynkty. Nie człowiek, lecz stado baranów z Panurgiem na czele.

15. 2. 42.

Wobec tego wojna nie skończy się w tym roku. Wczoraj Anglicy wypuścili z Brestu trzy wielkie okręty niemieckie, które zdrowo i cało przedelfowały przez cały La Manche i bezpiecznie zawinęły do jednego z portów niemieckich. I teraz naśmiewają się z Anglików. Mają rację — sam bym się śmiał, żeby mi było po tym do śmiechu.

A wieczorem sam Churchill, sam «whiskyseliger» i «besoffener» Churchill zawiadomił świat w krótkim przemówieniu przez radio, że Singapore zostało oddane.

Same sukcesy. «Scharnhorst», «Gneisenau» i «Prinz Eugen» jeżdżą po La Manche. Japończycy zdobywają «niezdobyty» Singapur, a ty biedny obywatelu Nowej Europy musisz wierzyć. W Paryżu powstał nowy dowcip na ten temat. Jaka jest różnica między Anglikami a Panem Bogiem? Żadna. Bo i Anglicy i Pan Bóg są niewidzialni, lecz trzeba w nich wierzyć.

18. 2. 42.

Od trzech dni mrozy. O temperaturze w pokoju lepiej nie pisać. Ja siedzę cały dzień w lokalu dobrze ogrzanym, ale Basia przechodzi męczarnie.

Wszyscy mówią teraz o planie amerykańskim. Polega on na tym aby oddawać Japończykom to, co chcą zabrać i skoncentrować cały wysiłek w kierunku Niemiec i rozbić je w tym roku. Na wschodzie i na Pacyfiku «markować» — wszystko przeciwko Niemcom. Piękny plan... I dobra propaganda.

Zimowa ofensywa rosyjska nie daje spodziewanych wyników. Tak jakby jakkolwiek wynik mógł być spodziewany. Oczekuję w tej wojnie tylko rzeczy niespodziewanych. Ale ludzie pocieszają się jak mogą. Poza tym zaplanowała w Paryżu epidemia ospy i wszyscy muszą się szczepić. Czarna ospa w Nowej Europie. A w Paryżu brzmi to wspaniale. Czuję się w pełni średniowiecza, mam zamiar umówić się w bistro z Quasimodem, z Narcyzem i Złotoustym. Miałbym ochotę zachorować na ospę i kiedyś, kiedyś, jako stary człowiek opowiadać wnukom: «Był rok 1942 i w Paryżu na ścianach wszystkich merostw, na murach kamienic wisiały plakaty o darmowym szczepieniu ludności...» Po czym nie dokończyłbym, zwalony z fotela szalejącą dżumą...

19. 2. 42.

Spotkaliśmy się dziś z B. i jego przyjaciółką. Umówiliśmy się z nimi w «La Coupole» na Boulevard Montparnasse. Przyszliśmy trochę wcześniej i zamówiliśmy su-charki z konfiturą i herbatę. Do «Coupole» zaczęli się

schodzić ludzie — ten charakterystyczny tłumek Montparnasse: eleganckie kokoty, wydrowate «sawantki», trochę brudne i trochę wylakierowane, młodzieńcy z długimi włosami, ubrani przesadnie elegancko albo artystycznie zapuszczeni, pociągający nonszalancko nogami i rozglądający się tylko po to, żeby nikogo nie zobaczyć i żeby tylko ich widziano. Gdzieś wtulona w róg kanapki zaszeptana parka. Obok nas usiadł jakiś młody człowiek, przystojny i męski, o twarzy inteligentnej — całość przyjemnie odbijająca w tym otoczeniu «rasta». Czekał... Po chwili przyszła ona, bardzo przystojna i zgrabna, świetnie ubrana, w wieku między panną i kobietą. Duża pewność siebie w ruchach, w oczach jakiś zimny odcień, na ustach błakający się bezustannie uśmiech «w dał» Lukrecji Crivelli Leonarda da Vinci. Mężczyzna ożywił się i pomimo że siedział na miejscu prawie bez ruchu, czuło się, że cały drga i chodzi. Pochylał głowę i zaglądał jej w oczy z maskowaną doskonale kokieterią, robiąc się takim, jakim chciał się jej wydać. Rozkoszowałem się razem z nim. Bo cóż to za przyjemność — można być nagle innym, można rysować siebie w oczach tej kobiety kreskami zamaszystymi, pewnymi, czasem «mazać»... jak doskonały szkic. Ona wyjęła paczkę papierosów, poczęstowała go, zapaliła sama i patrząc w dal, słuchała. Może czuła grę... może bawiła ją to... Mężczyźni są tak śmiesznie jednakowi w takich wypadkach. Gdy czasem zdarza się to mnie, mam ochotę wyć z litości nad samym sobą. Poszukiwanie innej kobiety, to może przede wszystkim chęć odnalezienia siebie samego w innej postaci, to pragnienie choćby złudzenia i ucieczki od zmonotonizowanej własnej postaci. To nie kobieta mnie nudzi, to ja nudzę się moim własnym obrazem na tle tej samej kobiety.

Przyszła Madame A. — B. spóźniał się. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Mme A. jest osobą spokojną, pełną dystynkcji i raczej milczącą. Nadbiegł B. i narobił ruchu. Już od lata zeszłego roku nie pracuje u nas. a w ciągu pięciu minut zdążył opowiedzieć mi wszystkie plotki — i to takie, o których nie wiedziałem, pomimo że jestem na miejscu. Kto z kim, od kiedy, dlaczego już nie, że C. tak się całował z Mme B. (mąż w niewoli) na przystanku metra «Odéon», że aż studenci krzyczeli: *Censure*, *censure*. Koluszki a nie stolica świata i wielkie miasto. Na

tym samym złapałem raz Tyrone Powera z Annabellą — na wieży Notre-Dame. Ci choć mogli myśleć, że się dobrze schowali.

B. zawołał garsona i zamówił *quatre coupes de champagne*. Postanowiliśmy pójść razem na kolację. Na Boulevard Montparnasse było już zupełnie ciemno. Chodziliśmy od restauracji do restauracji czytając przy świetle zapalek wywieszane przed wejściem «menu». Nędza. Nigdzie nie można było nic znaleźć. Dopiero w jakiejś małej restauracyjce, co do której B. zapewnił nas, że dają tam to, o czym nie piszą, znaleźliśmy możliwą kolację. Mule i krewetki, zupa, dobra kiełbasa na gorąco, jarzyny, gruszki, ser — prawie jak za dawnych czasów w robotniczej restauracji. Rozmawialiśmy o francuskim braku szczerości. B. z całą otwartością oświadczył nam, że jako Francuz zna się na rzeczy i że Francuzi są potwornymi hipokrytami. Ta skromna kolacja kosztowała przeszło 300 franków. Ceny stają się zupełnie niemożliwe. Na zakończenie poszliśmy na lody do «Dôme» gdzie panował dobranocny nastrój: po pustej sali chodził kot obwąchując co by obsikać, a w kącie siedziała samotna piękność rozglądając się kogo by sobą obdarzyć.

20. 2. 42.

Wczoraj zaczął się w Riom proces sprawców klęski francuskiej. Na ławie oskarżonych zasiedli Daladier, Blum i Gamelin. I od razu, od początku zaczęła się operetka, bo zarówno obrona jak i oskarżeni zaczęli po prostu oskarżać — Pétaina i rząd Vichy. Gazety piszą o tym oględnie, ale między wierszami czuje się, że padały tam ostre słowa. Komedial. Wrażenie ogólne w Paryżu ujemne — coś na kształt wstydu i skрэpowania.

22. 2. 42.

Rano przyszedł do nas Oleś K. i przyniósł nam paczkę z Krakowa. Te paczki nas ratują, szczególnie pod względem tłuszczu.

Po południu poszliśmy do Robertów popilnować im dzieci, bo oni musieli wyjść. W Fontenay cicho jak na wsi. Basia karmiła z flaszki Filipa, co wyglądało dość osobliwie, ja bawiłem się z chłopcami. Urocze stadko. Robertowie wrócili do domu około 9-ej i zostaliśmy na kolacji. Przemieły dom.

23. 2. 42.

Gołoleź jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Cały Paryż jest jakby powleczony szkłem. Przy trzech stopniach mrozu pada subtelny deszczyk, dokładny i bezustanny. Autobusy przestały chodzić i szedłem z Porte d'Orléans na piechotę. Koło mostu, w połowie drogi, stał wpoprzek jezdni pierwszy autobus, który wyszedł rano i ześlizgnął się przy podjeździe pod górę. Ludzie obwiązują sobie buciki szmatami lub sznurkami i chodzą jak paralitycy. A ja szalałem z zachwytu. Podbiegałem kilka kroków i jechałem potem długi kawałek. Każde drzewo, każda gałązka są pokryte lodem. Pracę skończyliśmy o godzinę wcześniej, aby pracownicy mogli wrócić do domu normalnie. Bo gołoleź. Idąc z powrotem do domu, zrobiłem wspaniały, długi zjazd na podeszwach sprzed mostu aż daleko poza most. Marzyłem o łyżwach. Można by do samego domu dojechać na łyżwach.

Czytam znowu na funty Balzaca. «Blaski i nędze», «La peau de chagrin». Jeżdżę metrem z pełną torbą Balzaków.

2. 3. 42.

Nareszcie ociepliło się. Z ostatnim dniem lutego zima tak jakby się skończyła. Odetchnęliśmy z ulgą. Najważniejsze jest jednak to, że możemy znowu używać gazu prawie bez ograniczenia. Gdy patron hotelu oznajmił nam tę radosną nowinę, poczułem że cały świat jest niczym wobec tych skromnych słów: *Le gaz à volonté*. Można się już nawet otruć gazem bez obawy, że odratują. Poszedłem do kuchenki i zapaliłem obydwaj palniki na cały regulator — niech się pali skoro *à volonté*.

3. 3. 42. (23.20)

Całkiem niezłe. Aż szyby brzęczą. Wróciliśmy właśnie od Loli. Siedzimy u niej i nagle koło 10-ej jakieś grzmoty. Chwila ciszy i znowu cała gama chromatyczna. Znam się trochę. Przyleciały Żydy i masony. Tymczasem huk i łomot zrobił się niemal bezustanny. Poszliśmy na najwyższe piętro «zobaczyć». W zachodniej części Paryża było jasno. Na niebie zapalały się bardzo jasne światła i wisiały długo, jak gwiazdy. Tak zwane bombardowanie ze świeczką. Słabe odgłosy obrony przeciwlotniczej — podeszli ich. A Anglicy walili i walili bez przerwy. Nie wiem w co, ale taka łaźnia zdarza się po raz pierwszy. Czuję się, że tam wszystko podskakuje.

W pewnej chwili jedno ze światel zapaliło się nad nami i zrobiło się jasno jak w dzień. We mnie na odmianę dusza zaczęła podskakiwać na ramieniu. Do ust napłynęło mi sporo śliny, szczególnie gdy usłyszałem dyskretne, dżentelmeńskie brzęczenie jakiegoś Blenheim, idącego na nas na małym gazie. Wyobraźnia bardzo pracuje w takim momencie. Już widziałem taką pigułę, odrywającą się od kadłuba, jak to było w czerwcu 1940 roku. Ale on nadleciał, oglądnał i — odleciał. Widać go było zupełnie wyraźnie. Basia o mały włos nie wyleciała z okna z radości i miała ochotę krzyknąć. Wśród tych odgłosów znad Tamizy wyszliśmy od Loli i wracali do domu. Ludzie stali na ulicach, w bramach i w bistrach, komentując dziwny fakt nie dania alarmu. Syreny nie odezwały się zupełnie. Z daleka słychać było trąbki straży ogniowej i dzwonki ambulansów pędzących gdzieś tam na zachód, w stronę tego piekła. Jeszcze teraz słychać wybuchy. Bombardują od dwóch godzin bez przerwy.

4. 3. 42.

Może w żadnym mieście na świecie nie można z taką pewnością powiedzieć, że «wszyscy mówią», jak w Paryżu. Tu rzeczywiście «wszyscy mówią» — i jeszcze jak — do tego wyłącznie o tym, o czym wszyscy. Nie ma innego tematu. Dziś od samego rana wszyscy mówią o wczoraj-

szym bombardowaniu. Na ulicy, na peronach metra, w autobusach nie słyszy się nic innego. Już każdy «coś» wie, już «ktoś» był i widział, już każdy z każdym sprzecza się — i dyskutuje. W gazetach jest tylko krótka notatka o «bestialskim napadzie Anglików na ludność i zabudowania cywilne jednego z przedmieść Paryża». A że w tej dzielnicy nie ma niestety ani kościołów, ani szpitali, więc wszystko skupiło się na biednym muzeum porcelany sewerskiej. A niech... krzywdy nie będzie, jak tam trochę tych olbrzymich i strasznych wazonów pęknie. Ale i tak wszyscy wiedzą, że chodziło o co innego. Alarmu nie było, ludzie nie zdążyli się pochować, są ofiary. Trudno. Na ogół panuje zadowolenie i pomimo szeptów o dwóch tysiącach zabitych, ogół aprobuje ten krok. Gdzieśgdzie słyszy się ludzi mówiących z oburzeniem, ale są to raczej wyjątki. Poza tym pod wpływem tego pierwszego zdecydowanego posunięcia Anglików obudziły się nadzieje wiosenne. Paryż kipi — wszyscy mówią.

Mówią, że Anglicy bombardowali bombami atomowymi. *Ils ont jeté des bombes atomiques*. Wracalem dziś z pracy z P., inżynierem i lotnikiem. Dyskutowaliśmy te pogłoski. Twierdzi, że to niemożliwe, że prawdopodobnie były to bomby o dużej sile wybuchowej, że być może używa się jakichś nowych środków wybuchowych. Ale nic nie jest niemożliwe. Louis de Broglie opisuje w «L'Avenir de la Physique», że gdy jądro uranu jest bombardowane przez neutrony, podlega rozbiciu, a jego rozkładowi na jądra lżejsze towarzyszy emisja neutronów, które zasadniczo mogą z kolei spowodować rozbicie innych, sąsiednich atomów uranu. Nie ma żadnego powodu wątpić, że rozbicie raz rozpętane w pewnym punkcie masy uranu nie mogłoby postępować dalej i spowodować olbrzymiego uwolnienia energii. «Obliczenia zostały porobione w odniesieniu do tego rozprzestrzeniania się rozbicia (propagation de la désintégration) w masie uranu i wykazały, że realizacja tego nie jest «a priori» niemożliwa» — mówi de Broglie. Nie wiele z tego rozumiem, ale wyobrażam to sobie jako wielki skład amunicji. Wybuch jednego pocisku może spowodować wybuchanie sąsiednich, w sumie cholerny wybuch. De Broglie pisze, rozważając trudności takiego eksperymentu: «Jest oczywiście pożądanym zrealizować doświadczenia, które pozwoliłyby na poczynienie

postępów w fizyce nuklearnej (*physique nucléaire*), lecz jest rzeczą równie pożądaną aby po przeprowadzeniu tego rodzaju doświadczeń pozostali jeszcze ludzie mogący wykorzystać ich wyniki». Pasjonujące. Powinni spróbować. Rozpieprzyć ten cały świat i przynajmniej byłby na zawsze spokój. Wszystko jest możliwe. Rozwój techniki jest tak niesamowicie szybki, przyspieszenie jest tak szaleńcze, że niczego nie należy wykluczać. Wojna wzmaga to jeszcze bardziej. Do tego stopnia, że konsjerżki mówią już o «bombach atomowych».

5. 3. 42.

Wczoraj przyrządzono gulasz i dziś dostaliśmy wszystkie wiadomości w odpowiednim sosie. Pojutrze odbędzie się pogrzeb ofiar, z którego robi się wielką i niesmaczną komedię. Dzień pogrzebu będzie dniem żałoby narodowej — na Place de la Concorde stawiają symboliczny katafalk, dzień ten będzie wolny od pracy *pour donner la possibilité à tous de manifester leur solidarité et exprimer le dédain*, etc., etc.

Dostałem dziś nareszcie nowe opony do roweru. 120 franków i dwie paczki papierosów. Trzeba teraz grata odnowić, bo ledwo dyszy. Ale koniec z metrem, w którym może człowieka tknąć apopleksja. To najważniejsze.

Gazety są wspaniałe: *La France meurtrie*, *La barbarie anglo-saxonne*, *Le peuple français et l'ouvrier français en deuil*, ale ani słowa o tym, że chodziło o Renaulta i że Anglicy rozwalili na amen te wielkie zakłady. Oni celowali w *quartiers d'habitation*, w muzeum porcelany sewrskiej. Ludzie nie dają się zatumanic. Przede wszystkim nie było alarmu. Poza tym, przed bombardowaniem przeleciał nad fabryką i pobliskimi domami angielski samolot-syrena, Niemcy nie puszczali do schronów, a w tajemniczeni dodają: «Gdy Anglicy już odlecieli, przyleciały dwa niemieckie samoloty i zrzuciły bomby na domy mieszkalne — naumyślnie, *vous comprenez?* Trudno — to jest wojna i ofiary muszą być. Co Anglicy mają robić? Spokojnie patrzeć jak Niemcy fabrykują czołgi i samochody u Renault? Ludzie ubolewają bardzo nad ofiarami, któ-

rych liczba wzrasta z dnia na dzień w miarę poszukiwań. Ale cóż robić? Czasem prosty argument bywa wspaniały. Słyszałem dziś w bistrze. Ktoś coś zaczął mówić, że jednak Anglicy nie powinni, że niech lepiej latają nad Niemcami *et qu'ils nous foutent la paix*. Na to jakaś prosta kobieta: «To wszystko jest z naszej winy. Żeby tu nie było Niemców, to Anglicy nie bombardowaliby». Anglicy w ulotkach i przez radio zapowiedzieli następane.

7. 3. 42.

Dziś wieczorem odniosłem Olesiovi paczkę dla Tadzia. Oleś stanął tym razem w hotelu przy Place de la Bastille, w samym centrum miłości. Kiedy przyszedłem, Olesia jeszcze nie było. Wobec tego usiadłem w «biurze» patrona i czekałem. Gruba patronka, przypominająca w kształtach główkę maku, siedziała za biurkiem i liczyła pieniądze. Patron leżał na kozetce i głaskał wielkiego czarnego kocura. Tymczasem na schodach i na korytarzu panował ruch. Szła para za parą i dwie pokojówki w białych fartuszkach biegały po całym hotelu. Zupełnie jak panienci w kinie, które każdemu wskazują miejsce, tak tu pokojówki odprowadzały każdą parę do łóżnicy. Co chwilę któraś wpadała do biura, porywała z tablicy klucz od pokoju i pędziła zadyszana za parą kochanków. Przed oszklonymi drzwiami biura przesuwały się postacie i przy każdym otwarciu drzwi wpadała na mnie smuga jakichś silnych perfum. Przeważał w tym «Chanel 5», bardzo modny w tym roku wśród upadłych aniołów, Loretek i ladacznic. (Strasznie lubię to określenie «ladacznica»). Po schodach szedł młody chłopak ze straży ogniowej w ciemno-niebieskim mundurze, za nim szczupła i skromnie ubrana dziewczyna. Od razu widać, że to «na miłość». Dziewczyna jest nawet trochę zawstydzona, unika wzroku pokojówki i przylepia się do ściany. Chłopak jest czerwony, ale nadrabia miną. Może oni pierwszy raz? To znaczy on z nią, a ona z nim — bo przedtem? To się nie liczy. *Maintenant c'est du vrai amour...* I już następną parą: on chudy, nienagannie ubrany w długą marynarkę do pół uda, aferzystą. Ona — skoncentrowana miłość. Jak mleko w puszcze. Na utlenionych splotach loczków malutki kape-

lusik, czarny *tailleur* z olbrzymią białą kamelią w klapie. Pantofelki na bardzo wysokim obcasie i nogi, ach, takie «szczujące». Takie nogi, co to cały czas poruszają się w ten sposób, jakby mówiły: «a gzz», «a wrr» — «weź mnie, weź mnie»... Ruch bioder, to poemat, to obietnica kołysania się łodzi na spokojnej fali w upalne południe...

Wpada pokojówka i woła: «Butelka szampana i dwa kieliszki pod 32». — Patronka leniwie unosi się z krzesła i szuka gdzieś za pasem klucza. Wygrzebuje go i daje pokojówce. Ta wraca z butelką »Mercier« na tacy i oddaje klucz. Zegar tyka, tablica z kluczami opróżnia się. Coraz mniej błyszczących mosiężnych blaszek lśni w mdłym świetle lampki. Znowu wpada pokojówka: «Nie chcą szampana. Pół butelki musującego. *Merde...*» Patronka wyciąga klucz jak automat i mruży pod nosem: *Ça fait alors 90 francs tout compris avec la chambre.* Psiakość — tanio. I znowu cisza. Nagle zbliża się do biura jakiś brunet już bez marynarki. Z tyłu zwieszają mu się szelki, spodnie trzyma rękami: «Znowu dostałem ten pokój obok klozetu; całą noc spuszczałam wodę i spać nie można». Patronka spojrzała na niego ponad okularami i tym samym obojętnym głosem przywołała pokojówkę: — *Lucie, changez la chambre, donnez 43.*

Hotel zapełnia się i pomimo ciszy czuje się, że tętni i drga, jak wielka fabryka. *On y fait l'amour.* Przyszedł Oleś i poszedłem do jego pokoju. Posiedziałem z nim i koło 11-ej wyszedłem. Fabryka była już w ruchu. Z każdych drzwi dochodziły odgłosy i rozplywały się w ciszy wyściełanych dywanem korytarzy. Stąd słychać poklepywanie, tam przyspieszone oddechy i urywane słowa, sylaby rzucane w malignie. Gdzie indziej szepty i nerwowe śmiechy. Jakieś przeciągłe «Nooooo» brzmi jak skowyt wilczycy (nie broń się, głupia...). Piętro za piętrem, drzwi w drzwi to samo. A na dole siedziała gruba patronka licząc banknoty. Patron, drzemiąc na kozetce, głaskał przez sen kota. «Msiedam» i utonąłem w ciemnościach *Place de la Bastille.*

W dzielnicy bombardowanej przez Anglików 3-go marca jeszcze ciągle wyrzebują spod ruin oliary.

Hitler miał znowu mowę. Wiecznie jedno i to samo. Powinni raz zrobić płytę i puszczają ją co miesiąc. Wynik byłby ten sam. Teraz skrytykował proces w Riom. Nie podoba mu się, że Francuzi zamiast doszukiwać się i piętnować «sprawców» tej wojny, krytykują sami siebie i doszukują się przyczyn przegrania tejże wojny. Jemu chodziło o to, żeby Riom wykazało światu, a przede wszystkim jego Niemcom, że to nie on wywołał tę wojnę, lecz tacy panowie jak Daladier, Blum i S-ka. Tymczasem w Riom nie padł ani jeden zarzut dotyczący wypowiedzenia wojny, natomiast cała debata poszła po linii poszukiwań przyczyn przegrania. Führer jest wściekły. Bo Francja stwierdza, że nie miała lotnictwa, że amunicja i czołgi były *na tyłach* i nie dochodziły do linii, że żołnierz był niezdiscyplinowany, że brakowało tego i tego i że — gdyby nie to, to kto wie, czy Niemcy byłiby weszli do Paryża... Generałowie atakują Gamelina, który milczy z uporem. Zarzuty skierowane pod adresem Daladiera rozbijają się o jego kontrargumenty, z których wynika że Daladier chciał wiele zrobić, ale wszystkie jego zamiary i posunięcia organizacyjno-administracyjne rozbiły się o marazm, rutyniarstwo i próchno organów wykonawczych. A Blum szaleje i z wprawą socjalistycznego rabina pogrąża wszystkich w potokach wspaniałej frazeologii. Wspaniała opera za trzy centymy, w której oskarżeni wychodzą na bohaterów — szczególnie na tle obecnego rządu francuskiego. Już nawet w jednej z gazet ukazał się dowcip: Blum w todze prokuratora krzyczy: «Oskarżony Pétain — wstać». A napis nad rysunkiem: «*Si on les laisse faire à Riom*». Cały ten proces wywinął kozła i dziś cały Paryż mówi ze śmiechem: «To nie oskarżanie — to rewaloryzacja Daladiera, Bluma, Gamelina i innych». Więc Führer dąsa się i miota i prawdopodobnie niedługo nakaże cały ten proces umorzyć. Co nie przeszkadza, że figiel już się udał i wszyscy traktują to już tylko jak złośliwy żart.

W Paryżu z powrotem dużo Niemców. Teraz będzie już Anglikom ciepło. Dziś mijają trzy lata naszego pobytu tutaj i zaczynamy czwarty rok. Ciekawy jestem do jakiego stopnia zmieniliśmy się, czy bardzo odbiegliśmy od światopoglądu naszych tam i w jakim stopniu znajdują nas oni kiedyś innymi. Bo że będziemy inni, że często nasz punkt widzenia zetrze się, być może nawet dość zgrzytliwie, z ich punktem widzenia — to więcej jak pewne. W ogóle co będzie? Jedno z pytań, które sobie często zadaję. Czuję już naprzód, ile pracy będzie mnie kosztować powtórne przystosowanie się do naszej mentalności. Dziś wiem, ile jesteśmy warci, bo ciągle porównuję i jest to zawsze problem interesujący mnie najbardziej, ale równocześnie wiem, widzę i otrząsam się na myśl o tych subtelnych i parszywych wadach — tych pechowych i niepotrzebnych, które nam samym wyrządzają tyle zła. Jest w nas coś dziwnego: — jakaś przedziwna mieszanina bohaterstwa, szlachetności, samozaparcia, a równocześnie hołoty. No i dosiadanie wielkiego konia przy byle okazji. Ale cóż — warunki wyrobiły w nas histeryczny patriotyzm, a ponieważ natura ludzka jest silniejsza i ma swoje prawa, więc tam gdzie z patriotyzmem trzeba iść na kompromis, tam wyłazi patriotyczna hipokryzja. Coś, czego nie potrafię znieść. Nasza wieczna tragedia, to brak pieniędzy. Wrodzona inteligencja i bystrość (wprost olśniewające w porównaniu z innymi narodami), a z drugiej strony brak, wieczny brak pieniędzy i rozpiętość między pragnieniem a możliwością zaspokojenia go, robią z każdego Polaka po prostu «kanciarza». Wysokie poczucie honoru, wrodzone najgorszemu chamowi w stopniu nie spotykanym w Europie (poza Hiszpanią), każe jednak upozorować każdy «kant». I tu wyciąga się ojczyznę. Biedna ojczyzna pokrywa wszystko, a jeżeli ktoś o niej zapomni, jest łajdakiem. Zarabia się — dla ojczyzny, bankrutujesz — dla ojczyzny, coś ci zarzucają, mówią żeś złodziej — nie zapomnij krzyknąć żeś patriota. Wybaczą. Zupełne pomieszanie idei z materią. Jak on szedł w Paryżu do burdelu, to za Polskę, jak pani majorowa chodziła pod koszary i odbierała chleb francuskim k....., to też za Polskę. Dajcie spokój — trzeba raz skończyć z tym. Zarobkowania nie

wolno uważać za zbrodnię, trzeba żądać, ale i trzeba dać. Trzeba płacić za godziny nadliczbowe, a nie odrabiać je dla ojczyzny. Ale te wszystkie myśli są na potem. A może się mylę? Może nie mam racji i jestem tylko — Podfilipskim. A zresztą czytaj «Lalkę». Zawsze aktualna.

18. 3. 42.

Albo to są kpiny, albo zbytek usłużności wobec Niemców, albo zupełny brak poczucia wstydu. Proces w Riom. Zoznaje generał Besson i mówi:

— *Les gens me demandaient pourquoi ils se battaient. Eh bien, j'avais du mal à leur répondre* (Matin, 18. 3. 42, str. 4).

Ale kto wie, czy tak nie było naprawdę. Żołnierze pytali się generała, po co się biją, a biedny generał nie wiedział, co im na to odpowiedzieć. I tak to oni sobie gwarzyli czyli Francja 1940. A może oni mieli rację? Kiedyś, gdy już nie będzie wojen (są tacy, co w to wierzą) kto wie, czy mieszkańcy spacyfikowanego globu nie będą uważali Francuzów z roku 1940 za prekursorów «Nowego Świata». Francuska ucieczka ocaliła Anglików, Niemcy zamiast atakować Anglię dali się wciągnąć do Francji, napiszę pracę doktorską na temat «Znaczenie i rola burdeli paryskich w decyzjach Sztabu Generalnego Reichswehry» itd. Nie rozumiem dlaczego ludzie dyskutują i kłócą się. Wszystko zależy od punktu widzenia i wszyscy mogą mieć rację. Kiedyś wydawało się Żydom, że są narodem wybranym, dziś najtęższe głowy modlą się do proletariatu jako do klasy wybranej (skąd ta pewność?), tylko dlatego, że sto lat temu pan z brodą ułożył teorię mesjanistyczną proletariatu i nazwał ją «naukową». Odrzuciło się absolut Boga i na gwałt szuka się jakiegoś «Ersatza» absolutu z fanatyzmem, o którym najbardziej zapalony uczestnik wypraw krzyżowych nie miał pojęcia. Potworne są te epoki, w których ludzkość rzuca się na poszukiwanie absolutu. Hoene-Wroński zrobiłby dziś pierwszorzędną geszeft. Dlaczego nie można żyć bez absolutu? Jak dotąd daję sobie świetnie radę bez niego. A jak go będę potrzebował, to wrócę do Boga. Ma tę olbrzymią zaletę, że nie może być naukowy i udowodniony, czyli

można spokojnie wierzyć. Albo nie. Ale to już zależy od nastroju i samopoczucia. Zaczynam podejrzewać, że na dnie tej wojny siedzi jakieś pokracczne poszukiwanie absolutu i śmieje się w kufak. Tak jak ja teraz, w tym mrocznym bistrze po trzech szklankach rumu. Poczawszy od Grégoire de Tours i skończywszy na Gidzie mam to wszystko gdzieś i poczawszy od Bogurodzicy i na Nałkowskiej skończywszy też mam to wszystko gdzieś — ja wyjeżdżam. Mam dość tej całej kolebki kultury i obozów koncentracyjnych, zwanej Europą, mam dość poszukiwania absolutu — ja chcę żyć, po prostu żyć. Czym jest absolut w porównaniu z piersią dziewczyny i jej pocałunkiem? Bzdurą. Chcę rozmawiać ze sobą wprost, a nie POPRZEZ absolut, chcę nauczyć się żyć wolny, WOLNY, bez pragnienia uwierzenia w cokolwiek, chcę być dobry nie dlatego, że katecheta lub Engels tak każe, ale dlatego, że każdego człowieka trzeba kochać, skoro się jest tym bydlęciem — człowiekiem.

20. 3. 42.

Państwo P. mieli trochę zobowiązań towarzyskich i musieli zapłacić za nie przyjęciem u siebie. Urządzili podwieczorek. Już na dwa dni przed tym Basia poszła do nich pomagać w urządzeniu mieszkania, a raczej czegoś, co przypominając jedynie mieszkanie w dzień powszedni, miało się stać mieszkaniem w dzień podwieczorku. Stojące zwykle w salonie skrzynie, kufrы i walizki powędrowały do sypialni jej i jego, a na ich miejsce zniesiono ze wszystkich kątów całej kamienicy wszystkie ruchomości (*mobilier*), przedstawiające wartość i pieniądze i reprezentacyjną. A więc dywany, makaty, kryształы, obrazy i sztychy z kilkoma meblami — wszystko zabytkowe, stare, cenne. Ze skrzyń w piwnicy wyjęto i przerzucono całą porcelanę, decydując się w końcu na stary angielski serwis, w którym jedna filiżanka ma wartość 500 franków. Salon przystrójono w punktu widzenia «patrz i licz — policz i bądź zazdrosny». Jakiś fotel «Directoire» trącał empirowe krzesło, robiąc mu wyrzuty za zamach stanu. W kącie puszyła się kozetka *ancien régime*'u Louis XVI, a taburet Louis-Philippe rozsiadł się szeroko i wygodnie, pamiętając jeszcze

te ładne czasy. Stary, podobno bardzo drogi obrazek, przedstawiający zad konia z wszystkimi szczegółami (wałach) i wychylającą się zza niego głowę tegoż konia — powieszono obok innego obrazka, na którym z mroków przyciemnionej jakże wielką przeszłością farby olejnej wynurza się ciało wielkiej maciory. Pod tym potwora w kształtach (co najmniej w dziewiątym miesiącu) waza sewrska, ustawiona na tabetycznym i zmęczonym życiem stoliczku. Gdzie indziej bezcenna makata, a na niej kilka sztychów ze śladami wilgoci po brzegach. (Bez tych śladów nie liczy się). Pod ścianami krzesła, każde inne i każde skądinąd — drogie i zmielone wewnątrz szczękami robaczków antyki. Wszystko razem antykwarnia — setki tysięcy franków nagromadzone na jednym miejscu bez smaku i gustu, żeby tylko świadczyć o zasobności gospodarzy. Bo tu na ogół nie chodzi o to, że się coś ma, lecz ile by się miało, gdyby to spieniężyć. Tu wszystko jest najpierw pieniądzem, a potem dopiero daną rzeczą. Nie «jak» i «co», lecz «ile». Uznaje się artystyczną wartość danej rzeczy, ale kompasem wskazującym drogę do tego uznania jest prawie zawsze cena. Mało który Francuz potrafi patrzeć «bezpamiętnie» na to, co posiada u siebie i co mają inni. Kuzyn Pons jest tu wyjątkiem. Meble, dzieła sztuki, garderoba — wszystko wyraża przede wszystkim pewną ilość franków. Ta strona posiadania dostarcza największych wzruszeń. Potem dopiero idą wzruszenia artystyczne, zamiłowania, pasja. Salon Pp. P. urządzone był kompletnie i bez zarzutu i został przedstawiony gościom jak weksle do dyskonta. Patrzcie i dyskontujcie — tyle i tyle po sprzedaży.

Kiedy przyszedłem prosto z pracy, goście siedzieli już w salonie i tylko przez zamknięte drzwi dochodził gwar rozmów. Wynajęta na ten dzień Mme X., jedna z tych «przyjaciółek» z ludu, która czasem przychodzi «pomagać» tak, jak Basia — grała rolę pokojówki. Czułem się dość głupio, bo zupełnie odwykłem od takich zebrań towarzyskich. Po trzech latach życia «trapera wielkiego miasta», jak przez mgłę przypomniały mi się dawne czasy i zabrałem się do tego z takim samym uczuciem, jak ktoś, co kilka lat nie grając na fortepianie, przysuwa stółek do klawiatury i zaczyna przypominać sobie jakiegoś walca, którego umiał na pamięć. W salonie siedzieli wszyscy ko-

łem (cercle) i rozmawiali. Usiadłem koło Mr. F. 74-letniego «dandy» — właściciela wielkiego sklepu sportowo-myśliwskiego na rue L... i udziałowca w fabrykach broni w Belgii. Obecnie rujnuje się na swoją pannę sklepową, będącą jego kochanką. Dalej siedziały żona jednego z wielkich adwokatów paryskich (wziął w ręce sprawy spadku państwa P. i stąd ten podwieczerek) i żona wielkiego przemysłowca z Alzacji, który pracuje obecnie z Niemcami. Miał przyjść, ale zatrzymano go oczywiście na jakiejś konferencji. Pani P. była niepokieszona, bo myślała, że może dzięki niemu uda się mnie wkręcić gdzieś do przemysłu na lepszą posadę. Powiedziałem jej jednak, że n a w e t o n a nie zrobi już ze mnie nigdy urzędnika. Wolę być murarzem albo włóczęgą. Trzy lata oddycham pełną piersią, żyję, wyzywam się do «nitki», stałem się w końcu «czymś», a tu chcą koniecznie, abym był «kimś». Obydwie panie ubrane były na czarno, bardzo skromnie, ale wykwintnie i drogo — tak drogo, jak drogi może być jedynie skromny wykwiut, gdzie sznurek subtelnych pereł jest prawdziwy, schowana w jakimś fałdzie sukienki od Paquina broszka jest cała z brylantów, a na wypięłgnowanych palcach jeden lub dwa pierścionki pozwalają jedynie domyślać się ich ceny. Pantofelki od Pineta, kapelusik-model z rue de la Paix. Na tym tle pani P. wyglądała trochę jak wódz Indian, gdyż z całą «bezkompromisowością» swojej amerykańskiej natury obwiesiła się całą zawartością swojej kasy pancерnej. Wyglądała jak zeszcła i osypana choinka, z której nie zdjęto świecidełek. Zacząłem rozmawiać z Mr. F., wypytując go o jego sklep itd. Chcąc mi się odwzajemnić i dowiedziawszy się że jestem *Polonais*, opowiedział mi historię wszystkich zamówień na broń myśliwską, otrzymanych niegdyś — od Cara i Wielkich Księżąt rosyjskich. To wszystko tonem zadowolonej z siebie kurtuazji: — ty mówisz mi o mnie, więc ja będę ci mówił o tobie. Bardzo ostrożnie, ale dobitnie i jasno wytłumaczyłem mu, że «Pologne» to nie «Russie» i że z Warszawy do Carskiego Sioła jest dużo dalej niż z Paryża do Wersalu. Biedny staruszek stracił wątek i obydwaj zaczęliśmy się przysłuchiwać opowiadaniu żony adwokata, która zaopatruje się w rzadkie dzisiaj produkty na sprzedażach dobroczynnych, gdzie tuzin jajek lub kilo masła idą na licytację i osiągają w ten sposób oficjalnie ceny

czarnego rynku. Cała ta licytacja jest legalną sprzedażą po cenach nielegalnych, całość usankcjonowana dobroczynnością. Mąż adwokatowej, znając niemiecki, jest obrońcą we wszystkich procesach, toczących się przed niemieckim sądem wojskowym. Broni tych, którzy już z góry są skazani na śmierć — co nie przeszkadza, że zarówno on jak i ona mają wielki szacunek dla Niemców i podziwiają ich z każdej strony. Ten podziw i szacunek wśród sfer bogatej i średniej burżuazji francuskiej — niemal powszechny — wypływa nie tylko z tego, że tym warstwom najłatwiej udało się zasugerować «czerwone niebezpieczeństwo» i posłannictwo Niemiec w obronie Nowej Europy, ale także z pewnego rodzaju intelektualnego zaskoczenia. Żyjąc dotąd w typowo francuskim zapatrzeniu we własny pępek (i niżej...), w tej intelektualnej ciasnocie poglądów (nieraz na poziomie) ale zamkniętych tradycją wielkości, doskonałości i przekonania tylko do tego co francuskie — z lekkim, mocno snobskim odchyleniem w stronę Anglii co najwyżej — o d k r y w a j ą n a g l e N i e m c y. Rząd Pétaina zapewnia im ciągłość i przekonanie, że Francja nadal trwa, okupacja podwoiła im możliwości zarabiania, niemiecka kokieteria zewnątrznie działa i kaptuje na swoją stronę. Pieniądz pozwala im nie odczuwać w tym stopniu braków w wyżywieniu, co w sferach uboższych. Ta najboleśnieszka, jak dotychczas, strona okupacji nie dociera do nich. A równocześnie «Deutsche Kultur» podawana im jest od strony literatury w postaci ukazujących się ciągle nowych tłumaczeń z niemieckiego, występów Opery berlińskiej, odczytów niemieckich sław naukowych itd., itd. Wszystko to dotąd nieznanne, podawane zręcznie i smacznie, logicznie, tak jak tylko logicznymi potrafią być perfidia i kłamstwo — trafia na żyzny grunt. Ogląda się Niemców «intelektualnie», nowe myśli i koncepcje ekonomiczno-społeczne narodowego socjalizmu są jak świeży powiew i zachwycają. Ze snobizmem mówi się o własnych wadach i niedołęstwie, porównując wszystko z tym, co stworzono «tam». Moda jest na kompleks niższości aż do s..... we własne gniazdo włączanie. Przypomina to w dużym stopniu reakcję mieszkańców Mediolanu po wejściu wojsk Napoleona. Byli oni nie tyle zmęczeni, co po prostu znudzeni panowaniem Austriaków. Francja znudziła się — znajduje rozrywkę w okupacji.

W Paryżu jest wszystko modą — obecnie jest moda na Niemców. Przejdzie im to, przejdzie... Rozmawiamy o Pétainie — oczywiście z uznaniem. On jeden trzyma Francję, jest jej symbolem, choć p. P. spiorunowany wzrokiem małżonki, wtrąca także nieśmiało jakiś pasaż o «starym gaga». Mówi się o tym, o owym — pan P. błyska umiejętnością tej typowo francuskiej *causerie*. Robi to czarująco. Francuska rozmowa w salonie przypomina często dialog teatralny.

Przebrana za pokojówkę M^{me} X. obwieszcza podwieczorek. Zasiadliśmy wokoło stołu i zaczęła się dopiero komedia. Wszyscy robili tysiąc trudności i sto tysięcy ceremonii z wzięciem każdego ciasteczka, każdej tartinki. *Oh, non, merci, c'est vraiment trop, enfin, j'accepte pour vous faire plaisir*, itp. ceregiele. Każdy kąsek podawany był przez gospodarzy i wmuszany w zaproszonego siłą, zaproszony bronił się z równą siłą, a wszystkim było wiadomo, że pierwszy zwycięży, a drugi ulegnie. Wszystko razem nazywa się *politesse* i *savoir vivre*. Zetknąłem się z tym po raz pierwszy tak wyraźnie i miałem wrażenie, że nie znajduję się w tak zwanym dobrym towarzystwie, ale po prostu w otoczeniu hołotki, którą zaproszono do pańskiego stołu i która robi wszystko, żeby zachować *bon ton* znany jej z brukowych powieści o arystokracji lub z podręcznika o dobrych formach towarzyskich. Jedzenie tego podwieczorku było męką i zadowolony byłem, kiedy się wreszcie skończyło. Cały czas miałem ochotę rozbić jedną filiżankę (za 500 franków) albo nabrać na talerz pięć tartinek od razu. Jeszcze raz stwierdziłem, że nie znoszę tak zwanego «dobrego» czy też «wytwornego» towarzystwa. «Są to jednostki bez wartości w ciągłym poszukiwaniu zera — zera, które by im nadało wartość dziesiątki» — jak to określa wspaniale Gavarni. Hipokryzja w życiu z ludźmi jest rzeczą, która może najbardziej mnie męczy, a atmosfera hipokryzji, panująca w «towarzystwie» czyli w zebraniu ludzi, którzy najczęściej nie mają ze sobą nic wspólnego oprócz zawiści i chęci wyciągnięcia jakiejś korzyści w momencie zbliżenia się, jest dla mnie okropna. Nie wiem, czy jest coś, czego bym bardziej nie znosił, jak «stosunków» — bywania dla «stosunków», przyjmowania dla «stosunków» lub dlatego, że «trzeba kogoś poznać» itd. A życie jednak tego wymaga — bez tego trudno coś zrobić. Co ja

zrobię? Toteż każdy dzień mojego życia tu, tego dziwnego życia niezmaconego żadnymi «karierami», snobami, bzdurami i tytułami zamykam w sercu, jak najdroższy skarb.

Gdy skończyliśmy w końcu jeść, a raczej podziobywać, pani P. wniosła wielkie pudło starannie opakowane i po wyjęciu z niego innego pudła, obwiniętego całymi metrami papieru, zaczęła je odwijać, jak mumię wyjętą z grobowca. W końcu ukazał się oczom zebranych wielki kufer rozmiarów dużego neseseru, pokryty tłoczoną skórą, złoconą we wgłębieniach. Pani P. uniosła wieko — kufer pełny był czekoladek od Fouchera. Piętnaście kilogramów czekoladek. Wystarczy na tę wojnę — i na następną. Wszyscy krzyknęli z uznaniem «aaaa» i ponieważ całej tej maszyny nie można było obnosić ze względu na ciężar, goście ustawili się w ogonek, każdy brał czekoladkę, odsuwał się i wymawiając się od wzięcia następnej, z niecierpliwością czekał na swoją kolejkę. Dalszy ciąg podwieczorku nastąpił wokoło czekoladek — na stojąco. Mme M. przypomniała sobie, że ostatni raz była u pp. P. w 1937 roku na obiedzie i stwierdziła buchalteryjnie, że *au fond je vous dois un dîner*, a stary Mr. F. mówiąc z dumą, że urodził się już w roku 1868 i chcąc być *spirituel* dodał: *A un an j'ai manqué...* i mrugnął okiem ze starczą frywolnością. Miało to oznaczać, że jeszcze rok, a byłoby 69 i wówczas data jego urodzenia nie byłaby pozbawiona pewnej — hm, pikanterii... Panie udały — o dziwo — że nie rozumieją. Kilka komplementów dla gospodarzy, kilka tych standardowych i rytualnych zwrotów o «miłym podwieczorku» — i goście rozeszli się. A my z całą swobodą rzuciliśmy się na obfite resztki, nie zapominając oczywiście o natychmiastowym usunięciu ze stołu wszystkich cenny i kruchych, 150-letnich filiżanek angielskich i zastąpieniu ich obgryzionymi fajansami «na codzień». Zapytałem p. P. czy taka chińszczyzna przy stole jest tu kanonem dobrego wychowania. Powiedział mi, że tak, że wypada wszystkiego odmawiać, że trzeba nawet mówić, iż nie specjalnie lubi się to lub owo i *que ça ne me dit pas grande chose*. Będąc z natury łakomy, jak 99 procent wszystkich Francuzów, stwierdził na końcu, że to jest okropne, a kiedy mu powiedziałem, jak jest u nas, słuchał z zachwytem. *Alors je viendrai en Pologne.*

Jakiż francuski ten list Mme de Mortsau pisany do młodego Felixa de Vandenesse w «Le Lys dans la Valée» Balzaca: — «... Grzeczność i uprzejmość, drogi chłopcze, polega na tym, aby wydawało się, iż dla drugich zapomina się o sobie samym... Nie należy być ani nadto ufnym, ani zbyt banalnym, ani zbyt żarliwym. Te trzy rzeczy są jak trzy rafy podwodne... Zbyt wielka ufność obniża szacunek, banalność naraża nas na pogardę, żarliwość czyni z nas obiekt nadający się świetnie do wyzysku... Jeżeli zwiąże się Pan z kilkoma osobami ściślej niż z innymi, niech Pan zawsze zachowa dyskreję co do siebie, niech się Pan zawsze zachowuje z rezerwą — tak, jakby pewnego dnia osoby te miały się stać pańskimi współzawodnikami, przeciwnikami lub wrogami. Nieprzewidziane wydarzenia życia wymagają takiego postępowania. Niech Pan zachowa postawę człowieka ani nie zimnego, ani zbyt wylewnego, niech Pan potrafi zachować tę linię pośrednią, po której człowiek może postępować nie narażając niczego na szwank... Jeżeli chodzi o żarliwość, ten pierwszy i wzniosły błąd młodości, który znajduje prawdziwe zadowolenie w szafowaniu siłami i zaczyna w ten sposób oszukiwać siebie zamiast być pułapką dla drugih — niech ją Pan zachowa dla tych, którzy podzielają pańskie uczucia, niech ją Pan zachowa dla kobiety i dla Boga. Niech Pan nie wnosi do bazaru życia i spekulacyj świata skarbów, wzamian za które dadzą one Panu szkiełka...»

Wspaniałe. Mam wrażenie zanurzania twarzy w wielkim bukietcie białych i pachnących kwiatów. Genialność myśli polega nie na tym, ażeby mówić o rzeczach wielkich lub małych w sposób suchy, oderwany, spekulatywny i chcąc zgłębić człowieka i życie uciekać od tych rzeczy w abstrakcję, bo słowa wtedy nic nie znaczą, są pustymi znakami. Prawdziwa myśl potrafi ująć i wypowiedzieć to, co każdy czuje podświadomie, z czego nie zdaje sobie sprawy będąc jednocześnie świadomym, o czym wie nie wiedząc. I tylko taka myśl — zawsze ludzka — jest naprawdę prawdziwą, przekonywującą, pozostawia ślad w duszy i zmienia świat. W dziedzinie myśli tego rodzaju wielkich a zarazem prawdziwie ludzkich, Francuzi są jedyndynymi. Francja nie wydała Hegla, Marksa, Engelsa, nie wydała żadnego «Uebermenscha» i nie skomponowała tańców myśli nad przepaścią nicości lub piruetów słowiań-

skiego mistycyzmu. Rosja i Niemcy przekonały każdego myślącego człowieka, że im bardziej chce się być «przy-ludzkim» lub «nadludzkim» i im bardziej chce się roz-wiązać świat, byt i człowieka przy pomocy ideologii «jedy-nej i prawdziwej», tym bardziej staje się to wszystko nie-ludzkim, tym bardziej zapomina się o człowieku z krwi i kości. Wojna obecna jest wynikiem tego zapomnienia, wynikiem tym bardziej groteskowym, że na dnie jej było pragnienie odnalezienia go. Ale nie odnajdzie się go tak długo, jak długo zamiast «człowiek» używać się będzie epitetów, stworzonych gdzieś tam wśród stachanowców, Schaffender Menschów, korporacjonistów i innych wy-znawców «izmów». I wobec tego czekajmy cierpliwie na Descartes'a, który po bezowocnym i zbrojnym, trzydziesto-letnim poszukiwaniu człowieka wśród chaosu konających myśli średniowiecza, potrafił dać światu myśl z krwi i kości. Zaspokoił na jakiś czas tęsknotę za myślą, tę najniebez-pieczniejszą tęsknotę, dla której miliony giną co pewien czas. O ileż byłoby lepiej, gdyby ludzkość zachowała całą swą żarliwość dla kobiety i Boga.

22. 3. 42.

Skończyłem dziś remont roweru. Dwa tygodnie, dzień w dzień do 12-ej w nocy przy warsztacie. Patron ma w piwnicy cały warsztat z kompletem narzędzi. Żadna część z tych, które kupiłem, nie pasowała, bo w ogóle brak części i trzeba brać, co się znajdzie. Musiałem przegwintowywać nakrętki i pierścienie, pedały i nawet nowy trybik. Lakie-rowałem sam na rozprysk i rower wyszedł jak nowy. Basia przeklinała mnie, bo przez dwa tygodnie pokój zawalony był śrubkami, kulkami, nitami itp. Wobec tego pojechałem na próbę do lasu Vincennes. Jedna z tych cudownych niedziel wczesnej wiosny. Drzewa lepą się od pączków, cisza, słońce i ciepło. Po południu poszliśmy się włączyć nad Sekwaną — pić słońce z winem na tarasie jakiegoś bistra, mrużyć oczy, drzemać w jasności i w ciepłe. Mie-liśmy obydwójce miny kotów, wyłażących z piwnicy w ciepłe popołudnie. Długie, drzemliwe przystanki przed skrzynkami bukinistów. Jakaś książka lub komplet repro-dukcji budziły nas czasem, po czym zasypialiśmy na nowo.

Po tej wściekłej zimie, słońce ogłupiło nas i otumaniło. Sekwana, Notre-Dame, bukiniści, ludzie, drzewa — wszystko było malowane nie akwarelą, lecz wodą, w której rozpuściło się trochę farby. Białe i szare łuki kościoła wyglądają jak szkielec potwora, wykopanego z ziemi. Szukam «Mémoires du Général Comte de Marbot» ale nigdzie ich nie ma. Wracając do domu metrem, podслуchujemy rozmowę dwóch kontrolerów. Rozmawiają przez szyny — jeden z tej, drugi z tamtej strony. Słyszemy ciągle powtarzający się w ich dyspucie wyraz «Châteaubriand». Trącam Basię i podchodzimy bliżej zaciekawieni. Na pewno dyskusja literacka — co ludzie tego pokroju mogą mówić o Chateaubriandzie. Jak głęboko jednak przesiąka tu kultura, czytanie i zainteresowanie. Słuchamy... słuchamy... i obydwójce wybuchamy śmiechem. Bo w tej ożywionej dyspucie chodziło o — befsztyk à la Chateaubriand. Chateaubriand przelatuje z ust do ust w postaci grubego i krwawego befsztyka. A my myśleliśmy, że... a potem Wittlin opisuje z zachwytem rozmowę dwóch policjantów o Mauriac'u, a tam pewnie chodziło tylko o dobrą butelkę wina «Montbasillac», a nie o «Mauriac». I tak się tworzy legenda o ich inteligencji. A w rzeczywistości jest im tak samo daleko do Chateaubrianda, jak do befsztyka w tej chwili. B e f s z t y k — mówiąc o Francji, nie można zapominać o tym czynniku, o tym n a j w a ż n i e j s z y m zagadnieniu w życiu Francuzów od dołu do góry. Patriotyzm, wolność, ojczyzna? Nie — b e f s z t y k. Gruby, krwawy, soczysty i miękki — à la Chateaubriand. Czekają na Amerykanów. Czekają wolności, swobody, niepodległości? Nie. Przede wszystkim «corned beefu» w puszkach i konfitur... Przesadzam? Nie. Teofil Gautier w swoich świetnych «Tableaux de siége» (oblężenie Paryża w 1870 roku) pisze z przejęciem: *On a beaucoup vanté le courage, le dévouement, l'abnégation, le patriotisme de Paris... Un seul mot suffit: — Paris se passe de beurre.*

Odwaga, poświęcenie, rezygnacja, patriotyzm osiągają rozmiary apokaliptyczne i nawet masło kapituluje wobec nich. Masła nie mają, a jednak bronią się. Narody klękajcie. A może to i racja? Może nie należy tak lekomyślnie umierać, jak my — już nie tylko bez masła, ale bez wody i chleba? Byliśmy zawsze tak skorzy do poświęceń (w imię obcych interesów), że na przykład Fran-

cuz przekonany jest iż nam jest łatwiej umierać, niż im. *Vous avez l'habitude*. To wcale nie jest powiedziane, że trudno jest umrzeć za ojczyznę. Czasem o wiele trudniej jest żyć dla niej. Na przykład żyć dla niej bez masła...

Métro dudni i zatrzymuje się na stacjach. Lekkie suknie kobiet wsiadających do wagonu wnoszą strzępki słońca. Tam na górze już wiosna. WIOSNA... uffff...

24. 3. 42.

Na frontach cisza, nigdzie nic nowego. Pogoda prześliczna. Właściwie Anglików i Amerykanów słusznie nazywa się «Aliantami». Oni są aliantami Rosji w takim samym znaczeniu, w jakim Austria była aliantem Niemiec w czasie pierwszej wojny. Pomagają Rosji wygrać wojnę i z tego logiczny wniosek, że po jej zakończeniu będą mieli w sam raz tyle do powiedzenia, ile do powiedzenia ma — pomagier. Ta wojna jest w gruncie rzeczy wojną rosyjsko-niemiecką, wszyscy inni są statystami w tym krwawym przedstawieniu i niczym więcej. Rozważaliśmy to wszystko dzisiaj z K. i doszliśmy do wniosku, że nie ma co robić sobie złudzeń. A za kilkanaście lat «die gelbe Gefahr» Wilusia stanie się naprawdę aktualne. K. ma rację. Powiedział mi dzisiaj: «Największą zbrodnią Hitlera jest zdrada rasy białej i rozpętanie bratobójczej wojny wśród nas samych». I dodał: «Tak, panie Andrzeju — z Europą lepiej pożegnać się zawczasu. Bo widzi Pan — za Franc Jozefa...» I zaczęliśmy się śmiać z goryczą ludzi, którzy rozumieją i widzą rzeczywistość.

25. 3. 42.

Anglicy wrócili i niszczą fabryki na przedmieściach Paryża. Na murach coraz to nowe afisze zapraszające do pracy w Niemczech. Ostatni afisz przedstawia smutnego bezrobotnego, spoglądającego przez okno swej ubogiej izby w dal, gdzie na horyzoncie widać wspaniałą fabrykę, słońce i jasność. Napis: «Jeśli chcesz więcej zarobić, jedź pracować do Niemiec». Większość tych afiszów uzupełniana jest przez domorośłych grafików dorysowywaniem samolo-

tów i lecących z nich bomb na fabrykę na horyzoncie. Z takim uzupełnieniem napis: «jeśli chcesz więcej zarobić...» nabiera dodatkowego i zachęcającego sensu. Inne afisze z napisem: «Jedź pracować do Niemiec — rodzina twa będzie szczęśliwa» uzupełniają dopiskiem: «a ty rogasz» (*Allez travailler en Allemagne — votre famille sera heureuse — et toi cocu*).

26. 3. 42.

Byliśmy dziś w «naszym» kinie. Francuski film «Mam'zelle Bonaparte» z czasów drugiego cesarstwa. Jeżeli ze wszystkimi gałęziami produkcji jest we Francji krucho, o tyle film kwitnie. Film niemiecki zalewa rynek i wciska się wszędzie, ale Francuzi nie dają się i dotrzymują kroku co do ilości — wyprzedzając Niemców co do jakości. Niemal wszystkie filmy francuskie wyprodukowane już po zawieszeniu broni są dobre, a jeżeli nie całkiem dobre, to w każdym razie można je oglądać. Są odświeżające, pełne tego «czegoś» francuskiego, finezji i podejścia, cienkości i subtelności połączonej z ludzką prawdą.

Ostatni film Pagnol'a «La fille du puisatier» z Raimu jest świetny. Pełen dowcipu zupełnie specjalnego i niezrozumiałego, jeśli nie zna się choć trochę Francji, pełen dobroduszości i słońca Prowancji — tego życia tam na południu, które ma zupełnie specjalną barwę i ton. Inny film z Alp francuskich «l'Assassinat du père Noël» jest bajką-opowiadaniem tańczącym ciągle na granicy fantazji i rzeczywistości, rozsnutym na tle życia małej wioski, zasypanej i zagrzebanej w śniegach Haute-Savoie. «Le Joueur» według Dostojewskiego z Pierre Blancharem jest pełny tego demonicznego nastroju, światła i obrazów zgrzytających po kości, świetnych. Film «fortepianowy» «Nuits de Décembre» też z Pierre Blancharem, choć nie całkiem wyzyskany, ale na pewno dobry. Podobno ostatni film, z życia Berlioza, jest muzycznie już znacznie lepszy. Nawrót do lat 1820-1850, nawrót gustów publiczności zmęczonej i ogłupionej Nową Europą do tej starej i jednej z najładniejszych Europ. Miejsca na «Damę Kameliową» z Edvige Feuillère w «Théâtre Hébertot» wykupione są na trzy tygodnie naprzód, nakręcono z nią «La Comtesse de Langeais» według

Balzaca, a dzisiejsza «Mam'zelle Bonaparte» także z Edvige Feuillère. Wariant Damy Kameliowej i publiczność się pcha. Filmy niemieckie idą z obowiązku i nie «chwytają». Jedynie filmy Willy Forsta mają powodzenie — «Bel Ami» szedł bez końca — ale też Willy Forst jest majstrem niemal francuskim, bo austriackim. Pokrewieństwo kultur najbardziej do siebie zbliżonych działa na francuskiego widza automatycznie.

Dzisiaj rozsiedliśmy się w kinie i po oglądnięciu dodatków frontowych, w czasie których publiczność jest zwykle bardzo zaziębiona i kaszle, a na widok «osobistości» dostaje wprost kokluszki i takiej chrypki, że wszyscy chrząkają, zanurzyliśmy się w epoce Napoleona III-go. Film dobry i ciekawy — cóż — w najciekawszym momencie światło zapaliło się i — alarm. Anglicy przylecieli. Wszyscy zaczęli wychodzić ociągając się, dyskutując z biletami i robiąc dowcipy *à propos*. Ale gdy okazało się, że bilety należy schować i jutro można przyjść na dalszy ciąg z tymi samymi biletami, tłumek rozszedł się w spokoju. Na jasnych, rozsrebrzonych światłem księżycy ulicach, cisza i spokój. Noc do miłości i do nalotu idealna. I jutro idziemy na dalszy ciąg. Niech mi kto powie, że życie nie jest piękne.

27. 3. 42.

Proces w Riom wywinął kozła na całego. Wyszło z tego zupełnie co innego, niż miało wyjść. Trudno — nie studiowali w Moskwie. Okupacyjne szmaty szaleją. Dziś już otwarcie zapytują: *si c'est un procès de la France ou un procès français*. A z procesu tego wynika jedno: Daladier i Gamelin byli bohaterami i ludźmi honoru. Choć wiedzieli, że Francja jest nieprzygotowana, wypowiedzieli wojnę aby dotrzymać słowa i traktatów przymierza. Teraz już mówi się głośno, że proces przerwą. Wszystko jedno, bo tak czy tak kłamstwa. Niektóre zeznania świadków są jednak ciekawe. Jakiś pułkownik, z całym francuskim temperamentem, scharakteryzował armię francuską z roku 1940 jako *un troupeau et non les troupes*. Pospolite ruszenie bez broni w rękę i z bronią na tyłach, która nigdy nie

zdążyła dojść do linii. Trochę prawdy powiedziano tam jednak i szkoda będzie, gdy skończy się ta operetka.

29. 3. 42.

W nocy z 27 na 28 Anglicy zaatakowali Saint-Nazaire według wszelkich reguł sztuki desantu. A la Zeebrugge w poprzedniej wojnie. Wysiedli nawet na ląd, bili się kilka godzin, weszli do miasta, zniszczyli urządzenia portowe dla łodzi podwodnych, zatknęli na merostwie sztandar i pojechali z powrotem do Anglii. Sensacja. Opowiada się tysiąc plotek na ten temat. Jedno jest pewne, a mianowicie że ludność Saint-Nazaire pomagała Anglikom i że na całe Saint-Nazaire spadły teraz ciężkie zarządzenia odwetowe. A w gazetach piszą, iż Saint-Nazaire dowiodło, że brzegi francuskie *sont inexpugnables*. Faktycznie.

4. 4. 42.

2-go i 3-go dwa razy pod rząd ciężkie bombardowanie. Gdzieś zza Paryża słychać potworne wybuchy bomb, artyleria przeciwlotnicza szaleje, Anglicy latają nad Paryżem i brzęczą jak wściekłe osy, a po dachach dzwonią odłamki pocisków. Tym razem zamienili na proszek zakłady «Matforda» w Poissy na dalekich przedmieściach Paryża.

5. 4. 42.

Wielkanoc. Siedzimy w domu i objadamy się świątecznie. Pani P. wyjechała do Bretanii i mamy spokój. Dzisiaj idziemy do Loli — jutro małe przyjęcie u nas, to znaczy na odwrót: Lola i Janka u nas. Już czwarta Wielkanoc w Paryżu. Siedzę w fotelu i po raz czwarty w życiu usiłuję przeczytać w całości «Wojnę i Pokój» Tołstoja.

(4-ta nad ranem, 5-ty na 6-ty kwiecień).

Alarm. Przylecieli Anglicy. Od pół godziny jest jeden nieprzerwany huk. Głębokie odgłosy, dochodzące z bardziej daleka, basowe i ciężkie jak grzmoty — to serie bomb. Krótkie i szybkie, urywane, to flak. W chwilach ciszy słychać brzęk samolotów, przelatujących nieraz nad nami. W hotelu nikt nie śpi, ale też nikt nie kwapi się do piwnicy ani do metra. Jedynie słychać ciągly trzask drzwi klozetowych. Taka strzelanina pomaga w trawieniu znakomicie. W czasie świąt jest to nawet wskazane. Nasza sąsiadka za ścianą przy każdym zbliżaniu się strażów, pokrzykuje «aj» i prowadzi ożywioną obronę przeciwmiosną. mówiąc w tempie 20-milimetrowego działka. Bo Maurice, korzystając z nalotu Anglików, zaczyna od razu nalatywać na swoją Jane. On poza godzinami jedzenia zawsze, stale i o każdej porze robi nalot. Ona woła bez ustanku *ça me fait mal* i — ulega.

Dochodzi 5-ta i zaległa cisza. Jest noc księżycowa tak jasna, że można by czytać. Wracają i pracują solidnie. Znowu jeden nieprzerwany huk. Paryż obstawiony jest flakiem — po nalocie na «Renault» zmądrzeli. W miarę jak Anglicy przelatują, działa odzywają się gdzieś daleko i potem huczą kolejną. Jak na polowaniu na kaczkę. Basia otworzyła jedno okno i powiedziała: «Żydy i masony odleciały — możemy spać».

6. 4. 42.

Zbombardowali «Gnôme et Rhône» w Gennevilliers i zakłady «Goodrich» w Colombes. Wszyscy mówią teraz, że Anglicy i Amerykanie wylądują w tym roku we Francji. Jeżeli nie wylądują, to w każdym razie dywersja udaje im się niezłe.

9. 4. 42.

Pędzę dziś na rowerze przez rue Saint-Honoré i już mam przeciąć rue de la Paix gdy wprost pod koło wpada mi jakaś fenomenalnie elegancka dama. Zahamowałem tak nagle, że aż mnie zarzuciło. Patrzą. Jacqueline Delubac

w całej okazałości. Śliczne nogi w pantofelkach na super wysokim obcasie, popielaty kostium z długim zakietem (i popielaty i długi — ostatni krzyk mody), na głowie blado-zielony turban jedwabny upięty misternie i wysoko — całość dzieło sztuki. Ale na pustej i zbiedniałej rue de la Paix wyglądała trochę smutno ta piękna i wystrojona kobieta. Jak samotny, złoty ząb w pustej szczęce.

10. 4. 42.

Nie mogę. Żona Tołstoja miała naprawdę żelazne zdrowie. Przepisała siedem razy to, czego ja nie mogę przeczytać ani raz. «Wojna i Pokój» na pewno jest wspólnym dziełem, ale nie mogę. Nie przeżykam nic rosyjskiego. Wstydzę się tego, ale jest we mnie jakaś tak fundamentalna antyrosyjskość, czy jak to nazwać, że nie pożykam. Odrzuca mnie. Pocięszam się tylko tym, że Joseph Conrad, podobno zapytywany czy czytał «Wojnę i Pokój», bąkał coś niezrozumiale, z czego można było zrozumieć, że «w tłumaczeniu», choć znał dobrze rosyjski. Otóż ja ani w oryginale, ani w tłumaczeniu. Obcość, zupełna obcość, odpychająca obcość, coś graniczącego z kompleksem.

Rozważając w pewnym miejscu «Wojny i Pokoju» przyczyny wojny, dochodzi do wniosku — może bardzo «wschodniego», ale kto wie, czy nie najprawdziwszego. Powiada, że wojna musiała wybuchnąć, że z wojną jest jak z dojrzałym jabłkiem, które w pewnym momencie spada na ziemię. Botanik stwierdzi, że musiało spaść, ponieważ dojrzało. Że upadek nastąpił wskutek zeschnięcia się ogonka. Fizyk powie, że upadek spowodowany został z jednej strony przyciąganiem ziemskim, a z drugiej strony wahaniem gałęzi pod wpływem wiatru. Kto inny powie, że to łakomy chłopak strącił je kamieniem. I wszyscy będą mieli rację. Ale w końcu jabłko spadło, bo musiało spaść — niezależnie od przyczyn zewnętrznych, których może być tysiące, z których każda na pewno przyczyniła się do upadku, ale nie była całkowicie promotorem upadku. Bo na upadek złożyło się wszystko — złożyło się dojrzewanie i nieunikniona konsekwencja tego procesu zasadniczo nieuchwytnego.

Gdy myślę o tej wojnie, mam zawsze wrażenie, że jednak jej najgłówniejszą przyczyną był łakomy i głupi, niedorozwinięty umysłowo chłopak-Hitler, który strącił jabłko kamieniem. Dojrzewanie dojrzewaniem, nieuchwytny procesy itd. — a decyzja osobista, decyzja jednego człowieka odegrała zasadniczą rolę. Może nawet w większym stopniu, niż w wypadku Napoleona. Czy ta wojna doprowadzi w konsekwencji do jakiejś nie tylko ekonomii podziału i spożycia, ale i ekonomii CZŁOWIEKA? Do stworzenia systemu całości, a nie tylko wycinka, fragmentu? Bo w tych rzeczach przede wszystkim kryje się «dojrzewanie» w świecie dzisiejszym, te rzeczy wystawione są na kamienie łakomych chłopaków (naprawiaczy świata) z piekła rodem, którzy hipnotyzują półinteligentką ludzkość Bouvardów i Pecuchetów, mędrców broszurkowych. Jeżeli zwycięski świat anglosaski zamknie się z powrotem w egoistycznych, krótkometrażowych posunięciach, jeżeli stając w obronie swojego świata i «uczucia życia» (według Frobeniusa kultura, to uczucie życia) nie zrobił tego po to, by stworzyć coś nowego i wielkiego, bardziej ludzkiego i jaśniejszego, niż jego przeciwnicy — kulturalnie Rosja JEST przeciwnikiem anglosaskiego «uczucia życia» — i jeżeli zabrznie z powrotem w połowiczność, po piętnastu latach będzie nowa rzeź, jeszcze gorsza. Wtedy jabłko naprawdę dojrzeje i wojna będzie «musiała» przyjść.

11. 4. 42.

Laval jest w Vichy i pertraktuje z Pétainem. Prawdopodobnie Niemcy chcą narzucić go rządowi, aby przy jego pomocy dokładniej wyssać Francję. Równocześnie inne sprzedawczyki jak Doriot, Déat i inni jeżdżą z odczytami i wypisują w gazetach, iż wybiła ostatnia godzina: Francja musi wybierać albo kolaborację, albo odrzucić tę jedyną szansę jej zbawienia. Potworny wrzask. Opinia uważa Lavalą za zdrajcę i czeka, co z tych pertraktacji w Vichy wyniknie. Znowu mówi się o tym, że Niemcy zażądają mobilizacji, floty itd. Radio paryskie dławi się od idei kolaboracyjnych. Jeszcze nigdy dotąd nie robiono tyle hałasu na ten temat. Musi Niemcom bardzo zależeć na Francji.

Słoneczna, wiosenna niedziela. Poszliśmy do ogrodu luksemburskiego i usiadłszy w fotelikach — po prostu siedzieliśmy. Ostatnio przywiązuję niesłychane znaczenie do takich rzeczy jak «po prostu siedzieć», «po prostu chodzić», «po prostu jeść» i «po prostu s...». Nie wiadomo, czy w przyszłym świecie człowiek będzie mógł sobie pozwolić na jakieś «po prostu». Wolność... Czuję niemal fizycznie, jak z każdym dniem maleje jej terytorium, jak zmniejsza się ta *peau de chagrin*. Rzeczywiście *de chagrin*. To dziś największe zmartwienie wszystkich poszukiwaczy absolutu, absolutnego szczęścia, absolutnej równości. Obok nas usiadła para starszków zasobnie ubranych — z tej «lepszey» sfery — i ona czytała mu na głos. «L'histoire de l'Armée Allemande» Benoist-Méchin. Jedną z modnych ostatnio książek wśród intelektualnych sfer Paryża. Zresztą naprawdę doskonała i przeczytałem ją jednym tchem. Z naprzeciwka dolatywał plusk fontanny, z boku dochodził monotony głos starszej pani czytającej książkę ślicznym akcentem — francuski musi się «odstać» w rodzinie jak wino w piwnicy — od czasu do czasu furknął przed nosem wróbel żywiący się bez kartek i bez ogonków, chrząst żwiru pod nogami przechodzących... przymknąłem oczy i rozkoszowałem się tym rozprężeniem, spokojem i łagodnością w całym otoczeniu. Wyciągnąwszy się w fotelu miałem uczucie tak zupełnego rozprężenia, iż wydawało mi się że głową dosięgam Bulwaru Saint-Michel, a nogami rue de Fleurus po drugiej stronie ogrodu.

I myślałem. Myślałem, że skoro tworzy się dla zwierząt rezerwy, parki narodowe, że skoro dba się o to, aby choć na ograniczonych terenach nie zniknął żubr, niedźwiedź, jeleń, to byłby już najwyższy czas pomyśleć o stworzeniu jakichś rezerwatów dla ludzi wolnych, rezerwatów wolności. Bo człowiek, który naprawdę chciałby być wolny, który naprawdę kocha to najniezgrabniejsze ze wszystkich stworzeń — wolność, staje się już tak samo rzadki, jak żubr lub jeleń. Wystrzeliwuje się go bez żadnych ograniczeń przy pomocy coraz to doskonalszej broni lub zamyka w nowoczesnych rezerwach i parkach narodowych zwanych obozami koncentracyjnymi. Tępi się go na każdym kroku — w i m i ę w o l n o ś c i. To jest może najlepszy kawał. Nieraz wydaje mi się, że z wolnością zaczęło się naprawdę źle dziać od chwili, gdy zaczęto ją

fabrykować na wszystkie strony, gdy byle kto w tysiącach pokątnych gorzelni zaczął pędzić ten wspaniały napój byle jak i byle więcej. I wyszła «chara», potworny samogon, którym upija się miliony wmawiając im, że to właśnie to. Spytaj człowieka XX-go wieku spotkanego na ulicy człowieka, jak wyobraża sobie wolność. Zacznie od słów: «Najpierw trzeba zlikwidować i wytepić, zamknąć i unieszkodliwić...» Każdy program wolnościowy zaczyna się dziś od kryminału i szubienicy, miejsc odosobnienia i odstrzeliwania pewnej klasy ludzkich ssaków. I w porządku — logicznie. Mało: zrozumiale i należycie. A potem będzie wolność. Jaka? do cholery. Wolność kogo? Niewolników «wolności», galerników. Tylko w niedzielę wolno będzie się wys... «po prostu» a nie za partię, za szczęście przyszłych pokoleń «już wolnych», za ojczyznę, za mać i za k... jej mać, wolność.

Po kilku kwadransach poszliśmy dalej, przeszliśmy przez cały ogród i wstąpiliśmy na tak zwane lody do jednej z kawiarni przy Place de l'Observatoire. A potem długa włóczęga bulwarem Montparnasse, rue de Rennes aż do Saint-Germain-des-Près. Słońce, ciepło, przed bramami domów, z których ciągnie jeszcze zimowym chłodem, siedzą konsjerżki i robią na drutach. U ich nóg wiją się koty jak miękka włóczka, a gdzie niedziedzie klatki z ptakami kołyszą się uwieszone na klamkach okien. Patrząc na nie i myśląc, że człowiek aby czuć się wolnym, potrzebuje widoku czegoś zamkniętego. Przez kontrast z ptakiem w klatce ci ludzie czują się wolni. Przez kontrast z milionami ludzi, gnijącymi dziś w obozach niemieckich i sowieckich, ja czuję się wolny. Przez kontrast można człowiekowi wmówić, że g... to kawior. Cała akceptacja życia odbywa się dziś wśród milionów ludzi «przez kontrast». Przez kontrast można zrobić z człowiekiem wszystko i — robi się. Kontrast — to najnowocześniejsza broń wszystkich nowoczesnych ideologii, najdoskonalsze narzędzie. Odbierz wolność jednemu na dziesięć, zdziesiątkuj — a wtedy pozostałych dziewięciu będzie czuć się wolnymi i błogosławić życie. Z przekonaniem. Dadzą się porąbać albo — zamknąć.

Polskie komunikaty z Londynu. Nie powinno się pyskować w tej sytuacji (kontrast — przez kontrast) ale krew zalewa. Niczego się nie nauczyli. Speaker radiowy mówiąc

o bitwach morskich, nigdy nie wie i nie rozróżnia pancernika od krążownika i kontrtorpedowca od torpedowca. Wiadomości są takie, że nic się z nich dokładnie nie wie, bo robione są przez jakąś delectancką wywołkę ministerialną, do której rzeczywistość nie dociera. Szczegółów o siłach polskich (nazwałbym to raczej polskimi słabościami — armia, wojsko, to polskie słabości) można często dowiedzieć się z komunikatów angielskich, a nawet francuskich — nie mówiąc o sytuacji ogólnej — ale nie z naszych. Bo u nas dają fragmenty sztuk, przemówienia religijne itp. bzdury i szmoncesy zamiast krótkich i inteligentnych rzutów oka na całość. Polskę oczywiście podadzą nam na półmisku, z sosikiem i jarzynkami, bo tak się tam komuś marzy. Ojczyźniany płacz, mazanie się, szloch i ochy ułańskie i okienkowe. W Polsce naprawdę cierpią (nie na niby, jak we Francji i gdzie cierpi tylko ten, co naprawdę chce cierpieć) a oni z trzęśliwymi przemówieniami religijnymi i bezpłciowymi informacjami, że na przykład Falter brał udział z ramienia Polski w konferencji ekonomicznej w Waszyngtonie, która radziła nad ustrojem świata po wojnie. Ładny radca dla powojennego ustroju. Łzy. Im w Polsce nawet już tego taniego towaru zabrakło. Ale my lubimy tanio płakać.

14. 4. 42.

Naprężenie w Vichy doszło do zenitu. Gdy przyszedłem rano do biura, wszyscy opowiadali sobie szeptem, że Pétain uciekł do Afryki z częścią rządu, że został Laval i cała Francja zostaje oddana całkowicie Niemcom. *Nous serons comme la Pologne...* Nie mogłem w to uwierzyć. Jakto? Pétain w końcu zdecydowałby się przestać uprawiać politykę *de leur petit bonheur* — on, który dla tego *petit bonheur* podpisał zawieszenie broni, zamiast uciec do Afryki od razu i tam stworzyć wolną Francję? Francuzi byli przerażeni. Co to będzie? Owszem — chcą wolności, nie chcą Niemców, ale nie daj Boże poświęcić coś ze swojego *petit bonheur*. Niech inni wszystko za nich zrobią, oni już dość zrobili dla ludzkości. Chcą już tylko pracować na dziennej zmianie. Chodziłem pijany z radości. Ileż to kłopotu dla Niemców z taką ucieczką Pétaina... Niestety —

wieczorem okazało się, że Laval doszedł z piernikiem do porozumienia, wszedł do rządu *et tout s'est arrangé très bien*. To najważniejsze. Francuzi już się przyzwyczaili, każdy jako tako urządził się, umościł, pościelił, ułożył sobie *sa petite vie* razem z sobotą i niedzielą — a tu o mały włos wszystko byłoby diabli wzięli. Ale chwala Panu Bogu — *heureusement, parce que, pensez-vous... on souffre déjà assez et encore... rendez-vous compte seulement qu'est-ce que ça serait...* Zbiera mnie na wymioty.

16. 4. 42.

Po południu spotykamy się z panem P. na Gare Montparnasse i oczekujemy przyjazdu pani P. Wraca z Bretanii obładowana prowiantami i my, rozdzielając walizki między siebie, mamy ułatwić jej przejście przez kontrolę i «octroi». Pierwszy raz od czasu ucieczki z Paryża jestem tutaj i chodząc po peronie przypominam sobie to piekło z czerwca 1940 roku. Co się tu działo... Teraz świeci słońce, jest cicho i Gare Montparnasse przypomina stację «gdzieś w mordobijskim powiecie». Cała Francja, cała Europa, to dzisiaj «mordobijski powiat». Od Wołgi po Pireneje biją po mordzie. Pan P. stara się *soutenir la conversation*, która się nie klei i wypowiada setki słów i dziesiątki myśli, które są po prostu konwersacją i niczym więcej. Po peronie snują się tragarze w jasno-niebieskich ubraniach, pchają leniwie wózki i paląc fajki, wystrzykują cienkie nitki śliny między szyny. Pociąg jest oczywiście spóźniony, jak wszystkie pociągi obecnie. Wreszcie wjeżdża i zaczyna się zgiełk. W jednym z okien dostrzegamy panią P. w przekrzywionym berecie na głowie, wzywającą nas ruchami kościstych rąk. Z całą anglosaską pogardą dla innych nacji odgarnęła sprzed okna porcję «tych Francuzów» i zaczęła podawać walizki, klóćąc się z współzawodnikami tym narzeczem tak mało przypominającym angielski i jeszcze mniej francuski. Wychyliła się do mnie i szeptem, słyszalnym prawdopodobnie aż na Montmartre, powiedziała porozumiewawczo: «Fet attenszn, se plejn def...» co w języku Rotondo-Rotondi miało oznaczać «uwaga — to pełne jajek». Ruchem starego grenadiera gwardii wysunęła się wreszcie z wagonu i po hałaśliwych powitaniach, poszliśmy

ku wyjściu. Każdy szedł obładowany w otoczeniu figurantów do walizek. Przechodzimy przez kontrolę bardzo przepalcową i idziemy wprost do biura «octroi». Tam już długi ogonek. Każdy deklaruje skromny tuzin jajek i funt masła (dozwolone w transporcie) mając ich pięć lub sześć, słoninę, mięso — cały sklep spożywczy. Pani P. przywiozła siedemset jajek i mnóstwo innych rzeczy. Urywam się pod ciężarem dwóch walizek. Dwa lata postu robią swoje i dziś już nie jestem w stanie żonglować tak ciężarami, jak dawniej. Wstyd mi się do tego przyznać i robię nadludzkie wysiłki, żeby to donieść jakoś do metra. W każdym razie po przyjeździe do domu nie czuję rąk. Za to kolacja jest wspaniała. Omlet z «n» plus jeden jajek. Pani P. opowiada o Bretanii, o tym najbardziej patriotycznym, to znaczy proangielskim zakątku Francji. Niedługo prawdziwy patriotyzm będzie polegał na tym, że trzeba będzie być prorosyjskim, proamerykańskim lub proangielskim. Na to, aby być trochę swojej narodowości, trzeba będzie przyjąć całkiem i bezkrytycznie jakąś inną. Ludność w Bretanii żyje oczekiwaniem. Dzięki akcentowi pani P. dawali jej na fermach, co tylko zapragnęła. Co noc słyhać odgłosy bombardowania, łuny czerwienią niebo. Bretoni grają w chowanego z Niemcami i chowają, co się da. Przetrwały tam jeszcze tradycje Szuanów, przetrwała jakaś postawa bardziej godna, niż w reszcie Francji. «On était trop heureux» jak mówią dziś ci, którzy zdają sobie naprawdę sprawę z tego, co się stało. Bo na ogół cała Francja jest jak Gare Montparnasse przed przyjazdem pociągu — czeka na pociąg z żywnością — no i z wolnością.

18.4. 42.

Laval utworzył nowy rząd z samych swoich współpracowników lub sztandarowych kolaborantów. *Eine kleine aber nette Gesellschaft*. Pétain pozostał *chef d'Etat*, Darlan jest szefem sił zbrojnych lądowych, morskich i powietrznych. No i wszyscy razem zabierają się do odrodzenia Francji według wszelkich reguł sztuki narodowego socjalizmu. Wielkie afisze w stylu «das III Reich» propagują rozrodczość (przy braku rozrywek i innych środków zapobiegawczych może się to udać), młodzież maszeru-

je ulicami ze śpiewem, wszędzie pisze się «Empire Français» a nie «la France» — jednym słowem czym więcej tracą kolonii, tym więcej mówi się o «Empire». Tymczasem «Empire» oddał Indochiny Japończykom, w Syrii są Anglicy, Tahiti i inne wysepki razem z Martyniką są pod opieką amerykańską, a w najbliższym czasie Anglicy zajmą Madagaskar. I co zostanie z «Empire»? Ale operetka idzie w najlepsze.

21. 4. 42.

Anglicy zrobili dywersję na tyłach, która udała się. Dziś Londyn powiedział, że Niemcy przetrzucili pewną część sił ze wschodu do Francji i naczelne dowództwo tych sił zostało powierzone von Rundstaedt'owi. I rzeczywiście — od kilku dni znowu pełno Niemców w Paryżu. Z powrotem zagospodarowują się w lepszych hotelach, a miejsca postojów samochodów z tabliczkami «Nur für deutsche Wagen» zapełniły się na nowo po kilku miesiącach pustki. Czasem z wielkim hukiem i brzękiem przejeżdża przez miasto pluton czołgów «Renault 7» i chodzą słuchy, że fortyfikują Paryż. Ale to są słuchy. Natomiast wszystkie konsjerżki mówią, że Anglicy na pewno zaatakują Madagaskar i coś na tym musi być. Nigdy nie lekceważę informacji konsjerżek, bo one wiedzą zawsze najlepiej. Właściwością wielkich i tajnych przygotowań wojennych i ofensywnych tak zwanych demokracji jest to, że wszyscy o nich wiedzą na dwa miesiące naprzód. A konsjerżki na trzy.

27. 4. 42.

Hitler miał mowę. Trochę inną niż zwykle. Londyn, komentując ją, dowcipnie powiedział: «Czekaliśmy przeciwko komu Hitler rozpocznie wiosenną ofensywę — czy przeciwko Anglii, czy przeciwko Rosji — tymczasem rozpoczął ją przeciwko własnemu narodowi». Mowa była bardzo stanowcza. Odnosi się wrażenie, że po dwóch i pół roku wojny zaczęło się już coś psuć w Niemczech, że nastąpiło jakby zmęczenie i zubożenie, że w poszczególnych wypadkach nawet ludzie na kierowniczych stanowis-

kach zaczęli wyłamywać się z żelaznej dyscypliny. I Führer zareagował żądaniem od Reichstagu absolutnej władzy. Może i wolno mu teraz posłać tam, skąd się nie wraca nawet Keitla i wszystkich swoich marszałków. Jest panem życia i śmierci każdego, co dobitnie i niedwuznacznie potwierdził Hermann Göring w przemówieniu zamykającym posiedzenie Reichstagu. Jak na dwudziesty wiek przystało. *Tout va pour le mieux dans ce meilleur des mondes.*

28. 4. 42.

Wrażenie mowy Hitlera jest ogromne. Londyn wakuje ją na wszystkie sposoby, we wszystkich językach i w każdym komunikacie. Jednym słowem jeszcze trochę i wygramy. To samo w Paryżu: wszyscy mówią, że coś niedobrze, że w Niemczech coś się kruszy i że już niedługo... Krótkowzroczność. Nikomu o tym nie mówię, bo mieliby oczywiście człowieka za złego Polaka, ale wszyscy popełniają ciągle jeden błąd, zawsze ten sam: nie doceniają siły niemieckiej, na pewno już znacznie osłabionej, ale jeszcze bardzo wielkiej. Nie bierze się pod uwagę tej możliwości, że wojna może się skończyć przy użyciu zupełnie innej broni aniżeli ta, z którą się zaczęła, nie bierze się pod uwagę techniki i wynalazków. Co przygotowują Niemcy? Motor spalinowy jest w gruncie rzeczy takim samym przeżytkiem jak tłokowa maszyna parowa, zastąpiona już dzisiaj wszędzie turbiną parową, zwiększającą niepomierne ilości obrotów na minutę. Już na kilka lat przed wojną Opel robił doświadczenia z samolotem o napędzie raketowym, Niemcy zawsze przodowali w technice. Przecenia się możliwości Anglii, właściwie żadne w porównaniu z Ameryką, która dopiero teraz zaczyna wykańczać prototypy i puszcza przemysł na cały regulator. Ze strony Anglosasów tylko preliminarze jeszcze ciągle niewykonane i — Rosja. Gdyby nie Rosja, to naprawdę nie wiem kto by się bił i szarpał Niemców. I za to trzeba będzie słono zapłacić. Jak dotąd nic nie słyhać o wielkiej ofensywie niemieckiej, na którą oczekuje się z niepokojem. Czy Niemcy sobie poradzą, czy też będą musieli drugi raz zimować? Ale w całej atmosferze unosi się nadzieja, że w tym roku wojna skończy się na pewno. Są tacy, co już się cieszą, na zapas.

30. 4. 42.

«Mémoires du Général Comte de Marbot» są świetne. Pomimo wszystko ileż dżentelmenerii we wzajemnym mordowaniu się. Angielski sposób wojowania do dziś dnia się nie zmienił. Akcja Wellingtona w Portugalii, to kolejne załadowywanie się na okręty i ucieczka, gdy Francuzi są stroną atakującą, tudzież wyładowywanie się z okrętów i marsz naprzód, gdy Francuzi dobrowolnie się wycofują. A w tym wszystkim biją się naprawdę jedynie Portugalczycy i dają się wyrzynać za — Anglików. Zasadniczo akcja bojowa Anglików w Portugalii polegała na tym, że maszerujący korpus marszałka Masséna miał zawsze po bokach kilku oficerów angielskich, którzy podjeżdżali konno bardzo blisko, wyciągali z kieszeni notes i z odległości kilkuset kroków liczyli i notowali stan korpusu. I nigdy nie było można ich złapać, bo jeździli na koniach wyścigowych pełnej krwi, których zwykle konie francuskiej kawalerii nie mogły dogonić. Cała ich akcja w Egipcie jak dotąd, to takie wellingtonowskie chodzenie w tył i naprzód na czele niemal wyłącznie cudzoziemskich oddziałów.

3. 5. 42.

Kilka dni temu udało mi się kupić okazynie damski rower. Dziś rano poszliśmy do lasu Vincennes na pierwszą lekcję. Przewiany łagodnym wiatrem wiosenny i słoneczny dzień. Po kwadransie podtrzymywania, Basia zaczęła już jeździć sama, po godzinie nauczyła się zsiadać i wsiaść. Usiedliśmy na słońcu. Potem ja pojechałem do domu, zabrałem chleb, ser i wino i wróciłem do lasu. Jedliśmy przytuleni do siebie, bo wiatr zrobił się chłodny, a potem jeździliśmy już razem po alejach i ścieżkach. I byliśmy bardzo szczęśliwi.

4. 5. 42.

Skupuję teraz różne części rowerowe, bo chcę odnowić tego grata Basi. Nigdzie nic nie można dostać i trzeba szukać wszędzie, żeby coś znaleźć. Zajechałem dziś do jednego sklepu ze sprzętem rowerowym koło Portes de Ver-

sailles. W sklepie było dwóch żołnierzy niemieckich — jeden stary, drugi może 19-letni lub 20-letni chłopak. Kupowali latarkę elektryczną. Szło to ciężko, bo nie mogli porozumieć się z Francuzem, a gdy kupiec zaczął im tłumaczyć, że żarówki im nie sprzeda, bo nie ma, zupełnie nie mogli zrozumieć, o co chodzi i koniecznie domagali się żarówki, nie chcąc wyjść ze sklepu. Choć nigdy tego nie robię, dziś śpieszyło mi się i postanowiłem skończyć to ciągnące się bez końca nieporozumienie. Powiedziałem im po niemiecku o co chodzi, wytłumaczyłem, że żarówek do ich typu latarek brak, ale jeśli wezmą całą latarkę francuskiej produkcji, to mogą mieć komplet i części zapasowe. Ucieszyli się bardzo, kupili od razu najdroższą latarkę — Francuz zrobił się dla mnie cukierkowy — i zaczęli ze mną gadać. Jakim sposobem mówię tak dobrze po niemiecku, chyba nie jestem Francuzem. Nie — jestem Polakiem, z Krakowa, ale urodziłem się w Wiener-Neustadt. Obydwaj aż podskoczyli. Starszy, uradowany, chwycił mnie za ramię i krzyczy: *Dann sind Sie mein Landsmann. Ich bin ja auch aus Wiener-Neustadt und der Junge ist aus Baden.* Rodacy — jak Boga kocham. Zaczęli ze mną rozmowę o Wiedniu, jakim sposobem znalazłem się we Francji, czy byłem w wojsku. Mówię, że nie. *Na, na — sollen Sie glücklich sein...* Rozmowa robi się coraz to intymniejsza, pytają mnie, czy Polaków we Francji nie gnębią. Mówię, że jak dotąd nie, ale chyba wie, co dzieje się w Polsce. *«Ja — das ist ganz einfach schamlos, ale czy myśli pan, że w Austrii lepiej? Wszyscy muszą pracować, nawet niedołączonych pędzą do pracy, jego matka musi pracować choć już ledwo chodzi, a on w wojsku. Schauen Sie sich das an...»* Zdejmuje furazerkę i pokazuje mi siwą głowę. Ma 54 lata. Zaczyna kłać wojnę, Hitlera, wszystko. *Und denken Sie wie viel das kostet, diese verrückte Spielerei... und wozu, warum... weil der sogenannte Führer von Anfang an ein Idiot wurde...* Mrugnąłem okiem i nie chcąc wdawać się w dalszą dyskusję, szybko żegnam się z nimi. Niemal mnie ściskają, są naprawdę rozczuleni. Ja też.

Po kolacji wyjazd rowerami i włóczęga po pachnących młodą zielenią alejach, usypiających w ciszy kończącego się dnia czasu niemieckiego.

Już jest maj, a Niemcy nie zaczęli ofensywy. Tej wielkiej i decydującej.

5. 5. 42.

Rano atmosfera naprężona — kontredans plotek i komentarzy. Anglicy zaatakowali Madagaskar, desant w Diego Suarez. To znaczy, że konsjerżki miały rację. W wieczornych gazetach ukazał się już oficjalny komunikat o «tchórzliwym zamachu Anglików na francuską posiadłość i o bohaterskiej obronie załogi Diego Suarez». Chociaż to. Już bałem się, że Francuzi oddadzą to Japończykom.

10. 5. 42.

Rano pojechaliśmy nad Marnę. Dzień ciepły i słoneczny — nad Marną ruch, jak na promenadzie w Cannes. Wszystkie wypożyczalnie łódek, kajaków, żaglówek i kanoe otwarte, w przybrzeżnych bistrach i «ginguettes» ruch i gwar zmieszany z muzyką gramofonową, na tarasach i na drodze pełno kobiet i dziewcząt w szortach, mężczyźni w białych spodniach i tłum cyklistów jadących w obydwie strony. Śmiechy, śpiewy, pokrzykiwania. Jak za dawnych, dobrych czasów. Pojechaliśmy daleko brzegiem Marny, usiedli naprzeciwko jakichś wzgórz i zbitej masy zieleni, ciemnej jak na pejzażach Courbeta i znowu było nam dobrze.

Potem wracaliśmy błędząc po tych małych miasteczkach podparyskich, tak bardzo prowincjonalnych jakby leżały o setki kilometrów od Paryża. Coś jest tu takiego, że się odpoczywa jak nigdy i nigdzie. We Francji, nawet w samym Paryżu, nie ma w powietrzu nerwowości. Niedziela jest niedzielą, każdy stara się ją wykorzystać jak może, nie troszcząc się o innych. Chcesz żyć, więc pozwól żyć innym, a oni ci dadzą żyć.

Wieczorem Churchill miał mowę. Jak zwykle optymistyczną i tylko przestrzegł Niemców przed użyciem gazów. Ostatnio dużo mówi się o gazach i mogłoby się zdawać, że Niemcy zechcą ich użyć. Poza tym powiedział, że w roku 1940 sytuacja Anglii była wręcz krytyczna, ale że, oczywiście, od tego czasu wiele się zmieniło, że będzie to, będzie tamto — rozległe preliminarze, w których główną rolę odgrywa Ameryka, dająca sobie tymczasem zabierać, co tylko Japończykom się podoba. Ale trzeba wierzyć.

11. 5. 42.

Mój S. skazany w styczniu w Senlis na grzywnę, wniósł już raz podanie o anulację. Teraz przyszło znowu zapytanie i *enquête* do jego komisariatu policji. Komisariat przysłał mu powołanie, byłem z nim i sprawa powtórnie odpłynęła na ocean spokojny francuskiej biurokracji. Pożegluje ze dwa, trzy miesiące i wróci — a wtedy ja znowu puszczę ją na jakieś rozległe wody.

Po wizycie w komisariacie włóczyliśmy się w okolicach Place Clichy i wylądowaliśmy w końcu w jakimś bistro na samym placu. Godzina przedwieczorna, ruch, przy stolikach pełno dziewczynek oczekujących klienteli. Obok nas usiadła jakaś starsza i wymalowana. Nie wiem, czy jest coś bardziej odrażającego, a jednocześnie godnego litości, jak prostytutka u schyłku kariery. Na twarzy, w całej postaci znać zużycie, zmięcie i zmęczenie. Tym straszniejsze, że pokryte grubo szminką, jaskrawym strojem i trupimi uśmiechami. Widać, jak z trudem i z rozpaczą czepia się tego, co było, czepia się swej przeszłości chcąc uczynić z niej terazniejszość. W jakimś ułamku sekundy przeleciała mi przez głowę myśl: «To Francja». Potem zawstydzilem się i starałem się dostrzec w niej tylko to, czym była. Psyknęła na garsona i ten postawił przed nią pustą szklankę, zabraną z jakiegoś innego stołu. Będzie mogła tak siedzieć godzinę i dwie, aż ktoś mrugnie do niej lub przysiadzie się, zapłaci kelnerowi za aperitiw, którego wcale nie piła, kelner zainkasuje całą sumę do własnej kieszeni i postawi nową kolejkę. A potem pójdą do jednego z niezliczonych hotelików przy rue Biot, Lemercier lub Nollet. A może nikt dziś nie będzie chciał... więc na wszelki wypadek uśmiecha się do mnie, mruży lśniące oczy i mruga zasiekami doklejonych rzęs. Jest bez pończoch, a jej gołe, zwieńczone i niepomalowane nogi mają kolor gotowanej ryby. W rozciągnięty nad tarasem płócienny dach zaczął bębnić ciepły, wiosenny deszcz i ściemniło się. Zapalono czerwone neony. A my sączyliśmy sacharynowy «Grenache».

12. 5. 42.

Niemcy rozpoczęli ofensywę na Kercz. Oczywiście idą naprzód.

14. 5. 42.

Niemcy ogłaszają zwycięstwo i zdobycie Kerczu, Timoszenko zaczyna uderzenie pod Charkowem. Wieczorem wracaliśmy z miasta metrem i w przepelnionym wagonie ktoś rozpylił proszek do kichania. Wszyscy zaczęli straszliwie kichać i śmiać się na widok trzech żołnierzy niemieckich podskakujących w paroksyzmach kichania. Ktoś w głębi wagonu wrzasnął: «Zakładajcie wasze maski — wojna gazowa została rozpoczęta». Wysiedli kichając na najbliższym przystanku. A cały wagon drżał od śmiechu, kołysał się w powszechnym i dobroduszno-złośliwym śmiechu.

20. 5. 42.

Pod Charkowem jatki, ale ani jedni, ani drudzy nie poszli naprzód. Niemcy twierdzą, że jest to największa bitwa w historii świata i dotychczasowej wojny i że ją wygryają, Moskwa mówi, że jej nie przegra. A Anglicy przypatrują się i dużo mówią przez radio.

Nieraz wydaje mi się, że jestem za szczęśliwy i że trzeba będzie za to zapłacić. I wtedy deklamuję sobie po cichu «Der Ring des Polikrates». Ale nie kończę, bo to za ponure. I wolę szepnąć po francusku: *Qu'est-ce que tu veux — c'est la vie. Quand ça va bien, il faut en profiter et c'est tout.*

Pogoda się popsowała i siedzimy w domu. Czytam Bainville'a. «Histoire de deux peuples».

26. 5. 42.

Darré, minister żywienia trzeciej Rzeszy, podał się do dymisji. Führer udzielił mu bezterminowego urlopu.

30. 5. 42.

Głośna noc. Anglicy poprawiali dziś w nocy Colombes i Gennevilliers pod Paryżem.

31. 5. 42.

Sensacja. Tysiąc samolotów angielskich bombardowało Kolonię i Zagłębie Ruhry. Niemcy skarżą się, że nawet katedrę im uszkodzili, a człowiek słysząc takie nowinki, cieszy się i żałuje, że cała katedra nie rozleciała się w pył. To najlepszy dowód, do jakiego stopnia «Grossdeutschland» potrafi robić z nas ludzi kulturalnych. Gdy oglądam w kinie dodatki artystyczne, przedstawiające piękno Ratsybony czy innego jakiegoś miasta niemieckiego, zadrzemanego w ciszy gotyku (dużo tych dodatków ostatnio) to jedynym żywszym uczuciem napawa mnie myśl, jakby to było ładnie, gdyby to wszystko zostało zamienione w pył, a na tych gruzach tańczyli Kozacy, pijani *echt kölnisches Wasser 4711*. I dopiero myśl, że może się to łatwo zdarzyć, ale na naszych własnych gruzach, ostudza mnie trochę w zapale.

Rosjanie powiedzieli, że jeszcze dwa lub trzy takie zwycięstwa, jak pod Charkowem, i będzie koniec wojny. A w Paryżu wiosna. I ponieważ coraz trudniej o wszystko, to jeszcze nigdy nie widziało się tyle tak elegancko i modnie ubranych kobiet i tylu nowych rowerów, co również należy do mody. Przed kinami ogonki, w kawiarniach pełno, ceny coraz wyższe, ale wszyscy żyją i jakoś mają pieniądze. No i oczywiście w tym roku koniec wojny. Przypuścmy...

1. 6. 42.

»Matin« z 21. 5. 42 w małym artykule pt. «Les visées soviétiques en Europe» pisze: «...*les Soviets désiraient occuper Trondheim, Bergen et Norwich avec leur hinterland*». Francuski wzbogaca się ostatnio niesamowicie. Obok słów *le Führer, la Wehrmacht, la Luftwaffe, un ausweis, la Kommandantur, le Militärbefehlshaber*, teraz przybył «*hinterland*».

Poza tym ogłoszono dziś, że od dnia 8 czerwca począwszy, Żydzi całej Francji okupowanej mają nosić na lewej piersi żółte gwiazdy. Gwiazdy te otrzymają na swoich komisariatach policji oddając wzamian po dwa punkty ze swoich kart tekstylnych. Te dwa punkty z kart

tekstylnych doprowadziły mnie do stanu graniczącego z szałem. Francuzi uśmiechają się z politowaniem. Trzeba naprawdę nie mieć piątej kleпки, aby potrzebując Francuzów i chcąc ich nakłonić do współpracy, wydawać w tym kraju zarządzenia tego rodzaju i popisywać się w ten sposób przed narodem, który mimo wszystko wydał «Deklarację praw człowieka» i do dziś dnia jest nią przesiąknięty. Tragiczne, wstrętne i beznadziejne.

2. 6. 42.

List od Hanki — prawdziwy, bez cenzury. Aż za prawdziwy. Czytam go bez przerwy i wstyd mi, że ja mogłem zapisać pięć zeszytów samymi bzdurami. Tu dwa lata sielanki, tam dwa lata czegoś, czego w ogóle nie można nazwać życiem. Taki list wystarczy. Przetłumaczyłem go na francuski i pokazuję zaufanym Francuzom z krótkim komentarzem.

5. 6. 42.

Wiele hałasu o Libię, gdzie Niemcy rozpoczęli znowu ofensywę i o zamordowanie Heydricha w Czechosłowacji. Wielka bitwa pod Charkowem skończyła się remisowo. W Vichy rządzi Laval i procesowi w Riom ukręcono głowę.

7. 6. 42.

A jednak za Franc Jozefa było «lepiej».

8. 6. 42.

Najnowsza sensacja: Radio londyńskie nakazuje ludności francuskiej zamieszkującej wybrzeże, opuszczenie tej strefy od północy aż do Pirenejów. Robią wielki szum, że wylądują. Francuzi cieszą się, nikt nie mówi o niczym innym tylko o desancie angielsko-amerykańskim, o drugim

froncie i o tańczeniu na 14 lipca już z «Tommies» przy dźwiękach «Tipperary». A przecież to wszystko jest dobrze wyreżyserowaną komedią, żeby połaskotać Niemców w tyłu. Owszem — wylądują, ale jak już Niemców nie będzie. No ale cóż to szkodzi podrażnić się troszkę i poligłować.

9. 6. 42.

Z tym lądowaniem Anglików Francuzi mają jednak kłopot. Bo co w takim razie będzie z wakacjami? Pół Paryża wybiera się na lato do Bretanii, bo tam najwięcej masła, jajek i mleka, a tu Anglicy zaczynają zupełnie poważnie straszyć. Jedna z moich koleżanek biurowych, jeszcze wczoraj zajadła patriotka to znaczy proangielska, osoba «wierząca» jak to się teraz mówi o ludziach słuchających radia londyńskiego i «praktykująca» to znaczy posiadająca radio z możliwością odbioru fal krótkich, o mały włos nie dostała dziś ataku furii. Ładna historia! Ona za dziesięć dni wyjeżdża do Bretanii, *justement sur la côte*, a tu gotowo się wszystko nie udać. I to wszystko, co wczoraj mówiła o Niemcach, zacinając usta, dziś mówi o Anglikach. *Ces Anglais — qu'ils nous foutent la paix — au moins pendant la période des vacances*. Druga sensacja: Uciekinierzy niemieccy w Paryżu. Podobno po tym zbombardowaniu Kolonii, duże ilości uciekinierów niemieckich przyjechały do Paryża.

Żydzi od dzisiaj noszą żółte gwiazdy z czarnym, stylizowanym w kształcie liter hebrajskich napisem «JUIF». Staram się ich nie dostrzegać, bo mi wstyd. Ale jakże mało ludzi zdaje sobie sprawę do jakiej dziczy doszliśmy my, LUDZIE BIALI. Wstyd mi za całą tę rasę, tę wspaniałą rasę, która zbudowała nowoczesny świat, która stworzyła całą technikę, ujarzmiła przyrodę, opanowała już tyle chorób — po co? Aby w 1942 roku zmuszać swoich współbraci, swój może najwartościowszy element, swoje drożdże, do noszenia poniżających odznak, jak trędowatych w średniowieczu. Gdybym był kolorowym, straciłbym cały szacunek do białych. Może kiedyś trzeba będzie zapłacić najwyższą cenę za te zabawy szaleńców. Cenę naszego istnienia. Użyjcie się naszej techniki i naszej dzikości do zniszczenia nas.

11. 6. 42.

Niemcy powtarzają uderzenie pod Charkowem i rozpoczynają oblężenie Sebastopola. Bitwa o naftę na Kaukazie rozpoczęta. Jestem ciekawy, jak długo Rosjanom uda się utrzymać Sebastopol. W Libii coraz gorzej, Rommel popycha Anglików. Są to bezustanne spacerunki nad brzegiem morza. Czas mija tak szybko, że można dostać zawrotu głowy. Kiedy ta wojna skończy się! Pytanie, które zadają sobie miliony ludzi, będące igraszką jakiejś fatalności, nieczystych sił.

Jak straszliwie wszyscy stępieliśmy. Tylko czasem, gdy się spokojnie zastanowić, włosy stają dęba na głowie. Przecież nigdy, w całej historii świata, nie doszło do takiego podeptania elementarnych zasad prawa, do takiego zabicia wszystkiego, co ma jakikolwiek związek ze sprawiedliwością i z humanitaryzmem, z człowiekiem i jego duchem. Czym stał się świat? Zbiorowiskiem istot, które coraz to bardziej zatracają to, co możnaby nazwać życiem wewnętrznym i kulturą ducha. Życie stało się życiem naskórka, który coraz to szybciej i zachłanniej chce dojść do czegoś, czego nie potrafi sobie nawet uświadomić, zagłuszając się tymczasem szybkością, rozrywkami, opychaniem się wszystkimi zdobyczami cywilizacji bez miary, ponad wytrzymałość nerwów i mózgu. Ustroje polityczne i ekonomiczne zrobiły z całego świata jeden wielki kryminał, w którym miliardy ludzi dźwigają kajdany nałożone na ciało i ducha przez «nowe», «jedyne» i «prawdziwe» ideologie polityczno-społeczne. Czymże są te wszystkie nowoczesne ustroje, nowoczesne myśli i założenia, współczesne poglądy na życie człowieka i jego zadania? Są po prostu jednym wielkim i powszechnym zaprzeczeniem człowieka. To wszystko, co jest w nim wartościowego, co mogłoby się rozwinąć w tym najbardziej nieudanym produkcie Boga i zakwitnąć w ciągu pokoleń — to wszystko zabijane jest w nim systematycznie i dokładnie — naukowo. Do czego doszliśmy? Ze dziś za rzecz zrozumiałą i ogólnie przyjętą uważamy to, na co serce człowieka z epoki kamiennej zaabiłoby żywiej. A nasze bije normalnie, bo stępieliśmy, zubożętnieli i zachowujemy się jak zwierzęta w okresie polowań: od nagonki do nagonki, płaszcząc się i kryjąc, starając się nie zwracać niczyjej uwagi.

Wiek rozpasania najniższych instynktów i to rozpasania świadomego i opracowywanego przy pomocy najwyszukańszych metod. Wiek XVIII dał «Deklarację Praw Człowieka» na to, aby XX prześcigał się w wynajdywaniu «jedynych i prawdziwych» ideologii, które pozwoliłyby baranom różnych Panurgów zapomnieć o właściwym sensie i znaczeniu wyrazów «prawo» i «człowiek». Nowoczesne państwo stało się molochem zżerającym ludzi milionami, tworem żądającym bezustannych ofiar i niewolnictwa, w którym człowiek jako jednostka reprezentująca pewną myśl i ducha jest przekreślona, zdeptana, zniweczona. To, co uważamy dziś za prawo, za ustawy i kodeksy, co już — co gorsze — przyzwyczailiśmy się uważać za czynnik rządzący stosunkami między ludźmi, jest przecież zwyczajnym bezprawiem. Dzisiejszy człowiek uważa za rzecz normalną, że list jego jest otworzony i przeczytany, doręczony lub nie doręczony, że mogą wejść do jego mieszkania bez nakazu sądowego, że wpakują go do obozu lub uśmiercają bez sądu. Ustawy i kodeksy nowego świata, to bezprawie ujęte w paragrafy, włączane w otępiałe umysły stada dwunogów, które już p r z y z w y c z a i ł y s i ę do tego i reagują jedynie wtedy, gdy dotyczy to kogoś bezpośrednio. Chciałoby się krzyczeć, wypluć płuca, wyć, że przyjęta i uważana za normalną zasada «cel uświęca środki» jest ZAWSZE ZBRODNIĄ — zbrodnią, która nas kiedyś pogrzebie.

Bezbronnemu obywatelowi włącza się kodeksy bezprawia do głowy przy pomocy rewolweru, karabinu maszynowego, samochodu pancernego i kontroli życia prywatnego. A nad tym rozpościera się propaganda, wyzyskująca wszystkich i wszystko by kłamstwu, coraz to brudniejszemu i grubszeemu, nadać pozory prawdy. Na polach walk giną ludzie, na całym świecie ginie Człowiek, zamieniając się w bydlę, wyprane ze wszystkiego i myślące coraz bardziej o tym, czym zapchać żołądek i co zrobić, aby przeżyć o dzień dłużej niż inny okaz z tego stada, pędzonego batem i szturchanego w plecy lufą nabitego pistoletu. To pozostawi ślad, spodli na lata. Bo na to by z bydlęciami, jakim jest człowiek zrobić człowieka — trzeba lat. By zrobić z niego jeszcze większe bydlę, wystarczy chwila. Czy po tej wojnie mamy znowu powrócić do jakiejś odmiany tych ustrojów, które poniewierają człowiekiem? Bolsze-

wizm skopał i zabił człowieka, faszyzm zrobił to samo przy pomocy bardziej «łacińskich» metod, nazizm sponiewierał już pół świata. Pozostaje anglo-saski liberalizm, słaby jak każdy liberalizm, ale w końcu jedyny. Czy będzie możliwym stworzenie czegoś nowego jeszcze w tym pokoleniu skopanym i spodlonym, zabłąkanym w przestrzeni i w czasie, nieodróżniającym już często prawa od bezprawia i Boga od diabła? Nie wiem. Pesymizm? Brak wiary w człowieka? Mizantropia? Nie. To tylko chwila zastanowienia, chwila myśli każdego człowieka usiłującego być jeszcze człowiekiem w epoce, w której bezmyślność i ideologie «jedyne i prawdziwe» ustawione są na cokole, a pod nim cała ludzkość odprawia nabożeństwo przy pomocy modlitw wyuczonych z modlitewników pełnych litanij bezprawia, obłąkania, głupoty, zezwierzęcenia i krwi.

20. 6. 42.

Załatwiałem dziś w Ministerstwie Pracy pewną sprawę. Udało się nam mianowicie umieścić kilkunastu robotników na tak zwanym *chantier de chômage* gdzie kopiać w ogródkach mają w południe możliwy obiad, 1.600 franków miesięcznie i nie są bezrobotnymi. Wywahał to K. i opracował plan, ja miałem dokończyć dzieła uzyskując w Ministerstwie Pracy zezwolenie na zatrudnienie ich. Wybrałem się więc do Ministerstwa Pracy wprost do jednej z najgrubszych ryb od *main-d'œuvre étrangère*, Mr. Pagès. Byłem już u niego parokrotnie i zawsze był bardzo uprzejmy nie odmawiając mi nigdy audiencji i idąc często na rękę w sprawach robotników polskich. Dziś przyjechałem i po złożeniu wizytówki, zostałem od razu przyjęty. Od ręki wydał mi to zezwolenie nie czepiając się żadnych głupstw choć papiery niektórych kandydatów były nie całkiem w porządku. Na odchodnym dziękuję mu gorąco. Spojrzał na mnie i nagle powiedział: *Et surtout n'envoyez pas vos ouvriers polonais travailler en Allemagne*. Zgłupiałem i mamrotając jakieś *Monsieur, Monsieur* zbliżyłem się ponownie do jego biurka. Wstał i widząc moje wzruszenie, objął mnie i poklepał po ramieniu: *Allez, allez — vous faites du beau boulot, mon vieux*. (No, no mój stary — odwalasz dobry kawałek roboty — trochę w «ar-

got»). Argot, zaufanie do mnie, jego zrozumienie — wszystko to rozkleiło mnie. Uścisnąłem mu mocno rękę, mówiąc coś o radości, że są jeszcze tacy jak on na najwyższych stanowiskach, że nie wszyscy... Poglądził mnie po głowie i też ze wzruszeniem powiedział: *Mais nous sommes nombreux comme ça — du courage — on les aura.*

Są jeszcze ludzie, i to na wysokich stanowiskach, w tym wypadku kluczowych, którzy nie dali się kupić. Jestem dziś cały pod wrażeniem tej krótkiej rozmowy. Tu odezwała się Francja, którą kocham.

22. 6. 42.

Anglicy oddali Tobruk. Wrażenie w Paryżu szalone, a propagandowe wyzyskanie tej porażki angielskiej przez Niemców jest bez zarzutu.

Laval miał wczoraj wielką mowę propagandową, w której usilnie namawiał Francuzów do dobrowolnego wyjazdu do pracy do Niemiec. Cała ta mowa była czymś tak nikczemnym, że wprost trudno w to uwierzyć. Ta karta historii Francji będzie naprawdę czarna. Cały ten rząd w Vichy, cała ta polityka, to jedna wielka hańba. I gdyby nie tacy ludzie, jak Pagès, który pozwolił mi dojrzeć także coś innego przedwczoraj, to można by zwątpić w ten naród.

Niemcy oblegają Sebastopol i prawdopodobnie go wezmą, po czym rozpoczną wielką ofensywę, najprawdopodobniej na Kaukaz. Po Tobruku lądowanie Anglików należy do bajek dla grzecznych dzieci.

25. 6. 42.

A w Paryżu zaczyna się lato. Miasto kapie się w słońcu i w ciepłe, życie — dostosowawszy się mniej lub więcej do obecnych warunków — kwitnie z typowo francuską beztroską, uśmiecha się do wszystkiego. Polityka polityką, Sebastopol Sebastopolem, ale cóż to wszystko znaczy wobec tego, że są owoce, dużo owoców. Cały Paryż jeździ na rowerze. Rower jest ostatnim krzykiem mody. Podupadający przed wojną przemysł rowerowy (rozwój automobilizmu) zmartwychwstał. Wszyscy ci, co mieli niegdyś samo-

chody, kupują rowery płacąc zawrotne ceny, bo o nowy rower coraz trudniej. Za rower płaci się pieniędzmi, masłem, jajkami i tytoniem. Ale pomimo to nowych rowerów coraz więcej. Szanująca się elegantka musi mieć rower. To samo z ubraniem. Nigdy Paryż nie był tak elegancki i tak modnie ubrany, jak w tym roku. Wszystkie kobiety mają nowe kostiumy z długimi żakietami, a ponieważ trudno o skórę, więc wszystkie mają wielkie torby skórzane z pasem do przewieszenia przez ramię. Do tego jakieś fantazyjne sandały na drewnianej podeszwie i artystycznie malowane nogi, niektóre nawet z szwem równiutko ciągniętym. Wśród perfum króluje «Chanel 5» i Guerlain. Pracuję spokojnie, darmowa wypożyczalnia książek w Merostwie 12-go arrondissement jest zupełnie dobrze zaopatrzona i dostarcza mi stawy duchowej. Nudno.

26. 6. 42.

Wprost zastanawiające do jakiego stopnia Niemcy bawią się z Francuzami. Nie krępując się w żadnym z krajów podbitych, do Francuzów wdzięczą się i mizdrzą. Idą na kompromisy, ściskają za gardło, ale przez rękawiczki, wymuszają, ale proponują coś wzamian. Cztery dni temu Laval miał mowę, propagującą wyjazd robotników do Niemiec. Do 15-go października Niemcy chcą mieć 150.000 specjalistów. I Laval im to obiecał. Obiecał, że do 15-go października 150.000 ludzi wyjedzie *dobrowolnie* do Niemiec. Zaczął od mowy. Dziś odzew ze strony niemieckiej. *Militärbefehlshaber* wydał edykt, że wobec każdego, kto zaangażuje się do pracy w Niemczech, ustaje ewentualne postępowanie sądowe z tytułu spraw cywilnych lub handlowych.

Mogę wystawić weksel na milion franków, nie zapłacić go, mogę wystawić czek bez pokrycia, mogę — mogę bardzo wiele i po podpisaniu kontraktu na pracę w Niemczech cześć — mogę się już o nic nie troszczyć. Cóż za kokieteria. To rzeczywiście «nowa moralność» w «Nowej Europie» i w ogóle *l'ordre nouveau*. A propos tego *l'ordre nouveau* krąży niezły dowcip. Dwóch *clochards*, takich co stale mieszkają pod Pont de Grenelle i utrzymują się z grzebania w śmieciach, stoi nad kilku pudłami śmieci

(*poubelles* czyli *pubele*) i rozmawia, poszukując wśród odpadków cennych zdobyczy. Jeden pyta się drugiego: «Te, słuchaj, co to właściwie jest ten *l'ordre nouveau*? Długo myślą, ale nie mogą nic wykombinować. Nagle zajeżdża wspaniała limuzyna, zatrzymuje się i wysiada z niej oficer niemiecki. Jeden z *clochards* podchodzi do niego i zapytuje grzecznie, co to jest *l'ordre nouveau*; że chyba on potrafi mu to wytłumaczyć. Oficer uśmiechnął się zadowolony i powiada: «To jest tak. Gdy Niemcy wygrają tę wojnę, to będzie Nowa Europa, a w niej Nowy Porządek. Teraz tylko ja jeżdżę takim samochodem, a wtedy wszyscy będą jeździć takimi samochodami. Zrozumiałeś?» Śmieciarz kiwnął głową, podziękował i wrócił do towarzysza. «No co, wytłumaczył ci?» — «Ehe, to jest tak. Jak Niemcy wygrają tę wojnę, to będzie Nowa Europa, a w niej *l'ordre nouveau*. Teraz tylko my dwaj grzebiemy w *pubelach*, a wtedy będzie tutaj ogonek z dwudziestu osób i wszyscy będą grzebać. Pod warunkiem, że będą śmieci». Ciekawe, do jakiego stopnia nazizm zbiega się często z komunizmem. Nawet te same dowcipy można by opowiadać i tu i tam. Ten ma coś z Zoszczenki.

28. 6. 42.

Niedziela. Śliczny, słoneczny dzień. Przepadam za sobotami i niedzielami. Nasza patronka już wie z góry, że jeżeli ktoś do nas telefonuje, to należy odpowiedzieć, że *Monsieur et madame sont sorti* — i mamy święty spokój. Dzisiaj rano otworzyłem okiennice i od razu siknęło do pokoju słońce. Z daleka dolatywały dźwięki radia z zawsze tym samym programem niedzielnym. Od chwili naszego przyjazdu, budzimy się w każdą niedzielę przy dźwiękach 2-jej Rapsodii Liszta, «Tristesse» Chopina i «Bolero» Ravela. Te trzy melodie są częścią niedzielnego poranku. I choć śmiejemy się z tego — co niedzielę — to ma to jakiś swoisty urok. Powtarzalność pewnych rzeczy w życiu — do tego w tym obecnym — daje złudzenie stałości. W ogóle wiele tych głupstw, tego co tak często nazywa się «francuskim zacofaniem» daje właśnie poczucie «spokoju pomimo wszystko». Ten robotnik paryskiego metra chodzący wolno po peronie stacji i skrapiający go przy po-

mocy starej puszki od konserw z podziurawionym dnem, do której leje wodę z dzbanka, ten kierownik pociągu, który do zbiegającej po schodach Basi woła: *Dépêchez-vous, mademoiselle* i czeka z odjazdem metra, ta instytucja konsjerżek, zawsze ciekawych i paplających (napoleońskie gestapo) oraz obowiązkowy «kot-piekarz», «kot-rzeźnik» itd. wylegujący się nieraz na wystawie wśród towarów przeznaczonych na sprzedaż — to wszystko tak jakoś dziwnie wiąże, zamienia życie w łagodne pasmo tych samych «pomimo wszystko» — pomimo Niemcy, pomimo Nowa Europa, pomimo Laval, pomimo Führer. Z coraz większym przestraszeniem konstatuje, że już tak głęboko wżył się w to otoczenie, tak przyzwyczaiał się do tego życia i francuskiego podejścia do życia, że trudno mu w tej chwili pomyśleć o powrocie. A może to i przywiązanie do tych kilku lat, które tak bardzo szły mu na rękę w rozbudowie siebie samego. A w końcu może i przywiązanie do kraju, w którym wyrosł. Wyrosł wprawdzie w Polsce, ale tam miałem raczej uczucie zapadania się. Coś się we mnie urwało bezpowrotnie, została jakaś obojętność do wielu rzeczy.

Dzień śliczny, ciepły, już letni. Zrobiłem śniadanie. W niedzielę pijemy zawsze herbatę i zawsze jeszcze jest masło do chleba. Potem rozłożyliśmy mapę okolic Paryża i wybraliśmy trasę na dzisiejszy spacer rowerami. Boissy Saint-Léger. Szorty i wyjechaliśmy. Na rowerze plecak z kocem i z książkami, w torbach chleb, masło, kawałek kiełbasy. Camembert wojenny (0-zéro matière grasse) renklody i flaszka wina. Gdyby nie to *Zéro matière grasse* w Camembert, byłoby prawie jak przed wojną. Znacznie lepiej w tym roku z żywnością i dużo owoców. Mam wrażenie, że gdybym w tej chwili zatelefonował do Krakowa i opowiedział to wszystko, cała rodzina stwierdziłaby, że dostałem pomieszania zmysłów. We Francji okupowanej, w trzecim roku wojny, można jeszcze napchać torbę niezłym jedzeniem, przyczepić do roweru i wyjechać zupełnie swobodnie z miasta gdzieś na łąkę czy do lasu, nie spotykając po drodze ani jednego żandarma niemieckiego, niemal ani jednego Niemca. Czasem gdzieś mignie szary samochód i to wszystko. Jeszcze ciągle mamy swobodę — już ukróconą, ale zupełnie możliwą. Dziś trzeba się już meldować gdy zmienia się miejsce pobytu lub zamieszkania, trzeba

stosować się do wielu przepisów nieznanych przed wojną. Ale w sumie jest swoboda — i jeszcze dziś słyszy się niemal codziennie jak ktoś w jakimś bistro miesza z błotem Pétain albo o Lavalu nie wyraża się inaczej, jak tylko per *ce sale Auvergnat* i odgraża się Niemcom. Na głos. Tu wolno jeszcze nie tylko myśleć, ale mówić. Ta wolność jest tu tak wrodzona, do tego stopnia tkwi w krwi i w duszy, w całej przeszłości — że bodaj nawet Niemcy odczuwają wobec nich *Minderwärtigkeitskomplex* i boją się brać za pysk, żeby nie mieć kłopotów. I na Niemców działa jeszcze przeszłość Francji, ten mit wielkości, to wszystko co nas i ich uczono *über Frankreich*. Niemcom się zdaje, że Polaków lub Jugosłowian łatwiej zgnieść i zniszczyć niż Francję. Nie wydaje mi się. Bo Francja jest stara i słaba i bardziej można obawiać się jakiegoś odruchu wśród tych drugorzędnych i zmaltretowanych narodów, aniżeli tutaj. Ale cóż? Z narodami jest jak z ludźmi. Tego małego i zdegradowanego zawsze jakoś tak poręczniej i swobodniej walić po mordzie, aniżeli tak samo zdegradowanego ale arystokratę. Francja wśród narodów była arystokratką uznaną i czczoną, szczególnie wśród wspinających po drabinie kulturalnej półinteligentów w rodzaju Niemców. Oni zawsze, jeszcze choćby w duchu, noszą dla Francji podziw i choć *die deutsche Kultur selbstverständlich die grösste*, to jednak wobec Francuzów czują się nieswojo, niezręcznie, zakłopotani. Jak bokser wagi ciężkiej w obliczu wielkiej damy. Z Francuzami Niemcy się pieszczą, ogarnia ich jakby impotencja. Kokietują — wprost tak, jakby bali się wybuchu tej energii narodowej, która potrzebnie czy niepotrzebnie, ale tyle razy buchała w ciągu historii. Tymczasem Francja dzisiejsza, to już nie ta Francja z 1789, 1830, i 1848. Dziś jeden Niemiec w Palais Royal lub w Hôtel de Ville wystarczyłby, aby wszystko szło dobrze. A równocześnie taki wygodny ten kraj. Jak odziedziczony, stary pantofel. Lub fotel.

Piszę to leżąc w cieniu drzew w jednym z lasków otaczających Boissy-Saint-Léger. Jest gorąco. Basia coś rysuje. Nie miałem zapalek i poszedłem do przydrożnej oberży poprosić o ogień. Stary dom, wielkie podwórze ze stajniami, na bramie blacha z zatartą nazwą i z datą 1828. Pewnie stawały tu dyliżanse. Wszedłem do olbrzymiej jadalni. W jednym końcu wielki i osmolony komin, w drugim tyka-

jący miarowo, wysoki jak obelisk, zegar. Ileż ten zegar wydzwonił godzin...

29. 6. 42.

Komunikat po wizycie Churchilla u Roosevelta jest «przyszłościowy». Ludzie irytują się. Tłumaczę jak mogę, ale jestem defetystą, bo mówię, że w «głupim» samolocie trzeba liczyć 18 do 20 miesięcy zanim produkcja pójdzie w serii. A ta wojna to przede wszystkim lotnictwo i czołgi.

1. 7. 42.

Londyn dementuje bardzo energicznie jakoby między Anglią i Niemcami istniał *gentlemen agreement* co do nie bombardowania sobie stolic. Finlandia demobilizuje starsze roczniki — na zbiory. A wszystko razem nazywa się wojna.

2. 7. 42.

Sebastopol zdobyty — wielka ofensywa rozpoczęta. Tylko że o dwa miesiące za późno. Walka o Kaukaz i o Wołgę. To kosztuje.

Churchill wyjaśnił, dlaczego w Libii ponieśli klęskę: 1) Błędy taktyczne, 2) czołgi niedostosowane do walki w pustyni, 3) przewaga materiału niemieckiego. Tylko — nic więcej. Niemcy od długich lat siedzieli w Egipcie i wypróbowali swoje czołgi do walki na pustyni. Piaseczek nie sypał się, silniki działały w gorącu. Anglicy nie mieli gdzie wypróbować swoich czołgów. A że Anglikom nie brak poczucia humoru, wobec tego te podłe czołgi angielskie przeważano «Churchillami», co sam Churchill przyznał z uśmiechem w swojej mowie w parlamencie. Przedłużyła się. Miałem nadzieję na koniec 1943-go — teraz zaczynam mieć wątpliwości. Vichy z Lavalem na czele kolaboruje aż iskry lecą. Francja bierze na siebie ciężką odpowiedzialność. Naród klnie, psioczy, czuje że coś nie dobrze, ale nie zdaje sobie sprawy, w jaką sytuację po wojnie wpędzi ten rząd i ta polityka całą Francję. Tymczasem jednak

Paryż nie zajmuje się polityką. Zresztą kartką żywnościową trzyma się cały naród za pysk lepiej, niż policją. Ukazanie się w tym roku dostatecznej ilości owoców jest ważniejsze, niż wszystko inne. Poza tym wszyscy wybierają się na wakacje. Przeważnie do Bretanii. Tam jada się bez karteek, na *Vive la France*. Mowy nie ma o dostaniu najmniejszego pokoiku w najmniejszej i najbardziej odległej miejscowości. Bilety do pociągów odchodzących w kierunku Nantes i Rennes trzeba zamawiać na dwa tygodnie wcześniej. Wskutek olbrzymiej ilości rowerów, kolej nie gwarantuje jednoczesnego przybycia roweru razem z pasażerem. Rower trzeba nadać trzy lub cztery dni wcześniej, na Gare Montparnasse musieli wybudować specjalne hale na rowery. Jednym słowem ruch w interesie, nastrój niemal przedwojenny. Zapominamy o wojnie.

26. 7. 42.

Nie miałem czasu pisać. Tazio przyjechał 3-go, wyjechał 9-go. Potem 15-go przyjechał Bogdan i 22-go wyjechał. Jeżdżą między Paryżem i Warszawą ile wlezie. Zarobiłem na tych podróżach. Zaczynam zbierać pieniądze na wyjazd z Europy. Beznadziejny Kłaj.

Dziś cudowny dzień, letni dzień. Po południu poszliśmy do «Gallerie Charpentier» na wystawę «Sto lat pejzażu francuskiego». Urządzone ładnie, ale słaby zbiór. Kilka dobrych, masywnych w ciemnej zieleni Courbetów, kilka zamglonych Corotów, kilka słoneczno-kwiecistych Renoirów, parę cytrynowych Van Goghów, dwa czy trzy najgorsze Gauguiny, a poza tym cała masa pędzloczynów malarzy współczesnych, którzy szukają i nie mogą znaleźć, ale mają nadzieję, że jednak coś znajdą. Właściwie to jest sens sztuki — wieczna nadzieja znalezienia.

Po wystawie wstąpiliśmy na podwieczorek do Rebatet. Jedna z tych wytwornych i szacownych kawiarni Paryża, gdzie schodzi się niemal wyłącznie sfera zamożnej, starej burżuazji, szlachty i arystokracji w poszukiwaniu straconego czasu. Te stare comtessy ubrane niemodnie i kruchtowo, starsi panowie ubrani z przesadną elegancją i młode pokolenie *fils à papa* i córek, obnoszących z non-szalancją najdroższą garderobę i biżuterię. Kelnerki mają

powierzchność ubogich ciotek lub siostrzenic, a na zamówioną czekoladę lub lody czeka się pół godziny. Wszyscy przychodzą teraz tutaj sycić swoje łakomstwo. Obok nas jakieś dwie zakryte miały przed sobą całą górę ptifurków, które opychały podpychając lodami. Potem zamówiły herbatę i po słoiczku konfitur, wyciągając do tego dyskretnie z torebki własny cukier i własne sucharki. I jadły. Rozkoszowały się, rozpływały się, smakowały, napawały, chłonęły. Łakomstwo na twarzach stawało się wprost masywne, pokrywało je grubą szminką. Mlaskały, cmokały, oblizywały się, obracały w palcach, bawiły się każdym kąskiem jak kot myszą i gadały.

Utorowałem sobie drogę wśród tej wytwornej publiczności dosyć ordynarnie, bo pchali się co najmniej tak samo, jak trykotantki w ogonkach, i dobiwszy z moim talerzykiem do oszklonej lady naładowałem 20 ciasteczek uchodząc ze zdobyczą. Po dwa franki każdy świdrygałek. Po czym zamówiliśmy lody i zabraliśmy się do wbijania tego. Następnie zapłaciłem rachunek, jakiego jeszcze w całym życiu nie zapłaciłem nigdy za podwieczorek i z miną chamskiego dorobkiewicza wyszedłem z tego lokalu. W drodze powrotnej przeglądaliśmy wystawy, dyskutując zawzięcie na temat całkowicie wojenny, a mianowicie na temat estetyki opakowań perfum i różnicy między Lanvinem i Lelongiem, Schiaparellim i Guerlainem, Chanelem — nie, to dla służących i dziwek. Chanel — fe, fi donc, kto widział... Basia marzy poza tym o futrze z popielatych baranków. Należy także wyjechać na wakacje.

27. 7. 42.

Przyjechał Stasiek. Wyjeżdża za dziesięć dni. Potem przyjeżdża Karol. Jeszcze lepiej. Pewne prawa ekonomiczne działają i są niewzruszalne niezależnie od wszelkich gospodarek planowych, ekonomii kierowanej itd. Prawo naczyń połączonych jest żelazne i gdy szwankuje, staje się interesujące. Handluję «twardymi» i «miękkimi» i w chwilach obrzydzenia do samego siebie, ratuję się tym, czym zawsze ratują się Polacy: «W tej chwili jest to na szkodę okupanta, a więc patriotycznie. Niech żyje Polska, po ile twarde?».

Lato. Pogodne, ciepłe. Zaczęły się wakacje. Co trzeci sklep zamyka się i wywiesza ogłoszenie, że będzie nieczynny do 15-go, 20-go lub 31-go sierpia. W urzędach zaczynają się raczej dyżury niż urzędowanie i najczęstszą odpowiedzią bywa: *Après les vacances*. Ten już wyjechał, tamten ma wrócić, a ci co siedzą na miejscu, też nic nie robią, bo czekają, kiedy «tamten» wróci, a oni będą mogli pojechać. Wszystkim jest gorąco — *quelle chaleur* — w *métro* można paść trupem od upału i zaduchu, ale niemal wszyscy gdzieś wyjeżdżają, pomimo że przeciętna cena całodziennego utrzymania i mieszkania w zapadłym kącie (czym bardziej zapadły, tym lepszy) Bretanii czy Anjou wynosi 100 franków dziennie. Jest to prawie psychoza, chęć powetowania sobie tych dwóch lat niepewności i wahań. Nastąpiło już przystosowanie się do warunków, urządzenie się w ramach możliwości, które we Francji są jeszcze ciągle dosyć duże dzięki względnej swobodzie.

Dziś pod wieczór wyszliśmy do miasta. Na ulicach spokój i cisza. Przed Maximem na rue Royale rząd powozów, karet, tilbury, koczów i innych wehikułów z minionych epok, Paris 1900. Poszliśmy do kina na nowy film francuski «Le lit à colonnes». Dyrektor więzienia w małym miasteczku ma w więzieniu mordercę-kompozytora. Stwarza mu warunki do pracy, wyciąga od niego kompozycje i publikuje je pod swoim nazwiskiem. Z małego, prowincjonalnego i płaskiego funkcjonariusza administracji staje się kimś, puszy się, wydaje za męża córkę za hrabiego. Ukoronowaniem triumfu jest przyjęcie «jego» opery do Opery paryskiej. Komplikacje — wreszcie śmierć z ręki więźnia, który dowiaduje się o wszystkim. Rzecz dzieje się w latach 90-tych. Gdy ma się w oczach obraz paryskiej ulicy w tej chwili, te koczki i tilbury przed Maximem, film wydaje się niemal współczesny. Grane dobrze, ale nie tylko to. Cały film jest dosłownie obrazem, a raczej galerią obrazów francuskich impresjonistów. Zupełnie coś niebywałego. Patrząc na to, co chwilę zamienialiśmy kilka słów półgłosem nie mogąc wytrzymać z zachwytu. Stroje, wnętrza, światło i cienie, pejzaże — wszystko było wprost barwne. Czuło się kolory, słońce, odcienie cieni, plamy, podmalowanie, tło... Kombinacją czarnego i białego wy-

ciągnęli wszystkie kolory. Wyszliśmy z kina wprost podnieceni.

4. 8. 42.

Wyłapywanie Żydów obcokrajowców na terenie Paryża zostało zakończone. Z 14 na 15 lipca urządzono taką noc Św. Bartłomieja, a raczej Św. Adolfa, potem łapano resztki — obecnie na terenie całej strefy okupowanej wszyscy Żydzi obcokrajowcy zostali powsadzani do obozów. Wrażenie wśród Francuzów bardzo wielkie. Szczególnie fakt oddzielania dzieci powyżej trzech lat od matek komentowany jest zajadle. Już tylko notuję. Nie mam się na komentarze. Wewnętrzne wycie i rozdzieranie się wszystkiego. Jednocześnie, najprawdopodobniej z kół żydowskich, wyszła plotka że teraz na nas kolej i wszyscy w to uwierzyli. Zawrzało w Paryżu, jak w ulu. Co lękliwsi wyjeżdżali na wieś, inni po kilka nocy nie spali u siebie, teraz wszyscy są przekonani, że lada dzień zabiorą i nas.

Więcej z obowiązku niż z ochoty — stałem się w tym wszystkim fatalistą i zawsze w takich chwilach przypominam sobie Keyserlinga *il faut subir son époque pour agir sur elle* — pozasięgałem informacji, gdzie mogłem, ale nikt z kompetentnych Francuzów nie słyszał nic na ten temat. Prawdopodobnie żydowska plotka, puszczona w rozpacz, zrozumiała. Mają nas kochać? Jeszcze w 1940 roku stałem raz w ogonku z jakimś znajomym i mówiłem po polsku. Stojąca obok Żydówka spojrzała na nas z nienawiścią i powiedziała: «Prawda, jak tu U NAS we Francji dobrze? Ale Polski, proszę pana, to już nie będzie». Nie powiedziałem nic na to, choć normalnie jestem mocny w gębie. Może miała rację? Ale i Francja jej nie pomogła.

11. 8. 42.

Jedziemy na wakacje. Robertowie zaprosili nas do domu swojej ciotki do Chambellay, w samym centrum Anjou, gdzie oni co roku całą gromadą spędzają wakacje. Jest to dom rodziny, resztki fortuny Robertów, wywodzącej się z tak zwanej *bourgeoisie terrienne* (burżuazja zie-

miańska). Wyjeżdżamy 4 września na dziesięć dni i wracamy razem z nimi do Paryża.

Czytam książkę o Stanach Zjednoczonych. Dochodzę do wniosku, że właściwie nic o Ameryce nie wiedziałem. Oczywiście poza całym stekiem bzdur, które każdy szanujący się Europejczyk znać powinien i od których nie wolno mu odstąpić, bo cóż by wtedy zostało z Europy. Po co to wszystko czytam? Chcę po prostu widzieć rzeczy we właściwym świetle i nie mieć złudzeń. I nie mam ich. Nasza najbliższa i trochę dalsza przyszłość jest ciemna w każdym wypadku. Dziś prują nam brzuch nożem i cierpimy. A potem będą nas truć wolno i z uśmiechem. Dziś krzyczymy, że jesteśmy niewolnikami, czujemy to w każdej minucie naszego życia. I krzyczymy słusznie. A potem, zmęczeni i skopani, staniemy się niewolnikami także, jedynie z tą różnicą, że będziemy mieli wszystkie pozory wolności.

Tymczasem Anglicy, przegalopowawszy z Tobruku aż do Egiptu, zatrzymali się pod El-Alamein. To znaczy nie wiadomo, kto się zatrzymał: czy uciekający Anglicy, czy goniący ich Rommel Africanus. Raczej to drugie. Zapędził się pod El-Alamein, wydłużył linie komunikacyjne zarówno lądowe jak morskie — i stracił oddech. I Mussolini nie mógł wygłosić wielkiej mowy pod Piramidami. Ot i przykreść. W każdym razie front ustalił się pod El-Alamein i do Kairu nie doszli. Logicznie biorąc należy spodziewać się, że za jakiś czas Anglicy pogonią Rommla z powrotem. W Afryce każda ofensywa jest *aller et retour*. Znacznie poważniej zapowiada się akcja niemiecka w kierunku Kaukazu z jednej strony i w kierunku Wołgi, z głównym punktem «Stalingrad», z drugiej. Odebranie Kaukazu i przecięcie takiej arterii komunikacyjnej jak Wołga, to wyrok śmierci na Rosję, jeżeli ich w ogóle cokolwiek jest w stanie uśmiercić. Ale nie należy być optymistą. Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że co miesiąc Rosja jest większą niespodzianką. Zaczynam bardzo wątpić, czy Hitler i jego sztab generalny zdawali sobie sprawę z tej siły. Jeden jedyny Brauchitsch połapał się na czas — i umył ręce. Ale w tej chwili modny jest von Bock i świeżo upieczony w piecu afrykańskim marszałek Rommel Africanus. Z Rommla gotów być jeszcze bohater narodowy i kto wie, czy nie następca. Gwiazda, większy od Gary Coopera. We wszystkich gazetach i pismach ilustrowa-

nych wszędzie Rommel. Przystojny i ma «coś» jednak w tej twarzy. A w paryskim «Vélodrome-d'Hiver» zapowiadają «prawdziwe walki byków». *Gran corrida de toros*. Wobec tego lud paryski martwi się już naprzód, czy toreador będzie miał dostateczną ilość kartek mięsnych, upoważniających go do zakłucia byka. Czasem naprawdę wydaje mi się, że śnię.

16. 8. 42.

Jestem zmęczony i nic mi się nie chce. Od października 1940 nie miałem urlopu. Po prostu brak mi tych kilku dni pod rząd bez zwracania sobie głowy sprawami innych. Nie mogę już doczekać się wyjazdu.

Ciekawa wystawa w «Musée Cognac-Jay». Oryginalne fotografie z czasów II-go Cesarstwa. Oczywiście wszędzie Napoleon III i Eugenia, Napoleon z Genią razem i osobno, z dziećmi i bez dzieci, dzieci same itd. Ale obok tego mnóstwo fotografii osób znanych i sławnych z teatru i z literatury. Świetne dagerotypy Balzaca, Teofila Gautier i sporo zdjęć z jednego z amatorskich przedstawień w domu Gautier'a w Neuilly, które tak uroczo opisali Goncourtowie w swoim «Dzienniku». A dalej wszystkie tancerki i śpiewaczki Opery paryskiej, fotografie malarzy i ich modelek, fotografie tych pikantnych aktoreczek z bulwarowych teatrzyków i tinglów-tanglów, za którymi szaleli nasi pradziadowie i dziadkowie. Te kokieteryjne desabile, gorsety, czarne pończochy, biusty przewalające się nad fiszbinami jak fala przez falochron portowy i inne uroki tych czasów. Stary i satyrowaty Alexandre Dumas z młodą, uroczą i naprawdę smaczną loretką. Krynoliny. Cały szereg portretów tak pięknych, że żaden z nowoczesnych fotografów nie potrafiłby czegoś takiego zrobić. Ówczesna fotografia w dziedzinie portretu stała napewno wyżej, niż dzisiejsza. Wskutek wydoskonalenia materiału, «wyostrzenia» soczewek, płyt, filmów i papierów, straciła te przejścia między światłem i cieniem, które tak doskonale «płyną» w fotografii XIX wieku. Dziś wszystko jest rąbane — jak cała nasza epoka. Jaka śliczną modelkę miał Corot. Cóż za wspaniała głowa ten Michelet. Szkoda, że popisał tyle bzdur. Renan, obydwaj Goncourtowie, Flaubert, Gautier,

George Sand. Pełno wspomnień, każda twarz specjalnej wartości teraz. Można uciec do nich i zaszyć się w kącie któregoś Balzaca, można schronić się w spiżowym dzwonie prozy Flauberta i nie słyszeć tego gęgania, tego kłamliwego pastwienia się nad zdrowym rozsądkiem, które może przyprowadzić o obłąd. To już jest kalandria kłamstwa, bezczeszczanie kłamstwa.

19. 8. 42.

W południe gorączka, zapał, oczekiwanie, tysiące komentarzy przelatujących z ust do ust. Anglicy o świcie wylądowali w Dieppe oraz na południe i na północ od Dieppe. Od rana biją się już w samym mieście. Wylądowali z artylerią i z czołgami. Wszystkie garnizony niemieckie zaalarmowane. Radio londyńskie prosi całą ludność Francji o spokój i nie mieszanie się do akcji. Wszystko razem brzmi jak bajka. Cały dzień upływa w napięciu, pomimo że wszyscy zdają sobie jednak sprawę, że nie jest to «prawdziwe» lądowanie, a jedynie coś w rodzaju generalnej próby. Z dekoracjami. Wysadzanie na brzeg czołgów i artylerii wzbudza ogólny podziw. Radio-Paris milczy, południowe wydania gazet również i jedynie Londyn informuje. Wieczorem komunikat, że korpus ekspedycyjny angielski wycofał się w porządku i odpłynął, uwożąc jeńców. Najważniejsze jest to, że Anglicy wysiedli, że cały dzień byli we Francji i że odjechali. Pokazali, że mogą lądować podczas gdy ani jeden Niemiec — z wyjątkiem Hessa — nie dotknął brzegu angielskiego od początku tej wojny. A przecież mogli, mogli niemal bezkarnie w lipcu i w sierpniu 1940 roku dokazać tego, czego już teraz nie będą mogli. Historia kiedyś pokaże, jak to było. Dlaczego zamiast pchać się w głąb Francji, cała siła nie została skierowana wprost z Belgii i Holandii na Anglię? Hitlera uwiódł mit «niezdobyczego» Paryża, do którego w tamtej wojnie przez cztery lata nie mogli się dostać. Mit Francji uratował Anglię. Był potężny.

21. 8. 42.

Zaczyna się teraz zwycięska katarynka. Odparliśmy atak Anglików, udaremniiliśmy stworzenie drugiego frontu, którego Moskwa ciągle żąda, pognębiliśmy Churchilla, śmiejemy się i kpimy i rozdmuchujemy Dieppe do pobicia co najmniej całej Anglii. I teraz tak będzie przez dłuższy czas. A wszystko razem dowodzi, że robiliśmy w majtki ze strachu, że straciliśmy głowę i że wielkim krzykiem i gadaniem w kółko tego samego chcemy ludziom zaciemnić właściwe znaczenie tego faktu i nie pozwolić myśleć o tym w ten sposób, w jaki należy o tym myśleć. Wszystko to jest świadomym szerzeniem ciemnoty. Na tle tego średniowiecze nabiera rumieńców odrodzenia. Zrobić z masy stado baranów, zabić w niej rozsądek zarówno zbiorowy (jeśli zbiorowość w ogóle może być zdolna do rozsądku) jak i indywidualny, zamęczyć kłamstwem, z n i e c z u l i ć, u n i c e s t w i ć m y ś l i odruchy sprzeciwu wewnętrzne. Ale powtarzam się. Jak propaganda.

Kupiliśmy dziś z Robertem bilety kolejowe i za dwa tygodnie wyjeżdżamy. Czy Niemcy wezmą Stalingrad, czy nie? Oto jest pytanie.

24. 8. 42.

Vichy wysłało do Führera telegram dziękczynny za tak skuteczną obronę Francji. Natomiast Führer wyasygnował (z kasy Vichy) 10 milionów franków dla miasta Dieppe w nagrodę za wzorowe i pełne dyscypliny zachowanie się ludności w czasie napadu angielskiego. Wzruszające. Gazety pełne są oczywiście fotografii, opisów, reportaży i sprawozdań o wspaniałej obronie niemieckiej. A ponieważ nie dało się ukryć dzielności Kanadyjczyków, którzy w wielu wypadkach toczyli walkę na pistolety i noże, to kpi się z «cowbojskich metod walki» i «bójek Wild Westu».

26. 8. 42.

Jeszcze ciągle Dieppe. Tym razem w nagrodę za wzorową postawę ludności miasta, wszyscy jeńcy pochodzący z Dieppe zostali przez Führera uwolnieni. Po krótkim ur-

łopie pojadą na roboty do Niemiec. I ten dumny kapral myśli, że kupi sobie tym Francuzów. Kogo? Francuzi są pozbawieni *Volksgemeinschaft* i taki teatralny gest nikogo nie wzruszy. Gdyby zamiast wypuszczenia jeńców przyznał obywatelom Dieppe poczwórne racje kartkowe, wówczas można by powiedzieć, że jest geniuszem i wielkim psychologiem. Wtedy cała Francja stanęłaby z rozdziawioną gębą i huczała. Wtedy do końca roku wszyscy dyskutowaliby z zazdrością w nieskończoność: *Ah, ça alors, ceux-là par exemple, voyez-moi ça, ces Dieppois, ils ont de la chance itd.* Kolaboracja z Francją była pod nosem. Wystarczyło pozwolić Francuzom jeść dowoli. Propaganda, wyprawa krzyżowa, misja kulturalna, Arno Breker, nowy ład — wszystko to mija się z celem gdy chodzi o Francję. Kulturą nic się z nich nie wykrzesza, bo mają za wysokie pojęcie o swojej własnej. W roku 1940 gdy trzy czwarte Francji psychicznie stało za Niemcami, gdy sympatie były liczne i wielkie, gdy Niemcy imponowali, trzeba było podsyć je chlebem, masłem, jajkami, mięsem i winem. Dziś cała Francja stałaby w zaczepnej postawie wobec wszystkich wrogów Niemiec. A tak co? Odpowiedzią na to może być uwaga mojego francuskiego kolegi, wypowiedziana przy stole w naszej kantynie fabrycznej. Mieści się w niej wszystko:

«I co Niemcy będą nam zawracać głowę o swojej wielkości i genialności, o wspaniałej organizacji i kulturze, jeżeli oni nigdy nie potrafili zorganizować zwyczajnej, porządnej, ludzkiej zagrychy» (*casse-croûte*).

W tym krótkim zdaniu jest — Francja. Nie im imponować poświęceniem «*der deutschen Grenadiere*», Arno Brekerem, Wagnerem, Führerem. Zreć — a potem możemy ewentualnie porozmawiać. Ideały? Nie ma się ich wiele z pełnym brzuchem, a cóż dopiero z pustym.

29. 8. 42.

Według gazet Anglia przestała już istnieć. Zwycięstwo w Dieppe jest najlepszym tego dowodem. Można naprawdę dostać obłędu. Wychodzi się z założenia, że wszyscy są umyślowo chorzy i że można mówić, co ślina na język przyniesie.

31. 8. 42.

Nadałem dziś rano nasze obydwaj rowery. Żeby nadać rowery, trzeba stać w ogonku. Pojechałem na Gare Montparnasse dość wcześnie i po załatwieniu wszystkich formalności wysyłkowych, miałem jeszcze chwilę czasu przed pójściem do biura.

Czuję się jak uczeń przed wakacjami — roznosi mnie. Po wyjściu z dworca wstąpiłem do jakiegoś bistra na piwo. Nie ma chyba nic przyjemniejszego, niż w duszny poranek lata paryskiego zaszyć się w kącie jakiegoś bistra i sączyć zimne piwo. Zapalić papierosa i po prostu — istnieć. Nic więcej. Życ i modlić się. Coraz częściej modlę się nad szklanką piwa lub kieliszkiem rumu, bo są to momenty, w których naprawdę czuję, że jeszcze żyję. I dziękczynię. Dzisiaj też odprawiałem takie poranne modły zapatrzony w niebo, potem w Bd. Montparnasse rozjaśniający się coraz bardziej w słońcu, aż wreszcie zacząłem słuchać rozmowy robotników, pijących poranny *coup de blanc*. Rozmowa toczyła się na temat frontu rosyjskiego. Czy wezmą Stalingrad, czy go nie wezmą? Powszechne pytanie. Osobiście wierzę w tę przepowiednię, która głosi, że «nad wielką rzeką w pień wycięci, ze złamanym skrzydłem powrócą». Założyłem się już w dwóch miejscach o grubsze franki, że nie wezmą. Będą bronić samej nazwy jeżeli już nie czego innego. Zaczyna to coraz bardziej wyglądać na naprawę «decydującą bitwę». Podobno w Ameryce zakłady idą o tysiące dolarów. Zabawny twór ta tak zwana ludzkość. Przyszłość Europy, tak czy owak parszywa, waży się nad Wołgą.

5.9.42.

Nareszcie na wsi. Wczoraj wróciłem do domu wcześniej i pakowaliśmy się na gwałt. Ponieważ od stacji do Chambellay jest około 40 km., które trzeba było przejechać na rowerach, bagaż musiał być dostosowany do tej wyprawy. Upakowałem plecak i dwie torby. Basia walizeczkę i torbę. Pogoda cudowna, upalny wieczór paryski. Na Gare Montparnasse spotkaliśmy się z Robertem. Mieśliśmy miejscówki w drugiej klasie, ale i tak trzeba było przyjść na godzinę przed odjazdem, bo na dworcach dzieją

się cuda. Przy wejściu na peron trzeba stać w ogonku, następnie należy dokonać wyczynu dopchania się przez zatłoczony korytarz wagonu do swojego przedziału i swoich miejsc. Wreszcie zasiedliśmy zadowoleni, że się udało. Przed samym odejściem pociągu wagony wypełniły się zupełnie, to znaczy wszystkie miejsca siedzące i stojące w korytarzach i klozetach zostały zajęte. O 10-ej pociąg ruszył. W oknach stopy pozapuszczane, przedział oświetlony normalnie. Na wszystkich ścianach napisy: *Achtung mit den Gesprächen. Der Feind hört zu.* Do Sablé mieliśmy zajechać o 1-ej nad ranem, przenocować i rano jechać dalej już na rowerach do Chambellay. Byłem tak podniecony tą podróżą, jakbym co najmniej po raz pierwszy w życiu jechał pociągiem. Dwa lata siedzenia na miejscu, dwa lata gubiące się tak jakoś dziwnie w przeszłości, trudne do umieszczenia w jakichś wymiarach. Cały stosunek do przeszłości sprowadza się dziś właściwie do ogarniającego wszystko zadowolenia, że tyle i tyle czasu minęło i że udało się ten czas przeżyć, że jeszcze się pływa. Nam udaje się, jak korkom.

W przedziale zrobiło się straszliwie duszno, bo Francuzi mają wrodzony strach przed świeżym powietrzem. Lekki *courant d'air* równoznaczny jest ze śmiercią. Rozmawiałem z Robertem na temat przymusowej wysyłki robotników do Niemiec. 15-go października mija termin wyznaczony Lavalowi przez Niemców i do tej daty 150 tysięcy specjalistów musi wyjechać. Ale nikt nie jedzie dobrowolnie. Co z tego wyniknie? Wyciągnąłem z plecaka gruszki i pałac papierosy, przeskoczyliśmy na tematy wojenne. Robert, jak znakomita większość Francuzów, nie zna się na Niemcach. Staram się go oświecić, ale ciężko to idzie, bo trzeba walczyć wprost ze swego rodzaju u r o k i e m, jaki Niemcy rzucili na bardzo wielu Francuzów. Nie znając Niemców, będąc przez nich pobici, słabi, złamani, zdając sobie z tego sprawę, widzą w Niemcach kogoś silnego, kto im imponuje, kto przeprowadza u nich wiele reform, których najsilniejszy rząd francuski nie odważyłby się przeprowadzić, kto przejawia witalność wprost nadzmysłową. Jako naród formy zewnętrznej, Francuzi podziwiają formę niemiecką, nie przenikają formy i są pod u r o k i e m. Z takim samym uczuciem prawnuk kombata woien perskich oglądał prawdopodobnie legionistę

rzymskiego. Kulturalnie jeszcze nim gardził, jeszcze gdzieś w głębi odzywał się dosadny epitet «barbarzyńca», ale już ciało jego wraz z życiową, codzienną warstwą umysłu poddawały się urokowi tej siły i żywotności bijących od rzymskiej maszyny wojennej. Francja tonie w przesądach, w błyskotliwych formułkach, w powszechnych słówkach, które tak często mylą. Rozmawia się z byle kim i ten byle kto mówi nagle: «W tej szerokości geograficznej...», albo «fakt ten jest oszałamiający», albo — co gorsze — rzuca w rozmowie jakieś wielkie pytanie, na przykład «i do czego doszła ludzkość»? i «oto nasz postęp». Ileż razy dawałem się na to wzięść i traktowałem za zaproszenie do dyskusji. Zaczynałem i — trafiałem w próżnię, trafiałem na taką ciasnotę i ubóstwo poglądów, o jakiej w ogóle nie miałem wyobrażenia. Francja jest krajem półinteligencji, to znaczy rozwodnionej i szeroko rozprowadzonej inteligencji wśród mas. Kultura mas jest wynalazkiem francuskim, to XIX wiek francuski, ale cała ta kultura zatrzymała się w rozwoju, skamieniała razem z całą francuską kulturą i jej rozwojem. Francja straciła wizję, straciła kontakt z rzeczywistością i — zapłaci za to. Warstwą nadającą krajowi ton i warstwą dominującą jest półinteligencja i ćwierćinteligencja. Kraj pozorów i skostniałych formułek. Umysłowość francuska, oparta na zasadach głoszonych przez 1789 i na garści faktów, wbijanych jej w głowę przez niepodlegające żadnej ewolucji od czasów Napoleona szkolnictwo, nie ulega żadnej zmianie. Francja do dziś dnia kultuwuje zasadę myśli zamkniętej i karmi się formułkami «made in France». Nie jest zdolna zrozumieć innej myśli poza francuską, nie potrafi o d c z u ć niczego w inny sposób, jak tylko francuski. Zadowolnia się wyłącznie działalnością kilkudziesięciu geniuszów francuskich, średnich geniuszów na wysokim poziomie, którzy przeszli do historii, i uważa ich za granicę, poza którą nikt inny nie potrafił i nie potrafi wyjść. Pozory będą zawsze przemawiały na ich korzyść, i s t o t a zdradzi. Francja jest geniuszem f o r m y, ale niemal wyłącznie formy. Żaden naród świata nie potrafił w dziedzinie myśli i jej sformułowań stworzyć form tak doskonałych (Hegla ugryzłem po francusku, po niemiecku, przy całej mojej znajomości języka, nie mogłem) jak Francuzi. Nikt w dziedzinie języka i wyrażania się nie potrafił prześcignąć ich w formie. Stąd

ich sława, ale i stąd mylne sądy o nich. Ich geniusz formy rozciągamy na wszystko. Nic w tym dziwnego. Wzrok jest najbardziej zwierzęcym zmysłem człowieka i poprzez wzrok daje się człowiek najłatwiej kierować. Kulturę Grecji jesteśmy zawsze skłonni identyfikować najpierw z tym, co pozostało z niej w formie. Tymczasem forma grecka przetrwała znacznie dłużej, niż duch który ją zrodził. Budowano świątynie i rzeźbiono posągi jeszcze ciągle w tych czasach, w których naród nie był już zdolny do powtórzenia Salaminy, bo duch przegnił i zastęgl w formie. Naród już nie żył, ale jeszcze ciągle działał, jak mechanizm puszczony w ruch. Francja jest nowoczesną Grecją. Tym, czym była Grecja dla świata starożytnego, tym była Francja dla świata nowożytnego i rola jej się kończy. Francja przestała żyć, Francja już tylko działa. Nie jest wykluczone, że to działanie może jeszcze coś dać światu, ale będzie to raczej jak wybicie godziny — nawet dźwięczne i piękne — lecz tylko wybicie godziny w zegarze idącym siłą rozpędu, nadaną mu w chwili tworzenia, siłą, która zachwycała i o której ciągle myślimy, że nadal istnieje. Prawdopodobnie jeszcze długo Francja będzie tą Grecją dla nowego świata, który dziś, w naszych oczach powstaje. Ale Francuzi i naród będą dla nas młodych tym, czym Grecy i Grecja z epoki helleńskiej byli dla Rzymian. Będzie się ich podziwiać, będzie się zachwycać, ale nie — szanować, jak Rzymianin nie mógł szanować kupca aleksandryjskiego lub Ateńczyka, ciągnącego zyski ze swej przeszłości.

Francja weszła już w okres eksploatacji swojej przeszłości, wyprzedaje się, a jeżeli coś tworzy, to jest to w większości wypadków bardzo umiejętnie odnowionym antykiem i jeszcze umiejętniej puszczonym na rynek. Celuje w tym i osiągnęła stopień doskonałości niespotykany gdzie indziej, ale właśnie ta doskonałość świadczy najlepiej o tym, że coś się wyczerpało i że w jakiś sposób trzeba to zastąpić. Jest to gasnący ogień, z którego bucha czasem snop efektownych iskieł — bo takie są prawa gaśnięcia.

Robert w swoich przewidywaniach wojennych nie może uwierzyć, że w tej chwili Niemcy są bardziej oddalone od zwycięstwa, niż w lecie 1940 roku. Ich triumfalny marsz przez Zagłębie Donieckie i stopy kałmuckie w kierunku Stalingradu i atak na Kaukaz imponują. Tłumacząc mu, że trzeba dobrze spojrzeć na mapę, aby zdać sobie

sprawę, że jeżeli cała ta operacja jest na oko wspianiała, to w gruncie rzeczy wygląda na zdecydowanie ryzykancką. Oni sami sobie stwarzają drugi front. Nie trzeba zapominać, że okupacja Zagłębia Donieckiego nie podcina Rosji produkcji w takim stopniu, w jakim Niemcy chcą nas o tym przekonać. Poza tym Anglosasi pchają w nich jak w tuczną gęś i łudzą się, że Kosja im się odwdzięczy. Odwdzięczy się po rosyjsku, tak jak zawsze się odwdzięczała... Hitler twierdzi, że jego zwycięstwa są *einmalig in der Geschichte*. Przypominam Robertowi podobne zwycięstwa: Rok 1806, wojna z Prusami. Napoleon nie szczędzi zgryźliwych uwag pod adresem Luizy pruskiej, coś jak uwagi Hitlera o pani Roosevelt, czemu się zresztą nie dziwię. Ten nie lubił Luizy, ten ostrzy swój kaprański dowcip na Rooseveltowej. Po czym «Blitzkrieg» lepszy od niemieckiego. 10. 10. 1806 generał Maison bije Prusaków pod Schleitz, 14. 10. Jena-Auerstädt. 16. 10. kapitulacja Erfurtu, 17. 10. bitwa pod Halle, 18. 10. zdobycie Lipska, 19. 10. Murat wchodzi do Halberstadt, 20. 10. Lannes i Davout forsują Elbę, 24. 10. Napoleon w Poczdamie, 25. 10. zdobycie Spandau, 26. 10. wejście do Berlina, 28. 10. Murat na czele 10-tysięcznego korpusu kawalerii bije 16-tysięczny korpus gwardii królewskiej pod dowództwem księcia Hohenlohe i bierze do niewoli księcia Augusta pruskiego, księcia von Mecklenburg-Schwerin, szwagra cara i generała Tauenzien i staje pod Prenzlau. Wreszcie 29. 10. Lasalle, na czele 1.200 kawalerzystów zdobywa Szczecin, broniony przez 5 tysięcy ludzi i 150 dział. Tego nawet Wieniawa nigdy nie dokazał w Adrii. W dziewiętnaście dni Prusy pobite są aż do Pomorza, bez oddziałów zmotoryzowanych. Jeszcze tylko Davout opanowuje niżną Odrę, Mortier bije elektora von Hesse-Cassel, zdobycie Lubeki i Magdeburga — cała kampania pruska zostaje zakończona w dwadzieścia osiem dni. I co jest *einmalig in der Geschichte*? Biję wszystkich po kolei, tylko... niestety gdy przychodzi do spotkania z Rosją, «Blitzkrieg» bierze w łeb. Pruska Hława jest właściwie krwawą łaźnią. To Charków. Potem Friedland — to obecne zwycięstwa, wreszcie odwrót spod Moskwy. To dopiero przyjdzie. Ale nie jestem pewny, czy należy się tak bardzo na to cieszyć.

Przedział kolejowy w czasie nocnej podróży ulega zawsze tym samym zmianom. Na początku wszyscy są

ubrani i siedzą prosto. Potem ktoś coś z siebie zdejmuje lub gdzieś się rozpina, następnie zaczyna się kiwać i zastyka w mniej lub więcej dziwacznej pozycji, możliwej tylko w pociągu. Wreszcie zalega śmiertelny bezruch i cisza. Zgasilem światło. W sinym półmroku nocnej żarówki «przywoitki», cały przedział wyglądał, jak pobojowisko, jak jakaś karykatura Goy'i. Pan pod oknem miał rewolucyjnie rozwiązany krawat i barykadowo rozchlastaną na piersiach koszulę, głowa pochylona i ciało zgięte, jak po uderzeniu szabłą. Inny, obok mnie, zmarł z szeroko rozkraczonymi nogami, schylił głowę na piersi i pochylił się tak, że wisiał nad przejściem między dwoma kanapkami. Natomiast kobieta naprzeciwko niego odgięła głowę w tył i oparta nią o plusz przegięła się cała do przodu jak łuk, wpychając jedną nogę na krawędź kanapki w sam środek rozkraczonych nóg swego vis-à-vis. Wyglądało to jak silne kopnięcie w czułe miejsce czyli tak zwany po francusku *coup de Venus*. Basia siedziała z podkurczonymi nogami w swojej ulubionej pozycji klucza wiolinowego, a ja kręciłem się, bo mam zawsze za długie nogi w takich wypadkach.

Koło pierwszej Robert obudził się i zaczęliśmy się przygotowywać do wyjścia. Wyglądało na to, że trzeba będzie wysiadać przez okno, ale dopchaliśmy się jednak do drzwi. Rzeczy miano nam jednak podać przez okno, bo o przejściu z bagażami nie było co marzyć. Pociąg stanął i wysiedliśmy w Sablé.

Ciemno wokoło, na trzy kroki nic nie widać. Po dobrnięciu do kasy bagażowej, gdzie zaspany kolejarz wystawił nam zbiorową przepustkę, wyszliśmy na miasto. Robert znał drogę, nocne powietrze i chłód orzeźwiły nas. Nagle «Halt». Z ciemności wynurzył się samotny żandarm niemiecki (u nas tak samotnie nie chodzą) i zażądał przepustki. Próbuje zapalić zapalniczkę i pyta: *Vom Bahnhof?* — *Ja, ja, vom Bahnhof, nach Hause* — powiadam. Oddaje nam nieprzeczytany papier i idziemy dalej. Robert ma tutaj jakąś daleką kuzynkę, u której mamy spać. Komfort — normalnie ludzie siedzą w poczekalniach na dworcach. W miasteczkach francuskich brak miejsca — pełno letników. Stajemy przed jakimś domem, dzwonimy. Otwiera nam sama Madame Vigné. Czekwała na nas. Wchodzimy do jadalni — stół zastawiony. Madame Vigné wita nas

bardzo uprzejmie, z tą typową uprzejmością starszych, starszannie wychowanych Francuzek. Stara, dobra burżuazja. Panie z tej warstwy zachowały we Francji do dziś dnia coś z Restauracji Burbonów. Pomimo całej uprzejmości, swobody, subtelnego dowcipu, są zawsze w krynolinie z sercem bijącym tak, jak świat na to pozwala. Robert przedstawił nas jako swych przyjaciół Polaków, za co obdarzeni zostaliśmy tym, co po francusku nazywa się *quelques mots aimables*. Siedliśmy przy stole, Mme Vigné podała gorącą kawę z mlekiem. Dwa lata nie widziałem na oczy mleka. Chleb, masło i wspaniałe «rillettes» w małych, kamiennych garnuszkach. Na wielkim talerzu przechadzał się wolno obszerny kawałek sera Brie. Zamroczyło mnie. Rozmowa zaczęła się oczywiście na temat braku wszystkiego w Paryżu i obfitości jedzenia na prowincji. «Jeszcze do niedawna prawie nie potrzebowaliśmy kartek — mówi Mme Vigné — teraz już i my oswajamy się z wynalazkiem *de ces messieurs* (Niemców) choć i teraz nie można się skarżyć». Ja nic nie mówię i jem, pomimo że to już druga nad ranem, Mme Vigné opowiada nam o swoim lokatorze. Ma na kwaterze jakiegoś młodego oficera niemieckiego. Mówi o nim z tym uśmieszkiem, z tym czymś nie do opisanania ironicznym, z tym zwężeniem ust, w których każdy wyraz nabiera jakby świstu i syku, staje się niesamowicie wytworny w jadowitości. Oficer znalazł sobie jakąś *petite amie*, do tego Rosjankę z Krymu. «Widać z tego — mówi z waziutkim uśmiechem — że nie mogąc uczestniczyć w podbojach tam, podbija Rosję w Sablé». Przestałem jeść. To jest koncert, francuski koncert. Ale gdy piękna Rosjanka zaczęła mu składać nocne wizyty, zdejmując przed domem pantofelki — «drewniane podeszwy nie są specjalnie wskazane do awanturek miłosnych» (Francjo żyj, na miłość boską żyj, myślałem wpatrując się w Mme Vigné z gębą pełną chleba z «rillettes») i wchodzić po schodach w pończochach, Mme Vigné wniosła skargę do Komendantury i wizyty ustały. I równocześnie myślę o kupacji u nas, o tym co opowiadają mi chłopcy, co pisała Hanka... Basia ma specjalny talent do rozmów towarzyskich i jej pozostawiłem cały trud konwersacji. Ja JADŁEM. Po trzeciej poszliśmy do naszego pokoju. Pokoik czysty, wielkie łóżko i olbrzymia pierzyna. Prawdopodobnie z przejedzenia nie mogłem usnąć do samego rana.

Rano poszedłem na dworzec odebrać rowery. Dziwnym cudem doszły do Sablé nieuszkodzone. Wróciłem z nimi pod dom i po upakowaniu wszystkiego, poszliśmy na śniadanie do Mme Vigné. Dzień znowu przesłiczny, słońce i ciepło. Srebrna, wrześnieowa pogoda. Po nocnym obżarstwie, jestem jak tygrys, który pokosztował ludzkiego mięsa — jestem bezustannie głodny. Na śniadanie była gorąca kawa z MLEKIEM, znowu masło, znowu «rillettes» i złociste konfitury z mirabelek. Jadłem i zdawało mi się, że to sen. Życie jest wspaniałym wynalazkiem — pod warunkiem że można żyć. Po dwóch latach jaskiniowego życia wpadłem nagle w nastrój słonecznego poranka, pachnącego kawą i konfiturami. Zapomina się o wojnie i ma się uczucie zupełnej swobody. Zdawało mi się, że odmłodziłem o całe lata, wewnętrzne napięcie obniżyło się i obok zupełnie zwierzęcego rozkoszowania się wszystkim wokoło, byłem właściwie roztrzęsiony. Największym wstrząsem nerwowym dla milionów ludzi będzie koniec wojny. Gdy po śniadaniu zbiegłem do ogrodu opadającego łagodnie ku brzegowi małej rzeczki, gdy zobaczyłem znowu lśniące od porannej rosy liście i przyczepioną do kołka łódkę, pod którą woda łakomie mlaskała i cmokała, musiałem sobie wmawiać, że to prawda, że kiedyś było inne życie i że kiedyś, jeśli doczekam, będzie znowu inne życie. Zegnani przez domowników wsiedliśmy na rowery i pojechaliśmy śliczną drogą brzegiem Sarthe. Przejeżdżaliśmy przez miasteczka, w których kwaterują Niemcy. Są to wszystko «SS», dywizje gwardii Führera «Adolf Hitler» i «Grossdeutschland», które w lipcu defilowały na Polach Elizejskich. Żołnierze łążą w majtkach kąpielowych ku zgorzeleniu mieszkańców. Mają tutaj święte życie. Oszczędzają ich, protegowani. Na dachach domów karabiny maszynowe, w stodółach i wozowniach samochody i czołgi. W każdym miasteczku to samo i w tej chwili cały departament Sarthe obsadzony jest SS-ami.

Droga ciężka, koło południa upał. Wreszcie koło pierwszej spotykamy na drodze Linę z czterema chłopakami. Wyjechała na nasze spotkanie. Basia jest bardzo zmęczona, ledwo kręci, ale jakoś jedzie. Widać już Chambellay. Domy są jak z klocków, a nad tym wieża kościołka. Po bokach, wśród pól, kępy drzew okalające «château» okolicznej szlachty. Tutejszy departament —

Maine et Loire — jest jeszcze bardzo patriarchalny i feudalny i w ogóle rojalistyczny. Przy wjeździe do miasteczka mijamy wesele. Weselnicy idą parami, już dobrze podpici i śpiewają. Kobiety i mężczyźni ubrani są przeważnie na czarno, a gruba baba, zataczająca się i podpierana z wysiłkiem przez małego i chudego mężczyznę, krzyczy i śpiewa zagłuszając całe towarzystwo. Brak kolorów i życia. Czarne ubrania, panna młoda w modnej sukni i w kapeluszu na tle białych, kamiennych domów w słońcu, rwące się piosenki bez melodii, raczej monotonne — wszystko to jest martwe. Sienkiewicz w jednym z listów z Francji napisał «u nas fantazja i poezja ludowa zasila książkową, tu odwrotnie: książkowa ludową». Widać to na każdym kroku. Wieś francuska jest martwa i bezkolorowa. Od razu przypomina się «Eugénie Grandet», a może jeszcze bardziej «Le médecin de campagne» Balzaca. Żaden z pisarzy francuskich nie potrafił tak świetnie wczuć się w wieś, w tę jej martwość, szarość i bezkolorowość, w materializm i bezduszność eksploatacji ziemi, jaka tutaj panuje.

Zajeżdżamy przed dom. Wielki budynek dwupiętrowy o ładnych proporcjach z czasów drugiego Cesarstwa. Ogród zbiegający prawie nad rzekę. Witamy się, przyjmuje nas pani domu, ciotka Roberta, Madame Bazin. Mała, starsza pani, twarz energiczna, włosy siwe, wielka godność w całym zachowaniu się. Kilka lat temu sparaliżowało jej całą prawą stronę. Dziś, dzięki wysiłkom i energii, znowu chodzi, utykając nieznacznie i posługując się zręcznie prawą ręką, prawie bezsilną. Jej język jest wykwintny, zdania mają zapach minionej epoki, przesiane wyrazami już dziś zapomnianymi w potocznym języku. Są poza tym w domu rodzice Roberta i matka jego żony. Jednak od pierwszej chwili czuje się w całym domu rękę Madame Bazin. Oddała nam swój pokój i jesteśmy zachwyceni. Siadam w fotelu, patrzę w okno obramowane żółtymi kretonami i cicho deklamuję André Maurois:

*Dans votre salon directoire
(Bleu lavande et jaune citron)
De vieux fauteuils voisineront
Dans un style contradictoire
Avec un divan sans histoire
(Bleu lavande et jaune citron)*

Z dołu słyhać dzwonek wzywający do stołu. Wchodzimy w czasie modlitwy, śpiewanej przez dzieci. W czasie obiadu rozmowa o naszej podróży, o Paryżu, o Niemcach. Madame Bazin opowiada o nich z tą wspaniałą wytworną złośliwością i pogardą, możliwą jedynie do oddania po francusku. Zastłuchuje się jak w nocy, gdy Madame Vigné mówiła o nich. Kilkoma wyrazami i tonem, tą specyficzną intonacją głosu, nieraz wprost nieuchwytną dla niewprawnego ucha, oddaje wszystko. Czuje się, że każde stąpięcie podkutego buta na wypielęgowanym stopniu schodów, na każdej deseczce parkietu, odzywało się w jej sercu jakimś bolesnym ukłuciem. «A tam, na końcu ogrodu ustawili armatę... i obcinali gałęzie jabłoni, aby poprzykrywać nimi samochody...»

Po obiedzie, zmęczeni i rozleniwieni, przechodzimy do salonu na kawę. Salon jest dziełem sztuki. Rozmowa o rodzinie. Robert przynosi nawet jakieś stare pergaminy i jest wyraźnie dumny ze spacerów po XVII wieku. Historia wzlotu i opadnięcia tej rodziny. Madame Bazin słucha z uwagą, wtrącając co chwila kilka wyważonych słów, poprawek. Przeżywam nastrój, który znałem dotąd jedynie z powieści francuskich. Tu mówię sobie: to Flaubert. Zebrawanie rodzinne w salonie Madame Moreau, gdy Fryderyk wrócił do domu z Paryża (*Education sentimentale*).

Po kawie poszliśmy do siebie i spaliśmy do kolacji.

6. 9. 42.

Niedziela. Rano przyniesiono nam do pokoju kawę z mlekiem, chleb i masło. Zabraliśmy ze sobą słoik miodu i cukier, co wszystko razem stworzyło dobre śniadanie. Otworzyłem okna — słońce. Jemy w piżamach. Po śniadaniu ubieramy się i schodzimy na dół. Połowa rodziny była już na mszy porannej, my z Robertem i malutką Elisabeth idziemy na jedenastą. Przy wyjściu z hallu, na niskim stoliku leży kilka książek do nabożeństwa dla gości. Bierzemy po jednej i wychodzimy. Proboszczem tutejszej parafii jest Markiz de Chateaufieux «z domu», poza tym Grand hiszpański, typ jakich mało. Nasz proboszcz-markiz ma tu pracę dosyć łatwą, bo cały departament jest tradycyjnie katolicki, konserwatywny i znany ze swych sentymentów

rojalistycznych. W drodze do kościoła, Robert nie bez dumy opowiada nam, że właściciele sąsiedniego «château» utrzymują własnym kosztem szkołę powszechną, w której nauczyciel historii ma nakazane nie uczyć dzieci niczego o Rewolucji francuskiej. W środku tej demokratycznej Francji. Kazałem sobie to powtórzyć, bo trudno mi było uwierzyć. Francuska demokracja — jeszcze jeden mit, legenda, której nas uczono. Demokracja jest tu cienutką powłoką zewnętrzną, lekkim płaszczkiem z ręcznie skrojonym, pod którym kryje się ciasna i zazdrosna kastowość. Kler jest tu jeszcze ciągle stanem w znaczeniu przedrewolucyjnym, stanem walczącym w oparciu o katolicki odłam społeczeństwa, dzielącego się na kilkanaście zamkniętych odłamów konserwatywnych. Arystokracja, burżuazja rodowa, ziemska bogata, uboga, uboższa, biedna. Warstwy zamknięte, o minimalnej interpenetracji — wszystko pokryte tą półinteligentną masą ni tego ni owego, tych co na każdym kroku mówią ci *merci, pardon, excusez-moi, permettez que...* i tworzą lud, *le peuple*, z którym kasta polityków zawodowych (to specjalna kasta) robi, co chce. Demokracja jest formą, wewnątrz panuje feudalna kastowość. Stosunek wyższego do niższego jest demokratyczny w formie, w treści pozbawiony jest jeszcze ciągle punktów stycznych. Toteż jeżeli język polityczny poszedł w całej Europie naprzód, to we Francji jest on jeszcze ciągle na poziomie 1789. Tutejszy robotnik lub leader robotniczy mówią jeszcze zawsze stylem broszurek rewolucyjnych. Mam nieraz wrażenie, że ta wielka rewolucja nie załatwiła tu właściwie niczego, utknęła na połowie drogi, doprowadziła do bezustannego fermentu w równowadze, w którym wszystko ciągle się znosi, neutralizuje, wyfermentowuje w gadaniu i połowicznych pociągnięciach. Z całego hasła *liberté, fraternité, égalité* — jedynie *liberté* zdołała jako tako wejść w życie i raczej wszystkie inne kraje z Ameryką na czele i z Anglią na drugim miejscu przesiąkły tym hasłem bardziej, nie mając go w godle państwowym. Nie wiem czy nawet my nie byliśmy krajem bardziej demokratycznym w treści (nie w formie), niż Francja. Pamiętam jedną pogadankę o Polsce, jaką miałem w 1939 roku wśród naszych emigrantów w jednym z najbardziej skomunizowanych ośrodków polskich w Boulogne-Billancourt i gdy na wszystkie argumenty

z zakresu praw i przywilejów wywalczonych przez tutejszych robotników w oparciu o rządy Bluma w roku 1936 odpowiadałem: «To w Polsce istnieje już od początku odzyskania niepodległości». Po wielu zarzutach pod adresem Polski, zrozumiałem że im chodzi po prostu o formę, o «polskich panów», a Francja imponuje im tym, że inżynier podaje im rękę i pozwala sobie w bistrze postawić kolejkę. Nie wiedzieli, że ten «inżynier» nie był najczęściej żadnym inżynierem, lecz po prostu dokształconym i opoliturowanym sankjuletem i że prawdziwy inżynier jest tu dla robotnika bardziej nieosiągalny niż u nas, że dzieli go przepaść społeczna wielokrotnie większa aniżeli u nas. I on poda rękę, i on zamieni kilka słów *aimables*, ale wewnętrznie gardzi tym robotnikiem, tą *canaille* bardziej, niż nasz szlachcic, wyzyskuje go tak samo jak Murzyna i jego prawdziwy stosunek jest stokroć bardziej «pański» niż u nas. Rewolucja nie rozwiązała we Francji problemów społecznych i kto wie, czy ich nie zaostriżyła. To co z niej się uratowało, zamknęło się jeszcze ciaśniejszym murem i jeszcze trudniejszym do przebycia. Wytworzyła nową elitę, która z biegiem lat przyjęła cechy arystokracji rodowej. Cała szlachta napoleońska zamknęła się w swoim kole, a rekrutując się z warstw niskich, będąc neofitą, stała się często bardziej arystokratyczna, niż stara arystokracja. Burżuazja, skupiwszy w swych rękach pieniądze, postąpiła podobnie. A w dole pieni się jeszcze zawsze lud, zawistny i pożądlivy, jak każdy lud nie znajdujący wyładowania i upustu w stopniowym przenikaniu wzwyż. Francja jest społecznie skostniała. Rewolucje doprowadziły przede wszystkim do wyniszczenia elity, do osłabienia się jej witalności, do zamknięcia się w sobie, do niesamowitych pokrzyżowań różnego rodzaju pogardy. I jak po każdej rewolucji, tak i we Francji wysuwa się na pierwszy plan chamstwo, chamienie rozszerzające się coraz bardziej, niedostrzegalne na pierwszy rzut oka, bo pokryte francuską *familiarité*, pod którą kryje się jednak gruboskórność i brak taktu rzadko spotykane gdzie indziej. Powszechny brak dżentelmenerii, bo tego nie rozumieją. Tam, gdzie płytka *politesse* jest wszystkim, nie rozumie się, że ktoś może być dżentelmenem pomimo braku form. Wracam do formy, bo bez zrozumienia jej nie można zrozumieć Francji. Tu można zrobić najbliższej osobie najgorsze świństwo, można po-

pełnić podłość, zachowując formę. Francuz na ogół nie rozumie różnicy, nie potrafi pojąć tego, że zarówno gdy chodzi o zło lub dobro, forma nie rozstrzyga o istocie rzeczy. Bo tu istotą wszystkiego jest forma. Okupacja może być najlepszym przykładem. Niemcy robią tu stopniowo, w formie złagodzonej, wszystko to, co u nas, ale robią wolniej i pod płaszczykiem legalnego rządu Vichy. I nie ma sposobu, aby wytłumaczyć im, że to właściwie to samo. Gorzej: Francuz nie jest w stanie zrozumieć, że jest wielka różnica w zachowaniu się obydwu krajów, że działalność Vichy plami ich historię, plami ich przeszłość. «W takim razie jeżeli u was robią to samo, co u nas, to jakaż różnica, skoro efekt końcowy jest ten sam. I wy i my musimy się naginać do ich wymagań — dlaczego nie utworzyliście jakiegos rządu — byłoby wam lżej...» — mówią, nie mogąc pojąć naszego rozumowania, będąc przekonani że ich rząd zapewnia im obronę i że wobec tego tak jest lepiej. Może...

Weszliśmy do kościoła i usiedli w ławkach. Ksiądz wyszedł z mszą w otoczeniu sześciu ministrantów ze świecami. Oglądnął się w tył, zburczał któregoś za jakieś uchybienie i rozpoczął modlitwy. Ktoś spóźniony trzasnął drzwiami. Proboszcz odwrócił się i warknął na głos: *Il est vraiment temps de venir*. Ewangelię odczytał tonem rozkazu dziennego do żołnierzy i zaczął kazanie. Słów zbytnio nie dobierał i od razu przeszedł do najważniejszego — do donosicielstwa. Niemcy robią teraz po wsiach przeglądy koni i dobre konie od razu rekwirują. To najlepsza maszyna na froncie rosyjskim. W tutejszej okolicy chłopci wzięli się na sposób, a mianowicie do każdego przeglądu wypożyczali od sąsiadów konie uznane za niezdatne, i przedstawiali je do przeglądów zamiast swoich dobrych. Wszystko świetnie szło, tylko że oczywiście od razu ktoś o tym doniósł do Komendantury i wysoce sprytny jak na Francuzów proceder, diabli wzięli. Ksiądz pieniał się: «To już nie pierwszy raz... ta podłość... zawiść... nikkczemność». Mówił im o najświętszym uczuciu, o zawiści. Zawiść osiąga tu rozmiary apokaliptyczne. W tej chwili w całej Francji zawiść i nikkczemność podały sobie ręce i królują w całym kraju. Wystarczy aby ktoś z sąsiadów zauważył, że komuś dobrze się powodzi, że robi dobre interesy, już siada i pisze donos do Niemców. Setki jeńców zbiegłych z niewoli niemieckiej zostały już zadenuncjowane, dziesiątki

tysięcy ludzi miało większe lub mniejsze nieprzyjemności z powodu donosów, anonim jest do pewnego stopnia symbolem obecnej Francji. To zawiść przemawia, płód niedokończonych rewolucji, płód każdej rewolucji. My zachowujemy się dzisiaj godnie, ale wprowadźmy u nas «dyktaturę proletariatu», a najwięksi patrioci zaczną pisać anonimy do jakiejś polskiej czeki, zaczną się podłości i nikczemności o jaką nigdy nie posądzaliśmy siebie. Francuzi, przy pomocy Vichy i «Révolution Nationale» Pétaina pomylili okupację z rewolucją i Komendantury z Komitetami Ocalenia Publicznego i każdego Militärbefehlshabera z Fouquier-Thinville'm. I dlatego jeden z bukinistów nad Sekwaną, gdy wziąłem do rąk z ciekawością «Podręcznik pisania listów anonimowych» (istnieje, owszem) powiedział mi: «To jeden z podręczników (*manuels*) najbardziej obecnie poszukiwanych».

8. 9. 42.

Pogoda przez cały czas cudowna, dni mijają szybko. Chodzimy na spacer, objadamy się ostrężynami, których pełno przy drogach, pod wieczór pływamy w rzece. Dziś popołudniu zrobiliśmy z Robertem 92 km. na rowerach i na kolację była gęś pieczona. Po tych prawie stu kilometrach...

9. 9. 42.

Słońce świeci, na trawniku przed domem bawią się dzieci, a mały Michel, w wielkim słomkowym kapeluszu, wlaź na krowę i ujeżdża bydlę. Basia gra z Jean-Claude w krokieta, a Robert podszedł właśnie do mnie z gazetą i powiada: «Jest ciekawy artykuł. Dowództwo niemieckie przypomina, że n i g d y nie przepowiadało zdobycia Stalingradu». Uśmiecham się. Niestety nie wezmą. Jestem o tym święcie przekonany.

Po kolacji uprzątną stół i wszyscy będą grać w jakiś gry. A ja z typowo polską namiętnością ustawiam olbrzymie piramidy z kart, które mała Elisabeth będzie burzyć z przyjemnością.

Wczoraj po południu byliśmy w «La Bourgonnière». Jest to duża ferma, coś w rodzaju dworu (*la gentilhommière*), która za dawnych lat należała do rodziny Roberta. Duży, stary dom dwupiętrowy z małą basztą, otoczony niegdyś fosą, z której pozostały do dziś resztki służące jako gnojówka. Całość przygnębiająca. Widać, jakie to było niegdyś ładne. Dziś kupione przez jakiegoś chłama z pieniędzmi, oddane w dzierżawę chłopu-farmerowi, wali się, gnije w brudzie i niechlujstwie. Potworny jest ten brud na wsi francuskiej. Żąda się tu od ziemi, budynków i maszyn wszystkiego, nie dając w zamian nic. Jest to zachłanna, rabunkowa eksploatacja, przeprowadzana do tego przy pomocy metod tak zacofanych, jak za Kapetyngów. Chłop ma tutaj często samochód, maszyny rolnicze, ale wszystko to tonie w takim zaniedbaniu i niechlujstwie, że pomimo to ma się uczucie zupełnego prymitywu. Tak brudnego byłem nawet u nas nie widywałem. Francja, to obraz najbardziej zacofanego kapitalizmu, to rezerwat kapitalizmu XIX wieku, o jakim ja już tylko uczyłem się w historii doktryn gospodarczych.

Chodziliśmy wokół tego domu, zaglądałem do środka. Brud i prymityw, zelektryfikowana jaskiniowość. Robert kręcił się, oglądał i tłumaczył mi, że kiedyś to było tak i tak, że tu stało, tam wisiało... itd. Zachowywał się bardziej turystycznie, niż ja. Przypomniała mi się ta kapitalna uwaga Balzaca z «Modeste Mignon»: «...lecz aby spędzić jakoś dzień polecieli osiodłać konie i zapuścili się w okolicę nieznaną im z pewnością tak samo, jak Chiny. Bo najbardziej obcą rzeczą we Francji dla Francuza jest Francja».

Balzac jest pisarzem prawie współczesnym, bo poza nieznacznymi przesunięciami społecznymi, TREŚĆ Francji, którą on tak wspaniale pochwylił, jak żaden z ich pisarzy, pozostała do dziś dnia ta sama.

Pod wieczór pojechaliśmy na inną fermę, należącą do Mme Bazin. Kręta droga wśród małych pól, poprzegradzanych garbatymi drzewami. Lina kupowała gęś, my położyliśmy się przy stogu słomy na kupie sieczonej. Na niebie wypryskiwały powoli gwiazdy.

11. 9. 42.

Madame Bazin miała wczoraj do załatwienia kilka sprawunków w okolicznym miasteczku Château-Gontier, odległym od Chambellay o 16 km. Poza tym musiała odwiedzić jakąś swoją kuzynkę, która tam mieszka w przytulku dla starców. Jakaś chora i stara panna odłożona na brzeg talerza rodzinnego, jak kostka w zupie. Coś tam jednak uratowała z tego rodzinnego pogromu i familijnego rabunku, i otrzymawszy małą rentę, osiadła w przytulku.

Rano zjechał farmer Madame Bazin małą kariolką na dwóch kołach. Ona i Lina z małym Jean-Claudem zasiedli w środku, okrywając głowy słomkowymi kapeluszami i palankinem parasolek naszych babek. W alei, zaciemnionej kasztanami, zasypanej plamami słońca wyglądało to jak płótno Maneta i fragment Prousta. Robert, Basia, dwaj chłopcy i ja jechaliśmy na rowerach. Pogoda cudowna. Dzień za dniem słoneczny i prawie upalny. Jedynie ranki i wieczory mglisto-chłodne, pachnące jesienią. Droga ładna, górzysta jak tutaj wszędzie. Pod górę zeskakujemy z rowerów i idziemy na piechotę, z góry pędzi się jak po stole. Długą aleją platanów ocieniających drogę, wjeżdżamy do miasteczka. Jest południe i gorąco. Wąskimi uliczkami podchodzimy do górnej części miasta i rozsiadamy się w jakimś chłodnym bistrze. Mamy zimne mięso, pomidory, chleb, ser i jabłka. Prosimy o wino, ale wina nie ma. To też osobliwość: w samym środku Anjou nie ma wina. Oczywiście Niemcy. Robert jest niepokieszony — nie może mi dać skosztować tej *spécialité du pays*, młodego, białego wina andegaweńskiego. Wobec tego pijemy wodę sodową z grenadiną o smaku syntetycznym. W mrocznej izbie bistra jest chłodno i przyjemnie i wychodzimy ociężali. Upał jest nieznośny. Siadamy w parku i nie bardzo mamy ochotę ruszać się, ale Robert niemiłosiernie zwiedza Francję i ciąga nas po różnych kątach pokazując ich piękno z entuzjazmem młodego chłopca. Obydwoje lubimy w nim ten zupełnie nie francuski entuzjazm, inteligencję i szerokość spojrzenia.

Domki budowane tutaj na stoku wzgórza, jeden obok drugiego. Dach domku stojącego niżej tworzy ogródek dla domku stojącego wyżej. W ogródkach zwiędłe resztki

jarzyn, zmęczone upałem nasturcje i sztywne astry. To jednak już jesień. W dole, nad rzeką, trawa jest już zrudziała i tylko w małych ogródkach żyją kwiaty. Ktoś chodzi wśród nich w niebieskim fartuchu i wielkim kapeluszu i podlewa je. W upalnej ciszy słyhać szept wody ciekącej długimi nitkami z polewaczki i rozpryskującej się na liściach. Na starość marzę o podlewaniu kwiatów. Ileż tu spokoju. I ludzie i natura mają łagodność i spokój miłego, galicyjskiego emeryta. Basia i Lina zostają w parku, ja z Robertem i z dziećmi idę oglądnąć kościół. Na wielkim placu stoi kilka wielkich czarnych karet. Wszystko tonie w słońcu. Na widok tych karet myślę o «Madame Bovary». Widzę ją, idącą szybko i trwożliwie w stronę jednej z nich i wydaje mi się, że poza szybą dostrzegam zarys mężczyzny w ciemnym tużurku.

Potem idziemy spotkać się z Madame Bazin. Przytułek przypomina koszary. Wielki dom trzypiętrowy ze skrzydłami, wewnątrz wielkie podwórze brukowane zamknięte od ulicy żelaznym płotem pik z pozłacanymi grotami. Obydwie panie stoją przy wejściu i rozmawiają. Kuzynka Madame Bazin jest kobietą małą, starszą, uśmiechającą się dobronudownie i mającą w całej postaci coś żałośnie opuszczonego, jak zagubiony pies. Madame Bazin rozmawia z nią z tą pewnością siebie osób posiadających, pokrytą uprzejmościową równością, która jeszcze bardziej uwydatnia miłą protekcyjność. *Chère amie* przelatują z ust do ust. Madame Bazin jadła u niej obiad, bo jakkolwiek *la cousine* mieszka w przytułku, to jednak ma tam dwa pokoje umeblowane resztkami swoich mebli i młodą dziewczynę do posług. W tych sferach uważa się to we Francji za zupełną nędzę. U Balzaca szczyt nędzy to trzy pokoje i kuchnia, jedna służąca i wino, kupowane na litry, a nie *bouché* — korkowane w butelkach. Jednak od tamtych czasów jest postęp, owszem, w dół.

Po całym pożegnaniu, panie siadają do kariolki, a my idziemy do bistra poszukać jednak jakiegoś wina, bo Robert koniecznie chce nam pokazać tutejszą *fillette* (miejscowa nazwa butelki wina o specjalnym kształcie). Po wielkich targach z patronem wypijamy *fillette* białego Anjou. Jest chłodne i świetne. Doganiamy kariolkę. Pod górę kariolka nas wyprzedza, z góry my mijamy kariolkę. Niebo jest popielato-niebieskie, pola szarzejają. Uroczy dzień.

Całe przedpołudnie na rowerze z Robertem. Łatwiej przyjechać niż wyjechać. Jutro wyjeżdżamy i trzeba było zorganizować podróż. Pojechaliśmy do Châteauneuf dowiedzieć się o pociągi i «zgodzić» samochód. Przy tej sposobności Robert załatwiał sprawy spadkowe z jakąś ciotką. Chodziło o zabranie sreber, pozostałych po zmarłym kuzynie, który umierając, zapisał prawie wszystko na cele dobroczynne. Straszny człowiek. Ciotka mieszka w swoim domu, zajęтым całkowicie przez Niemców. Jej zostawili tylko jeden pokój. Energiczna, koścista, starsza pani, pełna twardego temperamentu, kategoryczna i sucha. Rozmawiając z nami na podwórzu, mówi na głos o swoich lokatorach, traktując ich jako *ces punaises qui ont apparues cette année* i na które to pluskwy nie ma lekarstwa. Na piersiach ma przypiętą wielką broszkę o kształtach trójkolorowego sztandaru. Słoneczna cisza. Odszedłem na bok, zostawiłem ich obydwójce *causer les affaires*, a sam usiadłszy w cieniu jakiegoś muru patrzyłem i słuchałem. Siedziałem tak godzinę albo i dłużej, bo Robert z ciotką poszli do jakiegoś klasztoru oglądać srebra przechowywane u jakichś sióstr. Ciszę rozdarł nagle śpiew idących do kąpieli Niemców, czasem stuk obcasów stojącego na baczność posterunku, ale nad tym wszystkim panował spokój słonecznego placu z pomnikiem w środku i z zieloną trawą, rosnącą między kamieniami bruku. Robert wrócił, opowiedział mi historię spadku i sreber, po czym pojechaliśmy na dworzec. Umówiliśmy samochód. Pociąg odchodzi przed siódmą rano.

Po południu wybiegliśmy z Basią narwać ostrężyn na konfitury. Szła burza. Rwaliśmy je prędko, przed deszczem, bo zamoknięte nie wytrzymałyby podróży. Wróciliśmy już w deszczu. Pierwszy deszcz od wielu tygodni. Zmokliśmy zupełnie, ale było nam tak jakoś wesoło. Właściwie zmokliśmy na umyślnie. Po powrocie do domu odczuliśmy milczący wyrzut o to przemoknięcie. Gdyby oni mogli zrozumieć, że człowiek może czasem mieć ochotę zupełnie zmoknąć, to mogliby zrozumieć wiele innych rzeczy, których nie rozumieją.

Wczoraj po południu pojechaliśmy sami na spacer. Wjechaliśmy na polną drogę, w jakieś zarośnięte ze

wszystkich stron ostrężynami wertepy. Położyliśmy się na trawie i patrzyliśmy poprzez liście drzew na niebo. Czasem mignęła jaskółka, czasem tłustym lotem przesunęła się wrona. Nie wiem czemu, ale zawsze mi się wydaje, że żadna wrona na całym świecie nie może być chuda. Po ziemi biegały samotne mrówki z głupim wyrazem twarzy. Samotna mrówka, taka «indywidualna» ma zawsze głupi wyraz twarzy. Musi mieć. I nerwowe ruchy. Jak tak dalej pójdzie, to przeciętny człowiek nie potrafi być sam. A jak będzie sam, to będzie miał głupi wyraz twarzy. Potem rwaliśmy ostrężyny i jedli je. Odkrywaliśmy coraz to nowe placery i bonanze i wróciliśmy do domu z czarnymi wargami i zębami. I znowu patrzono na nas z cichym wyrzutem. Przecież ostrężyny, to nie owoc.

Ostatni wieczór. Po burzy jest chłodno i pachnąco. Ostatnie zapachy zieleni, jak zapach perfum dziewczyny, która odeszła. I ten sam smutek. Ostatnie gorące słońce. Powiedziałem teraz do Basi: «Jutro wracamy do domu» i obydwójce roześmialiśmy się. Do Paryża — do domu. Dziwne uczucie. Czuję, że cokolwiek jeszcze stanie się w moim życiu Paryż będzie domem.

15. 9. 42.

Wczoraj wyjechaliśmy. Z Chambellay wyjechaliśmy wcześniej rano. Było jeszcze ciemno. W Châteauneuf wsiedliśmy do pociągu, który dowiózł nas do Le Mans. Dzień był śliczny i obydwójce staliśmy cały czas przy oknie. Po polach snuła się już jesienna mgła i melancholia. Pociąg włókł się wolno, lokomotywa zachowywała się jakby miała «angina pectoris», stacyjki spały nawet w czasie postoju.

W Le Mans nastój pękł. Wielki dworzec węzłowy, cały zelektryfikowany. Na ziemi sieć torów, nad głową sieć drutów, spleciona w wielki kołtun. Druciany mózg. Gwar, tłum ludzi pchających się we wszystkie strony, perony zavalone bagażami. Do naszego pociągu weszliśmy cudem (uwierzyłem w cuda), gubiąc się w ścisku. My usadowiliśmy się na korytarzu przy oknie i staliśmy aż do Paryża. Elektryczny ekspres pędził ponad sto na godzinę, a ja cały czas myślałem o tym, że któregoś dnia w tym

samym tempie powiem «adieu» całej Europie i wyniosę się do jakiegoś rezerwatu, gdzie nie potrzeba się pchać od samego rana.

Na Gare Montparnasse pożegnaliśmy się z Robertami i z resztą rodziny. W metrze tłum i zaduch, duszno i gorąco. W naszym pokoju nieporządek i upał.

Dzisiaj pojechałem już do pracy i wpadłem od razu w gorączkowy nastrój wyczekiwania. Obietnica Laval'a o dobrowolnym wyjeździe 150.000 robotników do Niemiec nie została dotrzymana, bo prawie nikt nie wyjechał. Wobec tego Vichy wydało ustawę o pracy narodowej. Każdy Francuz w wieku od lat 18 do 50 musi być zatrudniony. Rejestracja na merostwach, fabryki mają dostarczyć listy personelu itd. — jednym słowem przymusowa wysyłka do Niemiec pod patronatem Laval'a i Pétain'a. Francuzi są zdenerwowani, psioczą, ale boją się wszystkiego. Do tego cała ta wysyłka odbywa się pod znakiem «zmiany warty». Za trzech specjalistów, wysłanych do Niemiec, Niemcy zwolnią jednego jeńca. Nazywa się to *la relève* i wyjazd do Niemiec staje się czynem — patriotycznym. *Pour la France*. Ale i tak nikt się nie kwapi, choć robi się wielką propagandę. Po tym jednym dniu rozmów, plotek, *on dit*, wróciłem do domu zmęczony, jakbym wcale nie wyjeżdżał na urlop. Wobec tego nie myślę.

17. 9. 42.

Wobec tego wyciągnąłem z jednej z licznych waleczek «*Education sentimentale*» Flauberta i czytam. Czytałem to równo trzy lata temu, gdy mało znałem Francję. Teraz mlaskam. Każde zdanie przybiera na ciężarze, widzę absolutnie wszystko. Flaubert może był starym wątrobianem, może przesadzał w «robocie», ale jest wspaniały.

25. 9. 42.

Znowu jakaś poprawka do tej ustawy o «pracy narodowej». Popłoch. Mam to gdzieś. Bo czytam. Bo Madame Arnoux nie przyszła na spotkanie i Fryderyk zaprowadził do pokoju, przygotowanego dla niej — Rozanetę. «*Koło*

pierwszej obudziły ją jakieś dalekie turkoty i spostrzegła, że łka z głową zanurzoną w poduszce.

— Co ci jest, kochanie najdroższe?

— To z nadmiaru szczęścia, powiedział Fryderyk. Zbyt długo cię pragnąłem».

To chyba jeden z najbardziej przejmujących końców rozdziałów w całej literaturze świata. Odszukałem strzępki notatek sprzed trzech lat. Pod datą 30. 9. 1939 mam zapisane: «Wieczorem: niebo zachmurzyło się, a księżyc jest jak przysłonięta ręką świeca. Nie widać go, ale światło wydobywa się bokami. Wyszedłem na balkon z papierosem. Ciepła noc, cisza. Na dole pod nami pusta ulica i tylko jakiś samochód zapuszcza silnik. Warknie przez chwilę i krztusi się. Nade mną czarny zrab komina i całe niebo, naprzeciwko ktoś kaszle chwilami. Charczący samochód i kaszlący na poddaszu człowiek mają coś wspólnego. Samochód odjechał, kaszel ustał i znowu cisza. Zaczyna padać deszcz. Fryderyk został kochankiem Madame Dambreuse».

Ustawa o pracy narodowej...

29. 9. 42.

Basia miała dziś w nocy proroczy sen. Jej się zawsze coś śni. W nocy śpi — śni, w dzień, choć nie śpi, też śni. Zapatrzy się na wróble skaczące po drzewie i — śni. Córka księżycy, jak mówił Kali o Nel. Dziś śniło jej się, że na niebie ukazało się wielkie popiersie Waszyngtona. Ludzie zbiegali się i stali na ulicach, wpatrując się w zjawę. I nagle Waszyngton zaczął mówić. Powiedział, że wojna skończy się za 36 tygodni. A więc w czerwcu 1943 koniec. Jeszcze dziewięć miesięcy. Jej się śni Waszyngton, a mnie nawet kawałek *corned beefu* nie może się nigdy przyśnić. Wydaje mi się jednak, że ten Waszyngton dopuścił się na Basi zwyczajnego, amerykańskiego humbugu. Staram się jej udowodnić, że to był na pewno Mark Twain przebrany za Waszyngtona. I robi głupie kawały.

Wczoraj w berlińskim Sportpalast ten szatański błazen miał znowu mowę. Jak zwykle to samo: *Taten gegen Reden* (nazwałbym to raczej *Reden wegen Taten*), *Diletantische Gegner, Erreichte Ziele*. Faktycznie. W komunikacie z 26 września podali z triumfem, że zdobyli w Stalingradzie — piekarnię. Niesłychane. Brakowało tylko, że ze świeżym chlebkiem. No ale to nic nie szkodzi. Jadziem dalej. A więc: *Gigantischer Aufbau, der europäische Kreuzzug (Kreuzratsel, nie?), erkämpfte Volksgemeinschaft und so weiter*. Straszny jest ten styl jego mów. Demostenes dla chamów. Jest to zawsze kwintesencja wulgarności, płaskich dowcipów i bezgranicznie głupiej pewności siebie. Jest to rzeczywiście język kaprała. Choć nie wiem, czy nie jest to ich cechą narodową i nawet Goethe, zostawszy dyktatorem, przemawiałby może też tylko jak kaprał. Bo oni innego języka nie rozumieją. Czyż świat może być inny, skoro jeden z najmożniejszych jego władców wygłasza TAKIE mowy? Pomijam treść. Ale sposób, styl. Słuchając tego, czuję się jak Petroniusz, słuchający Nerona. I te beznadziejne prorocтва: *«Wenn wir zum Beispiel in den letzten paar Monaten zum Don vorstossen, den Don abwärts endlich die Wolga erreichen, Stalingrad berennen und es auch nehmen werden — worauf sie sich verlassen können brausender minutenlanger Beifall) — so ist das in ihren Augen (w oczach Anglików) garnichts...»* Czy ten bałwan chce się popisywać przed Anglikami? Widocznie mu zależy na ich opinii. W każdym razie Stalingrad nie daje mu spokoju, bo zaraz dalej mówi: *«Jetzt ist es insbesondere die Inbesitznahme von Stalingrad selbst, die abgeschlossen werden wird, wodurch dieser Riegel vertieft und verstärkt wird. Und sie können der Ueberzeugung sein, dass uns kein Mensch von dieser Stelle mehr wegbringen wird. (Tosender Beifall)»*. Bez holajzy ani rusz. Ale tak bardzo nie jestem o tym przekonany. Oficerem sztabowym nie jestem, szkoły wojennej nie kończyłem, kapralem nigdy nie byłem, ale mam dobrą mapę i od dawna uważam cały ten front południowy za zbyt wydęty balon. To nie oni Bolszewików, to Bolszewicy ich wciągnęli i wpędzili na trudne pozycje. Cały niemiecki front, biorąc strategicznie, jest nie do utrzymania w razie

przytomnie przeprowadzonego przeciwnatarcia. Jestem gotów narysować strzałki z punktów, z których powinno wyjść rosyjskie przeciwuderzenie i udowodnić tę tezę *jusqu'à la preuve du contraire*. Ale ludzie są tak zasugerowani tym wszystkim, że szkoda każdego słowa.

Pomimo wszystko Anglicy nie dają spokoju naszemu Führerowi. Też dureń. Po co o nich mówi? Gdyby nie mowy Hitlera, można by o nich zapomnieć. A tak daje im gotowy argument do rozmów ze Stalinem. Mogą mówić: «A jednak Hitler o nas mówi, choć wy towarzyszu twierdzicie, że my g... i niczego». Żeby nie Rosjanie i głupie gadanie Hitlera, to jak Boga kocham nie wiem, czym Anglicy robiliby swoją propagandę przez radio i o czym mogliby mówić. A Hitler znowu to samo w koło macieju. Po angielsku można by to nazwać «personal talk», tak osobiście: *«Herr Churchill, Angst haben Sie mir noch nie eingejagt. Aber dass wir nachgrübeln müssen, da haben Sie recht, denn wenn ich einen Gegner von Format hätte, dann könnte ich mir ungefähr ausrechnen, wo er eingreift. Wenn man aber militärische Kindsköpfe vor sich hat, da kann man natürlich nicht wissen, wo sie angreifen — es kann ja auch das verrückteste Unternehmen sein. Und das ist das einzig Unangenehme, dass man bei diesen Geisteskranken (Roosevelt) oder ständig Betrunkenen nie weiss, was sie anstellen werden»*.

Coraz lepiej. On uważa, że «Gegner von Format» powinien mu najpierw dać znać, gdzie uderzy albo tak zachowywać się, aby on mógł sobie dokładnie wykalkulować, że tamten uderzy właśnie tu. Oryginalne wyobrażenie o strategii — rzeczywiście zupełnie nowe. Na tle tej strategii wolę alkoholową strategię Churchilla. Poza tym Roosevelt jest sparaliżowanym wariatem, Churchill jest pijanym szaleńcem, Londyn twierdzi, że Hitler jest obłąkańcem itd. Jeżeli teraz już jest tak źle, co będzie przy końcu wojny? Stalin, o którym nic się nie mówi, robi na tym tle wrażenie dozorca w domu obłąkanych.

Poszliśmy wczoraj pod wieczór na Pola Elizejskie. Pogoda ładna, łagodna i jesienna. Zachodzące słońce czerwieniło jeszcze bardziej opadające liście. W jednym z kin zaczęli grać nowy film Sachy Guitry «Le destin fabuleux de Désirée Clary». Kupiłem bilety na wieczorny program. Byliśmy jednak głodni i na jazdę do domu nie było już czasu. Poszliśmy na kolację do «Marignan». Jedną z elegantszych restauracji na Polach Elizejskich. Przyjemnie usiąść na miękkich kanapkach, zamknąć się od strony świata przysuniętym przez szeleszczącego garsona stołem i zagłębić się w studiach nad kartą. Podczas gdy myśl biegnie po «tomates à la provençale», «huitres», «foie grillé aux pommes» itd. garson ustawia talerze i kieliszki, rozsypuje noże i widelce, jak drogie klejnoty i rzuca serwetki ruchem krupiera, rozdającego karty. Po czym dyskretnie pyta *quel vin Monsieur dame ont choisi*. — «Bordeaux blanc» odpowiadam pochłonięty wyborem potraw. Najpierw jemy jakąś sałatkę, potem Basia wątróbkę smażoną, a ja nóżkę wieprzową «au vinaigrette», potem pomidory smażone «à la provençale», lody, czarna kawa — bardziej czarna, niż kawa. Zapalam papierosa. Obok nas je kolację jakiś młody Niemiec w towarzystwie rasowej *fille*. Wielki półmisek ostryg i szyjka butelki od szampana, wychylająca się ze srebrnego wiaderka. Dziewczyna je ostrożnie, tak aby nie zniszczyć kredki na kunsztownie wymalowanych wargach, szczebioce, łasi się — zachowuje się z tą pewnością siebie, po której od razu poznać, że nie czuje się pewna siebie. Młody Hans o wyblakłych oczach stara się sobie nadać minę i ruchy dżentelmena, co Niemcom prawie nigdy się nie udaje. Jakieś parweniuszostwo kultury zawsze gdzieś tam wyjdzie na wierzch.

Garson wsuwa mi dyskretnie rachunek pod serwetkę. Płacę jednym, wielkim banknotem i dostaję resztę. Podobno pieniądz nie daje szczęścia. Bardzo możliwe. Ale gdy się jest szczęśliwym, pieniądz na pewno daje szczęście. Byłem bardzo szczęśliwy.

Weszliśmy do kina. Ułożyłem się w wygodnym fotelu i zapaliłem papierosa. Film à la Sacha Guitry, to znaczy nie tyle o Désirée Clary, co o Sachy Guitry.

Historia życia żony Bernadotte'a rzucona na tło Empire'u. Sacha Guitry jest tak doskonały w swoich historycznych relacjach, jak Francuzi w ortografii nazwiska panieńskiego swojej królowej, Marii Leszczyńskiej. Nahaftował na temat miłości Napoleona do żony Bernadotte'a, tej miłości rozkwitłej w Tulonie i która według Sachy Guitry przetrwała aż do końca jego dni. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, czy Bernadotte był zdrajcą i przez cały film snuje się subtelna sofistyka z mniej subtelnymi aluzjami do obecnej sytuacji Pétaina. *Hier liegt der Hund begraben*. Był zdrajcą, czy nie był zdrajcą? Nie, powiada Guitry. O to chodzi. Moreau nie został królem, więc jednomyślnie uważa się go za zdrajcę. Święta racja — śmierć przegranym. I Sacha Guitry też nim nie będzie, co jest najważniejsze... Sacha Guitry nigdy nie przegra. On nie z tych.

Göring miał wczoraj mowę. Ponieważ Anglicy od pewnego czasu zaczęli NAPRAWDĘ bombardować Niemcy, więc szef Luftwaffe musiał się odezwać, aby dodać ziomkom odwagi. I on, który obiecywał w 1939 roku że ani jedna bomba nie spadnie na Niemcy, dziś powiedział, że ludność narażona na bombardowanie otrzyma — dodatkowe racje mięsa. Teraz cały Paryż wyje ze śmiechu, już dawno ludzie tak się nie śmiali. Wszyscy i wszędzie mówią: «*Vous savez* — Göring wymyślił nową broń przeciwlotniczą — dodatkowe racje mięsa». Jednak postęp już jest.

11. 10. 42.

Wczoraj całe popołudnie włóczyliśmy się po lewym brzegu. Było ciepło i sennie. Ja szukałem we wszystkich możliwych księgarniach «*L'avenir de l'esprit*» Lecomte du Nouy i wreszcie znalazłem. Basia przerobiła wystawy wszystkich antykwarni. Na rue Bonaparte pokazała mi ciekawy sklep. Jest to mała antykwarnia, specjalizująca się w sprzedaży sztucznej biżuterii z okresu drugiego Cesarstwa. Broszki, agrafy, krzyżyki, kolczyki, kwiaty — wszystko robione z mikroskopijnych kawałków szlifowanej stali, przypominającej diamenty. Niektóre rzeczy ładne i tanie. Po 10, 15, 20 franków sztuka. Basia kupiła sobie parę rzeczy. Najładniejszy krzyżyk na szerokim łańcuszku,

wszystko plecione z czarnego drutu grubości włosa. I tak chodziliśmy bez końca po tych kątach, które zna się na pamięć i których nigdy nie ma się dosyć. W pewnej chwili powiedziałem do Basi, że jeżeli kiedyś wydam ten mój dziennik, to nazwę go «Wojna i Spokój».

14. 10. 42.

Mr Pagès z Ministerstwa Pracy telefonował do minie, że był u niego Przeor klasztoru Dominikanów w Etiolles, prosząc go o dostarczenie mu kilku pracowników rolnych. Było to jakieś dziesięć dni temu. Chcąc zbadać warunki na miejscu i rozglądnać się, czy nie udałoby się tam zadekować kogoś z rodaków, wybrałem się dziś rano na rowerze do Etiolles. Jest to około 37 km. za Paryżem w kierunku na Melun. Dzień jesienny, popielaty i pogodny ranek. Wyjechałem kilka minut po siódmej zabierając ze sobą chleb z serem i kawałek czekolady. Cicho przeleciałem po asfaltowych jezdniach Lasku Vincennes. Drzewa miały kolor zaśniedziałej miedzi — czerwonozielony, a pod kołami szeleściły opadłe liście. W otaczającej wszystko ciszy rozsnutej, jak pajęczyna, szelest rozgniatanych kołami liści miał w sobie coś z szeptu i potęgował milczenie. Prawdziwa cisza wymaga jakiegoś dźwięku i można ją odczuć naprawdę tylko przez delikatny kontrast. W pokoju nigdy nie jest zupełnie cicho, jeżeli gdzieś w kącie nie tyka zegarek lub nie mruczy usypiający kot.

Stoczyłem się z góry nad Marnę i wjechałem na drogę. Spoza popielatych chmur zaczęło przebłyskiwać chłodne słońce i rozświetlać dachy. Różnokolorowe reklamy fabryk makaronu i suchych ciastek, których tu pełno, rozlewały się na tym tle, jak krople farby kapiące na bibułę. Rower mknie cicho po asfalcie i w uszach huczy wiatr. Nastawiam się pod kolory, dźwięki i obrazy jak pod strumienie wody. Prysznic wrażeń. I zabawa. Kręcąc monotonnie pedałami mówię sobie: «Teraz uwaga na kolory». Po chwili: «Teraz łap szczegóły, te drobne, te nicy». Te «nicy» niedostrzegalne, które w sumie tworzą «wszystko». Te «nicy» to drobiazgi, które wzięte osobno, nic nie znaczą. Ale czym ich więcej, tym silniejszy nastrój,

tym silniejsze to «Coś», unoszące się w powietrzu i tworzące atmosferę. Żeby mnie ze skóry odarli, to nie potrafię wczuć się w nastrój Notre-Dame chodząc wewnątrz, bo brak tam tych «niców» i w rezultacie jest to dostojna czyli nudna pustka. Interesujące dla kamieniarzy. Ale gdy zajdę od zewnątrz, od strony ogródka, gdy unoszące się na tle nieba gołębie utworzą ruchome punkty, gdy pacnie o ziemię dojrzały kasztan, gdy jakiś staruszek karmi z ręki oswojone wróble i przy ogrodzeniu załatwia się dyskretnie małe dziecko — wtedy potrafię odczuć wszystko, potrafię wżyć się nawet w średniowiecze, do którego czuję gotycką awersję. Gotyk jest mi zawsze obcy, widzę go, ale nie odczuwam tak, jak inni to potrafią. Teraz jest on dla mnie uosobieniem czegoś innego jeszcze. Powiedziałem sobie, że bez ich gotyku dam sobie też radę w życiu. Do Dürera z Cranachem! Jeżeli im to średniowiecze trochę popęka pod czterotonowymi pigułkami, to wcale się nie zmartwię. Kilometry skaczą za kilometrami. Dzień zrobił się zupełnie słoneczny. Staję i skręcam papierosa. Te blisko cztery lata tego dziwnego życia tutaj, zrobiły ze mnie skończzonego włóczęgę. Czuję się najlepiej włócząc się z celem lub bez celu. A gdy nie mam określonej godziny, potrafię usiąść i kręcić papierosa przez dziesięć minut. Pałę. Jedzie motocykl feldgrau — pewnie żandarmeria. Nie — zwyczajni Morituri. Oglądam ich zawsze gramatycznie, w participium futuri passivi od «morior» — mający być umarłymi. Rozkładałam mapę «Paris et ses environs» i kontroluję trasę. Potem jadę dalej. Małe domki w ogródkach, jakiś pałacyk w kępie drzew. W Etiolles pytam o klasztor. Po chwili przejeżdżam przez bramę i wtaczam się do wielkiego parku. Na prawo wielki budynek w trakcie budowy, na lewo mniejszy i stary. Wchodzę do mniejszego. Korytarz i sala. Na ławkach i stołkach dużo książek — jakieś wydawnictwa katolickie. Dwaj braciszki w biało-czarnych habitach wynoszą wielkie tace z blaszanymi kubkami. Pytam o Przeora. Zaraz go poproszą. Siadam na jednej z ławek. Wszyscy zakonnicy w klasztorach chodzą tak bezszelestnie jakby jeździli na pneumatycznych wrotkach. Mój braciszek odjechał i rozplątał się w mroku sali. Po chwili wrócił i poprosił mnie do osobnego pokoiku. Mała, sklepiona izba, czysto wybielona. W kącie wielki kominek z okapem w kształcie półstożka.

Na środku ciężki stół, na nim kilka prześlicznie oprawionych książek, pod ścianami wielkie, normandzkie krzesła. Całość prosta, nawet twarda, a jednak pełna smaku. Przerzucam jakąś wspaniałą historię kultury assyryjskiej, tłumaczenie z angielskiego. Wchodzi Przeor. Spodziewałem się kogoś starszego z brzuszkim, widzę młodego, trzydziestoparoletniego człowieka, smukłego, o twarzy energicznej i uderzająco inteligentnej. W oczach i na ustach błąka mu się coś w rodzaju uśmiechu, coś tnącego i jednocześnie pociągającego. Twarz, na której widok mimowoli zaczynają człowiekowi ciąć uszy wszystkie maksymy Chamforta, La Rochefoucaulda i innych. Przedstawiam się. Chcąc być uprzejmym, opowiadam jak dojechałem i patrząc przez okno, wyrażam kilka komplementów pod adresem olbrzymiego gmachu, tej góry betonu i kamieni, dźwigającej się wysoko pod niebo. Przeor spogląda na mnie z tym tnącym uśmiechem i mówi: «Owszem, to wielkie, ale sam pan wie, że trudno o tym powiedzieć aby było ładne. *C'est grand mais ce n'est pas beau*». Roześmiałem się. *Vous ne me permettez pas d'être aimable*. Śmiejemy się obydwaj i w spojrzeńiach naszych następuje to przemile i błyskawiczne szczerzenie się dowcipu i inteligencji. Przechodzę od razu do rzeczy wypytyjąc o możliwości umieszczenia tu kilku robotników. Niestety teraz jest to niemożliwe. Jesień, poza tym musiał przyjąć do pracy kilku zwolnionych jeńców. Chcę pożegnać się, ale Przeor proponuje mi kawę z mlekiem i chleb z serem. Dziękuję za chleb, bo mam swój, ale kawy napiłbym się z ochotą. Przynoszą mi cały dzbanek. Przeor opiera się o kominek i rozmawiamy. Opowiada mi, że Mr Pagès mówił mu o mnie jako o swego rodzaju ambasadorze Polaków. Wyjaśniam mu, że to lekka przesada, ale że to nasze biuro przy francuskiej fabryce, a właściwie Dr K. i ja jesteśmy w tej chwili rzeczywiście czymś w rodzaju placówki dyplomatycznej. Objaśniam mu naszą pracę. Pyta mnie o moje studia, o poziom uniwersytetów w Polsce. Zawijazuje się jedna z tych rozmów, pozostających na długo w pamięci. Dowiaduję się, że tutejszy klasztor jest ośrodkiem studiów, że studenci teologii i uniwersytetów katolickich przyjeżdżają tu na kursy i że w normalnych czasach roi się tu od różnojęzycznego tłumu. Klasztor publikuje poza tym szereg prac, własna drukarnia itd. On przez kilka lat był

profesorem prawa kanonicznego przy uniwersytecie watykańskim, gdzie wiele stykał się z klerem katolickim całego świata. W czasie wojny zmobilizowany, był porucznikiem w jednej z nielicznych dywizji zmotoryzowanych, jakie Francja posiadała i po Dunkierce dostał się do niewoli. Przed rokiem zwolniono go. «Strzelaliśmy waszymi pociskami, a wasze miotacze min były wspaniałe» — powiada przeor, gdy rozmowa schodzi na Châtillon i fabrykę, przy której siedzę. Klęska Francji? Zepsucie, dekadencja. Francuzi w tej wojnie byli wszystkim — komunistami, socjalistami, pacyfistami, anarchistami, tylko nie Francuzami. Nasz rząd obecny? Smutna operetka, postawienie na złego konia. Lepiej nie mówić. Starzejemy się w piorunującym tempie. Wrażenia z Watykanu? Najwspanialszym elementem katolickim są księża amerykańscy. Tak — to prawdziwy katolicyzm odnowiony, idący z duchem czasu. Materializm się przeżył, wiemy o tym, ale jeszcze ciągle nie możemy z nim zerwać. Nie chcemy przyznać się do pomyłki w rachunku i uznać złego wyniku, bo cały rachunek rozpoczęliśmy ze ślełą wiarą w dobry wynik. Padają spokojne słowa i mądre spojrzenia spoza okularów w złotej oprawie. W delikatnych obserwacjach przebija jakby krytyka «starego» katolicyzmu przesiąknięta jakimś nieuchwytnym, świeżym powiewem. Znał kilku wybitnych księży polskich, których nazwisk nie pamięta. «To nie byli ludzie z tego świata. Jeden z nich mówił sześcioma językami i był doktorem trzech fakultetów, *mais vous savez, il nageait dans l'absolu...*» Okropni są księża hiszpańscy. *Ce sont des fanatiques tout à fait du temps de la Sainte Inquisition.* Już dawno wypilem kawę i wypaliłem papierosa. Nie chce mi się wychodzić. Ale wreszcie wstaję i żegnam się. Przeor daje mi jeszcze kilka adresów ferm, w których ewentualnie mógłbym umieścić kogoś z naszych. Dziękuję mu, ale przepraszając z góry za szczerłość, mówię mu, że wolałbym ich widzieć raczej w obozie koncentracyjnym, niż u francuskiego chłopca na fermie w roli pracownika. Przeor uśmiecha się: «Widzę, że dobrze pan poznał Francję». «Oui — nie najgorzej, mój Ojcze, nie najgorzej...» — odpowiadam i wychodzę.

18. 10. 42.

Dzisiaj piekielny wrzask. Wczoraj Anglicy ośmielili się zbombardować zakłady Schneider-Creusot w Creusot. Oczywiście były ofiary, ale niewielkie. Za to krzyk jest wielki — w gazetach oczywiście. Bo ludzie jednak nauczyli się już przyjmować to jako konieczność wojenną. Schneider pracował wyłącznie dla Niemców. Podobno szkody w samej fabryce są wielkie. To najważniejsze. Francuzi powinni Bogu dziękować gdy Anglicy raczą im coś rozwalić, szczególnie jeżeli chodzi o zakłady przemysłowe. Powinni się modlić, żeby im rozwalili jak najwięcej. Przynajmniej po wojnie będą mogli odbudować wszystko wyposażając w nowoczesne urządzenia, a nie pracować w tych rupieciarniach, w których najnowsze maszyny pamiętają sprawę Dreyfusa. I pozwoli im to konkurować skutecznie z tymi wstrętными Anglikami, którzy teraz unowocześniają swój przemysł, przyciśnięci wojną. Nie mówiąc o Niemcach, którzy tak samo, jak po tamtej wojnie, odbudują się za amerykańskie pożyczki.

Od pewnego czasu słyszy się coraz więcej o amerykańskich «latających fortcach». To nie nowe maszyny. Prototyp był już gotowy na dość długo przed wojną, teraz puścili to na seryjną produkcję. Czteromotorowy smok, zabierający około ośmiu ton bomb. Anglicy bombardują obecnie Niemcy bombami dwutonowymi, ale słyszy się także o czterotonowych. Niemcy nazywają te bomby «Bezirksbomben», bo od jednej wali się cała dzielnica. Postęp jest, aż serce rośnie. Człowiek cieszy się jak dziecko, słysząc takie cuda. Do jakiego zdziczenia już nas doprowadzili ONI. Odpłacamy im ich własną «kulturą».

20. 10. 42.

Laval wygłosił wprost płaczliwą mowę, prosząc robotników, aby jechali na pracę do Niemiec. Robotnicy nie chcą. Skończy się na przymusowym braniu z fabryk. W wielu zakładach ułożono już listy imienne ludzi, którzy muszą wyjechać. Organizuje się transporty, ale na dworzec nie przychodzi ani połowa wyznaczonych. Strach i zdenerwowanie. Ale i tak o ileż to delikatniejsze. Nie ma żadnych «łapanek», wywożenia, otaczania.

27. 10. 42.

Urodziny. Mógłby ten czas naprawdę trochę wolniej uciekać. Nie zdążyłem jeszcze całkowicie otrząsnąć się z wrażeń, jakich dostarcza nie zdanie matury (z polskiego — pewnie stąd to zamiłowanie do pisania) a tu już dziesięć lat minęło od tego czasu. Jako prezent urodzinowy dostałem od Basi cygarniczkę, a od Anglików wielką ofensywę w Egipcie mającą doprowadzić do pobicia Rommla Afrykańskiego.

1. 11. 42.

Pierwszy raz od przyjazdu do Paryża nie poszliśmy na Père-Lachaise. Cały dzień przesiedzieliśmy w domu. Czytam dziesięć tomów «Pamiętników Księżnej Abrantès» czyli generałowej Junot. Podobno w pisaniu tych pamiętników pomagał jej Balzac. Zjadliwa baba, tak zjadliwa, że z niektórych stronicy aż jad tryska. Cóż za historie... Wściekła patriotka. Ta różnie Francuzom prawdę w oczy. Ta nikczemność nie daje jej tak samo spokoju, jak mnie. Francuzi w chwili wkroczenia wojsk rosyjskich i pruskich do Paryża, zachowali się identycznie jak w 1940 roku. To płaszczenie się przed zwycięzcą, to odwrócenie się już nie tylko od Napoleona (to można usprawiedliwić), ale w ogóle od honoru, dumy i poczucia godności własnej było już wówczas tak samo przerażające, jak przed dwoma laty. Pamięć ma baba dobrą i nieraz krępującą, bo poparła dokumentami. Potrafiła przytoczyć dokładny spis klejnotów i wotów, które Lannes pokradł w kościołach Saragossy. Ponura historia z tym oblężeniem Saragossy. Jeden generał za drugim, jeden marszałek za drugim łamiał sobie zęby na każdym domu, podczas gdy tam, w Paryżu, wędnie liść po liściu na wieńcu laurowym niezwyciężonego Cesarza. Czytam to i tuż przed oczami mam to samo obecnie. Tam nad Wołgą, o każdy dom Stalingradu kruszą sobie kły generałowie i marszałkowie niezwyciężonego Führera. Dzień po dniu wędną listki na «Eichenlaubie» i opadają. I nie pomagają nowe nominacje i ordery, jak wtedy nie pomagały już majoraty i tytuły nadawane przez Cesarza.

2. 11. 42.

Stalingradu nie wzięliśmy. I — co gorsze — mamy zamiar dostać w tyłek pod El-Alamein. Montgomery jak pocisnął 27 października, tak ciśnie dalej, a nam zaczyna brakować tchu. Piszemy już o «gniotącej przewadze przeciwnika» i przygotowujemy opinię do «zwycięskiego odwrotu».

6. 11. 42.

Veni, vidi, vici. Tak może sobie powiedzieć Sir Montgomery. Rommel Africanus przerznął bitwę pod El-Alamein i cofa się na złamanie karku, goniony przez roje samolotów angielskich, obrzucających go bez przerwy bombami. Lotnictwo niemieckie zaczyna nawalać, prawdziwy początek końca. Wobec tego Rommel zostawia Włochów na pożarcie, którzy kupą i ochoczo rzucają się do niewoli. Patronka przy radiu dostała już zupełnego bzika i tylko bredzi: *Dites donc, ils ont dit que... ils ont expliqué... enfin je ne sait pas répéter...* i skacze koło aparatu radiowego. Ludzie chodzą rozpromienieni. Najwyższy czas, że Anglicy coś zrobili, bo można myśleć, że wojna jest wyłącznie między Niemcami i Rosją.

7. 11. 42.

Wieczorem w «Odeonie» na nowej sztuce Paul Raynala pt. «Napoléon unique». Trzy akty zaludnione jedynie pięcioma osobami, to znaczy Napoleonem (jak sama nazwa wskazuje), Józefiną, Madame Mère, Fouché i Talleyrandem, są nieudalą próbą skoncentrowania wielkiego dramatu, jakim był rozwód z Józefiną, na przestrzeni kilkunastu nieskończenie długich dialogów.

Sprawa rozwodu z Józefiną nie jest czymś nowym w roku 1809. Mówi się o niej od dawna i Józefina coraz to bardziej odsuwana jest od dworu. Narażona na afrody tych, którzy jeszcze nie tak dawno płaszczyli się u jej stóp, a którzy teraz odwracają się od niej nie widząc już żadnej korzyści w adoracji upadającej bogini, Józefina

wycofuje się powoli z życia dworu i stworzywszy sobie swój mały dworek z kilku wiernych, lecz nie mniej interesownych przyjaciółek, buja z wrodzoną jej płochością między Malmaison i Paryżem. Starzeje się i tyje. Pozostawiona sama sobie, czując że coś nie dobrego dzieje się za jej plecami, Józefina płacze i śmieje się wśród kolejnych przypływów pesymizmu i odpływów optymizmu jakby napisał Mr. Prudhomme. Szuka zapomnienia u krawców i modystek, obraca się wśród zgrai tej hołotki, mającej zawsze coś do sprzedania. Wizyty przeróżnych *marchandes de frivolités*, odwiedziny wróżek i astrologów. Rachunki płyną na biurko Napoleona bez przerwy. A on, ten »Napoleon Unique« właśnie, marszczy czoło i — czeka.

Wojna z Austrią opóźniła rozwód, przebieg kampanii przyspieszył go. Essling, Aspern, Wagram to już nie błyskawiczne zwycięstwa — to ciężko wywalczone gałazki lauru, z trudem dorzucone do wieńca chwały. (Powinienbym przemawiać na porankach patriotycznych). Francja obficie oblała własną krwią te powodzenia i już nie cieszy się tak, jak dawniej. Po wsiach wybuchają bunty przy braniu rekruta, tłumione nieraz siłą. Aby legenda mogła trwać, Francja potrzebuje pokoju. Jest to przełomowy moment w życiu Napoleona. Długo tajone i nie mogące się urzeczywistnić z powodu wiadomych wypadków marzenia o dynastii, odżywają. (Rzecki byłby ze mnie dumny. Aż mnie samego porywa to wprowadzenie). Napoleon czuje, że musi się ustatkować, że musi zerwać z polityczną lamparką i burzliwą przeszłością. Chce w pokoju spożywać owoce swych zwycięstw. Małżeństwo z Marią Luizą pozwoli mu wżenić się w sfery prawowitych władców, otworzy drzwi do komnat monarchów i z awanturnika uczyni równego pomazańcom bożym. Rozwód — odwlekany z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc — staje się nieodwołalny, *conditio sine quo vadis*, jak mówił Krzymuski. Ale Napoleon czuje i przeczuwa konsekwencje tego kroku. Rozwód z Józefiną to rozwód z Bonapartem, z tą pełną chwały przeszłością i legendą, upajającą lud. Józefina, to młodość, to lata oślepiających błysków geniuszu młodego generała. Napoleonowi jest żal, boi się, wstyd mu przed Francją, a i w głębi tai się jeszcze przywiązanie, odżywają wspomnienia: ślub, Egipt, powrót, mały

pałacyk na rue Chantereine, zamach stanu, Pierwszy Konsul. A potem Malmaison. Praca... Mały pawilon koło bramy, stół zarzucony papierami, upalne dni letnie i ciche wieczory. Sylwetka kobiety w białej sukni przesuwiająca się wśród drzew, przystająca koło krzaków róż... Tak lubił widok kobiet ubranych na biało wśród zieleni. Nie — to niemożliwe. Raporty przychodzą za raportami, piętrzą się na biurku. Anglicy grożą lądowaniem, raporty z wybrzeża są nieścisle. Na marginesach dokumentów czernią się nieczytelne dopiski. Rozwód? Tak — to konieczność. Nie może pracować spokojnie. Szybko przebiega pokój, spoglądając przez okno. Jesień, złocą się liście w Tuileries...

To ja. A co Raynal? Raynal zupełnie nie wyzyskał tematu. Korzystając z drobnego wydarzenia, jakim było wykrycie podobno szpiega, który jako astrolog dostał się do Józefiny, Raynal osnuł wokoło tego całą akcję. Szpieg był prawdopodobnie kreacją Fouché, który w ten sposób chciał ułatwić Napoleonowi decyzję, podsunąć pretekst. Pierwszy akt jest monologiem Napoleona do Fouché, po czym przyplątuje się do tego Talleyrand nie wiadomo po co. Chyba po to, aby na końcu aktu wypowiedzieć o Napoleonie opinię, jakiej naprawdę nigdy o nim nie miał. Napoleon mówi, wypomina Fouché wszystko, miesza go z błotem, wścieka się. Jest to jeden z tych napadów gadulstwa, wybuch niekończących się zdań, którym Cesarz ulegał od czasu do czasu. Trwało to dwie, a nieraz i trzy godziny, przy czym bez krępowania się doborem wyrazów i epitetów. *Merde, assiette de merde* i inne dna oka wzbogacały burzliwą przemowę. Raynal dał w pierwszym akcie próbkę jednego z tych wielkich prań. Na szczęście, będąc dość wiernym w ogólnym tonie takiego monologu, nie posunął swej dokładności aż do czasu jego trwania. Ale i tak blisko 45 minut awantury, urządzonej Fouché i Talleyrandowi zmęczyło porządnie Mr. Henri Rollan (Napoleon) i publiczność.

Drugi akt w mieszkaniu Madame Mère. Józefina, przeczuwając nieodwołalną zgubę, stara się o pomoc u Letycji. Ale początkowa przychylność Mamy dla sprawy nigdy nie kochanej zbytnio synowej niknie, gdy Napoleon opowiada jej o szpiegu. Budzi się w niej lwica, stojąca zawsze na straży swego ukochanego syna. Byłoby

wszystko dobrze, gdyby nie zbytni realizm w oddaniu mamy Letycji. Wiemy, że Madame Mère nigdy nie nauczyła się mówić dobrze po francusku i kaleczyła ten język w sposób dość bezceremonialny. Otóż Madame Lily Mounet zrobiła to samo i przez cały drugi akt mówiła z włoska po francusku lub z francuska po włosku. Nie znając jednak włoskiego, starała się pokryć to tak starannie, że jej francuszczyzna była mocno niezrozumiała poza chwilami, gdy zapominała o włoskim i wymawiała kilka wyrazów według reguł Akademii.

Trzeci akt w bibliotece w Malmaison. Noc. Napoleon pracuje. Wchodzi Józefina i zaczyna się po prostu trochę ordynarna scena małżeńska bez świadków. Jedno drugiemu wypomina wszystko, co tylko może, w języku tak swobodnym, jak strój Józefiny, która jest w *sex-appealowej* — koszuli nocnej. Dialog uderzająco przypomina rozmowę dwóch bab w ogonku, kłócących się o miejsce. Autor, jako rasowy Francuz, nie mógł wyjść poza granice zwykłej *enguelade*, w której mężczyzna kłapie tak samo i tyle samo, co kobieta. Józefina widząc, że gadaniem nic nie wskóra, stara się wskórać czym innym wabiąc Napoleona — do łóżka. Stał ten mebel po lewej stronie sceny, jak symbol Francji nieomal. Józefina zmienia głos, miauczy i drepce, jak rasowa kocica paryska, łasi się i ociera, to znowuż kipi zmysłami prężąc się i dysząc, jak pantera z polskiego tanga. Napoleon też syczy, parska, biega — nie. Józefina dotknięta w swej dumie kobiecej w myśl zasady, że nic tak nie dotyka kobiety, jak niedotknięcie jej gdy chce być dotknięta, poddaje się i — wychodzi. I byłoby dobrze, gdyby po tym wszystkim Napoleon nie dobijał się jeszcze do — otwartych drzwi, których nie chciał otworzyć i nie wił się na kolanach przy pustym łóżku, podniecając się niezdrowo wspomnieniami gorących piersi, sprężystych ud i innych śliczności. Rzeczywiście *unique* ten «Napoléon unique» Mr. Raynal'a.

8. 11. 42.

Zaczynają się dziać cuda. Rano przechodzę koło «biura» patronów i widzę przez szybę, jak nasza patronka kiwa do mnie tańcząc równocześnie koło radia jakiś dziki

taniec Siouxów. Wchodzę i zostaję zalany potokiem wiadomości prawie niewiarygodnych. Amerykanie wyładowali w Afryce Północnej i Wschodniej. Algier, Maroko, Casablanca, Dakar. Ładują wszędzie. Gdziekolwiek Francuzi udają, że się bronią, ale sądząc z tonu komunikatów, lądowanie odbywa się w miejscach z góry przygotowanych do tego rodzaju brzydkiego kawału. Eurafrykę hitlerowską diabli wzięli. Darlan odleciał podobno do Algieru celem zorganizowania obrony, Pétain wystosował rozkaz do wojska, a Giraud, który uciekł z niewoli, jest podobno także w Algierze. Jednym słowem pasztet, jak się mówiło w mojej rodzinie.

Wrażenie wielkie. Francuzi promieniają. Podobno flota francuska w Tulonie otrzymała rozkaz wyjścia na morze. Wieczorem na kolacji u pp. P. Otwieram radio i słucham mowy Hitlera. Zakradły się jakieś dziwne tony do tej mowy. Führer odpowiada na zarzuty. Kogo? Nie wiadomo. Broni się, że pójście nad Wołgę nie było błędem. Przytacza cyfry na usprawiedliwienie i powiada: *Ich weiss wirklich nicht, ob das alles nur Fehlern waren...* Kto stawia te zarzuty? Czuć było wściekłość w jego głosie. Rzucił się, jak g... w przerębli. Dawno go nie słyszałem i muszę się przyznać, że na dźwięk tych słów, wyrzucanych z oszalałej gardzieli, dreszcze chodziły mi po plecach. Jakbym słuchał samego Lucyfera. Dziesiątki milionów ludzi zdane na łaskę potępieńca i obłąkańca. Widać, że nie liczył się z okupacją Afryki i nie przygotował się. Coś tam szczerknął, że jeżeli Roosevelt mówi iż Afryki należało bronić przed Niemcami i Włochami, *so braucht man über diese verlogene Phrase dieses alten Gangsters kein Wort zu verlieren*. Tępak, zupełny tępak i dlatego taki groźny. Przekreściłem na Londyn. Spokojny głos zapowiedział przemówienie Rooseveltowej do kobiet angielskich. Po chwili odezwało się blabolenie pani prezydentowej... Takie bzdurki dla mojej córki. Śmieszna starka, ale rozczuliło mnie to paplanie. Boże, jakież to inny świat...

10. 11. 42.

W Algierze zawieszenie broni. Zresztą Darlan dostał się do «niewoli» amerykańskiej. Nasz admirał, nasz wielki

kolaboracjonista, który jeszcze tydzień temu był na inspekcji w Afryce i miał do wojska wojowniczą mowę. (*Nous défendrons l'Afrique contre qui que ce soit*) — zdradził. Zastępca Pétaina przeszedł na drugą stronę. Nie jest to jeszcze oficjalne, ale wynika jasno z wszystkiego, co się dzieje. Francuzi rehabilitują się. Charakterystyczne, że kręctwem. Wallenrodyzm trochę śmierzący. Ale dobrze, że choć na to ich stać.

Cóż Niemcom pozostawało do zrobienia? Wkroczyli do «Zone libre», zajmują resztę Francji. «Zdobywają» to, co już dawno było zdobyte. Aż litość bierze. Hitler wystosował list do Pétaina i wszedł do Francji nieokupowanej. Ktoś tu zakpił z Niemców bezwstydnie. Sam Pétain musiał chyba także maczać w tym palce. Paskudny figiel. No i Włosi zajmują Korsykę, Riwierę i Sabaudię. Narzeczcie i oni coś «zdobyli». Niestety Amerykanom zabrakło oddechu na równoczesne obsadzenie Tunisu i Bizerty, gdzie lądują Niemcy, aby bronić posiadłości francuskich. Wszystko razem pożar w burdelu. Gazety nie dostały jeszcze wskazówek z berlińskiej Propagandastaffel i ograniczają się do powtarzania komunikatów bez komentarzy. Ma się wrażenie, że wojna zaczęła się na nowo. «Z Afryki nie tak daleko do Paryża» — mówi się. «Jeszcze kilka miesięcy». Nawet mnie wydaje się, że już niedługo, choć jestem przekonany, że jeszcze najmniej na rok tej zabawy.

12. 11. 42.

Przeczytałem znowu «Madame Bovary». Teraz dopiero odczułem prawdziwy smak tej powieści. Aptekarz Homais, to ten klasyczny typ, którego prawdziwość można ocenić naprawdę, gdy ma się z tymi okazami do czynienia na każdym kroku. I co najgorsze, że Francja «homajzuje» się bezustannie i coraz bardziej. Po przeczytaniu, powieść ta wytwarza w człowieku coś takiego, czego nie umiałem określić. Jakby twardo. Dopiero Basia, czytając o jakichś rozmowach Wilde'a z jakimś Francuzem, powiedziała mi dzisiaj: «Wiesz, Oscar Wilde powiedział o «Madame Bovary», że to jest książka, w której nie ma litości». Ciekawe i bardzo trafne. W ogóle w całej fran-

cuskiej literaturze prawie nie ma litości. Nie ma żadnego odpowiednika Dickensa. Zastanowiła mnie ta uwaga Wilde'a.

13. 1. 42.

Darlan zdradził i po herbacie. Vichy, aby zatuszować wrażenie i ułagodzić Niemców, robi wszystko i mówi tak, jakby nie miało nic wspólnego z tym Wallenrodem. Pétain w trosce o *petit bonheur* swych obywateli, mówi jak Niemiec, działa jak Niemiec i zasmarowuje nadal historię Francji uczynkami, za które pomimo wszystko powinni go kiedyś powiesić na jakimś starym dębie bez względu na jego wiek. Liże niemieckie buty i politykuje. To taki Heyst z Conrada, de Gaulle jest Leną, a wszystko razem będzie się kiedyś nazywać «Zwycięstwo». Jeżeli Francuzi w to uwierzą, to znaczy, że naprawdę są już wykończeni.

15. 11. 42.

Z wizytą u Eleonory D. w Arcueil. Produkt emigracji w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ojciec Polak ożeniony z Niemką. Całe dzieciństwo w Niemczech, potem we Francji. Zawsze na usługach Polski. Starsza pan-
na, szczupła, o twarzy świeżej i ładnej, w długiej, szerokiej spódnicy i kaftaniku z szalem, zarzuconym na ramiona. Wszystko czarne. Miałem wrażenie, że zeszła do mnie jakaś kobieta z rysunku Grottgera. Ma swój malutki domek w Arcueil pod Paryżem i przyjęła obywatelstwo francuskie. Ale daj Boże, aby wszyscy Polacy byli takimi obywatelami, jak ona. Zna nas, oj jak dobrze zna nasze wady. Ale i zalety. I zna Francuzów. Opowiada nam, że pracując w komisji rozrachunkowej długów wojennych, dostała raz rachunek za order, który Francuzi przyznali jakimś Polakowi za dzielność na froncie — francuskim i w obronie Francji. Rzeczywiście szczyt skrupulatności...
Mr. Homais.

11. 11. 42.

Wspaniałe widowisko. Jak w ogonku. Pyskowanie na całego. De Gaulle w Londynie nie może sobie dać rady z Darlanem w Algierze. Londyn po francusku obrzuca Darlana niemal targowymi wyzwiskami, a Niemcy się cieszą. Trudno się dziwić, bo rzeczywiście ucieszny wodewil.

21. 11. 42.

Po południu w «Galeries Charpentier» na zbiorowej wystawie Van Dongena. Jeden z tych malarzy, o którym trudno coś powiedzieć. Niektóre płótna dobre, niektóre straszne. We wszystkich jakiś niepokój, ale taki «robiony», taki *pour épater les bourgeois*. Taka pogoń za nowym stylem, tak charakterystyczna dla lat 20-30, ale pogoń na niby. Są te obrazy współczesne, a jednocześnie stęchłe. Gdy patrzyłem na to, mimo woli słyszałem shimmy, one-stepa, bluesa i charlestona. Takie tańce, modne i grane nie tak dawno i równocześnie straszliwie dawno. Nic mnie nie wiąże z tą epoką, odczuwam nawet jakby nienawiść do wszystkiego z przed wojny. Chyba jedna z najbardziej beznadziejnych epok. Niedawno wpadło mi do rąk «Ostrze na ostrze» Huxley'a. Nieczytelne. Po kilku stronach odłożyłem. A wtedy było tyle hałasu z tym.

Paryż jest naprawdę ładny dopiero teraz, gdy brak samochodów i ulicą suną dorożki lub rowery. Jest spokój. Zgasły neony, a z przyćmionych kawiarni dolatują dźwięki walcy. W tym wszystkim wszelkie kłopoty w rodzaju przymusowego wyjazdu robotników do Niemiec i inne «przyjemności», odbywają się jakby poza rzeczywistością. Teatry pełne, do kin długie ogonki, kobiety i mężczyźni ubierają się tak elegancko, jak nigdy dotąd. Nikt nie płaci żadnych podatków, czarny rynek zorganizował się już dobrze i jak się ma pieniądze, można wszystko kupić. Do szczytu wytworności należy oglądanie amerykańskich filmów na seansach prywatnych za drogie pieniądze. Po zobaczeniu Clark Gable czy innej gwiazdy ma się i przyjemność ryzyka (seanse są oczywiście tajne) i uczucie brania udziału w ruchu oporu.

Po wystawie u Rebattet na herbacie i ptifurkach. Chodzę tam na studia łakomstwa. Już o zmroku szliśmy koło Madeleine i bulwarem do Opery. Wspaniały listopad. Sucho i ciepło. Oby tylko zima była łagodna, bo nasz patron w hotelu nie ma tym razem prawie nic węgla.

22. 11. 42.

Po południu poszliśmy do szpitala Cochin odwiedzić jednego z «moich» chorych. Ciekawy okaz. Szofer z poznańskiego. Gdy uciekał z Polski, został ranny w czasie bombardowania. Kawałek ściany przywalił mu nogę. W Rumunii rana mu się podgoiła. Bojąc się iść do szpitala, opatrywał ją sam. Z niezagojoną nogą przyjechał do Francji i pracował w fabryce. Z raną działy się dziwne rzeczy. Noga zeszywniała, zerwane ścięgna i pogruchotane kostki zaczęły wychodzić. Wobec tego on sam obcinał je sobie lub wydlubywał szczyrykiem i robił opatrunki. I tak przez dwa lata, aż się zagoiło. Jednak zeszywnienie nie ustąpiło, a noga będąc teraz za długa, deformowała mu kręgosłup. Zdecydował się na operację skrócenia i naprostowania nogi. Teraz leży już po operacji.

W szpitalach francuskich nie jest teraz wesoło. Głód. Toteż chorzy żywieni są głównie przez rodzinę, która znosi, co może. Pielęgniarki, obok normalnych obowiązków, są także kucharkami. Gotują dla chorych lub przegrzewają na kuchenkach gazowych. Ludzie przynoszą nawet surowe kartofle. Kto nie ma rodziny, przymiera głodem. Zanieśliśmy mu kartofli i zostawiłem mu trochę katek chlebowych, bo najbardziej narzekał na brak chleba. Dokupię fałszywych. Po wyjściu ze szpitala, poszliśmy po parku Montsouris. Dzień słoneczny i ciepły. Chodziliśmy wśród małych strumieni i strumyczków, sztucznych grot i skałek. Mają talent do urządzenia ogrodów i parków.

24. 11. 42.

Karolek nie może pogodzić się z Darlanem, to znaczy De Gaulle drze koty. Ale jeżeli De Gaulle nie chce mieć

nic wspólnego z tą bandą okawuwowców (od kudy witer wieje) to nic dziwnego. Francja daje znowu przedstawienie co najmniej pouczające. W roku 1940 z entuzjazmem wita zawieszenie broni i tworzy rząd z Pétainem na czele pod hasłem współpracy z Niemcami. Ale gdy po roku Niemcy zaczynają z Rosją i nie idzie im, gdy Ameryka przystępuje do wojny i gdy potęga bloku anglosaskiego zaczyna być widoczna choćby w przewadze lotnictwa, *diese kleine aber nette Gesellschaft aus Vichy*, zawsze z Pétainem na czele, widzi że postawiło na złego konia. Ze marka spada i dolar idzie w górę. Wobec tego wchodzi w potajemne pertraktacje z Ameryką i przygotowują zamach na Afrykę. Giraud ucieka z niewoli niemieckiej i przyjeżdża do Vichy, gdzie daje Pétainowi słowo honoru, iż nie będzie robił polityki. Darlan objeżdża Afrykę, gdzie przyjmuje przysięgę na wierność staremu piernikowi z Vichy. 8-go listopada Giraud jest w Algierze jako głowa i przywódca dyssydentów, Darlan niby też to zostaje wzięty do niewoli. Nie ma nawet odwagi jawnego i otwartego opowiedzenia się po stronie Amerykanów. A jak wygląda Giraud ze swoim słowem honoru? Być może, że został do niego zmuszony, że bez dania go nie mógłby działać. Ale «cel uświęca środki» jest dobre dla łotrów i Jezuitów, a nie dla generałów i nie uświęca złamania słowa honoru generała. Mój ojciec nie złamał go nawet w czasie wypadków majowych, za co zresztą wcześniej wyleciał z wojska.

Trzeba cieszyć się z tego obrotu spraw, bo ma to olbrzymie znaczenie dla dalszego przebiegu tej wojny, ale nie można powstrzymać się od uczucia pogardy wobec tych figarowych generałów i admirałów, wobec całej tej kabały przeprowadzonej z jakąś wulgarną nikczemnością. Czyżby Francuzi stracili już nawet elegancję, styl? Nawet Niemcy w swoich nikczemnościach mają więcej stylu.

25. 11. 42.

Wydaje się, że Rosjanie odgadli moje strategiczne kombinacje i rozpoczęli natarcie z punktów, które już od dawna mam zaznaczone na mapie.

27. 11. 42.

Całkiem źle. Z uporem kursuje plotka, że 22 dywizje niemieckie są otoczone. Rosjanie rozpoczęli ofensywę zimową na południowym froncie.

28. 11. 42.

Jeszcze lepiej. Niemcy chcieli wejść do Tulonu i zagarnąć flotę francuską. Wobec tego cała flota zatopiła się. Znowu awantura na większą skalę. Od samego rana tylko o tym. Francuzi cieszą się (głupi) i smucą się (inteligentni). Blisko 88 jednostek morskich, najnowocześniejszych na świecie, poszło na dno i na szmelc. Oto do czego doprowadziła polityka «i temu trochę i tamtemu nie zawadzi». Sam gest samobójstwa floty jest piękny — świadczy, że tak całkiem jeszcze nie zgnili. Ale biorąc pod uwagę zadowolenia, że Niemcom sprzed nosa wymknęła się taka gratka, ogarnia człowieka litość nad tą bezbrzeżną głupotą i krótkowzrocznością polityki Vichy. Krew mnie dziś zalewała, gdy na daremnie starałem się wytłumaczyć francuskim kolegom w biurze, że gdy Republika włożyła Francję do trumny, to Vichy z precyzją wbija gwoździe. Nie mogli pojąć. Macie pretensje do Anglików — krzyczałem prawie — boicie się, że *ces Anglais* odbiorą wam po wojnie wszystko, ale nie rozumiecie, że to zatopienie się floty jest jeszcze jednym krokiem naprzód do oddania się na łaskę i niełaskę Anglii, Ameryki, Rosji, a nawet San Salvadoru i innych Hondurasów.

Bo oni widzą tylko ich *petit bonheur*, te zakichane kartki żywnościowe, za które wszystko można jeszcze dostać. Ale nie można być zbyt wymagającym. Mogło być gorzej, mogli posłusznie i «gehorsamst» oddać całą flotę (na przykład na złość Anglikom) i wówczas *adieu* z końcem wojny na dłuższy czas. Ależ Niemcom musi być kwaśno w pysku...

Wieczorem w «Théâtre de l'Etoile». Program music-hallowy. Akrobacje, tańce, piosenki. Lys Gauty świetna w kilku piosenkach.

Mussolini miał mowę. To jednak coś trochę innego od szczekania Hitlera, pełnego chamstwa, kłamstwa i samobójczej pewności siebie. Mowa Mussoliniego była poważna i można by niemal powiedzieć — uczciwa. Krył się w niej jakby delikatny wyrzut pod adresem Hitlera. Bo jak to zrozumieć? «To nowe uderzenie Anglików i Amerykanów — powiedział Duce — nie zaskoczyło Osi, biorąc pod uwagę, że posiadaliśmy dostateczną ilość informacji o współdziałaniu wojskowych francuskich z wojskowymi amerykańskimi. Gdy nastąpiło lądowanie, natychmiast powiadomiłem Berlin, iż jedynym możliwym sposobem przeciwdziałania była natychmiastowa okupacja całej Francji z Korsyką włącznie». Kto tu naknocił? Duce powiada, że Führer. Na niego zwała odpowiedzialność i niedwuznacznie mu wypomina, że dał się wystrychnąć na dudka Francuzom. Powiadomił Berlin, co należy zrobić. Czyżby Berlin się wahał? Berlin nie wiedział, czy z chwilą przekroczenia linii demarkacyjnej Pétain z całym rządem nie ucieknie do Afryki. Bo przekroczenie linii demarkacyjnej zrywa zawieszenie broni. Konkluzja: Berlin się wahał, bo nawet Berlin nie liczył się aż z tak dalece posuniętym brakiem godności własnej Pétaina i spółki — Berlin nie mógł sobie wyobrazić, że Vichy jeszcze i to znieśnie spokojnie i nie zareaguje. Jest coś wprost komicznego, gdy arcyłotr waha się, nie mogąc sobie wyobrazić, że ktoś może być jeszcze większym łotrem. Jest to jedyne logiczne wytłumaczenie wahań Berlina. Jakiego wyobrażenia o Francuzach nabiorą teraz Niemcy? Pomimo trzech lat okupacji jeszcze mieli złudzenia.

Druga aluzja Duce w stronę Niemiec jest naprawdę *faux pas*. Powiedział otwarcie, że Włochy są jedynym państwem, które otwarcie przyznaje się do swoich strat publikując listy zabitych i ofiar.

Szczegóły samobójstwa floty w Tulonie są wzruszające. Niemcy stoją na brzegu i patrzą, jak 80 okrętów powoli tonie przy akompaniamencie wybuchów amunicji. Złośliwy figiel. Ale jest w nim jakaś *s t a r c z a* złośliwość. I to wszystko po tak czułym liście (już drugim) Hitlera do Pétaina. Atmosfera naładowana. Rosjanie idą naprzód, zegnaj Stalingradzie. Rommel zatrzymał się pod

El Agheila, Montgomery przegrupowuje się. Jeżeli Rosjanie poprowadzą ofensywę według moich planów, to w marcu Niemcy są nad Dnieprem. Następna linia, to już Kłajpeda-Kołomyja. Po czym «finis Poloniae» jak nie powiedział Kościuszko. Naraziłem się dziś w straszny sposób i prawdopodobnie będzie się mnie uważać za zdrajcę. Powiedziałem na głos: «Chciałbym, aby Polska była okupowana przez Amerykanów». Patriotyczny wrzask. Żadnej okupacji, niepodległość, suwerenność, sufraganność, ani tasiemki od gaci, latyfundia i lafiryndy, królikarnia, rozwody, świadome macierzyństwo i kropla mleka. Przekonali mnie. Do nie wracania.

4. 12. 42.

Imieniny Basi. Mógłbym napisać dzisiaj cały poemat o mojej żonie. Byłoby to dość oryginalne, bo jednak mało jest, zdaje się, poematów o w ł a s n e j żonie. Kupiłem kilka róż w tej wielkiej, nowej kwiaciarni na rue Lafayette. Jeszcze nigdy w życiu nie wydałem tyle pieniędzy na róże dla w ł a s n e j żony. Wieczorem kolacja z ostrygami i dobrym, białym winem.

5. 12. 42.

Wieczorem w «Théâtre des Ambassadeurs» na «Clotilde du Mesnil» (La Parisienne) Henry Becque'a i «Mais n'te promène donc pas toute nue» Feydeau z Alice Cocea. Trzeba naprawdę podziwiać ilość wariantów, na jaką potrafili zdobyć się autorzy sceniczni francuscy jeżeli chodzi o tak zwany trójkąt małżeński. Bo żeby ze zwykłego trójkąta stworzyć tyle trójkątnych figur trzeba naprawdę pomysłowości. «Clotilde du Mesnil» została wystawiona po raz pierwszy w 1885 roku i natychmiast uznano ją za utwór klasyczny. Niedługo po tym przechodzi do Komedi Francuskiej. Wielka Réjane umacnia jej chwałę swoim talentem, grając Clotilde w «Vaudeville». Jednak największy sukces zapewnił tej sztuce Antoine w swoim teatrze. W czasie całego wieczoru zastanawiałem się na próżno, co było w tym «klasycznym» i skutek czego

sztuka ta przeszła do żelaznego repertuaru sceny francuskiej. Clotilde du Mesnil jest żoną starszego pana, który chce otrzymać jakieś wyższe stanowisko w administracji. W domu bywa przyjaciół męża, który dzięki tej przyjaźni, jest także przyjacielem żony, mówiąc językiem przyjaznym. Clotilde jest sprytną samiczką, jak wszystkie kobiety głupie. Ażeby umożliwić mężowi otrzymanie upragnionego stanowiska, co jednocześnie pomoże do ustalenia się (w znaczeniu «pewność», «zaufanie», «spokój», jednym słowem P.K.O. w miłości) stosunków między nią i kochankiem, Clotilde puszcza się marginesowo z jakimś ustosunkowanym młodzieńcem. Mąż uzyskuje stanowisko, kochanek wraca do swojej roli, wszyscy są zadowoleni.

To wszystko przez trzy akty. I żeby to chociaż było pikantne... Jest płaskie. Cała intryga, jeżeli to w ogóle można tak nazwać, jest zupełnie mechaniczna. Czuć w tym konstrukcję, oczywiście nie pozbawioną precyzji, ale zupełnie bez nerwu. Clotilde jest skończonym typem paryskiej *bourgeoise*. Z zupełnym chłodem przeprowadza swój plan, zachowując wszystkie pozory dobrej żony i — co jeszcze ważniejsze — wiernej kochanki. Bo w tej sztuce wysuwa się na pierwszy plan nie zdrada męża, lecz zdrada kochanka. Kochanek podany tu jest od pierwszego aktu jako zupełnie zrozumiała część domu Du Mesnilów. Konflikt, to zdrada kochanka. Wszystko razem matematyka, zimna i bez omyłek, bez kropli już nie tylko uczucia, ale nawet zmysłów. Nikt tu nikogo nie kocha ani specjalnie pożąda, wszystko jest dobrze załatwioną transakcją dla wszystkich pod przewodnictwem sprytniej Clotilde. Mąż otrzymuje upragnione stanowisko. Kochanek — chwilowo zdesperowany, że utracił nie tyle względy, co swoje wtorki i piątki, do których już tak się przyzwyczaił, że nie umie sobie wyobrazić innego życia — odzyskuje swoją rolę i po chwilowej burzy, widzi się znowu posiadaczem swoich wtorków i piątków. A Clotilde, dzięki stanowisku męża, podniesie się o jeden stopień wyżej w hierarchii towarzyskiej, mając szersze pole do popisu dla swojej dyplomacji ogólnie szanowanej (to najważniejsze) kobiety światowej. I tak w nieskończoność aż do klimakterium, gdy na odmianę stanie się dewotką. Może jednak rzeczywiście to jest klasyczne? Bo Clotilde jest klasyczna, jej spryt jest klasyczny, jej hipokryzja jest

klasyczna, jej specyficzna inteligencja francuskiej samiczki jest klasyczna. Poza tym mąż jest klasyczny, kochanek, dla którego wtorek i piątek w karecie i w hotelu z Clotilde jest funkcją — też jest klasyczny, wreszcie cała intryga jest klasyczna, nie mówiąc o języku naprawdę klasycznym.

Druga sztuka, to bulwarowa jednoaktówka Feydeau z trochę późniejszych lat, niż Clotilde. To już pełny 1900. Żona deputowanego przechadza się po mieszkaniu w nocnej koszuli, w wysokich bucikach i w kapeluszu. Dlaczego? Bo jest lipiec, w Paryżu upał i jej jest gorąco. W związku z tym szereg *qui pro quo* zakończonych wizytą reportera, który zamiast napisać wywiad i reportaż o deputowanym, pisze reportaż, oglądając z zainteresowaniem tyłek pani domu. I co powie na to Mr. Clemenceau, mieszkający naprzeciwko?

Ma to już więcej charakteru. Bulwarowa farsa, na której nasi dziadkowie przestępowali z nogi na nogę, lornetując wdzięki pod nocną koszulą. A że i upolowało się przy tym kawałek nóżki, więc była zabawa. Treść żadna. Tak się to przedstawia z punktu widzenia literackiego. Bo co innego wystawa.

«Théâtre des Ambassadeurs» pod dyrekcją Alice Cocea jest obecnie najwykwintniejszym teatrem Paryża. Cocea jest świetną aktorką. Wystawa i jej gra uratowały pustkę tych dwóch sztuk do tego stopnia, że wychodzi się z teatru w stanie pewnego rodzaju olśnienia. Dekoracje i stroje projektował bardzo *en vogue* i rzeczywiście zdolny Dignimont. Z właściwym Francuzom wyczuciem tej epoki, roztoczył na scenie cały przepych salonu secesyjnego w najlepszym i w najgorszym stylu. Wspaniałe, oryginalne meble secesyjne, bibeloty, tkaniny, kwiaty i palmy. Na tym przebogatym tle, Alice Cocea ubrana we wspaniałe suknie i kapelusze z tej epoki, obwieszona klejnotami z tych czasów, pochodzącymi z prywatnych zbiorów Boucheron. W całej wystawie wprost rozpusta, gra Cocea bez zarzutu, klasyczna. To samo w tej jednoaktówce, w której na tle równie świetnych dekoracji, potrafiła wydobyc wszystkie cechy tej beznadziejnej gęsi, chodzącej po domu w koszuli i usprawiedliwiającej się z całą perfidną naiwnością *qu'il fait trente-cinq degrés de latitude dans la sombre* (trzydzieści pięć stopni szerokości geograficznej w cieniu).

W teatrze pełno. Ludzie odwrócili się od modernizmu. Francja, jakby czując swój koniec, spogląda zachłannie wstecz, w te czasy, gdy była jeszcze czymś. Obydwie bzdury mają powodzenie. Jakikolwiek pamiętniki, gdy tylko ukażą się w księgarniach, są natychmiast wykupione. Jeżeli dalej tak pójdzie, to po wojnie zapanuje moda sznurówek, krynolin, uwspółcześnionej pruderii i skromności i miłości romantycznej. Publiczność teatrów i innych miejsc rozrywki roi się teraz od nowobogackich czyli paskarzy, jak się mówiło po pierwszej wojnie. Ludzie dorabiają się fortun na czarnym handlu i obnoszą swoje bogactwa, gdzie mogą. Młodzi ludzie z długimi włosami i w długich marynarkach tak zwani «zazou», panie w wielkich kapeluszach lub fantastycznych turbanach. Wszystko nowe, błyszczące, lśniące. *Paris de la belle époque*.

6. 12. 42.

Słońce i ciepło. Zima zapowiada się lekka. Może to już ostatnia? Czekam z niecierpliwością na ten rok 1943, bo ciągle mi się wydaje, że skończy się to szaleństwo już w przyszłym roku. Są tacy, co mówią, że nie — i pewnie mają rację. Zjedliśmy obiad wcześniej i na całe popołudnie pojechaliśmy na rowerach do Łasku Bułońskiego. W łasku dużo ludzi, dużo rowerów i dużo dzieci. Słońce przygrzewało zupełnie nie po grudniowemu, a w całym powietrzu unosiła się mglista letniość. Przejechaliśmy nad stawem, potem koło Bagatelle i wjechaliśmy na avenue de Neuilly, gdzie od razu na początku Basia wjechała w — policjanta. Ale on zgrabnie uchwycił rower za kierownicę jak byka za rogi, podtrzymał go i nie pozwolił Basi wywrócić się. Po wzajemnej wymianie uśmiechów i dowcipów — lepiej przejechać policjanta, niż kogoś z przechodniów, bo nikt nie potrzebuje wzywać policji... jestem od razu na miejscu wypadku, śmiał się policjant — pojechaliśmy dalej. Wyobrażam sobie naszą «glinę» w takiej sytuacji. Jakże przyjemnie żyć w kraju, w którym policjant dowcipkuje, a na przedmieściach nie ma «oprychów» i «agarów». W jakimś bistro koło Etoile napiliśmy się gorącego wina. Łuk Triumfalny czerwienił się w promieniach zachodzącego słońca i rzucał długi cień na

Pola Elizejskie, usiane różnokolorowymi plamkami przy-
czepek «vélo-taxi», malowanych we wszystkich odcieniach.
Z Etoile zjechaliśmy do Trocadéro. Wieża Eiffla wyglą-
dała jak kolorowa firanka rozpięta na błękitno-popielatym
niebie. Trocadéro brzydnie. Zanedbane od wybuchu woj-
ny, czernieje. Pozłótka na efektownych rzeźbach wyciera
się, a brak wody w dolnych basenach zwiększa jeszcze
bardziej wrażenie opuszczenia. Całość przypomina luksu-
sową ale zanedbaną łaźnię.

Od Trocadéro dalej w dół ku Place Alma. Pomnik
Mickiewicza. Z Alma nad Sekwaną. Lubię ten kawałek.
Na lewo szklana i secesyjna góra Grand-Palais, na prawo
Pont Alexandre III. Olbrzymie, złote konie, a tam dalej
śliczna perspektywa na Invalides. Wpadamy na Concorde.
Wygląda w grudniowym półmroku, jak nawa wielkiego
kościółka. Ołtarz obelisku, dwie ściany ciemne i olbrzymie
Ministerstwa Marynarki, a w głębi kolumny Madeleine,
sztywne i chłodne, jak rząd rur w organach. Cicho, po
kociemu, przeslizgujemy się wzdłuż muru i ogrodzenia
Tuilleries, od których powiewa zapachem suchych liści.
Luwr. Potem chwila jazdy w mroku jego murów i znowu
secesyjna góra szkła. To «La Samaritaine». Ale już dalej,
na tle granatowego nieba czernią się ostre zręby Concier-
gerie. W mroku giną wypukłości. Wieje grozą i ciszą. Châ-
telet i Place de l'Hôtel de Ville. Na Sekwanie, jak wielka
tratwa, płynie wyspa Św. Ludwika. Na lewo kłębowisko
uliczek dzielnicy Saint-Paul, tworzących czarne otwory
w jednostajnym murze obdrapanych kamienic. Wejścia do
krecich nor, do jednego z podziemi Paryża, gdzie hotele
są brudne, mężczyźni nie chodzą, lecz krążą, a młode
dziewczyny przypominają nadgniłe owoce.

Z dworca lyońskiego, ze wszystkich wejść wylewa się
czarna lawa tłumu, dzieli się na poszczególne strumienie,
jak we wgłębieniach wulkanu i wcieka powoli w otwory
metra lub w ulice. Gdy zajeżdżamy przed dom, jest już
ciemno. Przy wejściu zaglądamy do patronów. Madame
Bessières ceruje zawzięcie bieliznę hotelową, naprawia
i łąta. Zapasy kończą się, a nowych prześcieradeł i ręcz-
ników nie ma skąd wziąć. Nie przydzielają.

8. 12. 42.

Uporczywe plotki o wiszącym w powietrzu porozumieniu rosyjsko-niemieckim. Staram się sobie wmówić, że to absurd, że to rosyjski szantaż wobec Anglików i Amerykanów, ale i tak nie daje mi to spokoju. Psuje krew, psuje cały dzień.

11. 12. 42.

Nic konkretnego. Rosyjska ofensywa rozwija się powoli, ale zdecydowanie. Brak szczegółów, bo ani jedni, ani drudzy nic nie mówią. Montgomery ciągle przegrupowuje się pod El Agheila. A we Francji przymusowy wyjazd na roboty do Niemiec pod hasłem «za trzech specjalistów jeden jeniec wojenny zwolniony». Laval i Pétain pracują *pour la France* jako dwaj najwięksi specjaliści. Za tych dwóch powinnyby zwolnić co najmniej dwie pełne dywizje. *Caeterum censeo Lavalum et Petenum na szbienicy post bellum dyndandi essent.*

12. 12. 42.

Wieczorem w «Théâtre de Châtelet» na «Ryszardzie III» Szekspira z Dullin w roli głównej. Nie. Przyrządzony naturalistycznie, wypadł ten Ryszard III jak przedstawienie amatorskie na jarmarku końskim w Kłaju. Dullin, podobno doskonały w «Skąpcu», przypominał mi go zanadto w Ryszardzie III. Ilość trupów zupełnie nowoczesna. Bez specjalnego licznika trudno zliczyć. Pomimo, że przy każdym trupie wyjmowałem zapałkę z pudełka i wkładałem do kieszeni, nie mogłem połapać się w rachunku, szczególnie w ostatnim akcie. Legło na polu bitwy tylu statystów, przez których inni skakali z takim zapałem wymachując mieczami, że należało wysypać całe pudełko za jednym zamachem i dokupić chyba drugie, a co teraz wcale nie jest tak łatwo. Toteż dramatyczny okrzyk króla «królestwo za konia» przeszedł bez echa i nie można było absolutnie uwierzyć w tę ofertę, wijąc się od śmiechu na widok statystów skaczących po dekoracjach, jak małpy w Zoo Vin-

cennes. Wreszcie króla zarżnęli i można było wyjść, co uczyniliśmy nie bez wielkiej przyjemności. Przyjemnością jest pójście do teatru, ale nieraz wyjście jest jeszcze większą.

13. 12. 42.

Nie czuje się zupełnie, że to już połowa grudnia. Sucho, słońce i ciepło, jak w jesieni. Całe popołudnie na rowerach.

16. 12. 42.

Rommel znowu przegrał bitwę i cofa się spod El Agheila. Anglicy idą naprzód. Panuje znowu powszechny optymizm. Tymczasem to wszystko wcale nie jest takie proste. Wojnę jest o wiele łatwiej prowadzić aniżeli ją skończyć. Do tego taką wojnę, w której sprzymierzeni patrzą sobie bardzo na palce. Niemcy przegrają ją na pewno, ale trudno sobie wyobrazić, aby Anglia, Ameryka i Rosja r ó w n o c z e ś n i e ją wygrały. Z grona wygrywających musi się kogoś wyeliminować, bo w wojnie, tak samo jak w pokerze, n a p r a w d ę wygrać może tylko jeden. Jednoczesne zwycięstwo kilku jest początkiem nowej wojny. A to właśnie grozi obecnie. Pozostawienie Rosji w jej obecnej postaci i dopuszczenie jej do głosu po wojnie przez oddanie pod jej wpływy nas, krajów bałtyckich i Bałkanów, byłoby załącznikiem nowego konfliktu za dziesięć, piętnaście lub dwadzieścia lat. Tę wojnę muszą wygrać w y ł ą c z n i e Anglosasi. W przeciwnym wypadku cała ta wojna nie miałaby sensu i zakończenie jej postawiłoby Anglików i Amerykanów w obliczu tego samego, od czego zaczęli. Anglicy i Amerykanie powinni przeciągać całą zabawę *waiting and seeing*. Powinni dążyć do jak największego wyczerpania Niemiec i Rosji, aby zadać cios ostateczny i Rosję postawić przed szeregiem faktów dokonanych, których ta nie potrafiłaby obalić, będąc zanadto wyczerpaną. W tej chwili Rosjanie rozpoczęli coś na kształt monstre-ofensywy. Ludzie cieszą się, ale nie rozumieją, iż nie chodzi o to, aby Rosjanie pobili c a ł k o w i c i e Niemcy, lecz o to, aby je pobili d o p o ł o w y.

Mglisty, deszczowy dzień. Powietrze przesiąknięte wilgocią wydaje się płynem, w którym pływa się, jak ryba w akwarium. Pod wieczór, jeżdżąc po lewym brzegu, wpadłem do jakiegoś bistra na szklankę rumu. Byłem u zbiegu ulic de l'Arbalète i Lhomond i wszedłszy do środka przypomniałem sobie, że tu gdzieś niedaleko był pensjonat Madame Vauquer. Dzielnica ta do dziś dnia pozostała osobliwa. Jeden z tych mateczników paryskich, które jedynie Balzac potrafił tak opisać, że czuje się je na odległość. Tu mieszkał Ojciec Goriot. Spojrzałem przez szybę. Mrok zapadał szybko i zdawał się wypęłać z rozkoszą z tych ciemnych uliczek, w których drzemie przez cały dzień. Szara, zimowa godzina. Przy kontuarze stało kilku obywateli wiodąc ożywioną dyskusję polityczną. W rogu, tuż przy ścianie, stała młoda i bardzo ładna dziewczyna. Jakaś okoliczna *fille* mieszkająca pewnie niedaleko i rozgrzewająca się pomiędzy jedną i drugą *tournée* przed swoim hotelem. Wspaniałe nogi, świetnie zbudowana, rasowa. Zacząłem się jej przyglądać dosyć łakomie, popijając rum. Obywatele rozmawiali o tym, co może zrobić dzisiejszy *citoyen* przeciwko gwałtom okupacji. Rewolucja? Z gołymi rękami przeciwko samochodom pancernym, przeciwko przenośnym blokhauzom betonowym, przy pomocy których można pilnować każdego skrzyżowania ulicy? *Non, c'est impossible, c'est fou*. Człowiek jest patriotą, chciałby walczyć, ale nie ma jak. Musi siedzieć spokojnie i patrzeć. Dziewczyna dopijała wolno swoją kawę, słuchając z dziwnym uśmiechem. Nagle roześmiała się chrapliwie, z głębi zniszczonych płuc. Ten śmiech, z głębin mrocznego kąta, zabrzmiał tak niesamowicie, że wszyscy zamilkli i spojrzeli w jej stronę. Podparła głowę na rękę i wygięła się bokiem. Wsparta łokciem na kontuarze, ślizgała się po nim w przód i wstecz, huśtając się całym ciałem, kołysząc biodrami. I śmiała się. A potem zaczęła mówić — głośno i jakoś pieszczotliwie, jak do dzieci: — «Co można zrobić? Każdy może coś zrobić. Ja mam syfilis i częstuję nim Niemców. Każdy wyjeżdża z Paryża z pamiątką. *Je ne fais que ceux qui partent*. Wczoraj zrobiłam już szesnastego». I długi wybuch rzęziwego śmiechu. Rzuciła franka na kontuar i wyszła śmie-

jąc się. Jeszcze z czarnej ulicy było słyszeć jej śmiech. Zrobiło mi się naprawdę zimno.

19. 12. 42.

Wielki komunikat rosyjski. Woroneż odebrany, wszędzie naprzód. Wygląda na to, że odbiją Stalingrad. Jest to olbrzymie natarcie na całym froncie południowym z wszelkimi szansami powodzenia. Anglicy bombardują Włochy. Niemal co noc przelatują nad Paryżem i wtedy budzą nas strzały flaku. We Włoszech ewakuowano już podobno około miliona ludzi i drogi są zawałone uciekierami. Żal mi Włochów.

24. 12. 42.

Wigilia. Sami przy małym stoliku, pogrążeni myślami tam daleko. «Na Sławkowskiej jeszcze nie zaczęli, na Grodzkiej pewnie już...» Uśmiechamy się do siebie. Zapalamy świeczki na małym drzewku i gasimy światło. Drzewko stoi na kominku przed lustrem i po całym pokoju rozlewa się miękkie światło kilku małych płomyków, odbijających się w szklanej tafli. Buczę pod nosem kolędy, do których brak mi słów. Basia śmieje się. Wpatruję się w sufit i myślę. Myślę, że mi jest dobrze.

25. 12. 42.

Rosjanie rozpoczęli nową ofensywę na Kaukazie. Rozłożyłem mapę na podłodze, położyłem się i «robię wojnę». W górze natarcie na linii Woroneża, w dole oskrzydlenie na Kaukazie. Górą Charków, dołem Rostów — punkt spotkania się w Dniepropietrowsku i zamknięcie, otoczenie, zniszczenie.

26. 12. 42.

Siedzimy w domu i czytamy. Po południu na podwieczorku u Robertów, gdzie poznaliśmy proboszcza parafii Fontenay-sous-Bois. Uroczy człowiek. Był w niewoli w poznańskim, gdzie wiele stykał się z Polakami. Nie miał słów zachwytu dla ludności i kolegów Polaków z obozu. Powiedziałem mu, że widocznie był za krótko, a poza tym my w takich okolicznościach jesteśmy przysłowiowymi czarusiami, szczególnie wobec obcych. Basia się na mnie oburzyła, bo jak chodzi o Polskę, to ona jest Oleńka i że «co będziesz Francuzom takie rzeczy opowiadał, już i tak...» Nie potrafiłem i nie potrafię zatumanić się narodo-
dowo. Bardzo być może, że nacjonalizmu nie znoszę jeszcze bardziej niż komunizmu i gdybym był bardzo bogaty, to ufundowałbym na jakimś naszym uniwersytecie katedrę kosmopolityzmu i przytomności. Jesteśmy tyle samo warci, co inni, a różnica jest w tonacji, nie w melodii. Poza stylem szlacheckim, żadnego stylu nie wytworzyliśmy i cała przyszłość przed nami. A przede wszystkim nauczyć się być wolnymi nie tylko w głębie. I nauczyć się wielu, wielu innych rzeczy. Surowiec pierwszorzędny.

31. 12. 42.

I znowu kończy się rok. Siedzę w fotelu, za oknem flaszka szampana mrozi się na 12-tą i na powitanie Nowego Roku. Jeszcze dwie godziny. Mam ochotę, jak Rzecki, zrobić bilans, popolitykować. Minął znowu rok. «Jak ten czas leci» — jakby powiedział radca Węgro-
wicz. W ogólnych zarysach całą tę wojnę można scharakteryzować krótko: w roku 1940 Hitler mówił «zwyciężyliśmy», w roku 1941 «zwyciężymy», w roku 1942 «musimy zwyciężyć», a w 1943 powie prawdopodobnie «nie możemy przegrać» i — przegra. Jeżeli w przyszłym roku wojna się nie skończy, to w każdym razie zacznie się n a p r a w d ę kończyć. Olbrzymia i rozreklamowana ofensywa niemiecka nie dała właściwie żadnych wyników istotnych. W każdym razie nie doprowadziła do naj-
główniejszego celu: do ropy kaukaskiej i do przecięcia komunikacji na Wołdze. Olbrzymi wysiłek poszedł na

marne i skonał definitywnie w opłotkach Stalingradu. Wprawdzie Niemcy wzięli Zagłębie Donieckie, ale korzyści z niego nie wiele, a Rosjanie i tak produkują za Uralem. Poza tym pomoc angielsko-amerykańska jest olbrzymia. Bez niej nie wiadomo, co by było. Brak lotnictwa o dalekim zasięgu uniemożliwia Niemcom atakowanie tyłów rosyjskich. A w tej chwili rozpoczęła się potworna kontrofensywa rosyjska, która będąc dobrze przeprowadzoną, może pozbawić Niemców owoców tegorocznych zwycięstw i uczynić ich wysiłek z 1942 roku całkowicie próżnym. Rosjanie mają wszelkie szanse odebrania im tego wszystkiego, co w tym roku utracili. Byłby to wielki sukces. Niekompletny, ale o to tylko chodzi. Z punktu widzenia interesów Polski, decyzja nie powinna zapaść na wschodzie w żadnym wypadku. Tam muszą się załamać częściowo i Rosjanie i Niemcy, zmęczeni gigantycznymi walkami. Zwyciężyć całkowicie powinny Ameryka i Anglia idąc od zachodu i od Bałkanów. Zresztą trudno cokolwiek o tym mówić, bo o ile strategicznie problem tej wojny jest dosyć prosty do rozwiązania, o tyle z punktu widzenia polityki ma on jeszcze wiele ciemnych stron. Najciemniejszą jest w tym wszystkim strona Polski. Co z nami zrobią, to jeden Bóg raczy wiedzieć. W tym wypadku nie entuzjazmuję się tak łatwo, jak inni. Ale jeszcze nie czas na obawy tego rodzaju. Podczas gdy w tej chwili na wschodzie dwa kolosy zmagają się na nowo i męczą wzajemnie, Anglia i Ameryka wzrastają na sile z każdym dniem. Przebieg kampanii afrykańskiej jest tu najlepszym dowodem. Fakt lądowania Amerykanów w Afryce ma bardzo wielkie znaczenie. Tam tworzy się już baza do ataku na Europę. Ostateczne zlikwidowanie Niemców jest już tylko kwestią czasu. Coraz bardziej wyraźny wzrost siły lotnictwa anglo-amerykańskiego. A tę wojnę wygra lotnictwo. Za kilka miesięcy zaczną się działać pod tym względem cuda, bo wejdzie do akcji masowa produkcja Stanów Zjednoczonych. Nie mówiąc o przewadze liczebnej, nastąpi także przewaga jakościowa. Anglicy, głównie jednak Amerykanie, tworząc całe lotnictwo teraz, wypuszczają typy maszyn nowoczesnych, podczas gdy Niemcy operują właściwie ciągle typami z roku 1939, poprawiając je tylko w szczegółach. W tej chwili sławny «Messerschmitt» ma już ponad cztery lata i choć jeszcze

ciągle jest najszybszą maszyną myśliwą, to przy wielkiej szybkości jest mało zwrotny, a «Stuka» nadaje się już właściwie do muzeum. Tak — ale to wszystko trwa już za długo, mówią ludzie. Muszą tak mówić, bo cierpią, straszliwie cierpią. Przyszły rok będzie ciekawy — oczywiście dla tych, którzy mogą sobie pozwolić na tę ciekawość.

1943

2. 1. 43.

Wieczorem na kolacji u J. Od szeregu lat mieszka przy rodzinie francuskiej, a raczej przy matce staruszce, głowie tej rodziny. Na kolację przyszły obydwie córki. Jedna dziennikarka, pracująca w czasopismach mody, światowa; druga dentystka, skromna i nieefektywna. Rozmowa tego rodzaju, że siłą musiałem powstrzymać się, aby nie zacząć mówić kpiarskich bzdur, nie nagadać impertynencji. Francuzi, jak papugi, wyuczają się «inteligentnych» pytań, wygłaszają je i potem nawet nie próbują na nie odpowiedzieć. Teraz jest modne «czerwone niebezpieczeństwo», ale w gruncie rzeczy nikt nic o Rosji nie wie. Tak jakby Gide nigdy nie pojechał i nie wrócił, jakby od stu lat nic się nie wiedziało. A pisali o niej świetnie już Condillac i Rousseau, Michelet i de Custine, a z nowszych doskonale studium Bainville'a «La Russie et la barrière de l'est». O Rosji plecie się głupstwa i najprzycytniejsi skądinąd ludzie już dają się brać na pozory. Kilka dni temu słyszałem: «Rosja demokratyzuje się». Bardzo możliwe, skoro Stalin kazał. Już Rambaud w swojej historii Rosji pisał, że Piotr Wielki waleniem kijem i nahażkami przyzwyczajał swoich obywateli do czucia się ludźmi wolnymi i Europejczykami. Komunizm jest w tym wszystkim jednym zagadnieniem, a Rosja drugim — i najważniejszym. Bainville pisze już w 1937 roku: «Pod bolszewizmem, zgodnie z prawami niejednej rewolucji zachodniej, urosła druga Rosja. I to odwieczna Rosja jest tą, która porusza się, szuka przestrzeni i oddechu w tym samym znaczeniu,

w jakim Rosja szukała ich zawsze. Nie należało zbytnio sobie życzyć aby Rosja, od czasu gdy jej bolszewicy opuścili nas (Francuzów) w środku walki, stała się znowu silną i ukazała się światu jako mocarstwo polityczne... Nieostrożni ci, co w dalszym ciągu wzdychali do renesansu Rosji. Ona odradza się i pomimo anarchii i nędzy, robi to już ku zaniepokojeniu Europy... Sowiecka czy nie, Rosja jest Rosją». Bainville jest w tym studium niemal proroczy. I dziś wcale nie cieszę się, gdy ludzie z figlarnym przymrużeniem oczu, mówią mi: «Panie, wiele się zmienia... już w wojsku przywrócono epolety, oficerowie mają ordynansów... pagony i dieńszczyki... powoli przyjdą inne zmiany». Że niby zmiana na lepsze. Wcale nie boję się komunizmu, bo ideologie, nawet tak tępe jak marksizm, nie są wieczne. Boję się Rosji, właśnie tych pagonów i dieńszczyków i tego wszystkiego, o czym pisze Bainville, a szczególnie tego, że gdy chodziło o Rosję, to właściwie zawsze mylono się w jej ocenie, a głównie od czasu objęcia władzy przez Lenina. «Byłoby zatem nieostrożnością — pisze Bainville (str. 68) — ufać oznakom umiarkowania i rozsądku (*sagesse*), jakie wydaje się wykazywać rząd bolszewicki. Abdul-Hamid i Cesarzowa Chin celowali również w sztuce obiecywania reform, gdy potrzebowali szlachtetnych łask Europy». Stalin nie jest niczym innym, niż rosyjskim Abdul-Hamidem i dla «Hurricane'ów», «Spitfire'ów» i amerykańskich ciężarówek naobiecuje Bóg wie co. Komunizm nie jest żadnym problemem, chyba tylko o tyle, o ile jest związany z Rosją, tą odwieczną Rosją, gdzie uczy się ludzi «być wolnymi» waląc kijem po plecach.

Wieczorem postawiłem na Wielkich Łukach czerwoną kropkę. Rosja idzie naprzód. Azja zaczynała się już w Warszawie. Jak dla Micheleta, dla którego świat prawa sięgał Wisły i Dunaju.

10. 1. 45.

Zima w tym roku bardzo łagodna. Jechałem wolno na rowerze i myślałem. Zaczęło się od taksówki rowerowej czyli tak zwanej «vélo-taxi». Rok 1943, a w Paryżu, w centrum Europy, człowiek ciągnie człowieka. A potem inne

myśli... Postęp. Rozglądałem się po ulicy. Szereg kamienic, ulice — nawet ładne — ale gdy pomyśli się, że dziesiątki kilometrów kwadratowych, setki i tysiące, pokryte są tymi kamienicami, robi się niedobrze. Wielkie miasto, miasto olbrzym, to też postęp. Postęp absurdalny. Ile godzin dziennie traci każdy mieszkaniec miasta na pójście do pracy i powrót z pracy? Pod ziemią dudni métro, w którym ludzie cisną się i pchają i potracają jadąc długie kwadransy w smrodzie i zaduchu. Potem na dworcach to samo, w pociągach podmiejskich to samo. Wracają do domów, w których z wyjątkiem mebli, a najczęściej tylko kilku drobiazgów osobistych, nic nie jest ich. Wstają rano i pędzą do pracy, z którą najczęściej nic ich nie wiąże, w którą nie wkładają ani cząstki z siebie. A nad wszystkim, rozpościera się popielaty welon a n o n i m o w o ś c i. Nie wiesz, dla kogo pracujesz, nie znasz tych, od których zależy, wypełniasz polecenia automatycznie, jesteś termitem, niczym. Szukało się w postępie wolności, znalazło się jeszcze gorsze kajdany, niż by je mógł nałożyć jakiś feudalny władca. Pędzimy naprzód ślepi, z głupią wiarą w postęp, z cięłym zachwytem dla nowych zdobyczy techniki i dla p o m y ś l u. Tam, gdzieś na dnie, kołacze się jeszcze cicho, jak skryte w lesie źródło, m y ś l, ta prawdziwa i spokojna, ale coraz częściej przygłuszana grzmotem i ulewą pomysłów. Iluż ludzi żyje dziś myślą? Żyje się landrynkami gotowych odpowiedzi na w s z z y s t k o, rozrzuconych wśród ogłupiałego tłumu.

Paryż jest taki piękny obecnie, bo jest Paryżem bez samochodu. Może już niedługo pokażą się znowu na ulicach sznury samochodów, liście drzew zaczną żółknąć już w czerwcu uwędzone w spalinach, ludzie rozkrzyczą się i rozpędzą, pijani... Co otrzymaliśmy za tyle cierpień? Rozwój maszyny, której niewolnikiem stał się każdy z nas i oddalił od wszystkiego. Zabił ducha obiecując wyzwolenie ciała, obiecał wszystko, nie dotrzymał prawie nic. Cały postęp wżarł się w krew jedynym wielkim i prawdziwym uczuciem — STRACHEM. Wyścig do nieznannej śmierci. Oszustwo i kłamstwo, oszustwo w czasie i w przestrzeni.

«Nowe średniowiecze» Bierdiajewa. Emigracyjny filozof rosyjski. Założył w Paryżu pismo i zgrupował wokoło siebie coś w rodzaju szkoły. Nie lubię słowiańskiej filozofii. Za wiele czujemy i za mało potrafimy myśleć w ten sposób, żeby to jasno i zrozumiale wyrazić. Piszemy uczuciami, a nie myślą. Stąd w całej słowiańskiej filozofii tyle zamętu, nieporządku i mętniactwa. Jest to zwykle zawiła analiza, pełna nieoczekiwanych syntez, w których skrajny realizm pomieszany jest do tego stopnia ze skrajnym mistycyzmem, że wychodzą potem z tego takie utwory, jak «Księgi Pielgrzymstwa», «Król Duch», Dostojewski, Tołstoj, nihilizmy i leninizmy. Właściwie mam wstręt do filozofii słowiańskiej. Przede wszystkim wynikało z niej wiele szkód dla sztuki słowiańskiej. Ale cóż na to poradzić? Wystarczy, że Słowianin jest utalentowanym osobnikiem, a już w dziewięciu wypadkach na dziesięć bierze się do filozofii. Gdy czytam drugą część listów Słowackiego do matki, mam zawsze ochotę powiedzieć: «Julek, jak pragnę zdrowia twojego i mojego, zostaw to i weź się do uczciwego pisania». W «Wojnie i Pokoju» miałbym ochotę powyrywać sporą ilość kartek i poprosić: «Hrabio, w to miejsce trochę opisów, coś w rodzaju Napoleona pod Smoleńskiem lub opisu bitwy pod Borodino». Niestety. I hrabia Lew, i Juliusz, i Cyprian i Wielki Adam i inni Wielcy Słowianie nie potrafili uchronić się od tej wielkiej choroby. Można niemal przyjąć za regułę, że u Słowian poeci i pisarze stają się filozofami, co szkodzi i literaturze i filozofii, podczas gdy na zachodzie występuje często odwrotne zjawisko — z odwrotnym skutkiem. Filozofowie stają się tu często poetami lub pisarzami, co wzbogaca literaturę i uprzystępnia filozofię. Szereg wielkich piór we Francji czy w Anglii, to filozofowie-pisarze, a w wielu wypadkach poeci myśli — myśli jasnej, prostej, ludzkiej i wspaniale wyrażonej.

Zabrałem się do Bierdiajewa z niechęcią. Słowianie, — poza zamętem — mają jeszcze inne, zgoła antypatyczne nałogi: skłonność do tworzenia «systemów», które w mgnieniu oka przeradzają się w «religię». I wtedy koniec — nie trawię. Każdy system filozoficzny obudowuje się od razu świątynią mistycyzmu, formując DOG-

MATY. Wschodni atawizm. Wszystkie wielkie religie przyszły ze wschodu, bo tylko na wschodzie człowiek umie naprawdę wierzyć i jedną z cech najbardziej charakterystycznych dla Słowian jest wieczne pragnienie jakiejś bezgranicznej wiary w coś. My na przykład mamy zdecydowanego hysia na punkcie Polski. Ta biedna Polska, to jak wspaniały obraz powleczonej nieskończoną ilością warstw farby przy ciągłym «odnawianiu». Farby o przedziwnym składzie chemicznym, gdzie Matka Boska miesza się z bigosem i barszczem z uszkami, Mickiewiczem i grą w bridge'a (narodowa rozrywka polska), katolicyzmem i Towiańskim, przedmurzem i bizantyjskim anarchizmem (to całkiem specjalna cecha polska, wyrażająca się w skrócie: uwielbiam cię, ty sk...) i absolutnym obowiązkiem umierania za ojczyznę nie tylko gdy potrzeba, ale przede wszystkim gdy nie potrzeba. Spróbuj wtedy nie umrzeć. Potrzebna śmierć nie liczy się, bo to podejrzane. Umrzyk mógł mieć jakiś interes osobisty. Prawdziwe bohaterstwo, to umrzeć niepotrzebnie i koniecznie z fasonem. I umieramy niepotrzebnie i wspaniale.

Dlaczego poszukiwać odpowiedzi zawsze w jakiejś dogmatyczno-mistycznej syntezie, nawet gdyby chodziło o Polskę? Gdy zaczyna się myśleć jak człowiek i naprawdę dla człowieka, to należy umówić się, czy się chce napisać traktat, czy ugotować bigos. Słowianie fabrykują zwykle bigos z przymieszkami nieraz naprawdę pikantnymi, jak siły szatana lub bezsilna anielskość, Bóg, wilkołaki, noc i piekło, potracające i przewalające się wśród naprawdę wspaniałych spostrzeżeń i rzutów myśli. Ubrawszy to w kolorowe szaty liturgiczne objaśnień, dociekań i innych zapalczywych Słowian, tworzą religię i jej wyznawców, którzy albo marnują w tym swój talent i stają się typami zdecydowanie nudnymi, albo rozpetują takie prawdziwe piekło, jak wyznawcy komunizmu. Cały marksizm w wydaniu komunistycznym nie jest niczym innym, jak socjalizmem w sosie tatarskim i słowiańskim, co każde nawet niedorozwinięte dziecko wie i rozumie.

«Nowe średniowiecze» jest właśnie mieszaniną wspaniałych myśli, doskonałych spostrzeżeń, przyprawionych w sosie Boga i Szatana, Nocy i nie sprzeciwiania się złu. Wiele rzeczy objawia w tym skłonność do «nieuniknioności» bez wytłumaczenia. Całą odpowiedzialność zwała

się na Boga, siły nieczyste, mieszając przy tym do tego stopnia Boga z Szatanem, że nigdy nie wiem, w co Słowianie bardziej wierzą: w Boga, czy w Szatana, w grzechów odpuszczenie, czy w wieczne potępienie.

14. 1. 45.

Wszyscy wiedzą, że Rosjanie odebrali Wielkie Łuki, a Niemcy wypisują niesamowite historie i nie przyznają się do niczego. W całym Paryżu nie można dostać mapy Rosji. Wszyscy słuchają radia i studiują mapę. Pierwszorzędna propaganda komunizmu. Każdy jest obecnie chodzącym komunikatem wojennym, Anglia i Ameryka przestały istnieć. Nie ma ich. Sklepy radiowe robią wspaniałe interesy, bo za jaki taki aparat trzeba płacić 4-5 tysięcy franków. Pogoda wspaniała. Ciepło i brak opału nie daje się odczuwać.

15. 1. 45.

Pomysłowość niemiecka nie ma granic. Ponieważ w Afryce, po stronie Anglików, biją się Francuzi, wcieleni «przemocą» przez Anglików, wobec tego żołnierze francuscy, wzięci do niewoli przez Niemców, nie będą traktowani jak jeńcy, lecz natychmiast zwalniani i odsyłani do domów. Wielkie artykuły na ten temat we wszystkich dziennikach paryskich. Wspaniałomyślny gest Führera. Ale to już nie robi wrażenia. Wspaniałomyślne gesty nie działają, gdy się dostaje w d... Trzeba było o tym wcześniej pomyśleć.

Zbiegam na dół do moich patronów przywołany trzykrotnym mrugnięciem światła w pokoju. Coś ważnego. To taki umówiony sygnał. Rzeczywiście, Mr. i Mme Besières leżą na stole, wsadzając nosy w mapę. Z głośnika dolatują nazwy odebranych Niemcom miast i miasteczek. Wszędzie naprzód. Cała armia niemiecka otoczona pod Stalingradem. Przeszło dwieście tysięcy ludzi, z których tylko niewielu doczeka końca tej wojny. Berlin bombardowany dwa razy pod rząd. Zaczyna wchodzić do wojny produkcja amerykańska. Czteromotorowe «Liberatory»

będą się teraz znęcać nad Niemcami coraz częściej. W Afryce idzie *langsam aber sicher*.

19. 1. 43.

Leningrad uwolniony od oblężenia. Wszyscy dostali gorączki. Ze Stalingradem będzie skandal, a raczej już jest. W gazetach niemieckich propaganda zmieniła metodę. Operuje się pesymizmem. Goebbels już sam nie wie, co pisać w swoim «Das Reich», którego stałem się zapalonym czytelnikiem. Nawet ludzie zupełnie pozbawieni zmysłu humoru, zaczynają fabrykować dowcipy z komunikatów «Wehrmachtu» i z «taktyki zadzioru».

20. 1. 43.

Montgomery jest o 60 km. od Trypolisu. Bije Rommla w każdej rundzie i idzie naprzód. Jak na skinienie różdżki czarodziejskiej, Niemcy wszędzie są bici i cofają się. Pod wpływem tego nawet tacy pesymiści, jak ja, przebakują od czasu do czasu, że koniec w tym roku nie jest niemożliwy.

23. 1. 43.

Tripolis zdobyty, Rommel cofa się «artystycznie», ale cofa się. Rosjanie codziennie coś odbierają. Gazety nie kryją już faktów. Propaganda zdarła nagle zasłonę i zaczyna ukazywać nagą prawdę. Zaczyna się operować strachem. Przestraszyć wszystkich czerwoną potęgą i pokazać, jaki los nas czeka w razie jej zwycięstwa. O tym wszyscy wiemy (nie wszyscy, bardzo niewielu w gruncie rzeczy), a jednak tak zniechęciliśmy tę «europejską» kulturę i obłudę, że chwilami jest nam wszystko jedno. Niech i ja zginę, ale niech przed śmiercią zobaczę jeszcze koniec tamtego. Co wieczór zbiegam teraz na dół do patronów na komunikat.

27. 1. 43.

Wielki komunikat o spotkaniu się Roosevelta z Churchilllem na wielkiej konferencji w Casablance. Powzięcie szeregu decyzji w sprawie wspólnego prowadzenia wojny. Nadaje się temu olbrzymie znaczenie propagandowe. Prezydent Stanów Zjednoczonych konferuje poza granicami swojego kraju. Rzecz niemal niebywała w historii Ameryki. No i tak dalej. Nie entuzjazmuję się, bo jest jeden wielki i ciemny punkt. Stalin, usilnie zapraszany, nie przyjechał. Dlaczego? Bo ich ma gdzieś i chce wojnę wygrać sam. Dlaczego, dlaczego? Znowu zamieniam się w Rzeckiego.

29. 1. 43.

Hannibal ante portas, periculum in mora — to ton niemieckich gazet i propagandy w tej chwili. I wobec tego rozpoczynają wojnę totalną. Totalna mobilizacja ludności w Niemczech. Mężczyźni od 16 do 65 lat. Z tego wszyscy między 17-ym i 45-ym rokiem życia na front. Kobiety od 18-tu do 45-ciu lat. To w Niemczech. A co w reszcie Europy? Atmosfera znowu się zagęszcza. Jutro powinien przemawiać ten błazen z okazji dziesięciolecia objęcia władzy. Co powie?

30. 1. 43.

Hitler nie mówił. Wołał napisać proklamację i dać ją Göringowi do odczytania. Tylko że «der dicke Hermann» nie mógł jej przeczytać o godzinie wyznaczonej na tę uroczystość, bo Anglicy przylecieli bombardować Berlin i w sposób najbardziej nietaktowny opóźnili cały ten majufes o dwie godziny. Straszny naród ci Anglicy. Cały Paryż trzęsie się ze śmiechu. Rosjanie gazują na Rostów.

31. 1. 43.

Śliczna niedziela. Bulwary lśnią w mdłym, zimowym słońcu. Wszystko jest jakby polakierowane szkłem. Jest

nam za gorąco. Basia narzuca futro na ramiona, ja rozpinam palto i idziemy. Wolno ku Madeleine. W całym Paryżu panuje atmosfera źle tłumionej radości. Styczniowe i anemiczne słońce uważa się już za wiosenne. Ludzie snują się leniwie, przystają by pooglądać wystawy. Nie ma na nich wiele, bo zgodnie z rozporządzeniem nie wystawia się *merchandise de luxe*. Nie wypada drażnić zbyt-kiem bohaterów obrońców Europy, nie wypada rozta-czać go w wykwintnych sklepach tu, gdy tam «Europa» krwawi się i cofa pod naporem barbarzyńskich hord. Wy-stawy są prawie puste. Za to ulica, cała ulica jest wystawą beztroski. Paryski tłumek zrobił się tak elegancki, jak nigdy. Kobiety i młode dziewczęta obnoszą z zacięciem tanie futerka z królików we wszystkich możliwych kolo-rach i fasonach. Jest moda na króliki i nawet wielkie ele-gantki, posiadające okrycia o wiele szlachetniejsze, noszą króliki przyrządzone przez wielkie domy mody. Z wrodzo-nym Paryżowi smakiem i artyzmem. Stukają drewniane podeszwy sandałów i małych butków z futerkiem. Wiel-kie torby, zawieszane na ramieniu i długie parasolki, do-dają ruchom nonszalancji. Kapelusze są coraz większe, o kształtach romantycznych budek. Misterny turban lub fantazyjny beret stały się prawdziwymi dziełami sztuki.

Nawet mężczyźni stali się bardziej eleganccy. Francuzi cywilizują się i młodzież nadaje ton. We wnętrzu oszko-lnych tarasów kawiarnianych na boulevard des Capucines i na rue Royale ludzie pływają leniwie, jak ryby w akwa-rium. Króluje moda i kobieta. W jednym z kiosków koło Madeleine kupuję «Das Reich». Co napisał Herr Goeb-bels? Lubi się łapać kłamstwo na gorącym uczynku. Zresztą wszystko, co pisze Goebbels ma często nie tylko ręce i nogi, ale nawet głowę i miałoby ją na pewno, gdyby nie pisał tego — Goebbels. Niemcy są narodem głupim, bez krzty wyczucia. Oto do czego prowadzi ślepa wiara w system. Najbliżsi krewni bolszewików. Czy w ogóle może być mowa o systemie gdy chodzi o człowieka? Wy-daje mi się, że nie. Bo człowiek jest wiecznym atomem ulegającym rozbiciu, które wyzwala coraz to nowe siły. Czasem wydaje mi się, że cały kierunek współczesnej myśli jest jednym wielkim absurdem. W odniesieniu do czło-wieka nie może być mowy o systemie i — co gorsze — o WIERZE w system. Człowiek, to wieczny pożar.

Trzeba go gasić tak, jak pożar, to znaczy j a k s i ę d a. Być może, że i w gaszeniu pożaru jest wiele systemów, ale w rezultacie nie przydają się one na wiele, bo nie pali się nigdy według jakiegoś systemu. Człowiek, ta odwieczna niespodzianka, nie da się ująć w system. Jeżeli dziś ktoś zapytałby mnie w jaki ustrój, ideologię lub system wierzę, byłbym w kłopotcie. Nie wierzę w żaden ustrój, wszystkie ideologie mam gdzieś i systemami w odniesieniu do człowieka pogardzam. Byłbym raczej skłonny odpowiedzieć, że wierzę w każdy ustrój, ideologię czy system, w którym jest n a p r a w d ę mowa o człowieku. Pozwolić człowiekowi ŻYĆ — oto jedyny system i ideologia. Pozwolić żyć, a nie KAZAĆ żyć, zostawić mu wybór celu jego życia, a nie narzucać mu go z góry. I skończyć z gloryfikacją śmierci.

Wchodzimy do Rebatet. Zamawiam herbatę, kupuję całą górę ptifurków. Czytam artykuł Goebbelsa o mobilizacji ludności i o wojnie totalnej. Jako przykład do naśladowania podaje on swoim Niemcom — Rosję. Mówi o kobietach Leningradu. Rosja. Gigantyczny wysiłek człowieka-termita. Podziw, bezgraniczny i bezkrytyczny podziw ogarnia dziś wszystkich. Bo tam, pod Uralem i za Uralem, w potwornych fabrykach, zakładach i obozach tysiące niewolników-termitów kuje broń dla termitów-wojowników, by pokonać innego termita i cały świat zamienić w wielką termitierę. Czym jest tam człowiek? Nie podziwiam niczego. Wolę podziwiać ptifurki i te ładne, młode dziewczyny, nie broniące żadnego Leningradu, dla których jedynym Leningradem jest łóżko. I tak powinno być.

1. 2. 45.

Właściwie Stalingrad jest skończony. Ale nie przyznają się. Ciągłe piszą o bohaterskich walkach w warunkach beznadziejnych. Ani na chwilę nie wątpię w te beznadziejne warunki. Nikt nie lituje się ani nie podziwia. Cała nienawiść ludzka skupiła się w Stalingradzie. Z zadowoleniem, z najgłębszą rozkoszą mówi się o śmierci tysięcy ludzi i nikomu nie przychodzi na myśl, że to też są ludzie. Nawet mnie... Cała Europa okupowana siedzi

w cyrku i patrzy z zimną krwią na tę straszliwą arenę. I nie zdaje sobie sprawy, że jakimś szatańskim zrządzeniem losu, piekielnym paradoksem jest fakt, że ogląda równocześnie jakby swój pogrzeb. Śmierć zdrajców Europy i jej grabarzy. K. ma rację. Ich największą zbrodnią jest zdrada Europy.

4. 2. 43.

No, przyznali się. Z fanfarami, z całą ponurością Wikingów i krzyżackim kłamstwem.

Stalingrad uratował Niemcy od klęski. Stalingrad, wstrzymując na sobie potęgę bolszewicką, pozwolił na zorganizowanie obrony na tyłach, ustrzegł Niemcy od pewnej klęski. Bardzo być może, ale na jak długo? Ale cośmy się ubawili, tośmy się ubawili. Madame Junot, opisując nastrój w Paryżu po kampanii moskiewskiej Napoleona, przytacza kilka okrutnych anegdot i kalamburów, które rozprzestrzeniały się wówczas po całej Francji. Przylepiano je wszędzie na murach, a nieraz wprost pod oknami Napoleona: *Qu'est-ce que tu as fait avec ton armée?* Napoleon odpowiada: *Je l'ai, je l'ai* (w wymowie brzmi to jak «żele» i może oznaczać albo «mam ją» albo także «zamrożona»). Miałoby się ochotę przylepić coś takiego pod oknami «Führers-Hauptquartier». Rosjanie odebrali Kupiańsk.

6. 2. 43.

Idąc dziś do naszej nadwornej łaźni na rue de Charenton, kupiłem po drodze «Colonel Chabert» Balzaca. Przeczytałem jednym tchem. Jest to długa nowela, a nie powieść. Czym jest Chabert, ten pułkownik napoleoński, który uznany za zmarłego w bitwie pod Pruską Hławą, wygrzebuje się z dołu pełnego trupów i po latach tułaczki na piechotę poprzez całą Europę, przychodzi do Francji? Widmo wielkiej i krwawej epopei. Ruina człowieka, walcząca z życiem, które już nie jest dla niego. Dla otoczenia, to czkawka krwią, dla niego samego, to sen, kończący się obłąkaniem.

Ilu takich Chabertów zrodzi ta wojna? Sama wojna jest okropna, ale jej rezultaty jeszcze straszniejsze. Jak długo po tej wojnie każde ze społeczeństw będzie pełne tych ruin ludzkich? Ruin byłych wojskowych, ruin byłych jeńców, ruin byłych deportowanych, rozbitych rodzin, umarłych uczuć i wybitej z toru młodzieży? A nad tym rozpięta pomimo wszystko aureola legendy, e p o p e i. Każda nowa wojna rodzi się z legendy o poprzedniej wojnie. Każda wojna jest tylko dalszym ciągiem tej p i e r w s z e j. Kto wie, czy zabicie Abła nie zostało przybrane w jakąś legendę, która uwiodła następnego Kaina. Mit, legenda poświęcenia, epopea śmierci nęci każde nowe pokolenie. Za kilkanaście lat Stalingrad będzie tym krzakiem gorejącym, z którego obrazem przed oczami nowi młodzi zechcą iść naprzód, na stracenie. Błędne koło.

8. 2. 45.

W Niemczech kończą się cztery dni żałoby narodowej z powodu klęski pod Stalingradem. Dla ambicji jednego człowieka. «Colonel Chabert» nie może mi wyjść z głowy. Jak długo przeżyła we Francji legenda Napoleona? Ile krwi przelało się w imię tej legendy już wówczas, gdy on sam od dawna już nie żył. W całej Europie. Legenda krwi, legenda nieszczęść, nędzy i śmierci owiana dymami chwały, wlokącej się jak kula u nogi za szeregiem pokoleń. Czym jest to wszystko wobec milionów żyć ludzkich i łez milionów serc? Jak długo przeżyje w Niemczech legenda Hitlera? Co stanie się jeszcze w imię tej legendy? Dziś znienawidzony w całej Europie, ukaże się w aureoli legendy pokoleniom późniejszym. Opowieści tych spod Sebastopola, Charkowa lub Leningradu zapalą fantazję młodych, nęcić będą wielką przygodą. Od gorących piasków pustyni aż po wieczne lody północy wędrować będzie opowieść tych, co wrócili. Nigdy nie zrozumieją, co się stało i umrą we śnie. Człowiek kocha cierpienie, a gdy przeminie, stroi je w kwiaty. Wojna nie kończy się dlatego, że ktoś kogoś pokonał, lecz dlatego, że u jednego z przeciwników błędnie szybciej legenda. Obraz mitu, ten złożony obraz wytworzony z uczuć, wspomnień, ambicji,

dawnej chwały — usuwa się z obrazu zimnej rzeczywistości. Ale upijanie się legendą jest niestety jednym z najpopularniejszych nałogów. «Katzenjammer» jest krótki i prędko przychodzi ochota na nowe pijaństwo. Jak długo potrwa «Katzenjammer» niemiecki?

16. 2. 43.

Charków odebrany, dwa dni temu Rostów i Woroszyłowgrad. Anglicy, aby o nich nie zapomniano, rozpętali znowu psychozę lądowania i cały Paryż jest przekonany, że w marcu Amerykanie i Anglicy będą we Francji. Po co? Nie tędy droga. Tymczasem zabawa z Tunisem. Rommel cofa się na Tunis, w którym von Arnim zainstalował się przy walnej pomocy Francuzów i stawia czoło Amerykanom, wdrenowującym się z drugiej strony. W wyniku końcowym będzie z Tunisu mały Stalingrad. Pozostaje tylko do wyjaśnienia, czy von Arnim — tak jak von Paulus w Stalingradzie — zostanie mianowany także marszałkiem «in articulo mortis». Poza tym należy uwierzyć, że Rosja nie jest już Rosją bolszewicką, że to baranek i że można z nią rozmawiać. Abdul-Hamid i Cesarzowa Chin... Do czasu...

18. 2. 43.

Masowa wysyłka robotników francuskich do Niemiec. Oczywiście pod patronatem Vichy. Francja przedstawia obecnie obraz nędzy i rozpacz. Nikczemność kwitnie, donosicielstwo rozpętało się z siłą żywiołu, brak elementarnych wiadomości o historii, polityce i życiu innych narodów, rzuca na pastwę pisanego i mówionego kłamstwa cały naród. Propaganda robi co może, aby rozbić trzeźwą myśl, a Vichy zawsze z *France éternelle* na ustach, paszkudzi historię tego kraju tak, jak żaden rząd dotychczasowy od Juliusza Cezara począwszy. W każdym wystęgowaniu się zwycięzcy istnieje jakaś granica — choćby granica własnej godności. Ale Vichy, prasa francuska i cała ta klika robi to bez żadnych granic. Znajdują się ludzie pióra, F r a n c u z i, którzy wywiązują się z po-

leceń Niemców z taką żarliwością i takim brakiem jakiegokolwiek godności własnej, którzy piszą i mówią tak, że w ogóle brak na to określenia. Jest to *a b s o l u t n a* *ż a r l i w o ś ć* w absolutnym znikczemnieniu. Są Francuzi, którzy rozumieją to, ale tych jest niewielu. Ogół przypatruje się temu obojętnie i uważa, że skoro on jest *antiboche* to wystarczy i nie przejmuje się tym. Co z tego, że większość narodu jest istotnie antyniemiecka (teraz) i antykolaboracyjna, gdy znajdują się w tym narodzie takie asy, jak Laval lub Pétain. Każdy rząd jest do pewnego stopnia wyrazem narodu. Francji obecnej nie można identyfikować z tym, co się mówi i pisze oficjalnie, ale nie można również oddzielać *z u p e ł n i e* tych dwóch rzeczy. Ciągłe jeszcze znajdują się setki tych «piesków» okupacji, gotowych wypełnić polecenia niemieckie z większym samozaparciem i żarliwością, niżby to robili sami Niemcy. Gazety redagowane przez Francuzów, przesadzają się w wypełnianiu poleceń propagandy. Łżą, odwracają fakty dziesięciokrotnie bardziej, niż prasa niemiecka. Na tym tle «Das Reich» nabiera cech uczciwego pisma. A przecież Francuzi nie muszą, nikt ich nie zmusza do tego, aby pisali więcej niż nakazuje «Propogandastaffel in Frankreich». Ale oni piszą, szczekają, służą na ogonie.

21. 2. 45.

Wieczorem w «Odeonie» na «Weselu Figara». Stracony wieczór. To było wszystko, tylko nie teatr. Buda jarmarczna. Dekoracje, stroje, gra — poniżej zera. Jedno było tylko ciekawe: otóż Figaro, zamiast być sprytnym i chytrym Figarem, był cały czas spoufalonym chamem. I co więcej: czuło się najwyraźniej, że wypływa to nie ze sposobu gry, ale z *n a t u r y*. Figaro był naturalny, był do nitki naturalny we wszystkich scenach z księciem. Personifikował hołotę rewolucyjną, dającą z taką rozkoszą odczuwać wyższym od siebie wolność, równość i braterstwo. Wyższym urodzeniem? Nie — kulturą. Był Figarem Republiki, a nie Figarem Rokoka. Czuło się węzły ścisłej przyjaźni między Figarem i widownią i widownią i Figarem. Czuło się, że wszystko, co Figaro mówi, jest jeszcze ciągle aktualne dla tutejszego tłumku. Każda *boutade*

Figara, cienka i złośliwa, była robiona tu naumyślnie grubo, wulgarnie, programowo. Był to zbuntowany cham republikański, produkt poronionej rewolucji — ku zadowoleniu wszystkich. Zastanawiająca jest czasem ta ciągła aktualność Rewolucji i jej pokrytych kurzem haseł we Francji. Czasem zastanawiam się, czy Rewolucja zamiast pchnąć ich naprzód, nie tylko nie cofnęła, ale co znacznie gorsze — po prostu nie zatrzymała. Ma się nieraz dotykane wrażenie, że jak «roztrzęśli» się 14 lipca 1789 roku tak do dziś dnia trzęsą się — w tym samym miejscu, na tym samym poziomie.

W Rosji obchodzi się uroczyste 25-lecie Armii Czerwonej. Ludzie gubią się obecnie w domysłach na temat Rosji przy walnej pomocy propagandy angielskiej i amerykańskiej. Pchają w nich, jak w tuczną gęś i jeszcze im robią propagandę. Jest to nowoczesne barbarzyństwo i nic się na to nie poradzi. Jeżeli nigdy nie spierałbym się na temat dorobku materialnego Rosji, o tyle uważam, że dorobek duchowy jest tam niewielki — jeśli w ogóle nie żaden.

K. czyta gazety i pisma, ja książki. Codziennie rano, spotkawszy się przy stole na scenie *salle des fêtes* me-rostwa Châtillon-sous-Bagneux robimy przegląd sytuacji. K. powiedział mi dzisiaj: «Panie Andrzeju, gdyby w Londynie byli przytomni ludzie, to zamiast przygotowywać się do powrotu, zabraliby się już teraz do budowy silnej i zwartej emigracji». Czasem przyjeżdża P., inżynier i filozof. Mówi cicho i miarowo. «Więc co, sądzi pan, że Anglicy i Amerykanie pozwolą Rosji wejść do środka Europy?» Uśmiecha się. «Pozwolą. Nie miejmy złudzeń. Będą czekać, aż umrze Stalin i potem — zobaczą».

22. 2. 43.

Wobec tego król angielski ofiarował szpadę honorową miastu Stalingrad. Znowu świetny film «Pontcarral Colonel d'Empire». Idzie już od jesieni, ale z początku nie można się było dostać do kina. A ja unikam, jak tylko mogę, stania w jakichkolwiek ogonkach. Ogonek, to jedna z najperfidniejszych metod poskramiania w człowieku sa-

modzielnego myślenia. Staję w ogonku i natychmiast czuję w sobie *la bête humaine rampante*, zamieniam się w amebę, w jakiś plankton, któremu wszystko jedno, który skłonny jest pozwolić na wszystko, w którym dusza zostaje skolektywizowana i zamienia się w coś w rodzaju kołchozu: tracę poczucie własności siebie i wreszcie, gdy po długim staniu, otrzymam jakiś ochłap, wydaje mi się, że świat jest piękny i że wcale nie jest tak źle. Po czym z takim optymistą robi się co się chce. To też metoda, i to zupełnie inteligentna. Ogonkiem «zmiękcza się» ludzi, jak w przesłuchaniu śledczym.

25. 2. 43.

Z okazji 23-ej rocznicy założenia partii narodowo-socjalistycznej Hitler rzucił Niemcom i Europie proklamację. Ale znowu nie wygłosił jej sam. Przeczytał ją Esser. Na temat tego czytania tych utworów literackich przez innych, krąży oczywiście szereg domysłów. Od ciężkiej choroby aż do śmierci włącznie. Cała ta proklamacja była znowu wściekłym bzykiem muchy, uplątanej w pajęczynie. «Nie zawahamy się ani na sekundę, aby narody winne wypowiedzenia tej wojny (?), przymusić do pomocy nam w decydującej walce... W pełnym porozumieniu z naszymi sprzymierzeńcami przystąpimy do mobilizacji materialnej i moralnej Europy». Wiadomo, w wagon i jazda. Dopiero teraz widzi się, jakim wytrzymałym bydlęciem jest człowiek. To przede wszystkim odróżnia go od innych zwierząt. To wszystko, co wyprawia się obecnie, wydawało się nam absolutnie niemożliwym do zniesienia jeszcze dziesięć lat temu. Wojna lotnicza na ten przykład. Wydawało się, że ten, który będzie miał przewagę w lotnictwie, od razu wygra, bo ludzie nie zniosą bombardowania. Tymczasem dziś rozwala się w ciągu godziny pół miasta, giną tysiące ludzi — i zabawa trwa nadal w najlepsze. Londyn przez pół roku trzeszczał pod bombami, teraz południowe Niemcy rozlatują się w kawałki i końca nie widać. Führer ogłasza proklamację, Anglicy zabrali się dopiero teraz poważniej do rzeczy, Rosjanie pokazali to, o co się ich nie posądzało przy najlepszych chęciach. Wojna zaczyna się.

To dla potomności, jak daleko można posunąć fundamentalną nikkczemność, nie będąc wcale do niej zmuszonym. Artykuł Roberta de Beauplan z dzisiejszego «*Matin*» Nr 21420. Może służyć jako ilustracja, wymowna i wszechstronna tego, co określam absolutną nikkczemnością. Robert de Beauplan nie jest jeden. On pisze to, co wielu mówi i pisze z całą kliką Vichy na czele. To, co pisze de Beauplan, to co piszą inni lub mówią przez radio n i e j e s t d y k t o w a n e przez «*Propaganda-staffel*», bo nawet Niemcy nie zdecydowaliby się podsuwać redakcjom t a k i c h kawałków. Oni sami uważaliby coś takiego za zbyt grube, pomimo że skala ich odczuć jest raczej skromna. Nie — bez złudzeń. To jest francuskie w całej swojej nikkczemności. Tytuł tego elaboratu jest «*France, pays d'Europe*». I brzmi to tak:

»Jedynie powaga zadań, które zatrzymują go w jego kwaterze głównej, przeszkodziła raz jeszcze Führerowi znaleźć się w Monachium wśród swych najstarszych towarzyszy walki, by wraz z nimi uczcić 25-lecie założenia Partii Narodowo-Socjalistycznej. Lecz proklamacja odczytana w jego imieniu przez Sekretarza Stanu Essera posiada niemniej znaczenie kapitalne.

«*Wojska niemieckie, które dzięki szeregowi zwycięstw przeniknęły aż do serca Rosji, wystawione są od trzech miesięcy na najstraszliwsze ataki czasów współczesnych. Że wódz ich proklamuje w dalszym ciągu swą ufność w wynik końcowy, to nie ma w tym nic niespodziewanego ze strony człowieka, który potrafił dotąd zatriumfować nad wszystkimi próbami, na jakie został wystawiony, a to dzięki swej energii i nieustępliwej woli. Ufność tę zawdzięcza Führer również pewności posiadania za sobą wielkiego, jednomyślnego narodu, który zgalwanizował on swą wiarą i który nie cofnie się przed żadną ofiarą by osiągnąć cel, wyznaczony mu przez niego.*

«*Lecz Niemcy nie walczą tylko dla siebie. Bronią one całej Europy przed inwazją bolszewicką, zagrażającą jej. Toteż Niemcy nie liczą na to by bić się same.*

«*Kilka słów wypowiedzianych przez Führera odznacza się ważkością treści: „Nie zawahamy się ani na sekundę, by narody, winne wypowiedzenia tej wojny, przymu-*

sić do pomocy nam w tej decydującej walce... W pełnym porozumieniu z naszymi sprzymierzeńcami przystąpimy do mobilizacji materialnej i moralnej Europy". Ze słowa te skierowane są przede wszystkim do Francji, któż mógłby o tym nie wiedzieć? My ponosimy, w wielkiej mierze, odpowiedzialność za wojnę, a klęska nasza, wydając nas na łaskę i niełaskę Niemiec, daje im dziś prawo wymagania od nas pomocy, jakiej potrzebują. Niemcy czyniąc to, nie nadużywają swych praw. Wykonywują one prawa słuszne (*légitime*). Tak myśli rząd Marszałka Pétain i Prezydenta Laval'a, których polityka idzie po linii spontanicznego oddania do usług Niemcom maksymalnych środków rozporządzalnych i naszych sił roboczych. Ktokolwiek zamierzałby się sprzeciwić tej polityce, zdradziłby swym postępowaniem obowiązki Francuza. Zresztą opór byłby próżny i Führer wyraźnie dał nam to do zrozumienia (To zdanie jest wprost niesamowite w swojej nikczemnej szczerości, naprawdę rozbrajającej).

«Lecz to nie twardym prawom zwycięzcy podlegamy. Należy oglądać rzeczy z wysoka (z szubienicy). Gdyby Europa upadła, Francja, kraj Europy, zginęłaby razem z nią. Jeśli Europa ocaleje dzięki Niemcom, to zyskamy na tym tylko w tym stopniu, w jakim współpracowaliśmy w tym dziele zbawienia. Taki jest dylemat przed którym stoimy. Nie mówmy więc, że Niemcy narzucają nam niewolę, gdy one ofiarowują nam szczęście niespodziewane: szczęście naprawienia katastrofalnych skutków naszych błędów i liczenia się z naszymi prawami w rekonstrukcji Nowej Europy».

Czy może istnieć coś bardziej płaskiego w swej służalczości i nikczemnym lokajstwie? Kanalia.

1. 3. 43.

Rosjanie zagalopowali się. Niemcy przeszli do przeciwnatarcia i już coś tam znowu odebrali. Wszystkim miny zrzędyły i nosy wydłużyły się. Niemcy są jeszcze silni. Oczywiście — ale to nie zmieni już w niczym sytuacji.

Bierdiajew pisze między innymi: «W „Utopii” Tomasz Morusa swobodna zmiana miejsca zamieszkania nie jest wcale łatwa. W „Utopii” Cabeta ukazuje się jedyny dziennik, dziennik rządowy, i istnienie organów

prasy wolnej jest kategorycznie zabronione. Znało się źle utopie — lub zapomniało się o nich — i zanadto załowano, że nie można wprowadzić ich w czyn. Okazuje się jednak, że są one bardziej wykonalne, niż zdawało się to dawniej. I stajemy dziś przed pytaniem zgoła inaczej palącym: **J a k u n i k n ą ć d e f i n i t y w n e j r e a l i z a c j i u t o p i i ?**»

Nie uniknęliśmy. Ale nie rozumiemy. «Do czego doszliśmy?» pyta się dzisiaj prawie każdy z nas. W tym pytaniu zawiera się właściwie cała nasza epoka, a w tych trzech słowach kryje się cały ogrom tragizmu naszych czasów. Pytanie to zaczyna ogarniać wszystko, przesiąkać wszędzie, układać się w wielki znak zapytania w każdym spojrzeniu milionów ludzi. Ci, co nie potrafią myśleć, c z u j ą że stało się coś dziwnego, niezrozumiałego i potwornego. Odczuwa się to, co odczuwałby więzień, któremu obiecano wolność, a którego sprowadza się do coraz to niższych i ciemniejszych cel: gorycz rozczarowania, zdziwienie, strach i w końcu tępą rezygnację.

Myśl szuka odpowiedzi i tłucze się bezradnie w ramach jałowych rozumowań. Wojna? Nie. Wojna nie może być przyczyną, bo wojna jest zawsze tylko skutkiem, jest tylko objawem długo tajonej choroby. Skutkiem czego? Kapitalizmu, kryzysów, przesunięć w układzie społecznym? Tak, ale... Ale czym dalej się idzie, tym bardziej wszystko się wikła, tym większa tworzy się próżnia. Gdzieś dalej kończy się siła rozumu, cała inteligencja zawodzi w zetknięciu z rzeczywistością. Człowiek n i e r o z u m i e i poddaje się.

Tymczasem to wszystko musi mieć jakiś sens, musi się z czymś wiązać. Poddanie się, «nie myślenie», wystarczają tylko na krótki okres czasu. Następne ułknięcie rzeczywistości budzi znowu tę samą myśl. W «nie myśleniu», w poddaniu się, jest coś upokarzającego. Dziś, w tej epoce, w której człowiek zaczyna się wstydić tego, że jest człowiekiem, poddanie się myśli, powiedzenie sobie «nie rozumiem» poniża jeszcze bardziej, zbliża jeszcze więcej do zwierzęcia, którym stawał się każdy z nas już od dawna. Nie czuliśmy tego — dziś widzimy. Bo jeśli nawet dziś miliony ludzi nie stały się jeszcze zwierzętami, to grozi im to w najbliższej przyszłości. Jesteśmy w okre-

sie «odczłowieczania» przyspieszonego. Do czegoż, u diabła, doszliśmy?

W pierwszym ataku na to pytanie epoki, każdy z nas czuje się bezsilny. Dostrzegamy, że cała nasza inteligencja nie wystarcza nam na przebicie się przez ten mur pytań, budzących się pod wpływem pierwszego. Całe wykształcenie, jakie odebraliśmy, cały sposób myślenia, jakiego nas nauczono, okazują się więcej niż nikłe w zetknięciu z tym życiem, jakie przypadło nam w udziale. Czujemy, że rozum nasz tkwi w jakichś okowach, których nie może rozetrwać, że w rozmyślaniach na ten temat zachowujemy się jak tonąca mucha, opływająca wokół ściany gładkiego naczynia i ześlizgująca się zawsze z powrotem do wody. Nie mogąc znaleźć odpowiedzi w myślach, pełnych zamętu, przestajemy na chwilę myśleć obserwując jedynie uczucia, jakie budzą się w nas, gdy wszystko zawodzi i gdy stajemy znowu bezradni w obliczu faktów. Uczucie jest podstawą każdej myśli. Uczucie jest surowcem, myśl półproduktem, słowo wyrobem gotowym. Bardzo niedoskonałym, to prawda. Ale jedno bez drugiego nie może istnieć.

Zacząwszy od uczuć i idąc dalej poprzez myśl i słowo, wspierając się na każdym z tych trzech elementów bardziej (w pewnych momentach), kontrolując i segregując, wyrwiemy z siebie dalsze spostrzeżenia. Analizując uczucia, dostrzeżemy, że najwyraźniejszym z nich, które ogarnia wszystkich bez wyjątku, jest piekielny z a w ó d — i to tak wielki, że stajemy wobec niego zupełnie ośpiali. Odczuwamy to tak, jakby ktoś głąskał nas długo po głowie przy akompaniamencie pieszczotliwych obietnic i — nagle uderzył. Za pierwszym uderzeniem poszły następne. A gdy tylko podnieśliśmy głowę, sypały się nowe razy, coraz mocniejsze. Wszystko, co włożono nam i ułożono w mózgu, co poklasowano starannie, wije się z bólu.

Przedmioty twarde reagują na uderzenia o wiele gwałtowniej niż przedmioty miękkie. Jeżeli dziś zawartość naszej czaszki pęka, to dlatego, że włożono nam do niej coś bardzo twardego. Tą nieelastyczną materią jest cały system myślenia. Całe nasze nieporozumienie z rzeczywistością polega na istnieniu jakiegoś sztywnego i nienaruszalnego «tabu», które zamyka nam dostęp do nowych

spostrzeżeń. Widzimy to, c z u j e m y, że myśl nie może się do czegoś nagiąć.

Prawdziwe zrozumienie czegoś opiera się zawsze na ustąpieniu, na zrezygnowaniu choćby tylko częściowym z tego, co uważało się dotychczas za prawdę — celem poznania nowej prawdy. Z r o z u m i e ć oznacza u p o k o r z y ć s i ę. Zrozumiemy bolesność tych uderzeń, zrozumiemy, że jeśli dziś n i e r o z u m i e m y, to jedynie dlatego iż mimo woli lub dobrowolnie nie chcemy ustąpić i zrezygnować z pewnych prawd, wśród których wzrosliśmy i którymi nas wykarmiono, Otępienie i ogrom zdziwienia, ogarniające nas dzisiaj w zetknięciu z rzeczywistością, są wprost proporcjonalne do siły oporu, jaki stawiamy w oparciu o wszczepione nam «tabu» lub po prostu dogmaty. Bo wiek nasz, ucząc myślenia, którego podstawą był sceptycyzm wobec wszystkiego jako uosobienie w y z w o l e n i a, zakuł nasz umysł w nowe kajdany dogmatów lub tak zwanych «prawd niezaprzeczalnych». Cały przebieg konfliktu myśli, rozgrywającego się w zetknięciu z obecną rzeczywistością, świadczy prawie na pewno, że tak jest w istocie.

Człowiek opierający się na jakichkolwiek dogmatach reaguje na nowe myśli lub zjawiska, obalające jego dotychczasowy system myślenia lub wyznanie wiary w sposób zawsze ten sam: przyjmuje je, lecz nie może się z nimi pogodzić. Jest to irracjonalne zaprzeczenie istnienia czegoś, co samo narzuca się — jest to chęć odwrotu od rzeczywistości, strach przed rozpadnięciem się w gruzy tego, co dotąd uważało się za niezniszczalne. Może nic nie wyrządziło na świecie tyle krzywdy, co ta tchórzliwa (często także interesowna) chęć odwrotu od rzeczywistości. Człowiek lub ideologie zatrzymują się w instynktownej obawie pustki, a nie będąc pewnymi, czy znajdą coś poza zakrętem, wolą z uporem dreptać w miejscu. By odwlec katastrofę. Czym droższy sercu był dany dogmat (nigdy umysłowi — dogmat nie wytrzymuje natarcia umysłu), czym większą ciężką otoczony, tym pogodzenie się z nową prawdą bywa trudniejsze, tym dreptanie dłuższym. Za dreptanie płaci się najdrożej.

Rozum ludzki zachowuje się jak bankrut, który tając bankructwo i obnosząc resztki swej fortuny, stara się siebie przekonać, iż uda mu się zataić je nie tylko przed

innymi, ale i przed sobą. Jest to rozpaczliwa obrona straconych z góry pozycji. W obliczu rzeczywistości dreptamy w miejscu. Czując bankructwo dawnych wierzeń, nie chcemy się do niego przyznać. Rozpaczliwa obrona, nateżenie tej walki i wynikające z niej nieporozumienia są najtypowszym objawem konfliktu myśli z dogmatem. Bo dogmat nie jest myślą — jest przede wszystkim uczuciem, tak zresztą jak każde uczucie jest w pewnej mierze dogmatem.

W każdej walce z dogmatem lub w okresie walenia się go niezależnie od naszej woli, następuje powszechny zamęt, utrudniający jakie takie zrozumienie wyłaniających się rzeczy, gdyż następuje nie starcie się myśli z myślą, lecz myśli z uczuciem. Najburzliwsze okresy zarówno w życiu zbiorowości jak i w życiu jednostki, są zawsze okresami walenia się dotychczasowych, absolutnych wierzeń-uczuc. Obrona uczuć nie zna kompromisów i nie zna rozsądku. Stąd bezwładny opór konserwatystów, bo zwykle nie bronią oni myśli, lecz uczuć. Wszyscy jesteśmy dziś konserwatystami, a obrona, ślepa obrona dogmatów zaciemnia nam obraz. Wszyscy jesteśmy wyznawcami dogmatów p o s t ę p u w najfałszywszym znaczeniu tego pojęcia, wiary w człowieka i w automatyzm jego rozwoju, fanatykami dogmatu materii i liczby. Nie możemy zdecydować się na obalenie ich, bojąc się zerwania z najdroższymi wierzeniami. Bronimy złudzeń i nie możemy zrozumieć rzeczywistości. Nie potrafimy umieścić faktów w żadnym planie, gdyż każda myśl potyka się o wierzenia, w których nas wychowano i które już n i e w y s t a r c z a j ą. Rozum pląta się, broni straconych pozycji i drepta w miejscu. Nie możemy uwierzyć, boimy się przyznać do bankructwa, do bankructwa wszystkich ideologii.

Tymczasem bankructwo to stało się jasne i jedynie pogodzenie się z nim może nam pozwolić na częściowe choćby zrozumienie tego, co dotąd wymyka się naszemu rozumowaniu. Pogódźmy się z upadkiem dogmatów, a pozwoli nam to na stworzenie sobie — innych. Jak trudno pogodzić się z faktem, że prawdziwa mądrość i prawdziwa wiara nie są wiarą w doskonałość tego, co raz tam okazało się doskonałym, lecz u m i e j ę t n o ś c i ą t r a c e n i a w i a r y w odpowiednim momencie. To także

gotowość cofnięcia się zawsze do zera. Musimy cofnąć się do zera i sprawdzić fałszywy rachunek. Jak fałszywy, to widzimy dzisiaj.

Staram się zebrać w jedno te strzępy myśli, które nie dają mi spokoju. Wszystko buntuje się we mnie, bo wydaje mi się, że poszliśmy złą drogą i że jeżeli nie zmieni się kierunku, to przyszłość jest ciemna. François de Curel powiedział raz dowcipnie: «Natura nie ma praw. To ludzie wymyślili je dla swojej wygody». Dowcip pozorny. Bo dziś wszyscy uginamy się pod ciężarem «praw natury» i ideologii wymyślonych i zmyślonych przez tych wszystkich, dla których człowiek, ten zwykły człowiek, stał się niewygodny. Człowiek przez wielkie «C», to największa zawalidroga we wszystkich systemach i ideologiach. Uginamy się pod brzemieniem «praw», «systemów» i «ideologii» zupełnie już dzisiaj fałszywych. Pędzimy, jak maszynista w lokomotywie, wpatrując się jedynie w manometr i w szybkościomierz. I wzrasta tylko ciśnienie, i wzrasta tylko szybkość. Nic poza tym.

4. 3. 43.

Przedwczoraj znowu bombardowali Berlin. Między Sikorskim i Sowiecami wynikł konflikt. O Lwów. My nie chcemy oddać tego, co w tej chwili nie jest nasze, bolszewicy nie chcą się zrzec tego, co nigdy nie było ich. Odwieczne rozmowy o ukradzionym zegarku. Oczywiście Niemcy to wykorzystują. Już dziś wielki artykuł w «Pariser Zeitung» pod tytułem «Polnischer Schulfall». Jeszcze trochę i Niemcy zaczną nad nami płakać. Zrobią z nas naród umęczony przez bolszewików. I wszystko będzie słuszne. Ale nie będzie słuszne, bo mówią o tym Niemcy. Teraz kłócimy się o Lwów i — mamy rację. Tylko że jak się Anglikom znudzą te kłótnie z ich wiernym sprzymierzeńcem polskim, to nam zamkną buzię i powiedzą Sikorskiemu *shut up*.

7. 3. 43.

Są o 60 km. od Viażmy. Od dziesięciu dni, w każdą noc, Niemcy są bombardowane. *Deutschland erwache. Und Deutschland erwacht. Jede Nacht.*

Joseph de Maistre podaje w swoich świetnych «*Considérations sur la France*» małą statystykę, która mówi bardzo wiele i jest niesamowicie aktualna, pomimo swojej starości. W rozdziale VII swoich «*Considérations*» powiada tak:

«Od 1-go lipca 1789 roku do października 1791 roku Zgromadzenie narodowe wydało	2.557	praw i ustaw	
Zgromadzenie prawodawcze wydało ich w ciągu jedenastu i pół miesiąca	1.712	”	”
Konwent narodowy, od pierwszego dnia Republiki aż do 4 Brumaire roku IV-go (26. 10. 1795) wydał w ciągu 57 miesięcy	11.210	”	”
R a z e m	<u>15.479</u>	”	”

«Wątpię» — pisze dalej de Maistre — «czy trzy dynastie królów Francji razem wzięte porodziły kolekcję o takiej sile. Gdy myśli się o tej nieskończonej ilości praw i ustaw, odczuwa się kolejno: najpierw podziw, lub co najmniej zdziwienie. Razem z Mr. Burke'm jest się zdziwionym, że ten naród, którego lekkomyślność jest przysłowiowa, wydał aż tak upartych pracowników. Gmach tych praw jest dziełem atlantycznym, którego widok oszałamia. Lecz zdziwienie zamienia się od razu w litość, gdy pomyśli się o zupełnej nicości tych praw. Widzi się wówczas jedynie małe dzieci, które męczą się w pocie czoła by wznieść wielki gmach z kart. Dlaczego tyle praw? Ponieważ brak zupełnie prawodawcy. Co zrobili ci rzekomi prawodawcy przez sześć lat? NIC. Ponieważ BURZYĆ nie znaczy CZYNIĆ (*car détruire n'est pas faire*)».

Wszystko to można by powtórzy dzisiaj w odniesieniu do Francji dzisiejszej, a w przyszłości (jeżeli wszystko pójdzie dobrze) prawdopodobnie do całej Europy. Po zawieszeniu broni, po objęciu władzy przez Pétaina, a następnie przez Laval'a, Francja puściła się na mętne wody «Odrodzenia wewnętrznego» pod hasłem «Rewolucji Narodowej» (*Révolution Nationale* — oni bez rewolucji ani rusz). Pobita, zdeptana, strącona z wyżyn wyobrażenia o sobie (bardzo nieraz przesadnego), po-

stanowiła uderzyć się w pierś i — znaleźć winnych. Zamiast szukać winy w samej sobie, postawiła przed trybunałem w Riom «sprawców klęski». Były to te «circenses» dla ludu, bo brakowało «panem». Poniżyć i zmieszać z błotem kilku mniej lub więcej wybitnych ludzi ze świecznika narodowego, to znaczy wywyższyć tłum, to zadowolić instynkty «odgrywki», zasłaniając jednocześnie prawdę, co w tych wypadkach jest najważniejsze.

Cała ta operetka w Riom miała dać opinii żer, odwrócić uwagę, jednym słowem moskiewskie procesy we francuskim wydaniu. Tymczasem stało się inaczej. Oskarżeni oskarżyli oskarżycieli. Atmosfera gęstniała z dnia na dzień, skandal unosił się w powietrzu, Francja z właściwym jej w takich wypadkach smakiem wchłaniała zapachy z tej kuchni procesowej i bawiła się przy tym nie najgorzej. Ostra cenzura psuła zabawę, ale to, co przedostało się, było pikantne — tak pikantne, że proces przerwano. Wielkie pociągnięcie propagandowe rządu Pétaina nie udało się. To ciekawe, że od stu lat wszystkie ideologie polityczne «jedyne i prawdziwe» od najbardziej prawicowych do najbardziej lewicowych, nie potrafiły nic innego wymyśleć, jak tylko głupawe procesy. Toteż ratując resztki swej powagi, mocno nadwyrężonej komedią Riom, rząd Vichy rozpoczął kanonizację Pétaina za życia. Taki piernikowaty Stalinek *à la française*. Wszystko zaczęło się dziać z imieniem «Maréchal» na ustach, w ustach i we wszystkich innych częściach ciała. Razem z tym rozpętano propagandę «kompleksu niższości», wstrzykiwaną powoli i jadownie przez tak zwanych intelektualistów. Patrzcie na Niemcy — oni genialni, oni wszystko wymyślili, oni komponowali najlepszą muzykę, oni są karni, oni są prawdziwymi obywatelami, Hitler jest geniuszem, my prochem i niczym. Zmącić wodę, skłócić Francję samą z sobą, rozbić i poróżnić. To wszystko w imię regeneracji narodu. Vichy, musujące francuskimi entuzjastami totalizmu, zaczęło odradzać Francję — ustawami i prawami, policją tajną i obozami koncentracyjnymi. I tu zaczęła się ta wielka groteska, może największa w dziejach totalizmu, groteska Francji totalistycznej pod dyktaturą Pétaina, obecnie Laval'a. Ma to wszystkie cechy makabryczno-komicznego skeczu z trzeciorzędnego music-hallu.

Francja postanowiła «odrodzić się», biorąc sobie za przykład Niemcy, a głównie ich orrrrrrganizację. Rekonstrukcja, orrrrrrganizacja, rrrregeneracja stały się hasłami dnia. Najwięksi patrioci francuscy, widząc w przypiływie nagłego obiektywizmu wszystkie przyczyny upadku Francji, zobaczyli nagle t y l k o z ł o. Opinie dobrze płatnych kolaboracjonistów intelektualnych (intelektualiści w takich wypadkach to zawsze największa swofocz i prostytutcja), wygłaszane w dziennikach, tygodnikach, miesięcznikach i w radiu, pełne barwnego «kompleksu niższości» połączyły się z sądami ludzi dobrej woli, krytyków dobrej wiary i najbardziej antyniemieckich, opluwając wspólnie swój kraj i posuwając się do najdalej idącego zaprzeczania nawet najbardziej uznanych i bezspornych wartości. Francja jest zmurszała i zgniła — należy ją odrodzić. Jako naród, dostrzegający wszędzie i zawsze tylko f o r m ę, a nie treść, Francja odkryła w sobie tylko błędy formy. Nie szukając przyczyn swego upadku w treści, nie szukając w g ł ą b, dostrzegła tylko martwe paragrafy. Zatrzymała się w swej auto-psychoanalizie tylko na r e z u l t a t a c h i na ostatnich, najbardziej widocznych przyczynach.

Uznając i rozumiejąc jedynie f o r m ę, postanowiła odrodzić się f o r m ą, po raz x-ty w ciągu jej dziejów okłamać się i zakłamać f o r m ą. Cała Rewolucja była właściwie formą bez treści i dlatego nie wydała żadnych istotnych rezultatów. Widząc przyczynę wszelkiego zła w niewykonywaniu praw, postanowiła leczyć się — n o w y m i p r a w a m i. Nowe prawa i ustawy miały naprawić zło przeszłe i zapobiec nowemu. Wynik: zdwojono lub potrojono ilość niewykonywanych praw. «Nowa» Francja (*la France Nouvelle*) zasypała kraj lawiną praw i ustaw, których nikt nie chciał wykonywać. By zmusić do tego, do czego żaden Francuz z natury i od urodzenia nie ma skłonności, użyto policji, milicji, szturmówek narodowych i obozów, więzień i grzywien. Francja dzisiejsza siedzi w obozach i więzieniach okupanta, płaci kary i odsiaduje je w swoich własnych obozach i więzieniach, wtrącona tam przez własny rząd, własną policję i administrację w myśl hasła — odrodzenia Francji. Męczona przez Niemców, zadręcza się sama stokroć gorzej (wielu mówi, że w strefie okupowanej żyje się znacznie

swobodniej niż w tak zwanej strefie wolnej. Teraz to już nieaktualne) — dla swego «dobra». Jest to jak jakiś szal, który ogarnął nawet zupełnie mocne skądinąd głowy i wiele nieprzekupnych głów. Coś dla Voltaire'a — choć jestem pewny, że ten siedziałby dziś w Vichy.

Nowa organizacja doprowadziła do zupełnego chaosu. Jest to interesujące jako objaw zupełnej bezradności. Ten naród, który stworzył tyle praw i nakarmił nimi cały świat, który ma wprost mrówczą cierpliwość w organizacyjnym rozwiązywaniu wszystkich stron życia przy pomocy osobnych deklaracji, kwestionariuszy, dokumentów i papierków — ten naród jest zupełnie bezsilny, gdy chodzi o dostosowanie teorii do życia. Czym więcej analizuję Francję, tym częściej dostrzegam, że najbardziej charakterystyczną cechą tego narodu jest ciągła rozbieżność między teorią i praktyką. Ciągła walka, ciągłe ścieranie się teorii z praktyką jest i tragedią i wielkością tego kraju. Wrodzona nieudolność i bezsilność Francuzów, gdy chodzi o wprowadzenie w czyn idei, jest do pewnego stopnia instynktem samozachowawczym. Każdy Francuz jest w gruncie rzeczy urodzonym prawodawcą, teoretykiem, ideologiem. Każdy Francuz ma mniejszą lub większą skłonność do rozwiązywania każdego zagadnienia życiowego przy pomocy prawa i ustawy. Gdyby wszystkie prawa i ustawy, rodzące się z taką obfitością od czasu pierwszego ataku febry rewolucyjnej, zostały literalnie wprowadzone w życie, Francji albo nie byłoby już zupełnie, albo stałaby się krajem automatów i robotów.

To ciągłe ścieranie się teorii z praktyką jest może najistotniejszą przyczyną tych wszystkich nieoczekiwanych, często olśniewających myśli, idei i ruchów, tego bezustannego fermentu, który tyle daje całemu światu. Francja jest w ciągłej walce wewnętrznej, w ciągłym ruchu, w ciągłym przeczuciu, w bezustannym «uniku» używając języka szermierki. Jej tragedia, to ciągła walka wewnętrzna, ciągły ferment, który dla niej samej jest wyczerpujący, ale który daje jej jednocześnie wiele tego czegoś, co cały świat jej przyznaje i za czym mu — tęskno. Francja jest ideologicznym poligonem całego świata. Gdy pozna się Francję, widzi się wówczas do jakiego stopnia robiła ona swoje wszystkie rewolucje — za innych i dla innych. Wyczerpując się w wewnętrznych skrętach i usychając, poiła cały

świat. Ideowo wykarmiła całą kulę ziemską, wypróbowała na sobie złe i dobre, eksperymentowała przy szeroko otwartych drzwiach. Inni wzięli z niej tylko to, co okazało się dobrym i udoskonalili wprowadzając w czyn. Francja jest krajem najgenialniejszych reform, krajem miliona reform, a jednocześnie krajem, w którym najmniej z tych reform weszło w życie. Francja ogranicza się do wydawania praw i do wykonywania tych praw ewentualnie w f o r m i e. Wszystko, co dotyczy materialnej strony prawa wykonywane jest ze ślepą dokładnością, wszystko co związane jest z jego treścią, pozostaje martwym. I dlatego także dzieje się tu tyle bezprawia pod pokrywką prawa.

Ale pomimo to, pomimo przykładów na każdym kroku, Francuz pozostaje fanatykiem prawa, sztuki dla sztuki, przywiązując znaczenie do każdego słowa i każdej litery, gdy chodzi o prawo lub jakąś ideę. Ta łatwowierność «polityczna» jest właściwie dosyć niespodziewana. Tylko dzięki niej tyle rządów i tylu mężów stanu mogło tu bezkarnie tyle nakłamać, tyle naobiecywać i tyle nie wykonać, co we Francji. Przy każdej zmianie rządu, przy każdej mowie jakiegoś dygnitarza, Francuz łapczywie chwytą patos i obietnice reform, na zewnątrz często kpi, lecz w głębi W I E R Z Y. Nic nie znaczącą zmianą jednej osoby w gabinecie, gasi się tu rewolucyjne wrzenie ogółu. Bo Francuz wierzy — wierzy, że zewnętrzna zmiana, f o r m a, zmieni wszystko. Tak stało się i teraz. Francja, odnalazłszy swe błędy tylko w formie, postanowiła odrodzić się formą i reformą w formie. Niemiecka siła zaimponowała, pruska organizacja olśniła, zwierzęce i trzodnie posłuszeństwo narodu, który nie tylko tworzy prawa, ale co gorsze, wykonywuje je jak najdokładniej, uderzyły Francji do głowy. I zaczął się taniec, zaczęła się makabryczna groteska.

Balzac w swoich «Les employés» powiada, że we Francji jest około 40.000 urzędników. To znaczy w roku 1840 w całej Francji urzędoli czterdzieści tysięcy osób, tworząc administrację, o której Balzac powiada, że za 60 milionów franków pensji, płaconych tym urzędnikom *la France obtient la plus fureteuse, la plus méticuleuse, la plus écrivassière, paperassière, inventorière, contrôleuse, vérifiante, soigneuse, enfin la plus femme de ménage des*

Administrations connues. Tak, ale w roku 1914 Francja liczy już osiemset tysięcy urzędników, w roku 1924 milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy, a dziś przeszła dwa miliony, podczas gdy liczba mieszkańców od czasu Balzaca wzrosła we Francji nieznacznie i być może, że w tej chwili jest taka sama wskutek nieobecności trzech milionów jeńców i miliona deportowanych. To, co rozpętało się w tej chwili, przekracza ludzkie wyobrażenie. Miałoby się ochotę powtórzyć za G. Ferrero: «Faszyzm, który obiecał eksterminację biurokracji, skończył na tym, że ją jeszcze bardziej powiększył, ponieważ w s z y s t k i e r e w o l u c j e s k o ń c z y ł y n a t y m, i ż p o m n o ż y ł y l i c z b ę u r z ę d n i k ó w» (choćby z tego powodu należałoby unikać rewolucji. Warto). Francja pływa i tonie w morzu ustaw, praw i papierów, rozporządzeń i obwieszczeń, regulaminów, edyktów i dekretów wykonywanych przy pomocy ponad dwóch milionów urzędników, którzy ograniczają się jedynie do ścisłego przeprowadzania ich pod względem formalnym i zewnętrznym, zamęczając papierami, deklaracjami, formularzami, kwestionariuszami i biuletynami 38 milionów ludności, która całkiem słusznie stara się niczego nie wykonywać.

A Francja odradza się i żeby odrodzić się «na prawdę», uczy poszanowania prawa rozdzielaniem na lewo i na prawo wszelkich możliwych kar. Dziś dochodzi już do tego, że ani urzędnicy, ani obywatele nie biorą już niczego na serio. A z Vichy płyną i płyną edykty «odrodzeniowe», płyną nieprzerwanym strumieniem, regulując ustawą WSZYSTKO. Olśniona w przyпыlywie słabości niemieckim totalizmem i wzorując się na nim, stała się pod względem ustawodawstwa bardziej totalistyczna, niż jej wzór — *Grossdeutschland*. Chcąc studiować totalizm w jego wszystkich wyskokach, a głównie w jego morderczej manii regulowania wszystkiego ustawą i prawem — należałoby go studiować w obecnej Francji. I zaczynam wątpić, czy po tym eksperymencie, Francja jeszcze kiedyś w przyszłości potrafi być krajem swobody i wolności.

Balzac w swoim «Le Député d'Arcis» powiedział wspaniale: «We Francji, w tym kraju tak inteligentnym, wydaje się że upraszczać znaczy niszczyć». Nie chcąc upraszczać, Francja dzisiejsza niszczy się — prawem.

Ofiarą padają wszyscy, cały kraj. Czym więcej praw, tym więcej sposobności do przekraczania ich, czym więcej idiotycznych praw, tym większa KONIECZNOŚĆ łamania ich. W dzisiejszej Francji istnieje już konieczność łamania prawa, co może służyć jako najlepszy przykład absurdalności totalizmu, upaństwowienia całego życia, wszystkiego. Jeżeli dziś jeszcze żyjemy, to tylko dlatego, że dotąd udało nam się bezkarnie łamać obowiązujące prawa i ustawy. Dochodzi już do zupełnego absurdu, do paradoksów, do surrealizmu, gdzie sam organ prawodawczy musi łamać wydane przez siebie prawo, aby życie mogło w ogóle iść dalej. Planowanie w gospodarce jest wskazane jako nadzór ogólny. Gdy przekroczy granice, staje się bzdurą. Na przykład ostatnio w całym przemyśle skórzanym zabrakło skór. Skóry otrzymywane z uboju legalnego nie wystarczały. Równocześnie zabicie konia, krowy czy cielaka bez zgłoszenia tego, jest surowo karane. Jednak aby zapobiec brakowi skór, wydaje się ustawę, że przyjmują się wszelkie skóry i że oddawca ich nie jest obowiązany do żadnych wyjaśnień, w jaki sposób skóra znalazła się w jego posiadaniu. A więc z jednej strony kara za ubój nielegalny, z drugiej strony, ponieważ chodzi o skórę, przyjmuje się ją ze świadomością, iż pochodzi z uboju nielegalnego i — nie wyciąga się konsekwencji. Francuska administracja idzie jednak jeszcze dalej: w jednej wsi pod Paryżem, skazano jakiegoś chłopca za to, że ukrył skórę z uboju nielegalnego. Zupełnie jak z Zoszczenki czy Awerczenki. To jeden z setek przykładów. Najciekawsze w tym jednak to, że po tym wszystkim garbarstwo stanęło od razu na nogi. Okazuje się, że jeżeli Francja jeszcze je mięso, to tylko dzięki ubojowi nielegalnemu. Jeżeli ja mam dosyć chleba, to dlatego, że kupuję fałszywe kartki na chleb, które mój piekarz przyjmuje z uśmiechem, mówiąc «doskonale podrobione» i jeżeli cała Europa jeszcze jakoś dycha, to tylko dlatego, że zgodnie z prawem, każdy jej mieszkaniec powinienby już od dawna siedzieć w kryminale. Wszelki totalizm prowadzi w końcu do jakiejś potwornej abstrakcji, do szpitala wariatów, w którym nikt nie ośmiela się poddać w wątpliwość teorii choćby praktyka świadczyła o czymś zupełnie innym. Dlaczego tyle praw? Ponieważ brak zupełnie prawodawcy. Nie tylko we Francji — na całym świecie.

Sikorski, w przemówieniu do lotników polskich wracających z bombardowania Essen, powiedział między innymi: «Niech ci, którzy tak krytykują, pamiętają o tym, że w chwili zwycięstwa Anglia i Stany Zjednoczone będą miały też coś do powiedzenia». Słyszac to mimo woli krzyknąłem do radia brzydkie słowo, coś w rodzaju «g...., panie generale, melduję posłusznie, że g....». Ciekawe. Można sobie oczywiście tylko życzyć aby generał miał rację i żeby to «coś» do powiedzenia było jak największe. Oznacza to jednak, że w Londynie krytykują i że są ludzie, którzy boją się, aby Anglia i Ameryka nie miały nic do powiedzenia. Mają rację, że się boją.

8. 3. 43.

Doskonały dwugłos, podzielony stu pięćdziesięciu latami. Paul Valéry napisał w «Rumbach»: «Nie cenię i nie mogę cenić innych pisarzy, jak tylko tych, którzy potrafią wyrazić to, co ja znalazłbym trudnym do wyrażenia, gdyby zagadnienie wyrażenia tego pojawiło się przedemną lub narzucało mi się. Jest to jedyny wypadek, w którym mogę mierzyć wartość w jednostkach absolutnych, to znaczy MOICH».

Zmierzyłem tymi jednostkami to, co mówi o Francji de Maistre w XVIII wieku i to, co mówi o niej Keyserling dziś. Obydwa głosy docierają bardzo blisko sedna rzeczy, uzupełniają się, tworząc dwie strony medalu. De Maistre pisze:

«Spośród narodów, które odegrały rolę w historii nowożytnej, żaden być może nie jest bardziej godny, by spoczęło na nim oko filozofa, aniżeli naród francuski. Żadnemu z narodów nie przypadła w udziale misja bardziej wyraźna i wartości bardziej oczywiste, by rolę tę odegrać. Francja, ta która istniała przed Rewolucją (nikt nie zna losu, jaki ją oczekuje w przyszłości) wyznaczona została przez los, by wywierać przemożny wpływ na wszystkie części Europy w tym samym stopniu, w jakim Europa wywiera go na inne części świata.

Wątpię, czy natura uczyniła aż tyle dla jakiegokolwiek narodu. Francja położona jest w środku Europy i z równą łatwością może wiązać się przymierzami z każ-

dym spośród leżących wokół niej mocarstwem, jak i rozbijać ich koalicję. Położona między dwoma morzami, wabi ona ku sobie handel wszystkich narodów, a jej floty wojenne mogą dosięgać i uderzać wszędzie z nieporównaną łatwością i chwałą. Nie ma drugiego kraju tak dobrze bronionego i przez naturę i przez sztukę. Ocean, Morze Śródziemne, Alpy, Pireneje i Ren. Cóż to za granice. A poza tymi szanćami spójrzcie na ten potrójny szereg cytadel, wzniesionych lub naprawionych geniuszem Vauban'a, którego cień wzdycha ciężko ze smutku, iż praca jego poszła dla Konwentu Narodowego. Znajdźcie na całym globie państwo, którego poszczególne części byłyby ściślej ze sobą spojone i tworzyły bardziej imponującą całość. Francja ma wszystko naraz — i masę i pojemność. Nie ma w Europie liczniejszego organizmu politycznego, ściślejszego, trudniejszego do nadwyrężenia, którego uderzenie byłoby straszniejsze. Jej ludność jest olbrzymia, jej produkty jeszcze liczniejsze i nie mniej różnorakie. Jej bogactwa nie dbają ani o modę, ani o opinię. Jej wina, oliwy, drzewa, sole, konopie i tak dalej — tworzą z Francji kraj niezależny od innych ludów, które niemniej zmuszane są płacić jej trybut. I jakby nie dosyć było bogactw naturalnych, Francji przypadło w udziale berło mody, by królując w równym stopniu nad potrzebami i fantazjami, nie brakło jej nic w jej panowaniu.

Wspaniałe rzeki przecinają to rozległe królestwo i łączą się ze sobą w tłumie małych i spławnych rzek, toczących swe wody we wszystkich kierunkach, rozgałęziając się w nieskończoność tak jakby ręką inżyniera pobudowanych. Katarzyna de Medecis nie przesadzała nazbyt mówiąc, iż sama Francja miała tyle spławnych rzek, ile reszta Europy.

Naród ten mógłby być straszny dla innych, gdyby potrafił być narodem zaborczym. Lecz nie to posłannictwo przypadło mu w udziale. Niezwyciężony w swych pieleszach domowych, gdy tylko niesie swą broń w narody obce, widzi swe zastępy padające ofiarą swych własnych zwycięstw i błędów charakteru narodowego, topniejące i niknące przed zdziwionym okiem, jak lekki opar.

Francuz nie jest stworzony po to, by utrzymać w swych rękach owoce podboju: własny charakter wyrывa mu je z dłoni. Toteż «Przyjacieli ludzi» powiedział dość

zabawnie iż «wojownicy, którym udaje się wygnać Francuzów z kraju podbitego, mogą zająć miejsce w pamiątkowej świątyni obok gęsi z Kapitolu».

Lecz jeśli Francuzi nie mogą opanować zbrojnie narodów obcych, to jednak panowali oni nad nimi zawsze w sposób bardziej chwalebny — panowali opinią i sądami. Od chwili gdy lud ten zestalił się w organizm narodowy, zwrócił on na siebie oczy całego świata i zadziwił tym wspaniałym charakterem, którego mu zawsze zazdrośczone. Karol Wielki był jak Sezostris Wieków Średnich. Jego palatynowie wywarli tak silne wrażenie na wyobraźni ludów, iż stali się czymś w rodzaju osobnej mitologii. A Rolandowie i Amadeusze stali się dla naszych ojców tym, czym Tezeusz i Herkules byli dla starożytnych Greków.

By władać tam, gdzie władanie to przypadło jej w udziale, Francja została obdarzona językiem panującym, którego ukryte właściwości są jeszcze tajemnicą pomimo wszystko, co zostało powiedziane na ten temat. Ci, którzy przeczą wyższości języka francuskiego przyjmują w swych sądach nie co innego, jak skutek bez przyczyny. I istotnie nie widzę, aby było coś do odpowiadania, gdy doświadczenie jest oczywistym. Zanim nawet język ten odznaczył się sławnie dzięki swym wielkim dziełom wszelkich rodzajów, Europa przeczuła jego wyższość — lubiło się go i zaszczytem było nim mówić. Dziś jego panowanie, które stało się tak oplakane w skutkach, jest bardziej niż niezaprzeczalne: tysiąckrotnie powiedziano, że język francuski jest trudny i nieugięty — i powiedziano prawdę. Lecz jeśli w ten sposób zamyśla się go krytykować, to popełnia się wielki błąd: podobny do stali, metalu najtrudniejszego do obróbki, lecz lśniącego najwspanialej gdy sztuka potrafiła go poskromić, język francuski, obrabiany i opanowany przez prawdziwych artystów, otrzymuje w ich rękach kształty najtrwalsze i najwspanialsze. To, co określa się sztuką słowa, jest wybitnym talentem Francuzów, a właśnie sztuką słowa panuje się nad ludźmi. Ktoś powiedział, że myśl nigdy nie należy do świata, zanim jakiś genialny pisarz nie zawładnie nią i nie wyrazi jej w sposób szczęśliwy. Doskonale powiedziane i oto właśnie źródło wpływu francuskiego: dobrzy pisarze tego narodu wyrażają rzeczy lepiej, ani-

żeli pisarze wszystkich innych narodów i puszczają swe myśli w obieg po całej Europie w czasie krótszym niż potrzeba go pisarzowi każdego innego kraju na obznajomienie ze swoimi myślami własnej prowincji. To ten właśnie talent, ta specjalna właściwość, ten nadzwyczajny dar uczyniły z Francuzów rozdawców sławy. Miłość własna, zręczniejsza i silniejsza niż дума narodowa, objawiła tę prawdę sławnym ludziom wszystkich części świata, których ambicją było uzyskać aprobatę Francuzów gdyż nie mogli oni ukryć przed sobą faktu, iż byli skazani na reputację lokalną aż do chwili, w której Paryż nie zgodziłby się ich uczcić. Nie wiem czy zauważono, iż literatura angielska zawdzięcza całą swą sławę Francuzom i że była ona nieznaną reszcie Europy, zanim Francja nie rozmiłowała się w produkcjach literackich swej rywalki. Tron tego języka znajduje się między Północą i Południem, język ten nadaje się bez zbytnich trudności dla organów głosowych innych narodów i staje się dla nich powszechnym i nieodzownym tłumaczem przy wymianie myśli.

Wraz z tym językiem «pośredniczącym», natura dała Francuzom inną, analogiczną korzyść: mianowicie smak odpowiadający całemu światu. U obcych pisarzy znajdzie się bez wątpienia fragmenty dorównujące francuskim, a nawet piękniejsze od tego, co Francja wydała najlepszego. Nie fragmentami jednak, lecz całością uderza się na prawdę. Pisarze francuscy mogliby zresztą tworzyć z łatwością fragmenty tego rodzaju, lecz jeżeli spotyka się je u nich rzadziej, to dlatego, że poddają się oni umiesieniu jedynie z pełną rezerwy śmiałością, która chętnie pozwala się unieść, lecz nigdy ponieść: to jest wielką tajemnicą smaku. Gdyż to, co nie osiąga wzniosłości, może być jeszcze zawsze piękne, podczas gdy to, co ją przekracza jest na pewno głupstwem. Sztuka mówienia co potrzeba i kiedy potrzeba, należy wyłącznie do Francuzów. Metoda i porządek są właściwościami odróżniającymi ich od innych i ludzie ci tak lekkomyślni, tak zapalczywi, tak ambitni, są najbardziej statecznymi z piórem w ręku. Nie znajdzie się u nich nic twardego ani nic krańcowego, nic niejasnego ani nic, co nie byłoby na swoim miejscu. Zawsze wytworni i wymowni gdy zajdzie tego potrzeba, najświetniejszy urywek nie pozyska u nich

łaski, będąc płaskim, a zasługa myśli nie potrafi okupić braków stylu. On **ŹLE PISZE**: oto błąd nie do opuszczenia, śmiertelny zarzut zarówno dla filozofa, jak dla poety i powieściopisarza. Ganiono nieraz tę czułą wytworność Francuzów, ale i to jest błędem: ta wytworność musiała stać się częścią charakteru narodu stworzonego, by panować nad opinią swym słowem pisany.

We wszystkich rodzajach wymowy Francuzi nie mają rywali. Wymowa adwokacka dała tu mistrzowskie dzieła, niespotykane gdzie indziej. Włochy i Hiszpania; tak religijne i o językach tak dźwięcznych, nie potrafiły nigdy wydać na świat kazania, które by Europa zechciała czytać. Hume, którego nie można podejrzewać o stronniczość, powiada gdzieś iż wstyd mu przyznać, ale adwokat francuski, broniący sprawy zwrotu konia, jest bardziej wymowny niż mówcy Wielkiej Brytanii, poruszający ważne zagadnienia narodu w Izbie Gmin. Nieoceniony talent, o którym mówię, jest tak specjalną cechą Francuzów, iż nie opuszcza ich ona nigdy, nawet w takich okolicznościach i wszędzie tam, gdzie opuszcza ona innych. Najbardziej suche nauki nie mają dla nich takich kolców, z których nie potrafiliby oni ich oczyścić: fizyka, historia naturalna, astronomia, metafizyka, polityka — wszystko zostało przez nich wyjaśnione, wszystko upięk-szone, wszystko uczynione osiągalnym dla zwykłego zdrowego rozsądku: i być może, że w Europie nie znało się niczego dobrze, dokąd tego nie wyjaśnili Francuzi. Wymowa zastosowana do rzeczy najpoważniejszych i sztuka wyjaśniania wszystkiego są dwoma wielkimi talentami tego narodu. Tłum ludzi, ciągle odpychany od sanktuarium wiedzy twardym stylem i niestrawnością dzieł naukowych innych narodów, nie może oprzeć się powabom stylu i metody francuskiej. Zaledwie tylko obcy geniusz wyda na świat coś ciekawego, gdy już sztuka francuska zawłada tym odkryciem, ciska nim na tysiąc sposobów, zmusza to do przyjęcia form, które ją samą zdumiewają i napawają dumą, i posyła je w świat na skrzydłach powszechnego języka. Te książki idą na poszukiwanie zarodków talentu, rozrzuconych po całym globie, rozgrzewają je, zapładniają i prowadzą do dojrzałości. Nie dają one wiele prawdziwym uczonym: lecz — co jest więcej warte — rodzą ich.

Doświadczenie wszystkich czasów nie pozostawia żadnych wątpliwości co do panowania Francji, jakie ta wywierała zawsze nad opinią i sądami. Ale dziś wpływ ten jest tak wyraźny i Europa opłaca go tak drogo, iż jest rzeczą niemożliwą sprzeczać się na ten temat. Czyż nie jest to zjawiskiem wprost niewiarygodnym, iż ludzie najbardziej przeciętni pojedynczo i spośród których najzdolniejszemu odpowiada tysiące zdolniejszych w całym świecie, że ludzie bez wykształcenia i bez doświadczenia, oddaleni wskutek swego niskiego pochodzenia od wszelkich wielkich zagadnień, nagle zgromadzeni i silni przez połączenie się jak płytki magnesu, które ciągną swe wszystkie siły ze skupienia się w jedno — że ludzie ci potrafili w ciągu pięciu lat poruszyć najstraszliwszym wstrząsem wszystkie ludy Europy?

Można powiedzieć — być może — iż ludzie ci zawdzięczają swe powodzenie jedynie naturze dogmatów, jakie głoszą, i które na nasze nieszczęście są zbyt uwodzicielskie dla serca ludzkiego. Ale czyż przed Rewolucją francuską nie było na świecie rewolt i wywróconych tronów? Rewolucja kosztująca Karola I-go głowę, objawiła te same systemy, te same wysoki i te same szaleństwa. Pamflety demokratyczne, które ukazały się w tamtej epoce, nie pomieściłyby się prawdopodobnie w sali Westminsteru, lecz «okrągłe głowy» i «wyrównywacze» tamtych czasów nie mieli wcale wpływu Jakobinów. I inne ludy, spokojni widzowie tragedii odgrywanej się w Londynie, nie mogły przyjąć trucizny fanatyzmu, jaki wstrząsnął wtedy Anglią. Dzisiaj Europa jest wstrząsana ponieważ te same systemy są głoszone przez Francuzów, a gdy głosi się coś po francusku, Europa przysłuchuje się i rozumie».

Tak napisał de Maistre w swoich «Fragments sur la France». Pieśń pochwalna dla Francji, dla tej Francji wielkiej i wspaniałej. Minęło sto pięćdziesiąt lat. Jaką jest Francja? Keyserling w swojej przedmowie do «De la souffrance à la plénitude» poświęca cały ustęp Francji i pisze między innymi tak:

«A teraz rozpatrzmy specjalny problem Francji. Francuz, bardziej aniżeli każdy inny Europejczyk czasów obecnych, zachował w głębokich pokładach swej podświadomości tę mentalność chrześcijańską, której nutą prze-

wodnią jest fundamentalny dualizm Bóg-Natura, lub, wyrażając to w dwóch pojęciach będących wykładnikami tych dwóch poprzednich — Duch-Ciało — z akcentem wartości spoczywającym na Duchu. Wieki Średnie, obdarzone witalnością, której żadna problematyka nie jest w stanie podważyć, potrafiły zrealizować na tej podstawie bogatą syntezę życiową. Ustaliła się ona w tej epoce pod postacią pewnego rodzaju równowagi. Renesans «wydał się» rehabilitacją natury — i istotnie objawienie natury, zaniedbane dotąd, datuje się od tej chwili. Lecz w rzeczywistości Duch odkrył w Naturze jedynie nowy i pasjonujący «przedmiot» w ten sposób, że w rezultacie jedynie sam Duch skorzystał z tego kierunku, którego wyniki szybkie i uwodzicielskie pochlebily mu złudzeniem wszechpotęgi. We Francji Pantagruel Rabelego, będący programem wychowania i nawet formacji nowego człowieka, jest pierwszą książką pozwalającą dostrzec tę nową i niebezpieczną pochyłość, na jaką weszła spirytualizacja. I jakkolwiek typ człowieka idealnego, którego wzorowy obraz przedkłada nam Rabelais, jest jędrny i zdrowy, to jednak cechą charakterystyczną Pantagruela nie jest wcale intensywne życie duchowe, lecz znacznie ciaśniejsza rzecz, a mianowicie apetyt na «wiedzieć», na masywne «wiedzieć», w którym ilość jest ważniejsza od wartości. Tak to Renesans, w rzeczywistości, zaakcentował w Europie Zachodniej tradycyjny dualizm Duch-Ciało i podkreślił w nim przede wszystkim ukryty brak równowagi. W miarę jak wartości duchowe były reprezentowane — proporcjonalnie do osłabienia się witalności, zarysowującego się od tego czasu — przez indywidualności mniej jędrne, brak równowagi na korzyść Ducha stawał się coraz to bardziej oczywisty. Przyczyną tego jest przede wszystkim fakt, że coraz bardziej rozum, lub nawet sam intelekt, były dla świadomości całością ducha.

Ta racjonalizacja i ta intelektualizacja dały się specjalnie odczuć we Francji. Najpierw dlatego, iż wyłom zrobiony w tradycji katolickiej był tu mniejszy, niż w krajach, w których protestantyzm stał się potęgą. A następnie dlatego, iż racjonalizacja ta zdawała się wyrażać szczyt: pełny rozkwit kultury wieku Ludwika XIV, kultury wyłonionej jednak, jak się wydaje, z pokładów mających miejsce głębiej, niż intelekt i niesionej przez wrodzone

popędy bardziej ukryte. Wyrażona oficjalnie i programowo (Descartes, Bossuet, Boileau) kultura ta, kwiat zupełnie specjalnej gleby, zapach gruntu uczuciowego zupełnie specjalnego, wyraz jedynie małej części kraju i narodu, zaczęła odtąd objawiać dążenia coraz to silniejsze do powszechności. Nie brak wprawdzie sprzeciwów. Molier na przykład jest krańcowym wyrazem oporu mieszczaństwa, przeciwstawiającego się nowej kulturze. Jego istnienie wykazuje dostatecznie, iż kultura ta była jedynie wyrazem wysublimowanym, iż przedstawiała jedynie najdalej wysunięte «ostrze» narodu, pomimo że zawierała w sobie — i jakby na przekór tym pretensjom oficjalnym — głębokie wartości czysto duchowe. Ale jakby nie było, wzięła ona górę nad tym oporem i życie Ludwika XIV oznacza symbolicznie pochod kulture, której nadał on piętno: lecz dostrzeżemy dystans, jaki dzieli młodego króla z pięknych lat (1660-1670) rozbawionego, wspaniałego, zapalczywie zmysłowego (choć może mniej pierwotnego niż Henryk IV) «telurycznego» w popędlivosti — od starego męża Madame de Maintenon.

Ten ogólny kierunek myśli i kultury francuskiej nadał się jedynie w przybliżeniu dla tego typu Francuza, jaki wytworzyła tu długa przeszłość bez głębszych przerw. Jak to już próbowałem wykazać w rozdziale o Francji w «Analizie spektralnej Europy», Francuz jest człowiekiem, którego cechy fundamentalne i zasadnicze nie są z gatunku racjonalnych i intelektualnych, lecz z gatunku emocjonalnych, czuciowych i co za tym idzie — moralnych, gdyż to, co nazywa się «moral» nie ma nic wspólnego z inteligencją i rozumem. Wszystkie głębokie źródła duszy francuskiej są z rodzaju irracjonalnych. Toteż Francuz jest W GŁĘBI — na przekór wszystkiemu, co może o tym myśleć — nie najbardziej racjonalnym, lecz najbardziej irracjonalnym ze wszystkich Europejczyków. Inaczej w jaki sposób, będąc tak inteligentny i subtelny jak jest, rozumiałby tak źle to wszystko, co dzieje się wokoło niego, w jaki sposób trzymałby się silniej swych przesądów, niż każdy Europejczyk, w jaki sposób skrzepnąłby w polityce ideologicznej i słownej, zakonserwowanej na kształt wykopaliska z epoki minioniej, w repertuarze gestów stylizowanych z tej epoki, co powoduje iż Niemcowi nawet Mr. Blum przypomina raz Robespierre'a, a raz Richelieu

— w jaki sposób wszystko to byłoby możliwe, gdyby w gruncie rzeczy nie przeważały w nim siły irracjonalne? Nie mniej jednak nie można powiedzieć, że francuski racjonalizm i intelektualizm są w całości powierzchowne: prawdą natomiast jest, że TAKŻE ten racjonalizm jest jednym z wyrazów fundamentalnego irracjonalizmu typu francuskiego. A to z trzech powodów. Najpierw z powodu pasji, jaką Francuzi żywią dla idei: sam fakt, że skierowana jest ona na idee, nie intelektualizuje w żadnym wypadku tej pasji, która pozostaje czystym zjawiskiem emocjonalnym, a — ponad to gdy miesza się do tego zamiłowanie (po francusku też «*passion*», tu w sensie zamiłowania jak na przykład zbieranie znaczków pocztowych) idee stają się wkrótce tylko słowami. Następnie z przyczyn rozwoju historycznego wynika, iż światowe powodzenie idei francuskich od Kartezjusza i filozofów XVIII wieku począwszy zdawało się być jedną z przyczyn wielkości francuskiej i było nią bezsprzecznie gdy chodzi o *prestige* Francji. Patriotyzm popycha więc Francuzów, aby jej czcić. A wreszcie nie zapominajmy, że we Francji bardziej niż gdzie indziej, spory między ideami są sporami osób lub klik: wystarczy przeczytać studia André Siegfrieda, Thibaudet'a lub Daniela Halévy, by dowiedzieć się w jaki sposób wśród zamieszek wyborczych zagadnienia ogólne są w gruncie rzeczy zagadnieniami osobistymi — o czym niestety nie wiele się wie.

Jest rzeczą nie pozbawioną pikanterii skonstatować, do jakiego stopnia Francja oficjalna z lat 1880-1890, naukowa, pozytywistyczna, a w ogólności cały Uniwersytet świecki, trudniły się podtrzymywaniem «sumy» idei-mumii, które stały się sakramentalne. I słusznie jeszcze dziś Sorbona uważa się za drzewce sztandaru. Właśnie jedynie ona przechowuje i zachowuje doktrynę oficjalną. Pretenduje ona — i to przez rozpowszechnianie sloganu bieżącej myśli, dewizy, marki fabrycznej, którą można rozróżnić w każdym przemówieniu publicznym, choćby było ono wyrazem polityki najbardziej egoistycznej — pretenduje ona do «zachowania Ducha i bronienia go przed mętными siłami instynktu».

W punkcie, do którego dochodzimy, refleksje społeczne, jakie pozwoliłem sobie poczynić na temat Francji, wpadają w ogólne zadanie, które stara się ułożyć i roz-

wiązać ten wstęp. Francja jest znacznie mniej zamerykani-
zowana, znacznie mniej zmechanizowana, jednym słowem
znacznie mniej «stermityzowana» lub «zowadzona» (od
owada) aniżeli narody germańskie. Lecz ze względu
na to, iż żyje ona jeszcze w znacznej części na przesłan-
kach zbudowanych przez wiek XVII, na przesłankach
które życiowo są przedawnione — stała się ona niezdolną
do postępowania naprzód w kierunku syntezy ludzkiej
bardziej godnej do osiągnięcia, niezdolną do postępowania
naprzód bez rozwiązania problemu ciągłości. Zagadnienie
Ciało-Duch lub Ziemia-Duch, w tej postaci, w jakiej
stawia je jeszcze Francja oficjalna, nie staje już przed
awangardą obecnej ludzkości. Tymczasem nie tylko Fran-
cja oficjalna, ale prawie cała Francja intelektualna i lite-
racka reprezentatywna ciągle jeszcze je stawia. Jeżeli
świat Amerykanów i ich europejskich współzawodników
dusi się w gorsecie mechanizacji zewnętrznej, to świat
francuski zagrożony jest uduszeniem się w gorsecie usta-
lonych przesądów z dziedziny intelektualnej. Jeden przy-
kład spośród wielu innych: nieprawdopodobna wprost ilość
intelektualistów francuskich bierze jeszcze dziś (pisane
w 1937 roku — to, co dzieje się dziś, w 1943 roku pod
wpływem rosyjskich powodzeń frontowych i anglo-amery-
kańskiej propagandy Rosji, przechodzi w ogóle pojęcie)
stronę Rosji Sowieckiej, domniemanego obrońcy demo-
kracji, ducha republikańskiego lub nawet wolności i po-
koju światowego, któremu należy pomóc w imię postępu
w jego walce przeciwko reakcji. Otóż jeżeli ktokolwiek
posiada umysłowość choćby trochę otwartą, ten mógł do-
strzec, ba — powinien był spostrzec się od roku 1918,
a już w każdym razie od dziś, co jest już dokonany fak-
tem historycznym, że obecny «ustrój» rosyjski nie przed-
stawia absolutnie nic, co mogłoby wskazywać na kieru-
nek ku lepszej przyszłości w sensie człowieka. Sowie-
tyzm w swych początkach oznaczał powrót do stanu
ducha reprezentatywnego dla Rosji z XV wieku, zaledwie
trochę zmodernizowanego przez zapożyczenie się w ideo-
logii XIX wieku i który w dalszym ciągu, w coraz to
silniejszym stopniu, stał się ustrojem despotyzmu azjaty-
ckiego bardziej krwawego, bardziej uciskającego, bardziej
antyliberalnego, aniżeli ustrój Tamerlana. A niemniej
mocne głowy francuskie upierają się przy tym, aby nie

widzieć wszystkich rzucających się w oczy faktów i wierzą dalej w możliwości rozwoju w sensie ich ideału, podczas gdy żadna przesłanka realna nie poprzedza tego rozumowania. I jeżeli André Gide po swoim powrocie ze Związku Sowieckiego przyznał się do swojego rozczarowania, to jednak upiera się przy tym, że rozwój który on opłakuje, stoi w związku z witalną zasadą sowietyzmu. Jest mi wiadome, że nie chodzi tu wyłącznie o racjonalizm przestarzały i zastępy w pewnych sztywnych przesądach, który na przykład gdzie indziej wytworzył taką samą niezdolność widzenia i rozumienia tego, co nie zgadza się z tymi przesądami, wytworzonymi przez nadmierną mechanizację krytyki (Niemcy). Wiem dobrze, że jest to także spowodowane szczerym idealizmem lewicowym, ślepią wiarą, biorącą swe natchnienie w tertuliańskim «credo quia absurdum», jak również autentyczną pasją rewolucyjną, która na skutek dziedziczności psychicznej, a więc konserwatyizmu, nie potrafi spoglądać nawet w najdalszą przyszłość inaczej, jak tylko w oparciu o hasła odziedziczone po Rewolucji. Lecz nie przeszkadza to wcale, że rezultaty emocjonalnego irracjonalizmu francuskiego zbiegają się w sposób osobliwy z rezultatami zmechanizowania intelektualnego i moralistycznego Amerykanów. Przyznam się, że rozmawiając o tych rzeczach z inteligentnymi Francuzami często miewałem wrażenie, że rozmawiam z termitami ludzkimi: istoty nadzwyczaj inteligentne, o starożytności tradycji nie tylko godnej czci, ale wprost nieporównanej, istoty wyrafinowane — które jednak straciły poczucie światła od epoki węgla kamiennego począwszy. Wiadomo, iż termit żyje całkowicie schowany przed słońcem i że najśłabszy promień zabija go na miejscu.

Ponieważ tak jest, problem Francji, pomimo wszelkich różnic powierzchniowych, jest w gruncie rzeczy identyczny z problemem narodów bardziej zmechanizowanych. Powstaje on po prostu tylko w innych słowach. Proszę zastąpić słowo «mechanizacja» słowem «racjonalizm» lub «intelektualizm», a równanie wiążące przeszłość z przyszłością jest dokładnie takie samo. W pewnym sensie problem Francji jest nawet poważniejszy, niż problem narodów bardziej zmechanizowanych. I to dlatego, ponieważ gorset myśli jasných, ale skostniałych, grozi duchowi udu-

szeniem w stopniu daleko większym, niż gorset mechnazacji zewnętrznej. W rezultacie końcowym zasłania on wzrok. Francja jest zagrożona całkowitą ślepotą. A poza tym wszelki fałszywy kierunek deformuje indywiduum, degradowuje je, skarłowacia. Bogaty skarb emocjonalny rasy naraża się na przysypanie. A właśnie jej wyższa emocjonalność, a nie inteligencja, tworzyła wielkość rasy francuskiej».

Doskonałe. Gdy zna się Francję, gdy problem Francji nasuwa się człowiekowi żyjącemu w niej na każdym kroku, gdy od rana do wieczora spogląda się przez cztery lata na Francję tak, jak ja starałem się spoglądać — te dwa fragmenty dają wspaniały obraz i dopełniają mi wszystko, co na ten temat napisałem.

Analiza tych dwóch fragmentów, poparta własną obserwacją, podcieniowana i podbarwiona tam, gdzie de Maistre i Keyserling operują skrótem myślowym, może dać całość i wyczerpać temat — na kilka miesięcy. Życie każdego narodu, każdego człowieka, to nieznan film i nie można powiedzieć jak się skończy. Ale można go na chwilę zatrzymać, można go puścić wstecz i określić, ile jest wart i jakie widoki rysują się przed nim. Film Francji jest pasjonujący i prowokujący.

Pierwsze cztery ustępy we fragmencie de Maistre'a brzmią jak fanfara. To ta fanfara, przy dźwiękach której wychowała się cała Europa i — Francja. Fanfara głośna, potężna, która ogłuszała cały świat przez tyle wieków i która ogłuszyła Francuzów do tego stopnia, że oni sami ciągle ją słyszą w jej pierwotnej sile, podczas gdy nam pozostały już tylko — echa. I w tym całe niebezpieczeństwo. Bo echo jest złudą, które łatwo można wziąć za żywy głos. A wówczas cały dalszy kierunek, jaki po weźmie myśl, staje się mylny i grozi zabląkaniem się, lub — co jeszcze gorsze — powrotem do tego samego punktu wyjścia czyli dojścia do nikąd. A także do przyjęcia echa za fanfarę.

De Maistre trąbi jednak ostrożnie i jego mała uwaga w nawiasie iż nikt nie zna losu, jaki oczekuje Francję w przyszłości, po Rewolucji, jest w tym wypadku wyrazem ostrożności zupełnie nie zakrojonej na miarę «France éternelle». Bo jeżeli Francuz zachowuje umiar we wszyst-

kim, to jedynie na punkcie Francji w o g ó l e — nie w szczegółach — daje się ponosić zaślepieniu, graniczącemu z mistyką. Z tą mistyką, z jaką Joanna d'Arc uznała Francję i Boga za jedno. Toteż bardzo być może, że każdy z Francuzów ma w sobie na te tematy coś z uporu Dziewicy Orleańskiej i że jeżeli Sieburg w swej książce pt. «Dieu, est-il Français?» rozpoczyna łańcuch swych obserwacji od Joanny d'Arc, to ma rację.

De Maistre, jak zresztą wszyscy Francuzi, popełnia od razu na wstępie błąd, nie dostrzegając pewnej zasadniczej rzeczy. Opisując wszystkie atuty, z jakimi Francja weszła do gry Historii, uważa je nie za co innego, jak za posłannictwo. Uprawia francuski mesjanizm, to znaczy traktuje Francję jako posłankę Boga. Lub Natury. Nie widzi, że Francja po prostu miała szczęście, tak jak my na przykład pecha. Krótko mówiąc, na dnie każdego francuskiego rozumowania odnajdzie się to przekonanie, że skoro Francja jest taka, jaka jest, to dlatego że już sam los, dając jej to wszystko, przeznaczył ją do wykonywania funkcji pasterza ludzkości. Stąd — i nie skądinąd — wywodzi się w znacznej mierze to, co każdy obcy skłonny jest nazwać «ciasnotą». Francuska «ciasnota» niemożność spojrzenia poza pewne granice, z a w s z e f r a n c u s k i e, rodzi się świadomie lub podświadomie w tym niewzruszalnym przekonaniu «posłannictwa», podtrzymywanego zawsze i wszędzie przez każdego pisarza, myśliciela czy polityka Francji.

To przekonanie o posłannictwie, o monopolu posłannictwa, prowadzi nie tylko do ciasnoty, ale do pełnej nonszalancji obojętności wobec wszystkiego, co nie nosi w sobie pierwiastka francuszczyzny. Ktokolwiek zetknął się z Francuzami bliżej, ten musiał zauważyć, iż dotąd był uważany za człowieka kulturalnego, dokąd był czołem wobec wszystkiego, co francuskie. Z chwilą gdy ośmielił się sprzeciwić, został wysłuchany, oczywiście, ale z tym pełnym wyższości uśmiechem (choćby wewnętrznym), z jakim słucha się — barbarzyńcy. To przekonanie o posłannictwie, które tak barwnie rozwija i popiera dowodami de Maistre w całym swoim fragmencie, a które tkwi w duszy nawet najbardziej nieoświeconego Francuza, sprowadza sądy Francji o innych do dwóch, rozbrajających swą prostotą, konkluzji: albo uznajesz moje posłannictwo całko-

wicie, a wówczas będą z ciebie ludzie, albo masz zastrzeżenia i wobec tego jesteś — barbarzyńcą.

Jak bardzo Francja jest pewna tej swojej prawdy, do jakiego stopnia wierzy w swoje posłannictwo, to najlepszym dowodem może tu być jej wielkoduszność, gdy chodzi o jej idee. Francja nie chce nikomu narzucać swej myśli, nie stara się jej wpoić nikomu za wszelką cenę. Ona je daje i czyni zaszczyt. Kto je przyjmuje, powinien zawsze czuć się jakby niegodnym tego daru, powinien przymknąć oczy i szeptać z nabożeństwem: «Francjo — nie jestem godzien byś weszła do serca mego, ale rzeknij tylko słowo...» Kto zaś nie chce ich przyjąć i dyskutuje, na tego Francja obraża się, odwraca się w milczeniu. Bo Francja uznaje tylko dwie kategorie ludzi: całkowicie nawróconych lub barbarzyńców. Jest w tym uderzająco podobna do starożytnej Grecji.

Przykładów na to można by dać bez liku. Jeżeli uzyskanie obywatelstwa francuskiego przed wojną było stosunkowo łatwe, to nie tylko z powodu spadku urodzin i chęci wyrównania tego deficytu przez absorbowanie świeżej krwi z zewnątrz. Było w tym wiele z tego, co można by określić jako «radość z nawrócenia». I bez wielkiej przesady można także powiedzieć, że we Francji jeden «nawrócony» polski Żyd, wrzeszczący przy każdej sposobności *Vive la France* wzbudza w całym otoczeniu więcej uznania i szacunku, niż cała sfera Anglików lub Amerykanów, wydająca tu miliony franków, ale tak oporna i sceptyczna w stosunku do *la France éternelle*. Trzeba porozmawiać z tutejszymi emigrantami polskimi, aby dowiedzieć się, przez ile upokorzeń, szykan i nędzy przeszli ci, którzy nie chcieli naturalizować swych dzieci. Francja wchłonie i przyjmie każdego, kto przyjmuje ją — na innych dąsa się i obraża, traktuje jak barbarzyńców.

Nie ma w tym zaczepnej brutalności Niemców, wyzywającej do walki, żadnego «Drang». Francuz jest jak ślimak. Urażony w najczulszy koniec swego rożka posłannictwa, chowa go, kurczy się i zamyka w skorupie *d'une indifférence aimable*. Ale na pierwszy odgłos *Vive la France*, wykrzyczany przez byle kogo, gotów jest wyskoczyć nie tylko ze skorupki, ale z własnej skóry. Jest to może jedyna okoliczność, w której Francuza opuszcza na chwilę materializm.

Bez zrozumienia kompleksu posłannictwa, może jedy-
nego, ale tak silnie zakorzenionego — bez zrozumienia,
że prawdziwość i wyłączność tego posłannictwa jest do
tego stopnie prawdą absolutną, iż Francja nie objawia w
nim żadnej agresywności (kto jest zupełnie pewny siebie,
przestaje być agresywny — albo słucha, albo nie słyszy),
nie można w ogóle zrozumieć Francji. Prawdziwa tra-
gedia zaczyna się z Francją wtedy, gdy będzie ona wie-
rzyć w swe posłannictwo — już tylko sama. I to się już
zaczyna.

Cała dalsza fanfara de Maistre'a jest już właściwie
wariacjami na jeden i ten sam temat, z motywem prze-
wodnim posłannictwa we wszystkich dziedzinach ducha.
Wszystko to, co mówi dalej de Maistre było kiedyś
żywym dźwiękiem, było prawdą — przestając nią być
obecnie. Stąd coraz to głębsza przepaść myślowa, która
nas dzieli z Francją. Bo Francja jeszcze ciągle twierdzi,
że to żywy dźwięk, podczas gdy dla nas brzmi to coraz
wyraźniej, jak echo. A ponieważ już tak bardzo przyzwyczai-
liśmy się, że Francja grała dotąd nie tylko najgłośniej,
ale i najlepiej, i tak bardzo pozostało nam jeszcze we
krwi wspomnienie pacierza za panią matką, z którym nam
było dobrze, więc chcielibyśmy dalej móc go powtarzać.
Tymczasem nie możemy i żal nam — i dąsamy się.

De Maistre mówi o języku, o jego wyższości. Słusz-
nie. Ale i tu zapomina powiedzieć, że — jak we wszyst-
kim — tak i w tym Francja miała szczęście i że jeżeli
objęła przewodnictwo w tylu dziedzinach i przez tyle wie-
ków nad całą Europą, a nawet światem, to dlatego że była
PIERWSZA. Jak Grecja w swoim czasie. O tym nie
można zapominać, a niestety prawie zawsze się zapomina.
Francja, będąc w Europie wynurzającej się z tak zwanych
«mroków średniowiecza» pierwszym organizmem narodo-
wym najbardziej zespolonym i jednolitym, połączona naj-
lepiej zachowanymi więzami duchowymi z Rzymem, we-
szła do historii nowożytnej z olbrzymim handicapem.
Francja już dawno wystartowała w tym biegu kultury
i cywilizacji, podczas gdy inni zbierali się dopiero na
stracie. Gdy Francja pisała, inni nie umieli jeszcze dobrze
mówić. Gdy Francja zaczęła myśleć, inni klepali bez-
myślnie pacierze. Gdy inni nauczyli się myśleć, Francja
umiała już wypowiedzieć to wszystko, czego tamci nie po-

trafili. To wszystko jest prawdą, ale jest prawdą nie dlatego, że wdały się w to siły nadprzyrodzone, ale dlatego, że Francja była pierwsza i długo biegła na przodzie. Dziś inni dopędzają ją, wyprzedzają, lecz ona tego nie widzi i nie chce widzieć — na pewno ku skrytej rozpaczcy bardzo wielu.

Wszystkie walory języka francuskiego i wypływające z nich korzyści, wszystkie zalety pisarzy francuskich, wyszczególnione przez de Maistre'a są i prawdziwe i słuszne, ale tylko w pewnych wymiarach. Są prawdziwe i słuszne dla rozumu i ducha XVIII wieku, na których człowiek naszej epoki opiera się jeszcze w znacznym stopniu (do dziś dnia nie brak ludzi przysięgających na taki pył, jak Voltaire), które jednak coraz częściej stają się niewystarczające. Język francuski jest idealny gdy chodzi o zmaterjalizowanie ducha. Cała jego sława i cała sława pisarzy francuskich opiera się przede wszystkim na czynieniu uchwytnym tego, co innym wydawało się nieuchwytnym. To, co de Maistre powiedział, iż myśl nigdy nie należy do świata, zanim jakiś genialny pisarz nie zawładnie nią i nie wyrazi jej w sposób szczęśliwy — jest najlepszym określeniem na materializację ducha, którą Francuzi potrafili uprawiać bez konkurencji. Jasność i uchwytność myśli, choć pozostaje zawsze ideałem i powinna nim być zawsze, pociąga jednak za sobą wielkie niebezpieczeństwo — niebezpieczeństwo upraszczania i ograniczania wszystkiego trafnością określeń. O tym mówi de Maistre i nawet chlubi się, twierdząc że w każdym słowie pisanym Francuzów «zasługa myśli nie może okupić braków stylu». W tej uwadze zawiera się wszystko i z nią wiąże się ściśle szereg innych objawów, pozornie odległych i nie pozostających w związku bezpośrednim z tak fundamentalnym dla Francuzów pojęciem «granicy» (*limite*) i stałości (*constance*). Po zwartym i wprost blokowym pojęciu «posłannictwa» — te dwa inne stanowią następne «Jedno» z charakterem każdego Francuza. Cała literatura francuska, a więc dobry kawał myśli, jest tu najlepszym przykładem.

Jasność, trafność, brak nizin i brak wyżyn, takt, równowaga, wzór dla innych, wysoka jakość idąca w parze z ilością, wreszcie to, o czym mówi de Maistre, a co l'Abbé Troubllet określił najlepiej mówiąc o Voltairze, to jest «doskonałość przeciętności». Sumując te wszystkie

właściwości, dodając do nich granicę i stałość, otrzymamy wielką sumę — *un grand total* — RÓWNOWAGĘ. Francja jest krajem, może jedynym w obecnym świecie, który osiągnął równowagę i potrafił ją utrzymać pomimo wszystkich ataków, przypuszczanych na nią z zewnątrz. Do diabła — Francja w tej chwili, w pełni okupacji, utrzymuje równowagę. Cała jej literatura i myśl, całe jej pojęcie człowieka jako takiego, cała jej kultura wreszcie, wypływa w prostej linii z równowagi. Inni — poszukując jej ciągle — siłą faktu przyjęli tę równowagę za wzór. Dopóki każdy z narodów szukał jej na sposób francuski, znikły dysonanse. Gdy jednak zaczęto jej szukać na swój sposób, co jest może bardziej zrozumiałe i zgodne z naturą — powstały zgrzyty.

Cała literatura francuska jest wyrazem równowagi (razem z Marquis de Sade) — równowagi osiągniętej i osiągananej coraz to bardziej kosztem myśli, ale za to równowagi wprost zadziwiającej. Sam język jest już w wielkim stopniu czynnikiem tej równowagi, bo język ma olbrzymi wpływ na kształtowanie się charakteru i myśli każdego narodu. Język francuski będąc już właściwie «skończonym» od dawna, ustalonym tak, jak łacina, z której wyszedł, doszedł do szczytu w XVIII wieku i — zatrzymał się. Stanąwszy, wytyczył myśli granice, poza które ta nie jest w stanie wyjść inaczej, jak tylko kosztem ustępstw na niekorzyść języka. To on ustalił pojęcie «granic» i «stałości» nierozdzielne z naturą francuską. I tu Francja była pierwszą. Rozporządzając językiem najwcześniej skryształizowanym i jednolitym spośród wszystkich narodów świata nowożytnego, francuski stał się tym, czym łacina dla Średniowiecza. Ale co raz okazało się doskonałe, nie jest zawsze doskonałe. A właśnie Francja w to wierzy.

Francja pierwsza odkryła człowieka, znowu pierwsza określiła go najlepiej w czasie i przestrzeni. To właśnie to, o czym mówi de Maistre na końcu swojego fragmentu, mówiąc o Rewolucji i jej powodzeniu. I na tym pojęciu człowieka Francja zatrzymała się. Uznała, że i tu szczyt został osiągnięty, że człowiek pozostaje zawsze taki sam. Bernard Grassé, w liście do Sieburga, odpowiadającym na jego książkę o Francji, przytacza fragment z Péguy, który może służyć jako najlepszy przykład francuskiej «gra-

nicy» i «stałości», jeżeli chodzi o człowieka: «Ludzkość wyjdzie poza pierwsze balony, jak wyszła już poza pierwsze lokomotywy. Po telefotografii będzie ona cały czas wynajdywać «grafie» i «skopie» i «fonie», które nie będą mniej «tele» aniżeli inne, a podróż naokoło świata robić się będzie jak nic. Ale nie będzie to niczym innym, niż ziemią, tą tymczasową ziemią. Wejdzie się do jej wnętrza, przewierci się ją z końca w koniec, jak ja przewiercam kulkę z gliny. Będzie to jednak zawsze ziemia-materia. I nie widać, ażeby jakikolwiek człowiek, nigdy, ani jakakolwiek ludzkość — w pewnym kierunku dobrym, mogła rozsądnie szczyć się tym, iż przeszła Platona. Idę jeszcze dalej. Dodam, że człowiek kulturalny, naprawdę kulturalny, nie umie sobie nawet wyobrazić co to miałyby oznaczać, gdyby ktoś utrzymywał, że przeszedł Platona».

Najlepszy dowód na «stałość». Każdy Francuz — nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, uważa, iż pewien stopień znajomości człowieka i jego dobra nie może być przekroczony i że stopień ten został osiągnięty od pierwszej chwili, w której człowiek zaczął myśleć. Człowiek nie zmienia się — zmieniają się jedynie sposoby i formy. Tu leży źródło równowagi francuskiej, podpartej językiem i myślą, tu źródło tolerancji, pobłażliwego uśmiechu dla wszystkiego, co wyskakuje lub stara się wyskakiwać ponad tę równowagę lub spada poniżej niej. *L'homme ne peut se dépasser*. To twierdzenie zamyka wszystko.

Wszystko to było prawdziwe w pewnym czasie i przestrzeni, wszystko to było doskonałe, ale nie pozostaje doskonałym. A Francja w to wierzy. Francja wierzy w «stałość», wierzy w «granicę» — w swoje granice, które były granicami innych, bo ona pierwsza je wytyczyła. Dopóki cały świat był tak czy owak, ale francuski, Francja była prawdą, bo — i to nie podlega dyskusji — potrafiła ona w pewnym czasie dać najlepszą syntezę równowagi we wszystkich dziedzinach. W czasie, w którym de Maistre pisał swe «Fragments sur la France» wszystko było słuszne, bo Francja istotnie biegła na przodzie i to we wszystkich dziedzinach. Trzeba by podkreślić to «we wszystkim», bo mówiąc dziś o Francji, dzieli się zwykle zagadnienia na czynniki materialne i niematerialne,

zapomina się o pewnych rzeczach i sprzecza się z zamkniętymi oczami.

Jednym z zasadniczych zarzutów wymierzonych we Francję dzisiaj jest to, iż nie wprzęgła się ona razem z innymi do wozu postępu, że odseparowała się. Dzisiaj wiemy jednak, że to, co jeszcze dziesięć lat temu rozumiało się jako «postęp» — zmieniło sens. Każdy człowiek kulturalny rozumiał już chyba dzisiaj, że maszyna nie jest w istocie swojej postępem. Francja rozumiała to instynktownie od dawna, lecz nie rozumiała, że nawet ten «postęp» powoduje i musi spowodować w człowieku zmiany, że człowiek nie pozostaje taki sam zawsze i na wieki. Francja broniła się przed postępem w cudzysłowie i przed postępem bez cudzysłowu — i stąd jej urok. Ale broniąc się przed postępem czysto zewnętrznym, broniła się przed postępem myśli. Brzmi to jak paradoks, jeżeli nie zrozumie się, że ta «wolna myśl», ten ideał człowieka, to wszystko, co dała nam myśl XVIII wieku i XIX i co Francja tak świetnie zmaterializowała (w słowach) i ustrawniła — że to wszystko, co jeszcze wczoraj było prawdą, dziś już jest zaledwie jej częścią.

Kiedy Francja i jej kultura były w najpełniejszym rozkwicie? Wtedy, gdy wyprzedzała ona wszystkich w postępie nie tylko duchowym, ale i MATERIALNYM. Jej powodzenie i jej świetność, to okres w którym nadając ton w postępie myśli potrafiła ona dać postępek zewnętrzny, wprost techniczny, stwarzając między nimi kulturę, czyli równowagę. Własny sukces, jeden z najświetniejszych w historii (obok Grecji), ustalił ją w przekonaniu, że ta JEJ równowaga jest najwyższą, jaką człowiek może osiągnąć tu na ziemi i że co by się nie stało, ideał człowieka pozostaje taki sam, jego szczęście takie samo. Francja potrafiła być szczęśliwa — niech inni robią tak samo i będą też szczęśliwi. Dopóki działała c a ł o ś c i a — i duchem i materią — inni potrafili być szczęśliwi. Dziś inni materialnie wyprzedzili ją, duchowo nie dorastając do własnych wyników. Francja trochę się zmodernizowała, nie ruszając swojej myśli z miejsca. Nieporozumienie wzrasta.

Posłannictwo, ślepa wiara w niezmiennosc człowieka, granica, stałość — to zasadnicze elementy Francji. Tymczasem świat idzie naprzód, komplikuje się. Prosta i jasna filozofia naskórka XVII wieku nie wystarcza już do roz-

wiązania problemu człowieka dzisiejszego. To, co mówi Péguy, że wszystkie telewizje, skopie i grafie nie zmienia w istocie człowieka i że człowiek kulturalny nie umie sobie wyobrazić, co by to mogło oznaczać, gdyby ktoś chciał prześcignąć Platona, nie jest prawdą. Być może, że już niedługo trzeba będzie prześcignąć Chrystusa, a nie Platona, po to tylko, aby żyć w jakiej takiej równowadze. Być może, że w pewnym sensie, dziś setki tysięcy ludzi już codziennie, w każdym z niezliczonych obozów w Europie i w Azji, wyprzedza Chrystusa, aby tylko żyć. Nie wszystko zostało powiedziane, choć La Bruyère sądzi, że tak nie jest.

Zestawienie tych dwóch fragmentów — de Maistre i Keyserling — świadczy o tym najlepiej. Był czas, gdzie jasna i prosta filozofia XVIII wieku wystarczała, gdzie francuskie pojęcie człowieka pokryło się całkowicie z pojęciami innych, gdzie Francja zrodziła człowieka czasów współczesnych na swój obraz i podobieństwo i gdzie było mu z tym dobrze. Ale dziś konflikt zamienia się w dyskusję między rodzicami i młodym pokoleniem, w którym rodzice są nieustępliwi.

Cały wstęp do analizy Francji Keyserlinga uwypukla to, co od razu rzuca się w oczy, gdy patrzy się na Francuzów. Francuz nie rozumie ducha. Gdyby go rozumiał, nie upodlałby go dzisiaj na każdym kroku. Rozumu nie można spodlić, bo rozum jest w człowieku k... od urodzenia, która zawsze potrafi dać wszystko każdemu, a przede wszystkim głównemu klientowi, to jest mnie. Rozum dziś daje Francji wszystko, czego pragnie. W całym procesie Renesansu, w odkrywaniu natury i człowieka, Francja wzięła z człowieka jego najbardziej uchwytną część — rozum. Rozwój człowieka zidentyfikowała z rozwojem rozumu. Francuski *esprit* czyli duch, ma w sobie znacznie więcej pierwiastka rozumu, niż gdzie indziej. I po tej linii poszedł jej rozwój, po tej linii poszła jej równowaga. Równowaga francuska, która jest nie tak bardzo równowagą ducha, co równowagą rozumu, stworzyła tu typ człowieka, w którym rozum zabił ducha, lub wyrażając się mniej jaskrawie — typ człowieka, w którym rozum pokromił to, co reszta świata, i nawet Anglosasi, uważają za ducha.

Toteż Francja i Francuz są najbardziej zrównoważonym krajem i człowiekiem. Ta racjonalizacja, to urozumowanie wszystkiego zostało posunięte tak daleko, iż stało się irracjonalnym, dogmatycznym. Francja utknęła w irracjonalnym racjonalizmie, w «*credo quia absurdum*», w nieskończonym wierceniu się w bardzo skończonej przestrzeni jej horyzontów myślowych. Popadłszy w automatyzm rozumu, w myślowy system Forda, zagrożona jest ślepotą. I istotnie — Francja coraz bardziej przestaje widzieć, coraz bardziej przestaje dostrzegać całość, coraz gorzej rozumie problem współczesnej ludzkości. Zdezorientowana — ucieka w przeszłość, *elle refuse le présent*.

Czy świat może żyć bez niej? Nie sądzę. Jej poczucie miary, granicy, stałości i łączności (nawiązywania) będzie zawsze potrzebne. Ale ona uparła się, zaparła czterema nogami w swym rozumie i obraża się lub pobłaźliwie uśmiecha. «Patrzcie na mnie — mówi — patrzcie na mój Paryż, na moje małe miasta i na tonące w przystrzyżonym krajobrazie wsie. Gdzie znajdziecie ten spokój, to «wczoraj», które tak często możecie brać za «dzisiaj»? Gdzie szczęście, to małe i powszednie, jak chleb, szczęście człowieka zostało lepiej rozwiązane? Gdzie człowiek potrafił być bardziej w zgodzie z otoczeniem i z samym sobą, jeśli nie u mnie? Gdzie człowiek potrafił być w ogóle bardziej człowiekiem niż tu, w tym kraju ciszy i efektownych burz? Tak — to prawda. Ale ta równowaga utrzymuje się coraz trudniej, będąc wyrozumowaną (jak kolaboracja), będąc w zgodzie z człowiekiem i światem pewnej epoki, dziś staje się nierozumną, teraz może wprost zabójczą. Zewnętrzne «wczoraj» Francji, zawsze żywe i tak czarujące, w dziedzinie myśli nie da się długo utrzymać. Grozi to niesamowitym «kiksem».

Anatole France w swoich wspomnieniach z dzieciństwa i snujących się jak mgła, może najlepiej określa to wszystko, co rzuca tu urok na każdego, kto potrafił rozpląnąć się i poddać tej atmosferze: «... poznałem prawie te same odgłosy i kłopoty Paryża, które Boileau opisywał około 1660 roku na swym stryszku w Palais. Tak jak on, słyszałem i ja pianie koguta, rozdzierające świt w środku miasta. Na Faubourg Saint-Germain czułem zapach stajni, widziałem dzielnice, które zachowały swój wiejski wygląd i uroki przeszłości... Miłość przeszłości jest człowiekowi

wrodzoną. Przeszłość porusza najcieńsze struny małego dziecka i starca... A jeśli poszuka się, dlaczego cała wyobraźnia ludzka świeża lub zwiędła, smutna lub wesoła, zwraca się ku przeszłości, by wnikać w nią z ciekawością, to odnajdzie się bezwątpienia tę prawdę, iż przeszłość jest naszą jedyną przechadzką i jedynym miejscem, w którym możemy wymknąć się naszym codziennym zmartwieniom, kłopotom — w którym możemy uciec sami przed sobą. Teraźniejszość jest jałowa i pogmatwana, przyszłość ukryta. Całe bogactwo, cały przepych, cały wdzięk świata tkwi w przeszłości...»

Francja kocha przeszłość, uczy ją kochać każdego, kto razem z nią pochyla się nad tym cichym stawem. Ale przeszłość nie może być celem samym w sobie, nie może stanowić granicy. I dziś jeszcze pieją koguty wśród porannej ciszy Montmartre'u, a w małych podwórkach śródmieścia gdadzą kury lub skaczą króliki. Dziś jeszcze gruby i lśniący kot drzemie na wystawie lub przechadza się majestatycznie po komisariacie policji lub po Prefekturze, karmiony resztkami porcji aresztantów i zatrzymanych, sięjąc w całym otoczeniu ciszę i spokój. Ale tych czarów nie można rozszerzać na wszystko. Ten czar zewnętrzny Francji daje wytchnienie i odpoczynek, jej myśl coraz bardziej niecierpliwi. Chciałoby się, by i tu Francja potrafiła pogodzić tak samo przeszłość z przyszłością, by i tu stworzyła tę czarującą «continuité», by i tu potrafiła nawiązać.

Tymczasem Francja nie chce — albo już nie może. Renan napisał w swojej «L'avenir de la science»: «Francja reprezentuje znakomicie okres analityczny, rewolucyjny, laicki (profane), areligijny ludzkości... Bardzo być może iż pewnego dnia Francja, spełniwszy swą rolę, stanie się przeszkodą dla postępu ludzkości i zniknie: gdyż role są głęboko różne. Ten, kto zrobił analizę, nie robi syntezy». Przepaść myślowa między światem i Francją rośnie, narasta coraz szybciej i gwałtowniej. Francja, w swych warstwach myślących, oddaje dziś dobrowolnie syntezę — Rosji i jej komunizmowi. Ślepie i zaślepia się. Coraz gorzej rozumie innych, coraz mniej rozumieją ją inni, szukając w niej wytchnienia zewnętrznego, jak w uzdrowisku, lecz nie znajdując wytchnienia myśli. Bo jej myśl, jej pojęcia i jej człowiek już nie wystarczają. Coraz częściej

myśl, duch i dusza rozbijają się tu o ślepy upór, o tę sławną niegdyś jasność, która dziś prowadzi do ciasnoty. Rozum nie może być duchem, bo rozum jest k..., a duch nie może być rozumem, chyba że się skur... Francja ślepie, kur... się, jeszcze pełna uroków i subtelności. Jak starsza dama, pachnąca paczulą, strojna i dowcipna i wolteriańska, roztacza ona swe uroki spoglądając z pobłażliwością na szaleństwa młodych. Może ma rację? Osobiście nie zgadzam się z nią. Wiem tylko, że chęć nagłego odmłodzenia się może tu doprowadzić do wielkich nieporozumień. Te nieporozumienia zaczęły się już teraz pod «odmładzającymi» rządami Pétaina i pod etykietką «Empire français». Jeżeli po wojnie będzie myślała o tym «empire» w ten sam sposób, jak dawniej, to nie tylko «empire», ale i ona sama może się skończyć. Bo nie można odmładzać się nie starając się równocześnie z r o z u m i e ć m ł o d o ś c i. A Francja tego nie chce, Francja nie chce z r o z u m i e ć.

Jeszcze dziś grają tu głośnie echa, myślą i czarują. Myśl skłonna jest przeskakiwać z ostateczności w ostateczność. Już dość dawno napisałem raz, że Francja jest przede wszystkim krajem złudzeń optycznych. Chyba miałem rację. Obraz, forma zewnętrzna, zasłaniają tu z pewnością treść. Stąd ta trudność spokojnego sądu. Francja jeszcze ciągle w y t r z y m u j e w z r o k, ale coraz gorzej spojrzenie m y ś l i. Komu wystarcza obraz, kto zadowala się «znoszeniem» objawów zewnętrznych, które tu «znosi» się może najłatwiej, komu wystarcza pływanie po powierzchni tej spokojnej wody, temu trudno zrozumieć zmiany, które odbywają się pod powierzchnią. Wolność? Francja przeszła od swobody robienia tego, co się komu podoba do swobody NIE ROBIENIA tego wszystkiego, co bezpośrednio nie dogadza i co musi krępować, gdy nie ma się wewnętrznej dyscypliny. Jest to wolność apatyczna, oportunistyczna, coraz mniej twórcza i nieruchawa. Wolność XVIII wieku dostosowana do typu człowieka zupełnie odrębnego, wolność ducha przede wszystkim, zamieniła się tu w pewnego rodzaju niewolę ducha, spletanego ciągle tym samym, w kółko powtarzaniem ideałem. Francja ludzi, odmawia mechanicznie jakiś różaniec jakiejś wolności i jakichś sloganów pożartych przez mole, odnawia antyki i ślepie.

Wczoraj telefon od przedstawiciela rowerów *Gnôme et Rhône* iż nareszcie zdobył dla mnie dwa rowery. Czekam na nie już od września zeszłego roku. Były one moją *idée fixe* — nie wiem, czy dlatego, że rzeczywiście są to świetne rowery, czy też dlatego, że je bardzo trudno dostać i dlatego tak mi na nich zależało. Trudność otrzymania różnych rzeczy wytwarza zupełnie makabryczny snobizm. Zapalniczka «Dunhill», rower «Gnôme et Rhône», ubranie z «angielskiej» wełny, papieros «*gout américain*» itd. zabijają w człowieku teraz cały zmysł równości i «bezklasowości». Śni się, żeby mieć to i to, żeby mieć coś, czego nie ma kto inny i czuć się — czymś lepszym. Prawdopodobnie w tym świecie jedynie Ameryka potrafi zrównać ludzi naprawdę, bo daje im to, o czym nam się tylko śni i co ma tylko niewielu. Niedostatkiem najlepiej propaguje się klasowość. Rosja zdołała już wytworzyć prawdopodobnie gorszą klasowość, niż gdziekolwiek indziej. A teraz z «pagonami» i «dieńszczykami» — ho, ho — «tak łażisz i pomieraj, tawariszcz». I ci zwykli «tawariszczu» pamierają. W każdym razie ja mam dwa rowery, jak malowanie, i uspokoiłem się na jakiś czas. Od razu rano zawiozłem opony i dętki do umówionego bistra, gdzie czekał już na mnie poczciwy Mr. Sepot. Te opony i dętki skupowałem już w zeszłym roku, co wcale nie było tak łatwe. Wydobyłem je dzięki pertraktacjom z taksówkarzami rowerowymi, dzięki niezliczonym spotkaniom w tajemniczych bistrach na Belleville i innym handlom czarnowymiennym. Pasjami to lubię. Będzie cholernie nudno, jak już będzie można wszystko kupić normalnie. Pozostanie wtedy tylko kokaina i morfina, komunizm i inne «*stupéfiants*». Mam coś w sobie z tego Albertyna z głupawej zresztą powieści Tristan Bernard. «Odprężenia, prawie codzienne, spowodowane wybrnięciem z jakiejś trudnej sytuacji, potrafiły tworzyć sumę radości wcale pokąźną» — powiada T. Bernard. Obecnie, przy końcu każdego dnia, ta suma radości bywa u mnie więcej, niż pokąźna.

Wieczorem przyjechałem do tego samego bistra, gdzie zastałem już nasze rowery. Marzenie. Całe z duraluminium, lekkie jak pianka, lśniące jak gabinet dentystyczny,

z wspaniałymi przerzutkami na górzyste drogi — krótko mówiąc sen. Cieszyłem się jak dorosły. «Jak dziecko», to głupie porównanie, bo dziecko na prawdziwe cieszenie się jest za durne. Musiałem poczekać aż się zrobi mrok, żeby nie przyprowadzać tej parki za dnia do hotelu, co mogłoby wywołać nieprzyjemne w skutkach komentarze lokatorów. Od razu napisaliby anonim do policji, że zajmuję się czarnym handlem. Już i tak, gdy mijam w bramie konsjerżkę, staram się tak manewrować, żeby nie zobaczyła, że mam nowe buciki od Bodnara za 3.000 franków. Trzeba być bardzo ostrożnym, bo narodowe uczucie *la jalousie* widzi wszystko. Konsjerżka, jak Slinks, leży przez cały dzień w bramie i nie daje zagadek do rozwiązywania ponieważ ona sama stara się rozwiązać zagadki nowych butów, nowego futra, kapelusza lub ubrania wchodzących i wychodzących lokatorów. I aby nie wysiłać się zbytnio, każdą zagadkę rozwiązuje jednakowo: *Il fait du marché noir*.

Na szczęście nasi patroni w hotelu są mniej ciekawi i — nie lubią konsjerżki. Toteż w naszym hotelu panuje atmosfera zaufania i szczerości. Nasz sąsiad naprzeciwko ma w swoim pokoju cały sklep spożywczy, wszyscy słuchają komunikatów londyńskich «na głos» na niezarejestrowanych aparatach, ktoś tam czasem się prześpi, komu nie specjalnie zależy na dokładnym legitymowaniu się, a wreszcie mieszkający tu dwaj policjanci *sont des chics types*, to znaczy tacy, co widząc podrobione papiery, mrużają okiem i mówią, oddając je wytwornie: «Świetnie podrobione».

Rowery kupiłem teraz nie na to aby na nich jeździć, lecz żeby je mieć. Przeznaczam je na podróż po Francji po wojnie. Umówiłem się więc z patronem, że mi je przechowują w piwnicy. Wieczorem wprowadziłem je do hotelu «od tyłu», od avenue Daumesnil. Po czym szybko jeden po drugim wniósłem do pokoju. Miałem ochotę tańczyć patrząc na te cacka. Rozłożyłem od razu na stole mapę Francji i zacząłem tyczyć przyszlą trasę. W ciasnym pokoju, zawalonym dwoma rowerami, leżałem nad stołem i wykrzykiwałem różne magiczne nazwy: «Bretania — potem na wschód, bo brzeg Atlantyku aż do Bordeaux nie jest ciekawy. Zawadzamy o Massif Central i potem prosto na Biarritz. Po Biarritz Pireneje...» Basia przypomina mi,

że zapomniałem o zamkach nad Loarą, ale że tymczasem nie można chodzić po pokoju. Z żalem pozdejmowałem koła, ułożyłem to jakoś w kącie i byłem rozgorączkowany. Basia spoglądała na mnie z pełnym czułości uśmiechem, jak na swojego 10-letniego synka. Zapytała mnie nawet, czy mam zamiar spać z tymi rowerami. Albertyn z powieści T. Bernard podszeptał mi, że miałbym ochotę.

13.3. 43.

Rowery starannie poobwijane, jak drogocenne mumie, spoczęły w sarkofagu piwnicy. Przy tej sposobności patron schował swoje nowe opony samochodowe. Teraz tak ciągle: coś się kupi ukradkiem, coś się chowa w milczeniu. Każdy ma milion tajemnic i wszystko ma niesłychaną wartość. Ta wartość absolutnie wszystkiego też ma swój urok, pod warunkiem, że urok za długo nie potrwa. Nieraz siadam w fotelu, odkładam książkę i robię inwentarz, błędząc wzrokiem po pokoju, który jest jak gdyby nigdy nic. A tu tymczasem: tam, na górze, są trzy pary zelówek. Dałem po 100 fr. za parę, teraz już na pewno warte są 150 fr. Pod łóżkiem jest 10 kilo cukru. Płaciłem po 150 za kilo, teraz trzeba już dać 220 — i nic taniej. W walizce pod łóżkiem są jeszcze angielskie konserwy. To te z Dunkierki jeszcze, historyczne, Farmerzy zakopywali je i potem sprzedawali. Dałem po 40 fr. za puszkę, teraz i za 200 nie znajdzie. Ach — te ryby w oliwie... W innej walizce jest futro Basi. Kupiliśmy je w zeszłym roku w lecie u Andrebruna. Te trzy nowe walizki, obciążane pergaminem, to już na wyjazd do jakiegoś «rezerwatu wolności». Były drogie, ale dziś za byle co, oklejone marmurkowym papierem trzeba dać 500 albo 600 franków. Figlarnie spoglądam za szafę. Dwie nowe opony rowerowe na zapas. A nad nimi, w tajemniczym mroku, wisi otyła szynka w wieńcu suchej kiełbasy. Przebijam okiem ścianę do kuchenki i taplam się w garnku z masłem i ze smalcem. Same rozkosze. Wobec tego wbijam się głębiej w fotel, otwieram Hegla, którego nie mogę skończyć i pewnie nigdy nie skończę, i czytam. To rzadka masturbacja umysłowa. Przerywam i myślę, że przyjemnie jest MIEĆ, coś mieć, do cholery. I w razie czego móc mieć więcej. I dlatego myślę coraz częściej

o wyjeździe z Europy. Bo tu ludzie tak są zajęci myśleniem o tym, żeby przyszłe pokolenia coś miały, że ciągle te obecne nic nie mają. André Siegfried w swoim świetnym studium «Qu'est-ce l'Amérique» pisze: «W Europie, gdzie marza możliwości stała się bardziej ciasna, na pewno jest trudniej produkować nowe bogactwa, aniżeli dzielić się bogactwami istniejącymi. Tak przynajmniej wyobraża sobie ten problem szeroki ogół. Stąd dwie pokusy europejskie, charakteryzujące nasze stare kraje: z jednej strony nacjonalizm to znaczy podbój i podział terytoriów, z drugiej strony rewolucja, to znaczy podział lub pokusa podziału bogactw, czyż nie jest to widok, który stwierdzamy wokół nas?» Jeszcze jaki widoczek. I do tego doszły teraz jeszcze «ideologie jedyne i prawdziwe». Wymyśla się tyle szczepionek, a nie można wymyślić żadnej szczepionki antyideologicznej i antynacjonalistycznej. I mówi się potem, że żyjemy w wieku postępu. Jakaś przyszła Liga Narodów powinna cały swój wysiłek skoncentrować na wynalezieniu gazu antyideologicznego. I jak tylko w jakimś kraju zaczną wznosić się niebezpieczne miazmaty nacjonalistyczne czy ideologiczne, trzask — kilka bomb z gazem przyjemnie pachnącym. Na zapach proponuję «Chanel 5». Wszyscy mężczyźni rozejdą się od razu w poszukiwaniu czegoś do łóżka, młodzi zaczną marzyć o miłości i będzie spokój.

Zamiast jakiejś moralności czy etyki, uczono nas idealizmu. Cały ten idealizm, a raczej «ideologizm» — ludzi już nie wychowuje się, ich się tresuje w ideologiach — wzbudza we mnie ostatnio jakiś huragan protestu. Kiedyś pękne. Tymczasem staram się trochę uczyć. Pojęcie ludzkie przechodzi w jakiej ciemności nas wychowywano. I te prawdy przez wielkie «P», które mogą stanowić ciekawy materiał antykwaryczny, były i są nam podawane bezustannie jako żywa i «naukowa» nowość. I to wszystko do pustych brzuchów. Jak się jest głodnym, to łyka się byle co, nawet ideologie.

W Paryżu panuje obecnie psychoza «wylądowania». Już, z godziny na godzinę oczekuje się «Débarquement». Tajne gazetki zachęcają do ucieczki tych wszystkich, którzy mogą być wysłani na pracę do Niemiec. «Uciekajcie na wieś, ukrywajcie się, nie bójcie się narazić na życie nielegalne, bo godzina wyzwolenia zbliża się». Paryż huczy

od *on dit*. Tymczasem jest to znowu sezonowa ofensywa propagandy angielskiej. Jakoś w żaden sposób nie widzę tego łądowania, szczególnie w Francji. Jeszcze za wcześniej. Co noc piekielna strzelanina, bo Anglicy lecą na Włochy przez Paryż. Amerykanie posprzeczałi się z Rosjanami, bo Rosjanie zupełnie nie publikują danych, odnoszących się do pomocy amerykańskiej i Amerykanów to gniewa. Chcieliby, żeby Stalin robił im w Rosji taką propagandę, jaką oni robią Stalinowi. Naiwni.

20.3. 43.

Mam grypę i leżę w łóżku. Odpoczywam. Jest mi bezgranicznie dobrze i bardzo się cieszę, że grypa była tak uprzejma i zechciała przyjść. C. przyjechał z Krakowa na urlop i wysłemy przez niego listy. Ten jeszcze zupełnie niemrawy i ciemny w jesieni Francuz, dziś ucywilizował się, nabrał poloru i ogłady, nauczył się nawet mówić, czego dawniej nie potrafił. Podróże kształcą, spanie z jakąś całkiem przystojną krakowianką (pokazał fotografię — *connais pas*) także. Poza tym zrobił ładną podróż. Do Rostowa i odwrót spod Rostowa razem z tymi «Kriegswerkstätte», w których pracuje. Podróż ta pozwoliła mu na urobienie sobie trzeźwych poglądów o «raju proletariackim», w którym według niego, okupacja niemiecka była w wielu wypadkach bardziej rajem, niż porządki sowieckie. Mówi, że tu we Francji nie chcą mu wierzyć i wszyscy go posądżają o robienie propagandy proniemieckiej. Niemal z rozpaczą w głosie i z prawdziwą logiką prostego i nieuczzonego chłopca zapytał mnie: «Monsieur André, dlaczego mówienie o tym, co ja widziałem w Rosji, jest propagandą niemiecką? Przecież to jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Ja wcale nie mówię, że Niemcy są dobrzy». Ha, *pauvre Candide*. Zauważył ciekawą rzecz: «Gdy przejechaliśmy dawną granicę sowiecko-polską, poczułem, że Europa się skończyła». Zauważył to on, zwyczajny robotnik, nie specjalnie inteligentny podczas gdy tyłu nie chce dojrzeć tej jednej prawdy, że Rosja nie jest Europą, że dzieli nas przepaść kulturalno-duchowa nie dająca się w żaden sposób wyrównać, że Rosja, to barbarzyństwo, chamstwo i wschód pomimo całego jej postępu material-

nego, i to bardzo jednostronnego. Anglosasi twierdzą, że należy zrobić wszystko, aby pozwolić Rosji wyjść z za drutu kolczastego i «zeuropeizować się». Obawiam się jednak, że to raczej Europie i nawet Anglii grozi «zbolszewizowanie się» skoro cała Europa, Anglia i Ameryka nagle «odkryły» Rosję i rozdziawiają gębę. Jest przed czym. Jeżeli czuję nienawiść do tego ustroju, to nie z powodu żadnych uczuć klasowych, ale po prostu dlatego, że czuję nienawiść do wszystkiego, co stara się zabić osobę, mnie jako takiego, jako jedyny egzemplarz i śmierdzi zdaleka termitem i kolektywem, ciemnotą i chamstwem «jedynej i prawdziwej ideologii». Keyserling może nie jest wielkim filozofem, ale ma nieraz świetne wycucie istoty rzeczy. W swojej «Analizie spektralnej Europy» nie napisał o nas więcej, niż jedno zdanie, ale to zupełnie wystarczy: «Polska jest w stopniu o wiele gwałtowniejszym katolicka i zachodnia aniżeli jakikolwiek inny kraj właśnie dlatego, iż dzięki swojemu słowianizmowi czuje ona specjalnie różnicę, jaka istnieje między nią a duchem rosyjskim». Wystarczy. Ja osobiście bardzo gwałtownie wyczuwam różnicę, jaka istnieje między mną a duchem rosyjskim.

25. 3. 45.

Leżę i czytam «Nowele» Prusa. Wspaniałe. Jeden z niewielu pisarzy polskich, do którego nie mam o nic pretensji. Olśniewa szerokością spojrzenia, odczuciem i zrozumieniem tego diabelskiego problemu, jakim jest «polski charakter». Widzi on wszystko, dobrotliwie (często pozornie, bo czasem przeziera z tego żółć), a jednocześnie — dla kurażu — pozwala dostrzec wszystkie skarby zalet, drzemające gdzieś tam głęboko i przysypane całą lawiną nieszczęść, zawierających się właściwie w dwóch słowach: historia Polski.

Poznawszy Zachód dopiero teraz widzę to, co już w kraju tak silnie odczuwałem, że wprost dusiłem się, widzę ile straciliśmy i do jakiego stopnia wypadliśmy z szyku, tracąc punkty oparcia. Cała Polska to jest taka *bouillabesse*, taki bigos, że czasem można to znienawidzić. Rasowo Słowianie, kulturalnie łacińscy z temperamentem bizantyjskim (polski bizantyzm czyli buntow-

nicza czolobitność nadawałaby się do osobnego studium), intelektualnie mieszanina niemiecko-francuska z powiewami od Rosji — jakiś piekielny kokt, w którym my sami gubimy się bardzo często.

Czasem naprawdę mam ochotę powiesić się. Szczególniej po rozmowach z rodakami. Gdyby nie K. z którym pracuję i wizyty P., który jest akuszerką moich myśli (to nie do wiary, ale ten człowiek był pułkownikiem i do tego inżynierem i nic go nie zdołało ogłupić), to chyba wieształbym się trzy razy dziennie.

Po całej niesamowitej hecy dziewięciu wieków odyskujemy na chwileczkę niepodległość, piętnaście minut wielkiej pauzy historycznej i po oszalałych wysiłkach stworzenia z tego plemienia jednolitego narodu, historia znowu dzwoni i już zaczyna się następna lekcja. Kto wie czy nie najgorsza, długie lata matematyki z całkami i różniczkami. Jeżeli Prus mnie zachwyca, to dlatego, że z pobłażliwym i ironicznym uśmiechem odstawia na bok ułana i dziewczynę, skowronki, łany, bławatki, chabry, zające i szaraki i uczy nas być narodem nie tylko w znaczeniu duchowym, ale przede wszystkim w znaczeniu materialnym, uczy budować od fundamentów, a nie od dachu. Naród to nie dach, ten polski w stylu bizantyjskogotycko - nadwiślańsko - barokowo - dorycko- rokokowo - powstaniowo - marszałkowo i cholera wie co, ten dach złożony z legend i pieśni, ryczytałów i masochizmu ojczyźnianego, z pełnego tragizmu poczucia wielkości, które inni mają gdzieś i pretensji do wszystkich i do wszystkiego z Bogiem włącznie, który dla nas nie jest Bogiem, lecz carem (to się jeszcze nie skończyło — to się zaczyna), ale także i fundamenty. Te fundamenty, o których u nas nie lubi się mówić, bo są nieefektywne, jak wszystkie fundamenty na świecie. Bo nie są kolorowe, nie są artystyczne, nie mają w sobie dźwięku ostróg i chlupotania wody w głowie, rżenia koni lub walki konspiracyjnej. Jestem «grudniak» i «zimniak» i nic z tego koncertu nie rozumiem. I nic nigdy nie napawało mnie większym strachem i świętym oburzeniem, jak gadanie do pustych brzuchów i szczęście tak zwanych «przyszłych pokoleń». I kłamstwo w imię ojczyzny w zawieszonym sosie nacjonalizmu mieczykowanego.

Ktoś mi opowiadał, że lotnicy amerykańscy za każdy nalot na Niemcy otrzymują specjalną premię i że każdy członek załogi bombowca, który po dwudziestu pięciu nalotach wróci cało i zdrowo, dostaje ileś tam dolarów i może wracać do Stanów Zjednoczonych. Wojna jest dla niego skończona i po herbacie. Chciałbym widzieć Polaka, który słysząc to, w pierwszej chwili nie zasłoniłby twarzy wstydliwie i nie był «do głębi» (my zawsze «do głębi» — nic taniej) oburzony. Nawet mnie wydało się to w pierwszej chwili coś nie tego. Bo niby obowiązkiem dobrego Polaka jest tak długo latać, aż go zestrzelą na chwałę ojczyźnie. Jak można łączyć pojęcie «forsy» z poświęceniem się za ojczyznę? Amerykanie mają rację. Każdy z nas po cichu to przyznaje, ale broń Boże głośno. Hipokryzja na punkcie Polski i Ojczyzny (przez wielkie «O» — nic taniej) jest u nas zboczeniem narodowym. Hipokryzja ojczyzniana wpędza nas w tę zaściankowość całej naszej kultury, której w gruncie rzeczy nikt nie rozumie. Epatujemy się obcymi pisarzami, ale jak jakiś nasz pisarz napisze coś i nie umieści w tym Polski, Polaka, malw i maków, strzechy, łanów, służącej, ciąży i skrobanki (jeden z narodowych problemów), to on jest zły Polak. Jak Conrad, który raz wreszcie wpadł na świetną myśl pisania po angielsku. I nie o strzechach i malwach. I pomimo że zrobił dla Polski więcej reklamy, niż nawet Sienkiewicz, to Orzeszkowa uważała za stosowne mu nawymyślać. I nawet ludzie, którzy się nim zachwycali, nie potrafili jednak robić tego bez jakiejś głębinowej pretensji «że nie wrócił». Nie wrócił, bo mu się lepiej podobało w Anglii i każdy człowiek powinien mieć prawo żyć tam, gdzie mu się najbardziej podoba. Są tacy, dla których Koluszki albo Radom są wszystkim i bardzo to szanują, ale są tacy, którzy wolą włóczyć się po świecie i znajdują w tym świecie więcej, niż w Koluszkach lub w Radomiu. I wtedy mówi się z świątobliwym oburzeniem: «kosmopolita», czyli prawie — Żyd. A czy może być coś gorszego — tak między nami — niż Żyd?

26. 3. 45.

Gdyby komunizm się udał i spełnił wszystkie obietnice, przestałby być komunizmem i dlatego nigdy się nie uda. Cały dowcip w tej «naukowej» ideologii polega na tym, że obiecuje rzeczy niemożliwe, że do us... śmierci można «dążyć», można «czynić wysiłki», można «kroczyć ku» bez końca, z fatamorganą na horyzoncie. I ponieważ jest to nieosiągalne, odległe, «dla przyszłych pokoleń», więc można «wierzyć». To jest najważniejsze. Grunt to wiara, cały witz jest w tej wierze. To kapiszon naboju komunistycznego. Cały witz jest w tym kapiszonie. Grunt to abstrakcja i bez abstrakcji ani rusz. Wywalono za drzwi wszystkie religie i metafizyki, wszystkie słoiczki z opium i na ich miejsce postawiono «Eintopfgericht» z haszyszu, też dla ludu. I wiara wierzy. Zawieszono wysoko kielbaskę i każe się skakać. I wiara skacze. Coraz wyżej. I jak już skacze niebezpiecznie wysoko, to się podciąga kielbaskę wyżej. Bo nie chodzi o to, żeby wiara do tej kielbaski doskoczyła, tylko o to, żeby coraz lepiej i wyżej skakała, żeby skakała i «dialektycznie». I tak se skacemy i będziemy skakać aż do us..... śmierci i wszyscy w końcu zamienimy się w koniki polne. I będziemy dopiero naprawdę szczęśliwi jako ludzkość szlachetnie i dialektycznie najzupełniej «zowadzona» czyli «zinsektyfikowana». I będziemy se terkać i żenić się z cykadami (samica konika polnego) i będzie byczo. Już się cieszę, ale jeszcze nie wierzę.

28. 3. 45.

Wstałem po grypie i wyszedłem na spacer. Kupiłem «Pariser Zeitung» i czytając szedłem wolno przez avenue Daumesnil do lasu Vincennes. Jeszcze ciągle nieprzyjemny chłód i nie czuć wiosny. Artykuł, reasumujący wyniki akcji zimowej w Rosji był kwaskowaty. Wszystko zaczyna się od tego, że *wir haben verloren*, *ABER* i po tym «aber» okazuje się, że to właściwie Rosjanie przegrali tę kampanię i że ofensywa rosyjska spełza na niczym. Przypomniało mi to ten dowcip o tym żigolu, co każdej kobiecie na dancingu proponował przespanie się. Zapytany raz, czy

nie dostaje często po pysku, odpowiedział, że owszem, ale że «per saldo» więcej tego owego, niż bierze po gębie. Niemcy twierdzą, że «per saldo», to oni jednak górą. Poza tym Niemcy twierdzą, że Anglia sprzedała się Rosji, że Ameryka ma zamiar uczynić to samo, w sumie zupełnie do rzeczy. Poza komunikatami wojennymi, prasa niemiecka zaczyna zupełnie rozsądnie pisać. Ale to się na nic nie przyda, bo — niemiecka.

1. 4. 43.

Podobno Rommel Africanus wyjechał z Afryki «z powodu choroby». Egipskie zapalenie oczu czyli nasypali piasku. Wyewakuował się na czas. Albo go wyewakuowali, bo zaczął być za popularny.

3. 4. 43.

Wiosna. Nagle zrobiło się ciepło, nagle wróble zaczęły głośniej ćwierkać przed spaniem, nagle powiało zapachem zieleni i kwiatu jabłoni. Jak Faust na odgłos dzwonów, tak ja pod wpływem tych odgłosów i zapachów, cisnąłem w kął myślami i szepnąwszy cicho: *Ich hab schon alles durchstudiert*, zrzuciłem z siebie «Luizę Pruską» Sorrela, wykopałem się spod Bergsona, Hegla, Spinozy, Huxleya, Le Bona i innych mądrości i wzięłem — «Damę Kameliową». Dostyc tego wszystkiego. Czym to wszystko jest wobec tej odrobiny szczęścia, jaką można upolować w wiosenny wieczór? Do tego z «Dama Kameliową» na kolacjach.

Wracając z merostwa, wstąpiłem do bistra na białe wino. Drzwi bistra były już szeroko otwarte, a wpadające do wewnątrz słońce ogrzewało całe wnętrze po długiej, zimowej drzemce. Meble, lśniąca maszyna do kawy i nawet kamienna podłoga przeciągały się leniwie i oddychały ciepłym powiewem. Pod ścianami chodził wolnym krokiem czarny kot, przysiadł chwilami, mrużył oczy, znowu przesunął się o kilka kroków i znowu siadał, mrużąc oczy. Na końcach wąsów zapalały mu się tęczowe ogniki, sierść lśniła. Pogłaskałem go i pomyślałem sobie, że jak wojna

się skończy, to będę miał dużo kotów. Wyprężył grzbiet, stuknął głową w moją rękę i poszedł przysiąść o parę kroków dalej. W tym kocim spacerze była cała rozkosz słońca. Wino nabrało już innego smaku, bo w kieliszku chłapie się słońce. Przy kontuarach są już gaduły i mówią z patronem o wiośnie. Na pewno wylądują. Na merostwach są już gotowe afisze, które rozlepią od razu po wylądowaniu. »Stoi« w nich, że wszyscy mężczyźni w wieku poborowym mają stawić się do obozów koncentracyjnych. *Si, si, mais oui — j't'assure — on les a vu, ces affiches...* A cóż mnie to obchodzi, skoro świeci słońce i skoro w tej chwili jest mi dobrze.

Koło kropli piwa chodzi mucha. Mam ochotę ją uściskać i żal mi, że muchy nie da się uściskać. Tyle miesięcy nie było much. Pokosztowała piwa, odsunęła się i zatarła przednie łapki z zadowoleniem. Tylnymi pogładziła sobie skrzydła, przyczesała się i powędrowała na piechotę do drugiej kałuży piwa.

Na ulicy furkają rowery. Kobiety w szerokich spódniczkach pokazują wysoko apetycznie wymalowane nogi. Wszystkie są zgrabne i w każdej można by się zakochać na parę godzin. «Piękna» patronka sklepu radiowo-elektrycznego, zwana przez nas krową elektryczną (?) włożyła już kolorową suknię i patrzy głupio przed siebie. Wystawia się na widok publiczny razem ze swoimi żelazkami i kuchenkami. Piekarka i jej bury kot znowu utyli przez zimę i teraz to widać. Piekarnia często bywała zamknięta za karę, więc pewnie «czarne interesy» dobrze szły. Jestem ciekawy, czy piekarka ma już lożę w Komedii Francuskiej. Teraz wszystkie te panie mają abonamenty w teatrach i obnoszą świeżo nabytą biżuterię. Pieniądz przechodzi z rąk tych, którzy uważają, że go powinni mieć, do rąk tych, o których się mówi, że go nie powinni mieć. Ale — trzeba jeść. Piekarki, episjerki, tenturierki, szarkutierki i kremierki robią majątki, sprzedając od tyłu. Mucha odbyła lot próbny i usiadłszy na żarówce uczciła tę próbę czarnym punkciem. Policjant z naszego hotelu ubrał się już po cywilnemu i żwawo mknie do tenturierki naprzeciwko. Ona wprawdzie ma elephantiasis nóg, ale góra jeszcze dobra i kasa też. A on jest ubogim chłopem z Basses-Pyrenées. Co tam jest? Parę krzaków wina i kamień. Ale za to dużo słońca. Jak wojna się skończy,

jadę na południe. Teraz trzeba będzie poczyścić rowery i jutro gdzieś wyjedziemy zobaczyć kwitnące jabłonie. Kwitnąca jabłonia jest jednym, wielkim kwiatem. Wieże Notre-Dame wyrastają teraz z kwiatów. Piję drugie wino. Gaduły przeszły do stolika, rozścieliły dywanik i rozpoczęły partię belotki. Wyszła przygłucha patronka i zaczęła wolno wycierać kontuar. Okropnie głucha. Zawsze myli «cognac» z «armagnac» i «bière» z «Byrrh». Dziwna rzecz, że im jeszcze nie zabrali na metal cynowego kontuaru. Wszędzie już pozabierali i teraz jest linoleum, przymocowane dwoma listewkami. Bistra stały się ciemne i ponure, bez blasku. A — już zaczynają krzyczeć przy belotce. Wydaje mi się, że śnię, że świat przestał istnieć. Pewnie bzy są w pączkach, a jutro dzieci będą jeździć na osiołkach w Zoo Vincennes. Papugi, wyniesione na powietrze, będą wrzeszczeć i obracać się naokoło dziobów. Będzie je słychać aż nad stawem. I od razu będzie dużo papierów na trawnikach. Jeżeli będą wózki z lodami, to Basia kupi sobie za 5 franków tego czegoś zimnego i ziarnistego. Mówi, że to «pyszne»... Wypiłem wino. Jest mi już za gorąco w wełnianych pończochach. Na podwórzu przed naszym hotelem panuje jeszcze chód i ciągnie zimną wilgocią ze sztucznej groty. Ale bluszcz jest już zupełnie zielony i stracił zimową szarość.

Siadam w fotelu przy otwartym oknie i czytam. Czytam zachłannie to opowiadanie o wielkiej miłości. Armand i Marguerite pachną wiosną. Wzrok tonie w obłokach kwitnących jabłoni. Cała ta historia jest cicha i beznaściejnie sentymentalna, jak każda miłość. Wyciągam z walizki nuty i otwieram «Invitation à la valse» Webera. Patrzę ze wzruszeniem na ten szybki pasaż, którego Marguerite nie mogła płynnie wygrać. Rzeczywiście trudny. Mam ochotę z nią porozmawiać i powiedzieć jej, że musi to ćwiczyć po jednym takcie i bez pedafu. To musi wyjść, jak dotknięcie patykami sztachet płotu, gdy biegnie się wzdłuż niego. Przewracam nuty i cicho gwizdam tę melodię, która już na zawsze zrosła się z Marguerite. Ta cała książka jest jednak szlachetna. Jak każda prawdziwa miłość. Wydaje mi się, że ktoś, kto naprawdę nie kochał, nie może odczuć tego opowiadania. Głęboka miłość ma w sobie zawsze sporo sentymentalizmu i «pompieryzmu», rzeczy na pozór płytkich, nadających się do parodii. Jest

mi bezwstydnie lekko, gdy czytam to «mydło» i piersi napęniają mi się subtelnym drżeniem. Gdzieś w głębi uśmiecham się przez łzy. Wszystko jest pełne tego bladego uśmiechu Marguerite. Przez otwarte okno wpadają podmuchy ciepłego powietrza i leżący na środku pokoju kłębek kurzu potoczył się pod łóżko. W uszach dźwięczy fortepian. Posuwiste tony walca, biała suknia w świetle świec, a potem wiosenny deszcz szybkich tonów pasażu.

4.4. 43.

Słońce i wiosna. Niedziela. Wróble oszalały. Królik konsjerżki uciekł z klatki i zwiedza ostrożnie podwórze. Jedno ucho zwisa mu na bok i jest przekomiczny. Biała kula puchu na nogach. Śmieję się, bo ma w ruchach coś złodziejsko-łobuzerskiego. Wolno wślizguje się w krzaki i nagle wypada z nich prosto przed siebie, pędząc na złamanie karku. Wychylam się przez poręcz i rzucam okruszki z chleba. Wróble nurkują z drzewa na ziemię, porywają zdobycz i uciekają. Królik coś tam zrozumiał, ale nie całkiem. Patrzy na wróble i ma rozczulającą głupią minę. Niemal widać, jak w tej głowie coś się płacze i tumani. Konsjerżka wyszła z «łóż» krokiem przetłuszczonej kaczki, coś zakwakała i weszła do klozetu, oczywiście nie zamykając drzwi. Spuściła wodę i wylazła. W ciszy porannej i słonecznej, woda szumi jak cały wodospad. Znowu kwaka sama do siebie i stara się złapać królika. Słońce oświetla już dachy domów i niedługo wpadnie do naszego pokoju. Jestem głodny i cieszę się na śniadanie i na pierwszego papierosa. Pojedziemy na rowerach do lasu. Absolutnie nic nie myślę. Żyję. Gorąca herbata, chleb z serem, potem z konfiturą. Papieros. A potem mam ochotę cały wskoczyć do umywalni. Łażę nago po pokoju. Szkoda, że jeszcze nie można jechać w szortach. Z sąsiednich domów dolatuje muzyka radia. Wykarmiany na Wielkanoc kogut, zawieszony w klatce na jakimś tam balkonie, zapiał. Żeby tylko deszczu nie napędził. Stara Horwatowa, służąca babci, zawsze mówiła, że jak kogut pieje w dzień, to «na plusk». O jednym moim kuzynie mówiła, że «jest taki czysty, że można by się z niego kawy napić». Babcia mówiła «ta stara Hor-

watka» i twierdziła, że w Krakowie wszystko jest droższe, niż w Bochni. Postanawiamy zjeść obiad wcześniej i pojechać po obiedzie. Schodzę na dół do rowerów i nagle piekielny huk. Salwa wszystkich dział przeciwlotniczych w całym Paryżu. Potem odległy grzmot, trwający minutę, może dwie, i stłumione brzęczenie motorów. Wyskoczyłem na podwórze, ale nic nie widać. Przeszli wysoko zagnubieni w błękitnie wiosennego nieba. Oporządziłem rowery i zjedliśmy obiad. Wyjeżdżamy. Na avenue Daumesnil ciągnie jeden nieprzerwany sznur ludzi w kierunku Lasku Vincennes. Wózki dzieciinne piszczą, szurgot tysiące stóp. Wszyscy idą niedbale, rozleniwieni, rozklejeni. Już są wiadomości — bombardowali «Renault». Dużo osób zabitych na polu wyścigowym Longchamps, gdzie spadło kilka bomb w tłum ludzi na wyścigach. Nie popisali się ci Amerykanie — gdzie Longchamps i gdzie «Renault»? Seryjna robota. Tam śmierć, strzępy ludzkie i ruiny domów, setki zabitych i tysiące opłakujące najbliższych, tu słoneczny dzień, tłum rozbawionych ludzi, beztroska perlająca się w kieliszkach pitego na tarasach musującego wina. *Garçon, un verre de mousseux*. Śmiechy, chłopiec całuje dziewczynę, matka bawi się z dzieckiem, jadę i cieszę się słońcem. Już krótka chwila napięcia minęła, huk i warkot czteromotorowych potworów zapadł w głąb i przestał istnieć. Życie... Z drzew buchają już iskierki świeżej zieloności, drżą w słońcu i puszą się. Daleko za Paryżem, w pobliżu Joinville siadamy na trawie. Ziemia jest jeszcze wilgotna i chłodna. Jemy czekoladę i biszkopty, skręcam papierosa i dymię w niebo. Basia pisze jakiś wierszyk. Jeden z tych jej wierszyków, prostych i dziecinnych. Szuka rymu do «fortepian». Też pomysł. Mówię: «sobiepan». — «Jędre, jakiś ty głupi» — słyszę odpowiedź poetki. Patrzę w niebo i myślę jakimi słowami można by wyrazić uczucie absolutnego szczęścia, soczystego jak wielka gruszka. Słońce jest białe, płynne, rozlewa się i grzeje. Późnym popołudniem zajeżdżamy do Fontenay do Robertów. Obydwoje są w ogródku i grzebią w ziemi. Gromadka dzieci jest rozbawiona i na progu stoi najmłodszy Filip. Na wszystko, co się do niego mówi, odpowiada doskonale podsłuchanym u dorosłych «Hein? Hein?». Mówić nie umie, a tego już się nauczył. Basia przegląda greckie książki Jacques'a i konstatuje, że wszystko zapomniała.

Mówię jej, żeby się nie martwiła, bo najważniejsze jest to, co się zapomniało, jak to ktoś tam powiedział. Jemy kolację z Robertami i wracamy o zmroku. Jest chłodno i tylko gdzieś wpada się w falę ciepłego powietrza. Pachną jabłonie i świecą w mroku białością i bladym różem. Czarne zręby zamku Vincennes rozpuszczają się w coraz to ciemniejszym niebie. Życie, to zwykle i codzienne, może być wspaniałe.

6. 4. 43.

Skończyłem «Damę kameliową» i pozostała mi po niej tęsknota. Sam nie wiem za czym. Wiosna rozpędziła się i szasta się na wszystkie strony. Ulice pełne są malowanych nóg kobiecych w sandałkach, trzepocą na wietrze szerokie spódniczki w kwiaty, w nos uderza zapach perfum. Zawsze odróżniam «Rumeur» Lanvin'a, bo najwięcej lubię. Jednocześnie odbywa się pogrzeb ofiar przedwczorajszego bombardowania. Na Longchamps został zabity jeden z moich znajomych urzędników z Ministerstwa Pracy. Już starszy pan. Miał w całym swoim życiu dwa zamiłowania: wyścigi konne i Anglię. I zginął na wyścigach od angielskiej bomby. Temat do fraszki dla Swinarskiego. Rozerwało go na strzępki i resztki rozpoznano po szpilce od krawata: złota szpicruta wysadzana małymi rubinami. Wszystko to opowiedziano mi dzisiaj, gdy wpadłem do ministerstwa po jakieś druki i formularze. Dziś jego miejsce za stołem było puste i nikt już nie powitał mnie wesołym: *Monsieur André, comment va la Pologne?* To on już od kilku miesięcy pytał mnie zawsze, przymrużając jedno oko, jak po wojnie będzie się nazywać Warszawa: «Varsoviebourg ou Varsoviegrad?» Pomimo całej anglomanii bał się, że Anglicy sprzedadzą nas Rosji. Ale o to nie tylko on się bał. Boję się zawsze «Świętego przymierza» między Ameryką, Anglią i Rosją, które zostałyby zawarte w pierwszym rządzie kosztem naszej niepodległości, jeżeli po tej wojnie o czymś takim w ogóle można będzie mówić. Z relacji naocznych świadków wynika, że na polu wyścigowym znajdowało się gniazdo niemieckiego flaku i jakiś bardziej sportowo nastrojony bombowiec amerykański opuścił się niżej i zrzucił na nie kilka bomb.

Po wyjściu z Ministerstwa wpadłem znowu w słoneczny sos. Na rue de Vaugirard ruch. I znowu malowane nogi i malowane uda, wychylające się z fałdów spódniczki na rowerze. Wstąpiłem do Dupont na Porte de Versailles. Ktoś wrzucił franka do automatycznego gramofonu i na całą salę chlusnęły synkopy amerykańskiego «swingu». Nareszcie jakaś ludzka muzyka, a nie ciągle ten Beethoven, Mozart, Schumann i Schubert. Pod wieczór wróciłem do domu. Okno otwarte, wieczorne odgłosy z sąsiednich kamienic, zapada zmrok. Wróble mówią sobie bardzo głośno dobranoc. Życie, życie za wszelką cenę. Nie myśli się, bo nie można myśleć.

9. 4. 43.

Atakują Tunis *au ralenti*. Wojna rośnie, przybiera rozmiary zupełnie fantastyczne. Kto po tej wojnie będzie mógł sobie pozwolić na prowadzenie wojny? Zaczęło się od wojny państw i skończyło na wojnie kontynentów. Ta wojna jest bardziej światowa niż pierwsza, jakby mógł powiedzieć Mr. Prudhomme współczesny. Kto po tej wojnie będzie mógł p o w a ż n i e mówić o zbrojeniu się? Jedyne wielkie bloki państw. Jeżeli Polska, Czechy, Jugosławia i inni odzyskają wolność, to czy w ogóle będzie je stać na zbrojenie się? Będą mogły zbroić się jedynie w ramach jakiegoś bloku kontynentalnego. Przyszła wojna (jestem przewidujący) będzie mogła być jedynie «składkową», takim piknikiem jak teraz. Coraz wyraźniej zarysowuje się struktura świata podzielonego na sferę wpływów anglosaskich i rosyjskich. Dokąd te dwa bloki nie zaczną wojny między sobą, wojna będzie właściwie niemożliwa, bo nikogo poza nimi nie będzie stać na prowadzenie współczesnej wojny. Kto wie, czy ta wojna nie jest już szczytem lotnictwa i czy przyszła wojna nie usunie go na korzyść jakiegoś tańszego i jednocześnie skuteczniejszego środka niszczenia. Raketowe torpedy zastąpią lotnictwo i artylerię. Z Moskwy będzie się bombardowało Paryż, z Londynu Nowy York. W głowie się mąci. Odczuwam niemal fizycznie tę szybkość, z jaką pędzimy na rozbuchanym koniu «postępu». Gdy spoglądam na ludzi, wydaje mi się, że patrzę na pijanych. Jesteśmy pijani, zupełnie

zamroczeni, coraz trudniej udaje się nam coś sobie «uprzytomnić». I wątpię, czy koniec tej wojny pozwoli nam na wytrzeźwienie. Boję się, że rozwiązywanie końcowych zagadnień robione będzie przez pijanych i że skutki będą pijackie. Pijanym wydaje się wszystko możliwe.

12. 4. 43.

Między 7-ym i 10-ym trwało spotkanie Mussoliniego z Hitlerem. Komunikat jest skąpy. Decyzja wspólnej walki aż do ostatecznego zwycięstwa. Jak rak świnię, powiedziałby stary Rzecki. Na froncie azjatyckim jest wiosenno-odwilżowy nastrój. Podobno Mussolini prosił Hitlera o pozwolenie wycofania dywizji włoskich ze wschodu. Czuje się zagrożony. Z Tunisu do Włoch istotnie nie tak daleko. Ale grunt, że tych dwóch błaznów się spotkało, że błazeńskie gazety mogły na ten temat pobłaznować i jeszcze raz podkreślić, iż pierwszym przykazaniem propagandy jest uważać wszystkich za stado matolów, któremu trzeba wszystko wytłumaczyć. Oni naprawdę potrafią wszystko wytłumaczyć. Jak Rosjanie będą pod Berlinem, to oni to też wytłumaczą. I moim najgorętszym życzeniem jest móc doczekać tej chwili, żeby zobaczyć JAK.

Miałbym ochotę przeczytać znowu — tym razem nieobowiązkowo i nie ze skrótu — «Nieboską komedię» Krasieńskiego. Zawsze mi się wydawało, że z tych trzech «wieszczów» on miał najlepszą głowę. Pamiętam, że na ustnej maturze, zapytany o Pankracego, określiłem go jako «wcielenie szatana dziejowego». No i na mocno zdziwione spojrzenia profesorów nie umiałem zareagować odpowiednim objaśnieniem tej «tezy». Teraz wydaje mi się, że to nie było tak całkiem głupie.

13. 4. 43.

Basia leży z grypą. Wobec tego na targ poszedłem ja. Słoneczny ranek kwietniowy, chłodny i świeży. Do naszego podwórka dolatują ostre głosy przekupek. Czym mniej towaru, tym one głośniej krzyczą. Pod tym względem politycy i przekupki niczym się nie różnią. Drzwi od

klozetu na naszym podwórku trzaskają bezustannie. Trzask ten stapia się w jedno z klekotem sabotów przekupek, wpadających i wypadających z naszej bramy. «Nasz» klozet na podwórku obsługuje cały odcinek targu przy naszej bramie. Oczywiście konsjerżka pobiera za to okup w towarze. Coś jej tam zawsze przyniosą — taniej i bez ogonka. Toteż w dni targowe kręci się cały czas koło tej budki, nawiązując towarzyskie rozmowy z przychodzącymi. Mężczyźni nie zamykają drzwi i rozmawiają przez ramię, z kobietami konwersacja odbywa się przez drzwi. Czasem zbierze się cała grupa i wówczas trzaskają żarty na temat tego, kto siedzi wewnątrz. Plusk wody, śmiechy i klekot sabotów.

Na targu ruch. Wzdłuż stołów snują się baby, wymalowane ale niedopięte i niedoczesane lub niedomyte «lepsze panie», żony urzędników, których mieszka tu dużo wokoło. Zresztą kto w obecnej Francji nie jest jeszcze urzędnikiem? Z ogonków dochodzą odgłosy zjadliwych kłótni o miejsce, rewolucyjnych okrzyków pod adresem «priorités» lub dyskusji ze sprzedającymi, którzy sprawują teraz feudalną władzę nad klientelą. Kupiec jest panem życia i śmierci. Albo raczy, albo nie raczy. Co da, to trzeba brać. Co każe brać, trzeba brać. Aby kupić funt czegoś, na co ma się ochotę, musi się kupić funt czegoś innego, co jest zupełnie niepotrzebne albo co jest nadgniłe. I rozwścieczone «trykotantki» syczą przez zęby i pomstują, ale gdy przyjdzie ich kolej, uśmiechają się przymilnie do przekupki. Bo z nią trzeba być dobrze. Ale przekupka też jest wściekła. Traci tu czas i pieniądze, sprzedając to, za co po cichu dostaje trzy razy tyle.

Ja też jestem nieumyty, też jestem byle jak ubrany i też mam koszyk w ręku. Idę z tłumem i oddycham to serami, to mulami, to rybami. Albo pograżam się w zapachu wilgotnych jarzyn i łakomie wdycham woń porów. Stoję w ogonku po rzodkiewkę i dostaję wiązkę szparagów. Szparagi są drogie, ale trzeba korzystać. Kupuję sałatę. Jest świeża i jędrna, ocieka wodą i miałbym ochotę wgrzyźć się w nią. Smutny ten targ. Trochę muszli, trochę ryb, dużo jarzyn i dużo krzyku. Pamiętam, jak cztery lata temu, w pierwszy dzień po przyjeździe tutaj, wybiegłem przed dom i wydawało mi się, że Sezam otwo-

rzył się przede mną. Na stołach góry daktyli i suszonych fig, kiście bananów, piramidy czekolady i katedry serów. W innych kramach mięso i drób, langusty i homary. I wszystko tanie. Ale pomimo wojny we Francji jeszcze ciągle widzi się ślady bogactwa. Pomimo rabunku niemieckiego, pomimo ciągłych rekwizycji nie ma mowy o głodzie. Jeszcze ciągle jest wybór, jeszcze ciągle pewna rozmaitość i możliwość urządzenia sobie swojego «małego życia». W całej atmosferze unosi się to coś, z czym tak łatwo być szczęśliwym. Słońce świeci, przekupki krzyczą, zapachy drażnią podniebienie. Wszystko jest tutaj jakby dośrodkowe, a nie odśrodkowe. Nie wiem dlaczego, ale nagle przypomina mi się to tak typowo francuskie określenie szczęścia przez Sachę Guitry: «Szczęście, to kochać stare książki i młodych autorów, młode kobiety i starych przyjaciół». To określenie ma w sobie coś gastronomicznego, ma smak dobrej potrawy i pewnie dlatego przypomina mi się tutaj. Jedzenie też wchodzi w zakres kultury. Dobry obiad jest tyle samo wart, co dobry wiersz lub dobry obraz. Jedzenie nie jest niczym «niższym», a żywienie się kapustą i kartoflami na pewno wpływa na kulturę. Czyż może być coś bardziej beznadziejnego, jak to ku czemu świat idzie wielkimi krokami — do kolektywizacji jedzenia, do gotowania *en masse* i do rozdzielania tego w kantynach i innych barbarzyńskich zakładach tego rodzaju. Wracam do domu z koszykiem, siadam na rower i jadę do pracy. W południe będę jadł w kantynie. I mam ochotę rzygać.

14. 4. 43.

Wszędzie to samo. Basia spotkała na ulicy swoją koleżankę szkolną, Żydówkę. Jej mąż wzięty do obozu, wywieziony i ślad po nim zaginął, ona chowa się z trzyletnim synkiem mając fałszywe papiery. Mieszka teraz na wsi pod Fontainebleau. Wszystko straciła, bo trzy walizki «zarekwirował» jej patron hotelu, w którym mieszkała i z którego uciekła w nocy. Gdy próbowała upominać się o to, patron dał jej do zrozumienia, że lepiej dla niej, aby się o nic nie upominała. Będąc z dzieckiem dosłownie na ulicy, trafiła do Kwaków i ci zaopiekowali się nią. Tam

poznała jakiegoś Hiszpana, kombatanta republikańskiego, który się w niej zakochał. Pewnie kiedyś się pobiorą.

I. bardzo miły i spotykamy się od czasu do czasu. On był dziennikarzem i wiele opowiada mi o Hiszpanii. I gdy słucham tych opowiadań, często zapytuję siebie, kto jest narodem bardziej europejskim? Oni czy my? To, co my robimy po wypiciu litra czystej wyborowej, oni robią na czczo. Instykt samoniszczenia się zupełnie niesamowity. Opowiada mi o nocy Św. Jana w Barcelonie. To wielkie święto. Wieczorem ulice zavalone są tłumem ludzi. Na każdej ulicy mianuje się przewodniczącego święta. Ten, w otoczeniu swojego sztabu, urządza po domach zbiórkę starych mebli. Wszystkie te uzbierane meble zwała się na stos i z nastaniem nocy podpala. Namiaszta niszczenia. Młodzi ludzie mają uwieszone na pasku petardy i dopiero wtedy zaczyna się prawdziwa zabawa. Pije się wino i rzuca się petardy. Ofiarami petard są dziewczęta, które uciekają — nieraz poparzone. Po północy żadna dziewczyna nie śmie pokazać się na ulicy, ulica należy do mężczyzn. Rzuca się coraz to większe petardy. Zapanowuje rodzaj szału. Chłopcy pędzą osmołeni i pijani winem i zapachem prochu. Nad ranem wszyscy biegną nad morze, gdzie już roi się od przekupniów muli. Wszyscy jedzą gorące mule i czekają na wschód słońca. Gdy tylko słońce wwnurzy się z morza, cały ten tłum zrzuca ubranie i wskakuje do wody.

Pomimo całej barwności i gorąca bijącego od takich opisów, wydaje mi się że we wszystkim panuje jakiś wewnętrzny chłód. Ma się wrażenie, że przy pomocy tego wszystkiego, ci ludzie chcą rozgrzać kawał lodu przenikający ich krew. Bije od tego zupełna obcość, coś tak obcego, że wydaje się iż nie może tu być żadnych punktów styčných między nami.

I. znał Pasionarię. Prosta kobieta o jakichś dziwnych właściwościach oddziaływania na tłum. Ma syna i córkę. Córka zupełnie nie wdała się w matkę i w domu dochodziło do piekielnych scen. Opowiada dowcip, że pewnego razu, po jednej z licznych awantur, córka wybiegła z domu i wpada na ulicy na żebrzące dziecko. Dziecko skarży się: «Nie mam matki». — «I ty się skarżysz, smarkaczu?» — odpowiada impetyczna córka.

Opowiada mi o ciemnej roli, odegranej przez komunistów w tej potwornej rewolucji, która przerodziła się w długoletnią wojnę domową. «Gdyby nie komuniści być może, że republika byłaby wygrała. Ale oni zaczęli robić Rosję w Hiszpanii».

15. 3. 45.

Cała ta historia z dziesiątkiem tysięcy oficerów polskich, będących w niewoli rosyjskiej i rozstrzelanych pod Smoleńskiem, staje się potworna. Niemcy odkryli i odkrywają coraz to nowe groby masowe, wypełnione po brzegi trupami naszych oficerów. Dalsze badania są w toku i Niemcy obiecują nawet identyfikację licznych zwłok i publikację listy z nazwiskami. Pierwsze badania wykazały, że ta cała makabra odbyła się wiosną 1941 roku. Niemcom oczywiście nie chodzi o to, że są to oficerowie polscy, ale o propagandę przeciwko Rosji i komunizmowi. I pomimo, że mówią o tym Niemcy, którzy w tej chwili uśmiercają w obozach nie dziesiątki, ale setki tysięcy ludzi, wrażenie odkrycia tych masowych grobów jest jednak ogromne. Jako Polak, jestem na każdym kroku zapytywany przez sceptycznie i niedowierzająco nastawionych do tego Francuzów. Bo Francuzi nie n i e w i e r z ą, lecz n i e c h c ą uwierzyć uważając to za chwyt propagandy niemieckiej i posuwając swą «niechęć do uwierzenia» do twierdzenia, że to sami Niemcy wymordowali tych ludzi. Na pytania odpowiadam krótko: «Nie mam żadnych obiektywnych powodów aby nie wierzyć, że zrobili to Rosjanie». Jestem od pierwszej chwili przekonany, że jest to istotnie robota G.P.U. Gdy myślę nad tym, mam uczucie, że od miesięcy już oczekiwałem jakby jakiegoś takiego *coup de théâtre*. Nie ma we mnie żadnego uczucia niespodzianki — wprost przeciwnie — poczucie, że to jest właściwie normalne, że jest w tym konsekwencja, rozwijająca się wolno jak nitka z tego samego kłębka już od wielu miesięcy. Ustosunkowanie się Rosjan do Polski, pomimo wszystkich dyplomatycznych krętaństw, jest wrogie. Do dziś dnia rząd polski nie może załatwić sprawy deportowanych do Rosji, nie może doszukać się ludzi. Wymordowanie tysięcy oficerów polskich nie było-

by niczym wyjątkowym. Wprost przeciwnie — nie wymordowanie ich byłoby raczej dziwne. Jest to unicestwienie części polskiej inteligencji, o której Rosja wie, że nigdy nie zechce ona pogodzić się z programem komunistycznym. Katyń, to po prostu wykonanie jednego z punktów programu, który przygotowany jest dla Polski.

Ale nie tylko Francuzi, lecz nawet wielu Polaków nie chce w to uwierzyć. Jest to klasyczny przykład wiary w iluzję, przykład przemożnego pędu do zakłamania się i do zakłamywania się. Bo Rosja bije Niemców, bo Rosja jest «aliantem», bo Polska powstanie pewnego poranka — oczywiście Wielka, Silna i Niepodległa (dużą literą nawet w przymiotniku). Na tym i na tysiącu innych przykładów widać zgubny wpływ pijaństwa w mgłę ideologicznej. Gdy rozmawiam z ludźmi, ciągle słyszę: «Ależ pan jest pesymistą». Nie jestem żadnym pesymistą — mam po prostu zwyczaj mówić, że «teatr jest do połowy pusty» wtedy, gdy inni mówią, że «teatr jest do połowy pełny». Staram się widzieć rzeczy jakimi są i nie stosować do wszystkiego ideologicznej mgły i zadymienia, chorobliwego optymizmu. Ludzie nie chcą myśleć — boją się myśli trzeźwej i raz po raz narażają się na rozczarowania wprost proporcjonalne do stopnia napięcia ich idealistycznego optymizmu, czy jak nazwać tę bzdurę. Jakaś filozofia «happy end'izmu». Właśnie to zakłamanie jest chorobą naszego wieku i uniemożliwia zupełnie dostosowanie się i nadanie jakiegoś lepszego kierunku temu szaleńczemu pędowi, w który zostaliśmy porwani. Coraz bardziej pogłębia się w ten sposób przepaść między człowiekiem i jego kłamliwymi iluzjami, a życiem. Coraz dotkliwszym staje się ból i «cierpienie wieku». Nie wolno idealizować byle czego, bo wówczas wszystko się wypacza. A ludzie uważają za swój obowiązek idealizować nawet g... Bo to ładnie i przede wszystkim wygodnie. Pozornie. I na krótko.

17. 4. 43.

Po południu na wystawie jedwabów lyońskich w «Pavillon de Marsan». Stare jedwabie z okresu Empire, Restauracji, Ludwika Filipa. Cudowne portierey tkane na

dwie strony, wspaniałe obicia na ściany i obicia mebli. Te stare, grube jedwabie są wprost mięsiste i soczyste, jak grube liście. Ukradkiem zbliżałem się do nich i brałem je w rękę, rozkoszując się dotykiem tych resztek dawnej świetności. W pierwszej sali stał tron Napoleona. Prosty, proporcjonalny, obity zielonym jedwabiem ze złotym «N» i pszczołami. W drugiej łoże Ludwika XVIII, szerokie, wygodne, jedwabne. A dalej obicia, portierey, meble. Ile w tym harmonii, spokoju i taktu. Potem już nowsze rzeczy. To ciekawe, ile uroku ma jednak francuska secesja. Jest w niej lekkość i zupełnie specjalny smaczek. To nie ciężka i niestrawna secesja niemiecka lub austriacka. We francuskiej secesji jest coś z Paryżanki. Okres powojenny słabszy. Ciągłe szukanie celem nie znalezienia niczego (gdyby się wiedziało, że się coś znajdzie, to szukanie straciłoby cały urok — powiedział mi raz jeden malarz w Krakowie) wszystkich «izmów» w sztuce zakradło się i do jedwabiu. Zimnokrwistość, to cecha całej sztuki między tymi dwiema wojnami. To sztuka wyrażania instynktów — nie uczuć.

«Imprimées» z 1942 są śliczne, pełne smaku i «nawiązane» z całą francuską zdolnością w tym kierunku. Po wystawie poszliśmy do Rebatet na lody i ptifurki. Dzień słoneczny i ciepły. Drzewa w Tuilleries pokryte zielonym puchem, lekkim jak mgła. Widać wyraźnie ich szkielety, widać każdą gałązkę na tle błękitnego nieba, a równocześnie jest już zielono. Zdjęcie roentgenowskie w kolorach. Ludzie łążą już letnim krokiem.

18. 4. 43.

Wstaliśmy wcześniej i po solidnym śniadaniu zakreśliłem się koło rowerów. Dzień słoneczny i już prawie gorąco. Upchaliśmy plecak i torby i pojechaliśmy do lasu koło Boissy-Saint-Léger. W południe jest mniejszy ruch i zwykle wyjeżdżamy koło 12-ej. Charenton drzemało impresjonistycznie w słońcu, Marna lśniła na zielono rozpuściwszy w wodzie wszystkie młode liście wokoło. Za Alfortville wjechaliśmy na szosę wysadzaną jabłoniąmi. Jabłonie już przekwitają i z drzew sypią się miliardy różowych płatków. Powiedziałem do Basi. «Sypie wiosenny

śnieg». Za naszymi rowerami unosiły się tumany opadłych płatków, porywane w powietrze pędem. Jakiś samochód przejechał w różowej zadymce i zniknął w chmurze kwiatów. Na całej szosie można je było zgarniać ręką i jechało się po nich, jak po dywanie. Przed Boissy zatrzymaliśmy się, aby się czegoś napić. Uśpiony patron wyniósł nam przed pogrążone w letargu bistro dwie flaszki lemoniady i tajemniczo zniknął. Siedliśmy przy stoliku przed domem. Lemoniada, kawałek czekolady, papieros i słoneczna cisza. Są to te chwile, które chowam w sobie na zawsze, które zbieram i gromadzę na później, wpłacam na rachunek bieżący wzruszeń. Potem mogę nagle usiąść, zamknąć oczy i wypisać szybko czek, przeżywając je z taką samą intensywnością. Całe południe Francji mam w ten sposób wpłacone. Gdy tylko zechcę, czuję upalne wieczory, słyszę dźwięki, oddycham morzem i piaskiem. A teraz leżę u stóp wielkiego dębu, zanurzony po szyję w zaroślach i młodych drzewkach. Listki trysnęły już z każdej gałązki, krzewy pokryte są szronem zieleni. Boję się ich dotykać żeby nie osypały się. Poda mną trzeszczą suche, zeszlóroczne liście i z ziemi paruje zapach zimy. Nie wiem dlaczego, ale ten zapach suchych liści i wilgotnej ziemi działa na mnie podobnie, jak mgła: budzi wspomnienia dzieciństwa: wspomnienia lasów koło Lidy i Nowogródka, kontury zamku Gedymina, obraz wilka napotkanego w czasie jednej z przejażdżek konnych z ojcem.

21. 4. 43.

Katyń jest «gwoździem sezonu» wiosennego, jeżeli w ogóle wypada w ten sposób o tym mówić. Ale trudno to inaczej określić. Fotografie, sprawozdania, wywiady, reportaże. Cała propaganda niemiecka stanęła murem i «skatynizowała się». Na miejsce zjechali eksperci medycyny sądowej, tymczasem tylko z państw zaprzyjaźnionych z Niemcami. Sprawa jest jasna od początku — przynajmniej dla mnie. Jedno jest w tym tylko groteskowe (ponura groteska) i stępia ostrze, a mianowicie fakt, że hurtownik denuncjuje detalistę i że obydwaj są z tej samej branży rzeźniczej. To, co Rosjanie zrobili w Katyniu detalicznie — niesamowite jest to zabijanie po jednym, pod-

prowadzanie do dołu po jednym, strzelanie z tyłu w nasadę czaszki i układanie trupów, jak sardynek w pudełku — Niemcy robią hurtownie, fabrycznie. Zastanawiające jest w tym to, że ta ideologia kolektywizmu, zastosowała w tym wypadku skrajnie indywidualistyczny sposób uśmiercania. Ilu musieli mieć «fryzjerów» do tego, bo na miły Bóg, strzelanie z pistoletu jest męczące. Dużo strzelałem kiedyś i wiem, jak się ręka męczy, właśnie przy pistolecie. A tu każdy, osobiście, po jednym, po jednej kuli. Tam na pewno wrzucali ludzi niedostrzelonych. Brak słów, okrucieństwo przeszło granice i znieczuła. Tam zastrzelono kilkadziesiąt tysięcy ludzi (bo wygląda na to, że Katyń to tylko jeden z zapasów «konserw») — tu setki tysięcy kona powoli i umiera «własną śmiercią» w obozach i więzieniach (poza Katyniem tam też). Różnica jest pozorna — w formie. Toteż wrażenie Katynia nie jest wcale takie, jakiego spodziewali się Niemcy. Ludzie nie chcą wierzyć. A szkoda. To już tak bywa, że gdy szakał oskarża hienę, to ludzie zawsze są skłonni stanąć po czyjejs stronie i nie potrafią uznać, że i ten i tamten żywi się padliną. Cała ta propaganda trafia właściwie w próżnię. Niemcy tyle już nakłamali, że gdy wyjątkowo mówią prawdę, nikt nie chce uwierzyć. Szkoda. Bo gdyby w to uwierzono, to może udałoby się uniknąć wielu nieporozumień po tej wojnie. Byłoby wiadomo «z czym do gościa». A tak ludzie oduczili się już hitleryzmu, ale nie oduczili się komunizmu. Szkoda, że to ktoś inny nie odkrył tego Katynia, ktoś, kto naprawdę mógłby powiedzieć: «ja nie». Chodzą pogłoski, że rząd polski w Londynie zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie z prośbą o ekspertyzę. Oczywiście Ameryka i Anglia nie zgodzą się na to. Rosjanie najpierw milczeli, teraz zaczynają się w żywe oczy zapierać. Twierdzą, że to sprawa tych «bandytów faszystowskich (wymawiać wyraźnie «w» jak ten «Polak» z Radio-Moskwa). Jestem ciekawy, co o Katyniu sądzą te resztki oficerów i żołnierzy polskich, które cudem i dzięki zręczności Andersa zdołały wydobyć się z Rosji i są obecnie na kuracji zdrowotnej w Iranie. Przypuszczam, że ci tam, w Teheranie, nie mają żadnych wątpliwości.

25. 4. 43.

Wielkanoc. Pogoda brzydka i siedzimy w domu. Basia maluje, ja czytam jej na głos jakiś zbiorek F. Hoesicka o różnych «znajomych» z dawnych lat. Między innymi list G. Sand do Grzymały na temat jej decyzji w sprawie zakochania się i oddania Szopenowi. Cały ten list jest bardzo dowcipny i błyskotliwy, ale jednocześnie tak zimny i wyrachowany, tak kupiecki, że po przeczytaniu go można dopiero zrozumieć naprawdę powody zerwania w Nohant. G. Sand nie krępuje się zupełnie. Te wspomnienia o spotkaniu w półmroku pokoju, w czasie którego czuje ona, że «działa» na «małego», te rozważania o jego bólu i tęsknocie i to twierdzenie, że ona chciałaby być dla niego tym, czym Wenecja dla podróżnego i że gotowa jest to zrobić, jeżeli... itd., to wszystko jest w sumie niesmaczne i wydrowate pomimo całej doskonałości formy tego listu. Tam uczucie, serce i szlachetność, na pewno wiele egoizmu, ale tu francuska wydra intelektualna i w ogóle wydra, mająca talent pisanie tego wszystkiego, czego naprawdę nie czuje. To przebija w jej wszystkich utworach. «Pisanie jest u pani Sand funkcją» — powiedział raz Gautier, opowiadając o swoim pobycie w Nohant Goncourtom. Wołę Balzaca. Ten miał styl. Podobno raz na jakimś przyjęciu u Gavarniego, powiedział: Chciałbym pewnego dnia być tak znanym, mieć nazwisko tak popularne, tak sławne, w końcu tak pełne chwały, aby upoważniło mnie do pierdzenia w towarzystwie i aby towarzystwo przyjmowało to jako rzecz zupełnie naturalną. To rozumiem.

27. 4. 43.

Wczoraj cały dzień w domu. Basia malowała w łóżku, ja porządkowałem książki i czytałem. Na gwałt staram się uczyć, bo jestem zupełnie niedouczony. Dziś wielka sensacja. Rosjanie zerwali stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie. To początek końca. Już? Moskwa twierdzi, że rząd polski w Londynie jest faszystowski (wymawiać wyraźnie to «w») i teraz Sikorskiemu nie pozostaje nic innego, jak przenieść się do Berlina. Inna

sprawa, że od tej chwili, na jego miejscu, wycofałbym całe polskie siły na zachodzie z akcji. Niech nas Amerykanie i Anglicy internują, ale ani jednego życia polskiego więcej.

Teraz wszędzie w Polsce mówi się znowu z łezką, wszędzie mówi się o «nieszczęśliwej Polsce». Jesteśmy strasznie modni. «Pologne», «les Polonais», «Polen» — jest w gazetach i w radiu z obydwóch stron Renu. Niemcy wprost płaczą nad nami. Mam ochotę pójść do N.S. Volkshilfe na Champs-Élysées i powiedzieć: *Geben Sie mir eine Fahrkarte nach Katyń hin und zurück*. Jestem ciekawy, czy posuniemy nasz patriotyzm do tego, że jeżeli Niemcy zaproszą kogoś z Polaków na zwiedzenie Katynia, to nikt nie pojedzie. U nas wszystko możliwe. Gdyby Niemcy zaproponowali mi podróż, pojechałbym w tej chwili. Każdy naoczny świadek tego może być kiedyś nieoceniony. Tymczasem Niemcy wożą do Katynia oficerów angielskich i amerykańskich, będących w niewoli. Jestem ciekawy, co ci o tym sądzą i czy ośmielą się o tym mówić, gdy znajdą się na wolności po wojnie, w czasie «Świętego Przymierza». Wszystko razem piekielnie smutne. Zerwanie stosunków z Londynem przesądza właściwie o wszystkim na przyszłość. Rosja uchyla się w ten sposób od wszelkich tłumaczeń i zyskuje wolną rękę w sprawie Polski. Bo nie róbmy sobie złudzeń — tej wolnej ręki ani Anglia, ani Ameryka im nie zwiążą. Gdy wojska sowieckie przekroczą niedługo naszą granicę, zacznie się prawdziwy taniec. To wcale nie koniec naszych cierpień i naszych problemów. Zaczynam się mniej dziwić Mickiewiczowi i Słowackiemu, ich mistycyzmowi i takiej pile, jak «Księgi Pielgrzymstwa» razem z całym Towiańskim. Pod koniec tej wojny może powtórzyć się «Święte Przymierze», Kongres Wiedeński i Księstwo Warszawskie z namiestnikiem rosyjskim czy jakimś sowieckim Konstantym. Polska jest ością, stojącą w gardle wszystkich i wszystkim. w tej całej wojnie jest o jedną, jedyną Polskę «za dużo». Szalenie krępujące. Bez Polski byłoby znacznie łatwiej rozstrzygnąć losy Europy.

Makabryczny, ale doskonały dowcip w dzisiejszym «Le Petit Parisien». Olbrzymi Stalin pochylający się nad małym Churchilllem i mówiący konfidencjonalnie, przysłaniając ręką usta i spoglądając na sylwetkę oficera pol-

skiego, odwróconego do nich tyłem: «Miejsce pewnego generała polskiego nie jest w Londynie... lecz w Katyniu».

Jak będzie «za dużo» o Sikorskiego, to chociaż jego sprzątną skoro całej Polski nie można sprzątnąć. Zawalidroga. Na miejscu Sikorskiego zacząłbym się teraz bardzo pilnować.

1.5. 43.

Święto konwalii. Dzień szary i chłodny. Ma się wrażenie, że te tysiące bukietów konwalii, sprzedawanych na każdym rogu ulicy, marzną i drżą z zimna, że blade i pachnące kwiaty chowają się w pękach liści, jak w ciepłym zawoju. W tym roku wyszło rozporządzenie, że każdy ma prawo sprzedawać konwalie bez specjalnego upoważnienia. I ulice roją się od obdartych dzieci i nędzoty, wciskających przechodniom bukietki. Pod Gare de Lyon było więcej sprzedających niż kupujących. Wracając do domu, kupiłem kilka bukietów. Zaczął padać deszcz i przyjechałem zmoknięty. Lubię wracać do domu przemoczony.

W związku z konfliktem sowiecko-polskim, dzisiejszy «Le Petit Parisien» powiada: «Przyznać rację Sowietom, to narazić się na niezadowolenie Ameryki, gdzie Polacy mają wielkie wpływy». Być może, że w tym całym brudzie politycznym, który coraz to bardziej wpływa na powierzchnię tej wojny, Ameryka, jako najmniej «wytrobiona politycznie», zachowa pewną czystość intencji i szczerłość działania. Ale to niewytrobienie polityczne kryje w sobie inne niebezpieczeństwa, związane zresztą ściśle z niewytrobieniem myślowym Amerykanów. Tym niebezpieczeństwem jest siła atrakcyjna Rosji, która imponuje i która specjalnie może imponować Amerykanom, przyzwyczajonym do brania pod uwagę f a k t ó w a n i e i s t o t y zagadnień.

5. 5. 43.

Przyjechał Tadzio, świeże nowiny z Warszawy. I w Polsce też ludzie nie bardzo chcą uwierzyć w Katyń.

Nic dziwnego, skoro u nich ciągle jest Katyń, na każdym kroku, o każdej godzinie. Opowiada o walkach w ghetcie żydowskim. Niesamowite i imponujące. Po godzinie rozmowy z Tadzkiem, który zdążył być na Krymie i wrócić, który widział mnóstwo rzeczy i mówi o nich krótko, ale inteligentnie, doszedłem do przekonania, że ta cała wojna zamiast rozwiązać szereg problemów, postawi całą masę nowych. W tej chwili są wszystkie dane ku temu, że koniec tej wojny nie rozwiąże NIC i tylko spotęguje napięcia pomiędzy szeregiem biegunów. Prawdziwy chaos zacznie się po wojnie.

8. 5. 43.

Tunis i Bizerta zdobyte. To zwycięstwo jest tak nagłe, że aż zagadkowe. Pomimo to nie wierzę już w koniec w tym roku. Optymizm doszedł znowu do szczytu i powoduje we mnie mdłości na każdym kroku.

Wieczorem w «Salle Pleyel» na «Damie Pikowej» wystawionej przez rosyjski zespół operowy. Siedem obrazów nie do wytrzymania doskonałych. Doskonałość doprowadzająca chwilami do ekstazy, do zaciśnięcia gardła. Cała ta opera została przyrządzona w ten sposób, że nie można sobie wyobrazić niczego lepszego. Cacko, arcydzieło inscenizacji, reżyserii, gry i smaku. Zrobić z opery teatr i równocześnie nie zatracić w tym muzyki, opery, nie jest łatwo. Utrzymać w tym takt i równowagę potrafi jedynie inscenizator wysokiej klasy. A tu Annenkov pokazał, co potrafi. Nie było w tym cienia nienaturalności, opery. Był to teatr i opera do tego stopnia związane i podane, że miało się uczucie absolutnej prawdziwości. Do tego absolutna równość wykonania. Herman śpiewał i grał między innymi, którzy śpiewali i grali tak samo dobrze jak on. Cały czas myślałem o «Reducie» przy której całym okresem wyrastałem. Najpierw w Warszawie w salach reutowych i w Pomarańczarni (Ten «Fircyk» w Pomarańczarni z «Fortuno matko, kiwnij ogonem — a gładko», które mówiłem w duchu przez całe gimnazjum będąc pytanym z matematyki), potem w Wilnie na Puhulance, potem w Warszawie w podziemiach ZUPU czy jak się to tam nazywało. Siadywałem godzinami i słucha-

łem, patrząc na Porębę, na Chmielewskiego, na Kuninę, na Jaracza, na Perzanowską, na Drabikę, na ten cały zastęp ludzi dosłownie poświęcających się dla sztuki. Pamiętam, jak płakałem, gdy Poręba, młodszy brat Jaracza i wspaniale zapowiadający się aktor, popełnił samobójstwo. Jako siedmioletni chłopak pętałem się po scenie razem z Elżunią, siedziałem na próbach, na tych nieskończonych nigdy próbach, słuchając głosu «wujcia Julka» (Osterwa był żonaty z siostrą mojej matki) i peror Limanowskiego. Patrząc na tę «Damę Pikową» cały czas równocześnie wspominałem i myślałem, że Osterwa i jego «Reduta» to była cała epoka w naszym teatrze. Osterwina, moja ciotka, to urocze zjawisko, w którym kochałem się od dziecka. «Ptak», «Papierowy Kochanek» Szaniawskiego, «Ponad śnieg» i «Przezióreczka» Żeromskiego — obraz tej zupełnie nie do opisania uroczej kobiety, która od małego traktowała mnie, jak dorosłego «Mężczyznę» i gasła powoli z uśmiechem. Jej pogrzeb w zimie 1929. Wracaliśmy z pogrzebu na piechotę we trójkę — Osterwa, Elżunia i ja. Na ulicy były stragany z tureckim miodem. Staaliśmy i wujek Julek uśmiechając się przez łyżę, kupił nam po kawałku tego miodu. Jadłem go, łykając łyżę. Wieczorem grał w jakiejś «dochodowej» farsie i cała Warszawa poszła go oglądać. Świętoszki miały mu to za złe. A on ratował się przed dojściem do granicy rozpaczy. Ileż wspomnień przewinęło mi się podczas tych siedmiu obrazów «Damy Pikowej». Pierwszy raz od początku wojny. Nigdy niczego nie wspominam, jestem cały podany naprzód. A tu nagle wszystko powróciło.

Dekoracje świetne. Przy pomocy kilku przedmiotów umieszczonych odpowiednio na tle kotar i przepojonych wystudiowanym światłem, osiągnęli nastrój, o jaki trudno w teatrze. To była CAŁOŚĆ, ta całość spotykana tak rzadko na scenie. I ta całość biła we wszystkie punkty odczucia, «brała» zupełnie i bez reszty. Od pierwszej chwili musiałem się «poddać» i byłem bez żadnych oporów, jak posłuszne medium.

Drugi obraz, przedstawiający przyjęcie u Lizy, połączony z muzyką i strojami, światłem i dekoracją wściekle sugestywną przez swą skromność, był perłą. Zresztą obraz za obrazem łączył się i pomimo różnorodności, były one utrzymane w jednym tonie, tworząc zwartą całość. Mu-

zyka Czajkowskiego, której właściwie nie lubię, jest w tym naprawdę «demoniczna». Taką muzykę mógł też stworzyć tylko Rosjanin. Wyszliśmy zupełnie oszołomieni i z poczuciem «pełni», jakie rzadko ma się w takich wypadkach. To zostaje na zawsze. 29 maja dają «Eugeniusza Oniegina». Oczywiście idziemy.

Dziś imieniny mojej matki. Przypominają mi się wszystkie imieniny, które pamiętam od lat dziecińczych. Matka... «Państwo może wychować dziecko», «Rodzina nie jest czynnikiem koniecznym w wychowaniu» itd., itd. Jakież bluźnierstwa, cóż za kretynizm. To zimno, ten chłód bijące dziś coraz bardziej od ludzi, to zdrewnienie, to wynik obumierania ciepłoty, miłości i miękkości. Ludzie bez matek i bez ojców, ludzie, jak cięte kwiaty.

9. 5. 43.

Wystawa w «Galleries Charpentier» pt. «Scènes et figures parisiennes». Jedna z najlepszych wystaw, jakie ostatnio widziałem. 10 Degasów, 2 Manety, 3 Renoiry, 13 Toulouse-Lautreców, kilka Berthe Morissot i cała kupa mniej znanych, ciągnąca się w ogonach tych komet. *La belle époque*, esencja Paryża, pikantna, podniecająca, pełna smaku. «Le café-concert» Renoira (zna się na pamięć i zawsze zachwyca, zawsze coś nowego) baletnice Degasa, Bulwary, łoża teatrów, ogrody, midinetki — całe przebogate życie Paryża w przeszło trzystu płótnach, szkicach, afiszach.

Co mnie uderza w malarstwie nowoczesnym, to pewnego rodzaju tchórzostwo. Ci ludzie tworzą tak, jakby się czegoś bali, pomimo że każdy stara się nadawać temu cechę śmiałości. Jest w tym jakaś nieprzyjemna hipokryzja. Boją się wszystkiego — światła, rysunku, koloru, z wielu rzeczy przebija paniczny strach przez zarzutem «braku oryginalności», tej zmory każdego malarza. W konsekwencji ten ogólny strach prowadzi często do większej sztancy i na tle tego mniej bojaźliwi, jak na przykład Dignimont, wypadają oryginalnie, choć może nimi nie są. Ten strach przed brakiem oryginalności jest może najbardziej widoczny w malarstwie i w poezji. No i na

pewno w muzyce. Trzy rodzaje, w których forma, czysta forma odgrywa bardzo dużą rolę. I ten wyścig staje się niebezpieczny, bo może doprowadzić do tego, że któregoś dnia zaczniemy się z powrotem zachwycać kiczami. Albo starzyzną. Z całej muzyki nowoczesnej na przykład znoszę i lubię naprawdę tylko jazz. Basia w pewnej chwili powiedziała mi: «Mam wrażenie, jakby to nie było malowane pędzlem, lecz mózgiem i nerwami». Na pewno — żyjemy w epoce myśli, przede wszystkim myśli. I dlatego i muzyka i poezja i malarstwo starają się wyrażać przede wszystkim myśl. Czy im się to udaje i czy w ogóle może się udać, to jest pytanie. W każdej dziedzinie sztuki, w której forma, kształt są zasadniczym składnikiem, wyrażenie myśli jest piekielnie trudne bez narażenia formy (lub tego, co jeszcze ciągle uważamy jako formę) na szwank. Stąd wrażenie dziwactwa. Jedynie proza wychodzi jeszcze z tego obronną ręką. Kto wie czy kiedyś sztuka nie stanie się traktatem czystej logiki. I wtedy nagle ktoś zauważy, że ciało ma kolor cielisty — i nastąpi wielkie odkrycie.

Po wystawie poszliśmy do Rebatet. Lody i ptifurki. Widok starych bab i trzeszczących we wszystkich więzaniach ramolów, pochłoniętych łakomstwem, jakoś dziwnie mnie uspokaja. Ludzie żrą i są zadowoleni. Tu przynajmniej widzi się ludzi, którzy wiedzą czego chcą i czego nie chcą. Bez kompleksów.

12. 5. 43.

W szybkim tempie likwidują «Afrika Korps». Ogłosili dziś wzięcie do niewoli von Arnima, następcy Rommla. Front afrykański przestał istnieć. Rozwiały się marzenia o Egipcie, o *rendez-vous* na Kaukazie via Azja Mniejsza i sen o marszu na Indie. Chodzą plotki, że przyczyną tak szybkiego zdobycia Tunisu i Bizerty było moralne załamanie się oddziałów niemieckich, które po prostu poddały się. W każdym razie to w niczym nie przesądza dalszych wypadków. Nie wierzę już w koniec wojny w tym roku. Teraz dopiero zaczyna się prawdziwa ofensywa powietrzna na Niemcy. Niemcy przeszli już właściwie do defensywy na całej linii. Ale są jeszcze silni.

22. 5. 43.

Na koncercie symfonicznym w «Salle Gaveau». Trzy symfonie — oczywiście romantyczne. W kinie, w teatrze, w modzie — wszędzie nawrót do romantyzmu. Mam ochotę sprawić sobie aksamitny frak i spać w szlafmocy. Romantyzm unosi się nad ulicami, przebija ze strojów, z wystaw sklepowych. W połączeniu z wiosną daje to zupełnie specjalną atmosferę, w której można zupełnie zapomnieć o wojnie. Na ulicach, w ogrodach jest zacisznie. Brak samochodów, spokój. Jeszcze chyba nigdy Paryż nie był tak piękny, jak teraz. Ludzie jeżdżą na rowerach i zwiedzają miasto. Jedna Francuzka powiedziała mi wczoraj: «*Mon Dieu*, jaki ten Paryż jest czarujący. Dopiero teraz to widzę. Co niedziela jeżdżę na rowerze po mieście...»

Pierwsza symfonia Schuberta, którą napisał, mając 16 lat, pełna jeszcze reminiscencji Mozarta i Haydna. Kolorowe wstążki na wietrze. Symfonia Schumana bez wrażenia. Dobre «*Larghetto*». Brahms nie wziął mnie.

Koncert był po południu. Gdy wyszliśmy, było jeszcze jasno. Sobotni wieczór. Tak lubię te letnie wieczory, gdy wracamy razem pod rękę po opustoszałych ulicach. Stajemy przed wystawami, plotę głupstwa i nagle zaczynam iść jakimś przedziwnym krokiem. Basia wyrywa się. «Co ty wyprawiasz?» — «To krok idioty salonowego, który wspaniale naśladował Flaubert. A to «krok wierzyciela» — specjalność Gautiera. Nie masz żadnego zrozumienia dla literatury francuskiej» — odpowiadam. Basia przechodzi na drugą stronę. Doganiam ją. «Powinnaś sobie kupić takie kolczyki, jak teraz noszą, to się na pewno z tobą rozwiodę». Paryż ugina się teraz od sztucznej biżuterii, pęka — zresztą ładnej. Zbiegamy do métra i wracamy do domu. Basia zrobi kolację, po czym nie będzie mogła mnie spędzić z fotela, do którego przyrastam razem z jakąś książką.

24. 5. 43.

W nocy z wczoraj na dziś Anglicy zbombardowali zapory wodne na Möhne i na Eder. Rozwalili zapory,

woda zalała całe okolice. Podobno straty olbrzymie i wiele ofiar. To można sobie wyobrazić. Jakie to w gruncie rzeczy smutne, choć z punktu widzenia wojennego wyczyn niesamowity. Technicznie musiało to być szalenie trudne. Ale w końcu zaczyna to być beznadziejne. To powszechne rozbestwienie, ten ogrom zniszczenia, setki tysięcy i miliony żyć ludzkich i grób, który Europa kopie dla samej siebie.

29. 5. 43.

Wieczorem na «Eugeniuszu Onieginie». Mniej udane. Brak było już tej zwartej całości, co w «Damie Pikowej». Miejscami wlokło się. Niektóre obrazy wspaniałe, ale nie związane. Przedstawienie przeciągnęło się do tego stopnia, że musieli je przerwać przed końcem ze względu na metro. W sumie nie wyszło. Na Etoile nie mogliśmy się dopchać do ostatniego pociągu na naszej linii. Był ścisk i gorąco zupełnie nie do opisanego. Ludzie pozamieniali się w dzikie zwierzęta. W końcu złapaliśmy jeszcze ostatni pociąg do Vincennes i wysiedliśmy na Reuilly-Diderot, idąc już dalej na piechotę. Noc ciemna i ciepła.

30. 5. 43.

W ciągu zeszłego tygodnia Niemcy przeszli znowu trzy ciężkie bombardowania. Essen, Dortmund, Zeiss w Jenie. Zaczyna się systematyczne niszczenie przemysłu i niemieckich miast. Po tej wojnie, gdy Niemcy i szereg zakładów przemysłowych w innych krajach będą rozwalone (to dopiero początek), cała Europa będzie spustoszona i wygłodzona. Będzie brak wszystkiego. I przyjdzie pomoc, i wszystko będzie takie szlachetne, wszystko będzie miało nazwę rzewną i bezinteresowną. Pomoc dla ludności krajów umęczonych i szereg innych pomocy. Wszystko będzie dobre... I po cichu będzie się odbudowywać Niemcy. A prasa, radio i kino będą znowu pękać od ideałów, od kołysania nowymi sloganami. Będzie się mówić SAMĄ PRAWDĘ... Raj.

A potem będą ciągnąć sznurki i jakieś nowe pajace będą sobie skakać do oczu. Zatrąciłem zupełnie rozsądek.

To dlatego, że ilekroć otworzę radio i słucham gadania zza kanału, to zamiast ordynarnego i gruboskórnego kłamstwa z tej strony, słyszę stamtąd bujanie. I jakie szlachetne, jakie piękne i pełne PRAWDY... Porzygać się można. I ci i tamci robią to samo. Dążą do zabicia myśli, zupełnego zniechęcenia człowieka do jakiegokolwiek wysiłku umysłowego. Bo tylko z bandą baranów można zrobić, co się chce. Zamiast człowieka, wychowuje się barana. I najpotworniejsze w tym to, że nawet prawdziwe barany nie protestują, choć jako zwierzęta powinnyby być mądrzejsze. Ale na pewno beczą, tylko my tego nie chcemy słyszeć. Na wszystko dać mu odpowiedź gotową i łatwowstrawną, usunąć sprzed człowieka wszelkie kłody myśli, o które mógłby się potknąć i pod wpływem upadku zacząć myśleć i rozumować. Po co ma czytać — dać mu ilustracje. Uprzedzać pytanie odpowiedzią. Odpowiedź redagować tak jasno, żeby przypadkiem nie przyszło mu na myśl poddać jej w wątpliwość. Bo wątplenie budzi myśl. Nie — statystyki, głosy uczonych, «najznakomitszych» (kapłani faraonów?) — wszystko proste, jasne, zdefiniowane jak «walka klas», «prawa historii», stalowe meble i drapacz chmur. Otumanić, zaczadzić, pozwolić zapomnieć o człowieku. Nie ruszać wnętrza człowieka — na powierzchnię, na powierzchnię, towarzysze. Świat — nowy wspaniały świat.

Gdyby nie to, że we wszystkim istnieje prawo reakcji, niezależne, można by zupełnie zwątpić. I czym głębiej spadniemy, tym silniejsza będzie reakcja. Za trzydzieści, czterdzieści lat może obudzić się nowy człowiek. Europa może stać się kulturalniejszą i wolniejszą, niż w epoce największego rozkwitu dotychczasowego. Może jeszcze dożyje tej chwili.

Ale tymczasem trzeba mieć anielską cierpliwość i wysłuchiwać tych bzdur niesamowitych, atlantycznych, apokaliptycznych. Co Walter Lippman powie, to jest święte w całej Ameryce, co Göbbels napisze i Hitler wyrzeczy, to galwanizuje cały naród. A czego Stalin nie powie i co Radio-Moskwa skomentuje stylem wypracowania chłopca z 4-ej powszechnej, to chwyta masa i łaknie «raju». Łaknie i wierzy. Jakież ubóstwo myśli w tym wszystkim, jaka tępota i dogmatyzm. Płaski, lepki, intelektualnie spocony.

31. 5. 43.

Ustawa o mobilizacji młodych. Roczniki 1920, 21 i 22 mają stawić się do rejestracji i jazda do Niemiec. Jest to niemal pobór wojskowy. Popłoch.

Potrzeba im teraz Polski. Wczorajsza «Pariser Zeitung» przytacza artykuł Agencji Stefani: «Odmawiając odegrania roli, która przypadła jej w Europie, roli, której nikt nie zaprzeczał jej, wyciągając kasztany z ognia dla nieprzyjaciół cywilizacji europejskiej od dawna czekających na okazję wojny, aby zdać na ich łaskę i niełaskę kontynent europejski. Polska zdradziła nie tylko swe własne interesy, lecz także interesy tych wszystkich narodów kontynentu, pośród których dzięki zaletom swego narodu, dzięki swej historii i swym tradycjom, mogła ona słusznie domagać się honorowego miejsca, jakiego nie miało się zupełnie zamiaru jej odmawiać».

Wspaniałe. 30 maja 1943 świat dowiaduje się, że jednak coś takiego, jak Polska, istnieje. Bo im teraz żal. Kilka milionów doskonałego żołnierza... Mogli mieć. Nie tylko nas — całą Europę. Ale trzeba było się do tego inaczej zabrać. Nie po prusku i nie po kaprałsku. Sama idea nie była głupia i to widzi się teraz coraz wyraźniej.

4. 6. 43.

Francuzi w Algierze utworzyli «Komitet Wyzwolenia Narodowego». Coś w rodzaju parlamentu. Teraz dopiero poczują się w swoim sosie. Będą teraz mogli żreć się, intrygować i gadać, gadać, gadać. Będą wyzwalać naród gębą, Giraud będzie darł koty z de Gaulle'm mniejsi z mniejszymi, szum, posłowie — wszystko będzie gadać, gadać, gadać.

6. 6. 43.

A w Ameryce odbywa się konferencja pod nazwą «Hot Springs» od miejscowości, w której się odbywa. Radzą nad podziałem produkcji światowej po wojnie. Virginia jest świadkiem homeryckich bojów o świnie, beko-

ny, cukier, owoce, zboże itd. Delegacja anglo-saksońska zaproponowała, aby Francja, Belgia, Włochy, Hiszpania i kraje skandynawskie poświęciły się hodowli i uprawie jarzyn i owoców, podczas gdy Kanada, Stany Zjednoczone, Rosja, Argentyna i Australia produkowałyby zboża. Ale Chińczycy zwąchali się z Amerykanami i nie chcą pogodzić się z innymi. Wszystkie tego rodzaju porozumienia są bezcelowe, gdy nie ma zrozumienia.

13. 6. 43.

Zielone Świąta. Cudowny dzień. Jedziemy kąpać się. Basia zbiera po kątach jedzenie, ja rzeczy. Miałbym ochotę pisać, jak Rej — z uczuciem błogiego szczęścia: «Lato gdy przyjdzie tylko sobie mówić: używaj miła duszo. Masz wszystkiego dobrego dosyć a wszakoż z bojaźnią Bożą, a z wiernym dziękowaniem Jemu». Używam, ogarnia mnie coś jak zapach «potraweczek nadobnych nagotowanych, grzanek w czaszy w rozkoszonym piwie...». Te letnie dni są pełne smaku, są przyprawione, pachnące. Życie staje się w tym ciągłym przeżyciem.

Dzień upalny. Pojechaliśmy nad wielką gliniankę pod Valenton. Jedna z niewielu dzikich plaż pod Paryżem i mało znana. Było pusto. Rozbiłem namiot, aby mieć trochę cienia i potem było już tylko słońce i woda. Nic więcej nie pamiętam. Przypomniały mi się długie godziny bezmyślnego leżenia na piasku nad morzem w Gruissan. Można nie myśleć i nie można myśleć. Język staje kołkiem w gardle i nie chce się nawet mówić. Potem skok do wody i po wyjściu z wody cudowny głód. Chleb, masło, ser, kielbasa, świeże jajka, wino. Słońce, leżenie, woda i znowu jedzenie. Do samego wieczora. Wracaliśmy już o zmroku. Na Portes de Charente jedliśmy lody z wózka i chłodziliśmy się językiem.

14. 6. 43.

Dzień szary, wiatr i zimno. Wieczorem pojechaliśmy do Robertów. Jak zwykle miło. Zaprosili nas znowu na tegoroczne wakacje do domu ich ciotki, do Chambellay.

Bardzo nas to ujęło, ale jeszcze nie wiemy, co zrobimy. Bo w tym roku chcemy mieć także trochę «naszych» wakacji — zaszyć się gdzieś w jakiejś oberży wiejskiej, dobrze jeść i robić, co dusza zapagnie. Marzymy już o takiej oberży od dawna. Jestem zmęczony.

20. 6. 43.

Basia pojechała przedwczoraj do Thoméry do R. Ja przyjechałem tam dzisiaj. Nastrój grobowy. Gdy wysiadłem z pociągu, Basia i R. powiedziały mi, że wczoraj aresztowali l. tego Hiszpana. Siedzi we Fresnes.

1. 7. 43.

Nie piszę, nie czytam, nie myślę — robię model jakiejś starej, francuskiej awionetki. Fascynujące. Wracam do domu i kleję patyczki w milczeniu, pochłonięty całkowicie rozwiązywaniem trudności montażowych. Basia spogląda na mnie jak na pomyleńca i znosi cierpliwie nieporządek w pokoju, śmieci i bałagan. Wspaniale przy tym odpoczywam.

Muszę teraz pomóc R. Wskutek zamknięcia I. ona została bez pomocy. Teraz jeżdżę i staram się, ale nie wiem czy to się na coś przyda.

2. 7. 43.

Wieczorem w «Odeonie». Lubię tę ruderę. I publiczność znośniejsza, niż w innych teatrach. Dzięki tanim biletom (teatr państwowy) dużo młodzieży, kilka «zacznych» i oszczędnych rodzin w łóżach, starsi panowie, profesorem liceów, często z wyblakłą wstążeczką orderu w przytartej klapie marynarki. Jest tu ciepło i rodzinnie — szczególnie w cichy, lipcowy wieczór, gdy na papierosa wychodzi się na wielkie schody przed teatrem i gdy z Luksemburga ciągnie zapach nocnej zieleni i wody. Wzrok gubi się w wąskich uliczkach pełnych antykwarni z książkami. Znam je wszystkie na pamięć i znam moż-

liwości każdej z nich. W czasie dłuższej przerwy sprzedają «Eskimo»-lody na patyczku. Jemy «Eskimo» w półmroku, oparci i chłodną kolumnę.

Jednoaktówka Murger'a «Le Bonhomme Jadis» pełna mansardowego romantyzmu i sentymentu dla gryzetek. Stary, dobroduszny rentier, mieszkający oczywiście w mansardzie na szóstym piętrze, ułatwia spotkanie dwojgu młodym, biednym i kochającym się lokatorom sąsiednich mansard. A gdy się spotkali, gdy wyznali sobie tajoną długo miłość, staruszek wyposaża ich swoimi oszczędnościami. Macie dzieci woreczek złota, mnie staremu wystarczy to, co mi jeszcze zostało. To wszystko w strojach z minionej epoki, naiwne, z łezką w kąciku oka.

Potem trzy akty śmiechu, *qui pro quo*, szarży Victorien Sardou. «La Papillonne» to taka choroba, na którą zapada większość żonatych mężczyzn po kilku latach małżeństwa. Jest to potrzeba zmiany miejsca, upodobań, przyzwyczajęń, potrzeba przygód i przygódek. Krótko mówiąc stan poprzedzający i sprzyjający zejściu z tak zwanych prostych dróg wierności małżeńskiej. I oto właśnie Mr. Champignac, zbyt szczęśliwy w małżeństwie, jest chory na «papillonne». Pada ofiarą i daje się uwieść kokieterii pewnej nieznanym, wyznaczającej mu spotkanie wśród pól pod gruszą, po czym daje się uprowadzić w tajemniczy sposób uroczej subretce, prowadzącej go do pewnej Włoszki, której mąż jest piekielnie zazdrosny.

Tymczasem wszystko to jest dziełem uroczej, młodej i doświadczonej ciotki żony Mr. Champignac, odgrywającej rolę tajemniczej Włoszki. *Qui pro quo*, klasyczne i niechybne, spadają jedne za drugimi, człowiek śmieje się i dobrze mu. I znowu stroje z minionej epoki, mężczyźni komiczni w swych brązowych melonikach i kraciastych paltach, kobiety urocze w sukniach z tiurniurami. Sardou szaleje, dawny, wytworny pomimo pewnych śmiałości język — perli się i czaruje.

Paryż krzykliwy, tłumny i drgający przeniósł się pod ziemię, do metra. Na powierzchni jest cisza, terkot rowerów i stary Paryż. Nad ranem pieją koguty, w podwórkach skaczą króliki. Paryż stał się intymny, jak stare i miłe mieszkanie.

5. 7. 43.

Skończyli go. W wieczornym komunikacie podali, że Sikorski znajdując się w drodze powrotnej z inspekcji na Bliskim Wschodzie, poniósł śmierć w wypadku samolotowym w Gibraltarze. Zupełnie tragiczne.

Może nie zginął wielki mąż stanu, ale na pewno ktoś, kto rozporządzał jeszcze jakim takim kredytem w Anglii i w Ameryce. Całą jego siłą było może tylko to, że był niewygodny, ale w naszej obecnej sytuacji nawet to było już siłą. Poza tym miał siłę symbolu, symbolu Polski która w nim (oczywiście dla obcych) przeżyła dotąd na wygnaniu. On i Polska, to było dla obcych niemal jedno. Miał wszędzie wstęp, wszyscy go znali. I w tych chwilach, coraz to ciemniejszych dla nas, ginie na bezrybiu ten rak uchodzący pomimo wszystko za rybę. Prześladuje nas pech. Któż został? Nikt. Nie mamy teraz nikogo. Po Darlanie przyszła kolej na Sikorskiego. Myślałem, że będzie inna kolejność. Dwa miesiące temu zaczynałem coś «przeczuwać» i nawet wkleiłem do zeszytu ten rysunek z «Petit Parisien». Kto został w Londynie? Sosnkowski. Tak — wielki generał, ale nie polityk. Jakże wspaniale urządził ta śmierć.

6. 7. 43.

Mają przeprowadzić śledztwo i dochodzenia w Gibraltarze. Trzeba by je raczej zrobić w Londynie albo w Moskwie.

Niemcy mają używanie. Propaganda niemiecka zrobiła tu z Sikorskiego prawie świętego. Dzielny, waleczny, zdolny, antybolszewicki itd. Płaczą nad nim i twierdzą, jak zwykle, że «nie było to dla nich niespodzianką». To jest ostatni wynalazek. Od czasu, jak dostają ciągle w kuper, nic nie jest dla nich niespodzianką. Wszystko wiedzą naprzód. Tylko że jakoś nie umieją wyciągać korzyści z tych jasnowidzeń. Tunis dla «miarodajnych i dobrane poinformowanych kół berlińskich nie był niespodzianką» i tak ciągle. No ale chociaż to wynaleźli. Bo my nic. Dla nas wszystko jest zawsze niespodzianką. Jak nas wykiwają i sprzedają, to będzie niespodzianka.

W każdym razie niemiła. Bo my liczymy tylko na miłe niespodzianki. Dla miłych niespodzianek jesteśmy skłonni poświęcić nie wiem ile żyć i bohaterstwa. Oczekujemy zawsze cudu. Gdybym był królem (jak mawiał pontifex economicus maximus Edward Lipiński) wydałbym edykt, że od tej chwili życie każdego Polaka jest skarbem i poświęcanie go pod jakimkolwiek pozorem jest zbrodnią. Nam się zawsze wydaje, że w polityce popłaca lojalność. Bzdura. Teraz widzę, że gdybyśmy byli poszli od początku razem z Niemcami, mielibyśmy dziś o wiele silniejszą pozycję, niż jako lojalni sprzymierzeńcy. Nawet wobec Rosjan. Gdyby dziś przyszedł ktoś do mnie z propozycją wstąpienia do jakiejś organizacji podziemnej, posłałbym go do wszystkich diabłów. Bo o co na ten przykład? O Polskę? O Polskę o której nie my będziemy stanowić? Mamy skłonność przykładania do wszystkiego miarki «przyzwoitości», lojalności itp. a nie zwykłych miarek handlowych. Gdy myślę o tym, dochodzę nieraz do zupełnie błuźnierczych konkluzji. Polska usiadła nam na mózgu i paraliżuje myślenie. Zamiast być «homo sapiens» należymy do rasy «homo polacus», do rasy ogłupionej ojczyzną, do kretyków chorobliwego patriotyzmu i nacjonalizmu.

7. 7. 43.

Wieczorem w «Bouffes Parisiennes» na «Ma cousine de Varsovie» Verneuil'a z Elwirą Popesco. Trzy akty zupełnego kretyństwa. Ale żeby to chociaż było zdecydowanie kretyńskie. Nie — koniec ma pretensje do tak zwanej «walki między uczuciem i obowiązkiem», stara się być «psychologiczny». Trudno nawet powiedzieć, jaką to ma treść. W skrócie wygląda to mniej więcej tak, że Lucienne jest żoną Burela, dawnego bankiera, zmęczonego latami pracy zawodowej. Lekarz przepisuje mu kurację — «literacką». Siedzi ten bałwan w domu i pisze — «powieść». To go ma odprężyć. Ale to siedzenie w domu męża przeszkadza Lucienne w swobodnych stosunkach z przyjacielem domu, Hubertem. Do tego Burel zaczyna coś «widzieć». I wtedy to przyjeżdża, wpada do ich domu ekscentryczna i piękna kuzynka z Warszawy — a na

imię jej Sonia. Bo Warszawa, to oczywiście tam daleko, w Rosji. Otóż Lucienne postanawia napuścić ją na swego męża i w ten sposób zyskać swobodę w swych gzi-
nach z Hubertem. Ale Burel też nie głupi. Ze swej strony chce on wyzyskać Sonię także — a jakże. I wobec tego on napuszcza ją na Huberta, dzięki czemu nie będzie musiał dzielić się żoną z tym przyjacielem. I Sonia «walczy», czyją stronę wziąć w tym «konflikcie» itd.

Elwira Popesco wspaniała, olśniewająca, rasowa i le-
ciwa już pinda rumuńska, mówiąca po francusku z wystu-
diowanie złym akcentem, za którym tutejsza tak zwana «przerafinowana» publiczność przepada, jest na pewno dobrą aktorką. To trudno zaprzeczyć. Jej zawrotny tempe-
rament porywa. Ale to i wszystko. Sonia — kuzynka z Warszawy... Ta wojna, jeżeli już nie nauczy Francuzów niczego innego (nie nauczy), to nauczy chociaż odrobiny geografii. Choć nie wiem, czy i w tym wypadku nie po-
nosi mnie optymizm.

Lola dostała list od patronki oberży, u której spędzała wakacje w zeszłym roku, że będzie miała dla nas miejsce. Jest to mała wieś-miasteczko w departamencie Sarthe, blisko Chambellay. Wezmę prawdopodobnie dłuższy urlop i część wakacji spędzimy u Robertów, część w Joué-en-Charnie.

10. 7. 45.

Między Orłem i Białogrodem jatki. Amerykanie i An-
glicy wylądowali na Sycylii. Jak długo będą się bawić z tą Sycylią i kiedy przyjdzie kolej na Włochy, na pierwsze kroki w «Festung Europa», jak to się teraz nazywa. Jesteśmy twierdzą obleganą przez Barbarzyńców. Wspaniałe jest to wzajemne wymyślanie sobie od Barbarzyńców przez wielkie «B». Bo w tym wszystkim jest jakiś straszny «circulus viciosus», jak mawiała przy byle sposobności jedna z moich wileńskich ciotek. Z jednej strony ludzie coraz mniej chcą być wolni, coraz bardziej błagają o kaj-dany, coraz bardziej chcą uniknąć wszelkiego ryzyka (wolność, to najbardziej ryzykowna operacja i w życiu oso-bistym i w życiu społecznym), a jednocześnie od rana do

wieczora trąbi się o wolności. Jakiś ci dom wariatów. Człowiek musi się trochę upić, jak ja w tej chwili (już czwarta szklanka rumu «Negrita») żeby zacząć przytomniej widzieć. Człowiek nie chce być wolny, my wszyscy mamy w gruncie rzeczy wolność gdzieś — i to od najmłodszych lat. Ledwo się trochę dojrzeje, już marzy się o kajdankach. I wobec tego znakomita większość wolnościowców — żeni się. Jak nie daleko szukając ja. I potem zaczyna się pieprzenie o wolności. I w imię wolności lata się z wywieszonym ozorem i szuka się koniecznie jakiejś wolnościowej idei. I ponieważ panuje absolutna susza w tej dziedzinie i absolutna ochota na jakieś kajdany, uplecione na ten przykład z róż, więc trzask — wybiera się jakąś ideologię, najczęściej modną (*la mode avant tout*) i wkłada się umysł i duszę i ciało. I przysięga się. Teraz wszyscy są skłonni przysięgać na taki stary szpargał, nazywający się komunizmem. Bo muszą — psiekrwie — w coś wierzyć. A jak w nic nie wierzy, to mówi, że «będzie lepiej» i że «nie ma złego, co by na dobre nie wyszło». A jak nie będzie lepiej? A jeżeli jest odwrotnie i nie ma tego dobrego, co by nie wyszło na gorsze? Jak na przykład rum. To co? To mam się wieszać albo truć tym gazem *à volonté*? A słońce to pies? A zielone drzewo to takie nic? A mruczący kot na kolanach, to nie warte życia? Koniecznie wiara, co? Wierzę w koty i w rum i w słońce i w zielone drzewa i w wolność. Chcę mieć prawo zdechnąć z głodu, jeżeli sobie nie dam rady. I żyć — na litość boską żyć trochę tak, jak mnie się podoba, a nie koniecznie tak, jak podoba się jakiejś zas... ideologii. Amen. Mam pragnienie. «Rumu Darby Mc. Graw» jak wołał kapitan Flint w Savannah. Po czym wykitował. Ale co se użył, to se użył.

Sosnkowski został mianowany wodzem naczelnym. Świetnie. Jak reakcja, to reakcja. Zresztą to jedyne wyjście, skoro nie chce się mianować zdrajców. Rosjanie w tej chwili nie potrzebują żadnych «mężów stanu» — potrzebują, tak jak zawsze potrzebowali — zwyczajnych zdrajców. Tego Londyn w wielkich rozmiarach im nie da. Więc lepiej tak. Jak się nie ma już co ratować, to chociaż honor. Jakiś Mikołajczyk premierem i jakiś Kwapiński wicepremierem. Moja babcia zapytałaby «a z jakich to?». A ja odpowiedziałbym, jak Madzia Samozwaniec: «A z

tych, babciu, nie z tamtych». Ci na pewno nie będą czterdzieści i cztery. Nawet nie dwadzieścia i jeden. Niech żyje rum i marynowane oliwki.

20. 7. 43.

Wszystko ułożone. Wyjeżdżamy 2 sierpnia do Chambellay. Zostaniemy tam tydzień. Stamtąd pojedziemy na rowerach do Joué-en-Charnie (około 60 km.) i zaszjemy się w tej oberży na dwa tygodnie. Teraz już o niczym innym nie myślę. W domu kończę na gwałt model samolotu (wściekle trudny do zmontowania, ale poradziłem sobie) i czekam na wyjazd. Będzie komedia z biletami. Na Gare Montparnasse są tak potworne ogonki, że podobno nawet Dante nie przewidział tego w swoim «Piekło». On wielu rzeczy nie przewidział. Zresztą nie wiem — *connais pas*. Jakie życie będzie nudne, gdy można będzie kupić bilet normalnie. W czym ja się wtedy «wygwizdam»?

26. 7. 43.

Wakacje... Mam już bilet i dwa miejsca zarezerwowane w kącie. Była to cała ekspedycja. Notuję to dla pokolenia, które w jakakolwiek podróż będzie się wybierać z tarasu swojego domku własnym helikopterem, albo w ogóle spędzać będzie urlop w domu kładąc się do łóżka i połykając «geograficzną pastylkę» z etykietką «Miami», «Biarritz» lub «Cannes»; śpi się trzy tygodnie śniąc, że jest się na jednej z plaż albo u jakichś wód — zgodnie z przepisem lekarza, jeżeli ktoś byłby pedantem. To dla mniej zamożnych. Bogaci będą podróżować naprawdę. Uniknie się w ten sposób ścisku. Ale tymczasem nie doszliśmy jeszcze do tego i sam fakt kupna biletów jest tak urozmaicony, że podróż wydaje się już tylko niepotrzebnym dodatkiem. Można by właściwie mieć pretensję, że po tym wszystkim trzeba jeszcze wsiadać do pociągu, jechać, przesiadać się, nie otwierać drzwi podczas ruchu pociągu, nie pluć na podłogę itd.

Bilety należy kupować na tydzień naprzód. A zatem pojechałem przedwczoraj na dworzec Montparnasse i naj-

pierw wszystko dobrze oglądnałem. Ogonki do kasy są tak długie, że gdyby Paryż nie był tak rozległy, to ci ostatni z ogonka byłiby już prawdopodobnie na wsi pod miastem. Cały Paryż wyjeżdża. W przyjaznej pogawędce z policjantem, pilnującym tego stada — zresztą spokojnego, ustaliłem dokładnie, gdzie ogonek do kasy zaczyna się ustawiać, w jakim kierunku itd. Następnie wybrałem hotel, z którego byłoby mi najbliższej do mety. Trzeba było teraz wygrać bitwę o pokój. Nie jest to takie proste. Dziś żaden hotelarz nie przyjmuje nikogo, kogo nie zna, lub kogo ktoś z jego znajomych nie polecił mu. Bez odpowiednich referencji lepiej od razu iść pod most. System ten jest obroną hotelarzy przed kradzieżą pościeli, jednego z najcenniejszych artykułów «Nowej Europy». Ktoś prosi o pokój, płaci 50 franków i ulatnia się z całą pościelą. Fachowcy nie zapominają również o firankach, serwecie i dywaniku. Małe 50 franków zamienia się z łatwością w wielkie 5.000. Toteż nieznanomy klient wzbudza w każdym «patronie» podejrzenie.

Wszedłem i zanim powiedziałem *bonjour* uśmiechnąłem się — ot tak swobodnie i naiwnie, trochę nieśmiało, z tym «słowiańskim urokiem», na który oni są tak czuli. Po czym miałem długą przemowę, pełną onieśmienia, wytwornej francuszczyzny i modnych narzekań. Po dwóch minutach czułem, że go mam. Dyskretnie wsunięta paczka papierosów z gorącą prośbą o przyjęcie ich stworzyła ciepłą atmosferę i — pokój. Dalej mówiliśmy oczywiście o wojnie, o świętym jedzeniu i o departamentach, w których najlepiej się jada. Masło, jajka i mięso decydują obecnie o wyborze miejsca letniego wypoczynku. Paryż wyjeżdża, żeby jeść. Pożegnaliśmy się, jak starzy znajomi.

Wczoraj wieczorem spakowałem się w domu: piżama, mydło, termos z kawą, pierwsze śniadanie i na wszelki wypadek drugie, sweter i książka. Namiotu nie zabrałem. O 9-ej wieczorem pojechałem «wprowadzić się». Jeżeli Św. Antoni oparł się zwycięsko wszystkim pokusom, na jakie był podobno narażony w czasie swojego sławnego kuszenia, to tylko dlatego, że nie spał w paryskim hotelu — i to przy Gare Montparnasse. Na puszczy — żadna sztuka. Bóg czy też Szatan oszczędził mu próby nocy

w hotelu przy Montparnasse i został świętym. Mnie od samego rana wydaje się, że unoszę się «in odore sanctitatis».

Dostałem wspaniały pokój, wyścielony paśowym dywanem. Łoże, jak lotniskowiec klasy «Midway». Umywalnia, bidet jak sadzawka w Alhambrze. W takim pokoju, gdy się jest samym, człowiek czuje się nieskończenie opuszczony, niepotrzebny, zapomniany... Gdy doda się do tego wstydlive światło nocnej lampki, oświetlające oblesnie cały pokój poprzez subtelny, jak damski negliz, abażur i połyski taflí wielkiego lustra (ileż ono widziało...), zapanowuje beznadziejna pustka. Ale to nic.

Rozebrałem się, skrzyłem grubego papierosa i zapaliłem go, zgasilem światło i otworzyłem okno, bo wieczór upalny. Wilgotny, ciężki upał paryski. Cisza. Jeszcze w niektórych oknach kamienic paliło się światło, z dworca dolatywał miarowy i przygłuszony oddech lokomotyw. I nagle gdzieś z kamienicy naprzeciwko, z jakiegoś ciemnego okna, doleciał poprzez duszne podwórko zduszony krzyk kobiety. Ten. Nagle wydało mi się, że jestem wilkiem i że nastawiłem uszy. Cisza — i potem jeszcze głuchszy, ten sam jęk. Było to, jak sygnał. W cichym dotąd pokoju obok mnie nagły stuk mebli. Potem zamotanie się i długi śmiech kobiety, śmiech spod zduszonych pocałunkiem ust. Śmiech samicy poprzez zaciśnięte zęby. I znowu stuk mebli. Cisza. A wtedy poprzez ścianę koło mojego łóżka, z drugiej strony, doszedł mnie inny dźwięk. Monotonny, miarowy, fabryczny niemal skrzyp łóżka. Minuta, dwie, trzy — spoglądałam na świecąca w ciemności wskazówkę zegarka — dalej to samo. Staje się to nużące, nudne i beznadziejne. «To jakiś stachanowiec» — myślę mierzając mu czas. No — nareszcie, bracie. Aż się spociłem. Cisza śmiertelna tam zapadła, za chwilę powinni wejść z noszami. Tymczasem z drugiej strony bawiono się z przytupem. Szelest i tupot bosych stóp. Drobne kroki nimfy i długie skoki fauna. Śmiech, perlisty i dźwięczny. Dźwięk szkła i pyknięcie otwieranej butelki szampana. Wyjmowana z wiaderka, butelka lubieżnie ociera się o kawałki lodu. Odczuwam potworne pragnienie i oddałbym nie wiem co za długi «flet» szampana, zimnego, «sec». Coś mnie gryzie. Zapalam światło i niemal w sam nos uderzają mi banieczi — pcheł. Paryski

szampan łożkowy. Tryskają na wszystkie strony zgrabne i zwinne. Jedną złapałem. Gaszę światło i cisza. Nagle piskliwe, przeraźliwe i tnące «Aj»... «Oczywiście — stary kawał — myślę. Włożył jej kawałek lodu do łożka pod roboczą część ciała». I śmieje się chrapliwie, ordynarnie. Teraz już i ona śmieje się. Klient ma zawsze rację. Zapalam drugiego papierosa.

Ciszę uspionego podwórka rozdziera nagle głos radia: «Na tym kończymy szósty dziennik radia brytyjskiego w języku polskim — usłyszają nas państwo znowu o godzinie pierwszej piętnaście czasu środkowo-europejskiego». Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. Kilka głuchych, poczwórnych uderzeń toczy się po podwórku. Londyn. Skończył się dziennik polski o 11,15. Tubalny głos mówi: *Ici Londres... voici notre...* Zaraz po polskim jest komunikat francuski, ktoś zawadził o koniec polskiego. Słyszę jeszcze: *Russie — les troupes russes après avoir brisé la résistance allemande dans le secteur au nord du Bielogrod, avancement sur...* Ci zawsze idą naprzód.

Spałem źle. Do późnej nocy słuchałem wszystkich możliwych komunikatów alianckich z Londynu. Ktoś od strony podwórza nie żałował głośnika. Widocznie chory na spleen okupacyjny. Nad ranem z ciężkiego półsnu obudziło mnie pianie koguta. Uwieszony w klatce przy jakimś oknie, symbol Francji obwieszczał świt. Czekałem, czy nie rozlegnie się gdzieś ryk krowy, ale nie. W tym Paryżu czwartego roku Nowej Ery wszystko możliwe. Ludzie hodują w śródmieściu króliki, kaczki, indyki, kury i gęsi, a pogoń za zbiegłym drobiem nie jest rzadkością nawet na Wielkich Bulwarach. Metrem przewozi się kozy, kartofle odważa się na automatycznych wagach na dworcach kolejki podziemnej. W mniejszych hotelach wiszą napisy: «Hodowanie drobiu w pokojach wzbronione». Jak za czasów Boileau i Le Roi Soleil.

Drzemię. Zaterkotał budzik. Jestem zdenerwowany. Jak uda mi się dojść do kasy przed piątą. Wypijam kawę, skręcam papierosa i dwadzieścia minut przed piątą wyslizguję się z kotelu. Przeskoczyłem na drugą stronę ulicy i przemykałem pod murem. Na rowerach przejechało dwóch policjantów, ale nie zauważyli mnie. Z godziną policyjną nie ma żartów. Cicho i wolno doszedłem do miejsca, gdzie zaczyna się ustawiać ogonek — i nie byłem

pierwszy. Byłem już tylko dwunasty. Ci przede mną, to zawodowcy. Sypiają gdzieś na samym dworcu, w im tylko znanych miejscach, wśród stosu wózków bagażowych, w jakichś załamaniach murów. Zarabiają w ten sposób, biorąc od biletu 150-200 franków. Licząc przeciętnie trzy bilety dziennie, mają około 20.000 franków miesięcznie, czyli tyle, ile dyrektor wielkiej fabryki, plus cały dzień wolny. Bo kasy otwierają o 7-ej rano i kto jest pierwszy, ten już przed ósmą może iść do domu. Jest to jeden z tych najbardziej może demoralizujących objawów tej wojny. Jak te setki tysiące ludzi zarabiających dzisiaj w ten sposób duże sumy potrafią po wojnie normalnie pracować i zarobkować? Jak wykorzenić z psychiki tego pokolenia ten zmysł kombinacji i liczenia na poboczne zarobki, na te poważne nieraz sumy «spadające z nieba»?

Ci tutaj rozmawiają fachowo. Na jakich liniach największy ruch, że noce są chłodne, ktoś wszczyna dyskusję, ile odstępnego powinno się brać za swoją kryjówkę, «ponieważ ja też mam zamiar zapłacić sobie wakacje. A wtedy ja będę odwaliał burżuja i ty, François, będziesz stał dla mnie po bilety». Śmiechy. Nagle otoczyło nas kilku policjantów. Spojrzałem na zegarek. Za pięć 5-ta. Mają prawo zrobić kawal. Istotnie. «Niech każdy przygotuje 15 franków kary i na komisariat» — brzmi surowy rozkaz. *Adieu les vacances* — pomyślałem. Zgromadzenie protestuje. Tymczasem policjanci śmieją się i popychają nas pod wejścia do kas. To tylko żarty. Wybuchają śmiechy i ożywione rozmowy z «władzą». Francuzi skarżą się na swoją policję — tak — bo nie znają naszej. Tu większość policji sabotuje wszystkie nakazy władz, mające na celu prześladowanie obywateli. Przed «łapankami» Żydów mnóstwo z nich uprzedzono o niebezpieczeństwie, a nieraz zdarza się, że gdy przy sprawdzaniu dokumentów na ulicy ktoś pokaże fałszywą legitymację, policjant szepnie cicho: «Dobrze podrobiona, *allez-y*» uśmiecha się i puszcza dalej. Déat, filar kolaboracji, dowcipnie napisał w swoim «L'Œuvre», że «nie jest się pewnym, czy większość policji jest pewna, ale jest się pewnym, że większość jest niepewna». Trudno o lepszy hołd.

Stajemy w porządku pod drzwiami. Dwie godziny czekania na otwarcie kas. Wybiła 5-ta i w tej samej chwili głęboką ciszą poranku targnęły stuki i tupoty.

Wszystkie bramy domów wokoło dworca trzasnęły naraz, a z nich wystartowali zawodnicy. Słychać tupot i klekot drewnianych zelówek — już wpadają pierwsi, zadyszani, bez tchu. W przeciągu pięciu minut mam poza sobą dwieście osób. Teraz będzie spokój aż do przyjazdu pierwszego metra. W międzyczasie zjeżdżają się zawodnicy kolarze. Furkają rowery. Wyścig do końca, bo nawet od miejsca, w którym ustawiają rowery. Rzuca rower na ziemię lub opiera o mur i pędzi do ogonka. Jestem głęboko przekonany, że codziennie pada tutaj kilka rekordów kolarskich w sprincie.

Wtem tupot setek nóg. Gardziel metra, jak olbrzymi gejzer, wypływa strugę ludzi. Pierwsze metro. Gęsta masa, wydobywająca się spod ziemi, płynie i zalewa długi podjazd. W przeciągu kilku minut mam poza sobą długi ogon, do 2.000 ludzi. Ci będą stali tu do wieczora. Policjanci chodzą wokoło, rozstrzygają spory i kłócą się z tymi, co im po prostu wymyślają, nie mogąc wyładować swej wściekłości na kim innym. O żadnych protokołach o obrazę władzy nie ma oczywiście mowy. Wściekłość tego tłumu jest uzasadniona: każdemu z osobna zdawało się, że będzie «pierwszy» i teraz nie może zrozumieć, jakim cudem jest już tylu przed nim. I rozumieją to policjanci. Lepiej, że mu jeden z drugim nawymyśla, aniżeli gdyby trzeba było uśmierzać bójki...

Otwierają kasy. Policjant odlicza 15 osób i wpuszcza do sanktuarium. Podchodzę do kasy mojej linii Paris-Brest, proszę o dwa dobre miejsca (wciskając *mademoiselle* 20 franków w małą rączkę) i dostaję od razu dwa miejsca w kącie wraz z miłym uśmiechem na dokładkę. Tak jest teraz wszędzie. Wszyscy dają i wszyscy biorą. Nie są to łapówki. To są *cadeaux*-podarunki. Stwarzają one intymność, stosunek urzędnika do klienta zmienia się od razu w miłą znajomość i przy jakiejś innej sposobności idzie się już do znajomego.

Odchodzę od kasy i widzę, że tłum podśpiewuje i śmieje się, że policja z ożywieniem dyskutuje z ludźmi. Pytam się, o co chodzi. Słucham i nie wierzę. Policjanci z rannej służby przynieśli wielką nowinę, nowinę zupełnie niewiarygodną: Mussolini podał się do dymisji!!! I nagle w ogonku, wśród śmiechów i hałasu, ktoś zain-tonował na melodię Tarantelli skomponowaną na miejscu

piosenkę: *Duce, Duce a démissionné, Duce, Duce on aura la paix...* Tłum podchwycił słowa i melodię i zdawało się, że pęknie z radości. Cała pogarda tego zawsze wolnego ludu, ludu dla którego wolność jest istotą życia — wszystko jedno jakiego — odezwała się w tej kpiarskiej piosence, wydrwiwającej «Cezara faszyzmu». Nie było w tym nienawiści — czuło się jedynie zupełnie niemożliwą do opisanego pogardę. Tę pogardę, jaką może mieć jedynie tłum dla błazna, którego jeszcze wczoraj musiał szanować pod grozą jako bóstwo. Równocześnie czuło się, że Mussoliniego nikt nigdy nie brał tutaj poważnie. Jestem pewny, że taka sama wiadomość o Hitlerze wywołałaby inną reakcję. Bo Hitler jest błaznem, ale niestety błaznem tragicznym, błaznem ponurym. Tłum podśpiewywał, a przechodzący obok Niemcy udawali, że nie rozumieją. Każdego z nich prowadziło tysiące szyderczych spojrzeń. Wyszedłem przed dworzec. Lubię ten plac przed Gare Montparnasse. Słoneczny ranek. Wstąpiłem na kieliszek białego wina. Miałem ochotę usiąść na progu obok wielkiego kota i grzać się w słońcu. Siedzieć i patrzeć tym wzrokiem, co tylko patrzy i nie myśli. U Duponta naprzeciwko grał automatyczny gramofon i Danielle Darrieux śpiewała «Premier rendez-vous», bulwarem mknęły kolorowe dziewczęta na rowerach, przebierając smukłymi nogami. Wziąłem kota na kolana i pochyliwszy się, szeptałem mu do ucha: mam bilety i Mussoliniego już nie ma.

29. 7. 43.

Najpierw napisali, że Duce ustąpił z powodu złego stanu zdrowia. Ale w końcu nie dało się ukryć, iż został destytuowany przez Wielką Radę Faszystowską. Władzę objął król, Badoglio utworzył rząd i dziś rozwiązano partię faszystowską. Ludzie nie zdają sobie na ogół sprawy z zupełnie wyjątkowej doniosłości tego faktu. Patrzą na to jedynie z punktu widzenia strategicznego. Tymczasem nie dostrzegają w tym rzeczy najważniejszej — jednego z największych bankructw ideologicznych, jakie świat dotąd oglądał. To nie jest upadek rządu, takiego czy innego *régime*'u, to upadek idei, która przez dwadzieścia lat panowała we Włoszech, na której mniej albo

więcej oparły się wszystkie niemal kraje Europy powojennej, która była natchnieniem dla Niemiec, dla Hiszpanii Franca, dla Turcji, dla nas. Zdawało się, że błyskawiczny upadek jej jest niemożliwy. Runęła w ciągu kilku godzin. Dzisiejszy dzień zmusi faszystów i wszystkich wierzących w „ideologie jedyne i prawdziwe” na całym świecie do krótkiego rachunku sumienia. To po prostu upadek religii — prawie to samo, co gdyby papież rozwiązał Kościół. A może nawet więcej ze względu na moment. Bankructwo idei, dla której setki tysięcy ludzi ginie od czterech lat.

Jak proroczo brzmią dzisiaj słowa tego wielkiego humanisty dwudziestego wieku, Guiglielmo Ferrero, gdy wygnany przez faszyzm, pisał w 1926 roku w swym świetnym studium «Entre le passé et l'avenir», że podczas gdy wszystkie prawie monarchie upadły po tamtej wojnie, to «jedynie faszyzm, zamiast obalić monarchię, uczynił z niej więźnia, zmuszając ją do podjęcia władzy absolutnej w nadziei, że będzie mógł się nią posłużyć: zobaczymy pewnego dnia, czy dobrze obliczył».

Dziś widzimy, że źle obliczył.

L'Être Clément, 2. 8. 45.

Leżę w łóżku, na nocnym stoliku pali się lampka. Reszta wielkiego pokoju tonie w półmroku. Pod ścianą czarny klęcznik, nad nim krucyfiks. Olbrzymia szafa bretońska z żelaznymi okuciami. W kącie stołek, a na nim mundur huzarów z lat dziewięćdziesiątych. Mundur męża Madame Bazin. Okno jest uchylone, noc mglista, zmoczona całodziennym deszczem. Z drzew, z gałęzi dotykających szyb kapią wolno krople mgły i spadają z brzękiem na blachę framugi. W ogrodzie, w lesie za rzeką śmieją się sowy. Gdzieś spadła dojrzała gruszka i klapnęła o ziemię.

W tym domu, w tym pokoju, wśród ciszy i monotonnego stuku kropel, cały dzisiejszy dzień wydaje mi się dalekim wspomnieniem. Dzisiaj rano wyjechaliśmy z Paryża. Parę godzin drogi na rowerze, kolacja w jadalni, salon, przedsiónek ze starą bronią, Madame Bazin — wszystko stało się snem, w którym trudno przypomnieć

sobie rzeczywistość. Jestem pogrążony w letargu. Słucham kropel mgły, patrzę na pokój, na fotografie kobiet w krynolinach i mężczyzn w mundurach z tamtej epoki.

Pociąg odchodził o 9-ej. Oczywiście na dworcu ścisk, ale przebrnęliśmy szczęśliwie przez wszystkie przeszkody. W pociągu było znośnie. Wychodzę kupić kilka tych pism, które są właściwie pismami niemieckimi po francusku, z tą różnicą, że łąą jeszcze bardziej, aniżeli prawdziwe niemieckie. Wracając z kiosku, zauważam że do wszystkich pociągów idących w stronę wybrzeża doczepione są z tyłu platformy z działem przeciwlotniczym. Jedziemy z obroną. Na platformie zbudowany jest mały domek «für die Mannschaft». Żołnierze gotują, suszy się bielizna. Jakiś Francuz przechodzi obok mnie i zapytuje, jak mi się podoba ten cyrk wędrowny. Odpowiadam mu, że wolę prawdziwy z prawdziwymi małpami. Ruszamy. Pogoda psuje się. Za Chartres burza z ulewnym deszczem. W Le Mans leje. W Sablé deszcz ustał. Dzień jest pochmurny i ciepły. Lubię taką pogodę. Drzemiemy. Po 1-ej dojeżdżamy do Angers. Wychodzimy z dworca.

Cichy placyk, na ulicach pusto, niebo pokryte szarymi chmurami. S p o k ó j. Wydaje się, że poza tym miastem nie ma świata. Paryż, gazety, wojna, «Wehrmachtsberichte» — przestają istnieć. Są ulice i uliczki, stary autobus kaszlący i kszuszący się, pusta kawiarnia z ogródkiem, małe bistro i kilku obywateli przy winie. Żadne sanatorium nie jest w stanie uspokoić najbardziej roztańczonych nerwów w tak krótkim czasie, jak francuska prowincja. Tu żyją jeszcze resztki tego życia zrównoważonego, tu żyje się w tej godzinie, jaką wydzwania stary zegar, a nie kilkanaście godzin lub dni naprzód. W tej jednostajności, pozornej monotonii istnienia, nie wygnano Czasu i nie zabito różności. Nic tu nie jest jednakowe, chociaż wszystko wydaje się takie same. Wszystko jest tajemniczo soczyste.

Kiedy pomyślę, że dziś już całe kontynenty jak Rosja, Stany Zjednoczone i Ameryka Południowa stały się jednakowe, że dom zbudowany nad Atlantykiem jest taki sam, jak dom zbudowany nad Pacyfikiem, że miasto nad Dnieprem jest takie samo, jak miasto nad Wołgą — robi mi się smutno. Jeżeli Amerykanin szuka wytchnienia w Europie, to właśnie dlatego, że odnajduje tu różnorod-

ność, że po kilku godzinach podróży jest rzeczywiście g d z i e i n d z i e j. Jestem na placu przed dworcem w Angers, przejadę przez szereg miasteczek i zajadę do domu Mme Bazin. Co godzina będę gdzie indziej, pomimo że miasteczka francuskie z ich szarymi domami i rzędem okiennic wydają się jednakowe. Będę pił wino, które robią tylko tutaj, a za dwa tygodnie będę jadł masło o innym smaku, niż masło bretońskie lub normandzkie. Dawno czytana «Main Street» S. Lewisa zaczyna miarowo wygrzytywać mi w głowie: «Na zachód od Pittsburga, a czasem i na wschód, zawsze ten sam skład drzewa, ta sama stacja kolejowa, ten sam garaż Forda, ta sama mleczarnia, te same domy o kształtach pudełek, te same sklepy dwupiętrowe...» to samo, te same... i tak w nieskończoność.

Tu zaczynam darzyć czułą miłością ciasne uliczki z rynsztokami, niewygodne domki i stare meble. Głupstwem jest wyrzekać się postępu, ale zbrodnią jest załinić się z zachwytem nad wielką fabryką czy czteromotorowym bombowcem, uważając je za szczyt geniuszu ludzkiego. Trzeba uznać, że człowiek potrafi bardzo wiele, uznać to za fakt zupełnie zwyczajny i wchłaniając postęp, równocześnie go dyscyplinować... Wartość zupełnie nieocenioną, zapomnianą i pogardzoną Spokoju i Ładu, może zacołanego, ale jakże wzbogacającego, czuje się tu, w ciche popołudnie. Pijąc białe wino, wskakuję cały do kieliszka i rozpuszczam się. Jestem Spokojem.

Odbieramy z bagażu rowery. Dziwnym cudem zjechały cało i zdrowo. Ale to tylko dzięki temu, że znowu połowę wiozłem ze sobą, odkręciwszy w Paryżu wszystko, co tylko można odkręcić. Tak zresztą robią teraz wszyscy. Jedynie bardzo naiwni nadają rower na bagaż z siodełkiem skórzanym, z oświetleniem, łańcuchem i pompką. Siedzę na chodniku i siodłam nasze konie.

Przez miasto idziemy na piechotę. Kocie lby i górzysto. Angers śpi, mieszkańcy snują się po ulicach, jak babie lato. Przesuwamy się pod murami i basztami ruin zamku. Wyrasta czarny i pokryty pleśnią znad bukietów kasztanów. Przechodzimy przez most na Maine. Niebo szare, na ołowianej rzece kilka barek i statek-pralnia. Pochylone lub klęczące kobiety piorą bieliznę w rzece. Biała bielizna aż razi swą białością w tych wszystkich odcie-

niach ołowiu. Kapie śpiący deszcz. Zakładamy peleryny. Są z oliwonego papieru i sztywne. Wyglądamy obydwoje, jak ciemno-zielone chrząszcze. Jedziemy. Mijamy małe Avrillé — puste i popielate. Szosa jest cicha. Zmoczony asfalt lśni i jedzie się jak po lustrze. Czasem furknie obok rower, czasem minie się kogoś, idącego brzegiem drogi. Gdy zjeżdżamy z góry, wydaje się nam, że płyniemy w próżni. Słychać tylko terkot koła i szelest peleryny. Z drzew przydrożnych dolatuje kwilenie ptaków, to znów ciężka wrona zakraka wulgarnie, lecąc leniwie. Przebiega wystraszony królik. Zza chmur wyszło słońce i rozrzuca rdzawe kolory, sącząc światło poprzez zwały mgły i wilgoci. Deszcz przestał padać. Zatrzymujemy się — m a m y c z a s. Siadamy przy drodze i jemy podwieczorek. Zapach mokrej zieleni. Sok z gruszek cieknie nam po brodzie. Dużo gruszek w tym roku. Przejżdża autobus, gnąc się dziwnie. Zapalam fajkę i jest mi po prostu dobrze. Bezgranicznie dobrze. Potem dalej, dalej... Rząd kasztanów po bokach rozwiera się, kołtunią się krzaki jeżyn, zwieszając niedbale kiście czarnych owoców. Już wielki staw, a nad nim «château» markiza de Charnassé. Pasą się owce i krowy. Woda w stawie jest twarda i spokojna. Po chwili, pomiędzy dwóch murów jeżyn wpadamy do Chambellay i jesteśmy przed domem Madame Bazin. Otwieram białą furtkę.

Przed dom wyszły obydwie panie. Witają nas. Madame Bazin całuje nas w czoło. Zbieramy rzeczy i wchodzimy do mrocznego przedsionka. I tu Madame Bazin z tą wyszukaną elegancją i równocześnie prostą wytwornością mówi nam: «Pomyślałam sobie, że przyzwyczaił się państwo do widoku z okien, do mebli, więc i w tym roku proszę mi zrobić przyjemność i zająć mój pokój na górze».

Stało się ze mną coś dziwnego. Ta zupełnie niedzisiejsza delikatność, ten «widok z okien», rzecz nic nie znacząca, a tak subtelna, całe zdanie wypowiedziane tak, jakby mi je ktoś przeczytał na głos z Balzaca — wybiły mnie zupełnie z epoki. Odnalazłem stracony czas. Pocałowałem ją długo w rękę, szepnąłem *merci* i prawie że lży zakręciły mi się w oczach. Wchodziłem wolno po schodach i wszedłem do tego żółtego pokoju, do tego samego widoku z okien, do tych samych mebli. Spojrzałem

na trawnik, na ogród, na rzekę i na łąki poza rzeką, opasane lasami na wzgórzach. Ten sam widok — po roku. Zdawało mi się, że jestem u siebie. W tym samym widoku, w tych samych meblach pozostała już cząstka mnie. Odnajduję ją teraz i rozmawiam z sobą sprzed roku. Basia usnęła, zmęczona drogą. Daleko śmieją się sowy. Wielka kropla stuknęła w blachę framugi okiennej i po czarnych drzewach przeszedł szum. Zegar na wieży kościoła wybił już pierwszą.

4. 8. 43.

W tym roku jest tu swobodniej. Może dlatego, że mniej osób. Przynoszą nam śniadanie do łóżka, potem schodzimy na dół. Nie wiem, co dzieje się ze mną, ale nie mam ochoty nawet mówić. Siadam gdzieś w kącie i milcząc kleję chłopcom mały model samolotu. Potem idę w inny kąt, siadam i patrzę gdzieś przed siebie. Snuję się po domu, pod ścianami ze starą bronią. Wchodzę do naszego pokoju i usiadłszy w fotelu, zatapiam się w bezmyślnym przesuwaniu w głowie obrazów. Jest mi dobrze. Nie chcę i nie mogę czytać, nie chcę myśleć i mówić. Patrzę z okien na trawnik przed domem. Basia siedzi na ziemi w kole szeroko rozłożonej spódniczki i maluje. Nad jej rysunkiem pochylają się główki dzieci, siedzących w milczeniu. Mogą tak siedzieć godzinami i patrzeć, jak ołówek biega po papierze, jak po rysunku rozlewa się farba. Są ciche i grzeczne — niemal zakłete. A dalej chodzi mały Filip, zataczając się w swych pierwszych wędrownkach na nogach. Czasem przysiada, rozgląda się i wygląda tak, jakby bezustannie czegoś szukał i nie mógł znaleźć.

W pokoju jest chłód starego i od lat nieopalanego domu, przez okna wpadają ciepłe powiewy. Zegar kościelny wybija dwukrotnie tę samą godzinę, by tam, w polach, mogli dokładnie ją usłyszeć. Pod wieczór niebo zaciąga się chmurami i przychodzą długie, popielate godziny. Tu wszystko jest bielsze niż u nas i nigdy nie przychodzi mi na myśl słowo «szary». Błądzą po domu i słucham Balzaca. Mówi do mnie obrazami. Gdy o popielatej godzinie oprę się o starą komodę i patrzę na po-

kój ze schowaną w murze toaletą, z krucyfiksem ponad klęcznikiem, widzę inny dom — ten nad Loire — «La Grande Bretèche». Słucham krótkiego opowiadania doktora Bianchon o Comtesse de Merret. Słucham? Nie. Raczej widzę. I tam mały *cabinet de toilette* w sypialni Mme de Merret miał cztery stopy głębokości. Przysmykam oczy i widzę ją opartą o kominek. Słyszała, jak wchodził. On — ten drugi — schował się tam. Comte de Merret zdejmuje ze ściany krucyfiks. «Przysięgam» — szepcą zbieleły wargi. «Głośniej... i powtórz: Przysięgam przed Bogiem, że nie ma tam nikogo». A potem wznoszący się wolno, cegła za cegłą, mur. Gina za nim drzwi małego *cabinet*.

To wszystko wydaje się prawdziwe, jeszcze żyje, było wczoraj. Nigdy dobrze nie wiem, czy zapach pokoi, słowa ludzi i widoki przypominają mi Balzaca, czy też on przypomina mi o nich. Czy to wszystko, to on — czy też on jest tym wszystkim. Dopiero w takich godzinach czuje się, że jest to wielkie, nieogarnione Jedno, dopiero tu rozumie się tę wspaniałą uwagę Keyserlinga, że tym, czym był dla średniowiecza Dante i jego «Boska komedia», tym dla dziewiętnastego wieku był Balzac z jego «Komedią ludzką». Nie można jej z niczym porównać.

I widziałem już mera. Był taki uprzejmy, płaski i encyklopedyczny... Widziałem także księdza chodzącego przed kościołem i czytającego brewiarz wszystkowidzącym wokoło okiem. Powiedziałem mu: *Bonjour Monsieur le curé*, a on mruknął mi: *Bonjour, bonjour*. Zna już nas, tak jak zna nas całe Chambellay. «To wszystko gaduły o stalowych językach», jak mówiła o Vendôme Rosalie, rozmawiając z Bianchon. A my też wiemy, że stara Comtesse de C., mieszkająca w tym pałacyku, nie może wytrzymać ze swoją służącą, która jest u niej od 45-ciu lat. Będą musiały się rozejść... To będzie temat do rozmów. Pojutrze ma przyjechać nowy prefekt i przemawiać do rolników. Znowu nowy prefekt. Ciągłe się zmieniają. Rząd zaczął tak ścisłą współpracę z Niemcami, że żaden porządny człowiek nie chce współpracować z rządem. W administracji jest ciągły taniec.

Wchodzę do salonu. Jest tu mnóstwo ciekawych książek. «Bernadotte», «Les Amants de Venise» — historia pobytu G. Sand i Musseta w Wenecji i jeszcze jakieś inne.

Nie mam siły wziąć ani jednej z nich do rąk. Wolę wychylić się przez okno i słuchać, jak wiatr szumi w czarnych świerkach, otaczających dom. Od strony przyległej fermy dochodzi kwakanie kaczek, pisk pompy i szum wody. Czasem w salonie siedzi Robert i pisze listy. Choczę się za pianinem i słucham skrzypu pióra po papierze. W zupełnej ciszy wokoło, dźwięk ten ma w sobie coś zupełnie niezmiernie uspakajającego. Słuchać jak ktoś pisze — to śmieszne...

5. 8. 43.

Jakie dni są tutaj długie. Jeden dzień jest tu tak długi, jak tydzień w Paryżu. Ludziom wydaje się, że życie jest tak krótkie, iż trzeba w nim zmieścić jak najwięcej. Dla mnie najczęściej dzieje się wtedy, kiedy nic się nie dzieje. Jeden dzień tutaj jest naprawdę kawałkiem życia. Co wart jest dzień, w którym ani przez chwilę nie można pomyśleć lub móc całkiem nie myśleć. Życie coraz to bardziej zamienia nas na istoty myślące do połowy, operujące strzępami, na myślących gałganiarzy. Przeciętna inteligencja człowieka współczesnego, mnie samego, przypomina raczej potłuczoną mozaikę, jakieś niesamowite «puzzle», niemożliwe niemal do złożenia w jedną całość. Fragmenty bywają olśniewające, ale brak im tego ośrodka, tego kawałka, od którego można zaczynać budowę całości. I gdy nie wiadomo, co z tych myśli złożyć, odkąd zacząć składankę, człowiek ucieka od nich.

Myśl tych ludzi tutaj nie jest wspaniała, obraca się w granicach skromnych i materialnych, jest po większej części myślą o pieniądzu, o jedzeniu i o posiadaniu, ale j e s t całością, opartą o coś. I tę stałość, ten porządek «pomimo wszystko» czuje się na każdym kroku. W całej atmosferze panuje przede wszystkim indywidualność. I może właśnie to działa tak kojąco. Tu każdy jest t y p e m, jest kimś, coś przedstawia. Po prostu dlatego, że związany jest z ziemią, z domem, z inwentarzem. Zaczynam rozumieć tutaj znaczenie własności i jej wpływu na wewnętrzne kształtowanie się człowieka. Człowiek mający coś swojego nie może stać się termitem, nie może stać się kółkiem w bezdusznej maszynie kolektywu. Jeżeli

komunizm zaczął od pozbawienia własności prywatnej, jeżeli z rolników zrobił coś w rodzaju urzędników lub robotników państwowych, to uczynił to właśnie dlatego że wyczuł niebezpieczeństwo i niemożliwość uformowania termita z człowieka związanego w jakikolwiek sposób z własnością. Jeżeli Francja, pomimo całego industrializmu wieku dziewiętnastego i dwudziestego zachowała indywidualność to dlatego, że tutaj każdy c o ś m i a ł, starał się m i e ć lub marzył, aby coś m i e ć. Wszystko jedno jaka, własność wzmacnia szkielet indywidualności. Człowiek mający coś nie potrafi czuć się jednym z wielu, będzie zawsze bardziej sobą, jedynym egzemplarzem. Ziemia i jej posiadanie wzmacnia to poczucie «unicité» do kwadratu. Dlatego wszelkie hasła ruchu robotniczo-chłopskiego wydają mi się po prostu idiotycznym kłamstwem. Robotnik nie ma nic wspólnego z chłopem — to dwa bieguny.

Jeżeli świat dzisiejszy idzie w kierunku coraz to intensywniejszego odczłowieczenia, insektyfikacji, kolektywu — to dlatego iż coraz więcej ludzi nie posiada nic, coraz więcej ludzi staje się robotnikami nie mając żadnej własności poza pewnym potencjałem pracy i inteligencji na sprzedaż. Człowiek bez własności przestaje być indywidualnym i choć wygląda to na paradoks, staje się większym egoistą, zamienia się w to, co ochrzczono zaszczytnie «szarym człowiekiem», «człowiekiem z ulicy», «nieznanym żołnierzem» (zniósłbym ten upokarzający człowieczeństwo kult n i e z n a n e g o trupa), zamienia się w liść lecący bez oporu za każdym powiewem jakiejś modnej ideologii. Jego logika staje się logiką tłumu, to znaczy żadną. Ginie t y p, giną te jedyne wydania ludzi, niepowtarzalne, niewygodne, nieraz skandaliczne, ale «nieprzemakalne» dla haseł, sloganów i kretyńskich formułek.

Prefekt, przemawiający tutaj jutro, trafi nie na tłum, lecz na zbiorowość ludzi, z których każdy będzie rozumował indywidualnie i nie da porwać się frazesom. Trzy czwarte słów, formułek i «absolutnych» prawd niczym nie udowodnionych (to szczególna cecha absolutnych prawd ideologicznych — i ich siła) — rozbije się o dom, o inwentarz, o dochód, o w ł a s n o ś ć. Cała krańcowość tak

zwanych postępowych ideologii społecznych i politycznych trafia naprawdę do przekonania jedynie tych, którzy nie mają nic. Dlatego każda rewolucja zaczyna się od rewolucji mas niczym nie związanych, nic nie posiadających, anonimowych. Ale w ich poświęceniu jest zawsze na dnie chęć posiadania. Cały komunizm kiedyś wezmą diabli tylko dlatego, że nic nie dał i nawet odebrał tę resztę, odebrał pozory. Rozleci się kiedyś pod naciskiem mas, które będą chciały c o ś m i e ć, zostanie pożarty przez własne dzieci. I czym większa ilość ludzi pozbawiona będzie własności, czegoś s w o j e g o, tym coraz to większe rzezie będą miały większe szanse powodzenia, tym łatwość umierania za byle jaki slogan, za byle ideologię rzuconą przez «proroka», wzrośnie. Zsocjalizowany świat zagraża znacznie większą ilością konfliktów, znacznie większym burdelem, niż jakkolwiek inny. Ideologiczny kolonializm będzie o wiele krwawszy niż ekonomiczny starygo typu, który miał przynajmniej tę zaletę, że był zawinięty w bardzo cienką bibułę ideologiczną. Jeszcze trochę i Rosja zagarnie kolonie w środku Europy. Ale to nie będzie kolonializm, to będzie «zwycięski marsz ideologii postępowej». Pierwsze takty tego marsza można już usłyszeć z każdego komunikatu moskiewskiego. A także koszmarny nacjonalizm, to ponętne opakowanie, w którym poda się gorzką pigułkę. Terenów nie brak — wystarczy spojrzeć na mapę świata. Całe kontynenty stoją otworem, kontynenty, które nie przeszły jeszcze przez szkarlatynę dziecięcego nacjonalizmu. Nie cieszą się, nie klaskam w dłonie. Koniec tej wojny, taki jak już zaczyna przeglądać, nie załatwi niczego i tylko wzmoże napięcia. Ale wszystko odbędzie się gładko, bo Rosja ma w swoim posiadaniu najlepszy środek usypiający — «wielką ideologię». I ta wojna, zamiast zadać śmierć wszelkim ideologiom, jest już w tej chwili propagandą innej, tak samo totalitarnej, tak samo bezwzględnej, jeszcze bardziej «egzotycznej» (z punktu widzenia człowieka cywilizacji chrześcijańskiej) niż nazizm i faszizm.

Drogą przejechał ciężki wóz na dwóch kołach, ciągnięty przez trzy konie, idące gęsiego w zaprzęgu. Ktokolwiek go spotyka, mówi «dzień dobry», zamienia kilka słów z farmerem, człapiącym obok w ciężkich sabotach. Wszyscy go znają i on zna wszystkich. On jest kimś, coś przed-

stawia. Nie gubi się w masie i nie ma tu takiego drugiego człowieka, jak on. Jego rozumowanie jutro, gdy nowy prefekt rozłoży przed nim kolorowy wachlarz formułek propagandowych, będących teraz w modzie (na ideologii jest taka sama moda, jak na kobiece kapelusze, tylko że niestety te mody są znacznie bardziej kosztowne, niż kapelusze) będzie j e g o rozumowaniem, na które złoży się sposób myślenia jego przodków, osiadłych tu od lat. Myśl jego będzie dalszym ciągiem myśli poczętej już dawno. Będzie ona surowa i sękata, ale będzie się na czymś opierać. Lecz ilość ludzi pozbawionych punktu zaczepienia ciągle wzrasta. Szary człowiek nie ma nic, nie posiada nic. Zatracił poczucie i wspomnienie swojej przeszłości, jego rozumowanie nie może być «dalszym ciągiem», bo on sam nie uważa się za «dalszy ciąg». Jest anonimem poczętym z niczego, bez korzeni, podatnym na każdy podmuch ideologiczny, na wiatarki i wichury rozpętywane coraz zreszczej i perfidniej. Szary człowiek zatracił s a m o d z i e l n o ś ć w każdej dziedzinie życia. Utraciwszy wolność fizyczną i tracąc ją coraz bardziej, traci wolność wewnętrzną, ostatnią redutę człowieczeństwa. I właściwie nie chce jej. Dziś szary człowiek n i e c h c e wolności. Dlatego z taką łatwością nagina kark pod coraz to nowe jarzma. Nie mając nic, czuje się na każdym kroku zagrożony. Bez przeszłości, lęka się teraźniejszości i przyszłości. Lęk ten powiększa się, rośnie z każdym dziesiątkiem lat. Za miraż bezpiecznej przyszłości, za łatamorganę ideologiczną teraźniejszości, daje z entuzjazmem swą wolność — rzecz bez wartości, gdy w końcu nic się naprawdę nie posiada. Masa dziś tęskni za kajdanami, jest ślepa, jest w każdej chwili gotowa zamienić swoją bezwartościową resztkę własności — na obietnice i stryczek. I będzie je miała. Tego w najbliższej i dalekiej przyszłości nie braknie.

Leżę na leżaku i strzelam fajerwerkami. Ale te fajerwerki są dla mnie często zapalnikiem. Męcę się. Z wysokich sosen spadają na drzewa owocowe wróble i wydziobują gruszkę. Prawdy leżą dalej, niż nam się to chce wzmówić. Nie wiem dlaczego, ale w tej chwili przyszło mi na myśl, że gdyby mnie dopytano, jaką postać kobiecą najbardziej kocham ze wszystkiego, co przeczytałem, odpowiedziałbym bez wahania: «Lena ze „Zwycięs-

twą" Conrada». Bo myśląc o tym wszystkim, czuję na dnie coraz częściej głuche pytanie, czy nie jestem Heystem.

6. 8. 43.

Michel dzwoni na obiad. Chodzi po całym domu, potrząsając krowim dzwonkiem. Schodzimy na dół i stajemy za krzesłami. Dzieci śpiewają krótką modlitwę straszliwie fałszywym dyszkantem. Madame Bazin siada — wszyscy za nią. Zaczyna się rozmowa, zawsze trochę bezładna. Wczoraj Rosjanie odebrali Orzeł, Anglicy zdobyli się nareszcie na zdobycie Catany, Amerykanie mają Munde. Oczywiście nikt nie wierzy w koniec wojny w tym roku. Robert, zostawszy dyrektorem wielkiej fabryki w N. zetknął się po raz pierwszy z Niemcami i opowiada mi o nich. Przypomina to opowiadanie ślepego o kolorach. Nie wydaje mi się, aby jakikolwiek Francuz był zdolny wczuć się w psychikę innego narodu. Są oni jak zły radioodbiornik — łapią tylko jedną stację: Radio-Nationale. Toteż zwykle po obiedzie, gdy siadamy w kącie salonu z kawą i cygarem, robię mu krótkie wykłady. Słucha uważnie i jak w każdym Francuzie, budzi się u niego pewien rodzaj podziwu czy może raczej szacunku dla intelektu. I — jak każdy Francuz — łapie tylko elementy czysto rozumowe. To ciekawe, że ten naród, mający takie zdolności do analizy, nie rozumie niczego, co potrąca o psychologię lub psychoanalizę. Wydaje mi się, iż popełnia się grubą pomyłkę twierdząc, że Francuzi stworzyli «powieść psychologiczną». To są powieści analityczne — rodzaj chemii nieorganicznej w literaturze. Jeden Balzac poszedł dalej, wyszedł poza granice sekcji, zimnej i precyzyjnej — i do dziś dnia pozostał niezrozumiały. Cały świat podziwia go za to, czego Francja nie rozumie zupełnie. Obcy entuzjasta Balzaca, rozmawiając z francuskim miłośnikiem tego Freuda dziewiętnastego wieku, posiada wszystkie szanse niedogadania się do końca życia. Francuz podziwia go zato wszystko, co p o w i e d z i a ł — my skłonni jesteśmy do położenia nacisku na tym wszystkim, czego on nie powiedział, a co tak wspaniale wyczuwa się. I dialog o Balzacu przypomina szyny kolejowe, które biegną

razem do jednego celu, lecz nigdy nie mogą się spotkać. W ogóle wiele rozmów z Francuzami przypomina mi szynę: zdaje mi się, że mnie rozumiał, a tu okazuje się, iż on tylko biegnie r ó w n o l e g l e. Są mistrzami chemii nieorganicznej w dziedzinie człowieka. Chemii organicznej nie są w stanie pojąć. Jest to zupełne zamroczenie jasnością — ten irracjonalny racjonalizm.

Pomiędzy jednym łykiem kawy a drugim, ciągnąc mocne cygareto, staram się w naszych rozmowach dostosować do tego. Wzmacniam żarzenie, aby przebić się przez te mroki jasności i trafić do tego najbardziej oddalonego zakątka duszy, jakim jest prawdziwe zrozumienie. Jest to dla mnie doskonałą gimnastyką, tym bardziej że francuski *esprit*, to nie tajemnicza szkatułka: otwiera się ją najczęściej nie zaklęciami i czarną magią, lecz jednym pociśnięciem ukrytego guzika. Guzik ten kryje się zawsze w doborze słów, które budzą francuski temperament lub emocjonalność. Do Francuza najłatwiej trafić poprzez temperament — błyskotką. Gdy mówię o Niemcach, opierając się na doskonałej analizie Keyserlinga o embrionalności charakteru niemieckiego, gdy mówię o ich kulcie siły, wypływającym z głębokiego poczucia wewnętrznej słabości i galaretowatości; o nacjonalizmie narodu, który ceni go tak wysoko dlatego, że stosunkowo najłatwiej wynaradawia się i podlega obcym wpływom; o nadkompensacji — nie rozumiemy się. Ale gdy rzuciłem tytuł artykułu o Niemcach Emila Ludwiga, gdy powiedziałem «bandyci i muzycy», szkatułka otworzyła się. Tytuł — błyskotka. Nie mam żadnej trudności w objaśnieniu tezy Ludwiga, że kto t a k przeżywa «Dziwiałą» Beethovena wieczorem, temu na rano nie pozostaje wiele z tego, co określa się mianem «szlachetne uczucia». Rano pozostaje bandyta — wolny, niczym nie skrępowany opryszek. *Vous comprenez, la Neuvième Symphonie constitue le dérivatif pour tous les instincts nobles et généreux — reste le bandit et l'assassin.*

Wstajemy. Rozchodząc się, słyszę, jak Robert mówi jeszcze do siebie ze śmiechem: *Bandits et Musiciens*. Trafiłem na ukryty guzik. Trzy słowa — i kontakt osobisty. Gdy mówiłem mu o nich trzy lata temu, nie chciałem wierzyć.

Po południu chodzimy nad rzekę kąpać się. Uczę pływać małego Michela. Najstarszy Jacques wykazuje już symptomy «czystego intelektu» — boi się wody i wysiłku fizycznego. Grozi mu wyrośnięcie na jedną z wielu orchidej umysłowych. Żal mi chłopca. Jakże wdzięczny jestem ojcu, że choć nieraz brutalnie, ale uformował mi ciało na obraz i podobieństwo ludzkie. Dziś równie dobrze i łatwo pływam, jak myślę. Myślę całym sobą. Nie mogę natomiast znieść i brzydzę się czystych intelektów. Bywają tak często nieludzkie. Są twarde, jak głaz lub oślizgłe, jak gad. Skaczę z mostu i płynę obok Basi. Jest nam wesoło — rozmawiamy spojrzeniami i uśmiechem.

7. 8. 43.

Pojutrze jedziemy dalej. Wielka włączęga po cichych drogach, po cichych miasteczkach. Bez zegarka, bez czasu...

Wieczorem. Pochmurno i ciepło. Powoli zapadał mrok. Drzewa, żywopłoty, zamek były płaskie. Wycinanki. Zboża już dawno zżęte i ścierniska stały się popielate. Każde pole i półko otoczone jest czworobokiem żywopłotu, z którego wyrastają powyginane dziwacznie, poskręcane i co rok amputowane na opał dzikie grusze i jabłonie. W oksydowanym mroku wyglądają jak postacie. Usiedliśmy przy drodze. Była taka cisza, że lecący chrząszcz warczał, jak silnik samolotu. Opadający liść potraçał gałęzie ze stukiem. Powietrze zamarło i nawet smukłe trawki nie drgały. Mówiliśmy szeptem. Czym bardziej ściemniało się, tym warkot latających chrząszczy stawał się częstszy.

Od czasu do czasu nurknał bezszelestnie nietoperz i zapadał aksamitnym lotem pod czarne korony drzew. A na małym półku, naprzeciwno, toczył się królik. Toczył się jak jajko. Niżej, wyżej... Stanął i słuchał. Za nim wybiegły z żywopłotów dwa inne. Jadły niewyzbierane kłosa. Po chwili wypadło ich więcej. Coraz to nowe dobiegały i półko zamieniło się w wielką salę uczt. Podskakiwały, toczyły się i zamierały w bezruchu.

Wierzyłem, że rozmawiały, śmiały się i tańczyły. Patrząc na to, staliśmy się dziećmi. Szukaliśmy wśród królików jeszcze czego... Może wróżki, co zakłęła ten zakątek

w ciszę, może małych duszków lub krasnoludków w czerwonych czapeczkach...

8. 8. 43.

Niedziela. Rano na mszy w kościele. Doskonałe kazanie. Tutejszy proboszcz, ten grand hiszpański «z domu», posiada tę kulturę, której zazdroścę im zawsze, gdziekolwiek stykam się z francuskim klerem. Odważne i mocne kazanie, zdecydowanie antytotitarne. Wspaniały styl, precyzja i umiejętność powiedzenia tylu rzeczy bez nazwania ich po imieniu przygwoździły nie tylko mnie, ale całe audytorium. Czytał najpierw o jakichś widzeniach jakiejś dziewczyny i co jej Matka Boska powiedziała. Było to jeszcze przed wojną. Trzeba przyznać, że te przepowiednie dość się sprawdziły. Ale wiele można było przewidzieć bez Matki Boskiej, a dziś jeszcze więcej. Kompletnie zagazowanie świata komunizmem znakomicie ułatwia proctwa. Ideologie, to najnowocześniejsze gazy bez żadnej odtrutki.

Potem słucham radia — walce Straussa. Zastanawiałem się, czy wszelkie wynalazki z dziedziny telekomunikacji naprawdę wzbogacają życie. Pozornie wzbogacają, naprawdę tylko urozmaicają. Czuję to specjalnie tu, odczuwam na tle głębokiego wstrząsu, jakim było to poranne kazanie. Dostrzegam najwyraźniej paradoks naszych czasów: czym bardziej technika ułatwia ludziom kontakty, zbliża kontynenty, zbliża człowieka do człowieka, dając mu coraz to lepsze środki porozumienia się na odległość, tym to porozumienie słabnie, tym bardziej ludzie stają się sobie obcy. Znika z życia kontakt osobisty — jedyny, wzbogacający i zapładniający. Dziś na każdym kroku między człowieka a człowieka wciska się Rzecz, przedmiot. Łączą się kontynenty, obcość wzrasta, człowiek staje się też przedmiotem. Znika osoba, podmiot.

Literatura współczesna zaczyna chronicznie chorować na brak Typu i ucieka się do akcji, w którą rzuca ciągle tych samych ludzi. Konflikty psychiczne współczesnego człowieka zaczynają coraz to bardziej sprowadzać się do konfliktów seksualnych, z którymi nie może on sobie poradzić, nie mając skąd czerpać odpowiedzi na

pytania instynktów, ślepych sił. Powieść współczesna, z małymi wyjątkami, staje się męcząca przez swą jedno-stajność, popada w zapomnienie, nie zostawia śladu. Zjawisko to ukazuje się we wszystkich dziedzinach sztuki, która ma coraz to większą skłonność do «mechanicznego» oddziaływania na człowieka. Literatura, muzyka, malarstwo działają dziś wstrząsami. Przypomina to elektryzację lub zastrzyk curary. Zamiast przemawiać do tych najszlachetniejszych pokładów w duszy człowieka, starają się one przede wszystkim targać nerwami. Gdy zwiedzam nowoczesne wystawy obrazów, gdy słucham nowoczesnej muzyki, mam zawsze wrażenie, że podlegam uderzeniom prądu. A tu, ze ścian tego domu, ze słów tych ludzi, co pozostały jeszcze osobami, bije jakieś dziwne ciepło. Po południu byłem u mera ostemplować rubrykę «départ» w naszych kartach tożsamości. Mr. C. był znowu niezrównany w swojej płaskości. Należy do tej kategorii ludzi, którzy są na «ty» ze wszystkim: z całą nauką, polityką, kosmogonią, geografią i solennym tonem wypowiadają wielkie myśli w rodzaju tej, że rzeczą godną uwagi jest fakt, iż wielkie rzeki przepływają u stóp wielkich miast lub wypowiadają świątły sąd z zakresu urbanistyki twierdząc, że gdyby miasta budowało się na wsi, to powietrze byłoby w nich na pewno zdrowsze. Dziesięć minut rozmowy, zapach bijący od tej kategorii dwunoga i pałogłowca w jednej osobie, działa na mnie jak zapach letniej wody z cukrem. Nudzi mnie, coś podchodzi mi do gardła. Uwaga Goncourtów, że ludzie tego pokroju pragną mieć w salonie swój portret w mundurze Gwardii Narodowej — w balonie, jest po prostu genialna.

Mówiliśmy z Mr. C. o wojnie. Jak długo jeszcze potrwa? Stwierdził figlarnie, iż wprawdzie wszystko przemawia za tym, że wojna ta jest wieczna, ale nie przerażamy się — «nawet wieczność ma swój koniec». Powiedziałem mu, że jest *très spirituel*. Miałem wrażenie, że z nadmiaru zadowolenia zatrze swe krótkie nóżki, schowane pod stołem. W uchylonych drzwiach ukazała się infantka rodu C., wystrojona i ruda dziewczynka. Powiedziałem oczywiście kilka pochlebnych uwag pod adresem tej czerwonej jałówki. Mr. C. wyznał mi «w zaufaniu», że ona jest *très intelligente* i że czyta już *nos classiques*. Nadzwyczajne? I że niedługo będzie się dla niej starał o lekcje

łaciny. Jasne? Nie mówiąc o muzyce. Ależ oczywiście. Przypomniałem sobie, że znam już taką jedną — to córka chytrego Roque z «Education sentimentale» Flauberta. Ci ludzie wspaniale ulepszają się w swoich dzieciach.

Ostatni wieczór. Po kolacji siedzieliśmy w pokoju Madame Bazin. Stawiała nam kabałę. Wszyscy śmieją się i — trochę wierzą. Robertowi wypadło wiele trudności na przyszłość. Na jego nowym stanowisku, bardzo zaszczytnym, ale ciężkim, będzie ich miał aż za wiele. Pauline w ostatnich miesiącach ciąży wygląda ślicznie. Należy do tych kobiet, które nie są kobietą, gdy nie spodziewają się dziecka. Będzie to już trzecie wojenne.

Wychodząc na górę do pokoju, patrzę jeszcze raz na starą broń i stare sztychy na ścianach, słucham skrzypu schodów.

10. 8. 45.

Jesteśmy w oberży «Pod białym koniem». Wszyscy mówią jednak «Hôtel de Cheval-Blanc». To lepiej brzmi i dodaje powagi patronom.

Wczoraj rano upakowaliśmy nasze bagaże i odprawieni przez Roberta i chłopców do najbliższej wsi, zostaliśmy sami na drodze. Pusta szosa, poranna mgiełka i zupełna cisza. W delikatnych oparach nad polami tańczyły skowronki, uwieszone w powietrzu jak gdyby na cienkiej nitce. Słysząc szum skrzydeł przelatujących nisko wron, a daleko przed nami przeskoczył przez drogę królik. Są to te chwile, które staram się zawsze uchwycić, w których udaje mi się nieraz przeżyć naprawdę nieuchwytną t e r a z. Czas. Przychodzą na myśl zapomniane «Wyznania» św. Augustyna. Czas, to przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Przeszłości już nie ma, minęła — przyszłość jeszcze nie nadeszła, a terażniejszość, rozpadająca się częściowo w przeszłości i w przyszłości, jest nieuchwytna. I właściwie trzy są czasy: terażniejszość rzeczy przeszłych, terażniejszych i przyszłych. Jadąc cichą drogą, zatopiony w jakiejś przedziwnej pełności, czuję specjalnie tę wielką fikcję czasu, nieuchwytność terażniejszości. W człowieku wszystko jest albo przeszłością, albo przyszłością. Teraz przeżywa się p o p r z e z tamte dwa czasy. Bywają

jednak momenty, gdy jest tylko to, co jest — chwile tak krótkie, że nie dające się wyrazić żadną jednostką, a jednak wspaniałe, bo pełne. Jedynie poczucie zupełnej pełności pozwala na uchwycenie tego t e r a z. Ale w takich chwilach czas w ogóle znika, nie ma go. I może właśnie ta beczasowość, to zupełne oderwanie się od matematycznego charakteru czasu, wypełnia nas obydwójce czymś zupełnie nieokreślonym, czymś bardzo, bardzo bogatym.

Setki metrów uciekają w tył, wskazówki zegarka suną naprzód, a ja jestem pomimo to w miejscu. Oczy błędzą po ścierniskach, po łąkach, po kępach drzew, gubią się w linii drogi. Wewnątrz jest cisza — wielka i pełna. Czy można powiedzieć, że się «podróżowało», gdy człowiek pokrywa setki kilometrów w kilku godzinach, zatrzymując się — albo i nie — w pewnych punktach? Jestem przekonany, że przejechawszy z Angers do Le Mans na rowerze, będę miał więcej praw i podstaw do twierdzenia, iż odbyłem prawdziwą podróż, aniżeli osobnik przebywający przestrzeń Paryż-Saigon w trzy dni. Kto z nas dwóch więcej przeżyje? Moja podróż pozwala mi na przeżycie, zbliżając wolno do celu. Cel zaciera się, nie stanowi rzeczy samej w sobie, przestrzeń staje się nie wrogiem, lecz przyjacielem, z którym rozmowa wzbogaca, rozbudowuje. Jest to jak z zagadkami na pierwszej stronie i z odpowiedziami na ostatniej. Przeskoczyć z Paryża do Saigону, to spojrzeć na zagadkę i, nie zadając sobie trudu, przeczytać rozwiązanie. To przejście od pytania do gotowej odpowiedzi. System ten nie wzbogaca, nie rozwija, nie zmusza do myślenia. Człowiek staje się wówczas istotą najbardziej podobną do pchły, jak mówi Keyserling; żadna pchła nie skakałaby beztrudnie, bez pomyłki co do punktu, w jakim ma wylądować, gdyby skacząc, musiała się jeszcze poświęcać kulturze swojego życia wewnętrznego. To, co tworzy jedyność człowieka, to właśnie jego otwartość na świat (Das weltoffene Tier M. Schellera). Ale jak można utrzymać swą otwartość na świat, jeżeli nie jest się w stanie zauważyć nic innego, jak tylko to, co możliwe jest do zobaczenia przy szybkości 500 km. na godzinę? Człowiek zamyka się, staje się pchłą.

Ten świat tutaj, te mijane wolno fermy z gnojówkami przy drodze, wielkie, dwukołowe wozy, wszystko jest

ciepłe. W Sablé pełno letników. Paryż przeniósł się tu na dwa miesiące. Stroje swobodne i eleganckie, jak na Riwierze. Wszyscy ci ludzie siedzą tutaj i nudzą się tylko po to, żeby jeść. Jedzenie jest jedyną rozrywką w tym prowincjonalnym miasteczku, posiadającym — o zgrozo — tylko jedno kino. Mnóstwo nowobogackich. Tych odróżnia się od razu. Oni nie są ubrani — są p r z e b r a n i. Jemy obiad. Popołudnie jest parne i duszne. Potem dalej. Po kilku godzinach wjeżdżamy do Joué. Kościół, plac, droga i dwa rzędy domów po bokach. Zatrzymujemy się pod oberżą. Jeden dzień włóczęgi «zdemoralizował» nas zupełnie. Wszedłszy do domu, czujemy się skrępowani. Pokoik jest malutki i ciasny, z widokiem na plac przed kościołem.

Przed kolacją myjemy się w tym głębokim talerzu, zwanym tutaj *cuvette* i schodzimy na dół. Oprócz Loli i Janki siedzą z nami patroni, jakiś młodzieniec i małżeństwo dentystów z Paryża z historyczną pięcioletnią dziewczynką. Po sali jadalnej w Chambellay, po tym języku czystym i ładnym, jak ładnym może być tylko prawdziwy francuski w ustach ludzi, umiejących się nim posługiwać, tutaj poczuliśmy różnicę. To okropne, do jakiego stopnia ogół Francuzów mówi źle po francusku. W każdym razie dentyści u nas t a k nie mówili. Za to jedzenie, jak z bajki. Paszтет, pomidory w śmietanie, sałata, ciasto i czarna kawa. Ledwo dycham.

11. 8. 43.

Powoli aklimatyzujemy się. Byłem u mera ostemplować «przybycie». Tutejszy mer ma sklep uniwersalny. Coś w rodzaju «Galleries Lafayette» w miasteczku, liczącym 700 mieszkańców. Wszelkie sprawy administracyjne chodzi się załatwiać do sklepu. Mer jest stary i sympatyczny. Na co dzień pokazuje ludziom twarz o dobrotliwo-głupawym wyrazie. Ale od święta potrafi nadać jej wygląd zupełnie inny i przegląda z niej wówczas głęboka inteligencja człowieka prostego, uszlachetnionego czasem.

Po wpisaniu daty w rubryce «przybycie» wyjął z kieszeni starannie owiniętą pieczętkę i przystawił ją na swoim podpisie. Z rozczuleniem zauważyłem, że jest to jeszcze

stara pieczętka z Republiką, z tą siedzącą Marianne, opartą ręką o coś i mającą coś wokół głowy. Na moją uwagę, że tak miło spojrzeć na ten tradycyjny symbol, zastąpiony dziś przez «Francisque» Pétaina, to znaczy obosieczny topór w pęku różg, oczywiście liktorskich (to takie młode, silne, żywe, jak obóz koncentracyjny, bojówki i milicja) — stary mer uśmiechnął się chytrze i wyznał półgłosem: «Dlatego noszę ją zawsze przy sobie, żeby mi jej nie zabrano. Ja pieczętki nie zmienię — *je suis républicain, Monsieur*». Wobec tych ludzi nie pomogą Bekanntmachungi, nakazy, ustawy i nowe, totalne hasła. Republika, z jej swobodą jednostki i poszanowaniem praw człowieka, wchodzi w skład chemiczny krwi tych starych obywateli. Deklaracja praw człowieka i obywatela, wolność i republika są uchwytnie, materialne, jak banknot, wino i chleb. Ale dziś, gdy niemiecki renesans III-ej Rzeszy, głoszony przez Vichy, wślizguje się coraz to głębiej w organizm Francji i odmładza go donosami, więzieniem, karami i obozami, coraz mniej tych ludzi pozostaje na stanowiskach. Na ich miejsce przychodzą mali zdrajcy z nowymi pieczętkami. To obosieczne — jak ów topór...

Ale nie tylko mer — prawie cała ludność jest tu «przeciw». To stąd pochodzi ten sławny już dziś w całej Francji j e d y n y obywatel, który odmówił przyjęcia kartek żywnościowych. Powiedział, że ani jego dziadek, ani ojciec nie używali czegoś «takiego» (*de ça*) i wobec tego on też dziękuje za «to» (*pour ça*). Ziemia, jaką posiada i uprawia, wyżywi go bez «tego» (*sans ça*). I tu także jest pewien stary, samotny chłop, co powiedział, że dla Niemców ziemi uprawiać nie będzie, wyniósł się z domu i żyje z pracy u drugich naprawiając buty, piece, uprząż. Ziemię oddano pod zarząd państwa, a stary chodzi i śmieje się. Ci ludzie tchną czymś innym, ożywczym, bo potrafili zostać sobą. Oparli się tym wszystkim zarządzeniom, które nas mają lepiej zorrrganizować, uodporrnić, zaharrrtować, spoić, odmłodzić, zaprowadzić nowy ład i uszczęśliwić teraz i w godzinę śmierci naszej — Amen. Psiakrew!

Są chwile, w których ogarnia mnie skrajny anarchizm — anarchizm, o jakim nie śniło się nawet tym, co na transparentach obnoszą napis «Śmierć wszystkim».

Anarchizm posunięty do hysterii, niemal do szaleństwa. Byłbym zdolny mordować z wyrafinowaniem.

Rozumiem dziś, dlaczego bezrobotny kuchcik z taką zimną krwią ucinął kieszonkowym nożem głowę komendantowi Bastylii, De Launay. On nie ucinął głowy człowiekowi, lecz Bastylii, s y s t e m o w i. Okrucieństwa rewolucji były okrucieństwami popełnianymi na systemie, na ludziach, którzy byli jego uosobieniem. Mordowano i znęcano się na systemie p o p r z e z ludzi. Ludzie ci nie liczyli się, nie było dla nich litości, bo mordowano «en passant» — patrząc w dał, słuchając nie jęków ofiar, lecz skrzypu wiązań systemu. Tam, gdzie nie morduje się ludzi, lecz c o ś poprzez nich, nie może być mowy o litości. Człowiek staje się ślepy, głuchy, nieczuły — staje się tak przedmiotowy i suchy, jak s y s t e m i o r g a n i z a c j a c j a którą obala w danej chwili. I dlatego ten pierwszy odruch, dziki, potworny w swoich następstwach jest w gruncie rzeczy niewinny. To nie jest zbrodnią. Zbrodnia zaczyna się tam, gdzie mordowanie i gwałt stają się s y s t e m e m i o r g a n i z a c j ą, gdzie stają się planowe. Rewolucje nie są okrutne tam, gdzie wchodzi w grę instynkty nieskoordynowane i w gruncie rzeczy zdrowe, instynkty masy, która «ma dość». Bezrobotny kuchcik, ucinający tępym scyzorykiem głowę De Launay'a, nie był zbrodniarzem — on miał dość i inni mieli dość. Muzyk rosyjski, rozpruwający brzuch magnata nad Wołgą miał po prostu dość. Nie oni byli zbrodniarzami. Tych Bóg na Sądzie Ostatecznym nie postawi na lewicy i znajdą oni miejsce wśród sprawiedliwych, choć ręce ociekać im będą krwią niewinnych. Ale Marat, Robespierre, Dzierżyński, Stalin, Hitler i Himmler, choć może żaden z nich nie zabił człowieka osobiście, są najpotworniejszymi zbrodniarzami. Bo ze ślepego morderstwa zrobili system, bo z wielkiego i ożywczego płomienia zrobili «wolny ogień», bo utrwalili odruch, bo skalali świętą zbrodnię. Największą zbrodnią jest skalać zbrodnię. Są wyjątki, wielkie i szlachetne, z których nie wolno robić reguły. Do nich należy zbrodnia.

D z i ś, dopiero d z i ś rozumiem krwiożerczość ludzi «mających dość», rozumiem n a p r a w d ę tego kuchcika spod Bastylii i — zazdroszczę mu. Zazdroszczę mu i rozumiem go w tych chwilach, gdy będąc zmuszony do napisania listu i nie znalazłszy w sklepie u mera białego papieru, tylko liniowany — wyrwałem z tego zeszytu

kilka kartek i piszę na nich listy. Bo rozhisteryzowany anarchizm, może głupi, ale silniejszy ode mnie, uważa pisanie na linii za ograniczenie indywidualności — osoby. Rozumiem go, gdy chodząc w Paryżu po merostwach, widzę rosnące z każdym tygodniem i miesiącem góry kartotek, adnotacyj, informacji, kwestionariuszy tajnych i jawnych. Gdy każdy z nas figuruje nie jako osoba, lecz jako numer i gdy traktuje się nas, jak tekturkę z kartoteki, o ileż ważniejszą od osoby, ode mnie, od tego wielkiego w y j ą t k u, jakim jestem w naturze, będąc c z ł o w i e k i e m. Gdy towarzyszę robotnikom skazanym na deportację na komisjach lekarskich, na których bada się na oko, pędząc ludzi, jak bydło do rzeźni. Gdy myślę o milionach ludzi za drutami, w celach i gdy boję się d o m y ś l a ć — rozumiem kuchcika spod Bastylli i rozumiem do jakiego stopnia może zafascynować człowieka dotknięcie w kieszeni — pudełka zapalek i tępego noża.

Tutaj odpoczywam. Śniadanie w pokoju, z ubraniem nie ma kłopotu. Koszulka, lniane spodnie i pantofle na sznurkowej podeszwie. Wychodzimy w pola, biorąc z sobą książkę po to, aby jej w ogóle nie czytać. Okolica pagórkowata. Między pagórkami wąskie, polne drogi. Wielkie łąki, otoczone żywopłotami. Pasą się krowy i owce.

12. 8. 43.

Nasz stół wzbogacił się o jedną osobę, będącą jego ozdobą. Comte de R., chory do wczoraj na *maladie de vacances*, czyli na niestrawność, zjawił się dziś po raz pierwszy za naszej bytności. Znalіśmy go już z opowiadań współbiesiadników. Od pierwszej chwili poczułem do niego sympatię, a przy deserze porozumieliśmy się całkowicie. Nie ma chyba nic przyjemniejszego, jak nawiązanie kontaktu w rozmowie, wznoszącej się krótkimi spiralami szybko w górę. Comte de R., wysoki i przystojny, w wieku ponad 40 lat, jest tym typowym okazem arystokracji francuskiej, który jeżeli nie jest głęboki, to w każdym razie bywa ciekawy i czarujący. W typach tego rodzaju czuje się wspaniałą technikę, wyrobienie i swobodę. Absolutna lekkość poruszania się wszędzie, w każdej roli. Doskonała umiejętność tego, co można by określić szkicowaniem —

umiejętność nie do podrobienia. Subtelny dowcip i naturalność. Przemily brak «serio» — tego «serio» ludzi, co przeżywają życie od A do Z i będąc nawet przy końcu alfabetu nie mogą zapomnieć o jego początku.

Comte de R. zaczął życie od P — stąd kryształowe wyobrażenia, brak poczucia rzeczywistości w nizinach i dziecinna naiwność sądu o dołach. Comte de R. jest demokratą i chłopomanem. Jego demokratyzm i chłopomaństwo są tak idealne i absolutne, jego opinia o doskonałości i zaletach ludu tak wygórowana, jak może się to zdarzyć właśnie tylko u arystokraty, młodzieńca 20-letniego (i to nie w naszej epoce), lub u intelektualnie abstrakcyjnego idealisty. Lecz ten idealizm, przejawiający się przeważnie w formach suchych, bezlitosnych, idealizm Robespierre'a, objawia się u niego w formie pełnej serca i sentymentu, jest pełen uśmiechu. Jego pojęcia o uszlachetniającym wpływie natury przepojone są w prostej linii ideologią J.-J. Rousseau, a jedyną do przyjęcia socjologią jest socjologia Ch. Fouriera z jego falansterami. Jest on potomkiem tego odłamu arystokracji francuskiej, która wywołała rewolucję i będąc w obliczu gilotyny, uśmiechała się, wierząc jeszcze ciągle w *bonté innée du peuple*. Toteż sądy jego pomimo całej skrajności nie są wyzywające i nie prowokują. Można traktować je tak samo, jak zamiłowanie do zbierania znaczków pocztowych. Jest to nieszkodliwa mania i czuje się z góry, że człowiek ten mając możliwość wprowadzenia w czyn swych idei na wielką skalę, nie nie byłby do tego, dzięki Bogu, zdolny. Wrodzona i wielka kultura byłaby tu naturalnym hamulcem. Widząc ludzi tego rodzaju rozumie się, dlaczego faszyzm odbezpiecza pistolet na słowo «kultura», dlaczego oni i komuniści tępią wszystkich tych, co zdradzają prawdziwe ślady kultury. Bo te ideologie wiedzą, iż człowiek tego rodzaju jest im niepotrzebny. Będąc niezdolnym do krańcowości, do zdecydowanej akcji, posuniętej do ostateczności, wymyka się każdemu totalizmowi, czarnemu, brunatnemu czy czerwonemu, i z a r a ż a innych.

Kultura, to równowaga w pojęciu Francuza. Comte de R. pomimo swego furieryzmu i przekonań o dobroci ludu — jest zrównoważony. Jego chłopomaństwo i demokratyzm są jednak manią, potępioną i wyzyskiwaną przez jego rodzinę, która uważa go za niespełna rozumu i stara

się za pomocą tego chwytu usunąć go od spadku. Spadkiem jest okoliczny «château» — cum boris et lasis. Comte de R. mieszka teraz w Joué pod bokiem tegoż zamku, aby z bliska móc krzyżować plany swego brata, pragnącego odziedziczyć zamek w całości dla siebie. «Château» stoi opieczętowany, dochody z dzierżaw wpływają do notariusza, nikt nic z tego nie ma i postępowanie spadkowe trwa. Comte de R. jako były wojskowy, attaché ambasady francuskiej w Wiedniu i w Londynie, żyje teraz ze skromnej emerytury. Brat jego, bogaty przemysłowiec, ma czas i przeciąga postępowanie spadkowe, aby wymusić na demokracji zrzeczenie się praw. Widząc takich ludzi, przypomina mi się od razu ta wspaniała w swojej trafności uwaga de Rivarola: «Są ludzie, którzy z całej swojej fortuny nie mają nic innego, jak tylko obawę, aby jej nie stracić». Comte de R. i jego brat nie mają obecnie naprawdę nic innego. Co gorsze, że inni w ogóle nic z tego nie mają... Te historie spadkowe we Francji bywają zupełnie średnio-wieczne.

Jedząc świetny biszkopt z kremem, mówimy o obecnej rzeczywistości, skaczemy z tematu na temat. Człowiek? Jeżeli dziś człowiek przedstawia tak znikomą wartość, to w pierwszym rzędzie dlatego, iż zapomniał o własnej wartości, że sam siebie w dziedzinie ducha szacuje za tanio i że zatracił poczucie swojej wyjątkowości, kimkolwiek by nie był. Nastąpiła wewnętrzna dewaluacja i deprecjacja człowieka w człowieku. Tylko to mogło doprowadzić do tego, co jeszcze pięćdziesiąt lat temu wydawało się wykluczone.

W szybkiej wymianie myśli, często półtonami, wytyczamy położenie, określamy pozycję, w jakiej znaleźliśmy się. Nauczono nas brać wszystko dosłownie, oduczono myślenia «z tolerancją». Nauczono nas przywiązywać znaczenie do słów, a nie do *s e n s u*. Oduczono poszukiwania sensu, myląc słowami ślady rozsądnych poszukiwań. Cały dziewiętnasty wiek bił nic innego, jak tylko uczył ludzi przywiązywania znaczenia do słów, wypowiedzianych przez wielkie umysły z większym lub mniejszym poczuciem odpowiedzialności. Zabrnęliśmy w ciemny scholasty-cyzm, który doprowadził do największego, być może, paradoksu naszych czasów: pokolenie wychowane w kulcie rzeczywistości, zatraciło zupełnie jej poczucie. Człowiek

dzisiejszy jest w większości wypadków barografem. Jak barograf notuje zmiany ciśnienia, nie wiedząc i nie rozumiejąc sensu zjawisk, których jest wykładnikiem, tak człowiek notuje tę rzeczywistość nie zdając sobie głębiej sprawy z tego, co się dzieje. Notuje się rzeczywistość w postaci strachu, cierpienia, beznadziejności, chwilowego odprężenia, przypływu nadziei. Ale krzywa tych zmian to tylko rezultat, to nie rzeczywistość, nie jej istota i sens.

Vous savez, Sainte-Beuve powiedział gdzieś: *Il faut subir son temps, pour agir sur lui*. Trzeba znieść (jak ból, jak mękę) swą epokę, by na nią oddziaływać. Ale nie we śnie, nie w narkozie. Są operacje, których nie wolno robić ze znieczuleniem, nawet miejscowym. Naszej epoki nie wolno operować, usypiając się optymizmem i idealizmem — w y j ą t k o w o ś c i ą. Bo coraz bardziej zaczyna chodzić nie tylko o prawa człowieka, ale o człowieka w ogóle.

Jesteśmy sami. Na ścianie tyka zegar, z kuchni dochodzi szcęk zmywanych naczyń. Są rozmowy, które pomimo czarnych konkluzyj, do jakich dochodzi się, wzmacniają. Są ludzie w tych czasach i będą w tych, co nadejdą, którym może uda się uratować resztki tego, co do tak niedawna było bezsprzecznie największą zdobyczą ludzkości: wolność inteligencji, niezależność intelektu.

Na ścianie tyka zegar. «Umysły przebudziły się — tak dobrze jest żyć» pisał cztery wieki temu Ulrich von Hutten. Czy czujesz zapach tych słów? Jest w nich wszystko.

13. 8. 43.

Ciekawa książka o wpływie pisma i języka chińskiego na myśl chińską. I właściwie okazuje się, że język i gramatyka chińska jest o wiele logiczniejsza od gramatyki cywilizacji zachodnich. Dorzucanie końcówek liczby mnogiej i końcówek żeńskich jest nielogiczne. Na przykład *trois femmes fardées*. Jeżeli wymienia się liczbę «trzy», to końcówka «s» jest zbędna, bo wiemy że chodzi o trzy kobiety, a nie o jedną. A skoro chodzi o kobiety, to dodanie końcówki żeńskiej «e» — tego drugiego «e» — jest niepotrzebne, bo przecież wiemy, że to nie mowa

o mężczyznach. Mówiąc «trzy kobieta umalowana» wiemy wszystko i zasadniczo nie zniekształcamy sensu. Słowo i jego pojęcie, to co ma ono oddać, robi się bardziej stałe. Wynikają z tego dalsze konsekwencje, z których zasadniczą jest to, iż języki zachodnie, wskutek swej plastyczności, wskutek możliwości przekręcania i — co gorsze — podstawiania pewnych słów pod myśli nie idące z nimi w parze, są bardziej abstrakcyjne i mniej podatne do wyrażania ś c i s ł e g o myśli. Przy wyrażaniu myśli jakimkolwiek językiem zachodnim istnieje po prostu olbrzymie niebezpieczeństwo p r z e j ś c i a o b o k myśli, szczególnie w dziedzinie abstrakcji, bo każde słowo ma u nas wielkie marginesy z obu stron. Toteż nic dziwnego, że w dziedzinie myślenia abstrakcyjnego i myśli abstrakcyjnych istnieje u nas prawie nieskończona ilość interpretacji, możliwych do przeprowadzenia na tym samym tekście pisanym. Wiadomo, że Biblię lub Ewangelię, nie mówiąc o Apokalipsie, Marksie, Engelsie, Heglu i Leninie, można interpretować na 1001 sposobów, że pewne wielkie idee ulegają zupełnemu zniekształceniu już na płaszczyźnie interpretacji, a cóż dopiero przy wprowadzaniu ich w czyn. W konsekwencji prowadzi to do krwawych nieporozumień. Na drugim miejscu przyczyn śmiertelności na ziemi znajdują się u nas na pewno oliary «fałszywych» interpretacji wielkich idei. Języki zachodnie okazują się właściwie za ubogie, gdy chodzi o wyrażenie pojęć rodzących się w wyższych regionach ducha i rozumu. Toteż właściwie całą myśl zachodnią wraz z jej religiami cechuje w gruncie rzeczy potworna mglistość, szczególnie gdy przekracza ona pewien poziom. Ta mglistość prowadzi do wielorakich interpretacji, oczywiście «jedynych i prawdziwych», w imię których wyznawcy tej samej wielkiej idei rzucają się na siebie, jak w tej chwili Niemcy i Rosja, dzieci tej samej filozofii niemieckiej z początków XIX wieku. Nie ma w niej żadnej doktryny o osobie, bo przecież cała doktryna Fichtego o «Ja» nie ma w sobie nic z osoby, a staje się wręcz zabójcza w hegeliańskiej doktrynie Państwa. Dwie doktryny bezsobowe, dwie doktryny Państwa, wyrastające z tego samego korzenia zwały się w najbardziej zaciekłej walce. Jeżeli zauważy się, że na Zachodzie większość najbardziej krwawych konfliktów jest wynikiem nie starcia się idei z inną ideą, lecz wynikiem walki jednej interpre-

tacji z inną interpretacją tej samej Myśli, która powinna by nas zjednoczyć, zaczynam się zastanawiać, czy nasz okrzyczany materializm nie jest też złą interpretacją pewnych idei, a raczej najwygodniejszą i najłatwiejszą. A może właśnie ten materializm jest przyczyną krwawej abstrakcyjności? Bo chcemy koniecznie uczynić uchwytym to, co powinno z natury pozostać na właściwym miejscu. Interpretując Ewangelię, wydaje się nam, że czyniąc ją bardziej uchwytą, zbliżamy się tym lepiej do Chrystusa. Tymczasem nie jestem pewny, czy właśnie wtedy nie oddalamy się najbardziej od Boga. Interpretacja «Nadczłowieka» Nietzschego doprowadziła do stworzenia «Podczłowieka», a interpretacja na wskroś materialistycznej doktryny Marksa spowodowała zabrnienie w zupełną abstrakcję obudowaną dogmatami, która wyznawcom jej uniemożliwia dostrzeganie rzeczywistości. Zakrawa to po prostu na jakiś szatański dowcip wyrządzony przez materię. Coraz częściej zastanawiam się, czy właśnie ta abstrakcyjność, to znaczy absolutne pragnienie zmateralizowania pojęć i myśli niemożliwych naprawdę do zmateralizowania, nie jest główną przyczyną naszych straszliwych nieporozumień i czy w tym wypadku nie jesteśmy wyznawcami jakiejś oszalałej religii, stokroć bardziej abstrakcyjnej i ezoterycznej od wszystkiego, co w tej dziedzinie wytworzył Wschód. Wschód nigdy nie porywał się na materializację ducha. Może objawia w tym więcej realizmu od nas?

Ideogramy chińskie, to znaczy słowa wyrażające ściśle to, na co u nas często brak słów, zmniejszają możliwość nieporozumień ideowych i — rękoczynów. Chińczycy, materializując w słowach to, co my różnie interpretując i nie mogąc dogadać się, jesteśmy skłonni «dawać do zrozumienia» w sposób czysto zewnętrzny i bolesny, poruszają się swobodniej w pewnych regionach myśli i unikają dzięki temu konfliktów lub też ograniczają je do walki w sferach ściśle im przepisanych. Oczywiście ten ścisły, wyłączny i jedyny sens słów wprowadza do myśli «granicę» i stąd to, co jesteśmy przyzwyczajeni nazywać «chińszczyzną». Ten język, ścisły i precyzyjny, zrodził równowagę myśli chińskiej i «skamienienie» — pojęcie dość względne i słuszne jedynie na tle naszej zachodniej aktywności i apoteozy działania. Jedno jest pewne, a mianowicie że po chińsku łatwiej wyrazić SENS, a to oznacza już bardzo wiele

i oszczędza wielu nieporozumień. Brak tej ścisłości słów odczuwa się szczególnie dzisiaj, gdy pewne słowa i pojęcia z nimi związane stały się tak płynne, iż te same zdania można wypowiadać przy dwóch różnych okazjach i to niezależnie od stanowiska myślowego, jakie się zajmuje. Zachód ilustruje dziś może najlepiej przypowieść o wieży Babel. Właściwie prześcignął ją — w obrębie tego samego języka dzieją się cuda. Ten sam komunikat czy komentarz, wypowiedziany niemal tymi samymi słowami w Londynie i w Moskwie jest i oznacza zupełnie coś innego. Użycie pewnych słów, jak «Wolność», »Prawo», «Demokracja», «Osoba» stało się już niemożliwe bez kilometrowego komentarza, bez określenia stanowiska myślowego, przynależności doktrynalnej, religii, pochodzenia, dziadka, ojca, mamy, zamiłowań osobistych, marki pasty do zębów, której się używa, najczęstszych snów i numeru bucików. Bez tego komentarza każde z tych pojęć może być i oznaczać tysiące różnych rzeczy, miliony wolności i miliardy praw.

Szukam wody. W tych małych rzeczkach, wijących się pomiędzy pagórkami, nie można pływać. Patron oberży pokazał mi na mapie jakieś małe jezioro o 5 km. stąd. Pod wieczór pojechałem tam. Po półgodzinnym szukaniu wpadłem nagle jakby w inny świat. Leśna dróżka rozszerzyła się w kotlinkę, a rosnące po obu stronach wielkie buki zakryły niebo. Dni teraz już coraz krótsze — tu panowała niemal noc. Po chwili zaczerpnął się przede mną stary i rozwalony młyn, drzemiący u stóp wysokiego nasypu, przecinającego kotlinkę w poprzek. Z nasypu wylewał się wąski strumień wody i, gubiąc się w ruinach młyna, wypływał spokojnie i cicho spod rozwalonych murów. Wyszedłem na nasyp. Zamknięte z obu stron zalesionymi wzgórzami i oparte o nasyp, spało ciche jezioro. Niebo było popielate, zapadał mrok i panował wilgotny upał. Temperatura i zapach cieplarni. W tej ciszy zupełnej, absolutnej, w tym zagubieniu, wśród bujnej i mięsistej zieloności wydało mi się, że cofnąłem się nagle o kilka milionów lat, w epokę dinozaurów i innych potworów mezozoicznych. Wrażenie to było tak silne, że przez chwilę myślałem o jakichś dziwnych rybach, które m u s z ą tu być, a których nie ma gdzie indziej.

Z prawej strony rozciągała się mała, kamienista plaża. Kamienie były tu czerwone, a wśród nich pełno czarnych

i suchych poduszek o długich kolcach. Jakaś dziwna roślina wodna, wyrzucona na brzeg. Woda miała odcień różowy. Na środku jeziora coś się plusnęło, a z drugiego końca, pokrytego zupełnie liśćmi nenufarów, dochodziły tajemnicze mlaskania. I znowu na środku ryba zawadziła o powierzchnię wody i przecięła ją bezszelestnie, jak nożem. Z dna wypływały bańki gazu i pękały na powierzchni. Stałem na brzegu, zapatrzony i zasłuchany. Wszystko było tu nie z tego świata. Pierwszy raz we Francji nie czułem się jak w ogrodzie. Pomimo dziwnej obawy i dreszczu wstrętu coś ciągnęło mnie ku tej wodzie. Zdjąłem szorty i koszulkę. Stałem nago i drżąc walczyłem z obrzydzeniem. Dotknięcie ręką jakiejś pływającej lodygi wstrząsnęło mną tak, jakbym dotknął węża. Uczułem grubą fałdę dreszczy na kręgosłupie. Woda była letnia, wygrzana. Ochlapałem się, zmacałem czy coś nie sterczy z dna i jak torpeda poszedłem crawlmem na sam środek.

Po kilkunastu sekundach czułem się już «swojo». Opłynąłem całe jezioro wokół. Czasem tylko, gdy zawadziłem nogą o dolną warstwę wody, lodowato zimnej, rzucałem się niespokojnie. Czułem się znowu nie na tym świecie. Woda, noc, jakiś tajemniczy czar, milczące drzewa, ciemne chmury i duszne powietrze weszły we mnie do tego stopnia, że poczułem się stworzeniem, cząstką tej mrocznej natury. I jak wtedy, gdy pociągnięty na morze przez łódź rybacką, odczepiłem się o parę kilometrów od brzegu i wracałem sam w noc księżycową, płynąc dwie godziny, tak i tu odczułem znowu tę pierwotną siłę życia: bulgotanie i pulsowanie krwi, cudowną pracę mięśni i każde uderzenie serca. Każda część mego ciała nie była częścią, była całym mną. Położyłem się na wodzie i widziałem tylko ciemne chmury, sunące po niebie wolno, potoczyście. Piłem do dna tę niesamowitą rozkosz życia. Kiedyż kocha się Boga bardziej jeżeli nie w tych momentach, gdy człowiek czuje się «tak» jego dziełem? Tym tworem natury najbardziej udałm, którego ewolucja jest bez granic, który ma jeszcze tyle przed sobą, by stać się Człowiekiem. W tych krótkich chwilach modłę się nie myślą, nie słowami, lecz całym sobą. Czuję życie.

Wróciłem na brzeg, otrząsałem się jak pies i ubrałem się. Jadąc leśnymi i polnymi ścieżkami wróciłem do

domu. Cały wieczór rozmawialiśmy z Basią o «Dysku Olimpijskim» Parandowskiego. Jego humanizm ssałem niemal od dziecka. I może dlatego będę w tych czasach trochę nieszczęśliwy...

15. 8. 43.

Po obiedzie siadamy na rowery, jedziemy nad jezioro i siedzimy nad nim do wieczora. Jest prześliczne. Codziennie odkrywamy coś nowego: jakąś dziwną roślinę wodną, wielkie paprocie lub złoże jeżyn, którymi objadamy się po wyjściu z wody. Najczęściej jesteśmy sami, czasem tylko jakiś staruszek kosi ostrą trawę nad brzegiem na podściółkę dla bydła. Gdy słońce przetoczy się ku zachodowi, połowa jezioro pogrąża się w cieniu. Na liściach nenufarów siedzą żaby srebrno-zielone i skrzeczą lub młaskają w martwej ciszy upalnego popołudnia. Niebo jest blade niebieskie, a woda spokojna i gładka jest jak błękitne lustro, na które chuchnęło się lekko. Delikatna mgielka odbiera wyrazistość kolorom. Pływamy razem, opływamy wokoło całe jezioro i suszymy się, siedząc na wielkim, różowym kamieniu. Basia siada pod parasolką. Kupiliśmy ją w okolicznym miasteczku w małym sklepiku za 14 franków. Zdziwieni tak niską ceną, dowiedzieliśmy się, że parasolki te są na składzie od 1912 roku. Starsza madame pokazała nam nawet fakturę. Kosztowała wtedy 3 franki.

Godziny są długie i idą spokojnie ze słońcem — tak, jak być powinno. Dziś niedziela. Ale nie poszliśmy do kościoła. Proboszczem jest tu ksiądz z pochodzenia Irlandczyk. Nazywa się Cunningham. Nienawiść Irlandczyka do Anglii pozostała w nim wraz z kilkoma szczątkami kropli krwi tych opozycjonistów z natury. Anglicy twierdzą, że pierwszym słowem Irlandczyka, z którym przychodzi on już na świat, jest «Nie». Tutejszy ksiądz uważa więc, że skoro w przeciwnym obozie jest Anglia, to sam ten fakt dyskredytuje go do tego stopnia, iż trzeba darzyć sympatią Niemców. Wygłasza wobec tego skrycie proniemieckie kazania, a jeżeli nie proniemieckie, to w każdym razie anty-anglo-amerykańskie. Mer w ogóle mu się nie kłania i napowiadał mi na ucho, że *il pourrait être plutôt un sultan*

qu'un prêtre... Poza tym kościelny dzwoni w ten sposób, że dostaje się gęsiej skórki i ma się ochotę zgrzytać zębami. Dzwony kościelne to przecież też instrument.

Do naszej wyprawy nad jezioro przyłączył się dzisiaj Comte de R. Pożyczył rower i pojechaliśmy razem. Wspaniałą człowiek. Całe dzisiejsze popołudnie upłynęło pod znakiem jego dowcipu. My kąpaliśmy się, a on chodził po brzegu i opowiadał nam o tutejszej okolicy, którą zna od dziecka. Oglądaliśmy tę dziwną poduszczkowatą roślinę. Podobno w pewnych okolicach to jedzą. Comte de R. przeciął scyzorykiem jedną z tych poduszczek i zrobił nam «naukowy» wykład. Była to jedna wielka i wspaniała kpina z tej profesorskości — głupiej i napuszonej, jaką niestety często spotyka się wśród ludzi nauki. Wspaniale podchwycił ten ton, przedmiotowość suchą i nie podlegającą dyskusji tych ludzi, u których nauka zabiła mądrość, serce i poczucie humoru. Siadłem na ziemi i wiłem się ze śmiechu. Przypomniały mi się niektóre marionetkowe figury moich profesorów, którzy tym tonem zastrzykiwali młodym duszom kult faktu, człowieka abstrakcji i podciągania wszystkiego pod naukę. Comte de R. szalał. Wydobywał z siebie cały zapas niesamowitych frazesów, kończąc to patriotyczną przemową o znaczeniu hodowli roślin oleistych dla państwa z powołaniem się na marszałka Pétaina. Wyłem i płakałem.

Gdy po kąpieli wyszliśmy na brzeg, Comte de R. stanął na kamieniu i zaczął nam czytać ustęp z «*Méditations sud-américaines*» Keyserlinga. Miał w sobie coś z pastora. Obwisłe ubranie i słomkowy kapelusz dodawały mu powagi. Głosem donośnym i cudownym akcentem, tym akcentem, który zachowały jedynie resztki naprawdę kulturalnych Francuzów i którego słucha się, jak muzyki — czytał: «Gdyby politycy byli ludźmi najuczciwszymi na świecie, nie pomoże to, że polityka jest z n a t u r y gwałtem, uwiedzeniem, zdzierstwem, wyzyskiem, przestępstwem i w najlepszym wypadku potwierdzeniem i zimno-egoistyczną obroną interesów osobistych. «Książę» Machiavela został nie tylko prześcignięty, lecz pozostawiony daleko w tyle przez nowoczesnego męża stanu, który przy byle sposobności mówi bez zająknięcia o ideałach i prawie. Wywiad, kontrwywiad, prowokacja, wyzyskiwanie słabości drugiego,

uparty nacisk, godny Shylocka, na traktaty lub hipokryzyjny wysiłek celem obejścia ich, wszystko to należy do rutyny każdej polityki zagranicznej, ukoronowanej powodzeniem. W tym znaczeniu nie znam zawodu bardziej nikczemnego. Najgorszy w tym zawodzie nie jest jego notorycznie kryminalny charakter, objawiający się jedynie przy sposobności, lecz jego pretensja do reprezentowania lub obrony «prawa». Polityka jest z a w s z e niesprawiedliwa, moralnie z a w s z e zła. I dlatego tyle natur zbrodniczych było wielkimi mężami stanu... Jest tu tylko j e d n o rozwiązanie nie będące ani tchórzliwym, ani podejrzanym, ani kłamliwym: uznać, iż polityka jest z rządu najniższych nizin (*bas-fonds*) w znaczeniu, w jakim funkcje kiszek należą do najniższych nizin. I z a t e m oddać te niskie elementy w służbę tego, co jest wyższe — w stopniu możliwie największym. I to wcale nie w znaczeniu machiawelicznym, w świetle którego zło jest dobrem w miarę, jak staje się użytecznym. Ani nie w sensie maksymy jezuickiej: cel uświęca środki. Lecz w tym znaczeniu, że bierze się na siebie tragiczny los, który chce, iż «*bas-fonds*» tworzą z konieczności część człowieka, że nie można ich nigdy ani umoralnić, ani uduchowić. I że jednak nie można zrealizować Dobra na ziemi, jak tylko z pomocą tego Zła, które pozostaje w i e c z n i e Złem».

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Te słowa, gwałtowne, padające jasno i dobitnie w ciszę upalną — wypowiedziane — ten tekst «zagrany» i wydobyty z liter, jak utwór muzyczny z nut, zrobił na nas wrażenie. Szczególniej na mnie. Poczułem jakieś pokrewieństwo w tej gwałtowności i nieobliczalności tych myśli. Basia, czytając nieraz to, co piśzę, powiedziała mi raz: «Staraj się hamować, temperuj się — ty masz naturę pierwszego człowieka Renesansu». Wybuchnąłem śmiechem. Miałbym ją, gdyby jakiś Renesans był na horyzoncie. Tymczasem widzę przed sobą ciemność, otchłań tępoty ideologicznej nasuwającej się na świat, jak jakaś czarna chmura, bezdeń dogmatów i scholastyki, fanatycznej i tępej religii, poczętej gdzie? W Azji. Cóż za upadek.

Mówimy z Comte de R. o tym wszystkim, co streszcza w sobie ten urywek. Ileż w nim jednak prawdy... Dziś widzimy do czego doprowadziło i do czego jeszcze dopro-

wadzi mówienie przy byle sposobności o ideale i prawie i próby uduchowiania i umoralniania tego, co z zasady nie może podlegać ani uduchowieniu, ani umoralnieniu. Gdy robię coś złego, nie ukrywam tego nigdy pod pozorami, nie usprawiedliwiam, nie umoralniam i nie uduchawiam. »wiadome zło łatwiej znieść, niż pokryte obłudą. Co doprowadza nas dzisiaj do tych koszmarnych myśli? Co jest przyczyną tych n a j w i ę k s z y c h cierpień? Nie męki fizyczne, nie mordy i prześladowania, lecz to kłamstwo, potworne kłamstwo i obłuda, to uduchowianie i umoralnianie wszystkiego. Niemcom i Rosji można by wszystko przebaczyć, gdyby popełniając to, co popełniają, nie m ó w i ł y. To t e g o nie można im przebaczyć.

17. 8. 43.

W wolnych chwilach zajmujemy się skupowaniem jedzenia. Zostaliśmy «wprowadzeni» do pewnych farm, przedstawieni farmerkom i teraz jeździmy po towar. Wysłałem już pocztą do domu dwa kilo masła i cztery tuziny jajek. Patronka przechowa nam to w lodowni aż do naszego powrotu. Ceny są tutaj takie, że wierzyć się nie chce, gdy się płaci. Mam wrażenie, że nie kupiłem, lecz ukradłem. Tuzin jajek 45 frs., kilo masła 120 franków. Mijają już cztery lata wojny, a tu wydaje się, że wojny nigdy nie było. Gdy wieczorem zajeżdżamy na farmy i rozmawiamy z farmerami (długa rozmowa przed ubiciem targu jest obowiązkiem — inaczej powiedzą, że źle wychowany i nic nie dadzą), mamy uczucie, że śnimy. Na brudnym podwórku przed domem, z zawsze taką samą gnojówką prawie pod progiem, panuje cisza zmroku. Na tle ciemniejącego nieba, rozświetlonego u dołu resztkami słońca, co dawno już zapadło pod horyzont, rysują się ostro czarne drzewa i krzaki. Dopiero o tej porze zaczynają one żyć. Każde jest inne, każde nabiera kształtów jakiejś postaci. Są wśród nich wszystkie typy, a wiek ich można określić z sylwetki. Stare grusze, dzikie, zapuszczone i pochylone, rozczochrane jabłonie. Krzaki i żywopłoty są jak tłum: burzliwe, nieokiełznane, wrzaskliwe. I ileż tu charakterów... Jadąc drogą lub czekając, aż farmerka wyniesie nam z ja-

kiegoś schowku jajka lub masło, mówimy o drzewach, jak o ludziach. Trudno nie uśmiechnąć się na widok starej wierzby klęczącej przy drodze z udaną pokorą dewotki, pełnej uległej złośliwości. Są drzewa dobre, złośliwe, ironiczne, spokojne lub pełne wewnętrznego niepokoju. To wszystko widzi się dopiero o zmroku.

Tak lubimy te godziny, w których księżyc, przekradając słońcu coraz to więcej światła, powleka resztki dnia metalicznym roztworem. Z kurników dolatuje urywany trzepot skrzydeł poprawiających się na grzędach kur. Czasem któraś zagdaka lub kwoknie przed zaśnieciem. Gdy patrzę na nie, usadowione rzędami w ciasnym kurniku, przypomina mi to przedział kolejowy. Mają miny podróżnych. W takiej pozycji nie można chyba naprawdę spać. Z klatek królików dochodzą odgłosy milczących kłótni. Są to dysputy bez słów, a irytacja wyraża się nagłym tupaniem. Króliki są mistrzami pantomimy, a w ich milczącej wściekłości jest więcej wściekłości, niż u jakiegokolwiek innego stworzenia. Skromność środków potęguje efekt. Wsłuchując się w te odgłosy twarde, siekane i brutalne, nie chce mi się wierzyć, że są one dziełem tych zwierząt, u których wszystko jest miękkością. Kaczki lubią włóczyć się po nocy. Z lubością przyklejają łapy do błota i z cichym szepceniem, przechodzącym w kwilenie, odlepiają je by przylepić się w innym miejscu. Smakowicie siorbają dziobami w gęstej zupie gnojówki, rzucając od czasu do czasu głośne kwaknięcia. Brzmi to trochę ordynarnie.

Farmerka wynosi czasem przed dom krzesła, siadamy i rozmawiamy. Twarze stają się w mroku jasnymi plamami i pozostają tylko słowa. Wypytują nas o wojnę, o Paryż. Słuchają nas, jak słucha się kogoś, kto przybył z odległych kontynentów. Lubią, gdy mówi się im o głodzie i podgłodzie w miastach, o trudnościach i wstrętnej egzystencji w wielkich skupiskach ludzkich. O bombardowaniu. Zapalają się wtedy w ich oczach iskierki ironii i czuje, że uśmiech ten staje się skurczem setek zmarszczek, z których każda wyraża utajoną radość, tę «Schadenfreude», pokrytą wyrazami współczucia. Ci z miast, zawsze dumni i butni, pogardliwie zarozumiali, patrzący z obrzydzeniem na ich brudne ręce i gnojówki przed domem, są dziś na ich łasce. Przyjeżdżają, poniżają się, skomlą i płacą każdą cenę.

Schlebiają, przysyłają prezenty i proszą. Oni to widzą tutaj i śmieją się. Sprzedając, biorąc pieniądze, dają odczuć, że przede wszystkim obdarowują, że «im się tak podoba». Niech tym z miast nie wydaje się, że pieniądź jest wszystkim.

Nas lubią. Wyczuwają jakby instynktownie, że to, co ich otacza, co stało się tak obce i egzotyczne dla Francuza z miasta, dla nas jest zrozumiałe. Opowiadamy o Polsce, o biedzie po wsiach, o tej ciężkiej walce z kapryśnym klimatem u nas. U nich połowa odrabia się sama. A kiedy podziwiamy śliczne, stare meble, przechodzące z pokolenia na pokolenie, ciężkie kredensy i wielkie szafy z żelaznymi okuciami, czują oni, że zachwyty nasz nie jest udany, nie jest pochlebstwem.

Wracamy po ciemku. Terczy cicho dynamo, zamaskowane światło reflektorka kładzie się przed nami na asfalcie. Gdzieś daleko śmieje się sowa, a na ciemnym granacie nieba nietoperze kreślą zawile linie.

19. 8. 43.

Pisałem dziś całe przedpołudnie listy. Nie lubię pisać listów, bo nigdy nie potrafię ich pisać w skrócie. Piszę zwykle o tym, o czym nie miałem sposobności porozmawiać z daną osobą. I przyszło mi przy tej robocie na myśl, jak bardzo podupadła dziś umiejętność pisania listów. Dziś właściwie już nie pisze się: jest to albo telegrafowanie, albo telefonowanie po zniżonej cenie na papierze listowym. Kogo nie stać na depezę lub na telefon, ten pisze «list». Z współczesnego życia znikła korespondencja, a w ślad za nią, lub może równocześnie, sztuka rozmowy. Ludzie przestali być czuli na sposób i formę porozumiewania się zarówno pismem jak i słowem. Styl przemysłowo-handlowy zapanował w tych dziedzinach niepodzielnie. Szkoda: Szkoda przede wszystkim korespondencji tych wielu dobrych pisarzy i wielkich umysłów dzisiejszej epoki, która nie będzie istnieć w wielu wypadkach tylko dlatego, że ludzie ci mogli się porozumieć z innymi w inny sposób, a nie listownie. Brak będzie tych choćby krótkich bilecików, które tyle mówią. Jak ten bilecik Balzaca: «Mój drogi

Posperze, (zapomniał o «r» w pośpiechu) przyjdź dziś wieczorem do Laurent-Jan'a, będą tam k.... d...., dobrze ubrane — Balzac». Przecież najwięcej warta z całego Flauberta jest jego korespondencja. Może właśnie dlatego, że przywiązywał do listów mniejszą wagę i nie torturował tu swojego stylu.

Przedłużyłem sobie urlop o dwa dni i wyjedziemy dopiero 24-go. Część rzeczy wyślemy autobusem do Le Mans, a sami pojedziemy na rowerach. Są to chyba ostatnie wakacje wojenne. W przyszłym roku nie uda się już pewnie wyjechać. Wojna trwa już cztery lata, ale dla Francji jeszcze się nie zaczęła. Dla niej i w znacznej mierze dla innych krajów zacznie się ona dopiero — po wojnie. Niemcy wytworzyli potworną w swych dalszych skutkach równowagę zupełnej nierównowagi. Gdy to pęknie, zapanuje nieopisany chaos. Francuzi śmieją się, gdy mówię im, aby oszczędzali na później. Gdy mówię fermierom, aby właśnie teraz inwestowali zawartość swych sieniaków w inwentarz i budynki, bo to, co kosztuje teraz 100 franków, będzie kosztowało po wojnie 500, patrzą na mnie podejrzliwie.

Łapiemy te spokojne chwile i magazynujemy na zapas. W tym roku nie może się już stać dużo więcej. Mogą zająć Włochy, Niemcy cofną się, jak zwykle, w Rosji i zabawa będzie trwała. W lądowanie tymczasem nie wierzę. Drugi front trzeba odłożyć na dużo później. Tymczasem nocami przelatują nad nami chmury ciężkich bombowców, lecących na Niemcy lub na Włochy. Pół godziny, godzinę nieraz, słysząc jednostajny ryk setek tysięcy koni — głęboki i złowrogi. Lecą Halifaxy, Stirlingi i długie Lancastery. Zna się je z rozrzucanych przez nie fotografii i słucha się ich wycia ze wzruszeniem. Oczywiście tylko tu, gdzie słucha się go spokojnie... W Paryżu wzruszają nas, ale inaczej.

Mijają dni ciche i słoneczne. Pogoda przesłiczna, sierpniowe upały. Pachną rozgrzane drzewa, kamienie i ziemia. Popołudnia są jakby przydymione, a krzaki przydrożnych jeżyn pokryte kurzem. Z dała dolatuje przytłumiony łoskot elektrycznych młockarni. Maszyna cichnie, połykając puszyste snopki, zwalnia i męczy się, a wyrzucający słomę, znowu łomota głośniej, swobodniej. W od-

dali rzuca przenikliwy świst mała, wąskotorowa lokomotywa, dudni i syczy groźnie, chcąc koniecznie udawać dorosłą. Migają wśród drzew miniaturowe wagoniki czerwone i zielone, wiją się i okręcają, jak pociąg na karuzeli.

Odpucawszy chwilę po obiedzie, wychodzimy do garażu po rowery. Mrużymy oślepienie słońcem oczy, a nagle przejście z chłodnego pokoju w rozpalony ogród wywołuje dreszcze. Są to chwile, w których chciałoby się nie chodzić, lecz pływać w powietrzu. Ręce i nogi stają się leniwe, myśli płaczą się. Czuję się jak mucha siedząca na starym lepie: co odklei się w jednym miejscu, to przykleja się w drugim. Siadamy na rowery i jedziemy. Budzimy się naprawdę dopiero w cieniu drzew, nad wodą lub w odświeżającym chłodzie wielkich paproci. Szukamy grzybów i suszymy je na słońcu. Jemy wielkie jeżyny, rozgrzane i słodkie. Zapachy budzą wspomnienia i napełniają mgłą tęsknoty... Rozmawiamy. Będąc we dwoje i sami, najbardziej odczuwamy pełnię wszystkiego. Miłość i przyjaźń... Trzeba tylko rozumieć, zawsze starać się rozumieć. Miłość? — Jak wszystko, tak i to wymaga pracy — zwyczajnej, codziennej. Nawet miłości nie można puszczać bez steru, na wiatr. Nic nie jest tak omylne, jak tak zwane «nieomylne instynkty».

21. 8. 45.

Pojechałem dziś z tym tutejszym młodzieńcem do Sainte-Suzanne. Jest to małe miasteczko, odległe od Joué o 30 km. i uznane (*classé*) jako zabytek architektoniczny. Młodzieniec skończył «Arts et Métiers», ma 22 lata i tytuł inżyniera. Jedynek, typowy tutejszy *fils à papa*. W miarę pewny siebie, w miarę ograniczony, sporo dobrych chęci pomimo storturowania umysłowego, jakiego dopuszczano się na nim bezkarnie przez szesnaście lat. Studiuję go jako okaz tego, do czego doprowadza system wykształcenia abstrakcyjnego, w którym człowiek jest równaniem algebraicznym, a cały świat i ludzkość królikiem doświadczalnym.

Rozmowa z moim towarzyszem jest trudna. Wszystkie moje usiłowania rozszerzenia natrafiają na zmysł ścieśniania. Żeby przeszło przez szyjkę do butelki, w której buduje

się kapliczkę ideologiczną, system. Długa praca w pocie czoła, praca rozpoczęta w XVIII wieku, gdy taki Helvetius potrafił powiedzieć, iż z najskromniejszego pastucha alpejskiego można dobrowolnie zrobić Likurga lub Newtona, praca kontynuowana przez cały XIX wiek, wydała dzisiaj dopiero swoje owoce. Właśnie z malarza pokojowego i kaprała mamy coś na kształt Likurga, a z niedosłego popa gruzińskiego nowoczesnego Peryklesa, półboga. Pracowało się na to naprawdę wydajnie, Painlevé, zostawszy ministrem, powie w jednej ze swoich mów, iż całą swą politykę opierał na ścisłości zasad geometrii. A cóż innego dzieje się dziś na świecie? Ten młody chłopak tak samo, jak miliony innych młodych w Niemczech, w Sowietach, w Stanach Zjednoczonych i w Azji wierzy, że «wszystko da się zrobić» w myśl tej lub innej teorii, ideologii, systemu. G. Ferrero pisał po tamtej wojnie, że jeżeli cywilizacja starożytna upadła, to dlatego, że w pewnym momencie straciła ona nadzieję na ulepszenie Państwa. Nasza cywilizacja narażona jest na ruinę z przyczyny wręcz przeciwnej: wierzy ona za bardzo w możliwość wszystkich postępów z postępem politycznym włącznie. Co oznacza «postęp polityczny» i wiara, ślepa wiara, w jego możliwości, wiemy to dzisiaj. Rozwijając swą myśl, Ferrero pisze dalej: «W sumie czujemy się tak pewni w naszej mocy stworzenia doskonałego Państwa, iż nie wahamy się poświęcić mu dóbr ocenianych jeszcze wczoraj jako wartości nie dające się obliczyć: na przykład wolność. Starożytni chcieli udoskonalić Państwo, lecz wiedzieli oni, że są w stanie udoskonalić je jedynie w pewnych granicach. My straciliśmy poczucie tych granic. Rozumujemy na temat instytucji politycznych tak, jakby były one z wosku i jakby każda generacja mogła je kształtować według swojego pomysłu; jakby można im było narzucić wszystkie zmiany i rezultaty, jakich wymaga nasza koncepcja dobra publicznego; tak, jakbyśmy mieli swobodę wyboru pomiędzy wszystkimi doktrynami politycznymi, jakie umysł ludzki zdolny jest stworzyć...»

I właśnie w tych milionach «odchowanych» młodych ludzi przestało istnieć poczucie granicy. W myśl tej innej teorii lub chwilowej półprawdy, przekreśla się wszystko. Młodość była zawsze idealistyczna, buntownicza, symplisticzna w swoich rozumowaniach, apodyktyczna. Jest to

zupełnie rozumiałe. Ale gdy patrzę na dzisiejszą młodzież, zauważam rzecz zupełnie monstrualną: pełną równowagi zimnokrwistość. To nie jest idealizm burzliwy i gorący, idealizm błyszczących oczu, rozdętych nozdrzy i purpury policzków, gromów rzucanych na lewo i na prawo, przyspieszonego pulsu. Jeszcze w nas, w moim pokoleniu, była przede wszystkim gorąca negacja, zdrowy anarchizm z jednoczesnym pragnieniem dobra i szlachetności, ciepłym i młodym. Dziś ten młody chłopak, a z nim miliony innych, wiedzą w sposób przerażający, czego chcą, rozumują na zimno i «naukowo». Ludzkość, najbardziej złożone zagadnienia życia, są w ich rękach muchą, której odrywa się skrzydła, nogi, głowę. Bo tego wymaga jakaś teoria, system lub ideologia. I oni w i e r z ą. To jest może najpotworniejsze. Oni c h c ą w i e r z y ć. Coraz częściej, w zetknięciu z tą nową umysłowością, mam wrażenie jakbym patrzył na kunsztownie wypiłowaną laubzegą kapliczkę, umieszczoną w butelce. Cały proces wychowania dzisiejszego w Niemczech, w Ameryce, a szczególnie w Sowietach — idzie po linii misternego piłowania rozumu i układania kapliczek w butelce. Ta wojna jest już wynikiem tego kierunku rozwoju umysłowego, bo wszystkie ustroje powojenne, takie czy inne, były «udoskonalaniem» bez poczucia granicy. Komunizm doszedł w tym do zupełnej aberracji. Życie mści się okrutnie, tym okrutniej, czym bardziej ucieka się od niego w dziedzinę teorii, utopii, ślepej WIARY w system. Gdy Francja w czasie Rewolucji fabrykowała jedną konstytucję po drugiej, Young uśmiechał się z politowaniem i pisał po drugiej stronie Kanału La Manche: «Jakaż nieostrożnością jest rzucać się w objęcia teorii by stworzyć konstytucję». Dziś prawdopodobnie porzygałby się na widok tego, co dzieje się na świecie. Nie tylko konstytucje — całe systemy, ba — człowieka nowego chce się stworzyć, rzucając się w objęcia teorii. I jakich... Teorii interpretowanych przez kaprali i chamów gruzińskich, tatarskich, stepowych.

Renesans? Renesans zaczął się od utraty wiary, człowiek Renesansu zaczął zastanawiać się, myśleć, krytykować, NIE WIERZYĆ. A my co? My na grandę chcemy wierzyć, chcemy ucześcić się jakiejś innej tratwy, odczepiwszy się od religii, tego «opium dla ludu». I co? I wobec tego narkotyzujemy się ordynarnymi namiastkami. Komunizm

jest dziś takim samym «opium dla ludu», jak kiedyś religia. Ma jednak tę wadę, iż jest doświadczalnie sprawdzalny. I na tym się potknie. Bo jeszcze ciągle wierzę, że człowiek nie jest zupełnym durniem, że pokolenia za pokoleniem, bez końca, nie uda się oszukiwać. Temu młodemu, jadącemu przy mnie po cichej szosie miałbym ochotę powtarzać co trzydzieści sekund: «Przestań wierzyć, gówniarzu. A jeżeli chcesz koniecznie w coś wierzyć, to tylko w to, co doświadczalnie nie da się udowodnić. Naprawdę wierzyć można tylko w Boga, w raj, w piekło, bo tego nikt ci nigdy nie udowodni. Więc wierz i przynajmniej jest już dzisiaj gwarancja, że ta twoja wiara nikomu nic złego nie wyrządzi». Ale rozmowa z nim jest trudna. On dalej piłeczką, dalej potrafi tylko wkładać pensetkami małe kawałeczki przez szyjkę do butelki i tam rozbudowywać swoją kapliczkę. Żeby choć model okrętu, zegarek z wahadłem, Chambord w miniaturze, nie — K A P L I C Z K Ę. Kapliczka w stylu całej wielkiej bzdury XIX wieku.

Sainte-Suzanne śliczne. Stare miasteczko na wzgórzu, jeszcze częściowo obramowane murami średniowiecznych fortyfikacyj. Pomiędzy murami małe domki, małe ogródki i ciasne uliczki. Ażebym dostać się na mury, musieliśmy prosić o klucz od furtki jednego z ogródków. Są one czarujące. Schowane pod murami, pachnące zielenią i jarzynami, pełne sadzonych ukradkiem krzaków tytoniu. Cała Francja sadzi tytoń, suszy, kraje i łąta niedobry małej racji kartkowych papierosów. Każdy z tych ogródków, to Francja. Nie można zrozumieć Francji, jeżeli nie «zrozumie» się tych ogródków.

Z murów rozległy widok na przymglone pola i lasy. W środku zamek. Należy on teraz do jakiegoś zbankrutowanego hrabiego włoskiego i został oddany jako kwatery dla kolonii wakacyjnej «Jeunesse Française» czy też jakiejś innej Pétainjugend. Wspaniałe i zapuszczone podwórze, na którym jakiś spocony Führer w otoczeniu chłopców budował namioty i budy na jutrzejszy kiermasz. Pełno papierów, szmat, sznurków, desek i płacht.

Zamek sypie się i rozpada na kawałki. Cudowny renesans, odrestaurowany dyskretnie przez rokoko, wali się. Nie zaczepiani przez nikogo i o nic nie pytani, weszliśmy do środka. Trudno wyobrazić sobie coś ładniejszego, a zara-

zem smutniejszego. We wspaniałych komnatach pozostały resztki mebli. Cudowne stare szafy renesansowe, rzeźbione skrzynie, krzesła i fotele. A wśród tego sienniki młodzieży, rozrzucona słoma, puszki od konserw, resztki świec rozlane na meblach, brud i *Kraft durch Freude*. Byliśmy zupełnie sami. Otworzyłem jedną z szaf i stanąłem jak wryty. Na półce stał skórzany nesoser. Otworzyłem go. Poczerniałe srebro na kryształowych flakonach, ciężkie lustro, szczotki — cacko z czasów późnego Louis-Philippe. Stoi tu zapomniany, niemodny. Miałem wielką ochotę «uratować» go z tego miejsca zagłady.

Gdzie indziej wpadłem na stosy gazet z lat osiemdziesiątych rzucone w kąć ręką dynamicznej młodzieży. Siadłem w fotelu i zacząłem czytać wielki artykuł przeciwko generałowi Boulanger. Francji groziła dyktatura. Tytuł: «*Caveant Consules*». Pasjonujące. Ogłoszenia domów mody z cenami. Wspaniałe. Zatraciłem poczucie epoki. Korespondencja z Moskwy. Autor przytacza opinię Napoleona o Rosji, wypowiedzianą na Św. Helenie: «Miałem zamiar iść do Indii. Anglicy bardzo bali się mojego przedsięwzięcia. Oto dlaczego usadowili się ostatnio w Aleksandrii. Ale zobaczą kiedyś, co im się przytrafi z Rosjanami. Ci nie mają długiej drogi do Indii, są już w Persji. Rosja jest potęgą, która idzie najpewniej i największymi krokami ku panowaniu powszechnemu». Oczywiście z Francją, jak sobie tego życzy korespondent. Entente Cordiale nie była w programie. Zabrałem kilka gazet i z emocją archeologa przetrząsałem dalej wszystkie kąty.

W jakimś małym pokoiku na trzecim piętrze znalazłem całą skrzynię albumów nut, wśród tego mnóstwo przepisywanych ręcznie przez jakąś Comtesse de B. Kto to mógł być? Z albumem walców Straussa, datowanym z roku 1848, stałem i marzyłem. A w przeslicznych rusztowaniach dachu, będących jak koronka z belek, świstał wiatr. W niektórych pokojach zapadły się już sufity i tylko okopcone kominki wiszą jeden nad drugim, przyklepione do ścian. Ogarnął mnie smutek i wściekłość. Gardzi się tym opuszczonym i niepotrzebnym zamkiem, w proch sypie się klejnocik tej architektury, która nie uważała domu za mąszynę do mieszkania. Jest źle, gdy patrzy się tylko wstecz, ale i źle, gdy patrzy się tylko naprzód, a może w ogóle

nie patrzy? Cały dorobek kultury Mamy-Europy wydany dziś zostaje na łup umysłowości ludów bez przeszłości lub europejskiego chamstwa. Stojąc w tym zamku poczułem grozę — może po raz pierwszy tak wyraźnie — tego potopu. Od wschodu prze cham i barbarzyńca, od zachodu, na czteromotorowych fortecach latających, leci zwierzątko zdrowe i rumiane. A wewnątrz, broniąc podobno kultury — europejski cham chce zniszczyć jej resztki. Rozczulający widok. Zacząłem się śmiać i słuchać echa tego śmiechu w pustych pokojach.

Mój młody towarzysz przybiegał do mnie co chwila i wołał: *Venez donc et regardez* — jestem pewny, że to prawdziwy antyk — *ça vaut au moins 100.000 francs*. Francuski zmysł oszczędności i ukochania przeszłości poprzez kapitał jaki ona reprezentuje buntował się w nim do żywego.

Wracaliśmy obydwaj podnieceni i oburzeni. Stał mi się od razu sympatyczniejszy. Umiał zupełnie nieźle wyznaczyć ceny tych gratów. To już dużo. Może z nim nie tak źle...

Po obiedzie położyłem się i czytałem te stare gazety. Zdawało mi się, że czytając to, kradnę. Rzeczywiście kradłem — kradłem czas, jak wykradano się ze starego kredensu cukier z głowy lub konfitury.

22. 8. 43.

A dziś byliśmy z Comte de R. w jego «château». To znaczy nie tyle «w», co raczej «pod». Bo to opieczętowane i nawet on nie ma prawa tam wchodzić. Jest to o jakieś 3 km. od Joué. Popołudnie upalne, ale w głębokich drózkach, lamowanych żywopłotami i paprociami, panował wilgotny chłód. Comte de R. opowiadał nam, że Szuani zapuszczali się w te okolice, walcząc z «niebieskimi» Republiki. Stare drzewa z wielkimi dziuplami i te niezliczone półka, każde obwarowane murem żywopłotu i wałem ziemi, stanowiły setki małych fortec. Właściwie nie wiele zmieniło się dziś. Przybyły jedynie drogi, wytyczone jeszcze przez Napoleona. Drogami spacyfikował tych prawicowców.

ścieżka prowadzi przez pola. Co chwilę otwieramy ciężkie zapory z belek, zamykające pastwiska. Skrzypią i piszczą, pachną starym, rozgrzanym drzewem. W cieniu krzaków lub drzew stoją nieruchome krowy. Są jak posągi. Nad nimi tańczą w szaleńczych zygzakach tysiące much i muszek.

«Château» jest wielkim i starym domem na wzgórzu. Jak zwykle tył domu, wychodzący na wielki park, jest najładniejszy. Okiennice zamknięte, pustka. Przez środek parku ciągnie się długa aleja. Dwa rzędy olbrzymich, starych drzew tworzą w głębi sinawy i mglisty mrok. Między domem a mrocznym parkiem, ogród. Drzewa owocowe, grządki jarzyn i pienne róże wzdłuż ścieżek.

W składzie z narzędziami znajdujemy sierp osadzony na długim kiju i idziemy do sadzawki naciąć olbrzymich, biało-różowych kwiatów. Nie są to ani lilie, ani nenufary. Zewsząd sączy się melancholia. Patrzę na smukłą sylwetkę Comte de R. Urodził się tu, zna każdy kąt. Jest u siebie i równocześnie nie u siebie. On też przyszedł tu tak, jak i my: zobaczyć. Klęczę nad sadzawką, obcinam wielkie, mokre kwiaty i czuję jakiś nieokreślony żal. Czy ten dom i park doczekają się kiedyś mieszkańców, którzy — wszedłszy do niego — nie stracą epoki i jej ducha? Jak wczoraj w Sainte-Suzanne, tak dzisiaj tu poczułem wyraźnie, że coś się kończy. I to kończy się tym tragiczniej, że kończy się *d u c h* — to coś nieokreślonego, co umiera powoli, ale nieodwołalnie.

Idziemy aleją. Jest jak główna nawa katedry. Po bokach resztki parku. Sztuczne grotty, skały i mostki, dziwaczne drzewka i krzaki — cały zasób romantycznej dekoracji. To poczucie końca jest deprymujące. Obchodzimy przyległy las. Comte de R. opowiada nam o komplikacjach majątkowo-rodziny, o sprzedażach, lokatach, spółkach, rentach. Jest to tak samo skomplikowane, jak każda intryga finansowa Balzaca. I jak w Balzacu, tak i tu nic z tego nie rozumiem. Rozumiem słowa «notariusz», «podpis», «termin» itd. — mówię *oui* — słucham całości, nie rozumiejąc szczegółów. Dostrzegam w tym tylko, że ta francuska *noblesse* zapomniała już dawno o formułkach *noblesse oblige* i że poczucie godności i arystokratyzm ducha są tu tak samo nikłe, jak u wszystkich Francuzów. Być może, iż prawdziwy typ «Grand Seigneur'a» istniał tu kiedyś, ale

znikł już od wielu wieków. Prosty Polak, Hiszpan, Węgier lub Turek mają daleko większe poczucie honoru i godności, odznaczają się na pewno większą «pańskością» (w dodatkowym znaczeniu tego pojęcia), aniżeli tutejsza *noblesse*. W każdym Francuzie, obok cech nieraz wielkich, tkwi kawałek Figara. Jeżeli tak doskonale potrafię się dogadać zawsze z Hiszpanem, a prawie nigdy z Francuzem, to właśnie dlatego. Jeszcze żadnemu Francuzowi nie potrafiłem wytłumaczyć, dlaczego my nie kolaborujemy. Udało mi się kilku przekonać, ale też tylko do połowy. Mówię tu oczywiście o starszym pokoleniu. Młodzi właśnie zaczęli się ruszać masowo. Tu można by być złośliwym i powiedzieć, że dlatego, iż Niemcy dopiero teraz zaczynają deptać po piętach...

Rozmawiając dziś z Comte de R., słuchając jego wywodów, czułem się nieprzyjemnie skrzepowany. Są rzeczy, o których z Francuzem, nawet najbardziej kulturalnym, nie można mówić. Pamiętniki Duchesse d'Abrantès, w których ambicja i poczucie godności grają wielką rolę, zarówno gdy chodzi o osoby jak i o cały naród, mogą być przykładem klinicznym, co Francja i przedstawicielka jednej z najstarszych rodzin «noblesse» francuskiej rozumie pod pojęciem «godność własna». Przyjęcie, jakie zgotowano obcym wojskom w Paryżu w 1815 roku i zachowanie się Francuzów było tego rodzaju, że Blücher odmawiał bywania na oficjalnych przyjęciach i pisał «różne rzeczy» o tych Franzosen w swych listach do żony... Gdy w 1871 roku Flaubert przyjeżdża do Paryża, pisze do E. Feydeau: «... dla dobrych paryżan Prusacy już nie istnieją. Znajdują oni wymówki dla panów Prusaków, podziwiają Prusaków, chcą stać się Prusakami. Nigdy, *mon vieux*, nie miałem tak olbrzymiego niesmaku do ludzi. Chciałbym utopić ludzkość w moich wymiotach...» Miałem ochotę ku temu i ja w czerwcu 1940 roku i mam ją nieraz dzisiaj. Ale, jak w innych z listów pisze tenże Flaubert, tak i dziś można powiedzieć: «Wcale nie jest miła obecnie ta biedna Francja: naprawdę — ani szlachetna, ani dowcipna. Ale w końcu — to Francja».

I tak powiedzą kiedyś wszyscy. Francji, jak pięknej kobiecie, darowuje się więcej, niż komu innemu...

Rano, w cieniu kościoła spotkałem mera. Mrugnawszy figlarnie jednym okiem, powiedział mi: *C'est fini en Sicile...* No — nareszcie. Teraz będą lądować w południowych Włoszech. Znowu wszystkim wydaje się, że to już niedługo koniec. Mnie nie.

Jutro koniec tego snu letniego. Nie wiem, kto wymyślił to powiedzenie, że «praca uszlachetnia». Wiem tylko, że zawsze uszlachetniałem się najbardziej wtedy, gdy nic nie miałem do roboty. Zamiast żałować ludzi, którzy muszą tracić najlepsze lata na rozbijanie się za kawałkiem chleba, robi się z tego bohaterstwo. Wracam do Paryża ze wstrętem. Najchętniej osiedliłbym się na wsi i nic nie robił. Moje zupełnie niezmierzone zapasy temperamentu i energii, powoli wyczerpują się. Czeka mnie jeszcze kilka ciemnych i ryzykownych interesów, wymagających ruchu i szybkości — po czym mam szczerzy zamiar popaść w bezruch. Jesień musi być spokojna — wojna i spokój: książki, teatr, spacer. Zresztą to ostatnia okazja. Raz do cholery musi się skończyć ta sielanka francuska i paryskie georgiki. Przyszły rok może być gorszy. Francja jeszcze ciągle jest pod kloszem...

Praca, praca... Ten mit pracy w naszej epoce jest morderczy. Praca, praca, pracujemy, pracuję... Oglupia się ludzi pracą, stwarza się religię pracy, robi się z pracy cel — jedyny i prawdziwy. Chyba w żadnej epoce nie było tylu rzeczy «jedynych» i «prawdziwych». Mało tego: wszystkie najokropniejsze rodzaje pracy gloryfikuje się. Całe podejście naszej epoki do problemu pracy jest zboczone. I dziś zupełnie nie śmieję się i nie wykpiwam tego, że w roku 1936 Francja utworzyła «Ministerstwo Rozrywek» (*Ministère de Loisirs*). Mit pracy, zboczenie na punkcie pracy, doprowadziły do tego, że większość ludzi nie wie, co robić w wolnych chwilach. Pracować potrafi każdy, odpoczywać i nic nie robić — mało kto. Tymczasem kultura, to t a k ż e umiejętność «nic nie robienia». Pierwszym zadaniem nowych ludzi, tej nowej epoki, która nadchodzi, będzie musiało być skontrolowanie pojęć. Normalizuje się śruby i gwinty, dlaczego nie zabrać się do słów i ich znaczenia. Ale w tej chwili nie robi się nic innego, jak tylko naukowo (to jest naprawdę naukowe)

wypycha się głowy słomą, zmłóconą już oddawna. Cały problem Pracy jest dziś postawiony w sposób zupełnie anormalny. To, co dziś uważa się za pracę, napewno nie uszlachetnia. Praca w biurach i w zautomatyzowanych fabrykach, ustawiona na cokole, okadzana, otoczona aureolą, upiększana, wyniesiona do specjalnej godności wśród wszystkich innych prac (na przykład plucia i łapania), nie uszlachetnia. Stępią człowieka, zgrubia, zatumania do tego stopnia, że ginie w tym rozum i cała korzyść odpoczynku. Umiejętność nic nie robienia ginie. Człowiek, który nie potrafi nic nie robić, zamienia się w owada. Tylko zboczenie może podziwiać pszczołę lub mrówkę. Mnie ich zawsze żal. Do chwili, w której praca stanowić będzie cel sam w sobie, sztukę dla sztuki, dotąd «upszczołowienie» i «umrówczenie» człowieka nie ma szans zatrzymania się. Coraz mniej ludzi dzisiaj tworzy, nawet prywatnie, po godzinach pracy, coraz więcej odtwarza to, co zostało już stworzone. Popadliśmy w szaleńczy i obłąkany taniec Pracy. Stachanowiec jest symbolem, bóstwem. Nie — zboczenie, pomyłka. Trzy czwarte tego, co z pełnym czułości i obłudy ślinieniem się określa się dziś pracą i otacza mitem, trzy czwarte tego mogłyby wykonywać sprytny szympanse (z ciągłą groźbą strajku szympansów z powodu głupiej pracy) i inteligentne uistiti. Nie wolno poniżać człowieka do tego stopnia i uważać tego w dodatku za wspaniałe, jedyne, bohaterskie i krzepkie. Jest to smutna konieczność. Ale jak wszędzie, tak i tu kłamstwo jest potworne, eufemizmy monstrualne, w których taplamy się zanurzeni po uszy. Pod tym względem Francja była zawsze szczerą i dopiero teraz, pod wpływem «Nowego Renesansu» siekiera, motyka, piłka, kleszcze są na pierwszym planie. W ogóle coraz wyraźniej czuje się, że skoro człowiek nie tłucze kamieni lub nie jest kanalarzem i ubrudzonym *travailleur* — nie ma prawa do życia. Epoka świadomego schamienia wszystkiego i wszystkich. Powszechna i potworna demagogia, a nawet moda. Bo i na to jest moda. Moda na Pracę, moda na człowieka pierwotnego, na *bête humaine*. Im więcej chamstwa w narodzie, tym świetniejsza przyszłość. Bardzo możliwe, że to też sposób na odmłodzenie. Rémy de Gourmont powiedział gdzieś, że ciemna masa tworzy w narodzie wspaniałą rezerwę życia. Niestety nie ma już zupełnie ciemnych mas, bo zrobiono

wszystko, żeby uczynić z niej masę półciemną. I to jest może najgorsze.

Morze obłudy, Pacyfik kretynizmu, zaślepienia, wystąpił z brzegów i zalewa wszystko. Ale może to tak musi być, może to i lepiej. Chłopcom u cukiernika pozwala się jeść tyle ciastek, ile zechcą. Może i my przejemy się któregoś dnia tym wszystkim. Ostatni dzień wakacji i chleję rum z rozpaczy. Na szczęście rodzaj mojej pracy jest o tyle znośny, że pozwala mi na dużą swobodę w dziedzinie «nic nie robienia». Na tych zapisanych zeszytach widzę najlepiej, jak olbrzymią rolę odgrywa w życiu człowieka «nic nie robienie» i możliwość «nic nie robienia». Do tego kochany K. który często łapie jakieś papiery i mówi: «ja to za pana zrobię, niech pan sobie pisze spokojnie». Kto wie, czy to, co nazywa się kulturą Francji, nie wypływa właśnie w olbrzymiej mierze z tego rodzaju możliwości. Francja, jak dotąd, oparła się kultowi pracy. Praca zarobkowa jest tu w wielu wypadkach zajęciem pobocznym. Francuz bardzo rzadko jest całkowicie zrośnięty psychicznie z tym, co robi, aby wyżyć. Francuz przejmując się tym, co robi poza pracą, w domu. Stąd ta opieszałość w biurach, duża swoboda w fabrykach i nieprzywiązywanie wagi do przepisów, dekretów itd. Bywa to czasem nieznośne, ale pracującemu pozwala być człowiekiem, a nie maszyną. Pod tym względem Francja może stanowić kiedyś doskonałą przeciwwagę. Francuz nie zgodzi się nigdy na zupełne zaabsorbowanie go pracą, nie pozwoli na zrobienie z siebie termita. Uratuje go jego ogródek, jakaś *passion*, przynosząca nieraz więcej dochodu, niż właściwy zawód. Trzy czwarte literatury francuskiej tworzyło się «poza godzinami» lub nawet «w czasie godzin». Ludzie nie wyssani do nitki pracą zarobkową, mogą próbować swych sił poza pilnikiem lub maszyną do dodawania. No i co najważniejsze, że tutaj nikt nie ośmieli się żądać dodatkowej pracy bez wynagrodzenia, pracy dla państwa, dla dobra ogółu itd. Żąda się poświęcenia, ustaliwszy przedtem stawkę. Po czym śpiewa się «Marsyliankę» i wszyscy są zadowoleni, a pan minister ma okazję do wypowiedzenia *sublime discours* i podkreślenia *magnifique geste du peuple*. Gdy mowa o państwie, Francuz wiele rozumie, lecz zawsze zakończy: *Sommes pas quand même des esclaves...* I pogardliwie patrzy na przechodzącego obok Niemca.

Jeżeli dziś istnieje coraz to mniej możliwości, aby człowiek mógł wyżyć się i wyżyć z tego, ku czemu ma prawdziwe zamiłowanie, trzeba dać mu tę możliwość choćby w sensie psychicznym. Ale to jest niemożliwe, gdy z produkcji taśmowej, gdy w ogóle z pracy, robi się religię. Praca, ta jaką stała się ona dzisiaj, nie może mieć nic wspólnego z ideałem. Ale i to wmawia się nam z uporem, każąc szukać w tym szczęścia. W odtwarzaniu nie znajdzie się go, w powtarzaniu prototypu nie ma nic człowieczego. Kult pracy w postaci dzisiejszej nie jest niczym innym, jak odwracaniem uwagi, oglupianiem, etatyzowaniem duszy ludzkiej i skromnych resztek rozumu. Tymczasem problem zaostrza się, bo rzeczywistość wykazuje co innego. Kult pracy przy rozwoju dzisiejszej techniki nie może utrzymać się. Tak — ale oswobodzenie się z jarzma kultu pracy grozi swobodą jednostki, grozi wyłamaniem z kolektywu — choćby tylko duchowym. A do tego nie można dopuścić... Z otumanionym pracą człowiekiem robi się wszystko.

25. 8. 45.

Czar przyl. Znowu Paryż. Mam go zupełnie dosyć. Myślą jestem ciągle w jakimś domku, w jakimś miasteczku, gdzieś we Francji. Zazdroszczę Comte de R. Został tam w swoim mrocznym pokoiku, wynajętym u swojej starej niańki. Odgłosy ze świata dochodzą tam, jak odgłosy zza ściany. Dzień i noc mają dwadzieścia cztery godziny. Pomimo trzech tygodni odpoczynku czuję się zmęczony. Jestem zmęczony na zapas, jestem zmęczony tym, że b ę d ę zmęczony. To ciągle życie w czasie przyszłym, zupełny brak terażniejszości (to, co robi się w danej chwili, staje się automatycznie mało ważne), wyczerpuje najbardziej. Ciągnie się siebie samego za włosy, przeciąga się siebie z dnia na dzień, jak ciężki worek kartofli.

Wyjechaliśmy wczoraj w południe. Serdecznie pożegnanie. Rowery obładowane. Jajka, kogut, masło... Joué znikło za zakrętem, pozostał lśniący w słońcu pas asfaltu. Pociąg odchodził z Le Mans po 6-iej po południu. Mieliśmy dużo czasu. Jechaliśmy wolno, pijąc zachłannie resztki tych godzin. Droga prześliczna. Wysokie topole po bokach,

smukłe, kolumnowe. Gdzie indziej długa altana z niskich i rozłożystych platanów. Serpentyne na zboczach wzgórz i śpiące miasteczka. Przejeżdżając przez jakąś małą osadę, słyszymy cały komunikat z Londynu. *Ici Londres...* mówi znany głos przez otwarte okno. Stajemy i słuchamy. Na całej drodze jesteśmy tylko my, domy są jak wymarłe. Pali słońce i jest taka cisza, że słycać szelest kąpiącej się w piasku samotnej kury. Rosjanie odebrali Charków. Rozpoczęta 5 lipca wielka ofensywa rozwija się. Spychają Niemców nad Dniepr.

Pod górę wspinamy się wolno. Gdy dojeżdżamy do grzbietu, droga przeważa się, jak huśtawka z deski. Zjeżdżamy cicho, płynnie. Rząd drzew, zamykający się przed nami, otwiera się i ustępuje szybko na boki. Le Mans czuć z daleka. Zapach kurzu unosi się w powietrzu. Gdy wjeżdżamy do miasta, rozglądam się z nienawiścią. Comte de R. zaraził mnie swoim furieryzmem i wiejskim idealizmem. Telepiemy się po kocich łbach Le Mans, uciekając od szyn tramwajowych. Samochody z napędem na węgiel drzewny kopczą jak żelazka i wloką za sobą długie treny śmieci i kurzu. Od dworca kolejki wąskotorowej bucha żar rozpalonego słońcem żelastwa i ciągnie mdłym zapachem smarów. Upał. Po ulicach snują się ludzie spoceni i zakurzeni.

Muszę przemóc się, aby załatwić wszystkie formalności, nadać rowery, kupić bilety. Na peronie stoi już pociąg. Znajdujemy dwa miejsca. Cidre zamknięty w termosie nie wytrzymał i eksplodował. Cieknie z siatki na głowę. Upijam, zatykam, nic nie pomaga. Rośnie w termosie. W przedziale upał. Pluszowe kanapki są lepkie. W końcu ruszamy. Patrzymy na migające domki i pola. Przypomina mi się koniec wakacji, te dawne lata, gdy patrząc na uciekające w tył pola i lasy, łkało się z żalu w głębi serca.

Podróźni zaczynają jeść. Jest to wystawa zbytku, rozpasanie. Nikt nie je zwykłego chleba. Wszyscy wyjmują biały *pain brioché*, masło, jajka na twardo, kielbasę, szynkę, zimne mięso, pieczony drób, owoce. Z płaskich flaszeczek z metalowymi nakrętkami leje się aromatyczny, bursztynowy calvados. Roztopiony w upale prawdziwy Camembert, zamienił się w gęsty krem o kłującej woni siarkowodoru i amoniaku. Lśniące od tłuszczu wargi mlaskają,

tluste palce oblizywane są z cmokaniem, za okno lecą papiery i łupki. Resztę rzuca się na podłogę. Jest to jakaś orgia i zarazem nabożne misterium, któremu jedni Francuzi potrafią nadać ten zupełnie specjalny ton i klimat. Nie tylko wyczuwa się smak, z jakim oni jedzą, ale widzi się go. Jedzenie nie jest tu tylko zaspokojeniem głodu. Jest ono zmysłową rozkoszą. Tu żaden kęs nie przejdzie przez usta niepostrzeżenie, żaden atom pożywienia nie wymknie się krytyce podniebienia. Mała dziewczynka otwiera ostrożnie pudełko z serem, dotyka go delikatnie paluszkami i oddaje matce, mówiąc ucieszona: *Maman, il est bien fait*. Francuzi od dziecka znają się na jedzeniu, na gatunku. Ich łakomstwo jest wstrętne, ale jest jednocześnie dowodem kultury. Jedzenie z puszek lub z kotła byle czego, żeby tylko uśmierzyć głód, dobre jest dla entuzjastów *Eintopfgericht* i innych barbarzyńców. Kuchnia jest sztuką i wymaga sztuczności. Rozróżnianie gatunków ostryg, owoców, mięsa, serów, wina; umiejętność zestawienia «menu» wymagają takiej samej kultury, jak rozróżnianie dobrych obrazów od złych lub umiejętność zestawienia sobie lektury. Pewien robotnik francuski, pracujący u Niemców, powiedział mi raz: *Monsieur*, ludzie którzy t a k jedzą, nie mogą być panami świata.

Słońce chyli się ku zachodowi, łaskotają mijane w pędzie małe stacyjki. Za Wersalem zaczynają się już rozległe przedmieścia Paryża. Małe domki z ogródkami, budowane byle jak, bez ładu i składu. Paryż posiada jedną z najładniejszych okolic wielkich miast i równocześnie najbrzydziej zabudowaną. Z daleka przypomina to rumowisko, z którego wyrastają chwasty. Mijamy Vaugirard, przesuwamy się ponury sześcian chłodni miejskiej. Krematorium na zimno. Pociąg zwalnia — huczą mosty nad bulwarami zewnętrznymi.

Gare Montparnasse.

Cieknie ku wyjściu gęsta borowina ludzka. Ciężkie walizki pełne żywności. Na wielkim placu przed dworcem tłum ginie w szczelinach metra. Dudnią pociągi. Zduszone w koszykach kury gładzą, z plecaków wystają długie szyje gęsi, otwierających dzioby z pragnienia, w worku rzuca się i wierzga koza. W rękach zwiędłe naręcza polnych kwiatów. Matowe, przyprószone światłem mdłych żarówek.

plamy kolorów. Na czole krople potu, ściekające wolno po policzkach. *Dis donc, y a une place*. Depczą po nogach, pchają się. Grube, tłuste, zapocone śmiechy. Brudna i mokra podłoga wagonu, śmierdząca zepsutymi rybami.

W naszym pokoju gorąco i zapach kurzu. Na stole filiżanki z niedopitą i zapleśniałą herbatą, kawałek zeschniętego chleba, ogryzki z gruszek, nad którymi krążą wstrętne, małe muszki. W pokoju jest jeszcze ciągle 2 sierpnia.

Robimy przeciąg i rozbieramy się. Myję brudne i lepkie ręce.

Minęły dni długie, słoneczne, spokojne. Dni pełne i całe, przesycone... Czym? Nie wiem. Może tym, co brzmi tak skromnie, a tyle mówi: *Douce France*.

1. 9. 43.

Zaczął się piąty rok tej wojny. Jakże szczęśliwymi byli nasi rodzice. Pozostawało im tylko trzy miesiące do końca. Głupie trzy miesiące. A nam? Może jeszcze rok, może więcej... Wojna dopiero zaczyna się. Właściwie jeszcze nie zaczęła się. Wszystkie problemy, zamiast uprościć się, gmatwiają się jeszcze bardziej. Było mi o wiele łatwiej wyobrazić sobie koniec dwa lata temu, aniżeli dzisiaj. Dzisiaj nie widzę go, a jeżeli widzę, to w bardzo dalekiej przyszłości. Gdy raz nastąpi dokładne zamącenie wody, trzeba wiele czasu, aby brudy osiadły znowu na dnie. Zamącenie jest dziś kompletne, totalne. We wszystkim. Zmienił się świat, zmienili się ludzie, myśli, kierunki, idee. Powrót do «przed tym» jest niemożliwy. Ale w takim razie co? Oddziaływanie człowieka na to, co ujmuje się ogólną nazwą «ewolucja» jest w gruncie rzeczy dość ograniczone. Prawdziwy wynik końcowy jest zwycięstwem sił, które ścierają się pod powierzchnią, niewidoczne, biorą górę. Tym siłom trudno nadać kierunek. Można je rozpętać, ale trudno nimi pokierować, jak trudno pokierować ogniem lub powodzią. A w tej wojnie, do dziś dnia, nie robi się nic innego, jak tylko rozpętuje ciągle nowe siły. Trudno mi o tym mówić, bo siedzę w twierdzy, bez kontaktu z oblegającymi. Nie wiem, jaki kierunek obrała myśl TAM, po drugiej

stronie. Ale to, co dochodzi stamtąd jest bezładne i chwiejne. Anglia i Ameryka myślą o nas tak samo, jak myślały dawniej. Tymczasem Europa zmieniła się, i to bardziej niż im się to wydaje. Cztery lata «Nowej Europy», potworne i długie, nauczyły nas zimnego realizmu, nauczyły twardego spoglądania prawdzie w oczy. Nie łatwo nas ukołysać byle czym, nie łatwo olśnić słowami. W tej gmatwaninie, wśród niedomówień i półsłówiek, jedno jest wyraźne: Rosja. Rosja wie, czego chce — i działa. Nie kryje się z niczym. Rosja wie, że każdy rok tego życia, czyni nas coraz bardziej «gotowymi na wszystko». I skorzysta z tego.

3. 9. 43.

Miałem dziś rano coś do załatwienia w mieście i koło Saint-Germain złapał mnie alarm. Usiadłem w ogródku pod kościołem i zacząłem czytać. Za chwilę zaczęła się strzelanina. Wszystkich zaganiano do bram. Wszedłem do jakiejś bramy na placu Saint-Germain i zacząłem rozmawiać z jakimś starszym panem. Profesor gimnazjum z Bordeaux. Rozmowa o książkach. Opowiadał mi o Bernanosie, którego zna osobiście. Zapusciliśmy się w dyskusję o obecnych czasach. Artyleria strzelała. Przeszły nad nami dwa klucze, wysoko. Od czasu do czasu lśniły w głębokim szafirze nieba, jak ryby w głębinie, połyskujące białymi podbrzuszami. Czteromotorowe fortece. Strzelanina stała się jeszcze silniejsza. Na niebie pękały tysiące pocisków i samoloty płynęły wśród okrągłych chmur. Nagle gwizd. Wskoczyłem do bramy. Na ulicy krzyki. Od strony dworca Montparnasse biegną ludzie. Rue de Rennes znikła w tumanach pyłu. Panika. Jakaś bomba spadła blisko. Policja znowu zagania ludzi do domów. Patrzymy na siebie. Mój profesor jest rozanielony. Coś się tu nie klei, skąd te bomby w środku miasta? Tymczasem ktoś wpada do bramy i krzyczy: «Anglicy wylądowali w Kalabrii». Dziwne są te chwile. Wydaje mi się, że śnię. Serce bije mi szybko i jednocześnie ogarnia mnie jakieś potworne zmęczenie. Chciałbym na chwilę przestać istnieć. Wielka chmura dymu i pyłu sunie ulicą i zbliża się ku nam. Lśnią w niej tylko srebrne grzebienie na hełmach policjantów, zapędzających ciekawych do domów. Robi się cisza. Prysł urok

miłej rozmowy z panem z bródką, rozplynęły się w powietrzu nazwiska Bernanos, Balzaca, Flauberta, Maupassanta. W uszach pozostało mi tylko ostatnie pytanie na które nie zdążyłem odpowiedzieć: «Czy czytał pan coś Roger Martin du Gard?» Nie — nie czytałem. Jeszcze tyle chciałbym przeczytać. Ale kiedy? Co najpierw? Po co? Żeby rozleciało się w pyle i znikło w dymie? Ryczą samochody straży ogniowej, wyją przeciągle syreny. Koniec alarmu. Świeci słońce, niebo jest szafirowe, z brzękiem otwierają się bistra i pod kolorowymi parasolami na tarasach siadają ludzie. Siadam i ja. *Garçon, un verre de rhum*. Miałbym ochotę się upić.

Potem siadam na rower i jadę. Muszę objeżdżać, bo ulice zamknięte. Bomby spadły na rue de Rennes, na rue du Cherche-Midi. Koło dworca Montparnasse rozwalona sześciopiętrowa kamienica. Tumany pyłu, policja i straż ogniowa. Dzwonią ambulanse. Koło Porte de Versailles, na rue de la Croix-Nivert też kilka bomb. Może któryś z tych amerykańskich bombardierów był w dobrym humorze, wściekł się ten «flak» porozstawiany po całym Paryżu i rzucił parę bombek. Na jego miejscu też bym sobie rzucił. Co jest? Wojna czy sielanka w tym Paryżu? My lecimy, strzelają do nas, jak do kaczek, a tam na dole rozmawiają o Balzacu, o Maupassancie, o Bernanosie. Masz rację chłopcze z Illinois lub z Texasu.

W fabryce gorączka. Wszyscy cisną się do telefonu. Cały Paryż telefonuje w tej chwili do rodziny, do znajomych, do krewnych, przyjaciół. Bombardowali Paryż... O rety — trzy bomby w pięciu rzędach i tyle hałasu. Mam ochotę deklamować bukoliki Vergilego.

8. 9. 43.

Szał, radość, upojenie. Włochy kapitulowały. Właściwie kapitulowały już dawno, sama kapitulacja została podpisana już kilka dni temu, ujawniono ją dopiero dzisiaj — «w momencie odpowiadającym zainteresowanym». Mussolini uwięziony przez rząd Badoglio. Dziś wieczorem wydawało się, że to koniec wojny. Przepraszam — kogo?

13.9. 43.

Cudne. Oddziały spadochroniarzy niemieckich uwolniły Mussoliniego. Czytając dziś opisy tego wydarzenia historycznego, wydawało mi się, że czytam coś Dumasa ojca.

Niedostępny zamek w górach (ale ci niedostępny), uwięziony dyktator bodaj że razem ze swoją nałożnicą — wszystko razem Hrabia Monte Christo, Trzej muszkietrowie i w ogóle Józef Balsamo. Gorsze jest to, że rzeczywiście go porwano i że Niemcy, prawie całkowicie zaskoczeni zdradą Włochów (*vous êtes vulgaire, mon cher. Ça s'appelle une volte-face*), potrafili wyplątać się z sytuacji, która 8-go wydawała się położeniem bez wyjścia. Nie podzielałam ogólnego entuzjazmu. Bo Anglicy i Amerykanie chyba też zostali zaskoczeni. Piąta armia amerykańska wylądowała z trudnością w zatoce Salerno i robi rozpaczliwe wysiłki, aby utrzymać się pod ogniem dywizji niemieckich, które wycofały się świetnie z południowych Włoch. Ósma armia angielska ze sławnym Montgomery robi rozpaczliwe wysiłki, żeby połączyć się z Amerykanami. W pięć dni po zupełnej kapitulacji Włoch, zamiast natychmiastowego lądowania w kilku punktach i zajęcia Włoch aż po Lombardię, odcięcia Niemcom odwrotu, Anglicy i Amerykanie pozwalają na stworzenie linii obronnej w terenie stworzonym do obrony. Pokpili sprawę. Trzeba będzie potem poświęcić wielu ludzi, aby odrobić to, co można było zrobić od razu kosztem minimalnych strat. Wiele krzyku, a korzyść wojenna niewielka. Clark pod Neapolem z trudnością trzyma się skrawka wybrzeża, Niemcy atakują składnie, Anglicy chcą się połączyć z Clarkiem, bałagan i zawracanie głowy. Ale grunt, że można wiele mówić. Prawdopodobnie jestem głupi, bo widzę, a inni mądrzy, bo nie widzą. Nikt od pewnego czasu nie chce widzieć. I nie widzi się.

15. 9. 43.

Tylko tak dalej i zepchną Amerykanów do wody. Niemcy już pieją o zwycięstwie, ale za wcześnie. Pianie ma zagłuszyć szczegóły zdrady Włoch, dość pikantne.

Byłem dziś wieczorem u Antków, którzy przyjechali ze wsi na kilka dni do Paryża. Nagle alarm. Wyszliśmy na balkon. «Flak» zaczął szaleć. Od strony zachodnich przedmieść słychać głuchy grzmot bomb. Po chwili na podwiecznym niebie ukazują się wielkie klucze bombowców. Ciężkie, sunące wolno wśród setek chmurek pocisków. Lecą stosunkowo nisko, po 26 w kluczu. Huk dział przeciwlotniczych staje się nieprzerwany i cały Paryż trzęsie się. Wtem w jednym z kluczów błyska ogień. Sekundy. Jak spłonienie paska magnezji. Maszyna rozsypuje się w powietrzu. Skrzydła spadają, wirując jak suchy liść? Wyskoczą? Nie — nic. Patrzymy na to jak w kinie. Czuję, że nogi lekko drżą pode mną. Wykwita jeden jedyny punkcik spadochronu. Jeden na ośmiu czy dziesięciu wyskoczył. W kluczu robi się luka, ale maszyny spokojnie łączą. Na miejsce strąconego wchodzi najbliższy — inne za nim. I znowu płomień w następnym kluczu. Żona Antka dostaje napadu histerycznego płaczu. Sprowadzamy ją do piwnicy. Powoli ucisza się. Ludzie stoją grupkami na pustych ulicach i rozmawiają. Basia widziała tę całą «corridę» przez okienko w naszej kuchni. Obydwoje czujemy coś w rodzaju rozdzierającej krzywdy pomieszanej z niesmakiem. Stać spokojnie i obserwować, jak zabijają ludzi.

18. 9. 43.

No — udało się złapać oczko w Salerno i naprawili sytuację. Rosjanie monotonna idą naprzód. Jestem ciekawy, czy Niemcom uda się utrzymać na jakiś czas linię Dniepru. Nie mogąc oderwać się od nieprzyjaciela, zmuszeni są prowadzić ciągłe walki odwrotowe. Straszliwie wyczerpujące, ale robią to znakomicie. W każdym razie zbliża się zmierzch bogów. Czekam teraz na 44.

Powoli przygotowujemy się do zimy. Kartofle, konfitury — zresztą o jedzenie nie trudno, jeżeli ma się pieniądze. Jestem ciągle zmęczony. Rozumiem ludzi, mających powołanie klasztorne. Byłbym teraz zdolny zamknąć się na długie miesiące w jakiejś samotni. Pogрузić się w ciszy, rozpuścić w monotonii popielatej egzystencji mnicha. Chodzić po zarosłych i wyłoczonych jesienią drózkach jakiegoś zapuszczonego ogrodu i czytać św. Tomasza z Akwinu,

św. Augustyna... Usiąść na jakiejś kamiennej ławce, pisać i zdmuchiwać z papieru małe pajaczki, uparte mrówki i zielone pchły drzewne. A potem patrzeć przez kraty gotyckiego okienka na wielkie, czerwone słońce przekreślone kilkoma liniami sinych chmur. Ktoś wniósłby jeźdzenie i świecę. A o północy wstałbym na modlitwę...

Tymczasem uganianie na rowerze po przepalonych gorącym latem ulicach. Pomimo podjesiennego chłodu, kamienie pachną jeszcze upałem, kurz jest jeszcze letni. Interesy poszły dobrze. Kupiłem kilka ładnych rzeczy Basi, sobie kupuję książki.

25. 9. 45.

Rosjanie odebrali Smoleńsk, a Mussolini utworzył rząd republikańsko-faszystowski. Wszystko zaczyna być możliwe. Do czego jeszcze dojdziemy? Może do powołania dynastii Romanowów na tron rosyjski przez Stalina, który obejmie posadę Rasputina. Ma pełne kwalifikacje. Ten rząd «republikańsko-faszystowski» podzielał na mnie, jak proszek «apsik». Mam ochotę kichać, obcierać łzy i zakichać się na śmierć nad tym bezbrzeżnym oceanem — czego? Głupoty? Kretynizmu? Szarlatanerii? To nie oddaje tego, o co tu chodzi. Jest to jakiś ocean gnoju, zraszany perfumami, w którym kapie się wielki dom obłąkanych, jakim jest tak zwana ludzkość. Mussolini tworzy rząd «republikańsko-faszystowski», Stalin jest obrońcą demokracji (demokratyczny komunizm — to przyjdzie. Nawet niezłe), Hitler broni kultury zachodu — w ogóle wszyscy czegoś bronią. A poszczególny człowiek, z resztkami mózgu w czaszce, musi się bronić, żeby nie zakichać się na śmierć i nie oszaleć. Największą troską każdego powinno być być w tej chwili nie to, żeby wyjść jako tako cało z tej zawieruchy, ale żeby wyjść z resztkami przytomności. To będzie najtrudniejsze. Jedno jest pewne: gdyby posadzić dziś przy radiu najmocniejszą głowę i zmusić ją do słuchania wszystkiego i czytania wszystkiego, po tygodniu możnaby zamknąć takiego osobnika w zakładzie psychiatrycznym bez orzeczenia lekarskiego. Po prostu na oko. Wcale nie to, co się dzieje, lecz to, co się mówi i pisze ma w sobie wszystkie cechy dnia nadejścia Antychrysta. To, co się

może stać, jest ograniczone i to, co się dzieje — przemija. Ale raz rozpętana noc dusz i mroki myśli muszą długo czekać na świt.

Odczuwam to wprost fizycznie. Czuję się wsadzony między dwie płyty jakiejś prasy i coraz bardziej ściskany. I równocześnie nie mogę krzyknąć. Bo są rzeczy, wobec których zamiera głos. Pozostaje piekielne w swym milczeniu wołanie duszy. Już dwie noce pełne huku i błysków na niebie. Anglicy latają na Włochy. Dziś w nocy ranny bombowiec, palący się jak pochodnia przeleciał nisko nad połową Paryża i rozwalił się na dachu Magazynów Luwru. Zwęglone szczątki załogi odnajdywano wokoło. Cóż za atrakcja...

26. 9. 43.

Zamieniłem się w maszynę rotacyjną do czytania. A więc nie linia Dniepru. Rosjanie przeszli Dniepr w sześciu miejscach, walki toczą się już pod Kijowem. Ciepło, ciepło — coraz cieplej. Niedługo zaczną nas «uwalniać». I uwolnią nas na pięćdziesiąt lat.

50 ans de vie parisienne Armory. Sprawa Dreyfusa, galeria minionych osób i przebrzmiałych nazwisk. Willy i Colette, Rachilde, Paryż 1900. Słabo pisane, koniunkturalnie. Jest na to moda więc trzask.

28. 9. 43.

Uparte pogłoski o zawieszeniu broni sowiecko-niemieckim. Już wisi w powietrzu, już podjęto kroki za pośrednictwem Turcji. Wygląda to na rosyjski szantaż, przy pomocy którego chcą wymusić na «drogich sprzymierzeńcach» różne rzeczy. Puszczone przez komunistów na rozkaz Moskwy.

1. 10. 43.

Pogłoski o porozumieniu sowiecko-niemieckim stały się tak uparte, że Niemcy zdementowali je dziś oficjalnie.

We Francji zaczyna się coraz bardziej ujawniać zorganizowany opór. Młodzi ludzie, skazani na wyjazd do Niemiec, organizują się w oddziały, uzbrajane z powietrza przez Anglików. Robią zamieszanie. Zaczęło się od palenia zbiorów i niszczenia maszyn rolniczych. Teraz coraz częściej dochodzi do zwyczajnych rabunków, bo chłopci niczego nie chcą dać dobrowolnie, i do zabijania kolaborantów. Oczywiście sprząta się przy tym niewinnych i przeciwników politycznych. Francja dotąd spokojna, zaczyna być niespokojna.

Anglicy i Amerykanie utknęli we Włoszech południowych i będą zimować. Mogło być lepiej... Rosjanie idą naprzód, Niemcy tracą powoli owoce wszystkich zwycięstw.

5. 10. 45.

M. napisali do mnie z Monceaux, że zabili świnie i żebym przyjechał. 80 km. za Paryżem, już w departamencie Oise. Bardzo ich lubię. On, były szofer pocztowy, ona urocza, subtelna kobieta z tej pośredniej warstwy, spotykanej jedynie na Pomorzu. Osiedlili się dwa lata temu na wsi, gdzie on pracuje jako robotnik rolny. Przyszedłszy do dwóch gołych izb, znajdując tak prymitywne warunki bytu, jak tylko znaleźć je może robotnik rolny we Francji (to jest nie do wiary), dorobili się własną pracą i głową niemal wszystkiego. On sam porobił prymitywne meble, pobudował klatki dla kur i królików, chlewek, uprawił poza godzinami pracy spory ogródek. Przyszedłszy tu z Paryża z trzema walizkami, dziś mają niemal małe gospodarstwo — oczywiście ku zazdrości wszystkich Francuzów z ich otoczenia. Bo Francuz, gdy chodzi o cudzoziemca, nie chce dostrzec olbrzymiej pracy, dostrzegając jedynie wynik. U Polaka wszystko jest lepsze, wszystko się lepiej udaje. Dlatego, o tym zawistny Francuz nie myśli. Uważa to za niesprawiedliwość, wymyśla na *sale étranger*, spogląda jak Polak je coraz lepiej i niczego sobie nie żałuje, ale palcem nie kiwnie, żeby polepszyć swoją jaskiniową egzystencję. Bo jest leniwy. Nie widzi, że najgłupszy Polak jest inteligentniejszy od niego, że nie boi się pracy, że ma inicjatywę i pomysłowość, że «potrafi wszystko», bo chce. I musi. Francuz tylko zazdrości, psioczy i nic nie rozumie.

Dla Francuza wszystko jest zawsze «niesprawiedliwością». *C'est pas juste* — słyszy się od rana do wieczora. Szczególnie gdy chodzi o obcych.

Polactwo jest zastanawiające. W Polaków wstąpił jakiś diabeł. Wszyscy dają sobie radę, mają pieniądze, handlują, zarabiają, wydają i jedzą, jeżdżą na wakacje, leczą się. Polacy wszystko potrafią: robotnik fabryczny lub mechanik umie utuczyć świnie, dochować się kur, wszystko naprawi, sam zrobi mydło, świece, kielbasę, szafę lub kurnik, posadzi tytoń, ma najładniejsze pomidory itd. Jesteśmy narodem stworzonym do życia na emigracji, bo tylko na emigracji potrafimy dokazać cudów. U siebie tracimy jakoś cały rozpęd i każdy marzy tylko aby być — urzędnikiem państwowym. Gdy tylko Polska i ojczyzna nasza święta przestaje nam trochę ujeżdżać mózg, stajemy się jednym z najwspanialszych materiałów ludzkich, ruszamy się, kwitniemy, dorabiamy się. Nawet myślimy, co jest raczej rzadką cechą naszego charakteru.

Wyjechałem dziś rano koło 8-ej. Dzień szary, chłodny i mglisty. Długa droga przez okopcone przedmieścia. Dopiero za Saint-Denis wjechałem na właściwą szosę. Jesień. Pożółkła trawa, rdzawe drzewa, skołtunione ogródki z resztkami kapusty, sałaty, marchewki. Jest mi dobrze. Jestem sam i stapiam się w jedno z tą otaczającą mnie szarugą. Pogryzam czekoladę i jadę. Uciekają wolno kilometry. Mijam jakiś «château» pograżony w zapuszczonym parku. Na wałących się murach ogrodzenia czarny napis «Vive le Roi». Należałoby się uśmiechnąć, ale nie uśmiecham się. Ta zarozumiałość, wstrzyknięta nam przez XIX wiek jest komiczna. I wszystko dlatego, że ludzkość z trudnością zaczęła coś tam widzieć i mówić na g... g..., a nie papu. Każdy dureń zaczął się uważać za «uczzonego» i mówić na wszystko, że to «śmieszne». Bo nie jest «postępowe», powierzchowne, kretyńskie, «dostępne dla każdego», płytkie i łatwe. Całą ludzkość zaczyna się kształcić na książeczkach z obrazkami, przy czym komunistyczne książeczki biją wszystkie rekordy. Głupota i zagnojona zarozumiałość rosna i rosna.

W Chantilly wjeżdżam w półmrok lasów. Przed samym miastem wspaniała aleja, na prawo, do zamku Menier. «Chocolat Menier». Na ścieżkach, obok drogi, kłusują konie wyścigowe, objeżdżane przez małych, jak Pigmeje, dżoke-

jów. Dżokej i kościelny, to chyba dwa najwstrętniejsze okazy rasy białej. Migają kolorowe kurtki w półmroku leśnym. W samym Chantilly kręcą się po ulicy niemieckie telefonistki z torbami winogron w rękach *und sie lachen und essen*. Na ich widok budzi się we mnie morderca seksualny. Kupuję kilogram wielkich, czarnych winogron. Za Creil odpocznę i zjem je. Od Chantilly do Creil droga jest prosta i monotonna. Mgła gęstnieje i osiada mi kropelkami na kurtce i na włosach. Zapach północnej Francji, klimat powieści Van der Meersch'a, Creil roi się od robotników różnych narodowości. Niemcy budują tu w okolicy lotniska. Na ulicach charczą Algierczycy i Marokanie, łyskają białkami oczu Murzyni, słysząc energiczne k.... m.... wypowiedziane śpiewnym akcentem Małopolski wschodniej. Przejżdżam ponad dworcem. Jestem ciekawy, kiedy Anglicy to zbombardują. Będzie w co ładować. Dziesiątki lokomotyw, setki wagonów towarowych. Za Creil, w jakimś małym miasteczku, zaszywam się w przydrożnym bistro. Piję kawę i jem mój chleb z serem. Patron z pedanterią wyciera czysty już od godziny kontuar. Wszedł jakiś grubas i zaczęli szeptać w kącie. Dosłyszałem słowa «samochód» i «dwie tony». Jakiś większy obrocik bokiem czegoś kartkowego. Zapili transakcję cidrem. Jadę dalej.

Po godzinie wjeżdżam do Clermont. Cisza pory obiadowej. Koło 2-ej jestem w Monceaux. M. przyjmują mnie z radością. Zjadam olbrzymi kotlet wieprzowy i po obiedzie kładę się spać. Nie dające się opisać poczucie błogiego spokoju i ciszy. Czuję zmęczenie w wyciągniętych nogach. Na szybach bzykają niedobitki letnich much, z podwórka dolatują głosy kur i kaczek. Patrzą w okopcony sufit i słucham jak M. myje naczynie obok, w kuchni, Plusk wylewanej i wlewanej wody, szcęk widelcy i noży. Jestem cały spokojnym odpoczynkiem.

6. 10. 45.

Po śniadaniu, urozmaiconym wszystkimi wynikami świniobicia (pasztetówka, salceson, kiełbasa) wyszedłem z książką przejść się. Dzień blade-słoneczny, ciepły. Szedłem długą aleją pomiędzy zarośniętymi stawkami. Wszystko miało złotawo-żółty kolor. Małe listki topoli sypały się

z drzew, mieniać się w słońcu jak cekiny. Szeleściły wśród lekkich powiewów wiatru żółknące i schnące na końcach tataraki i trzciny. Poprzez otwory w tej umierającej zieleności widać było skrawki blado-niebieskiego nieba, powleczonego srebrną mgiełką. Ciszą jesiennego przedpołudnia. Lubię czytać chodząc. Czytam i ślizgam się myślą w krótkich rzutach, jak nartniki na wodzie. Patrzę na nie stanąwszy nad brzegiem stawku. Woda ugina się pod ich delikatnymi łapkami jakby była czymś plastycznym i gęstym. Chodzą po wodzie, biegają w pogoni za czymś niewidocznym. A z drzew sypią się ciągle na wodę drobne, złote listki.

Nie wiem dlaczego, ale w taki jesienny, srebrno-złoty dzień czuje się o wiele wyraźniej przeszłość, miniony czas. Jedno po drugim budzą się wspomnienia, odzywają minione lata z ich nic nieznaczającymi wydarzeniami. Nie myśli się o ważnych rzeczach, lecz o pospolitych, drobnych szczegółach: wtedy matka dawała śliwki. Pokryte były siwym puszkami i przypominały omszałe butelki starego wina. W niedzielę, po nabożeństwie, szło się na Deptak na Błoniach i kupowało się od święta «Sfinksy». W jedną z upalnych nocy letnich pomagałem Frankom kończyć wystawę do sklepu Janka Grossego. Upalna, letnia noc w Krakowie... Tęsknota i żal, że to nie wróci, że minęły właśnie te głupstwa. Łzy napływają do oczu same, dwoją się i troją spadające z drzew listki. Nartniki ślizgają się po wodzie, plusnęła ryba. A gdy zamknie się oczy, przycięta powieką łza urywa się i cieknie wolno po policzku. Obliz ją, jak wtedy... Łaskota, gdy zatrzyma się w kąciку ust. Tęsknota drżąca w piersiach, żal po minionym czasie, jak po kimś zmarłym. Górą przetoczył się wiatr i sychnął znowu garść złotych confetti na marszczącą się wodę. Życie pędzi, coraz więcej śladów pozostaje w tyle. Wracam na obiad i objadam się na sentymentalno, bo nawet kotlety wieprzowe budzą we mnie wspomnienia. Pod wieczór zwiedzam gospodarstwo M. i S. Kurniki, chlewki, królikarnie pobudowane własnoręcznie ze starych cegieł, desek pozbieranych wokoło, skrawków starej blachy. Potrafili wykorzystać każdy odpadek, klejąc to do kupy po godzinach pracy do późnej nocy. Co Francuz wyrzuci, to Polak naprawi, odnowi i wykorzysta. Dwoje dzieci S. i jego żona chodzą w mocnych, skórzanych sandałach, które S. z zawodu frezer,

porobił im z resztek buczków, poznajdywanych w śmieciach. Francuzi przychodzą do nich i mówią z zawiścią: *Mais vous êtes capitaliste*. Mają rację — każdy Polak od urodzenia jest kapitalistą. I byłby nim, gdyby miał ku temu warunki. I gdyby nie miał Polski ugniatającej mu mózgowicę. Polska zamienia się w Państwo, Państwo w urzędnika, w końcu i Państwo i minister i urzędnik i wszyscy, to Polska, robi się bigos i wszyscy głupieją. Po czym zamiast żeby taki M. albo S. produkował soki owocowe, to jest «Państwowa wytwórnia soków owocowych», a S. i M. są szoferami pocztowymi.

7. 10. 43.

Łagodny, słoneczny dzień. Wyjechałem rano i kręciłem wolno. Przysiadalem po drodze. Po czterdziestu kilometrach usiadłem przy szosie i jadłem. Przejeżdżał samochód ciężarowy z jabłkami. Rzucili mi trzy duże jabłka. *Pour votre dessert*, krzyknął siedzący na górze koszów Francuz. Kiwnąłem ręką i uśmiechnąłem się. Doskonałe jabłka. Dalej już po prostu wlokłem się. Żal mi było mijać szybko lasy i resztki zieleni. Znowu miasto. W Chantilly udało mi się artystycznie wyminąć patrol żandarmów, sprawdzający zawartość pakunków cyklistów. Moja słonina, mięso, jajka i mąka były w niebezpieczeństwie — nie mówiąc o mnie samym. To tępienie czarnego handlu jest głupota. Koło 1-ej po południu byłem w domu. Odświeżyły mnie te trzy dni.

9. 10. 43.

Wieczorem w «Variétés» na «Fanny» Pagnola z Raimu. Raimu, to chyba najlepszy aktor francuski. I w filmie i w teatrze przerasta o głowę cały zespół aktorski Francji. Naturalność, inteligencja, kultura, ukryty czar i dobroć emanują z jego każdego słowa i gestu. Są to jego ostatnie występy przed wstąpieniem do Komedii Francuskiej, gdzie na pierwszy ogień ma grać Moliera «Bourgeois Gentilhomme». W związku z tym wiele intryg i zaści. Bo mumie z Komedii Francuskiej nie mogą pogodzić

się z faktem, że bulwarowy aktor (to coś w rodzaju lino-skoczek) będzie kawał deski pierwszej sceny Francji. Teraz, na pożegnanie, Raimu gra na Bulwarach jako niezapomniany Cezar w «Fanny».

Pagnol cały jest uroczy. Wszystkie jego sztuki, wszystkie scenariusze filmowe, choć podobne jedne do drugich, są zawsze pełne tego, co nigdy się nie znudzi — serca. Wieje od nich ciepłem Południa, beztruską, gadatliwością, dobrocią i dobroduszością tych ludzi, których radości i smutki, śmiech i łzy kąpią się zawsze w promieniach słońca. Jest w nich nastrój zastygłych w upale godzin popołudnia, cichych wieczorów i pogawędek przy nieuniknionym kieliszku żółtawo-zielonego «pastice». A wszystko przeplecione gwałtownymi wybuchami uczuć, jak podmuchy Mistralu. Trzeba poznać Południe, tę drugą Francję, wżyć się w nie i zrozumieć, żeby ocenić naprawdę te drobne szczegóły, słowa i ruchy, z których Pagnol tworzy swoje sztuki i Sztukę. Jest to zwykle połączenie monologów i gestów z prostą i niewymyślną akcją, jakich spotyka się w życiu tysiące. Jego ludzie są ludzcy i to, co robią, robią naprawdę. W ich piersiach bije jedno serce, a prostota ich nie jest pozą. Życie jest tu splecione w jedno ze słońcem, winem, oliwą, i tworzy ten przedziwny roztwór, w którym bodaj że największy ból znajdzie ukojenie. Zapłakane oczy spoczną na szafirowej tafli morza, zaszumi wiatr w parasolach sosen, nozdrza napełnią się zapachem smażonej oliwy i ryb, a mroczne i chłodne wnętrza małego bistra zwabi swoim spokojem. Bo tu tak dobrze jest żyć, że życie jest najważniejsze. Jeżeli nie będzie takie, to będzie inne — i chyba też dobre; spokojne, przedwieczne.

Mariusz wyjechał i zostawił Fanny. Uwiodły go pragnienia poznania tych innych światów, oddech mórz i obcych kontynentów porwał go i odebrał kobiecie. Zostawił dwa serca, szarpane tęsknotą — Fanny i Cezara. Mijają miesiące bez wieści. Fanny nie może już dłużej ukrywać się z tym, że ma zostać matką. Rozmowy, zwierzenia, wybuchy gniewu i czułe słowa. Panisse oświadcza się Fanny. Scena w sklepie u Panisse'a, ten pełen uśmiechu spłot południowej *vantardise*, pióropuszwatości słów i gestów z szlachetnością uczuć prawdziwych i nieudanych, jest wspaniały. Na ruinach szczęścia wykwiata nowe. I gdy zja-

wia się Mariusz, musi odejść, bo tego chce życie, bo tak będzie lepiej.

Jeżeli ta sztuka nigdy nie postarzeje się, to jednak aktorzy, grający ją już od przeszło dziesięciu lat, zdążyli się postarzeć. «Fanny» idzie dziś w Paryżu jeszcze ciągle w pierwotnej obsadzie. Jest to chyba możliwe jedynie w Paryżu i ma wzruszający urok. Tylko że jeśli nie razi to, gdy chodzi o wszystkich starszych, jak Cezar, Panisse, matka Fanny, to jednak na Mariuszu i Fanny ząb czasu zrobił swoje. Zarówno Orane Demazis jak i Berval są młodą parą w średnim wieku. Wypukły brzusek Mariusza i nie młoda już twarz i sylwetka Fanny, psują trochę obraz i nastrój.

Ale nad wszystkim panuje Raimu. Jego gra jest arcydziełem. Czuje się, że on się nie powtarza, lecz za każdym razem tworzy na nowo. Może stąd ta urzekająca świeżość i czar każdego spojrzenia, gestu, słowa.

Przymykałem oczy i czułem zapachy, ciepło i powiew wiatru. Wieczory w Carcassonne, w Narbonne. Przysypana kurzem twarda zieleń drzew i winnic. Morze, słońce. Tam, w tym słońcu, w mrocznym chłodzie jakiegoś bistra, w szklance rumu, w długich godzinach zupełnej samotności nad brzegiem morza urodził mi się kawałek mnie. I kawałek mnie pozostał tam na zawsze...

Wyszliśmy na ciemny Bulwar. Z kin, z teatrów wychodzili ludzie i ginęli pod ziemią. W dusznych korytarzach metra sprzedawali bukietki róż. To stamtąd.

13. 10. 43.

Wspaniałe. Gdy dzisiaj w rozmowie z jednym Francuzem, mówiąc o obecnym okresie, wyraziłem nieśmiałą obawę, że cały ten okres może okazać się jednak plamą na historii Francji, odpowiedział mi zupełnie serio: «To nigdy nie będzie stanowić historii Francji — to będzie liczyć się do historii okupacji». To, to, to, właśnie TO, a nie co innego, ich zgubi. Słpną na grandę. Nacjonalizm i *la France éternelle* otumania ich jeszcze bardziej, niż nas Polska.

Wieczorem w «Théâtre des Ambassadeurs» na «Duo». Przeróbka sceniczna Géraudy powieści Colette. Nie wiele z tego rozumiałem, bo czuję, że w zetknięciu z kobietą tego rodzaju i z «problemem» tego rodzaju, zareagowałbym inaczej. Ale bardzo być może, że trudno mi to zrozumieć, bo jestem inny rasowo. I tak samo, jak trudno mi zrozumieć de Grioux w Manon Lescaut, tak i Michel — pomimo całej sympatii, jaką odczuwałem dla niego do końca — nie był w stanie we mnie nic poruszyć.

Alice jest rysowniczką mody, Michel dyrektorem administracyjnym w wielkim domu mody. Przyjechali na weekend do swojej małej fermy gdzieś we Francji. Zupełnie przypadkiem, głupio i niepotrzebnie, Michel dowiaduje się, że Alice zdradziła go kiedyś, już dawno, podczas jego pobytu w Londynie, z dostawcą materiałów i finansistą, Bordier. Cios jest okrutny, bo Michel kocha Alice i od razu czuje, że zdrada Alice była po prostu «poślizgnięciem się» zmysłów, że ten wypadek nie zaważył na jej uczuciu dla niego. Zagryza zęby, opanowuje się. Trzeba być współczesnym, *à la page*. Nawet żartuje i podkpiwa, życie płynie dalej.

Czuje jednak, że nie ma sposobu uniknięcia wyjaśnień. Brak mu sił do zupełnego zbagatelizowania zdarzenia. Nagłe śledztwo. Pytania jedno po drugim. Czy Alice kierowała się uczuciem, czy też był to «wypadek» zmysłów? Małe zwichrowanie uczucia, bez jutra — zapewnia Alice. Michel uspokaja się i zapomni. Po burzy, niebo znowu jest błękitne. Ale po raz drugi Michel zaufał zbyt swym siłom. Tak się składa, że Bordier wpada do nich w drodze do Paryża, aby omówić pewne sprawy finansowe, kwestię ewentualnej pożyczki i kredytu dla domu mody. Michel nie może opanować się. Chwyta Bordier za kark i wyrzuca go za drzwi. Ale nawet twarzy mu nie rozkwasił. Cały czas myślałem: «Michel — wal — w szczękę, przytrzymaj za krawat, i w kuchnię», a ten nic. Krew mnie zalewała. Dramat odradza się.

Michel wstydzi się swojej «słabości». Przeprasza Alice, że się uniósł. Nie — nic nie rozumiałem. Zamiast z kolei wygrzmocić Alice, on ją przeprasza. Gdyby chodziło o zwykłe porażenie zmysłów, powiada, łatwiej pogodziłby

się z faktem. Lecz Alice oddała Bordier nie tylko swe ciało, lecz także część swych uczuć. Z tym nie może się pogodzić. «Skłamałam — woła Alice — chodziło tylko o zwykajny *coup de sens*». Przysięga, udowadnia mu to bardzo trywialnym ustępem listu, który Bordier napisał do niej nazajutrz. Michel jest dobitny. Uduje spokój, ale gdy tylko Alice uśnie, zmęczona wzajemną szarpaniną, on wyjdzie z domu i — utopi się.

Trzy akty dialogu, stopniowanego. *Piano, forte, con fuoco*. Géraldy doskonale wystopniował to i przykroił do sceny. Doskonale wydobył niedomówienia. Ale i tak nic nie rozumiałem. Koniec zupełnie mnie rozśmieszył. Jak można topić się. Nie umiał pływać, czy co? Mężczyzna w takich wypadkach może próbować tylko jednego rodzaju topienia się: w alkoholu. I po co znęca się nad sobą. Dlaczego nie znęca się nad Alice i Bordier, skoro już chce się znęcać? Zdaje mi się, że w sumie ta sztuka zaczepia o problem nowoczesnego mężczyzny. Jeżeli tak, to wypadek jest ciekawy.

Nie ma żadnej wątpliwości, że w naszej epoce maszyn i nudy, ginie prawdziwy mężczyzna. Reakcje mężczyzn na tysiące zjawisk życia i sytuacji przypominają raczej reakcje historycznej kobiety. Coraz lepiej trzyma się kobieta, z coraz większą odpornością i hartem przyjmuje ona ciosy i paruje je, coraz bardziej chwije się mężczyzna. Tę wojnę znośią kobiety o wiele lepiej. Mężczyźni biją się, bo muszą. Jest wiele bohaterstwa. Ale gdyby zajrzeć głębiej, to nie wiem czy nie okazałoby się, że nawet na frontach tej wojny snuje się nad wieloma rzeczami histeria. Jest to wojna rozhisteryzowanych mężczyzn i dlatego jest tak okrutna. Kto wie, czy mężczyzna nie ginie już nawet w wojnie. Nie mówiąc o życiu codziennym. Odporność mężczyzny maleje. Fizycznie i szczególnie moralnie, mężczyzna załamuje się z coraz większą łatwością. To nie współczesna kobieta, umęczona, przypomina hermafrodytę, lecz mężczyzna, który staje się płynny, nieuchwytny, mglisty. O ileż trudniej dać dziś obraz mężczyzny. Nie ma już prawie «słabych» kobiet; są za to słabi mężczyźni i coraz ich więcej. Coraz więcej zdecydowanych kobiet, coraz mniej zdecydowanych mężczyzn. Cała ta nadchodząca cywilizacja zagraża o wiele bardziej mężczyźnie niż kobiecie. Kobieta o wiele łatwiej znosi jednostajność, a za

porządek, pewność i ład gotowa jest bardzo wiele oddać. W mężczyźnie może to wiele zabić. Stajemy się po kobiecemu drobiazgowi, czuli w sensie ujemnym, mściwi, bez gestu. Nachodzą na nas nastroje, w których staramy się zwalczyć poczucie odpowiedzialności, histeria, rozluźnienie, zmienność.

Michel jest doskonałą próbką nowoczesnego mężczyzny, tego biednego mężczyzny wepchniętego w regulamin, zaszeregowanego, ponumerowanego, ogrodzonego godzinami i minutami, ściśniętego automatyzmem — całą dyscypliną zewnętrzną, w której traci się wszystką dyscyplinę wewnętrzną. Nie chce całkiem zwyczajnie «wymasować» Bordier. Ba — usprawiedliwia się, że delikatnie wyrzucił go za drzwi. Nie ma odwagi przetrzepać żony. To było by bardzo prymitywne, ale i jej i jemu mogłoby przynieść ulgę. Nie ma odwagi rozstać się z nią, bo życie bez niej będzie jeszcze bardziej jałowe, szare, biurowe i papierowe. Nie chce rozpocząć życia na nowo, bo brak mu fantazji — płomień zgasł. On, reprezentacyjny okaz mężczyzny odtwórczego naszej epoki, nie czuje się na siłach szukać ujścia w jakiejś twórczości czy przygodzie. Stara się rozwiązać problem intelektualnie, rozsądkiem i przełamać w sobie rozumem to, wobec czego rozum jest właściwie bezsilny. I wobec tego — topi się. Niech cholera udusi. Dobrze mu tak.

Sztuka świetnie grana, choć Valentine Tessier «ubezczelnia» dialog zanadto. Odpowiada i zachowuje się tak prowokująco, że na miejscu tego Michela prąłbym ją od pierwszego aktu do ostatniego. Ten rodzaj gry zmienia zasadniczo intencję sztuki i przekręca jej sens.

Za to publiczność fantastyczna. «Panie» i «panowie», hołota wzbogacona czarnym handlem, która przychodzi do teatru nie na trzy akty, lecz na dwa antrakty. Patrząc na nich, zdawało mi się, że jestem w jakimś teatrze na Dzielnym Zachodzie wśród poszukiwaczy złota.

17. 10.43.

W Moskwie rozpoczęła się konferencja tak zwanych Sprzymierzonych. Eden, Hall, Mołotow, wojskowi itd. Partia pokera rozgrywana wśród koniokradów. Moskwa

chce drugiego frontu, naciska, żąda i podobno grozi. Anglicy politykują z wrodzoną im głupotą, co sprawia wrażenie «wielkiej i zręcznej dyplomacji». A Amerykanie powołują się na swoje dostawy do Rosji i dają do zrozumienia, że bez nich byłoby Sowietom ciężko, ale Sowiety nie chcą dorozumieć się. Tymczasem wszyscy siebie nawzajem potrzebują, więc jest nadzieja, że dojdą do jakiegoś porozumienia. Jeżeli za rok zacznie się «to wszystko» kończyć, to będzie dobrze. Ale lepiej nie myśleć «jak».

Wszędzie panują obecnie dwa, silne i niezwalczone przekonania. Najrozsądniejsi ludzie sprowadzają teraz wszystko najpierw do pobicia Niemiec: «Jak Niemcy zostaną pobite, to wejdziemy w nowy okres». Jednym słowem Wolność, Równość, Braterstwo, Dobrobyt, Niepodległość — *wsio, tout, everything, alles*. «Jak Niemcy zostaną pobite, to się ożenię, to masło będzie tańsze, raj na ziemi». Proste, jasne, pewne. Rodzynki w koszyku już przygotowane, bakalie bez kartek. Drugi dogmat, to zmiana Rosji. Oni już się zmienili. To są czyste anioły, baranki, ludzie naprawdę wielcy. Oczywiście, tak, «takie» rzeczy są nieuniknione na początku (długi ten początek jak na początek), ale nie ulega wątpliwości, że... To wszystko nieprawda, reakcyjna propaganda, kłamstwo. Katyń — mój Boże — nie wiadomo, kwestia sporna. Jest w tym wszystkim podświadome czepianie się byle czego, absolutna chęć *u w i e r z e n i a*. Sowiety i komunizm stały się namiastką religii. Wiara w nie zajęła miejsce utraconej wiary we wszystko. Człowiek, stając się coraz bardziej odśrodkowym pod wpływem odśrodkowego ruchu świata i całej ludzkości, nie chce «wylecieć» z wirażu. I wobec tego brnie z jednego kretynizmu w jeszcze większe kretynizmy.

21. 10. 43.

Jesień. Gdy wyjeżdżam rano do biura, robotnicy w niebieskich, spłowiałych ubraniach zamiatają na szarej avenue Daumesnil zeschnięte liście. Układają je na brzegu chodników w wielkie stosy i podpalają. Po ulicy snuje się mięsisty, tłusty dym. Gatunek dymu też zależy od pory roku. Inny jest dym letni, inny jesienny. Jest chłodno i popielato. Zbliża się znowu wojenna zima.

Na rue Saint-Sulpice odkryłem małą księgarnię, w której zgodzili się wyszukiwać mi «trudne» książki. Wszystkim trzęsie tam mały, niewyrośnięty introligator. Książka, szczególnie dobra, stała się dziś tak samo przedmiotem czarnego handlu, jak masło, cukier i fałszywe kartki na chleb, w ogóle wszystko. Szereg tłumaczeń z angielskiego, wiele wydawnictw przedwojennych i dziś zakazanych, ma swój kurs zupełnie tak samo jak dolary i luidory. Mój introligator (nazywa się Bardache — zupełnie balzakowskie nazwisko) wtajemnicza mnie w labirynt obecnego rynku. Wyśiaduję w jego oszklonej od góry komórce za sklepem, kręcę papierosy dla niego i dla siebie (ma palce lepkie od kleju i nie może sam skręcać, a tym że ja ślinię, wcale się nie brzydzi) i patrzę, jak przylepia skórzane grzbiety do zszytych książek. Znalazł mi już i Schelera i Junga i Spenglera, którego chciałem sobie powtórzyć po kilkunastu latach. Opowiada mi o Pierre Louys'ie, o szeregu jego książek, co do których nie wiadomo, czy są jego, czy zostały podrobione na użytek poczekalni w burdelach, podaje mi zupełnie zawrotne ceny niektórych *édition de luxe*.

Z przyjemnością wdychuję zapach kleju i starego papieru. Potem chodzę wzdłuż półek w sklepie i przeglądam książki. Kompletuję małą bibliotekę. Ale wielu rzeczy nie można dostać. Wobec tego zamawiam. Bardache rzuca w pogoni za danym tytułem całą sforę psów gończych, a ja czekam. Płacę drożej, ale mogę sobie na to pozwolić. Nie można być człowiekiem poniżej pewnej sumy wolnej w kieszeni. Duch bez kawałka kiełbasy i minimalnej choćby możliwości zrealizowania swych potrzeb kulturalnych staje się zupełnie nieludzkim, to znaczy wybitnie skłonny do tworzenia ideologii, w myśl których należy wyróżnić połowę ludzkości, aby twórca ideologii i jemu podobni mieli co jeść i czym zaspokoić swoje elementarne potrzeby kulturalne. Właściwie wszystkie ideologie «jedyne i prawdziwe» są wytworami głodomorów — jeżeli nie fizycznych, to na pewno moralnych lub duchowych.

Poniżej pewnego poziomu nie można być człowiekiem. Można posiadać wszystkie cechy człowieczeństwa, trzymać się, ale kosztem potwornych wysiłków, paczących na pewno duszę. Posiadanie lub otrzymanie pewnej kultury bez równoczesnej możliwości częściowego choćby zaspokojenia potrzeb, które ona rodzi, prowadzi ludzi do zbroczeń mniej

lub więcej niebezpiecznych dla otoczenia. Głodomory moralne lub duchowe są daleko niebezpieczniejsze, niż głodomory fizyczne. Głód fizyczny łatwiej zaspokoić, głód duchowy trwa i nawet rośnie, gdy tamten został zaspokojony. Człowiek z pewną kulturą nie jest i nie może być pełnym, gdy przez cały dzień musi powtarzać: «Gdybym miał ... to kupiłbym...» Jedną z przyczyn, z powodu której kiedyś, kiedyś mit komunizmu rozleci się w pył będzie to, że upowszechni on pewne potrzeby nazywając je «elementarnymi» i nie dając z drugiej strony możliwości zaspokojenia ich. Na dnie całego konfliktu dzisiejszego tkwi spór pomiędzy dwoma metodami «karmienia». Jedni chcą iść naprzód, chcą dogonić wyobraźnię (Ameryka), drudzy chcą ją zabić, sprowadzając wszystkich na najniższy poziom, chcą «oduczyć chcieć», chcą odzwyczaić ludzi od głodu moralnego, chcą może po prostu głód zabić głodem (Rosja).

Robię doświadczenia na sobie. Od czasu, gdy kiełbasa nie jest dla mnie problemem, coś się we mnie wyprostowało. Od czasu, gdy wyobraźnia nie tańczy dzikiej sara-bandy wokół tytułu jakiejś książki, coś się we mnie pręży. Bo w wielu wypadkach MOGĘ ALE NIE CHCĘ. «Mogę ale po co» daje jednak sporo godności. Nawet w stosunkach z samym sobą.

23. 10. 45.

Wieczorem w «Théâtre Saint-George» na «L'école des ménages» Balzaca. Szedłem do teatru z ciężką tremą. Była to ta obawa o kogoś, kogo się bardzo kocha i o kim się wie, że wszedł na złe drogi. Bałem się kompromitacji, po prostu klapy — miałem rację.

Co do możliwości teatralnych Balzaca zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że na scenie nie miał żadnych szans — drudzy utrzymują, że nie miał on czasu opanować techniki i że gdyby żył dłużej, odnalazłby na pewno i tutaj właściwy styl. Nie wiadomo. Jedno jest pewne, a mianowicie, że sam Balzac nie miał zbyt wielkiego zaufania do siebie w tej dziedzinie twórczości, gdyż do napisania sztuki szukał zawsze współnika. Kończyło się zwykle na tym, że współnik zawodził, a Balzac sam — wśród tortur i bólów porodowych — odkładał zaczęłą rzecz do szuflady.

Gdy groziły większe płatności, gdy normalne wpływy gotówki nie wystarczały na pokrycie należności, nerw sceniczny Balzaca odżywał. Teatr. Koniec długów i fortuna. Bo teatr interesował go właściwie jedynie od strony pieniężnej. «Sto pięćdziesiąt przedstawień — wykrzykiwał znajomym — po pięć tysięcy franków każde, to znaczy siedemset pięćdziesiąt tysięcy. A teraz liczcie: dwanaście procent praw autorskich, to znaczy przeszło osiemdziesiąt tysięcy franków czystego zysku. Nie mówiąc o broszurze w dziesięciu tysiącach egzemplarzy po trzy franki sztuka — trzydzieści tysięcy...» I odłożona na bok sztuka, niedokończona i pokryta zaschniętym potem całonocnych wysiłków, gigantycznych zmagani się tej olbrzymiej wyobraźni z ciasnymi wymaganiami teatru, wychodziła z szuflady na stół. Tak było z «L'école des ménages».

Po swojej wielkiej podróży na Korsykę i na Sycylię, gdzie sprzątnięto mu sprzed nosa kopalnię srebra, którą chciał kupić i która — o dziwo — okazałaby się naprawdę dobrym, milionowym interesem (dlatego nie poszło), po pobycie w północnych Włoszech i w Guérande (amory z Hélène de la Valette), rok 1838 był stosunkowo mało urodzajny. «Gabinet Starożytności», «Blaski i nędze życia kurtyzan», wykończenie «Cezara Biroteau», «Dom Nucingonów» i «Córka Ewy». Normalne wpływy gotówki skromne. Tymczasem płatności grożą. W lutym 1839 wypada mu płatność 6.000 franków. Co robić? Teatr. Za pośrednictwem swojego znajomego, Pérémé, staje układ między Balzakiem i dyrektorem «La Renaissance» A. Jolly, w myśl którego Balzac otrzyma 6.000 franków za natychmiastowe dostarczenie «Szkoły małżeństw» — następna sztuka za pięć miesięcy, następna za osiem... Ocalony.

Natychmiast wyciąga z szuflady «Pierwszą pannę sklepową» (Première demoiselle), która jeszcze w 1838 nie podobąca się pani Hańskiej, ale która wzbudziła zachwyt pani Sand. Balzac zmienia tytuł. Z panny sklepowej robi się szkoła małżeństw. «Rzucę dramat z życia mieszczańskiego, jak próbny balon — pisze bodaj że do pani Hańskiej — bez hałasu, jak coś bez konsekwencji, aby zobaczyć, co powie się o tym, co jest prawdą absolutną». Oczywiście angażuje współnika. Jest nim Lassailly. Razem z nim zabiera się do pracy. Szesnaście dni i szesnaście nocy borykania się z niepokonalnymi trudnościami sceny. Zmęczony,

stratowany, wyciśnięty jak cytryna, zjawia się ze «Szkolą małżeństw» w gabinecie Jolly. Jolly sztuki nie przyjmuje. «Prawda absolutna», «dramat z życia mieszczańskiego» nie były wówczas w modzie. Teatr chciał teatru w najgorszym tego słowa znaczeniu dzisiaj, chciał kawalków à la «Antony» Dumasa tatusia lub «Hamleta» z happy-endem, którego tatuś Dumas tak przykroił dla paryskiej publiczności. Happy-end, to wcale nie amerykański wynalazek. Kultura masowa, która zaczęła wtedy kielkować we Francji, wymagała tak samo jak i dziś, happy-endu i optymizmu. «Szkola małżeństw» Balzaca utonęła w zapomnieniu do — 1943 roku. Między momentem, gdy bezlitosny Jolly odrzucił znękanemu autorowi sztukę, a tegoroczną jesienią jest pustka, łącząca jednak i uwspółcześniająca tamte chwile. Idąc do teatru, zdawało mi się, że Balzac jeszcze żyje. Byłem wzruszony, trochę zagubiony w czasie i miałem piekielną tremę. Nie znałem «Szkoly małżeństw» nawet z czytania i drżałem, żeby Honoriusz nie «przefajnował», jak to Boy raz napisał o pani Hańskiej, żeby nie rozszalał się. Ale Honoriusz «przefajnował». Nawet na nasze współczesne wymagania teatralne, o ileż bardziej postępowe od ówczesnych.

Korzystając z nieobecności swego męża, Mme Gérard — wspomagana przez swoje dwie córki, Annę i Karolinę, i po przeprowadzeniu przez Annę podstępnej intrygi przy pomocy Mr. Duval, brata Mme Gérard, oraz Roblot, kasjera firmy — zwalnia z pracy Mlle Adrienne, pierwszą pannę sklepową magazynu Gérarda i jedyną jego zaufaną. Ale zanim Mlle Adrienne zdążyła opuścić dom, Gérard, przyspieszając swój powrót, zjawia się niespodziewanie w domu. Jest niemile zaskoczony nie zastając swej powiernicy i jedynej przyjaciółki w tym rodzinnym gnieździe żmij. Wybucha dramat, pełen napięcia, gwałtowny, rwący. Miłość — bo Gérard zrozumiał, że kocha Mlle Adrienne ostatnią miłością starzejącego się mężczyzny — podstęp, zazdrość i nienawiść prowadzą wszystkie osoby w czasie trzech aktów do jakiegoś epilogu. Ale jakiego? W czasie tych trzech aktów, mocnych, osiągających w niektórych scenach ponurą wielkość zgrzytającego po kościach realizmu prawie ibsenowskiego, sytuacja zaplątuje się do tego stopnia, że nie widzi się wyjścia. Gérard chce rzucić rodzinę i wyjechać z Adrienne. Nie może się jednak na ten

krok zdecydować. Dalsze życie bez Adrienne jest niemożliwe. Pozostanie Adrienne w domu i powrót do «status quo» będzie piekłem. Wyrzec się szczęścia? Nie. Zaznać go zdala, po spaleniu wszystkich mostów za sobą? Też nie. Kompromis? Wykluczony.

Przyznam się, że trzy pierwsze akty zastrzeżyły mnie swoją nowoczesnością. Problem jest zupełnie nieteatralny na wymagania teatru z 1839 roku. «Prawda absolutna» przybiera tu już postać scen wprost drastycznych, przyjętych przez nas dzisiaj, ale należących na pewno do tego «o czym się nie mówi» w epoce Balzaca. Stąd na pewno kręcenie noskiem pani Hańskiej, stąd zachwyty G. Sand. Bo Balzac wypowiada tu głośno to, co G. Sand myślała (i robiła) i czego pomimo wszystko, ona, wielka Aurora, nie ośmieliła się wyrazić w taki sposób. Jolly odrzucił sztukę, bo ówczesna publiczność nie przelknęłaby takiego — co tu dużo gadać — skandalu. Musiał i Balzac zdawać sobie z tego sprawę i dlatego wprowadził ten niesamowity epilog. Miał to być opłatek, w którym publiczność przelknęłaby gładko gorzką pigułę, a jednocześnie to coś «niesłychanego», w czym tak lubowało się to *enfant terrible* literatury francuskiej i całej Francji. Poniosło go. Epilog ten oparty jest podobno na prawdziwym zdarzeniu (?), które Balzac «upolował» gdzieś w roku 1838. Doczepił je z właściwą mu pasją, podobno za namową księżnej de Metternich.

Akt czwarty przedstawia salon Gérardów. Palą się świece. Czarne fraki notariusza i klerków. Zostali powołani dla spisania aktu, a raczej stwierdzenia urzędowo faktu, iż obecni tu Gérard i Mlle Adrienne nie rozporządzają pełnią swych sił umysłowych. W chwili, gdy Gérard wsiadał do powozu aby wyjechać z Adrienne, obydwójce stracili pamięć i poczucie rzeczywistości. Przestali się widzieć nawzajem, przestali się poznawać. Dziś żyją obok siebie, mówią ze sobą, tęskniąc jedno za drugim, opowiadając o swej miłości i wyczekując śmierci, która połączy ich na wieki. Zakończenie mistyczne, błękitne i srebrne. Opłatek.

Po trzech aktach zgrzytliwego *terre à terre*, po rozpętanu uczuć i instynktów z krwi i kości, epilog ten jest jak szklanka letniej wody. Psuje wszystko, przekreśla całe napięcie. Trzy mocne akty walą się w próżni cukierkowego

mistycyzmu, całość rozsypuje się w pył. Nic się na to nie poradzi. Dla kogoś, kto nie zna Balzaca, kto go nie otacza umiłowaniem, nie przedstawia to nic ciekawego i jest nieudane.

Dla mnie odżył pomimo wszystko. Czuliśmy jego obecność i gdy mówiliśmy z Basią o pewnych scenach, obydwoje uśmiechaliśmy się. To on, «taki» on tu, i tam, w tym zdaniu, w tej scenie, w tym typie. Jak musiał być dumny z tego epilogu... właśnie z tego epilogu.

W teatrze, pomimo mody na Balzaca, pustki. «Szkoła małżeństw» nie pójdzie i padnie pomimo zupełnie zawrotnej koniunktury teatralnej. Tego bałem się już z góry i nie pomyliłem się.

Wytrawny Constant Remy (Gérard) bardzo dobry, Mary Morgan (Adrienne) świetna.

1944

26. 1.44.

Nie pisałem. Od chwili gdy przyszłość stała się zupełnie niezagadkowa, gdy ma się pewność nadejścia nocy, po co pisać? Teraz piąty dzień już mija, jak jestem w szpitalu. Najpierw choroba, coraz silniejsze puchnięcie szyi z lewej strony, gorączka, wreszcie lekarz orzekł, że to «ganglion» czy jak się to tam nazywa i na gwałt operacja. Podobno w ostatniej chwili i było nawet niebezpieczne. K. okazał się, jak zwykle, tak troskliwy, tak zapobiegliwy, że dzięki niemu mam na ogólnej sali jakby oddzielną kabinę. Na sali «odbywa się» życie, ale nie biorę w nim udziału.

Dziś rano umarł jakiś staruszek. Jęczał cicho. Gdy przyszedł lekarz, staruszek już nie jęczał. Zgasł. Mimo woli dmuchnąłem w powietrze, jakby na świecę i pomyślałem «to jest życie». Obstawili łóżko staruszka parawanami i życie «odbywało się» dalej. Obok niego leżał młody chłopak. Przyniesli go wczoraj po ciężkiej operacji wyjmowania z gardła otwartej agrafki (gdzie on znalazł w tych czasach agrafkę?), którą połknął. Chłopak, wczoraj ledwo żywy, dziś już wstał i śmieje się. Teraz poszedł na koncert szpitalny. Ja nie poszedłem na koncert, bo nie chciało mi się ubierać. Godzina za godziną wlecze się wolno, godziny bez kropek i przecinków, czas bez żadnej interpunkcji. Wychodzę do umywalni na papierosa — na sali nie wolno palić — i przypominają mi się czasy gimnazjum. Papieros ma w takich warunkach jakiś wyraźniejszy smak. Czytam i myślę. Właściwie mam to, o czym od tygodni marzyłem.

Spokój i dużo czasu i poczucie «odcięcia». Jestem trochę odcięty od świata. A tymczasem na świecie wypadki pędzą — pędzą do końca paradoksalnego i tragicznego. Jak złowrogi cień rozpościera się z każdym dniem bardziej całą przyszłością widmo Rosji, idącej twardo do zwycięstwa, do j e d y n e g o zwycięstwa i podporządkowującej sobie wszystko. Więc co? Więc Europa wschodnia ma popaść pod panowanie tego zmechanizowanego barbarzyńcy, chama, tej ideologii, która zabija w człowieku wszystko, co w nim jest człowieczego? Po tylu latach kłamstwa, tego wstrętnego, duszącego i pętającego myśl kłamstwa, po tylu latach d o g m a t ó w czczych i nie-ludzkich, mamy znowu pogрузić się w kłamstwie, w dogmatach, w upaństwowionym zakłamaniu? Chyba tak... Ale czego się boję? Tego, że na miłość boską, k a ż ą mi znowu w coś wierzyć. K a ż ą wierzyć, że jakaś demokracja lub ustrój komunistyczny są doskonałe i jedyne. Że znowu z byle g... porobi się i d e a ł y i i d e o l o g i e, że znowu kłamstwo i propagandę ustawi się na cokole i zrobi się z nich nowego Boga. Mam dość kłopotów ze starym...

Więc na co ta wojna? Dla kogo? Ludzie czują zbliżanie się końca, ale nie cieszą się. Jest jednak we wszystkich jakiś lęk, jakby przed pogrążeniem się w jeszcze gorszych ciemnościach. Jakże nastroje zmieniły się od pół roku...

Siedzę sam i nie chce mi się myśleć, boję się myśleć i domyślać do końca. Jakież wszystko byłoby proste, gdyby można uwierzyć na przykład w tę prostotę radia Moskwa.

27. 1. 44.

Patrzę w szarość okien. Jestem po opatrunku. Lekarz grzebał mi w ranie i bolało mnie. Człowiek powinien zgadzać się z tym wszystkim, co mu przypada w udziale. Jest to jedyne sposob osiągnięcia spokoju. Protest przeciwko złym stronom życia nie prowadzi do niczego, tym bardziej gdy te «złe strony» dokonały się. Protestować należy w p r z y s z ł o ś ć. I to jest jedyne konstruktywny sposób protestu. Makabrą komunizmu jest jego ciągły protest w przeszłość, w przeszłość jakiegoś wczesnego kapitalizmu,

który już dziś nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Protest w teraźniejszość i w przyszłość jest tam herezją. I ten ich «happy end» mnie dobija.

28. 1.44.

Ciągle szpital. Cięcie goi się powoli. Na łóżku nr 3 leży stary Francuz, wąsaty Breton starej daty. Chodzę do niego gadać, a raczej wysłuchiwać niekończących się opowiadań. Z zawodu jest farbiarzem kwiatów. To taki specjalny fach paryski. Farbuje wrzosy na liliowo, różne trawki i inne nieśmiertelniki. Opowiada mi o poprzedniej wojnie. Był na Bałkanach. Wracał z Konstantynopola do Salonik okrętem, na którym szalał tyfus. Ludzie umierali wokoło i tylko w upalnej ciszy słychać było ciągle plusk wody przy wyrzucaniu trupów.

Jest pobożny, rozczulająco pobożny i wierzący, ale bez cienia bigoterii. Należy do jakiejś kongregacji przy Sacré-Cœur i ma swój własny sztandar, który nosi na wszystkich procesjach. Jest bardzo dumny z tego sztandaru. Zapłacił za niego 3.000 franków przed wojną — «i to bez drzewca, bez okuć i bez futerału» dodaje mrugając okiem. Leży w łóżku i czyta Nowy Testament — po łacinie. Oczywiście nic nie rozumie, ale to taki fason. Pożyczył mi tę książeczkę i czytałem całe rano. Połknąłem cały Nowy Testament jednym tchem. Po łacinie miało to specjalny urok. Naprawdę piękne opisy życia Chrystusa. Tak bezpośrednie, że chwilami wydawało mi się, jakby to było wczoraj, gdy chodził i nauczał, gdy objawił ówczesnemu światu tę wielką i nieznaną rzecz: litość i miłość bliźniego, godność ludzką nawet w najbardziej poniżonych, choć *beati qui persecutionem patiuntur propter justitiam, quoniam ipsorum est regnum coelorum* wydaje mi się trochę demagogiczne. Jest w tym coś z dyskryminacji, jakies na przykład że prawo do wyższych studiów mają jedynie synowie robotników i chłopów.

Scena w świątyni z Faryzeuszami jest wspaniała. W każdej rozmowie z komunistami miałbym też ochotę zawołać: *Quid me tentatis hypocritae? Ostendite mihi numisma census... Cujus est imago haec, et superscriptio?*

Dicunt ei Caesaris. Tunc ait illis: Reddite ergo quae sunt Caesaris, Caesari. Et quae sunt Dei, Deo. Wprost filmowe.

Wieczorem. Powietrze jest ciężkie. Centralne ogrzewanie wysysa z powietrza wszystkie soki ożywcze. Pozostaje smród — smród spoconych ciał, uryny i choroby. Na szczęście mogę otworzyć okno i w mojej kabinie jestem oddzielony od reszty sali. Kolektyw — ideał przyszłego świata. Cholera. Postanowiłem być subiektywny, skrajnie subiektywny. W tej epoce czółgającego się «obiektywizmu» nie można inaczej siebie zachować.

Koło ósmej jakiś operowany dziś po południu chory, dostał krwotoku. Słyszę bulgotanie w gardzieli, jak w starej umywalce i plusk wychłapywanej strumieniami krwi. Jęk, bulgotanie i chlupot. Cisza. Pielęgniarki biegają tam i z powrotem. Przyszedł lekarz dyżurny. Człowiek konał. Odbiło mu się długo i głęboko. I to był koniec. Już znoszą parawany i obstawiają nimi łóżko. Mój Boże — cóż wielkiego? Dmuchałem w powietrze i znowu zgasiłem imaginyjną świecę. Iluż kona w tej chwili, w tej sekundzie tam, na frontach, w obozach koncentracyjnych niemieckich i rosyjskich, wszędzie. Ja też nie jestem ważny. Loteria.

Na sali jest duszno i pocę się. Trzymam pod nosem chusteczkę skropioną wodą kolońską i myślę o Petroniuszu. Czuję, że nie usnę. Na sali znowu cisza. Po chwili gaszą światło. Spimy z padliną. Nawet okien nie otworzyli. Pewnie dlatego, żeby zwłoki nie dostały *congéston*. Nie mogę. Zapalam w łóżku papierosa pomimo, że jest to zabronione. Ale nikt nie widzi. Siadam na łóżku i patrzę w liliowy mrok. Mowy nie ma o spaniu. Ubieram się i siadam z książką w fotelu, przy którym pali się dyżurna lampka. Po chwili przychodzi pielęgniarka i każe mi iść do łóżka. To jest niedozwolone. Nawet nie spojrzalem i udaję, że czytam dalej. Już jestem widocznie zdrowszy, bo palę się wprost do jakiejś awantury. Pielęgniarka gada. Regulamin, porządek, lekarz dyżurny. Zamykam z trzaskiem książkę («Myśli» Pascala), walę nią o stolik i wrzeszczę: *Je m'en fous, comprenez* — nie mogę spać i chcę czytać».

Znowu potok słów. Lekarz-szef przyjdzie itd. «No to przyjdzie i ja się z nim rozmówię. *Foutez-moi la paix*. Nie mogę spać. To jest higiena, *nom de Dieu*, spać z padliną w jednym pokoju w tym za....powietrzu». Przyszedł pie-

łęgniarz i próbuje mnie wziąć za rękę. Czekałem na to. «*Attention, mon vieux, n'y touche pas*, bo cię stąd wyniosą na noszach». Przestraszył się. Puszczą mnie i dają mi spokój. Gadają na korytarzu. Jestem wniebowzięty. Czytam. O 11-ej przyszły dwa łapiduchy z noszami wynieść czcigodne zwłoki. Coś tam grzebali w mroku i po chwili przeszli obok mnie. Nosze pokryte czarnym płótnem. Znać było nos i palce u nóg. I tak poszedł człowiek. Kiwnąłem ręką i powiedziałem półgłosem «salut». Pielęgniarka znowu podeszła zapytać się, czy nie mam zamiaru iść do łóżka. *Non, merde*. Wyszła. Rozciąłem książkę i o 12-ej położyłem się. A na sali upał. Jak jeden znacznie kaszleć, kaszłą wszyscy. A ten naprzeciwko z rakiem tchawicy prychnął i rzezi, jak stara lokomobila. Smród. Otworzyłem okno i wleciał komar. W styczniu komar. Klnę na głos, bo śpiewa mi koło twarzy. Pogryzł mi rękę i wreszcie zabiłem go na czole. Można spać.

29. 1. 44.

Cięcie nie goi się. Ciągłe cieknie. Czuję się nerwowo zupełnie fatalnie. Kryminał. Nie nadaję się zupełnie do kolektywnego sposobu życia. Działa to na mnie deprymująco. Mam ochotę wszystko tłuc i rozbijać. Żebym miał przy sobie Jędrka Przybylskiego, to zaczęlibyśmy tu odstawiać klasyczne draki, importowane wprost z Dębniak i z Podzamcza. Pamiętam, jak raz jego ojciec był chory na zapalenie płuc. Tato lubiał pociągnąć, a lekarz zabronił. Mama wyszła i Jędrak słyszy nagle grobowe wołanie: «Andrzeju, synu mój jedyny, ojciec twój skona już niedługo...» Jędrak zaczął płakać, myślał, że ojciec już kituje, a tu ojciec mówi dalej: «i w tej ostatniej godzinie proszę cię, abyś mi natychmiast przyniósł bombę jasnego od Rittermana». Jędrak dał tacie piwa i tato wcale nie wykitował. Jednego wyczynu zawsze mu zazdrościłem: ten drań przygotowywał się do matury — w «Feniksie». Brał kawę, obtańcowywał wszystkie fordanserki i w przerwach między jednym tangiem i walcem angielskim, wkuwał. I zdał. A ja nie. I do dziś dnia jestem przekonany, że tylko dlatego, że nie uczyłem się w «Feniksie». Jest ze mną całkiem źle — zaczynam wspominać. Wytworne lekcje tańca. Dwie

Wyrwiczównie, Magda Grosse, Szarska — sama śmietanka Krakowa. I do picia dawali cytronadę. Od razu leciałem na wódkę, żeby zabić smak tej lemoniady. Całkiem źle ze mną. Miałbym ochotę na rum, a nie ma skąd wziąć. Basia nie chce przynieść. Może by tak odegrać z nią scenę taty Przybylskiego? «Żono jedyna i umiłowana...» Cholera. Przehandluję trochę tytoniu za wino z jakimś umarlakiem.

Po południu był «koncert». Poszedłem. W jednej z sal, prawdopodobnie wykładowej (ten brud, ten brud) są amfiteatralne siedzenia. Zeszła się publiczność. Goya, to pętał. Jego pobojowisko, to zwyczajna martwa natura. Tu była martwa natura żywa. Ci chorzy, nędzni ludzie, brudni i śmierdzący. Wymalowane dziewczęta z oddziału skór nego (*c'est notre siphilisation*, jak mówi jeden mój znajomy Francuz, gdy mówimy o naszej epoce), chore twarze, gołe nogi i kapoty szpitalne. Cały ten amfiteatr wyglądał, jak hiszpański grzebień damski, zapchany łupieżem od góry do dołu. Był w tym nastrój i barwa sztychu, przedstawiającego szpital w 15-ym wieku. Ludzkie łachmany i ścierwo. Zaczęły się «występy artystów».

Stara, chuda i z nosem jak szydło babcia, przygrywała na pianinie. Jakiś młodzieniec odrzęczał nieruchawo kilka piosenek. To ciekawe, że ten naród bez słuchu i bez poczucia rytmu, ma takie zamiłowanie do śpiewania. Potem jakaś *jeune fille* z kolekcji wypotrzebowanych dziewic znowu odpiszcziała fałszywie kilka piosenek. Potem jakaś wycofana z obiegu i przehuśtana primadonna skrzeczwała coś z repertuaru rok 1925 i posyłała widowni figlarne całusy, zachęcając do wspólnego zaśpiewania refrenu. I łupież buczał.

Potem dyrektor zespołu deklamował. Mówił wiersz, z którego wynikało, że ci wszyscy, co noszą rozetkę Legii Honorowej są skończonymi szubrawcami, którym Legia dostała się niesłusznie, a ci, co naprawdę przelali krew «pour la Frrrrrrrance» nie mają nic. Łupież bił szalone brawo. Ja też, żeby przekonać się, czy potrafię klaskać. Potrafię, to znaczy mogą być ze mnie jeszcze ludzie. Bo grunt to klaskać, umieć klaskać. A potem mówił długi wiersz Fr. Coppée (to gorsze niż kaszel i Victor Hugo) pt. «Strajk kowali». A wreszcie jakaś *chanteuse fantaisiste* o powierzchnowości starej komsomołki lub jacejki lub czerez-

wyczajki (jedna moja ciotka w Wilnie zawsze mówiła: «Kobiety są zawsze okrutniejsze od mężczyzn — ot widzisz te czerezwyczajki») śpiewała w «argot» piosenki do widowni. Coś w rodzaju «Ja się boje sama spać» i proponowała mężczyznom z widowni, aby przespalili się z nią. Śpiewając to, weszła na amfiteatr i wybrała sobie jakiegoś młodego śmierdziucha, którego po skończeniu piosenki pocałowała w oba świecące od potu policzki. Zrobiło mi się niedobrze, zmulilo mnie na amen i wyszedłem. Orzeźwił mnie dopiero widok kąpiących się w kałuży wróble. Słońce zachodziło i wróble, napuszone jak szaro-bure miotłki z piór, chlapały się w wodzie. Było mi zazdrość. A tam łupież bawił się dalej. W oczach został mi obraz napchanej sali i potworna głowa kobiety bez brody i bez ust. I wreszcie całe rzędy głów, dziwacznych i okropnych. Granatowe kapoty, brudne bandaże, gołe i sinawe, pełne żylaków nogi kobiet. Podarte buty i łapcie i umalowane twarze, tłuste fryzury i kolczyki. A wśród tego szkieletowy klekot pianina i «śpiewaczki» z cmentarzyska rozbitych artystów, podskakujące i posyłające całusy żywym trupom.

Myślę o Jaśku. Jestem tu dziewiąty dzień i zdycham. A on już cztery lata. Dzień za dniem. To musi być potworne — obóz.

Czytam wspomnienia E. Dujardin'a o Houstonie Stewart'cie Chamberlainie, tym Angliku ziemczonym, który napisał sławne niegdyś «Grundlagen des 19 Jahrhunderts» — rasistowskie i antysemickie. Nazizm uważa go za swego proroka. Anglicy są jednak wszechstronni. Chamberlain w jednym z listów do Dujardina pisze: «Ostatnio posłałem moją służącą na «Tannhäusera» i wróciła olśniona: «Ach, jakie to piękne, powiedziała, ale o ileż byłoby to piękniejsze, gdyby całkiem nie było muzyki». Oto głos zdrowego rozsądku. Ta służąca musiała być wybitnie inteligentna. Stwierdziła mniej więcej to samo, co Frobenius w swojej «Historii cywilizacji», który twierdzi o XIX wieku, że w muzyce Weber rozpoczyna dzieło zniszczenia, a Wagner je kontynuuje. Określa to jako «zręczność bez celu», «dźwięki zorganizowane, a raczej zmechanizowane». O Wagnerze istotnie nie można powiedzieć, że mistrz objawia się przez sztukę ograniczania się. Ten parzygnat Chamberlain'a to wyczuł.

30. 1. 44.

Ponieważ od dwóch dni opatrunki robiły mi pielęgniarce i nie mogłem się nic dowiedzieć, zażądałem, aby dziś opatrunek zrobił mi lekarz. Dziwni ci lekarze tutejsi. Nie ma w nich nic z tej «iskry bożej», jaka cechuje lekarzy niemieckich, austriackich lub naszych. Nie czuć powołania, artysty. To są urzędnicy, traktujący to jako fach równie dobry, jak każdy inny. Żadnego zainteresowania. Tutejszy *interne* ma minę planetnika, obojętnego kota paryskiego. Czy ich nie uczą psychologii chorego? Zabrał się do mnie, oglądał, pogrzebał i powiedział to ich odwieczne *ça va, ça va très bien*. A dlaczego nie goi się — pytam. «Bo tylko nacięliśmy nie usuwając wrzodu i to teraz powoli wypróżnia się — *ça suit son cours*». Trochę mnie to uspokoiło. Wróciłem do mojej kabiny, usiadłem na krześle i zemdlałem. Przeszedłem do siebie, jak mnie rozbierali. Widocznie jestem osłabiony. Wściekło mnie to. Pierwszy raz w życiu moje ciało, od którego mogłem dotąd wymagać, czego chciałem, nawaliło. Ale widocznie i z tym trzeba się pogodzić.

31. 1. 44.

No, zdaje się, że *ça va*. Pielęgniarki zaczynają coś przebąkiwać, że można by mnie odesłać do domu i żebym przychodził na opatrunki. Zobaczymy. Jedno, co mnie trochę «oziębła», to temperatura w naszym pokoju hotelowym. Ale zima jest łagodna. To dziwne — w tym roku po raz pierwszy brak mi śniegu i suchego zimna. Za oknami wiosna. Jestem osłabiony.

Hitler miał mowę na jedenastolecie nazizmu. Przyciśnięty do muru, piszczy. Jeżeli Niemcy przegrają tę wojnę, to zginie nie tylko naród niemiecki, ale połowa Europy wraz z całą jej kulturą. Może. Tylko co stałoby się, gdyby Niemcy ją wygrały?

Mam zamiar posiedzieć w tym przeklętym szpitalu przez rozsądek. Dają mi zastrzyki na wzmocnienie i jem cukier. Od 14 stycznia prawie nie jadłem cukru i od razu wszystko mi się pokręciło. Cukru zawsze potrzebowałem bardziej, niż czego innego. W dzisiejszym «L'Echo de la France» (cała Francja będzie się niedługo nazywać «L'écho de la France») ciekawy artykuł pt. «Konflikt rosyjsko-polski wchodzi w fazę krytyczną». Jest to zresztą tytuł artykułu angielskiego «Economist», przytoczony w tutejszej gazecie. Dalej jest streszczenie tego artykułu — dosyć zdumiewające zarówno dlatego, że ukazało się w Anglii, jak i tutaj.

«Dysputa polsko-rosyjska jest znacznie rozleglejsza i skomplikowana, aniżeli dyskusja o granice sama w sobie. Z obydwóch stron jest ona kwestią zaufania i wzajemnej niechęci... Deklaracja rosyjska zawiera pewną liczbę zdań niczym nieusprawiedliwionych i natury polemicznej przeciwko rządowi polskiemu, który dalekim jest od stanu «izolacji w stosunku do swego narodu» i który w każdym razie reprezentuje naród w sposób bardziej kompletny, aniżeli robiły to inne rządy polskie — i to pomimo błędów politycznych i «faux pas», które mógł on popełnić. Deklaracja rosyjska zawiera groźbę uformowania w Polsce nowego rządu, którego zaczątkiem miałyby być Unia Patriotów Polskich w Moskwie. Trzeba, aby zostało ogłoszone jasno, że tego rodzaju rząd byłby uważany przez wszystkie mocarstwa zjednoczone jako «rząd-widmo» i że nie mógłby on liczyć na uznanie go. Wydaje się, że najrozsądniejszym krokiem, jakiego Moskwa mogłaby się obecnie podjąć, by umożliwić zbliżenie polsko-rosyjskie, byłoby zupełne rozwiązanie Unii Patriotów Polskich i zdecydowanie się na podjęcie normalnych rokowań z narodami sąsiednimi».

Dosyć ciekawe. Z drugiej strony dzisiejszy «Matin» podaje, że Stalin obdarzył republikę sowiecką autonomią na wzór angielski i że ma to służyć również do rozwiązania problemu polskiego. Znaczyt się — Polska autonomiczną republiką sowiecką. To mi bardziej odpowiada, bo niczego innego w gruncie rzeczy nie spodziewam się już od długiego czasu. Ale to beze mnie, bo ja nie chcę być «autonomiczny».

Z rany ciągle cieknie i cieknie. Już drugi tydzień. Oni mówią, że *ça se vide* i że *c'est long*. Żeby ich diabli wzięli. No to będę siedział w szpitalu. Trzeba to potraktować jako odpoczynek sanatoryjny.

Wczoraj umarł na atak uremii Jean Giraudoux. Śmierć zupełnie niespodziewana. Jedna ze sław literackich współczesnego Paryża zgasła. W «Hébertot» grają właśnie jego «Sodomę i Gomorę» z Edvige Feuillère.

2. 2. 44.

Jakieś nowe prawo o rekwizycji do pracy mężczyzn od lat 16 do 60 i kobiet od 18 do 45. Przygotowuje się nowy transport do Niemiec.

Kończę czytać «Muson» Bromfielda. «Hintertreppenlitteratur». Niezłe opisy obok zupełnego barbarzyństwa nieraz kilkunastu kartek. Nie wiadomo, o co chodzi.

Przeczytałem dziś w gazecie, że otwarto nową radiostację w Paryżu. Nazywa się ona «Radio-diffusion permanente». Od 7-ej rano do 10-ej wieczorem nadaje ona wyłącznie informacje. Bez przerwy.

Wspaniałe. W tym naprawdę jest jakieś szaleństwo. Doszliśmy do tego, że całe miasto można by doprowadzić do stanu zupełnego zaciemnienia umysłowego. Wystarczyłoby na wszystkich ulicach, co 50 metrów zainstalować głośniki i przez cały dzień powtarzać w kółko to samo. Już nas wtrenowują do przyszłego świata.

Znowu zbliża się noc. Te noce są najgorsze. O 8-ej gaszą światło. Nie śpię do 11-ej, czasem do 12-ej i potem popadam w paroksyzmy snu, budząc się koło 1-ej, 3e-j i 5-ej rano. Najczęściej leżę i wspominam. Wspominam spokojnie, bez żalu, że coś minęło.

3. 2. 44.

Niemcy twierdzą, że w ostatnich dniach zrzucili przeszło tysiąc ton bomb na Londyn. Churchill zapowiada, że wielkie bitwy, które spowodują wiele wspólnych cierpień dla wszystkich Anglików, są obecnie bliskie. «Daily

Herald» mówi o definitywnych przygotowaniach do najsmielszej inwazji w historii. Będą się bili dla Rosji.

We Francji rozpoczęto walkę z bandami «terrorystów». Lekarz, przyciśnięty do muru, powiedział mi, że wszystko dobrze, ale przyspieszyć tego nie można. Trudno. Czytam i notuję.

4. 2. 44.

No — wyjęli mi knot, przestało cieknąć, przyłożyli tylko gazę i ma się goić. Za kilka dni może się to skończy. W tych szpitalach zupełne średniowiecze. Wczoraj rano stwierdzili, że jeden z chorych na naszej sali ma szkarlatynę. Leżał z nami do dziś i dopiero pod wieczór przenieśli go na oddział zakaźny.

Padał dziś śnieg. Topniał od razu, ale patrząc na taniec płatków przez okno, było mi jakoś wesoło. Gęsty śnieg z wiatrem jest dla mnie, jak muzyka. To gra. Cała symfonia. Każdy płatek jest jak poszczególny ton. Sam nie oznacza nic, razem z innymi tworzy melodię.

5. 2. 44

Rzeczywiście goi się. Przynieśli kliszę moich płuc i lekarz powiedział, że wszystko w porządku. Leżę w łóżku obłożony książkami. Lekarz, przechodząc dzisiaj, zatrzymał się i zaczął je oglądać. Spojrzał na mnie i — od razu był inny. W tym kraju, uznanym powszechnie za tak kulturalny, widok kilkunastu książek działa, jak tajemnicze hasło. Lekarz usiadł na łóżku, zaczął przerzucać Bergsona, potem Pascala, raczył ze mną rozmawiać. Gdy w końcu poszedł, doszedłem do przekonania, że schamienie we Francji zostało już tak daleko posunięte, iż członek jakiej takiej tak zwanej elity intelektualnej spotkawszy drugiego, czuje tu daleko większą wspólnotę i jedność, niż gdzie indziej. Kto wie, czy nie idziemy ku czasom, w których dwóch ludzi, spotkawszy się nawet bez świadków, będzie się najpierw długo «obwąchiwać», jak dwa jamniki (cała ludzkość będzie już wtedy przypominać tylko jamniki), po czym jeden od niechcienia, ot tak sobie, rzuci półgłosem nazwisko ja-

kiegoś zakazanego filozofa lub autora. «Pascal» — szepnie. Wtedy drugi rzuci mu się na szyję i powie «bracie». Popłaczą się. I umówią się na wieczór w jakichś ruinach, żeby móc godzinę porozmawiać o Pascalu. Ale i to będzie trudne, bo słowa ich będą zagłuszać głośniki jakiejś «radio-diffusion permanente» ustawione co 25 metrów, a marzeniem i celem każdego zarządu miejskiego będzie zainstalowanie tak gęstego i tak mocnego oświetlenia ulic, aby ludzie nie mogli popatrzeć w górę na wygwieżdżone niebo. Bo w wygwieżdżonym niebie kryje się najwięcej zdradzieckich zasadzek dla myśli nowego człowieka. Mógłby jeszcze jeden z drugim w ogóle z a c z ą ć myśleć. Zaczynam być przekonany, iż Aleksander Wielki stał się wielkim dlatego, że po prostu wolał iść na wycieczkę aż do Indii, zamiast wprowadzać w życie «Utopię» napisaną dla niego przez Arystotelesa.

Rosjanie zajęli wczoraj Równo i Łuck. Zaczyna się.

W tej chwili powiedzieli mi, że jeżeli chcę wyjść ze szpitala, to mogę. Od razu zatelefonowałem do Basi, żeby przyniosła mi płaszcz i kapelusz. Mam trzytygodniową brodę i jestem podobny do Nansena.

6. 2. 44.

W domu. Cóż za rozkosz. Wprawdzie zimno, ale czuję się zupełnie inaczej. Jak po wyjściu z więzienia. Od razu ogoliłem się. Ludzie nanieśli mi różnych rzeczy. Wszyscy ci, dla których zawsze byłem do usług w różnych sprawach, którym potrafiłem pomóc całkiem po prostu, po ludzku, nigdy na nic nie licząc — wszyscy ci dali mi obecnie odczuć, że mnie lubią. Ktoś przyniósł kaszy ze swoich zapasów i *jedno jabłko* (więcej nie miał, bo to jabłko dostał od kogoś — rozczuliło mnie to). Kto inny postarał mi się o kurę. I., ten Hiszpan, naniósł mi suszonych śliwek i konfitur od Kwaków, M. przysłali ze wsi kurę i dziś dwa tuziny jajek, W. i S. przynieśli masło, boczek, mąkę, słoik konfitur, kaszę, jabłka i kalafiory — i nikt nie chciał brać pieniędzy. Dr K., mój niby szef, zajmuje się w tej chwili chyba tylko dostarczaniem mi konfitur, jabłek i innych produktów. Ten jest naprawdę nieustraszony w pracy dla drugich. Dla nie wielu ludzi w życiu miałem tyle szacunku.

Wiedziałem, że wielu ludzi mnie lubi, ale nie wiedziałem, że aż tak.

.....
.....
.....

2. 6. 44.

Znowu nie pisałem przez kilka miesięcy. Bo po co? Teraz piszę już tylko z obowiązku kronikarskiego, jak do końca pisze się dziennik na tonącym okręcie.

Wyjechałem z domu o 6-ej rano. Przejeżdżałem przez Porte de la Chapelle. Ślady bombardowania. Rozprute domy, rozkopane uliczki i ulice. Ranek chłodny i pochmurny. Za Saint-Denis byłem na głównej drodze. Pusto i straszliwa susza. Od dwóch miesięcy ani kropli deszczu i podmiejskie ogródki są wyłysiałe, jak pod jesień. Grządki przypominają kupki kurzu. Dalej, w polach, zboża schną od dołu. Po półtorej godziny wjechałem do Chantilly. Wszędzie chłód i zielony zapach liściastych lasów. Potem Creil, zbombardowane już kilkakrotnie. Akordeony wagonów. Ma się ochotę grać na tych harmoniach jakąś skoczną i radosną melodię doskonałego zniszczenia. Pękate brzozy lokomotyw podziurawione i rozplątane, ziejące zwojami flaków pogiętych rur płomiennych. Tory i zwrotnice wdeptane w spalchniony bombami grunt. Wokoło olbrzymie leje. Solidna, seryjna robota amerykańska. Przekręciłem już 60 km. Schodzę z roweru, zaszywam się w małym lasku i jem. Wyszło mi w ustach i wino smakuje podwójnie. Kładę się i przykrywam, bo chłodno. Drzemię. W krzakach kwilą ptaszki, poza tym przeraźliwie głośne spacerują chrząszczy wśród suchej trawy. Cisza zupełna. Zapadam w ciężki półsen i budzę się o 12-ej. Pochmurno. Gdzieś brzęczą samoloty. Codzienna, monotonna muzyka, urozmaicona bębnieniem. Ruszam dalej. Droga wśród wysuszonych pól. Choć trochę deszczu. Pragnę deszczu tak, jak bym sam był rośliną. Żal mi każdego kłosa, każdej trawki. Wśród tego palą się beczelnie szkarłatne maki, powiększając jeszcze bardziej uczucie suszy i pragnienia. Po pierwszej zajeżdżam pod dom M. Ucieszyli się moją wizytą. Ona śmiejąc się swoimi prześlicznymi oczami,

mówi: «Odpocznie pan u nas». Oj — odpocznę. Nareszcie. Zjadam wielki talerz ruskich pierogów i popijam kompotem z rumbarbarum. Po obiedzie kładę się i usypiam. Budzę się pod wieczór. Słońce zapada poza lasami, wypogodziło się. Przelatują nad nami dwie formacje ciężkich bombowców, otoczone biegającymi ze wszystkich stron myśliwcami. Lśnią i wyją. Stado owiec opędzane przez szczekliwe owczarki.

Wieczorem przy radio: marsz na Rzym, Niemcy pobici, padły Velletria i Valmontone. Przed zaśnięciem znowu dwugodzinny koncert silników, jednostajny i nieprzerwany. To jest zupełnie nieprawdopodobne ile oni tego nafabrykowali. Tylko po to, żeby przegrać tę wojnę.

3. 6. 44.

O 5-ej rano przyszedł rzeźnik. Wysoki, chudy Francuz. Wstałem razem z M. i postanowiłem asystować przy egzekucji. Świnia nie chciała wyjść z chlewa. Poczwała rzeźnika — zupełnie wyraźnie. Przywiązali ją do kołka za tylną nogę. M. siadł na niej okrakiem i przytrzymał. Kwiczała. Jak na tajne bicie zachowywała się poniżej wszelkiej krytyki. Uderzenie czekaniem w czoło. Przewróciła się z jękiem (Opis, jak z Zoli). Wbicie długiego noża w serce i fontanna krwi. M. nadstawiła wielki rondel i miesza krew, żeby się nie ścięła. To na czarne salcesony i na kaszankę. Biedny «Mikuś» skończył. M. mówią, że to ostatnia świnia. Następnej już nie będą chować, bo przecież Anglicy wylądają. Teraz wszyscy mówią o wszystkim: «Nie warto, bo wylądają». Zwłoki «Mikusia» obrzuca się słomą i podpala ją, aby opalić szczecinę i brud. Ta sama operacja po odwróceniu tłustego cielska na drugi bok. W porannym chłodzie grzeję się z przyjemnością przy bezdymnym ogniu. Jest mi tak dobrze i spokojnie. Opalona świnia podlega szorowaniu twardą szczotką i starannemu skrobaniu ostrym nożem. Nacina się tylne nogi i wysuptykuje spod skóry ścięgna. Są tak mocne, że uczone na nich na specjalnej drabince 140 kilo martwej wagi trzyma się doskonale. Drabinkę z uwieszoną świnią opierają o ścianę. Długie, cesarskie cięcie. Pęcherz. Wala się do rondli ciepłe wnętrzości. Smród. Zwoje sadła idą od razu na stół, gdzie M.

kraje je i wrzuca do kotła na ogniu. Jemy śniadanie. Jajecznica, chleb, «kawa» z mlekiem. Rzeźnik czyści jelita. 18 metrów cienkich flaków i grube, popielato-niebieskie kiszki na salcesony. Brudna robota. Jak z tubki wyciska gnój i płucze je gorącą wodą. Świnia wspaniała. Słonina na cztery palce. Głowa, wątroba, nerki, płuca i serce wędrują do wielkiego kotła na podwórku, pod którym zapala się ogień. Rzeźnik ćwiartuje mięso. Od razu zabieramy się do roboty. Krajemy przednie szynki na suchą kielbasę. Dużo kielbas, bo jak wylądują, to może trzeba będzie uciekać... Nie przed NIMI. Przed Niemcami, zabierającymi mężczyzn. Po południu fabrykacja kielbas, pasztetówki, salcesonów i kaszanki. Pograżeni w zwałach mięsa nie mamy apetytu. Pijemy tylko «kawę» i jemy chleb z masłem. Solenie mięsa do beczki i polowanie na wielkie muchy, które usiłują obdarzyć nas potomstwem. Ale dzień chłodny, więc wszystko utrzyma się. Kończymy o 12-ej w nocy.

Jutro lub pojutrze będą w Rzymie. Słuchamy takiej stacji, która nazywa się «Soldatensender Calais». Dywersyjna stacja angielska, ale wspaniała w gatunku. To musi być robione przez nielada specjalistów, w porozumieniu z angielskim wywiadem. Podobno Niemcy słuchają tego namiętnie. We Włoszech kłęska.

4.6. 44.

Niedziela. Zmęczeni, spaliśmy długo. Na śniadanie «kawa», chleb z salcesonem, pasztetówka i dalej «kawa». Objadłem się. Wziąłem koc i poszedłem do lasu na słońce. Ciepło. Drzemałem do obiadu. Na obiad smażona wątróbka. Znowu objadłem się. Wieczorem kolacja i radio. Rzym wzięty. Cały dzień latały dziś myśliwce angielskie, kontrolując szosy i ostrzeliwując samochody ciężarowe. Latają na wysokości 10-15 metrów nad ziemią. Czują się, jak u siebie w domu. Ani jednego samolotu niemieckiego. Nieźle.

5. 6. 44.

Anglicy polują od samego rana. Zza lasów wyskakują smukłe maszyny, biorą przeszkody, jak konie, wyją i znikają. To głośniejszy, to cichszy ryk silników jest jak naszczekiwanie. O 10-ej rano leżałem w lasku koło dworca. Zajeżdża lokomotywa po jakiś transport. Kilka wagonów towarowych nie wiem z czym. I już ją zoczyli. Polatali wokoło, żeby ludzie mieli czas odejść i potem przeszli ją artystycznie. Dwa ściegi, para wspaniale syknęła i po herbacie. Maszynista szalał z zachwytu. Jakże radosne jest to niszczenie. Sam łapię się na tym, że lokomotywę lub cokolwiek innego «na chodzie» uważam za skandal i obrazę boską. Zazdroszcze tym lotnikom. Ciągłe ma się tylko w głowie wyrazy w rodzaju «w pył», «na proszek», «na mączkę», «w drebiezgi». Aż skry lecą.

Po wczorajszym słonecznym dniu, przyszedł dziś deszcz. Leżę na łóżku i z przyjemnością wsłuchuję się w monotony plusk i dzwonienie rynien. Piję łączywie wodę razem z roślinami.

6. 6. 44.

Wyjechałem koło 10-ej wypchany słoniną, jajkami, masłem i kielbasą. Pogoda mieszana. Słońce, wiatr, chmury, przelotne ulewy i zimno. I znowu chwila słońca. Zmieniłem trasę. Mouy, Beaumont, Paryż. Na głównych drogach mogłoby być «za ciepło». Znowu latają od samego rana całymi sforami.

Droga górzysta, śliczna. Wielkie lasy olbrzymich grabów. Płytke doliny są jak ogrody. Mam ochotę zacząć oganiać się od tych samolotów, jak od komarów. Wydaje się, że mnie za chwilę obsiadą. W Beaumont przeprowiam się przez Oise łodzią, bo wczoraj zbombardowali wszystkie mosty. Przy brzegach pływają zdechłe ryby. Mój przewoźnik mówi mi, że po wczorajszym bombardowaniu mostu kolejowego wyłowili przeszło 500 kg. ryb. Dziś całe Beaumont jadło na obiad ryby. Nastrój jest dziwny. Gdy w małych miasteczkach pytam o drogę, ludzie odpowiadają mi jakoś tajemniczo i podejrzliwie, oglądając od stóp do głowy. Grupki Niemców — po trzech, po czterech — stoją

na rozstajach dróg i czekają na samochody. Za Presles łapie mnie ulewa i wchodzę do przydrożnego bistra. Jakaś starucha daje mi przesłodki «apéritif» na sacharynie i oświadcza, że wobec «tych wypadków trzeba uważać, do kogo się mówi...» Nie rozumiem, ale mówię: *ah, oui, oui*. Częstuje ją chlebem z salcesonem. Odwdzięcza mi się kieliszkiem koniaku. Jadę dalej. Wpadam do Paryża po 4-ej. Przy Porte de la Chapelle alarm. Ktoś przechodzący obok mówi: «To już ósmy dzisiaj». Rekord. Za chwilę odgwiszdują. Na Boulevard Magenta zbiegowisko. Niemiecki autobus zderzył się z cywilną ciężarówką i wywrócił ją. Wygląda, jak przewrócony na wznak chrabąszcz. Znowu alarm. Dławią się i czkają syreny. Siadam na ławce i palę. Koło 5-ej jestem w domu. «Byłam niespokojna o ciebie». — «Dlaczego?» — «Jak to... nie wiesz? WYŁĄDOWALI».

Czekam na prąd, żeby móc włączyć radio. Dopiero koło 8-ej: «Jedenaście tysięcy samolotów, szybowce transportowe, spadochroniarze, cztery tysiące okrętów nie licząc barek», Są, są... biją się w Normandii od Cherbourg'a aż po Deauville. A słowo ciałem się stało.

8. 6. 44.

Anglicy wzięli Bayeux i poszczególne przyczółki połączyły się, tworząc jednolity front o długości 80 km. i głębokości 10 km. Ciągłe lądują nowe siły.

W Paryżu spokój, życie płynie normalnie. Bombardują wokoło Paryża i na prowincji. Zanutdam się czytaniem «La crise de la conscience européenne» Paul Hazard'a.

10. 6. 44.

W nagrodę za spokojne zachowanie się ludności, Oberbefehlshaber i komendant Paryża przedłużył godzinę policyjną do 1-ej w nocy, aby umożliwić ludności chodzenie do kina. Kina zaczynają się późno z powodu późnego włączania prądu. Z żywnością zaczyna być ciężko. Przed piekarniami ogonki po chleb. Zbudowali już dwa lotniska w Normandii. Idą.

11. 6. 44.

Spokojnie. Tylko dziś, dopiero koło 8-ej rano, zdjęto z kolumny na Place Bastille chorągiewki angielską, amerykańską i sowiecką. Wczoraj policja skonfiskowała u jakiegoś kupca na Bulwarach cały zapas chorągiewek angielskich i amerykańskich. Był tego pełny samochód ciężarowy. Pewnie jakiś kolaboracjonista.

Siedzieliśmy cały dzień w domu. Próbuję czytać, ale mi to nie idzie. Takie czytanie jest wbijaniem gwoździ w śęk. Mam ostatnio straszliwe sęki w myślach. Wieczorem wpadł Robert bardzo zdenerwowany, bo stracił kontakt z rodziną w Niort.

Wiele artykułów o Polsce w prasie amerykańskiej w związku z wizytą Mikołajczyka u Roosevelta. Pani Roosevelt napisała nawet artykuł o Polsce, opublikowany przez paręset dzienników. Biedna ta Polska. Podobno Mrs. Roosevelt nie wystąpiła w stroju krakowskim. Całe szczęście Bo wtedy wszyscy powiedzieliby, że wszystko załatwione i że wszystko w porządku.

12. 6. 44.

Cztery lata temu, 12 czerwca, schowany wśród opon na samochodzie ciężarowym, uciekałem z Paryża. Był taki sam ciepły dzień, a zdaleka słychać było głucho dudnienie artylerii. Niemcy przechodzili Sekwanę. Tłumy ludzi szły na południe po drogach, które były za wąskie. A dziś już cztery alarmy, pomrukują z daleka serie bomb, w czystym błękitcie brzęczą samoloty. I ani jednej maszyny niemieckiej. Czuję, jestem prawie przekonany, że są to najładniejsze momenty tej wojny.

Koło 4-ej byłem w Ministerstwie Pracy porozmawiać z kierownikiem wydziału «etranżerów». Lubię go bardzo. Wysoki, szczupły, subtelny. Kocha Prousta i sam w sobie ma coś proustowskiego. W chłodnym pokoju, przysłoniętym portierami, stały na jego biurku rozkwitłe piwonie, olbrzymie, rozchylone i pachnące. Ten bukiet kwiatów przerzucił mnie nagle w jakąś inną epokę, może właśnie w «A la recherche du temps perdu». Powiedziałem mu: «Te kwiaty i pan są dla mnie jakby jakąś całością». Uśmiechnął się

i zrozumiał, co chciałem przez to powiedzieć. Rozmawialiśmy o ostatnich wydarzeniach, potem o Maeterlincku. Opowiedziałem mu o korespondencji Flauberta, co pchnęło nas w rozmowę o Maupassancie. Zgodziliśmy się obydwaj że jest «coś» w Maupassancie, co tak bardzo odpowiada nam właśnie dzisiaj. Styl? Utajona bezlitosność? Nie wiem. W oczach mam ciągle pęk piwonii i czuję ich zapach, uderzający falami.

Wychodzimy razem na zalaną słońcem rue de Vaugirard. Mówi mi, że «Antygona» Anouilha jest świetna i radzi mi pójść zobaczyć to przedstawienie. I nagle zatrzymuje się: «*Monsieur* — o dwieście kilometrów stąd toczy się potworna walka...» Tak — życie jest przedziwne. Zegnamy się. Wsiadam na rower i jadę do domu. Czasem przemknie rozświetloną ulicą samochód niemiecki, «umajony» zielenią. Trudniej go dostrzec tam, na drogach, nad którymi warczą uparcie TYLKO alianckie samoloty. Nosił wilk razy kilka...

Na Saint-Germain siadam na tarasie kawiarni. Migają w słońcu rowery i kolorowe plamy ładnych kobiet. W ciepłe dni wszystkie kobiety są jakby «otwarte», jak kwiaty. A może tylko są to resztki wrażenia, bo w oczach mam ciągle bukiet piwonii. Amerykanie zajęli Carantan.

13. 6. 44.

W nocy też ciągle alarmy. Cały Paryż jest trochę śpiący i niewyspany. Ludzie drzemią jadąc metrem. Zaczyna być głodno — nawet jarzyn brak. Mówią, że w przyszłym miesiącu nie wydadzą już kartek na chleb i będą się zapisywanie się u piekarzy. Nie znoszę piekarzy. Teraz zaczynają się już zachowywać tak, jakby ONI dawali chleb. Ma się wrażenie, że oni są rządem. Rząd piekarzy, to byłoby chyba straszne.

Po słonecznym dniu wczoraj, dziś jest znowu pochmurno. Ludzie martwią się, bo to utrudnia działania lotnicze. Z drugiej strony Francuzi zaczynają już wygadywać i szemrać. Bo jak Anglicy przyjdą, to zrujnują ich gospodarstwo. Teraz już łądują z «fałszywymi» frankami, a potem będą tylko wyzyskiwać, a tarata ti, a tiriti ti, a turutu tu... wszystko tonem zgorzkniałej ironii. Bardzo ich lubię,

ale dziś miałem dość i w czasie obiadu w kantynie «przejechałem» się po moich kolegach. Jak przyszli Niemcy z markami okupacyjnymi, to było dobrze. Szybko przyzwyczaili się. Gdy przychodzą Anglicy z frankiem okupacyjnym, który na pewno jest więcej wart i posiada lepsze pokrycie (choćby pokrycie silniejszego), to źle. A poza tym, to zwyczajna ostrożność, bo inaczej chłopci żądaliby od razu dolara za jedno jajko i funta za funt masła. «A w ogóle jeżeli jesteście zmęczeni i słabi, to powiedzcie po prostu, że rasa latynów, do jakiej wy należycie, jest w pełnej dekadencji i nie wygadujcie. A jeżeli wam się coś nie podoba, to starajcie się także przeciwdziałać. Gadaniem i ironią, i *esprit*, nawet najlepszego gatunku, nie osiąga się niczego. Od stu lat wszyscy was «wyzyskują» z Anglikami na czele, a wy tylko potraficie gadać, żalić się, ronić łzy nad *pauvre France*. Trochę się uniosłem, K. szturchnął mnie pod stołem, i byłem pewny, że skoczą na mnie. Tymczasem nic. I to mnie bardzo zmartwiło...

Jak już wylądowali i widać, że mają wszystkie szanse utrzymania się, to mówią z pogardą: «No, mieli cztery lata na przygotowanie się», albo «oni robią wojnę materiałem, a nie ludźmi — to nie sztuka». Nieraz z jakąś okrutną wyrazistością czuję w tym zachowaniu się coś, co przypomina pretensje starej i znakomitej aktorki, która zdaje sobie sprawę, że pewne role nie są już dla niej, ale nie umie przyznać się do tego sama przed sobą i przestawić się na inny repertuar, bardziej dla niej stosowny.

Anglicy wzięli do niewoli w Normandii spory oddział tych szarych telefonistek niemieckich. Tych Niemek nie mogę znieść — jeszcze bardziej, niż Niemców.

14. 6. 44.

Jem śniadanie i alarm. Po chwili ryk motorów nad dachami i obfite serie karabinów maszynowych. Dorwali jakiegoś Niemca i gonią go po dachach. Po kilku minutach grzmoty bomb gdzieś niedaleko. Zawsze boję się trochę o ten dworzec obok nas. (O dworzec...). Na wszelki wypadek idziemy do metra. Tam już pełno. Pod ścianą jakiś chłopczyk z pieskiem na rękach. Pytam go, czy jego piesek też się boi. Odpowiada mi z powagą: «*Mais si, Mon-*

sieur, niech pan patrzy, jak on drży». Po szynach gonią się dzieci i pokrzykują. Grupa młodych robotników i robotnic z fabryki obok rozsiadła się wokoło. Śmiechy, pocałunki, dziewczęta siadają chłopcom na kolanach. Jeden pali papierosa i podaje «dymka» dalej. Dziewczęta parskają i ksztuszą się.

Zabrałem ze sobą «Machinisme et Philosophie» Schuhla. Aby przeciwdziałać złemu użytkowi wynalazków, Bacon odwołuje się w swoim «Novum Organum» do «prostego rozsądku i świętej religii». Odwołuj się biedny człowieku XX wieku do «prostego rozsądku i świętej religii», gdy i rozsądek i religia należą już częściowo do pojęć prehistorycznych. W każdym razie rozsądek na pewno. Gruby, goliatyczny sklepikarz powraca ciągle do strzelaniny nad naszą dzielnicą: «Jak usłyszałem, że oni tam w górze strzelają, pomyślałem sobie *ça va mal* i powiedziałem klientom, żeby wyszli». I za chwilę to samo: «Jak usłyszałem...» Szkoda, że go nie zastrzelili. A może to piekarz? Straszny. Tacy, jak on, są przekonani, że wojnę wygrywa się dla nich.

Alarm skończył się o 10-ej i w kwadrans później pojechałem do fabryki. Na moście Austerlitz dwie kobiety rozstawiły sztalugi i najspokojniej malują odwieczny widok Sekwany i Notre-Dame. Po tym długim alarmie, po grzmocie bomb i trzepocie walki powietrznej nad dachami, jest w tych sztalugach coś bezgranicznie uspakajającego. Mija mnie elegancki, czarny samochód półciężarowy firmy szampańskiego Pommery-Greno, pełny grubych butelek. Narobił mi takiego smaku, że wstąpiłem do najbliższego bistra i wypłem kieliszek musującego wina z lodu.

Wieczorem słuchałem radia i złapałem jakąś audycję niemiecką, z której wynikało, że wskutek braku mydła, rozpoczęto tam akcję pod hasłem «Dreck ist nicht gefährlich». Jakiś profesor napisał w jakimś tygodniku medycznym, że czy matka położy spać dziecko brudne, czy czyste — to dla zdrowia dziecka jest to zupełnie obojętne. Jaka szkoda, że takiej akcji nie rozpoczęto, kiedy byłem dzieckiem. To były męki z tym wieczornym myciem. Postanowiłem się odegrać i idę dziś spać nie myjąc się. »Dreck ist nicht gefährlich«. O Boże — cóż to za naród.

Alarm. Wobec tego wyszedłem z naszej «Salle des Fêtes» i pojechałem do Bagneux, do parku. Z pobliskiego lotniska Villacoublay prysnęły na wszystkie strony niemieckie myśliwce. Uciekają po dachach.

Leżę na trawie, która jest sucha i twarda, jak heblowiny. Znowu ani kropli deszczu i pogoda wspaniała. Powietrze tak przejrzyste, że widzę stąd wyraźnie Sacré-Cœur, oddalone o dobrych 15 km. w linii powietrznej. Leżę i czytam takie krótkie studium o pani Hańskiej pt. «Cudzoziemka», napisane przez Polkę, Korwin-Piotrowską. Nie lubię tego podejścia do tematu. Pani Hańska zrobiona na eteryczno, co zresztą zupełnie nie wychodzi, bo wiadomo że była właścicielką nie tylko rozległych włości, ale i okrągłości. Na 209 stronach jest tu wszystko: kuligi, dożynki, Hoene-Wroński, Emir Rzewuski, konfederacje, filomaci i filareci, bigos, romantyzm itd. A w Neuchâtel był tylko pocałunek (na wyspie broń Boże nic się nie stało. Godzinki śpiewali) i «Balzac przeczuwał, że jego związek z panią Hańską nie przyniesie im żadnych radości, nic prócz egzaltacji ducha». Kochali się w «niebie mistycznym». Po co pisać takie rzeczy? Przecież ich spotkanie w Petersburgu w 1843 roku na pewno nie było takie «mistyczne». Wracając z Petersburga do Paryża, Balzac zwiedza po drodze Drezno. Jest trochę rozczarowany i Drezno nie wywiera na nim spodziewanego wrażenia. I wtedy pisze: «A więc trzeba będzie powrócić do Drezna z Tobą, aby obrazy przemówiły do mnie. Oprócz kobiet Rubensa nic poza tym mnie nie wzruszyło, ponieważ jedynie kobiety Rubensa przypominały mi pewną Ewę...» Nie przysięgam, czy ten ustęp listu brzmi dokładnie tak, ale przypominam sobie, że na pewno był w tym sensie. O ileż to wymowniejsze. Od razu widzi się panią Ewelinę. I jakie to naturalne, zrozumiałe i mile nie «mistyczne». Nie znam Rubensów drezdeńskich, ale przypuszczalnie nie są inne od wiedeńskich i tutejszych. Swoją drogą nie lubię Rubensa. Malarz cielistych baleronów. To okropne, że gdy u nas pisze się monografię czy biografię czegokolwiek lub kogokolwiek, to nie pisze się o danej osobie: opisywana osoba lub ruina jest tylko pretekstem do «sprawy polskiej». Polska szpuntuje nam wszystko. I potem wychodzi z tego eteryczna pani

Hańska, która w rzeczywistości ważyła na pewno 200 funtów.

Koniec alarmu. Szkoda. Niemcy wracają na lotnisko po dachach. A ja myślę o Balzacu, o plotkach, które otaczały jego podróż. Mówiono, że Car zapłacił mu za napisanie książki, która byłaby odpowiedzią i sprostowaniem «paskwilu» Coustin'a o Rosji. Czasem można mieć zupełnie uchwytne uczucie absurdu... I jakby przewinienia.

Wskutek zbombardowania wszystkich mostów na Sekwanie, cały «Nachschub» niemiecki przechodzi przez Paryż. Patrząc na nich z przyjemnością, jak jadą spoceni i zmęczeni tam, na front. Miałbym ochotę podchodzić do tych stojących samochodów i mówić z niewinną minką: «Co sądzicie — czy Balzac znał się na obrazach?» i wykręcać się na pięcie, jak taki mały chłopak, co opowiada, że on ma zegarek — ehe — a ty nie masz, a

Znowu wszędzie ogonki. Suszymy chleb.

16. 6. 44.

W naszej szkole rzemieślniczej przy fabryce odbywały się ostatnio konkursowe egzaminy wstępne. Kandydaci mają 14 lat. Przeglądałem dziś wypracowania na temat «Dlaczego chcesz wstąpić do tej szkoły?» Wśród wielu odpowiedzi oklepanych, wyuczonych i gotowych, było sporo spontanicznych. Na przykład takich: «Za trzy lata wstąpię do fabryki rządowej, a następnie po trzydziestu latach pracy zacznę się spokojne życie, emerytura». Inny ujął to szerzej: «A jak będę na emeryturze (*retraite*) i zbuduję sobie domek za zaoszczędzone pieniądze, będę mógł żyć szczęśliwy». Cytuję dosłownie. *Vivat* — życie zaczyna się po sześćdziesiątce. Szczęście też. Jak na 14-letnich chłopców, to nieźle. Przewidujący. Jakiś napisał otwarcie, że «byłbym rad wstąpić do tej szkoły, bo się w niej dobrze jada». To rozumiem, to już znacznie lepiej.

Nie wiem, co o tym myśleć, żeby nie być niesprawiedliwym, żeby nie dać ponieść się tej naszej słowiańskiej krzepie, też często fałszywej. Jednego jestem pewny: nie jest dobrze, gdy 14-letni chłopak w ogóle wie, co to jest emerytura, a cóż dopiero gdy uważa ją za szczyt swoich ambicji, za szczęście. To chyba oznaka jakiegoś funda-

mentalnego zmęczenia rasy. Jakaż ilustracja dla charakterystyki ras łatyńskich Le Bon'a. W tych wyznaniach chłopców jest absolutna gotowość poddania się państwu, zdania się na łaskę i niełaskę Państwa. A więc gdzie ten przyszłowiowy indywidualizm? Le Bon twierdzi, że w gruncie rzeczy etatyzm jest tym, do czego Francuz naprawdę w cichości ducha wzdycha. Jestem gotów przyznać mu rację. Powiedziałem Robertowi, że te wypracowania mnie przeraziły. Uśmiechnął się melancholijnie. On należy do tych Francuzów zdobywczych, do tych, którzy dziś tysiącami giną w walce. Ale nie ma ich wielu i po tych zadaniach zaczynam się bać, że będzie ich coraz mniej. Byłbym w wielkim kłopotcie, gdyby dziś zapytał mnie ktoś: «Jak pan sądzi, czy Francja jest «wykończona»? Ale boję się o ich przyszłość w czasach, które nadchodzą.

Niemcy podali dziś, że użyli tajemniczej broni odwetowej, przy pomocy której mają zamiar zburzyć Londyn. Londyn mówi, że wczoraj w dzień i ubiegłej nocy Anglia została zaatakowana samolotami bez pilota. Rodzaj samolotu-bomby. Jak szybko ludzkość zaczyna wchodzić w coraz to nowe epoki. Równocześnie Londyn oświadczył, że stalownie japońskie zostały zbombardowane przez superfortece latające, większe o pół raza od tych, które widzi się teraz codziennie. Ich zasięg wynosi 6.000 km. Te superfortece należą do jednostek Lotnictwa Światowego z głównym dowództwem w Waszyngtonie.

Słuchając tego mimowoli poprawiłem się na stołku, bo nagle zrobiło mi się za ciasno. Potem rozpiąłem kołnierzyk. I w końcu pisząc o tym, mówiłem sobie ciągle w myśli: «Nie pisziesz powieści fantastycznej — zapisujesz fakty». Wyraźne uczucie otchłani pod stopami. Stoję nad nią i nie widząc nic, nie wiem co myśleć. Zamknąłem radio i trochę otępiały, zacząłem dziobać w półce z książkami, jak kura w kojcu. Miałem na pewno idiotyczny wyraz twarzy kury. Wyjałem Bergsona «Les deux sources de la morale et de la religion». Przerzucając to i odczytując popodkreślane zdania, trafiam na dziwną myśl: «Z drugiej strony bywają społeczności, które pozostają na tym samym poziomie, z natury rzeczy niskim. Lecz podlegając zmianom pomimo wszystko, wytwarza się w nich już nie intensyfikacja, która byłaby postępem kwalitatywnym, lecz pomnażanie lub przerost cech pierwotnie posiadanych: wynalazczość — je-

żeli w takim wypadku można jeszcze użyć tego określenia — nie wymaga już wysiłku. Od wierzenia, odpowiadającego pewnej potrzebie, przejdzie się do nowego wierzenia, podobnego zewnętrznemu poprzedniemu, w którym położy się akcent na danej oznace zewnętrznej, nie odpowiadającej żadnej potrzebie. Odtąd, drepzcząc w miejscu, dorzuca się i dopełnia bez przerwy. W podwójnym wyniku powtarzania i przesady, irracjonalne staje się absurdalnym, a osobliwe potwornym».

Zastanawiam się, czy my już od dość dawna nie drepczemy w miejscu, jedynie dorzucając i dopełniając bez przerwy. Nie intensyfikacja, lecz tylko zwyczajne pomnażanie i przerost cech pierwotnie posiadanych. — Ach, mon cher, jakie to wszystko efektowne... Mój Boże. Efekciarstwo myśli, cytaw w tych czasach, w których wokół z w y c z a j n y c h, codziennych słów rodzą się całe wielkie, nieogarnione światy. «Pić» szeptane gdzieś tysiącami spalonych warg, «jeść», «żyć» — żyć za wszelką cenę. I ten osobny świat, niebieskawy i spokojny jak świt, który tworzy się dziś wokół tego małego słówka «cisza». C i s z a. Chleba i ciszy daj nam dzisiaj...

Jestem ogłuszony i nie mogę nadażyć. Myśli zwijają się podemną tak samo, jak nogi człowieka, uderzonego w głowę. Ta nadchodząca epoka będzie wymagała ordynarnych uproszczeń we wszystkich dziedzinach tylko dlatego, żeby w ogóle móc żyć. I ja boję się tych uproszczeń. Nie jest to żaden lęk «arystokratyczny» — nie, po prostu lęk umysłu, przyzwyczajonego pomimo wszystko do odrobiny myślenia bez uproszczeń.

18. 6. 44.

Popołudniu w ogródku Robertów w Fontenay. Dzień szary i zimny. Robert kopał w ogrodzie, jak na prawdziwego Francuza przystało. Usiadłem pod krzakiem porzeczek i objadałem się. Dopiero drugi raz w tym roku mam w ustach owoce. Rzuciłem się na soczyste gronka z żarłocznością szarańczy. Jadłem, jadłem i jadłem. I tylko od czasu do czasu, dla osłodzenia ściągniętych kwasem ust, przerzuciłem się na słodki agrest. Potem położyłem się na trawie i patrzyłem w niebo z popielatej tafty. Wiatr szarpał czarnymi liśćmi kasztanów.

Amerykanie doszli do Barneville i odcięli czubek Cotentin razem z Cherbourgiem. Rosjanie idą ciągle na-
przód. Dziś mijają cztery lata, jak Pétain poprosił o za-
wieszenie broni. Mam w oczach ten dzień.

20. 6. 44.

Rano na Pont d'Arcole, w drodze do prefektury po-
licji. Na moście zatrzymują się trzy ciężarówki, wypełnione
rannymi Niemcami. Łżej ranni siedzą kiwając zwieszona-
nymi nogami. Brudne, wyblakłe twarze, zakurzone i po-
darte mundury, zakrwawione bandaże i szmaty. W głębi
siedzą inni z zamkniętymi oczami. W tej kupie szaro-
zielonego brudu, wszystko co białe i purpurowe, odcina
się ostro. W pewnej odległości, wokół samochodów, paryski
tłumek. Patrzą jedni na drugich i milczą. Samochody ru-
szyły. To już armia w całkowitym negliżu. Rosjanie wzięli
Wybork, w Normandii ciężkie walki.

Wieczorem był u nas Robert na kolacji. Ma wiado-
mości o rodzinie i odżył. Rozmowa o Dekobrze, o litera-
turze pornograficznej, o burdelach i prostytutce w ogóle,
o różnicy między burdelem a domem schadzek w szcze-
gółności. Oraz ostatni dowcip paryski: wojna trwa i wszys-
cy już wyginęli. Jedynie wokoło ziemi gonią się jeszcze na
super-myśliwcach jeden Anglik i jeden Niemiec. Gdzieś
pod równikiem przychodzi do spotkania. Wymiana strza-
łów i obydwa samoloty spadają w puszcę, grzebiąc pilo-
tów pod szczątkami. Wielki samiec-małpa obserwuje to,
siedząc na drzewie, i powiada do samicy: «No stara, teraz
trzeba wszystko zaczynać od początku».

Potem przyszedł jeszcze I., ten Hiszpan. Wrócił od
Runki spod Fontainebleau i przywiózł nam pudełko wspa-
niałych czereśni, Rzuciłem się na nie. Na pytanie, czy So-
wiety rozpoczną generalną ofensywę, odpowiedział mi:
«Muszą przecież wybić ostatnich komunistów i uterować
drogę stalinistom. Jako były republikanin, czerwony i kom-
batant, ma ustalone poglądy na tematy tak zwanej «walki
o wolność proletariatu» itd. «Już więcej nie będę nadsta-
wiał karku na to, żeby ci, co krzyczą o wolności, prawach
ludu i tyranii zasiadali na wygodnych fotelach i zgniatali
wolność i prawa ludu, będąc sami gorszymi tyranami, niż
ci, przeciwko którym rozpoczęto walkę».

Opowiada mi o swoim dobrym znajomym z czasów, gdy sam od 15-go do 22-go roku życia był anarchista. Juan Garcia Oliver był jednym z asów hiszpańskiego anarchizmu. Życie jego było podzielone pomiędzy akcją wyrotowo-zamachową i siedzenie w więzieniu. Przeszedł on niemal przez sądy całej Hiszpanii. Po przewrocie republikańskim został — ministrem sprawiedliwości w gabinecie Caballero w 1937 roku. I. poszedł go odwiedzić w towarzystwie adwokata, który bronił obecnego ministra w szeregu procesów o zamachy. Weszli do wspaniałego biura — «u nas zwykły woźny ma wspaniałe biuro, cóż dopiero minister», dodaje I. — on w mundurze oficera republikańskiego zasalutował, adwokat podszedł do swego dawnego klienta i poufale chwycił go za rękę: «*Qué tal Juan* — jakże rad jestem...» czy coś w tym rodzaju. Juan Garcia Oliver spojrział zimno, strącił rękę adwokata i wycedził: «*Nie Juan, lecz minister sprawiedliwości*». Adwokat wziął to za żart. Pan minister nacisnął dzwonek. «Proszę tych panów odprowadzić do wyjścia». — «Był zresztą dobrym ministrem sprawiedliwości — dodaje I. — znał prawie wszystkich komisarzy policji, wszystkie więzienia. Miał czas poznać, gdy z kajdankami na rękach przewożono go z miejsca na miejsce». Wyciąga z tego dalsze wnioski. Kto raz zasiadł w fotelu, ten nie łatwo z niego wstaje. A dziś w Rosji coraz więcej ludzi zajmuje fotele. Na moje pytanie, co w takim razie myśli o ruchach ludowych itd., odpowiada mi dowcipnie: «Wierzę w Boga, ale nie wierzę w księży».

21. 6. 44.

Wczoraj Niemcy opieczętowali «*Service social d'aide aux émigrants*». Wielu Polaków pobierało stamtąd zasiłki, które teraz odpadną. Znajdą się w ciężkiej sytuacji. Dr K. zaczął oczywiście od razu myśleć, w jaki sposób my moglibyśmy choć częściowo ten *service* zastąpić. Ten jest niewyczerpany. Zaczęliśmy z grubsza obliczać, ile zdołaliśmy we dwóch (więcej on, niż ja) wyciągnąć przez te lata od Francuzów na pomoc dla Polaków. Wyszło coś około dwóch milionów. «A my nic z tego nie mamy — powiedział ze śmiechem». «Bo dobrało się dwóch uczciwych idiotów» — odrzekłem.

Anders, Gawlina i Papée zostali przyjęci przez papieża, Polska uratowana. Spoglądam jednak z niepokojem we wspaniałą przyszłość, jak napisał dowcipnie D. przysyłając nam masło La Ferté Bernard. List jego szedł tak samo długo, jak ostatnia kartka z Krakowa od mojej matki. A to dlatego, że jak pisze D. — «z powodu braku ruchu na kolei, naczelnik stacji zamknął dworzec i wraz z rodziną wyjechał na wieś». Francja jest jednak urocza. Marzę o zostaniu naczelnikiem stacji.

Przed kolacją musiałem pojechać jeszcze na Place Bastille. Jakiś młody, ledwo wypierzony policjant, zagwizdał na mnie na avenue Daumesnil, bo jechałem środkiem ulicy. Po prawej stronie jest zły bruk. Zaczął oglądać moje papiery i zażądał kary 15 franków. Tak mnie to wściekło — do tego spieszyłem się — że wyrwałem mu z rąk moje papiery, dałem 15 franków ze słowami «masz tu na piwo — *merde*» i pojechałem dalej. Nie pisał ani słowa. Gdy wracałem, stał jeszcze ciągle w tym samym miejscu. Zrobiło mi się wstyd i podjechałem do niego, aby go przeprosić i tym razem uprzejmie obrugać «pod logikę». W końcu on był zawstydzony i przeproszał mnie, że «musi spełniać swoje obowiązki». Powiedziałem mu, że zgadzam się z nim, ale pod warunkiem, że będzie to robił inteligentnie. *Intelligemment, vous comprenez, intelligemment*. Odjechałem w najlepszej zgodzie. Jeszcze trochę, a byłbym go doprowadził do przeproszenia mnie za to, że w ogóle jest policjantem.

22. 6. 44.

Dziś pod wieczór, koło 7-ej, wielki nalot. Bombardowali coś na północno-zachodnich przedmieściach Paryża. Prawdopodobnie jakieś zbiorniki z benzyną lub olejami, bo nad całym zachodnim Paryżem unosiła się gęsta chmura dymu, zasłaniając całe niebo. Bombowce leciały nad centrum miasta — około setki. Widać je było doskonale. Stałem w bramie na Châtelet i choć flak walił gęsto, wysunąłem się żeby popatrzeć. Ludzie stali i obserwowali ten przemarsz, wskakując do bram tylko wtedy, gdy pociiski pękały wprost nad nami. A po białawym niebie sunęły wolno klucze czarnych krzyżyków. Nagle na ulicy krzyk, jakiś

długi jęk. W ostatnim kluczu buchnął płomień, zgasł. *Touché*. Ciężka maszyna wypada z szyku, zwija się, podrywa na chwilę i zataczając coraz ciasniejsze kręgi, zwala się w dół. Ludzie po prostu jęczą. Nie udane, szczerze współczucie tłumu.

23. 6. 44.

Kilka bomb z wczorajszego nalotu spadło w sam środek Paryża. Dziś zawrócono mnie z rue Censier. Na rogu rue Censier i Geoffroy Saint-Hilaire zasypana gruzem ulica, wystrzępione domy i okna bez szyb.

Mój dwutygodniowy zarobek wypłacono mi dziś znowu nowym banknotem 1.000-frankowym. Obecnie są już trzy różne 1.000-frankówki w obiegu. Drukowanie nowych banknotów jest już od dość dawna jedynym działem produkcji francuskiej, który naprawdę kwitnie.

Na wsi brak soli i chłopci przestali bić świnie. Od początku tego miesiąca nie mieliśmy kawałka mięsa w ustach. Hitler dał rozkaz załodze Cherbourga, aby broniła się do ostatka. A do Niemiec przyjechała jakaś najznakomitsza skrzypaczka japońska, dostała od Goebbelsa w prezencie prawdziwego Stradivariusa i ma zostać przedstawiona Führerowi celem zagrania mu kilku «Lieblingsstücke». Może by tak «Umarł Maciek, umarł»...

24. 6. 44.

Na imieninach u Janki. Rozmowa o Francji, o Balzacu, o pani Hańskiej i o Hoene-Wrońskim. O Hoene-Wrońskim nie mogłem dyskutować, bo go nie czytałem i wcale mnie do tego nie ciągnie. Ale wziąłem go «pod włos» z innej strony, ku oburzeniu towarzystwa. Hoene-Wroński, to oczywiście znowu POLSKA, a nie Hoene-Wroński. Bardzo możliwe, że sprzedawanie, a raczej od-sprzedawanie na raty «absolutu», i to za grubą sumę, nie było samo w sobie aż tak oszukańcze, aby uważać go za oszusta, nie mniej między nim a Cagliostrem lub Dunikowskim (tym od złota) nie ma wielkiej różnicy. (Co też pan wygaduje...) Dlaczego Norwid, który również nie miał środków na publikowanie nie tylko swoich idei, ale — co

gorzej — wierszy, nie zrobił tego samego? Zamiast sprzedać za grube pieniądze rysunek Rafaela Francuzom (był w nędzy), on d a j e go Polsce, zarabiając na życie jako prosty robotnik.

Poza tym rozmowa o wojnie — w międzyczasie cztery salonowe alarmy. Jedna z pań, Francuzka, opowiadała że dwa dni temu widziała Sachę Guitry na wystawie obrazów w Galeries Charpentier. Był z jakąś młodziutką dziewczyną. Jak tak dalej pójdzie, to zacznie sobie dobrać przyjaciółki w przedszkolach. Odczytał tam podobno jeden rozdział ze swojej nowej książki pt. «Od Jeanne d'Arc do Filipa Pétain». Jest to tak zwany «kurwizm absolutny». To tak, jak słuch. Nie mówiąc już o połączeniu tych dwóch nazwisk. To tacy Francuzi budzą to coś w człowieku, po czym ma się ochotę napisać książkę pod tytułem «Od Napoleona do Tino Rossi».

W métro, gdy wracaliśmy wieczorem, jakaś pijana dziwka dawała dowody swojego patriotyzmu, wymyślając samotnemu żołnierzowi niemieckiemu. *J'suis Frrrrrançaise*, nie boję się go, nie boję się więzienia, *merde...* Koleżanka, trochę mniej pijana, uspokajała ją, jak mogła. Ale skutek był wręcz odwrotny. Łamaną niemczyzną, fragmentami plugawych wyzwisk i słów, wyuczonymi w łóżku, kiedy patriotyzm nie przeszkadzał jej spać z Niemcami, lżyła szwabą dalej. To też «kurwizm absolutny» i jestem ciekawy, czy Sacha Guitry zrobi tak samo. Żołnierz stał, jak sztywna figura Arno Brekera. Nie drgnął. Rozumiał wszystko i tylko nieznacznie się uśmiechał. Ludzie też się uśmiechali. Wysiadła na Place d'Italie, odgrażając się jeszcze z peronu. Pewnie dziś wieczorem będzie dawać za darmo — Francuzom.

Amerykanie przekuwają się przez fortyfikacje Cherbourga. Rosjanie przewalili się przez linie niemieckie po obu stronach Witebska. W Londynie «nieprzyjemnie», w Paryżu alarmy kameralne.

25. 6. 44.

Cudowny dzień. Niebo błękitne, bez jednej chmurki. Koło 1-ej pojechaliśmy na rowerach do Lasku Vincennes,

zabierając obiad ze sobą. Avenue de Tremblay, biegnąca wpoprzek lasku w kierunku pola wyścigowego, zamieniła się w «corso». Jeszcze nigdy nie widziałem takiej ilości ludzi. Tysiące rowerów, przepełnione omnibusy konne z zeszłego wieku, karety, kariolki i dorożki. Rozbawiony, migający w słońcu tłum. Furkocą kwiciste spódniczki dziewcząt na rowerach i obracają się nogi, odsłonięte wysoko. Ktoś śpiewa, ktoś gwizda. Brzegiem, w cieniu drzew, idą ludzie na piechotę. Wojna? Gdzież tam. To wesoła niedziela z dawnych, dobrych czasów pokoju. Patrząc na to myślę, że wczoraj, w czasie bombardowania Wersalu, zginęło 225 osób i było ponad 500 rannych. Ale tu wszystko wydaje się złym sem. Rozścielamy koc, jemy, czytamy i usypiam.

Wracamy koło 7-ej. Ten sam tłum płynie zewsząd w stronę Paryża. Na kierownicach rowerów bukiety kwiatów. Koło domu łapie nas alarm. Strzały. Na wskos przechodzą trzy formacje bombowców. Oczywiście zestrzelili trzy. Te naloty pod wieczór są mordercze. Widać ich, jak na dłoni.

Właściwie Cherbourg jest już wzięty. W czasie nalotu na Berlin rozbito podziemia katedry i zniszczono sarkofag ze szczątkami Fryderyka II-go.

27. 6. 44.

Basia nie dostała dziś nic na targu. Stała w ogonku dwie godziny po odrobinę białego sera, przypominającego raczej gips. Z dodatkiem mleka w proszku z naszych zapasów, będzie to można jeść. W naszej kantynie fabrycznej zmniejszono nam obiad o jedno danie. Dr K. i ja chodzimy głodni i wściekli.

G. Ferrero «Aventure — Bonaparte en Italie 1796-1797». Doskonałe. Już dawno, czytając korespondencję Napoleona, miałem wrażenie, że cała ta osławiona i ośpiewana kampania włoska, ubrana jest od stóp do głów w legendę. Ferrero beznamytnie wydobywa prawdę i rozszczepia światło aureoli, otaczającej od stu pięćdziesięciu lat głowę Bonapartego.

Przede wszystkim plan kampanii pochodził od Dyrektoriatu, będąc zbiorową pracą młodych oficerów Rewolucji

i wojowniczych cywilów. Bonaparte wykonał go co do joty. Marsz na Cevę i zdobycie jej — pokój z Piemontem w Cherasco. Dalszy przebieg wyprawy, a raczej awantury, jest równie niespodziewany dla Bonapartego, jak i dla Dyrektoriatu. Włochy nie tylko nie stawiają oporu, ale wręcz kapitulują. Mała, 40-tysięczna, źle uzbrojona i wygłodzona armia młodego generała byłaby padła ofiarą własnej zuchwałości, gdyby nie marazm Włoch. Ten stary świat, skamieniały w formach *ancien régime*'u osłupiał na widok zuchwałości tych obdartusów, depczących i miażdżących wszystko: porządek, ład, prawa, zasady i wierzenia ustalone od lat. Zwycięstwa Bonapartego? Zastosowanie awangardowych metod wojennych Guiberta, gwałcących wszystkie zasady i kodeksy wojny XVIII wieku, który potrafił ująć wzajemne mordowanie się w ramy pewnych praw i złagodzić je do maksimum. Bonaparte przechodzi Pô nie w tym miejscu, w którym obwarował się Beaulieu, lecz na jego tyłach. Genialne. Tak, ale robiąc to, gwałci neutralność Księstwa Parmy, popełnia rzecz, na jaką nie zdobyłby się żaden wódz XVIII wieku. Jest ruchliwy, szybki. Tak — ale maszeruje bez magazynów, żywiąc armię z kraju. Metoda nieznaną w obyczajach wojennych XVIII wieku. Zwycięża, bo depcze i gwałci. Wyzwała siły i siłę, stając się potem jej niewolnikiem. Zwycięstwa Bonapartego we Włoszech, marsz na Wiedeń, Austria pobita i prosząca o pokój, zakładanie republik i ukazujący się po raz pierwszy lwi pazur przyszłego cesarza. Tymczasem zwycięstwa są dziełem nowych metod, chamstwa wprowadzonego do tej misternej i dżentelmeńskiej gry, do której udało się doprowadzić wojnę w tym *siècle galant*. Marsz na Wiedeń? Awanturnicze przedsięwzięcie młodego śmiałka, z którego cudem wyszedł cało. Hoche i Moreau nie przeszli równocześnie Renu i Bonaparte znalazł się w Austrii sam, z rewolucją i chaosem na tyłach, z całą siłą Austrii i groźbą głodu przed sobą. Chwilowe przerażenie Wiednia mija szybko i to Bonapartemu, a nie Austrii, zależy na pokoju. Stąd tak łagodne warunki wstępne. Bo czuje, że musi się cofnąć, a chciałby się cofnąć z honorem. Pertraktacje pokojowe, ciągnące się miesiącami, gdy Bonaparte czuje, że nawet w Paryżu błędnie jego legenda. Campo Formio, to owoc pogroźek i próśb, dyskusyj i prawie obelg, rzucanych przez młodego wodza zimnym dyplomatom monarchii. Nie

wszystko było tak, jak się to mówi i głosi. A raz rozpetany chaos, podeptanie praw i «reguł gry» tam, na równinach Lombardii, ciągnie się do dziś dnia. Kult siły i nienawiści oślepia nas. Stąd legenda Bonapartego. Gwałt powoduje inny gwałt, gdy jeden zdepcze prawo, depczą je wszyscy. Gwałt narasta, jak lawina, pod którą ginie ten, kto pierwszy naruszył chwiejną równowagę drobin śniegu. Ale z nim giną i inni, a nieraz cała kultura i cywilizacja, panujące dotychczas. Rosja będzie musiała postawić kiedyś pomnik Hitlerowi... Wytepi «prieklatych jewreiw» i wprowadzi ich do Europy. Tego nawet Piotr Wielki nie potrafił. I obok miedzianego jeźdźca stanie drugi. Ale powinienby być na ośle.

Robert jest tak niespokojny o rodzinę, że zamierza jechać do Niort na rowerze. Przeszło 400 km, ciężkiej drogi. Ale nie dziwię mu się. Inna rzecz, że w dzisiejszych czasach sześcioro dzieci, to wprost przeżytek. My, chwała Bogu, nie mamy ani jednego, a i to wydaje mi się ciągle, że o coś w tym interesie za wiele.

28. 6. 44.

Rano niepotwierdzona wiadomość, że Philippe Henriot, minister propagandy i arcysprzedawczyk, został dziś w nocy zastrzelony. W południe, o 13,20 Laval przemawia do kraju i potwierdza poranną pogłoskę. «Zginął śmiercią bohatera» — mówi Laval. Słucham tego razem ze wszystkimi kolegami i koleżankami, stojąc pod otwartym oknem mieszkania dozorczy, z którego ryczy radio. Któraś z kobiet warknęła w ogólnej ciszy: «Stul pysk — *sale Auvergnat*». Aprobujący śmiech. Po przemówieniu Lawała — Marsylianka. Wrzask i zmuszono dozorcę do zamknięcia radia. Biedna ta Marsylianka... Ale to nie będzie się liczyć do historii Francji — to będzie historia okupacji. Grunt, że Henriot przestanie skrzeczeć co wieczór przez radio. Był on niebezpieczny. Jego silna i przekonująca dialektyka, bardzo kartezyjska i jakby kształcona na najlepszych wzorach moskiewskich, zręczna, umiała podawać wiele rzeczy bardzo «po francusku».

Pod wieczór spotkałem p. Zygmunia. Bardzo dawno go nie widziałem, bo miał tam jakieś «przykrości» dolarowe

i uważał za wskazane pływać w zanurzeniu. Jak zwykle trochę pijany. Na moje pytanie, co słyhać, odpowiada bełkotliwie: «Ach, wszystko dobrze. Je się codziennie mięsko, pije się bordo i człowiek czeka, aż będzie lepiej». Zaprasza mnie do swojej antykwarni: «Niech pan wpadnie do mnie, zawsze tam kropla dżynu albo koniaku znajdzie się gdzieś w kącie».

Rosjanie wzięli Mohylew, w Bobrujsku walki. Idą na Mińsk z dwóch stron. Finlandia nie kapituluje i podpisała pakt z Niemcami, którzy mają jej wysłać posiłki. Mają *esprit de suite*, który podziwiam. Kto wie, czy nam taki *esprit de suite* nie byłby się lepiej opłacił... Ale z Hitlerem nie można było gadać i w tym cała pociecha. Podobno komendanci Cherbourg, generał von Schlieben i admirał Hennecke poddali się w sposób skandaliczny. Wyszli ze świetnych schronów, poddając się wcześniej, niż reszta wojska. Było to tak rażące, że oficerowie amerykańscy po prostu ich zwymyślali. Jeden Francuz powiedział mi dziś najspokojniej w świecie: «Wie pan, Amerykanie okazali się doskonałymi żołnierzami. Zdobycie Cherbourg było bez zarzutu. Nawet Francuzi nie potrafiliby tego lepiej zrobić...» Jest to tak zwany «szowinizm absolutny» a raczej kłopotliwy. Dla mnie bardzo. A dla nich szkodliwy — i to ich zgubi.

29. 6. 44.

Na avenue de la Porte de Châtillon olbrzymie stado krów. Cały ruch wstrzymany. Krowy pędzi kilkunastu żołnierzy niemieckich z karabinami zawieszonymi na szyi, z hełmami u pasa i z kijami w rękach. Widok jest tak niezwykły i komiczny, że ludzie zaśmiewają się na cały głos. Ktoś kzyknął: «To jeńcy z Normandii» i salwa śmiechu. Ale po chwili zmysł praktyczny bierze górę: «Zabierają nam naszą rację mięsa, a może to było właśnie dla nas». Kult befsztyka, chciałoby się powiedzieć «świętego», odzywa się we wszystkich. Tymczasem żołnierze biegają wokoło i zganiają z chodników ogłupiałe cielęta. Jak przez mgłę przemknął mi obraz z «Dziennika» Goncourt'ów: stada bydła spędzane do Paryża w 1870 roku. Czy Niemcy zamierzają się tu bronić?

Życie w mieście płynie normalnie. Panuje przekonanie, że za miesiąc Alianci tu będą. Ludzie oswoili się już z lądowaniem w Normandii i czekają teraz na «prawdziwe lądowanie». Ma to oznaczać, że Normandia nie jest najważniejszym działaniem. I wobec tego mówi się: «Jak oni naprawdę wylądują, to... itd.». Ludzie zachorowali na gigantyzm. Nic dziwnego. Podawane codziennie cyfry w rodzaju 1.000 bombowców pod ochroną 1.500 myśliwców, litanie zbombardowanych miejscowości i różne inne obliczenia, mogą zawrócić w głowie. Ślepe upojenie potęgą — do tego cudzą.

Na froncie wschodnim odwrót Niemców przybiera cechy olbrzymiej kłęski. Po ośmiu dniach od chwili rozpoczęcia natarcia. Grzmią w Moskwie salwy z 224 (?) dział, płyną słowa długich i pompatycznych rozkazów dziennych Stalina, dziwnie znajomych, zajeżdżających 150-letnią pleśnią. No ale tam to właśnie ostatni szlagier. I ta zatęchła filozofia, to zatęchłe słownictwo, ma rządzić nami, połową Europy? Sto pięćdziesiąt lat temu t y m s a m y m s t y l e m, kubek w kubek, pisane były rozkazy dzienne Dyrektoriatu. Podobieństwo jest uderzające i beznadziejne: «Sława nieśmiertelna zwycięzcy spod Lodi! Sława i honor dla generała głównodowodzącego, który potrafił przygotować zuchwały atak na most tego miasta, przebiegając zastępy wojowników francuskich, wystawiając się na najbardziej moderczy ogień wroga i rozporządzając wszystkim tak, by go zwyciężyć! Honor dla odważnego Berthier, który rzucił się na czele tej niebezpiecznej i straszliwej kolumny republikańskiej, co stratowała i powaliła wroga! Honor dla generałów Masséna, Cervoni, Dellemagne, dla dowódców brygady Saluces, Dupas i Sugni, dla kapitana Toiret z 3-go batalionu grenadierów! Sława dla dzielnego 2-go batalionu karabinierów, który zdecydował o losach tego dnia! Sława dla dzielnej dywizji pod dowództwem generała Augereau i dla jej dowódcy! Sława dla komisarza rządowego Saliceti!» Uff — zmęczyłem się. Siła francuskiego stylu rewolucyjnego jest zdumiewająca. Ten styl jest ciągle żywy i Stalin wie, czym podniecić to swoje chamstwo, umierające za kajdany. W rosyjskich rozkazach dziennych ten styl tętni do dziś dnia.

Wszystko stało się tak szybko, że dopiero teraz ludzie zaczynają sobie uprzytomniać fakty. Witebsk, Orsza, Mo-

hylew, Bobrujsk. Rosja, ach Rosja! Ma się wrażenie, że cały świat spogląda w tamtą stronę, jak w słońce wschodzące i wspaniałe. Na ślepotę nie ma lekarstwa. Nikt nie chce *w i d z i e ć, z r o z u m i e ć*. Masowa sugestia, powszechna i absolutna. «Oni się zmieniają, oni już się zmienili». Może się zmieniają, ale czy się zmienili? Rozmawiałem przedwczoraj z R., który był na wileńszczyźnie od 1939 do 1941 roku. Mam tymczasem inne zdanie o tym. Tak zwane wyrobione...

Niemcy zmienili zdanie. Gdy trzy tygodnie temu front wschodni był najważniejszy, teraz jest generalna zmiana dekoracji. We Włoszech i w Rosji «obrona elastyczna» do chwili pobicia Anglo-Amerykanów na zachodzie. A potem uderzenie na Rosję. Apiać do Stalingradu, jakby powiedział Wiech. Proste, zupełnie proste. Jak parasol.

Nowa broń nazywa się oficjalnie «V-1», skrót od «Vergeltung» czyli odwet Nr 1. Przewidziane są następne. Nawet patetyczne.

Jestem bardzo ciekawy, czy poza stylem szlacheckim, potrafimy kiedykolwiek wytworzyć jakiś inny styl. W każdym razie po tej wojnie grozi nam poważnie styl «męczeński» połączony z typowo polską bufonadą. No i jestem także ciekawy, czy po tym zniszczeniu, które Polska przeszła i któremu jeszcze na pewno ulegnie, gdy linia frontu rosyjskiego będzie się przez nią powoli przesuwac, czy po tym zniszczeniu będziemy usiłowali urządzić i odbudowywać wszystko koniecznie «tak, jak było dawniej», czy też zdobędziemy się na coś nowego. W każdym razie jestem pewny, że pewien stylik snobsko-szlachecki odbuduje się najprędzej, i to niezależnie od ustroju, jaki nas czeka. I jeżeli ustrój będzie komunistyczny, to cześć i po herbacie — ta utopia wyniszczy nas bardziej niż całe sto lat zaborów i obydwie wojny. Nie można o tym mówić, bo Rosja dosłownie rzuciła na najbardziej przytomne umysły UROK. Zupełnie średniowiecze, człowiek boi się mówić. Psychoza, wobec której nazizm wydaje się w tej chwili zupełnie nieudolnym naśladownictwem.

Ale nie zapominajmy o jednym: Świat, panie dzieju, zawsze spogląda na nas. Oni nic nie mówią, ale zawsze, panie dzieju, z nas biorą przykład. Bo Polak, panie dzieju, to pan wie... ha... psiakość... pan wie, Polak, to rozumie

pan... jakby to powiedzieć, panie dzieju... Właśnie. JAKBY TO POWIEDZIEĆ?

30. 6. 44.

Nareszcie dostałem kilogram masła. 700-franciszków. Poza tym pęczek rzodkiewek na targu, kupiony p o k r y j o m u od przekupki, handlującej przędzą i nićmi. Jemy groszek, resztki kartofli, makaron. Po dwóch godzinach jestem głodny.

Zwłoki Henriota wystawiono na Place de l'Hôtel de Ville i paryżanie defilowali przed katafalkiem, składając bukietki kwiatów. Znaleźli się tacy... Na siedem godzin przed śmiercią zegnał na dworcu francuskich ochotników «SS». «Paris-Soir» zamieścił fotografię z tej uroczystości. Na wagonach napisy: «Vive la France, Heil Hitler, Vive Henriot». To nie historia Francji, to historia okupacji...

Jeszcze raz przerzucam «Nawracanie Judasza» i skręca mnie. Nie — nie skręca — to za słabo powiedziane. Dlaczego «lud robotny», «zachcenie», «fetor»? Dlaczego ponad tym idealizmem Nienaskiego czuje się przede wszystkim brudną bieliznę, zasmarkane chustki do nosa i brudny pokój z samowarem, i dlaczego czuje się to wszystko «bez powodu»? Tak nie znosił Rosji, a tak nią przesiąknął. To śmieszne, do jakiego stopnia osobiste wspomnienia uniemożliwiają mi spokojne podejście do tego wielkiego pisarza.

Pamiętam, że jako mały chłopak, byłem zaproszony do nich na coś w rodzaju «kinderbalu». W pewnej chwili postanowiono pokazać mi księżyc. Wszedłem do ciemnego pokoju, Żeromski zarzucił mi bodaj że swoje palto na głowę i kazał uważnie patrzeć w wyciągnięty rękaw, jakby przez lunetę. I nagle chlusnął mi od przodu, poprzez rękaw, szklanekę wody. Woda zalała mi twarz i nos, zacząłem się okropnie krztusić i kaszleć, o mały włos nie zwymiotowałem podwieczorku. Ale nie to było najważniejsze. Chodzi o to, że w tym samym momencie otworzono drzwi tak, że światło wpadło do pokoju. Razem z nim naśmiewające się ze mnie dzieci. Wiem, że i to jakoś zrozumiałem, ale zacisnąłem pięści na widok Żeromskiego. Stał z boku, obserwował jak ja się krztuszę i cicho śmiał się, złośliwie i z satysfakcją. Ten jego śmiech, jakby żółto-zielony, do-

strzegam teraz we wszystkim, co czytam. Wiem, że to jest niesprawiedliwe, ale nie potrafię inaczej. To dziwne, a to wspomnienie należy do najbardziej wyrazistych, jakie zachowałem z wczesnego dzieciństwa. Żółto-zielony śmiech. Za to określenie dostałem raz dwóję jeszcze w gimnazjum. Byłem bardzo dumny.

2. 7. 44.

Niedziela. Siedzimy w domu. Po południu podwieczorek u Loli. Osiem osób w malutkim pokoiku, ale przyjemnie. Po wyjściu gości, wychodzimy z Lolą oglądać programy kinowe w naszej dzielnicy. Same stare, przedpocinowe filmy. Jak śmiesznie, brzydko i nieestetycznie wyglądają stroje kobiet, już dziś niemodne. A przecież gdy były modne, nie widziało się tego. Tylko na ideologii śmierci nie ma. Od stu lat ta sama moda, a teraz najbardziej zapleśniałe stają się ostatnim krzykiem.

Z Lasku Vincennes wracają długie sznury rowerów. Wieczorem wpada Robert przynosząc nam duży kawałek mięsa i p r a w d z i w y Camembert. Dostał wielką paczkę z Niort przez okazję. Oczywiście siedzi do 12-ej, ale z nim można siedzieć.

W Rosji kryminal. Przeszli Berezynę na szerokości 120 km., zajęli Wilejkę i Stołpcę, odcinają Niemcom odwrót z Mińska. Podają, że w ciągu dziesięciu dni Niemcy stracili 230 tysięcy ludzi i że nowym dwustu tysiącom grozi otoczenie w rejonie Mińska. Co jest? Czyżby Niemcy zupełnie załamali się na tym odcinku? Tak wygląda. Anglicy odpierają przeciwuderzenia niemieckie na linii Tilly-Caen.

3. 7. 44.

Szaro i duszno. Od jutra zamykają niektóre linie metra w całości, na innych liniach całe odcinki. Będzie métro w skróconym wydaniu. Autobusy, łączące Paryż z dalszymi przedmieściami przestają także kursować. Życie powoli zamiera i jedynym środkiem komunikacji staje się rower.

Żyje się obecnie zielonym groszkiem. W fabryce dostaje codziennie dwa kilogramy groszku, czasem trochę sa-

łaty. A najchętniej piłbym ocet, zagryzając korniszonami. Rosjanie robią, co im się żywnie podoba. Ma się wrażenie, że tam armia niemiecka przestała niemal istnieć.

Po południu wpadłem do mojej księgarni zobaczyć czy nie przynieśli mi którejs z zamówionych książek. Tak lubię wślizgnąć się do introligatorni i poprzerzucać oprawiane książki. Zapach kleju i skóry, rozmowa z Bardache. Pożyczył mi dziś pierwszy tom «Corps et âmes» Van der Meerscha.

Cena fałszywych kartek chlebowych skoczyła ze 150 na 250 franków. Po pracy wpadłem do pani R. Rozmowa o Sowietach. Jak wszyscy, tak i ona «wierzy». Na moje uwagi o Rosji «ciasne» i «niepostępowe», wytoczyła wielki argument: «A jednak jakich wielkich muzyków wydała Rosja. Czajkowski, Głazunow, Rimskij-Korsakow, Rachmaninow, Skriabin, Prokofiew...» — «Zawsze bałem się i jestem bardzo ostrożny z narodami, które wydały wielu i wielkich muzyków» — odpowiedziałem jej. Ale pewnie nie rozumiała.

4. 7. 44.

Przez całe rano alarmy lotnicze. W Paryżu krążą niesamowite historie o masle, sprzedawanym przez szoferów niemieckich przewożących benzynę i amunicję do Normandii. Wszyscy mówią, że tu lub tam Niemcy sprzedają 1 kilo masła po 100 franków. Tylko, że nikt dokładnie nie wie gdzie i kiedy. W każdym razie wyobraźnia stwarza tony masła i Paryż ma kompleks masła.

Poza tym następną tajną bronią Niemców ma być również bomba latająca, a raczej rakietą o znacznie zwiększonym zasięgu. Aż do Waszyngtonu. Przydałoby się, ale niestety, to chyba nieprawda. Rosjanie zajęli Połock, w Normandii ciężkie walki.

5. 7. 44.

Od trzech dni prąd elektryczny włączają dopiero o 10-ej wieczorem. Mówią, że kilka dni w ogóle nie będzie światła. Wszelkie wysyłki robotników do Niemiec zostały wstrzymane.

6. 7. 44.

W drodze do pracy zawadziłem o niemiecki samochód. Zastawili wyjazd z garażu olbrzymim ciągnikiem i mijając go, nie zauważyłem wyjeżdżającego z bramy samochodu. Na szczęście podniosłem odruchowo nogę i tylko pedałem walnąłem w zderzak. Pedał skrzywiony do wewnątrz prawie w haczyk. Ale jakoś nawet nie wywróciłem się. Niemcy stanęli i patrzą się. Nie opanowałem się i rozwarłem pysk: *Ihr habt ja keine Huppe drinnen, was? Zu viel Arbeit auf das Ding zu drücken wenn ihr rauskommt...* Przeraziłem się i nawet nie mogłem uciec. Ale oni patrzyli na mnie krowim wzrokiem, po czym usiłowali mi udowodnić, że to moja wina. No, no. Wobec tego uciąłem krótkim: *Erzählen Sie mir keine G'schichten.* Ale już nie użyłem «ihr». Wziąłem rower na ramię i wszedłem do francuskiego garażu naprzeciwko prosząc o narzędzia. Ale młody robotnik, który widział całe zajście, wyrwał mi rower i sam zabrał się do naprawy. W pół godziny potem mogłem jechać dalej. Ten robotnik cały czas mówił mi o Rosji. O Normandii nawet nie wspominał.

Hitler wyrzucił Rundstaedta ze stanowiska głównodowodzącego na zachodzie i na jego miejsce mianował von Kluge'go. Widocznie boi się Rommla, choć go ma tu pod ręką. Poza tym Führer miał wczoraj mętną mowę do Reichsindustrielleiterów, którzy złożyli mu wizytę pod przewodnictwem Speer'a. Po czym Speer wszystkich udekorował orderami. To nagminne ostatnio namaszczenie. Wieczorem w kinie na «Goupi les mains rouges». Świetny film z życia chłopskiej rodziny, całego klanu chłopskiego. W dodatkach Caen, zamienione na mączkę. Na obiad groszek, na kolację groszek i chleb i ogonki po chleb.

7. 7. 44.

Biura administracji cywilnej niemieckiej w Paryżu, czyli sławny hotel «Majestic» i archiwa Gestapo zostały przewiezione do Nancy. Czyżby początki ewakuacji Paryża?

Wieczorem na malutkim i przemiłym przyjęciu u P.. Była tam młoda Francuzka, jej uczennica, mówiąca zupełnie dobrze po polsku. Nauczyła się polskiego w ciągu kilku lat — teraz czyta Żeromskiego bez słownika. Dyskusja o Żeromskim. Gorszą moimi sądami absolutnie wszystkich. Czuję, że u wielu osób rodzi się od razu wątpliwość, czy ja jestem istotnie «dobrym Polakiem». W każdym razie na pewno nie stuprocentowym... Tadzik P. krytykuje nieśmiało jego język. Ja przyznaję wszystkie wartości temu przebogatemu językowi, powodzi przymiotników nieoczekiwanych i «swingowi» (zgorzone spojrzenia) przysłówków, ale atakuję zdecydowanie «duszę» tych utworów. Dlaczego rzeczy brudne są w tym brudniejsze, niż w rzeczywistości, a wstrętne staje się lepkiem i lubieżnym? Po co to badanie «pisanek» Nienaskiego (nogi krzeseł ugięły się...) przez jedną z pań w nocy, w karecie? Dlaczego Prus będzie zawsze na czasie i w czasie? Bo jest w nim tchnienie jakiegoś odwiecznego ładu, czegoś niezniszczalnego, co kryje się w byle odłamku greckiej rzeźby. Tam nieład i nieporządek, «polnische Schweinerei», niedokończenie silniejsze, niż wszystko — strukturalne.

Oczywiście wybuch powstanie przeciwko mnie. **Stara historia:** ja nie krytykowałem wcale Żeromskiego — ja o b r a z a m Polskę. Bo przecież to «taki polski pisarz» (*tant pis pour lui*). Co znaczy «taki»? Wcale nie uważam go za «takiego». Po czym największy kaliber, po którym człowiek powinien rozsypać się w proch: «On tak kochał Polskę». No to cóż z tego? Piekielnie wygodny argument ta Polska, kiedy brak innych. To u nas taki «balsam kapucyński w Jeruzalem w złotym aniele» używany na wszystkie dolegliwości. Skutek gwarantowany. Jak się nie ma odwagi lub ochoty iść do końca, to spuszcza się biało-czerwony szlaban...

Wracamy przed 10-tą, dojeżdżamy do Châtelet i nie łapiemy już połączenia. Idziemy z Châtelet do domu na piechotę. Przeszło godzina spaceru pustymi i ciemnymi ulicami. Smętnie kapie deszcz i jest duszno.

Amerykianie wzięli La Haie du Puy. Lotnictwo szaleje. Ci tego nafałbrykowali. Rosjanie zajęli Baranowicze i biją się na przedmieściach Wilna.

9.7. 44.

Przez cały dzień nie ma prądu i nie można posłuchać radia. Mówią, że niedługo może w ogóle nie być gazu i prądu, a gazety doradzają delikatnie wyjazd z Paryża. Czytam, potem zeluję sandałki Basi. Przed 4-tą jedziemy na podwieczorek do Szymonów K. Wskutek zatrzymania całych odcinków metra, musimy przesiadać się dwa razy, żeby dojechać pod Operę.

K. zna się na malarstwie i wyłapuje tu na licytacjach polskie płótna, nieraz za bezcen. Ostatnio upolował Gierymskiego. Widok poprzez most na Sekwanie na Panteon. Nie wiem, czy jest jaki francuski malarz, który by był tak «paryski», jak Gierymski. W jego Paryżu jest cały Paryż, bez reszty.

Lubię ten dom. Można tam odetchnąć «prawdziwym mieszkaniem», czymś, co już powoli też zaczyna przechodzić do historii.

10. 7. 44.

Paryż stał się miastem roweru. Wszyscy chcieliby kupić rower. Najgorsza tandeta, sklecona z nic nie wartych, pękających i gnących się części osiąga cenę 7, 8, i 9 tysięcy franków. Opona rowerowa dosięga ceny 2.200 franków. Na ulicach koło 6-ej po południu panuje tłok. Trzeba uważać, bo wśród tych tysięcy rowerzystów kręci się pełno debiutantów, o których nigdy się nie wie, co zrobią w ostatniej chwili. Od razu po obiedzie wróciłem do domu, bo nie miałem siły wysiadywać godzinę popołudniowych nad papierkami. Położyłem się i spałem trzy godziny. Za oknem pluskał deszcz, szaro. Basia wróciła przed 7-mą ze szkoły. Przegląd szkiców. Wykończona metrem. W metrze dzieją się teraz dzikie historie. Potem wpadł na chwilę młody A. i wypełnił pokój gaworzeniem 22-letniego dziecka. «Rosjanie zajęli już chyba Wilno, a tu mi spuchło, bo miałem pryszczyk i podrapałem się brudnym szczyrykiem i lekarz przepisał mi ziółka na oczyszczenie krwi a jak czytam, to lubię dłużyć w nosie...» — «Po czym pan to ze smakiem zjada» — dokończyłem, wyrzucając go niebawem za drzwi. Szkoda chłopca. Taki «najmłodszy» zmarnowany

przez matkę i ciotkę. No, Rosjanie zaczęli «uwalniać». Lida jest już «uwolniona». Baranowicze też. Paryski i kolaboracyjny tygodnik «La Gerbe» ogłosił niedawno ankietę wśród znakomitości francuskich na temat, co myślą o bombardowaniu katedr. Wielu pisarzy, uczonych, lekarzy itp. wstrzymało się od odpowiedzi. Natomiast Céline, sławny L.F. Céline, faszystowski Céline i proniemiecki Céline, odpowiedział świetnie: jeżeli by tylko zależał od tego koniec tej rzezi (*tuerie*), to ofiarowuje on wszystkie katedry francuskie i chętnie dołoży wszystkie katedry niemieckie. Dosłownie. Tak liczyli na jego głos i jego brudny, plugawy język i styl. A Céline zrobił im taki kawał. Powszechnie oburzenie wśród piesków okupacyjnych, wycia i naszczekiwania.

Zgadzam się z nim. Cóż warto są te wszystkie katedry, co w ogóle mówić o katedrach, o martwym kamieniu, gdy równocześnie wylewa się potoki żywej krwi niewinnych? Nie zasługujemy na katedry. CO TAKIEJ ludzkości po katedrach? Mówią mi, że jestem «pesymista». A ja po prostu obawiam się tych wszystkich wspaniałości, które obiecuje się po tej wojnie. To stanowczo za piękne, ta demokracja, te reformy, ten rrrraj.

Po obiedzie w kantynie wpadłem na chwilę do Świątka pogadać. Kopalnia krakowskich płoteczek. Doszliśmy do wniosku, że grana obecnie sztuka w «Mathurins» jest zwyczajnym plagiatem. «Niespodzianki» Rostworowskiego. Ś. opowiadał mi, że «Niespodzianka» została przysłana na konkurs, ogłoszony przez teatr krakowski i że to on nakłonił Rostworowskiego do przysłania jej, obiecując mu z góry pierwszą nagrodę. Było to o tyle usprawiedliwione, że nadesłane sztuki nie przedstawiały żadnej wartości i jury było w kłopotcie. Wtajemniczonym w całą kabałę był także Zygmunt Nowakowski. Ś. opowiadał mi o różnych reakcjach członków jury. «Niespodzianka» była bezsprzecznie o całą długość nadesłane sztuki. Otóż większość nie poznała się. Chwistek twierdził, że czytała to jego żona i że to słabe, niewyrobione. Natomiast Haecker z «Naprzodu» poznał się i wykrzykiwał: «To musi być jakiś chłopski syn, człowiek z ludu, który nigdy pióra nie miał w ręce, ale ma talent. Prawdziwy, jurny, zdrowy talent proletariacki». Podobno miał wspaniałą minę, gdy chłopski syn okazał się — hrabią Rostworowskim. Rostworowski opowiadał, że

oparł «Niespodziankę» na prawdziwym zdarzeniu. Bardzo podobna historia miała się zdarzyć w jakiejś wsi białoruskiej i podobno Pusłowski znał szczegóły. «Malentendu» jest żywcem skopiowane. Do tego stopnia, że rzecz dzieje się nie we Francji, lecz gdzieś w Mołdawii.

Na wszystkich frontach idą naprzód. Rosjanie powinni skończyć z Wilnem lada chwila. Działa tam już otwarcie nasza Armia Podziemna. Polacy walczą o Wilno dla sowieckiej Litwy.

Wieczorem był u nas Tadzik P., potem przyszła Lola. Przegadaliśmy cały wieczór. Z poczuciem rzeczywistości jest u nas zupełnie źle. Anglicy, Amerykanie i Rosjanie przygotowują wszystko dla nas, specjalnie dla nas i w ogóle nie mają innych zamartwień oprócz Polski. No bo jakże? Przecież dywizjon 303, przecież Monte Cassino, a wszak AK właśnie pomaga Rosjanom w zdobywaniu Wilna i dywizja Maczka itp. Można by sobie wyobrazić, że obcy pozaciągali u nas takie długie, że aż do ponownego chrztu Polski (po latach okupacji sowieckiej) będziemy mogli leżeć albo siedzieć i tylko podpisywać kwity «otrzymałem». A co będzie, jeżeli każą nam dalej płacić? To zupełnie prawdopodobne. Ilu Rosjanie już wywieźli i ilu jeszcze wywieżą?

12. 7. 44.

Z jedzeniem zaczyna być naprawdę cienko i krucho. Obiad w kantynie był skromny i bardzo przewiewny. W godzinę potem byłem głodny. I wtedy to B., przeziły i młody Francuz, zrobił mi długi wykład o jakiejś nowej filozofii czy też systemie filozoficznym, którego nazwę można by przetłumaczyć jako «egzystencjonalizm». Powiedział mi, że jest to filozofia przyszłości. Słuchałem, słuchałem i pomimo że nie jestem zupełnym tumanem, nie mogłem nic zrozumieć. Patrzyłem na jakąś robotnicę, która właśnie wyciągnęła spod bluzki białą pierś i zaczęła karmić dziecko. Samochód pod stacją benzynową. W końcu B. zapytał mnie: *Avez-vous compris?* Byłem tak głodny, że chętnie byłbym zastąpił to dziecko przy piersi. «Oui — odpowiedziałem — z tego wynika, że gdyby nie nadzieja, że się kiedyś umrze, to należałoby się od razu powiesić». Lubię Myśl, przepadam za Myślą, ale za Myślą, w której byłoby

coś z zapachu zieleni o świcie, w której byłyby żyłki pełne gorącej krwi, jak te sinawe żyłki na piersi tej matki. Chciałbym naprawdę czegoś nowego, a nie tych «postępów», w których robi się wszystko, aby gloryfikować nagle to, co już bezapelacyjnie powinno być odłożone do archiwum.

Do domu przyjechałem zupełnie głodny. W mieście wszędzie ogonki, po wszystko ogonki. Oczywiście awanturowanie się na każdym kroku, bo ludzie są rozdrażnieni. Rozczochrane i śmierzzące harpie toczą oczami wokoło, szukając na kogo można by otworzyć plugawy pysk. Zachłanność i zawiść, zazdrość i nienawiść kurczą wszystkie twarze.

Koło 10-ej straszliwe wrzaski na naszym podwórku. Pędzą ze wszystkich stron siwe Gorgony. Co jest? BRZOSKWINIE. Cały samochód brzoskwiń, sprzedają tu, pod domem. Łapię koszyk i pędzę. Już jest długi ogon. Mam przed sobą jakąś Furię, która tłustym i zaśniedziałym kokiem, upiętym na niemytej od urodzenia głowie, głaska mnie pod brodą. Gadają, kłócą się, wypryskują z ogonka, żeby «popatrzeć». Wystarczy, czy nie wystarczy? Baba zwraca się do mnie i mówi: «Pewnie nie wystarczy». — «To nic nie szkodzi» — odpowiadam spokojnie. «To po co pan tu stoi?» — «Tak sobie, ja lubię stać w ogonku». Odsuwa się trochę z obawą i nareszcie przestaje mnie pieścić tym kokiem. Od czasu do czasu spogląda na mnie z ukosa i już nic nie mówi. Robi się ciemno i nie mogę czytać. W końcu jest już zupełnie ciemno i przekupki wrzeszczą, że nie mogą wydawać reszty, bo nic nie widać. Po czym kończą się dobre brzoskwinie i zaczyna się sprzedaż *au plateau*. Za 10 franków bez wagi do koszyka. Wala mi ze 3 kg. zgniłych brzoskwiń. Pędzę do domu, bo z koszyka cieknie. Przebieramy, wycinamy nadpsute kawałki ratując resztę. Lepsze to, niż nic. Przed wojną zostawały w Halach całe góry takich brzoskwiń. Dziś sprzedają je po 10 franków po półtorej godziny ogonka i jeszcze wielka radość. To taki komunistyczny sposób wprawiania człowieka w optymizm i dobre samopoczucie. Już dawno oswoiłem dwa gołębie. Przylatują codziennie do okna i nic się nie boją. I dziś było mi bardzo wstyd, bo złapałem się na myśli jakby tak... hm... gołąb nie jest zły.

13. 7. 44.

Dziś w fabryce była rewolucja. Do kooperatywy przyszła kapusta. Po 300 gramów na osobę. Wypadały trzy główki na dziesięć osób. Co robić? Dzielić? Ustąpić swoją część? Gadali i dyskutowali godzinę. Wreszcie zaproponowałem, żeby to rozlosować. Zgodzili się. Myślałem, że ci, co przegrali, zjedzą razem z główkami kapusty tych, co wygrali. Między innymi mnie. C. powiedziała mi z uśmiechem lewostronnym, że «dobrze» to wymyśliłem. To miało znaczyć, że ja już z góry wiedziałem, że wygram i dlatego zaproponowałem losowanie. Wykrzywiłem się do niej i powiedziałem: *J'suis pas bête, moi, hein?...* Jeszcze nie ma głodu, jest dopiero trochę ciężiej, a oni już pozjadaliby się nawzajem. Ogarnia mnie straszliwy wstręt, gdy patrzę na te twarze. Wydaje mi się, że widzę otwarte brzuchy ze śmierdzącymi zwojami jelit. Prawie nie mówi się o wojnie. Mówi się wyłącznie o jedzeniu, rozpatruje wszystko z punktu widzenia żarcia.

Na wschodnim froncie potop. Rosjanie wzięli Wilno, są pod Pińskiem, idą na Grodno i Białystok, otaczają, przełamują. W Normandii idzie dobrze.

14. 7. 44.

«Quatorze Juillet». Grzmi Marsylianka w Radio-Paris, w Vichy, w Algierze, z Londynu. Reportaże radiowe z obchodów w uwolnionej Francji.

15. 7. 44.

Wieczorem długi spacer na rowerach. Nad Sekwaną, Boulevard Saint-Germain, pod Odeonem. Oglądaliśmy program. Może pójdziemy w przyszłym tygodniu. Potem siedzieliśmy w Luksemburgu. Ciepły, pochmurny wieczór. Jakieś dziecko chciało koniecznie wepchać nam w szprychy długi kij. Poszło potem nad sadzawkę i moczyło zawzięcie oparcie ze swojego wózka. Jacyś chłopcy puszczały motorówkę. Cisza, terkot mechanizmu zabawki, przedwieczorny spokój nieba, bukiet drzew i kwiatów. Tam gdzie były

dawniej trawniki, rosną teraz warzywa. Fasolka i róże. O wpół do dziesiątej zaczęli trąbić zamknięcie. Pojechaliśmy dalej. Bd. Montparnasse. Na ulicach pustki. Jedyne w «Le Dôme» i w «La Coupole» trochę sennej publiczności na tarasach. Mężczyźni wożą kobiety na rowerach. Po damsku na tylnym bagażniku. Wygląda to zupełnie wdzięcznie. Bd. des Invalides. Stare pałacyki, złota kopuła Inwalidów. Przejeżdżamy obok ambasady polskiej. Mieści się tu «Instytut niemiecki». Niedługo będzie «rrraus». Pałacyki na Quai d'Orsay, Izba Deputowanych. Wjeżdżamy w bulwar Saint-Germain i siadamy na tarasie «Deux Magots». Dziesiąta wybija na wieży i ściemnia się. Wjeżdżamy w piwniczną rue Bonaparte i potem już nad Sekwaną. W mroku rozmazuje się sylwetka Notre-Dame i klamerki mostów. Woda jest czarna i oleista. Place Bastille, wstrętne rue du Faubourg Saint-Antoine. Po wpół do jedenastej jesteśmy w domu, przesyleni ciszą i spokojem tego dziwnego miasta. Paryż jest teraz wspinały. To ten Paryż pozostanie na zawsze w moich wspomnieniach. Londyn mówi dużo o polskości wileńszczyzny. Mówił dziad do obrazu...

16. 7. 44.

Woda na herbatę gotowała się prawie dwie godziny. Gaz jest tak słaby, że ugotowanie czekokolwiek staje się prawie niemożliwe. To straszne, okropne, nie do wytrzymania, ple, ple, ple. Potem potworny krzyk na schodach. Moja sąsiadka, ta gruba, wybiega z pokoju, astmatyczny sąsiad wyłazi krokiem goryla, słyszę gwar i poszczególne zdania: *C'est fini, rien à faire, c'est perdu*. Myślę o froncie w Normandii i z lekkim dreszczem także wylatuję z pokoju. Okazuje się jednak, że to coś znacznie gorszego: nasz sąsiad poszedł do klozetu z kartkami żywnościowymi w tylnej kieszeni spodni, która była odpięta. I wszystkie kartki wpadły do «lunety». Ale on o tym nie wiedział i połapał się dopiero, gdy je już zaszpurował resztkami tego, co otrzymuje na te kartki. No i wrzask. «One tam są, widać je, ale głęboko». Wyszedł na górę patron i wielka narada. Wzywać straż ogniową czy nie wzywać? Czy pompieri są konieczne, czy obejdzie się bez nich? Może

wycior wystarczy? Wróciłem do pokoju. Po pewnym czasie radosne okrzyki. *Ça y est. Quelle chance.* Kapią je i suszą na oknie. Radość. Słusznie. Bo to nie byle co musieć sobie wyrabiać drugie. Człowiek bez kartki żywnościowej w ogóle nie jest człowiekiem. Podejrzany, kombinator, nie obywał. Jakies zero po prostu. Uf.

Przerzucam «Dziennik» Goncourtów i trafiam na taką scenę: «*W Bibliotece Narodowej przechodząc przez salę lektury, dostrzegłem mężczyznę zatopionego w czytaniu; trzymał w dłoni rękę młodej kobiety, siedzącej obok niego. Przechodziłem w dwie godziny później. Mężczyzna ciągle czytał i ciągle trzymał rękę młodej kobiety. Było to jakieś małżeństwo niemieckie. Nie — TO BYŁY NIEMCY!*». Mam ochotę rozbijać wszystko w pokoju z zachwytu. Cały dzień chodzę i ciągle powtarzam sobie tę scenę. Wspomniałem. To całe jest jak błyskawica. Zdania-błyskawice Juliusza. Edmund nigdy nie zdobyłby się na taką subtelność. Pisane wykałaczką, umaczną w czerwonym winie.

Po obiedzie w Lasku Vincennes. Leżymy na trawie po zjedzeniu części naszego królika, rzodkiewki (dziś był przydział 500 gramów jarzyn na osobę) chleba z masłem i agrestu. Nie rozumiem dlaczego jedzenia nie sprzedają w aptekach. Jakaś zła organizacja. Na ścieżce obok nas chudy Titi czy Coco uczą jeździć na rowerze swoją wielką i tłustą rozkosz. No, puścił ją samą w drogę, klepnąwszy w rozległy areał uprawy. Aż echo poszło wśród drzew. Siodelko w ogóle zniknęło w tych czeluściach i wydaje się, że ona siedzi nabita wprost na rurę. Alarm.

Brzęczą samoloty. Po chwili zaczynają się rozrywać nad nami pociski. Huk. Idziemy do altanki obok, żeby nie dostać odłamkiem po głowie. Ludzie zbiegają się z polańek i z lasu. Po chwili wszystko ucichło i ludzie rozchodzą się. Już znowu dzieci bawią się piłką (a Titi uczą wsiadać na rower swojego hipopotama). Potem w ogródku u Roberta. Tęskni za rodziną i nie w humorze. Leżymy i rozmawiamy o głębokim tłoczeniu blachy na zimno i na gorąco. Potem o technice w ogólności. Wydaje mi się, że są takie czasy, w których jeden krok w głąb wart jest więcej, niż tysiące kroków naprzód własnym samochodem lub samolotem. Nawet własnym.

17. 7. 44.

Wpadł mi dziś do ręki artykuł wydawanego do niedawna tygodnika «socjalistycznego» (raczej narodowo-socjalistycznego) «Germinal». Tytuł brzmi: «Socjalizm Platona», a autorem jest jakiś Félicien Challaye. I taki ustęp: «Pierwszą teorię socjalistyczną, która wyraźnie rysuje się w historii myśli europejskiej jest, w piątym wieku przed erą chrześcijańską (era chrześcijańska...) teoria Platona (427-348). Początek dodający odwagi: pierwszy spośród naszych wielkich towarzyszy (*camarades*) w porządku chronologicznym, jest potężnym geniuszem, głębokim filozofem i wspaniałym artystą».

No nic, jakoś to przełknąłem, ale odbijało mi się tym «towarzyszem Platonem» przez całe popołudnie. Wieczorem, znowu zupełnie przypadkiem (nie czytam tych szmat) przeglądałem «Signal», poświęcony «Duchowi Europy». Fotografia rzeźby Platona, krótki życiorys i w nim: «Jest on także pierwszym nacjonalistą Zachodu».

Zmiałem to dokładnie, cisnąłem o ziemię i miałem ochotę modlić się do Flauberta. Och, święty Flaubercie, co napisałeś raz do Louis Bouilhet'a: «Lecz my nie korzystamy z niczego, jesteście sami. SAMI, jak Beduin w pustyni. Trzeba zakryć sobie twarz, owinać się szczelnie w nasze płaszcze i uderzać z pochyloną głową w huragan — i zawsze — bezustannie — aż do ostatniej kropli wody, aż do ostatniego uderzenia serca». Nie — jeżeli to tej wojnie nie zrobi się wszystkiego, aby Platon był przede wszystkim Platonem, zwyczajnym Platonem, po prostu Platonem, to w takim razie nie ma o czym mówić. Jeżeli tego nie zrobi się, to trzeba będzie wynieść się tam, gdzie o Platonie wcale nie słyszano. Są jeszcze takie miejsca na świecie. To stanowczo lepsze i łatwiejsze do zniesienia. Nie pamiętam już, kto użył tego określenia «czworobok głupoty», ale jest wspaniałe. Tylko jakich sił będzie potrzebna ro rozbić tych wielu innych czworoboków, które ustawiają się dziś jeden za drugim. Czworoboki kłamstwa, obłudy, pomylenia pojęć, IDEOLOGII jedynych i prawdziwych. Cywilizacja nasza — wbrew pozorom — nie grzeszy tak bardzo uczynkiem. Grzeszy straszliwie myślą i mową. «Przeciwko głupocie mojej epoki odczuwam

strumienie nienawiści, które mnie duszą. Gównu podchodzi mi do ust, jak przy zduszonych rupturach» — pisze w innym liście święty Flaubert. I tragiczne w tym jest to, że nie proletariats i plebs jest głupi, ale że tak zwane warstwy oświecone stają się coraz głupsze. «Należy oświecić warstwy oświecone — pisze jeszcze w innym liście Flaubert. Zaczynicie od głowy. Ta jest najbardziej chora, reszta przyjdzie sama».

Czy w społeczeństwie towarzyszków «towarzysza Platona» można będzie się oburzać? Basia telefonowała do mnie, że jedzie do szkoły na rowerze. Sama, pierwszy raz do miasta. Zburzy pół Paryża... O wpół do szóstej mamy spotkać się na «carrefour» Raspail-Saint-Germain i wrócić razem do domu.

Spotkałem się z Basią. Przejechała szczęśliwie cały Paryż. Nie chcę, ale muszę uwierzyć. Co ta wojna z ludźmi nie robi...

— Nie potrąciłaś naprawdę nikogo?

— Nie. Wszyscy jakoś mnie omijali. Ale boli mnie głowa od słońca.

Odpowiedź w stylu *das ewig weibliche*. Wszyscy ją omijali... Mówię jej, że mam kilogram pieczarek i dwa kilogramy brzoskwiń oraz 1.600 gramów młodych kartofli. Uśmiecha się i zapomina na chwilę o bólu głowy.

— To raz nie będzie groszku i makaronu — powiada głosem zwiędłego fiołka.

Jedziemy. Na Place Saint-Germain siadamy w café Bonaparte na tarasie i pijemy lodowaty, musujący «cidre». Jest upalne popołudnie z świeżym wiatrem. Wokoło nas suną strumienie rowerów. Godzina wyjścia z pracy. Ilość rowerów jest zupełnie zawrotna, wszyscy jeżdżą na rowerach. Słońce, granatowe niebo bez chmurki. Rowery, spódniczki w kratę i jedwabne sukienki, sandaalki, wystawa nóg aż do pasa, bo wiatr podwiewa lekkie tkaniny. Aż dławię się poczuciem cudowności życia.

Przez rue Bonaparte przechodzimy na piechotę. Basia zagląda do «swojej» antykwarni, ja oglądam książki. Potem jedziemy do domu, cały czas nad Sekwaną. Po kolacji wieczorynka u Loli. Dyskusja o Rosjanach. Ktoś tam gdzieś powiedział, że to wcale tak źle nie jest. I oczywiście

uchwyciła się tego. Bo jak miliony, tak i ona nie chce widzieć. Gdy ja mówię o i s t o c i e, przeciwstawia mi fakciki. Stwarza się fakty by zakryć nimi istotę rzeczy.

18.7. 44.

Podobno w Moskwie odbyła się wielka parada. 57 tysięcy jeńców niemieckich z wziętymi do niewoli generałami niemieckimi na czele, przedefilowało przez ulice Moskwy. Czym musiał być ten pochód dla kilkunastu generałów niemieckich, to można sobie wyobrazić. Szli, jak barbarzyńcy za rydwanem triumfatora rzymskiego. Oni generałowie Wielkich Niemiec, Grossdeutschlandu...

Lecz gdy otrząsnąć się z pierwszego odruchu zadowolenia i gdy pomyśleć, że to jest dwudziesty wiek, że TO i wiele innych rzeczy, gorszych, dzieje się po tym wszystkim, co zostało napisane i tylekroć podkreślone krwią, wówczas ogarnia człowieka czarna noc. Coraz częściej mam wrażenie, iż obok huku bomb słyszę huk rozsypującej się w gruzy kultury, tej od «Deklaracji praw człowieka» i innych bzdur.

19. 7. 44.

Cały Paryż nie mówi o niczym innym, jak tylko o cukrze. Bo w innych departamentach dają z góry po 5 kilo cukru na osobę na «tiket» O. Wobec tego organizuje się z Paryża całe wyprawy po cukier na prowincję. Nasza fabryka wysłała cały samochód i «tikety» wszystkich pracowników. I już drugi dzień mówi się tylko o cukrze. Co to kogo obchodzi, że padły Livorno i Ancona, że Amerykanie wzięli Saint-Lô, że Rosjanie są o 14 km. od Lwowa i biją się na przedmieściach Brześcia nad Bugiem. Cukier. Będzie czy nie będzie?

20. 7. 44.

Przy wyjeździe z biura wyrzuciłem się na pierwszym zakręcie. Głupio i niepotrzebnie — sam nie wiem, dlaczego.

Całe lewe ramię i ręka zdarte do krwi na befsztyk. Byłem tak wściekły, że wsiadłem z powrotem na rower i dopiero na Porte d'Orléans wstąpiłem do apteki żeby to zawiązać.

Upał. Duszne powietrze, rozpalone i martwe. Od asfaltu bije żar, jak od pieca w stalowni. Samochody, rowery, warkot i duszący zaduch spalin z motorów, napędzanych gazem drzewnym. Na Alesia dostałem zawrotu głowy i na wszelki wypadek zsiadłem z roweru. Całe lewe ramię mnie rwało. W końcu wpadłem w boczne uliczki. Ulice koło więzienia Santé jeszcze ciągle zabarykadowane kozłami z drutem kolczastym. Na 14 lipca był tam bunt więźniów i podobno zabili kilku dozorców. W gazetach nic o tym nie pisali. Teraz ich «pacyfikują».

Basia opowiada mi, że nasz «épicier» zapytał ją dzisiaj: «Co pani myśli o ostatnich wydarzeniach? Czy nie będzie trzeba, aby Polska oddała Rosji jej granice etniczne?» Basia zapytała go spokojnie: «Czy pan nie sądzi, że Francja powinna oddać Indochiny Indochińczykom, Madagaskar Madagaskarczykom i Algier Algierczykom?» Stracił wątek. To zaczyna być nadprzyrodzone, do jakiego stopnia wszystko «chwytą», gdy chodzi o Rosję. Nie ma niczego poza Rosją. To nie jest straszne, gdy masa jest głupia, bo każda masa jest głupia, ale prawdziwe piekło zaczyna się dopiero, gdy ta masa zaczyna posługiwać się takimi zwrotami, jak «granice etniczne». A jednak pomiędzy tą powierzchownie opoliturowaną Francją i Sowietami istnieje jakaś tajemna i bardzo mocna nić, duchowa nić chamstwa tego, które mówiąc o «granicach etnicznych» nie potrafi równocześnie posługiwać się swobodnie nożem i widelcem. Jest jeszcze coś innego także: jedna Rosja obiecuje dziś to, co jest praktycznie nieosiągalne w jej systemie. I dlatego wszyscy wierzą. Komunizm zastąpił dziś religię i stał się sam tym, o co oskarża inne religie: opium dla ludu. Francuzi mieli zawsze wielki pociąg do rzeczy praktycznie nieosiągalnych i do głębokiej wiary w rzeczy nieosiągalne. I stąd ta powszechna sympatia dla Sowietów.

Wieczorem znowu porcja nowin. Zamach na Hitlera. Hitler niestety tylko poparzony, szereg jego współpracowników rannych. Bomba zegarowa wybuchła w «Führers Hauptquartier». To wygląda poważnie i pachnie zorganizowanym spiskiem. Ale brak dokładniejszych wiadomości.

Rosjanie rozlewają się, jak powódź. Zajęli Augustów i są o kilkanaście kilometrów od Prus Wschodnich.

21. 7. 44.

Niestety ten zamach na Hitlera nie udał się. Powódź plotek. Nie słucham tego, bo po co? Graf von Stauffenberg, jeden z tych «blaublütige Schweinhunde und Reaktionenäre» spudłował straszliwie i to jest najważniejsze. Konanie przedłuża się.

B. podszedł dzisiaj do mnie, wyciągnął z kieszeni suwak logarytmiczny i wyliczył mi z dokładnością do trzeciego miejsca dziesiątego, że jeżeli Rosjanie będą nadal szli naprzód z szybkością, z jaką idą ostatnio, a Alianci nie zwiększą swojej w Normandii, to spotkanie nastąpi za dwa miesiące na Montmartrze. Bardzo go lubię, ale pomimo że dzisiaj żartował, zaliczam go i tak do kategorii umysłów określanych przeze mnie jako «studnie kartezyjne». Są to ludzie, którzy do wszystkich zjawisk w życiu podchodzą z suwakiem w ręce. To byłoby straszne — świat ludzi z suwakami.

Po południu na herbatce u N. On jest młodym inżynierem chemii i kolegował za studenckich czasów z Van der Meersch'em. Podobno szereg osób ze sfer lekarskich w Lille odnalazło siebie w «Corps et Ames» i dlatego atak na tę świetną powieść był taki ostry. N. są praktykującymi katolikami i czynnymi członkami «Stowarzyszenia rodzin». Stowarzyszenie to ma na celu obronę rodziny. Na przykład gdy właściciel kamienicy nie chce wynająć mieszkania rodzinie, obciążonej licznym potomstwem, wówczas oni interweniują. Gdy ktoś tam — oczywiście zamożny, znany, powszechnie szanowany itd. — łapie nieletnią dziewczynkę, przywabiając ją cukierkami, to przez stosunki z wielkim adwokatem (tylko wielkim — mały nie dałby rady), uzyskuje się wyrok. Inaczej taki pan — zamożny, znany, powszechnie szanowany, kawaler Legii Honorowej — wywinąłby się z opresji, jak to zwykle dotąd bywało (i pewnie ciągle bywa). W tej chwili proboszcz ich parafii, czynny i rzutki, zorganizował sprzedaż jarzyn dla ubogich, półkolonie dla biednych dzieci i obiady po 5 franków dla tych dzieci. Coraz więcej pracy, bo oczywiście dzięki temu

liczba «katolików» gwałtownie wzrasta i wszyscy przypominają sobie nagle, że kiedyś ich ochrzczono i że byli nawet u pierwszej komunii. Proboszcz zapytany, co myśli o tych wszystkich nieszczęściach obecnej wojny, odpowiedział N.: «Gdyby nie te nieszczęścia, wszyscy zapomnieliby o Bogu». Madame N. dodaje: «Rzeczywiście — od chwili wyładowania coraz więcej ludzi przychodzi do kościoła».

Muszę jutro poprosić B. żeby mi wyliczył na swoim suwaku, ilu ludzi można z powrotem nawrócić jedną bombą lotniczą? Mam zamiar ułożyć tabelę od bomb 50-kilowych począwszy. Bardzo proste. I potem wyślę to Amerykanom i do Rzymu. Załączę suwak, aby inne zagadnienia ludzkości rozwiązywano też przy jego pomocy. A potem zbudujemy świątynię, ułożymy w nich suwaki i stworzymy nową religię — suwakizm. I wszystko będzie dobrze.

22. 7. 44.

Mówią, że Hitler prowadził pertraktacje pokojowe z Sowietami i że doszli do wstępnego porozumienia. Że wobec tego Anglicy chcieli go sprzątnąć za pośrednictwem tego Stauffenberga. Ale że i tak Niemcy już podpisali jakieś zawieszenie broni, a w każdym razie zatrzymanie się Rosjan w jakimś miejscu jest kwestią dni lub nawet godzin. Może plotki, może nie. Ale skąd się to bierze?

Ten jakiś Mikołajczyk oświadczył, iż gotów jest pojechać do Moskwy celem rozmówienia się ze Stalinem. Jeszcze jeden, co «wierzy». Oni takich pasjami lubią.

Scena uliczna: Chłodny i orzeźwiający ranek lipcowy. Na ulicach jeszcze pusto i cicho. Przed jednym z domów na rue Broca stoi na środku jezdni wysoka kobieta w żałobie, za nią chłopak z olbrzymim wieńcem, który go zupełnie przykrywa. Z okna pierwszego piętra wychyla się jakiś mężczyzna, jeszcze w nocnej koszuli, z rozczochranymi włosami. Toczy się między nimi ożywiona rozmowa. Przystają. W pustej uliczce słychać każde słowo.

— Przyszłam wam pokazać wieniec... to na pogrzeb tego biednego Pierre... drogi, ale popatrzcie się, wszystko z prawdziwych kwiatów. To nietrwałe, ale i tak bardzo

ładne... Jak wielkie, wschodzące słońce, ukazała się w oknie żona mężczyzny. Wpychała się wolno — WSCHODZIŁA — zasłaniając w końcu zupełnie to coś, co potocznie określa się słowem «mąż». Poza poręcz okienną chlupnął bezszelstnie wielki biust, spętany luźno szmatą szlafroka (zupełnie jak kozuch przy wlewaniu mleka do filiżanki — plusk) i zawisł nad ulicą. Balony na uwięzi. Najeżony zasiiekami papilotów łeb pochylił się i struga wykrzykników chlusnęła z góry:

— A jaki piękny. Te kwiaty wcale nie gorsze od sztucznych. Biedny Pierre. I pomyśleć, że to wszystko przez jedzenie (Kobieta na dole popycha chodzący wieniec pod okno). No tak, muszą już robić z prawdziwych kwiatów, bo blachy nie mają. Zdajesz sobie sprawę (papiloty mówią w głąb pokoju) z jedzenia. Żołądek. Ani mięsa, ani wina. I dziś pogrzeb.

Kobieta w żałobie manewruje wieńcem, popychając chłopaka w różne strony.

— Widzicie — jeszcze dziś rano polałam go wodą, żeby był świeży.

Pojechałem dalej. Psiakrew, co za czasy. Nawet blachy na wieńce już brak. Do czego doszliśmy. Szkandał. Za żadną cenę nie zgodziłbym się teraz umrzeć.

24.7. 44.

Nasza kooperatywa fabryczna wykazuje nadszpodziewaną obrotność. Dziś dostałem 5 kilo cukru po 15 franków. (W czarnym handlu cukier kosztuje 165 fr.). Poza tym codziennie niemal jakieś jarzyny. Jemy znowu zupełnie dobrze, tym bardziej, że Świątek stara się zawsze o owoce. Śliwki, brzoskwinie, agrest, wiśnie. Świątek jest wspałały. Cóż to za kopalnia krakowskich plotek. Te kawały, które opowiada o Chwistku. Jest zawsze elegancki, wyczyszczony i wyperfumowany. Biedny człowiek przeżarty STRACHEM. Ze strachu przed Niemcami udawał wariata na to, żeby go zamknęli do domu obłąkanych. I dopiero Dr K. gdzieś go wywachał i z tego szpitala wyciągnął. Tylko K. potrafił tego dokazać. I teraz z własnej kieszeni dokłada do utrzymania ruiny tego człowieka.

Po południu spotkałem się z Basią na Raspail. Jeździ brawurowo sama po Paryżu i twierdzi, że to wcale nie takie trudne, «bo trzeba tak jechać, jakby nikogo nie było na ulicy». Rozumiem — pewnie dlatego wszyscy ją omijają. Jak ona wsiada na rower, to ja zamykam oczy i zatykam uszy, bo pierwsze dziesięć metrów są zaprzeczeniem wszystkich praw równowagi. Ale ma taką silną indywidualność, że nawet te prawa nagina do siebie. W «L'Européen» naprzeciwko Gare de Lyon pijemy zimne piwo. Całe métro paryskie zredukowane do paru zasadniczych linii i podobno dzieją się tam teraz cuda. Wolę tego nie oglądać.

Wieczorem w ustach gorzki smak zjadanych od pół godziny myśli. Już przedwczoraj, po okupowaniu («Uwolnieniu») Chełmna, Rosjanie zagrali «Jeszcze Polska». Dziś ogłosili zdobycie — przepraszam, «uwolnienie» — Lublina i znowu «Jeszcze Polska». No i Związek Patriotów Polskich w Moskwie proklamował rząd londyński jako nielegalny, utworzył Komitet Wyzwolenia Narodowego i jakąś Radę Narodową, która podobno zaczęła już urządować. Od momentu, jak to usłyszałem, zupełnie automatycznie, brzmi mi w uszach aria «Ridi payazzo» z «Pajaców». Śmieję się polski żołnierzu-pajacu, polski lotnik-pajacu i marynarzu-pajacu i wy panowie-pajace. Śmiejemy się wszyscy. Za pięć lat cierpień, za pięć lat «niezłomnej postawy», za niekolaborowanie z Niemcami, za brak Pétaina i Quislinga, za obozy, łapanki, egzekucje. Za to wszystko masz Polskę, która zaczyna się w Chełmie, masz Radę Narodową z Wasilewską. Uwalniają nas, oswabadzają, dają wielką i niepodległą Polskę. Pięć długich lat czekaliśmy i nareszcie zajaśniała «jutrzienka swobody», czerwona gwiazdka. No, cieszymy się, śmiejecie się, klaskajcie w rączki, pajace! Śmiejecie się, psiakrew — jazda, chórem, ochoczo! Obsypcie kwiatami termity Nowego Świata, posłańców z Raju, wolnych obywateli generalissimusa Stalina. Piszcie ody. Jeszcze Polska nie zginęła póki ONI żyją.

Jestem śmieszny, patetyczny i uparty. Bo ja widzę tylko, że walcząc z totalizmem, brniemy w jeszcze gorszy. Wszystko skręca się we mnie z bólu. I to nie z bólu polskiego — nie — z kosmicznego.

Concourtownie opisują swoje wrażenia przy czytaniu dokumentów Rewolucji, które studiują do jednej ze swoich sztuk: «Tak, odjąć Rewolucji krew i wykrzyknik „cóż za głupota” nasunie się na usta wobec tego chaosu kannibal- skich idiotyzmów i ludożerczej retoryki. Trzeba to prze- czytać, aby uwierzyć — aby uwierzyć, że działo się to we Francji niecałe sto lat temu... I jaka hipokryzja, jakie kłamstwa, ta Rewolucja, Dewizy, napisy, mowy, historia — wszystko kłamie w tej epoce. Ach, jakąż książkę można by napisać, dając jej tytuł: **BLAGI REWOLUCJI**».

Tak — odebrać rewolucji rosyjskiej krew i co zosta- nie? Głupota i kłamstwo i hipokryzja podniesiona do «n»-ej potęgi w porównaniu z Rewolucją francuską. I dziś ta głupota, ta hipokryzja i to największe w dziejach kłamstwo ideologiczne uznane są za **JEDYNĄ PRAWDĘ**. Do ta- kiego upadku poziom umysłowy ludzkości jeszcze chyba nigdy nie doszedł.

Przykład: Mołotow wydał proklamację, iż rząd so- wiecki zawarł porozumienie z Polskim Komitetem Wy- zwolenia Narodowego w Chełmie, w myśl którego celem armii sowieckiej jest uwolnienie Polski, stworzenie silnej i niepodległej Polski, nie mieszanie się do administracji kraju i nie narzucanie żadnej formy rządu, niezgodnej z pragnieniami narodu. Uwierz temu i napij się wody. Ale ludzie wierzą. Miliony wierzą. Rozkoszne.

Na to Londyn oświadczył, że Polska Agencja Tele- graficzna z o s t a ł a u p o w a ż n i o n a do ogłosze- nia komunikatu, iż osoby, z których składa się tak zwany Komitet Wyzwolenia Narodowego są całkowicie nieznane i nie mogą reprezentować narodu polskiego. Komitet składa się z reprezentantów nielicznej w Polsce partii komunis- tycznej i nie odzwierciadla pragnień i dążeń narodu. Kto upoważnił P.A.T. do publikowania takich bzdur? Osoby są znane, aż nadto dobrze, ja sam znam osobiście połowę. Wandzia Wasilewska, żyjąca z tym murarzem z Krakowa, Mańkiem Bogatko, któż jej nie znał? Wszyscy ich znali, siedzieli całymi dniami w Turze. Bolesław Drobner nie- znany? Generał Rola Żymierski też nie? Andrzej Witos i generał Berling mniej znani. A jak doszłuszuje do nich cały Z.N.M.S. i koło Pacyfistów z prezesem Józkiem Cyran-

kiewiczem na czele, to też będą nieznani? Chodzi o to, że tak znani, iż już dziś można przewidzieć kto uformuje polskie Vichy. Ale to nie to samo... Nieznani — aż od razu swojsko się zrobiło. Julek i Frydka wypłyną pewnie niedługo jako «towarzysze ministrowie», Józek na pewno zostanie grubą rybą, bo zawsze miał do tego niemal sanacyjne zacięcie, a Kryśce będzie żal, że przestała z nim chodzić. Nieznani — hej, łyzy się kręca... Nie miałem nosa, fatalny brak węchu. A raczej za czuły: oni wszyscy już przed wojną pachnieli mi zanadto *cuir de Russie*. I dlatego byłem «mętniak».

Od dziesięciu dni Rosjanie stoją u granic Prus Wschodnich. Z początku było z tym wiele hałasu. Od dziesięciu dni wszystko ucichło. Dlaczego Rosjanie postępują tak szybko na terenie Polski, nie postępując ani w części z podobną szybkością na innych odcinkach frontu? Dlaczego nie przekraczają granicy Prus Wschodnich ani na jeden metr? Przecież jeden hektar zajętych Prus Wschodnich byłby o wiele lepszym uderzeniem propagandowym, niż zajmowanie Polski. Czy przypadkiem Rosjanie jeszcze ciągle nie czekają na COŚ i dlatego nie weszli do Prus? Jestem podejrzliwy i trzęsę się ze strachu o nas.

27. 7. 44.

Goebbels miał wczoraj wielką mowę i opowiedział, jak to było z tym spiskiem. A potem mówił o mobilizacji totalnej, której jest kierownikiem. Twierdził, że cały ten zamach i rewolta wyjdą narodowi tylko na dobre. Jestem pewny, że trzy czwarte Niemców w to uwierzyło. Ja jakoś nie mogłem. Obiecał nową broń, nowe wynalazki i w ogóle początek nowej wojny.

Poczty paryskie odmawiają od dziś przyjmowania listów do Warszawy. Po Paryżu krąży uporczywie plotka, że Hitler ze Stalinem podpisał zawieszenie broni, które ma się zacząć 1-go sierpnia.

Po wyjściu z biura długa rozmowa z B. (bez suwaka tym razem). Mówiliśmy o przyszłości świata. Przypomniałem mu w końcu jedną scenę z Goncourtów, których teraz czytam wieczorami na uspokojenie. Rozprawiano o przewidywaniach naukowych Berthelota i Claude Bernarda.

I wtedy ktoś powiedział: «Jeżeli tak dalej pójdzie, to pewnego dnia nie będzie innego wyjścia, jak tylko to, aby Szanowny Starzec z brodą zstąpił na ziemię i donośnym głosem, jak woźny w muzeum, powiedział: *Messieurs, on ferme*. Śmiałyśmy się obydwaj. A przez ulice przewalały się transporty niemieckie.

28. 7. 44.

D. pisze z Ferté-Bernard: «Niedługo pójdę z pewnością do kryminału albo do szpitala, gdyż mam nieodpartą chęć kuć w mordę każdego interlokutora, który mi mówi ze szczerą życzliwością: «A co? Niedługo Polska będzie uwolniona, Rosjanie są tam i tam». Zdanie to słyszę po kilkanaście razy dziennie i to od ludzi, których dotychczas uważałem za normalnych i inteligentnych. Zaczynam się bać o siebie, gdyż to wariatom całe otoczenie wydaje się składać z ludzi umysłowo chorych, a ja doszedłem do tego wniosku».

Ja w Paryżu też mam ochotę kuć w mordę, ale musiałbym to zmechanizować, bo to Paryż i nie kilka osób na dzień, lecz dziesiątki i setki dają codziennie wyraz swej uprzejmości, gratulując mi na prawo i na lewo (Dosłownie wszyscy). Mnie już mają za pomyłonego, bo gdy oni chcą mi zrobić przyjemność, ja niemal krzyczę *merrrde* i każę im się popukać w głowę. Nikt, absolutnie nikt nie chce wierzyć. Mam chwilami uczucie koszmaru, duszności, muchy uplątanej w pajęczynę. Co «uwolnione» miasto, to te barany gratulują. Przestałem odpowiadać.

29. 7. 44.

Basia pojechała sama na rowerze na ślub jednej ze swoich koleżanek aż do Neuilly. Mam ochotę odmawiać różaniec. Jadłem obiad w restauracji w Fontenay. Za odrobinę fasoli z dwoma kielbaskami wielkości palca każda, za mały trójkącik «camembert» z karafeczką «cidre'u» (chleb mój) zapłaciłem 113 franków. Przyjechałem do domu o 2-iej i położyłem się spać. Po południu Basia wróciła z Neuilly na rowerze, sama, i gdy weszła do pokoju ele-

gancka i ożywiona, wyglądała jakby wysiadła z Rolls Royce'a, a nie zsiadła z roweru. Ogląda moją rękę i jeszcze ma czelność powiedzieć: «Ja się teraz tak o ciebie boję, jak ty jedziesz na rowerze». Cholera. Pewnie — mnie «wszyscy nie omijają».

Grupka osób, z których każdą z osobna bardzo się lubi. A razem to tak: rozmowa o nowych systemach palników gazowych, dających duży płomień w godzinach słabego ciśnienia, o piecykach na papier (kręci się kuleczki i bezustannie wrzuca i można na tym gotować), o Rosjanach (same głupstwa), o maśle z Normandii (rozmowa o duchach — wszyscy o tym mówią, a mało kto widział) — w sumie meee, meee, miauu, miauu i hau, hau.

Wczoraj zdobyłem całą nogę baranią z szynką i mamy na niedzielę mnóstwa mięsa. Ale właśnie gaz «ucik». W Paryżu tragedia. Elektryczności nie ma w dzień, a w nocy dopiero od 10.15. I tylko do oświetlenia. Kobiety nie mogą sobie robić wiecznej ondulacji. Ale już znalazła się rada i na to: Jeden z wielkich zakładów fryzjerskich — bodaj że «Antoine» — skonstruował aparat napędzany tandemem. Zaangażowali czterech asów cyklizmu i ci kręcą na zmianę przez 8 godzin. Jakiś music-hall na Montmartrze ma zamiar oświetlać scenę przy pomocy takich tandemów. Kina i teatry zamknięte już od dwóch tygodni. Wszystkie konsjerżki mówią, że *ça ne peut pas durer comme ça*, bo jakaś babka umierając dziś w szpitalu, powiedziała, że wojna skończy się 13-go w niedzielę. Najbliższa wypada 13-go sierpnia. A w ogóle czym jest raj w porównaniu z U.N.R.R.A.? Biedna J. skarżyła mi się dzisiaj, że J. prawdopodobnie ją zdradza. Sądzę, że na pewno. Ale jej powiedziałem, żeby się nie przejmowała, bo *U.N.R.R.A. vous arrangea tout ça*.

Ten Mikołajczyk dojechał już do Teheranu i jutro powinien być w Moskwie. Rosjanie są na przedpolach Warszawy.

30. 7. 44.

Pod wieczór w Lasku Vincennes. Siedzieliśmy nad stawem i mówiłem Basi o przyszłości. Jak będziemy mieć swój domek z ogródkiem, to Basia będzie robić w lecie

mnóstwo konfitur, a ja wina owocowe i nalewki. A jak będziemy mieszkać w bloku i nosić ubrania wzór Nr 1 i jeść według tygodniowego jadłospisu i czytać jakąś «Polskę Proletariacką», redagowaną przez byłego członka Z.N.M.S., to Basia nie będzie robić konfitur, a ja win owocowych i nalewek. Będziemy chodzić na zebrania, dyskutować Marksa, Lenina i Stalina i wmawiać sobie, że dopiero teraz życie jest piękne i że «dla Polski». Otóż nie — nie widzę powodu, dlaczego Polska i dlaczego wszystko dla Polski. To, że się urodziłem Polakiem, jest takim samym przypadkiem jak to, że należę do pewnej warstwy społecznej, a nie do innej, że jestem biały, a nie czarny. Warstwa społeczna, kolor skóry — to są przesady i można na nie gwizdać, a ojczyzna, to koniecznie coś świętego. Dlaczego? Nacjonalizm stał się też religią, i czym bardziej tępy, czym bardziej ślepy, tym bardziej godny poszanowania. Teraz już się mówi: «Naszym obowiązkiem jest wracać niezależnie od tego, co będzie». Dlaczego? Tylko człowiek nie jest fikcją — wszystko inne jest fikcją. Cały świat może być ojczyzną i każdy człowiek bratem. Bo świat, to człowiek, przede wszystkim człowiek. I także już teraz na «nie wracanie» znajduje się usprawiedliwienie w Polsce. Nie wracam dla Polski. Dlaczego? Nie wracam, bo po prostu nie mam ochoty i jeżeli uda mi się ruszyć dalej w świat, to się ruszę, bo mnie to ciągnie, bo ciekawi mnie świat i inni ludzie, bo życie w zakorkowanej butelce ojczyzny zupełnie mi nie odpowiada. Ale do tego nie ma się prawa. Dlaczego? Mikołajczyk nie dojechał jeszcze do Moskwy. Niepokój. Jakby od tego w ogóle co zależało. Francuskie radio z Londynu powiedziało, że Rokossowski pochodzi ze szlacheckiej rodziny polskiej. To bardzo ważne. Już wieszcz powiedział: «... łotr wielki, jak się zwykle dzieje z Polakiem, co w służbie carskiej zmoskwicieje». Rokossowski jest na przedpolach Warszawy. I teraz pewnie niedługo zerwiemy się do «bohaterskiego boju, aby Warszawę oddać — Rokossowskiemu. Z polskiej, i co najważniejsze, szlacheckiej rodziny. Być Polakiem, to naprawdę nieraz piekielnie skomplikowane. Mit narodowości to jeden z wielkich mitów, który nie ma zamiaru rozlecieć się w pył. Panu Bogu już dali radę, religiom dali radę, ale narodowości, nacjonalizmowi nie poradzili. Wprost przeciwnie. Ten mit ma jeszcze wielką przyszłość przed sobą.

I dopóki będzie żył, dotąd o LUDZKIM świecie nie ma co marzyć. Świat mitów, nie ludzi.

Ta wojna niczego nie rozwiąże. Gorycz, wstręt — wstręt do wszystkiego i zupełna nieumiejętność zagadania siebie lub zgody na zagadanie przez innych.

31. 7. 44.

Brak wieści o Mikołajczyku, Romerze i Grabskim. Powinni już być w Moskwie. «Może Stalin kazał ich aresztować?» pytają ludzie. Za mądry na to — potrzebuje teraz takich naiwniaków, bo bez ich pomocy nie wmówi nikomu, że Polska to Polska. A jeżeli chodzi o Polskę, to Polacy niczego tak nie pragną, jak wmawiania.

1. 8. 44.

Mikołajczyk jest w Moskwie. Podobno Rosjanie skoncentrowali milion ludzi pod Warszawą. W Warszawie zostało tylko już tylko wojsko i Gestapo.

2. 8. 44.

Polska Armia Podziemna rozpoczęła wczoraj otwartą walkę o uwolnienie Warszawy. Podobno Warszawa się pali i walki na ulicach. Po co? Myśli, myśli, pełno myśli i obawa słów, z których każde mogło by być niewłaściwe.

Jeden z moich kolegów francuskich powiedział mi dziś «w zaufaniu», mrugając tajemniczo okiem, że jeżeli Amerykanie przeprowadzili w ostatnich dniach tak udaną ofensywę, to dlatego, że mają francuskich doradców. *Vous savez, les Américains se laissent conseiller.* Anglicy nie chcieli nas nigdy słuchać. I dlatego nigdy nie idą naprzód». To ich może zgubić. Ten Francuz przypomniał mi Sieburga «*Dieu, est-il Français?*». Natomiast inny, nauczyciel naszej szkoły rzemieślniczej, przysiadł się dziś do mnie w czasie obiadu i też «w zaufaniu», prawie szeptem, stwierdził że V-1 jest tylko początkiem. Niemcy mają przygotowane inne niespodzianki. «Zobaczy pan — powiada — V-5. To jest wynalazek francuski (otóż to ich zgubi),

który Niemcy tylko udoskonalili» (Niemcy nigdy nic sami nie wynajdują — oni tylko udoskonalają francuskie wynalazki). Nie chciał mi powiedzieć, co to jest, ale w końcu wyszeptał: «To są bomby, które w promieniu trzystu metrów obniżają temperaturę powietrza do minus trzystu stopni, a w promieniu 30 km. do minus trzydziestu».

Spojrzałem na niego i powiedziałem mu, że żał mi jego wychowanków. Na moją uwagę, że uważam to za zupełny idiotyzm, gdyż po pierwsze temperatura zera absolutnego wynosi minus 273 stopnie, a praktycznie można się do niej zbliżyć (minus 272 stopnie) tylko przez skroplenie helium, którego Niemcy nie mają — może pan wie lepiej, ja nie jestem profesorem szkoły rzemieślniczej — i po drugie, wybuch bomb ze skroplonym powietrzem mógłby obniżyć temperaturę tylko na bardzo małej przestrzeni, mój «wielki wtajemniczony» odparł: «Cała rewolta generałów była spowodowana tym, że chcieli oni już użyć tych straszliwych wynalazków podczas gdy Hitler nie zgodził się. Nie chciał uciec się do tak okrutnego prowadzenia wojny».

Cichutkim szeptem zapytałem go, ile mu płacą za opowiadanie TAKICH rzeczy i poprosiłem o adres biura, w którym płacą. Ja też chcę zarobić.

Należy do często napotykanego obecnie sadysty moralnego. Ludzie tego rodzaju wyżywają się wprawiając innych w zdenerwowanie, siejąc strach i beznadziejność. Czują się silni w swojej okrutnej głupocie widząc naokoło słabnących. Nauczyłem się niczego nie wykluczać i nie wykluczam istnienia rzeczy znacznie gorszych od tych bombodówek. Możliwości techniczne niszczenia są nieograniczone. Ale ludzi tego rodzaju, co ten «wtajemniczony», zamrażałbym bez litości.

Amerycanie odcinają Bretanię. Zajęli Rennes, przełamali front. W Warszawie straszliwe walki. Armia Podziemna opanowała Mokotów, Filtry, kolonię Lubeckiego i Aleję Wojska Polskiego na Żoliborzu.

4. 8. 44.

Jestem namiętym czytelnikiem napisów w paryskich «pissoirach». Ta wymiana myśli między ludźmi nieznanymi i nie znającymi się, ta anonimowa korespondencja na

cynowych ściankach, umieszczona trochę wyżej ponad punktem, w którym się ją skrapia, jest nieraz wspaniała. Francuska gadatliwość i *émotivité* nie przepuszcza żadnej sposobności wypowiedzenia się.

Dziś widziałem całą dyskusję. Pierwszy napis: «Bravo Sowiety — Z.S.S.R. zwycięży». Pod tym uwaga czerwonym ołówkiem: «Głupcze — nie długo będziesz musiał bić się przeciwko nim». A jeszcze pod tym krótka konkluzja, imponująca swoim spokojem. To jakiś «normalien». «To nie jest pewne» (*C'est pas sûre*).

Na rue de Vaugirard był napis: «*Stalingrad — sic transit gloria mundi Germanorum*». Jakiś uczony, wyższa kategoria z wykształceniem klasycznym. Ale naraził się ludowi, bo pod tym pełno dopisków w rodzaju: «*Merde — pisz po francusku, jak chcesz żeby cię rozumieli*» — *T'es Chinois, toi? — On est chocolat avec ton latin*» (to jakiś z południa) etc. Wobec tego dopisałem na końcu: *Vox populi — vox Dei*.

W Warszawie barykady, poczta, drapacz chmur, gazownia, elektrownia i szereg dzielnic w rękach Polaków. Mówią, że Niemcy pędzą na barykady ludność, chowając się poza nią. Chce się przestać myśleć. Mikołajczyk rozmawiał przez dwie i pół godziny ze Stalinem. Wygląda na to, że Londyn dał rozkaz do powstania, aby mieć tak zwany atut w ręce. Ładny atut... Boję się wymówić słowo «bezsens», ale samo podsuwa mi się na każdym kroku, gdy o tym myślę. Tym bardziej, że od czterech dni Rosjanie nie posunęli się ani o metr. Drugie słowo, którego się boję, a które też ciągle brzęczy w głowie, to «prowokacja».

5. 8. 44.

Pod wieczór nad stawem w Lasku Vincennes. Pusto. Czytam na głos «*La terre des hommes*» Saint-Exupéry. Świetne.

W Warszawie dzieją się potworności. Rosjanom to tylko na rękę i dlatego wcale się nie spieszą z wzięciem jej... Amerykanie odetną lada godzina Bretanię, dochodząc do Loary. Z drugiej strony dochodzą już do Brestu i do Lorient. Rosjanie wzięli Stryj i są o 50 km. od Krakowa.

6. 8. 44.

Goncourtowie piszą wszędzie, że Francję zabija blaga. Mają rację. Nas wszystkich zabija blaga i mity.

Koło 8-ej jedziemy do W. Prości ludzie, ale mili. Kilka miesięcy temu znalazłem mu pracę, a raczej poleciłem tym polskim szewcom-oficerom (Aj, oficerom-szewcom). Zaczął tam pracować przy wyrobie modnych bucików damskich i dziś doskonale zarabia, bo wyrabia takie buciki także u siebie w domu. Przyjmują nas wspaniałą kolacją. To zupełnie niesamowite ile pieniędzy potrafią wydawać (gdy mają na to) prości ludzie na jedzenie. Mięso, kartofle, w ogóle wszystko ocieka tłuszczem, tym drogim tłuszczem. (masło 700-800 fr. kg., słonina 400-450 fr. kg.). W. przyznaje mi się, że prawie cały swój zarobek wydaje na jedzenie.

Po wyjściu od nich przychodzi mi na myśl, że cała zawiść proletariatu ogniskuje się nie tyle na tym, co posiada «inteligencja», lecz na tym, czym się ona o d z n a c z a. Oni wiedzą, a raczej przeczuwają, że tego o c c o i m chodzi n a p r a w d ę, nie potrafią osiągnąć od razu, w jednym pokoleniu, nawet gdyby mieli dosyć pieniędzy. Nie zazdrości się pieniędzy, lecz przede wszystkim u m i e j ę t n o ś c i wydawania tych pieniędzy. Te proste kobiety, teraz wzbogacone, mają więcej od nas i wydają sumy na stroje. Ale ciągle zazdroszczą, ciągle są z tamtej strony barykady, bo nie potrafią d o b r a ć i nie potrafią w y g l ą d a ć tak, jak skromnie i tanio ubrana kobieta z «i n t e l i g e n c j i». Chcą złapać nieuchwytnie i — nienawidzą.

Cały nacisk rosyjski na Warszawę osłabł i komunikat generała Bora w Warszawie jest gorzki, pomimo że większa część miasta jest w naszych rękach. Mikołajczyk, Romer i Grabski spotkali się w Moskwie z przedstawicielami «polskiego» Komitetu Niewolenia Narodowego. Ano wielka dyplomacja.

7. 8. 44.

Warszawa zamieniła się w piekło. Walczy właściwie cała ludność. A Rosjanie przyglądają się. Jak Niemcy wy-

rzną Polaków, to Rosjanie zajmą Warszawę. Będzie to zawsze o kilkadziesiąt tysięcy najlepszych obywateli mniej, czyli o kilkadziesiąt tysięcy przeciwników komunizmu i sowieckiej Polski mniej. To już jest całkiem jasne. Kto wie, czy pokolenie polskie, które śpiewało «Kto mi powie, że Moskale są to bracia nas Lechitów, temu pierwszy w łeb wypalę pod kościołem Karmelitów» nie miało racji... Nie umiem powtarzać w kółko «jakoś to będzie» i nigdy nie potrafię uważać Moskali za braci nas, Lechitów. I co nam się wydaje? Otworzyć jakikolwiek komunikat i wszędzie tendencja do przemilczania Warszawy, kłopot. A tam w Warszawie, ci biedni chłopcy i te dziewczęta na pewno myślą, że cały świat spogląda na nich i wydaje im się, że umierają na oczach świata. Polska, to nie tylko problem dla Polaka, to problem dla świata, który ma ci wszystkim spokojny sen.

Bądźmy szczerzy, ale tak naprawdę: emigracja, to nie ucieczka DLA Polski, to ucieczka OD Polski, od grobów, od nieszczęść, od ciągłych próżnych wysiłków. Ucieczka od ciągłego kłopotu, od ciągłej pracy bez wynagrodzenia, od entuzjastycznej śmierci. Można chować się za wiele pozorów, na dnie pozostaje zwyczajne i bardzo ludzkie uczucie prawa do szczęścia. Nie można zaznać go tam, szuka się go gdzie indziej. Oczywiście gdy nie ma się skłonności do samoudręczania się i do nadawania temu także szczytnych pozorów. Ale to zrozumiałe — samo, gołe czyste nieszczęście jest nie do zniesienia i zawsze będzie wymagało bukietu kwiatów takiego lub innego. To dlatego, że K. powiedział mi dziś z gorzkim uśmiechem: «Z emigracji nie wraca się». I pewnie nie wróć.

8. 8. 44.

Rano w Ministerstwie Pracy. Rozmowa z C. Przypominamy sobie ten stary film według powieści Wellsa, w którym po jakiejś olbrzymiej wojnie, toczy się dalej wojna. Biją się między sobą kacykowie, przywódcy band, właściciele własnych wojsk. Idziemy ku temu. Ponura rozmowa, ale orzeźwiająca. Wydaje mi się, że «oświecony pesymizm» jest wzmacniającym eliksirem w czasach «oświeconego analfabetyzmu». W każdej rozmowie z tym czło-

wiekem odczuwam coś w rodzaju melodii, która snuje się wśród słów. Mówiliśmy o samotności, o Leonardzie da Vinci. I przez cały czas miałem w oczach dawno widziany obraz.

Jechałem wtedy brzegiem Sarthe i wstąpiłem do Opactwa w Solesmes. Był słoneczny, wrześnieowy ranek. Wszedłem do kościoła i stanąłem przy uchylonych drzwiach, wiodących do zakrystii. Światło słoneczne wpadało jasnymi smugami przez jaśniejsze szybki witraży i przecinało łagodnymi pasmami półmrok rozległej i sklepionej komnaty. Pod ścianami czerniły się wielkie, mahoniowe szafy i ziały całkowitą czernią pootwieranych wnętrz. Na środku, na długim stole przykrytym ciemno zielonym suknem, lśniły złote kielichy wysadzone kamieniami, kryształowe dzbanuszki i kilka rozłożonych ornatów. Dwaj zakonnicy, chodząc wolno i cicho, to błyskali, to nikli, nadając przy tym smugom słońca różne kierunki, rozpraszając je lub przecinając. Światło przeskakiwało, gasło, zapalało się, grając na rozłożonych na stole przedmiotach jakąś przepiękną etiudę. Zdawało mi się, że słyszę światło. Stałem zapatrzony i zasłuchany. I jednocześnie przepefniony tęsknotą, której ogromu nie potrafiłbym nigdy wyrazić. Dziś — rozmawiając z C. poczułem, że wtedy była to przede wszystkim tęsknota za równowagą. To w takich chwilach ludzie często nawracają się, dochodzą do wiary. A może była to tęsknota za tęsknotą. Bo czy tęskni się dziś za czymkolwiek naprawdę? Serce ludzkie zamienia się w silnik, zwyczajny silnik, obliczony na tyle i tyle godzin pracy dla świata bez serca, dla świata silników stalowych, dla człowieka produkcji i konsumpcji. «Oczywiście — powiada C. — porównanie przesadne, ale czy jeżeli pójdziemy dalej po tej drodze, to czy pan, ja i nam podobni nie zaczną się czuć, nie będą się czuli jak Leonardo w swojej epoce? My nie tkwimy w tyle, jak się chce nam to wmówić i do tego KTO chce nam to wmówić — nieprawda — my wyprzedzamy już czas, nie nadając się do atmosfery tej epoki, lecz tamtej, która — jeżeli człowiek nie zamieni się w owada — musi nadejść. Głupota jest zawsze najoporniejsza, ale nie jest wieczna». I przy pożegnaniu jeszcze parę zdań z uśmiechem: «Dziwne — dopiero dziś zaczynam rozumieć znaczenie klasztorów w średniowieczu. Spotykali się tam ludzie, by uciec od otaczającej ich nocy,

by odizolować się od ciemnoty i rozmawiać ze sobą tak, jak my teraz — nie ryzykując spalenia na stosie».

Męczę się, bo nie potrafię być efektowny nawet z samym sobą. Gdy piszę, myślę równocześnie: «A więc idź i kup bukietik fiołków, wsadź duszę w jakiś piękny cytat i wystrzel się z czasu, Wertherze epoki lodówkowej». I nie potrafię.

A poza tym «biegną dni zwyczajne, jak podwórzowe zwierzęta» (Kuncewiczowa). Paryż czeka na dni nadzwyczajne, jak zwierzęta z Zoo. Amerykanie zajęli Le Mans i biją się w Angers. A w Warszawie Niemcy mordują Polaków, Armia Podziemna robi co może, Rosjanie przypatrują się i — zacierają ręczki.

9. 8. 44.

Wcale nie jest tak trudno opisać rzeczy dostrzeżone. O wiele trudniej jest dostrzeżać. Prawdziwy pisarz to nie ten, który dobrze pisze — to ten, który najwięcej dostrzeża.

10. 8. 44.

Pogoda zupełnie niebywała. Lazurowe wybrzeże, a nie Paryż. Nad całym miastem granatowe niebo bez chmurki. Ciemny szafir w środku, jaśniejszy na horyzoncie i przechodzący z jasnego błękitu w biały opal. W południe alarm. Dudnią ciężkie maszyny i pada zaledwie kilkanaście strzałów. Jeżeli w tej chwili broni Paryża jedna bateria rozstawiona na czterech rogach miasta, to dużo.

Po południu wiadomość, że kolejarze zastrajkowali. Métro staje w sobotę o 13.30 i będzie nieczynne do poniedziałku do 13.30. Oczywiście nikt nie pójdzie do pracy. W Paryżu zaczyna się wyczekiwanie. Już są w Chartres. Miasto huczy od plotek. Amerykanie rzeczywiście zrobili śliczny manewr pancerny. Zdolny ten Patton. Niemcy ciągle kontratakują w Normandii. Właściwie trudno zrozumieć, jaki jest ich plan.

W Warszawie sytuacja krytyczna. Kwapiński oświadczył w Londynie, że pomoc jest w drodze (????) i że będzie skuteczna (????). Prosi Polaków o zimną krew i daje do zrozumienia, że w kołach polskich w Anglii panuje oburzenie i rozgoryczenie. Zupełnie zrozumiałe. Zła wola Rosji jest zupełnie widoczna. Ale jak można było liczyć na dobrą? Mikołajczyk, odbywszy drugą rozmowę ze Stalinem, wyjechał dziś z Moskwy. Oświadczył, że na cały problem zapatruje się optymistycznie (o Boże...), ale że w całym szeregu punktów nie doszli ze Stalinem do porozumienia. W sumie nici. A tam Warszawa... Raczkiewicz wyznaczył Arciszewskiego jako swojego następcę.

Na kolację przyszedł Tadzik i Lola. Rozmowa oczywiście o Warszawie. Gorycz i tylko gorycz. To zaciemnia i odbiera chęć cieszenia się, że tu już może za kilka dni skończy się okupacja. Wychodzimy wieczorem nad Sekwanę. Słońce zaszło i zapada mrok. Na tle różowego i przechodzącego w gołąbkowy kolor nieba, rysują się czarne wieże Notre-Dame. W dali, jak mgła, snuje się po niebie wieża Eiffla. Od wody ciągnie przyjemny chłód. A ulicą przejeżdża ze szczękiem, opatulony gałęziami, stalowy mamut. Niemiecki «Tiger» toczy się gdzieś samotny i ginie w mroku. Tylko z potężnych rur wydechowych buchają sine płomienie i sypią się iskry.

11. 8. 44.

Oczekiwanie narasta w powietrzu. Po południu mówią, że wysunięte patrole amerykańskie dochodzą do Trappes. Przy hotelach niemieckich stoją ciężarówki wypchane walizkami, pudłami, gratami. Upał. Na odcinku Falaise weszła do akcji polska dywizja pancerna pod dowództwem generała Maczka. O co my się teraz bijemy? Szkoda życia każdego żołnierza. Niemcy piszą, że na wileńszczyźnie Rosjanie rozbroili naszą Armię Krajową i poaresztowali oficerów. Byłoby to logiczne i nie widzę powodu nie wierzyć temu. Stalin miał żądać od Mikołajczyka, aby Polska wypowiedziała układ o wzajemnej pomocy z Anglią. To nie wydaje mi się prawdopodobne, bo co może Stalina obchodzić nasz układ z Anglią? To, co doprowadza mnie do szału, to mówienie o Rosji, jakby to

był zupełnie normalny kraj, partner Anglii i Ameryki itd. Naprawdę ciemnota, naprawdę zupełnie średniowiecze. Jest to taki sam totalizm, jak każdy inny, ale nie wolno o tym mówić. Odwracając sławne powiedzenie Ulricha von Hutten ma się ochotę ciągle mówić: «Umysły zasnęły, tak źle jest żyć». I totalizm sowiecki jest w sumie straszniejszy od hitlerowskiego, bo przeżera także duszę, wgryza się głębiej, atakuje całego człowieka. Ale nikt nie chce WIDZIEĆ.

Niemcy zaczynają zabierać rowery. Żandarmeria «urzędowała» dziś na Porte d'Orléans i w Nanterre. Stare, nowe — wszystko szło na ciężarówki dla «zroweryzowanych» dywizji Wielkich Niemiec.

12. 8. 44.

Alarm. Siedzę w «moim» ogródku w Bagneux. Po granatowym niebie wiją się pasma dymu. Dwie srebrzyste formacje pterodaktyli zniosły daleko swoje jajka i słychać teraz postękiwanie goniącej jej artylerii. A w schronach w ogródku siedzą dzieci ze szkoły obok i mają lekcję śpiewu. Nauczyciel stoi przy wejściu i uczy chłopców śpiewać «Tipperary». Dziecięce głosiki piszczą: «It is a long long way to Tipperary — it is a long long way to go...» Oj, tak — długa droga przed wami, moje dzieci. A potem śpiewają Marsylianekę. Na targu w Fontenay sprzedawali już dziś małe chorągiewki — tymczasem francuskie — po 82 fr. Od samego rana słychać już armaty. Głos jest odległy, ledwo uchwytny. Dochodzi od strony Wersalu.

Po południu siedzimy w domu. Cisza. Na podwórku specjalnie zamówiony przez naszych patronów malarz, odmalowuje rzeźbę przed hotelem. Będzie jak nowa — *couleur de bronze*. Gdy zapytałem patronkę, co skłoniło ich do tak zbytkownych wydatków, uśmiechnęła się tajemniczo.

Wieczorne wiadomości skąpe. Armia Czerwona straciła cały rozpad. Po warszawskiej rzezi odzyska go znowu. W Warszawie nadal walki — imponujące i tragiczne. Bombardują Riwierę włoską i francuską. Będą pewnie lądować na południu. Amerykanie zapowiedzieli, że przed upływem dwóch dni nie będą podawać żadnych wiadomości o ruchach wojsk, żeby nie pomagać Niemcom.

13. 8. 44.

Pogoda, słońce, upał z porywami łagodnego wiatru. Upalna cisza i tylko z daleka słychać głuchoe wybuchy, przeplatane odległym brzękiem samolotów. Od czasu do czasu przelatują Niemcy tuż nad dachami. Podobno Niemcy zaczęli aresztować paryską policję i dziś rano zabierali rowery na Place Bastille. Po południu jesteśmy zaproszeni na podwieczorek do Szymonów K. i jedziemy. Jak zabiorą, to zabiorą — mam ładniejsze w piwnicy. Koło czwartej wyjechaliśmy. Miasto przedstawia dziwny widok. Puste. Trochę ludzi wlecze się ulicami, kilka rowerów. Wszędzie i we wszystkie strony pędzą ciężarówki niemieckie. Czasem przewala się wspaniała «Tiger», drażąc miękki asfalt stalowymi gaśnicami. To ładne czołgi.

W pustym, rozpalonym upałem mieście bezustanny ryk motorów. Nastrój jest trochę niesamowity. U K. potworny atak wymiotów. Musiało nam coś zaszkodzić i powtarza się to w drodze powrotnej do domu. Nad Sekwaną Basia tak słabnie, że przenoszę ją na rękach na drugą stronę ulicy i układam na ławce. Upalna, sierpniowa noc, jak na południu. W domu kładziemy się obydwójce zupełnie stratowani tymi atakami. W pokoju nie ma czym oddychać. Kottłownia.

Warszawa walczy. Nadają wyjątki z przemówienia Arciszewskiego do kraju. Dużo im to pomoże. Dlaczego skazuje się tych młodych na tyle bohaterstwa, o którym nikt nie będzie chciał wiedzieć? Rosja, jak zawsze, nie chce tej Polski i takiej Polski, jaką ona sama chciała by być. I Niemcy i Rosjanie unicestwiają TO SAMO, są zgodni w unicestwieniu TEGO SAMEGO. Niemcy na pożegnanie, Rosjanie na powitanie. Od początku używam jak najczęściej słowa «Rosja» i «Rosjanie», bo tu nie chodzi o żaden komunizm, o zmianę ustroju. To są dobudówki — istota to Rosja, odwieczna Rosja, która nie zna i nie rozumie pojęcia «wolność» do tego stopnia, że jej nie potrzebuje. Tylko Rosja była zdolna do stworzenia z marksizmu, z kiedyś częściowo słusznych teorii Marksa i pomocników, takiej karykatury, takiego «czworoboku głupoty», wobec którego człowiek staje zupełnie bezsilny. I może właśnie ta bezsilność łamie dziś najświatlejsze umysły i każe im pchać się w ciemność. Wobec tej nocy, która zapada, średnio-

wieczu wydaje mi się okresem odrodzenia. Stoją tuż, po drugiej stronie Wisły i przyglądają się jak tam tysiące młodych, w najszlachetniejszym porywie, walczy kamieniami przeciwko najbardziej nowoczesnej armii. Jest w tym cynizm, który przekracza wprost zdolność reakcji, zamieniając się w coś abstrakcyjnego w swojej doskonałości. Do wielu rzeczy, których nie możemy im przebaczyć, dodają to, czego nie będzie wolno im nigdy przebaczyć. Nienawidziłem ich zawsze, od małego dziecka, dziś nienawidzę ich tak samo «czysto» jak «czystym» jest ich cynizm. Nie wolno nienawidzić, ale może są czasem takie nienawiści, tak usprawiedliwione, że zrezygnowanie z nich było by zrezygnowaniem z siebie samego.

14. 8. 44.

Rano w mieście. Na ulicach większy ruch, niż wczoraj. Słońce i ciemny błękit nieba. W ogródkach i na ławkach przy Bulwarach siedzą Bouvardy i Pécuchety i radzą tajemniczo. Gdzie są Amerykanie? Po ulicach jeżdżą rozebrani Niemcy i rozebrane Paryżanki. Wystawa męskich torsów i kobiecych ud, starannie wymalowanych na kolor opalony. Ulica przypomina finał w «Folies Bergères». W małych uliczkach jest cicho i tylko z daleka dobiega wycie motorów i szcęk pędzących czołgów.

Właśnie w tym słońcu, w nagłych porywach chłodnego wiatru, przepowiadającego pogodę, to wszystko wydaje się zupełnym absurdem. Jak można umierać w takim słońcu? Myślę o tych chłopcach i dziewczętach w Warszawie, o tych wspaniałych chłopcach, którzy chcą albo po prostu muszą umierać w słońcu. Dlaczego los skazuje nas zawsze na tyle bohaterstwa? We wszystkich komunikatach radiowych o Warszawie wyczuwa się skrępowanie. Za wiele bohaterstwa. Jesteśmy znowu sami razem z tym czymś, co tylko my potrafimy pojąć i zrozumieć. Byle kto lub byle co żąda od nas ofiary życia i — otrzymuje ją, założyć nam rurociąg na krew i — dostarczamy jej strumieniami byle gdzie i byle dla kogo, powiedzieć «śmierć» i krzyżując «życie» jesteśmy wszyscy zgodni.

Od rana nic nie jadłem i znowu rzygam. Czystą żółcią. I żal mi tylko, że nie mam jej dosyć, żeby zarzygać całą

Luw, cały świat. To może z tych myśli. Siedzę na schodkach tego Luwru i staram się tak myśleć, żeby nie myśleć. Miotam się pomiędzy patosem i cynizmem całego mojego pokolenia, życząc przyszłemu więcej cynizmu, a mniej patosu. W tym świecie cyników dalej nim zajądą, niż my. Nasza droga skończona. Więc pamiętajcie dzieci: pielęgnujcie cyniczną nienawiść, cichą, skrytą, zimną bez patosu. W tym świecie Volponów bądźcie Supervolponami. Cynizm lub patos, gdy rzeczywistość przekracza miarę i wkracza w dziedzinę absurdu. Linia myślenia — cóż to jest? Ta linia załamuje się pod wpływem jednego skurczu serca. Można wyuczyć się siebie, jak tabliczki mnożenia — i nagle o wszystkim zapomnieć. Znowu mnie nudzi, znowu będzie mną szarpać i będę rzygał poza kolumną, ale ze śmiechem i z nadzieją, że może uda mi się wyrzygać siebie samego. Albo to coś, co powoduje, że łkam głośno w słońcu, pisząc te głupie, niepotrzebne zdania. Wielka Improwizacja, spowiedź dziecięca skurwywieku. Dzieci — nie wiercie w NIC, absolutnie w NIC. To bardzo trudne, ale to zdrowsze. Całą żarliwość zachowajcie dla kobiety i dla Boga, jeżeli jej potrzebujecie.

Jakaś pani przyszła z małym pieskiem i usiadła obok mnie. Chodujcie pieski zamiast ideologii, to zdrowsze. Od Tuilleries nadleciała chmurka wróbli. Ryk motorów.

Wieczorem. Generał Bór rzuca z Warszawy rozpaczliwe wołania o pomoc. Nie można myśleć. O jedną Polskę za dużo w tej wojnie. Nas nie słyszą. Apel Sikorskiej do kobiet całego świata jest wołaniem na puszczy. Mikołajczyk spotkał się z Edenem, a «Times» twierdzi, że są wszystkie szanse porozumienia, bo «polski Komitet w Moskwie NIE OKAZAŁ SIĘ CAŁKOWICIE NIEUGIĘTY». Na czyj rozkaz i po co Warszawa zerwała się do walki? Największe bohaterstwo, gdy jest bezcelowe, budzi gorzkie politowanie i nic więcej. Mówi się o nim, jak o bohaterstwie szaleńca, który rzuca się pod pociąg, by go zatrzymać. Dla Rosji znaleziono już wytłumaczenie. Opowiada się wiele o przestawianiu osi wagonów na tory europejskie. Potem będą poszerzać tory, aby azjatyckie chamstwo mogło wjechać do Europy szeroko i wygodnie.

Rozkaz Eisenhowera do wszystkich sił inwazyjnych jest pełen tajemniczej powagi. Czuć trupem. Amerykanie

zachowują radiowe milczenie i nie wiadomo, gdzie są. Jednego nie rozumiem: 9-go sierpnia patrząc na mapę, czułem o co chodzi Amerykanom, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Niemcy tkwią ciągle w Normandii od Domfront poprzez Mortain, Vire, Thury-Harcourt aż do Caen. Po co silą się na przeciwwuderzenia, zamiast cofać się na Sekwanę, gdy był jeszcze czas. Może jeszcze uda im się wymknąć, bo oni są majstrami, ale pierze polecą. Amerykański manewr jest wprost klasyczny, wspaniały.

15. 8. 44.

Strajk policji, métro nieczynne. Idę do Loli. Mąż patronki hotelu Loli jest policjantem i okazuje się, że policja istotnie zniknęła z ulic Paryża. On też nie poszedł do służby i na noc wybiera się spać gdzie indziej. Pożyczają mi dzisiejszy «Petit Parisien» z obwieszczeniem komendanta Paryża, von Schotitz'a, do ludności miasta. Ostrzega przed manifestacjami: «Nie zawaham się przed zastosowaniem środków represji najbardziej brutalnych...» I tak grzecznie. Słucham komunikatu: wojska Aliantów wylądowały na południu pomiędzy Niceą i Marsylią. To już naprawdę inwazja w wielkim stylu. Nie rozumiem Niemców. Robią głupstwo za głupstwem. Wydaje się, że obrona linii Sekwany jest już niemożliwa. Bardzo być może, że Paryż wyjdzie dzięki temu cało. Niemcy dopiero teraz zaczęli wycofywać się i wygląda na to, że Amerykanie uniemożliwią im wycofanie się na Paryż, spychając na zachód. Odezwa De Gaulle'a, aby Francuzi rozpoczęli strajk powszechny i podejmowali pracę dopiero po wejściu Aliantów. Przy Porte d'Orléans ludzie wysiadują całymi grupami do 11-ej w nocy (godzina policyjna) wyczekując na Amerykanów. *Douce France*. W Warszawie bez zmian. Umierają w słońcu.

16. 8. 44.

Jak strajk, to strajk — siedzę w domu. Dopiero koło 11-ej telefonuję do biura. Okazuje się, że K. przyszedł na piechotę. Z Passy do Châtillon. W takim razie i mnie nie

wypada siedzieć w domu, więc siadam na rower i jadę. W mieście ruch, przed piekarniami znowu ogonki. Od razu po pracy odwożę Szymonom K. cukier, który udało mi się dla nich dostać w naszej spółdzielni. W mieście piekło. Pochmurny, duszny upał. Na Alésia kierują ruchem Niemcy. A po ulicach toczy się wezbrana rzeka ciężarówek, rowerów i pieszych. Jazda na rowerze staje się w tym cyrkową sztuką. Na Bd. Raspail przed wszystkimi hotelami niemieckimi ciężarówkami. Pakują się na gwałt, gorączkowo, zabierając hotelową pościel, materace i meble. Stałem obok jakiejś ciężarówki wypełnionej nocnymi stolikami (??) i patrzyłem. Nie mogłem się napatrzeć. Biegali w koszulach spoceni, zziązani i ładowali — nocne stoliki. Po cholere im nocne stoliki? I ciągle mówiłem sam do siebie cichym szeptem: «oni uciekają». Miałem serce w gardle. W mieście ani jednego policjanta francuskiego i ruch zawrotny. Tłumy ludzi chodzących całym kilometrami na piechotę. Koło Opery zupełny zamęt. Ruch, jakiego nie pamiętam nawet przed wojną. Chcąc przejechać przez Bd. des Italiens zsiadam w końcu z roweru i przebiegam go na piechotę. Odpoczywam u K. Napięcie uwagi przy przejechaniu ośmiu kilometrów miastem wyczerpało mnie. Z rue Lafayette dolatuje bezustanny warkot motorów. Ciężarówka za ciężarówką, pełne walizek, pakunków, tobołów. Wyjeżdżają. Ale jednocześnie K. mówi mi, że mają nadzieję wrócić. Wszędzie tam, gdzie odnajeli lokale i zapłacili do 1-go stycznia 1945 roku, wyprowadzają się z prośbą o dalsze zarezerwowanie im apartamentów po 1-ym stycznia. Nie są jeszcze pobici. Ale pomimo wszystko nie mam uczucia KONCA. Rozmawiamy z K. Stosunek Moskwy do Polski jest zupełnie jasny. Warszawa jest najlepszą próbą — ta walcząca Warszawa, otrzymująca pomoc — z Anglii. Bo to bliżej...

W Paryżu wchodzi od jutra w życie tak zwany plan «D». Rzeczywiście De... Zupełne wstrzymanie gazu, elektryczność od 22,30 do 24-ej, całkowite zatrzymanie metra oraz zapisy na przydział potraw gotowanych lub surowych. Niemcy wysadzają wokoło Paryża obiekty wojskowe.

Rano odwożę cukier Tadzikowi P. Potem jadę do Ministerstwa Pracy przedłużyć Loli kartę pracy. Tadzik dał mi bony na dwa litry spirytusu do palenia i oprócz tego mamy trochę węgla drzewnego. Muszę tylko znaleźć piecyk. Wszystkie piecyki, których jeszcze przedwczoraj było pełno w całym mieście, znikły. Nie wiem co, co robić. I nagle na rue de Vaugirard zauważam przed sobą rowerzystę z wielkim workiem na przednim bagażniku, w którym podzwaniają jakieś blaszane przedmioty. Podjeżdżam do niego i zaczynam rozmowę. Pytam się go, czy w tym worku nie wiezie piecyków na węgiel drzewny. Mówi mi, że tak. Zaczynam się śmiać i tamten nie rozumie. A ja śmieję się, bo w tym życiu wyrabia się w człowieku jakiś dodatkowy zmysł. Żeby w huk ulicznym, w tym oszalałym ruchu posłyszeć chrzęst przedmiotów z blachy, skojarzyć to z piecykami, których się szuka, skoczyć w pogoń i nie pomylić się, to rzeczywiście jakiś zwierzęcy instynkt. Bo ja od pierwszej chwili byłem pewny, że on m u s i mieć w tym worku piecyki. Odwozi te piecyki do jakiegoś sklepu w Issy-les-Moulineaux. Jadę razem z nim. Na Porte de Versailles mijają nas kilka samochodów osobowych z czerwonym krzyżem i z rannymi oficerami wewnątrz. Zachlapane krwią twarze, zamknięte oczy, zielone szare kukły rzucone w kąty tylnego siedzenia.

W Issy-les-Moulineaux wchodzę razem z rowerzystą do sklepu OD TYŁU i pomimo, że na piecyki jest już zapisanych 50 osób, wytargowuję jeden dla mnie. I od razu obok, w jakiejś małej księgarni, dostaję «Dziennik Gen. Gourgaud». Jeden z najciekawszych dokumentów ze Św. Heleny o ostatnich latach Napoleona. I podobno jeden z najprawdziwszych.

Po południu pogłoski, że Chartres, Dreux i Orléans zajęte już przez Amerykanów, że Amerykanie są już o 50 km. od Paryża i że Paryż zostanie uznany za miasto otwarte. Niemcy mają opuścić Paryż w przeciągu trzydziestu sześciu godzin. Po pracy jadę do Dr. K. na Passy. Niemcy wyprowadzają się zewsząd na łeb na szyję. Na avenue Mozart ładują całe urzędnia garaży. Pędzą motocykle. Zgiełk i zamęt. Przejeżdżam cały Paryż. Na Trocadéro stoją grupki ludzi i patrzą na odległe pożary. Nie-

mieckie samochody pędzą na wszystkie strony. Pod drzewami na Cours Albert I-er stoją czołgi i samochody. Żołnierze są brudni, nieogoleni, obszarpani. Jakiś oficer biega w koszuli i w czapce, drze się i wyklina. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Ludzie położyli się w kurzu alei i śpią. Inni siedzą oparci o drzewa i patrzą bezmyślnie przed siebie. Chwilami trudno mi w to uwierzyć. Nad Sekwaną stoją lekkie czołgi. Żołnierze powyłazili z nich usmoleni od stóp do głów i siedzą lub drzemią wsparci o maszyny. Tłumy ludzi przyglądają się im w milczeniu. A w dole, nad wodą Côte d'Azur. Paryski tłumek kąpie się w Sekwanie w środku miasta korzystając z nieobecności policji. Słychać piski dziewcząt, nawoływania, śmiechy. I jak zwykle las wędek i tłumy rybaków. Widok jest jedyny, wprost sielankowy. Wśród wojskowych wozów pojawiają się teraz samochody prywatne. Ludzie obrzucają je nienawistnymi spojrzzeniami i mówią: *Les collaborateurs s'en vont.*

Na rogach ulic grupy ludzi czekają na cywilne ciężarówki, które podwiozłyby ich bliżej domu. Na wszystkich ulicach jest «auto-stop». Koło Bastylii stoją na rogach ulic rowerzyści i krzyczą, żeby nie jechać przez plac, bo «les Boches» zabierają rowery. Fala rowerów łamie się i spływa bokami.

Patronka mojego hotelu zwierza mi się z wielkiego kłopotu. Zamówiła w «Galleries Lafayette» sztandary i chorągiewki, ale metra nie ma i nie może pojechać. Rzeźba przed hotelem już odmalowana na *couleur de bronze* czeka na przybranie jej kolorami sprzymierzonych. Uprosiłem ich, żeby sowieckich nie dawali i zgodzili się. Goła Pomona zostanie przepasana trójkolorową szarfą i dostanie w dłoń trzy chorągiewki. Jak «girl» z Folies Bergères w finale. W całej dzielnicy pracują zajadle «tenturierki» farbując płachty na sztandary. Ludzie znoszą nawet prześcieradła do farbowania. Mężczyźni siedzą w bistrach i radzą. Niemcy mają wysadzać w Vincennes jakieś składy i wszyscy ostrzegają się nawzajem z błyskami odwagi i zuchwałości w oczach: «No, nie trzeba się bać...» To wszystko ma cechy jakiejś dobrze wyreżyserowanej farsy z «happy end'em». Nie przychodzi im w ogóle na myśl, że mogłoby być inaczej. Boże — jakże beczelnie idzie im karta w tej grze. Od samego początku.

18. 8. 44.

Nie idę do pracy i siedzę w domu. Od samego rana słyhać wybuchy. Niemcy wysadzają wokoło. Potem brzęczenie samolotów i trzy serie bomb niedaleko od nas. W każdym razie drzwi skaczą w zawiasach. Koło południa wychodzimy na targ. Pogoda znowu wspaniała. Na targu słoneczny nastrój. Basia pyta się o jakiś materiał na podszewkę. 150 franków za metr i bez «punktów» tekstylnych. Cały kram sprzedaje wszystko bez punktów. Obiad gotujemy na węglu drzewnym. Godzina policyjna zaczyna się dziś o 9-ej wieczorem. Mieszkający w naszym hotelu młodzieniec, członek Organizacji Oporu (*Résistance*) przynosi Basi trójkolorowe opaski z prośbą o wymalowanie na nich krzyża lotaryńskiego (znak gaullistowski) z napisem «12^e Arr.». Są to opaski dla Komisarzy Republiki naszego okręgu. Koło 7-ej idziemy się przejść. We wszystkich bistrach pełno ludzi. Tłumek pije piwo i patrzy się, jak Niemcy wyjeżdżają. A Niemcy jadą bez przerwy. Skończył się sen o Europie.

Wieczne komunikaty obfite. Bitwa w Normandii została przez Niemców przegrana i Niemcy cofają się na dolną Sekwanę bez widocznej ochoty do obrony. Amerykanie są na przedpolach Paryża, R.A.F. i Południowi Afrykańczycy starają się dowieźć do Warszawy trochę broni i amunicji. Z Anglii... bo Rosjanom to za daleko... Stracili już dwadzieścia bombowców w tych wyprawach nad Warszawę. Brak siły do myślenia o tym.

19. 8. 44.

Od samego rana ruch. Odgłosy bezładnych rozmów w bramie i wreszcie wpada do nas Lola. To już koniec, powiewają chorągwie, tłum na ulicy. Lola nas ściska, jesteśmy wzruszeni. Na podwórku patron upina trójkolorową szarfę na naszej rzeźbie. Głośne spory o sposób upięcia. Ktoś mówi: *Elle aura un beau soutien-gorge*. W hotelu u nas ruch i ciągłe telefony, bo tu mieści się sztab generalny «*Résistance*». Ubieram się i schodzę na dół. Okazuje się jednak, że to jeszcze nie koniec. Są to tymczasem samodzielne odruchy Francuzów. Niemcy wcale Paryża nie opuścili.

Po południu odgłosy strzelaniny ulicznej. Samochody niemieckie jadące ulicami, strzelają od czasu do czasu na wszelki wypadek. Już nikt nie wychodzi na ulicę. Podobno gmach Prefektury Policji się pali i na Bd. Saint-Michel są «walki». Paryż stara się naśladować Warszawę. Na naszym merostwie «Résistance» destytuowała już mera i odbyły się tymczasowe wybory. Nasz młodzieniec z hotelu został wybrany *conseiller municipal* i wobec tego pijemy na dole za jego zdrowie. Wszystko to jest podniosłe, jak conajmniej jakiś wodewil Labiche'a. Mam ochotę ciągle się śmiać. Przychodzą inni młodzi — jeden na czterech ma jakiś damski pistolecik nie większy od puderniczki. Ale to nie szkodzi — robimy Rrrrewolucję, obalamy mera, aresztujemy kolaboracjonistów. Oczywiście tych pomniejszych, dzielnicowych. Najważniejszym motywem tych aresztowań jest zwykle to, że «ona sprzedawała to i to po takiej i takiej cenie». Bo aresztujemy głównie okoliczne sklepikarki i epicierów. Nasza patronka każe sobie pokazać listę nazwisk kandydatów do aresztowania i przy każdym nazwisku pokrzykuje: «O, znam ją, bardzo słusznie — zarobiła miliony na czarnym handlu... Oh là là — ten — on się nam zawsze odgrażał... tak, tak... tę trzymajcie mocno, *c'est juste...*» Rewolucja, jak cholera.

W bramie stoją lokatorzy dwóch kamienic i gadają. Gdy słyhać strzały, konsjerżka zatrząskuje wrzeczadze i wszyscy gadają podwójnie. Strzały cichną, brama zostaje ostrożnie otwarta i najodważniejsi siadają na ławce na bulwarze. Ulica jest pusta i tłumek gwarzy z bramy do bramy. Pod wieczór przelatuje nisko cała eskadra myśliwców «naszych», zgrabne «Mustangi». Radość, wszyscy w oknach. Myślę o Warszawie... Z wieczornych komunikatów wynika, że Amerykanie doszli do Sekwany pomiędzy Mantes i Vernon i starają się obejść Paryż od wschodu. Całkiem mądre, bo w takim razie Paryż padnie automatycznie. Obejście Paryża wygląda na zamiar jeszcze jednego zajścia von Klugemu na tyły. W mieście operetkowa strzelanina.

W nocy silna burza. Przez całe przedpołudnie strzelanina na mieście. Po południu wszystko cichnie i na murach pojawiają się alisze. Dzięki obietnicy Niemców nie atakowania gmachów publicznych zajętych przez tymczasowe władze i obietnicy wycofania się z Paryża, pomiędzy «Résistance» i Niemcami zostało zawarte zawieszenie broni. Wspaniałe. Postrzelali, nadmuchali Niemcom pajaków do tyłka i po jednym dniu ugoda. I Niemcy i oni przestają pukać, ludzie wychodzą sobie na spacer i po herbacie. Spokojnie czeka się na łaskawe wkroczenie Amerykanów. Jak w bajce dla grzecznych dzieci. A kiedyś, kiedyś wszystko razem będzie się nazywać «bohaterskim zrzuconiem jarzma okupanta przez patriotów francuskich i lud Paryża» itd. Wygląda na to, że całe przedstawienie zaczęło się za wcześnie, że źle obliczyli czas myśląc, że Amerykanie wejdą już dzisiaj. Więc prędko zrobili zawieszenie broni. Tym smętym resztkom Niemców oczywiście to dogadza, bo wolą poddać się regularnemu wojsku i Amerykanom, niż tej «bohaterskiej» hołocie.

Pod wieczór poszliśmy się przejść razem z Lolą nad Sekwanę. Po ulicach jeżdżą hucznie i buńczucznie samochody «Résistance» z kilkoma pętakami wewnątrz, uzbrojonych w shortach i z opaskami czerwonego krzyża z elegancką jonymi w korkowce. Motocykle z młodymi lekarzami pielęgniarką jako *sex-bagage* z tyłu na siodelku. Przed użyciem lekko wstrząsnąć... Do twarzy tym pielęgniarkom w tych hełmach malowanych na biało z czerwonym krzyżem. Do fotografii. A na moście Bercy Niemcy spokojnie przetaczają resztki jakichś pociągów, resztki lokomotyw i wagonów. Stoją na moście z karabinami wymierzonymi na ulicę, posepni i groźni, ale w rezultacie nikt nikomu krzywdy nie robi. Przechodzę pod tymi lufami o wiele spokojniej, niż gdyby stały tam te pętaki z F.F.I. (Fifi). Myślę o Warszawie... I o Tadzium. «Panie B. — tutaj wszystko jest o wiele łagodniej. Klimat łagodniejszy, krowy nie bodą, psy nie rzucają się na koty, zamiast pluskiew subtelne pchły, Niemcy zachowują się po ludzku, a teraz cała Francja uwalnia się z bukietem w ręce, z pertraktacjami, z afiszami, pod narkozą» — powiedziałby mój Tadzio. Jak wtedy, na «rzemskim» moście w 1940 roku. Wszystko idzie

bezboleśnie i szybko. Trzymam pod rękę Basię i Lolę i myślę o różnicy. I zupełnie mimowoli myślę o rysunkach Grottgera i o Manecie lub Renoirze. Różnica nastrojów jest taka sama. Emigracja, to ucieczka od rysunków Grottgera. Całkiem po prostu i bez pucu.

Nad Sekwaną jest cisza. Na nieruchomych barkach i berlinkach suszy się bielizna, na brzegu chodzą kury i skaczą króliki z barek i berlinek, które mają «wychodne», a obok siedzą niewzruszeni wędkarze. Na niektórych domach powiewają ostrożnie flagi francuskie. Pod bramami siedzi tłumek i słucha opowiadań «bohaterów».

Wieczorne komunikaty mówią, że Amerykanie są w Melun, w Fontainebleau, że idą na Montargis. W Warszawie piekło. Tam się nie pertraktuje i nie gada.

21. 8. 44.

Amerykanie bawią się pod Paryżem w chowanego. Przeszli Sekwanę na zachód i na wschód od miasta, są podobno w Corbeil.

Siedzimy w domu i czekamy. Przeszła już ta pierwsza radość i teraz już jesteśmy jak gdyby uwolnieni. W Paryżu panuje bezkrólewie. Kręcą się jeszcze jakieś resztki Niemców, jeździ «Résistance» czyli Fifi.

Wieczorem nie łapiemy żadnego komunikamu, bo elektryczność gaśnie po dwudziestu minutach. Pod wieczór wyszliśmy na spacer. Spokój i cisza. «Wojna i spokój».

22. 8. 44.

Od rana słyhać działa. Na mieście znowu strzelanina. Teraz już są pewni, że lada godzina wejdą Amerykanie, więc zaczęli na nowo pukaninę. Paryż «walczy». Po południu jadę do G. Na wszystkich ulicach tłumek siedzi przed domami. Nastrój rewolucyjny. Nikt nie pracuje i dopiero teraz widzi się ten cały *peuple de Paris*. Oni wszyscy teraz SA. Na naszym bulwarze można jeszcze wytrzymać, ale w okolicznych ulicach i uliczkach tłum króluje. Oczywiście nastrój wojowniczy i władczy. Na murach rozlepiają ciągle nowe afisze, które idzie się czytać w skupie-

niu, przybierając postawę pełną godności i pewności siebie. Po czym robi się niesłychanie logiczne i inteligentne uwagi. Słowa *c'est logique, c'est très intelligent, c'est juste* wymawiane są z pełną namaszczenia aprobatą. Można by teraz wydrukować nie wiem co, powypisywać najpotworniejsze idiotyzmy — wszystko zostałoby przyjęte z rytualną powagą, mądrym zmarszczeniem czoła i obrzędowym skrobaniem się w tyłek. Po ulicach śmigają na rowerach gazeciarze. Otacza się ich wykupując w mgnieniu oka cały stos wolnych gazet. Oczywiście pierwsza pojawiła się komunistyczna «L'Humanité». Żąda się prawa powrotu dla dezertera Thoreza. *C'est logique*. Poza tym obietnice zwyczajki płac o 40 procent i 40-godzinnego tygodnia pracy. Bractwo kiwa głowami z uznaniem. *C'est logique*. Obiecać im teraz raj i uwierzą. Cała siła atrakcyjna komunizmu mieści się w tej obietnicy i w NIE DOTRZYMYWANIU JEJ. Jest to bardzo zręczne uwieszenie kielbaski na sznurku i podciąganie jej wyżej, gdy masa chce ją naprawdę uchwycić. Nie chodzi wcale o to, żeby ją dostać — chodzi tylko o to, aby coraz wyżej i lepiej skakać, tak jak chce tego wszechmocne Państwo i Partia. Od czasu do czasu daje się tę kielbaskę polizać i mówi się: «Widzicie jakie to dobre — jeszcze trochę skakania i skosztujecie». I tak pokolenie po pokoleniu umiera zawsze z wiarą, przekazując ją swym potomkom. Grunt, to wiara.

Obywatele czytają te wypociny społecznych kuglarzy, po czym obradują w bistrach przy kieliszku wina. W gazetach wielkie tytuły: *Paris conquiert sa liberté par les armes, Paris se libère lui-même* i w ogóle cała Francja uwalnia się sama przy skromnej zaledwie pomocy Aliantów. Za tydzień w ogóle przestanie się mówić o Amerykanach i Anglikach. Kogut — trudno o lepszy symbol tego narodu. Całe to bractwo rajcujące po bramach i w bistrach trzepie skrzydłami i pieje, potrząsa grzebieniem — i czeka na amerykańską czekoladę i konserwy. A gdy z daleka nadjeżdża motocykl niemiecki, w przeciągu trzech sekund ulica jest pusta, bramy zamykają się i przy dziurkach od klucza następuje walka wręcz, żeby «zobaczyć». Paryż «walczy».

«Ce soir» pisze, że i godzinie 15-ej natarcia Niemców na Ratusz i Prefekturę Policji zostały odparte pomimo użycia przez Niemców czołgów, że Paryż «jeży się od bary-

kad», że na Place de la République i na Boulevard de Bonne-Nouvelle walki «przy użyciu lekkiej artylerii». Kuku-rykuuu. Bo ja o 4-ej jestem na Place Voltaire, a więc o kilometr od République i widzę, jak tłum wskakuje nagle do bram. Przejeżdżają Niemcy, rzucają na wszelki wypadek dwa granaty pękające z takim hukiem, że w trzy minuty po ich wybuchu nikt nie ośmielił się wystawić nosa.

Pod wieczór wychodzimy na spacer. W bramach domów, nie wiadomo skąd, sprzedają sałatę i rzodkiewkę. Kupujemy na zapas. Chowamy się na chwilę w jakiejś piekarni, bo ulicą przejeżdża motocykl niemiecki strzelający na wszystkie strony. I Niemcy się boją, i ludzie się boją — wszyscy się boją.

Według wieczornych komunikatów w Warszawie ciężkie walki. Zdobyli Centralę Telefoniczną przy pomocy miotaczy płomieni zdobytych na Niemcach. Poza tym zaczęli sami fabrykować miotacze min i pociski i zabrali się do fabrykacji samochodów pancernych. Jeden już wszedł w użycie i opancerzenie wytrzymało. Powinno się całą Polskę przetransportować do Ameryki i po pięćdziesięciu latach Ameryka jest — polska. I wielka. I na tym tle «Paryż walczy». A ty, świecie, posikaj się z podziwu dla *France éternellement héroïque et insoumise*.

Niemcy przerzucają wojsko z Włoch do południowej Francji. Pewnie znowu intuicyjny plan kaprała... Upalna noc. Na ulicy padły dwa (słownie: dwa) strzały. To Paryż walczy. *Paris conquiert sa liberté par les armes*. Koenig został mianowany komendantem wojskowym Paryża. Kuku-rykuuuuu.

23. 8. 44.

Nic nie wiadomo. Wobec tego konserwujemy na wszelki wypadek wodę. 0.05 grama chloraminy na litr wody. Cały czas słyhać dalekie dudnienie dział. Znowu upał, ale pochmurno. Na ulicach od czasu do czasu kilka strzałów. O wpół do piątej otwieram radio i słyszymy nagle, że «Paryż jest wolny». Reportaż z ulicy w Nowym Jorku, krzyki ludności i śpiewy na wiadomość o uwolnieniu Paryża. Potem przemówienia naszpikowane jedynym i oceanicznym patetyzmem: «Po czterech dniach krwawych

walk Paryż uwolnił się. Data 23-go sierpnia pozostanie na zawsze datą... Ten Paryż, który ugiął się, ale nigdy nie załamał...» Coś nawala w tej historii robionej na kredyt, bo właśnie gdy radio ryczy o uwolnieniu Paryża, przelatują nad nami samoloty i artyleria niemiecka strzela do nich tak, jak się to jej już dawno nie zdarzyło. A gdy wychodzimy przed dom, dowiadujemy się, że na Place Daumesnil budują barykady. Zachodzimy do Loli. Lolę krew zalewa. Poszła do fryzjerki i zastała tam 12-letniego chłopca, którego mama wysłała do wiecznej ondulacji. «To tu budują barykady, cały dzień huczą działa, a matka posyła 12-letniego chłopaka do wiecznej ondulacji. Cóż za naród...» Idziemy zwiedzić barykady. Trochę kostki powyrywanej z jezdni, kilka starych łóżek i kuchenek pościąganych ze strychów, okoliczne ławki, kilka worków z piaskiem i trochę ściętych gałęzi z drzew. Do fotografii w sam raz. Gdyby motyl tupnął, rozleciałoby się to od razu. Na murach odezwy: «Mobilizacja powszechna», «Mężczyźni, kobiety, dzieci do roboty barykad. Niech lud Paryża pokaże, iż nie zapomniał tradycji z roku 1830 i 1848...» Jeżdżą samochody i rozrzucają ulotki. Jedna wielka farsa z doskonale wyreżyserowanym «nastrojem». I wszyscy grają świetnie.

Wieczorem gazety pieją. Podają przepisy na fabrykowanie butelek przeciwczołgowych. «Czołgi niemieckie przestaną być niezwyciężone. Ta forma oporu (butelki) odpowiada wspaniale popularnemu i spontanicznemu charakterowi powstania paryskiego i przypomina improwizacje z roku 1830, 1848 i Komuny Paryskiej». Można się ubawić i cały świat rozweselić. Niestety cały świat będzie to brał bardzo poważnie. Prawdopodobnie data 23-go sierpnia przejdzie do historii jako data uwolnienia Paryża, choć nikt na oczy nie widział alianckiego żołnierza. Ale to dobrze ułożone. W ten sposób Paryż «uwolnił się sam». Boję się tylko, żeby Niemcy nie mieli dosyć tej zabawy w powstanie i nie zrobili gdzie prawdziwej masakry dla nauczki. Jak dotąd przeważająca ilość trupów i rannych rekrutuje się z gapiów.

Wieczorem «apiać» o wolnym Paryżu.

24. 8. 44.

Jeszcze jeden dzień oczekiwania. Leje deszcz. Już nie strzelają, bo prochy zamokły. Ale Paryż walczy. Po południu wszystko ustraja się już na dobre w chorągiewki. Mówią, że już są na Porte d'Orléans.

25. 8. 44.

Na mieście cisza. Wobec tego postanawiam wyjechać do miasta. Dzień jest prześliczny. Już we wszystkich oknach powiewają flagi francuskie i alianckie. Wygląda to wspaniale. Szare i okopcone mury kamienic pozamieniały się w kwietniki. Wszystko odbywa się tak, jak tylko można było sobie wymarzyć. Niemcy niczego nie wysadzili, niczego nie zniszczyli. Koło Gare de Lyon muszą zjechać na bok, bo strzelają. Niewyłapani Niemcy i kolaboranci strzelają z dachów. Na Place Bastille kilka strażów. Pusto. Ale od strony Pont d'Austerlitz dobiega stale wzrastający gwar. Podjeżdżam. Tłum. Widzę pierwsze czołgi i ciężarówki. Żołnierze kiwają rękami, ludzie krzyczą. Przed oczami mam wysokie piramidy czołgów, hełmy amerykańskie, małe «jeepy». Ryk silników, chrzęst gąsienic i rozentuzjuszowany tłum. Stoję pod drzewem, patrzę i wydaje mi się, że śnię. Ale nie. Jadą ciągle nowi. Zielone koszule, spodnie i getry. To już ci inni. Ci, na których czekało się tyle długich lat, już naprawdę ONI. W niecałe trzy miesiące po wylądowaniu są w Paryżu. Wyglądają wspaniale. To wjeżdża inny świat, wjeżdża wolność. Może nie doskonała, może... może..., ale czym jest ta garść zarzutów, wobec tej nocy, która panowała dotąd i która nadchodzi na wschodnią połowę Europy teraz, w tej chwili. Na jak długo? Myślę nagle, że tej nocy nie grozi mi już żadna rewizja, żadne niespodziewane pukanie do pokoju, żadne... Boże. Jak przez mgłę widzę ciągle nowe ciężarówki z żołnierzami w zielonych koszulach i w hełmach pokrytych siatką. Czuję, jak łzy same ciekną mi z oczu, jak krzyczę razem z innymi, wymachuję rękami. Na widok uśmiechniętych twarzy pod ciężkimi hełmami, twarzy ruszających się miarowo, łapię się na tym, że sam do siebie krzyczę po polsku z dzikim entuzjazmem: «Oni żują gumę». I śmieję

się sam z siebie. No tak — ale w tym dotychczasowym świecie nie żuło się gumy. Ta guma rozczuliła mnie zupełnie.

A potem wielka, bezbrzeżna radość ustępuje smutkowi. Koło mnie zatrzymuje się kolumna ambulansów. Samochody są prowadzone przez młode i ładne dziewczęta o nienagannym *maquillage*. Opieram się o jeden z tych ambulansów i patrzę, jak jadą przez most coraz to nowe ciężarówki i czołgi. Zaczynam nagle płakać, prawie łkać półgłosem. Dziewczyna siedząca za kierownicą ambulansu patrzy na mnie i pyta nagle po angielsku, dlaczego płaczę.

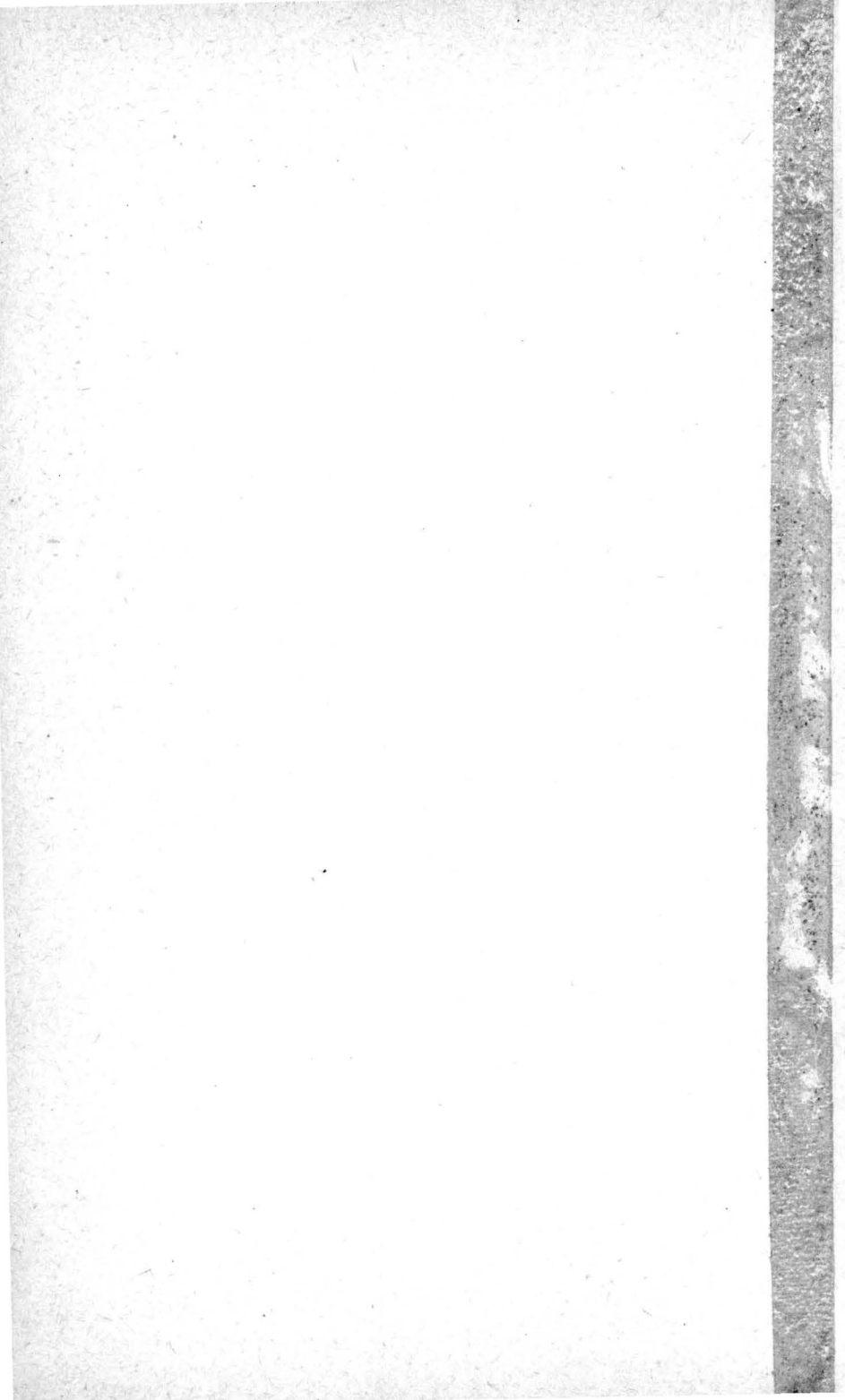
— Jestem Polakiem i myślę o Warszawie — odpowiadam cicho. — Oni tu mogą być szczęśliwi, nam jeszcze nie wolno.

Chwila kłopotliwego milczenia. Dziewczyna sięga do kieszeni, częstuje mnie «Chesterfieldem» i bąka coś zdawkowego. Wziąłem papierosa i uciekłem. Nie mogłem nie przyjąć. Oj nie — są rzeczy, których nie da się załatwić nawet miliardami papierosów, konserw i innych darów. Nie, nie i nie. Trzymałem w rękach tego pierwszego papierosa o ulubionym smaku i wreszcie zapaliłem go. Pachniał trochę wodą kolońską, trochę jakby mydłem no i «Chesterfieldem». Paliłem go myśląc, że jest w nim świat, który pewnych rzeczy nie jest w stanie pojąć. Może dlatego, że on sam nigdy nie był zmuszony do palenia niczego gorszego od «Chesterfielda». Ulicami jechały czołgi i samochody, a nad tym szczęśliwym miastem płynął jeden wielki krzyk radości.

K O N I E C

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 OCTOBRE 1957
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (18^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1957.





Dar
Biblioteka Polska
Paryż